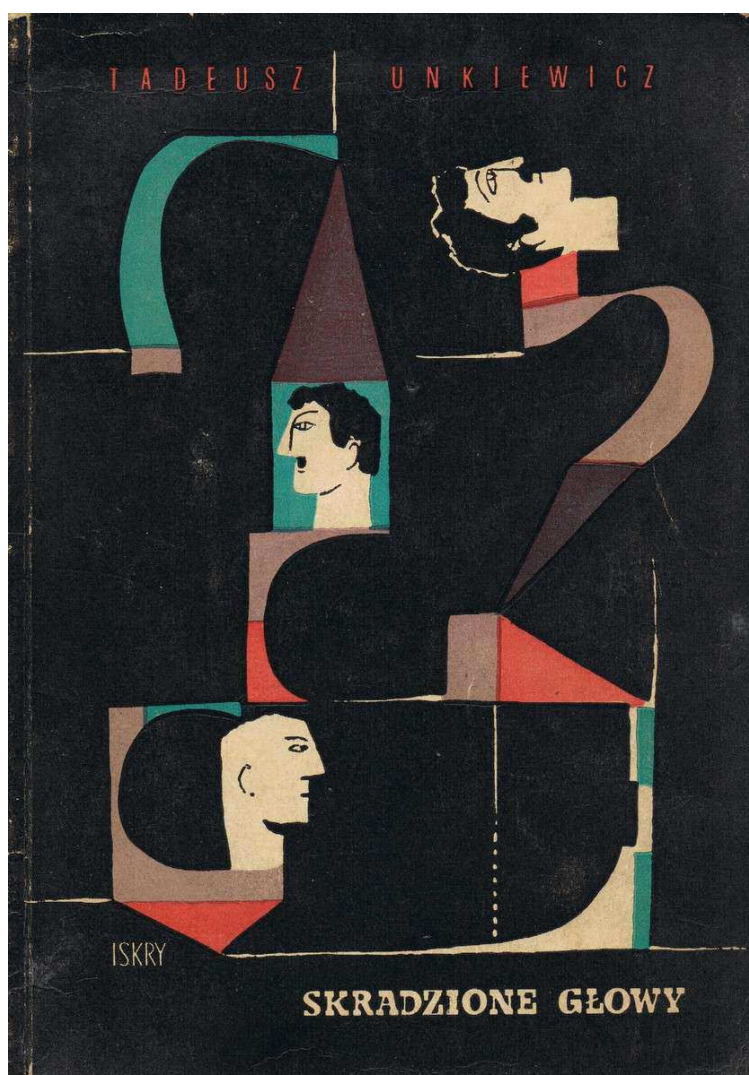


**TADEUSZ UNKIEWICZ**

**SKRADZIONE GŁOWY**



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY”, WARSZAWA 1958

# CZEŚĆ PIERWSZA

## I

### RATOWANIE ZMARŁEJ GŁOWY

Doprawdy z obawami i z oporem wewnętrznym przystępuję do opisania tajemniczych, a także strasznych wydarzeń. Długo wahałem się, nim dojrzała wreszcie we mnie ostateczna decyzja.

Bo pomyślcie: Należy zacząć od początku — od początku, który jest najbardziej w tym wszystkim zrozumiały i — żeby tak rzec — łagodny, a właśnie ten „zachęcający” początek dotyczy ni mniej, ni więcej tylko ginięcia ludzkich głów.

No tak: pewnego dnia zaczęły ludziom ginąć głowy. Znalazł się ktoś, kto zapragnął je kraść. Po co? Śmieszne, prawda? No, niezupełnie, jak się przekonacie niedługo, raczej straszne.

Nie zajmowałbym was tą historią i sam nie trudziłbym się spisaniem jej, gdyby stanowiła ona wyłącznie wątek kryminalny lub błyszczała jedynie sensacyjnością. Nie uczyniłbym tego. Ale — widzicie — tam w głębi, w jądrze ciemności rozgrywały się sprawy nadzwyczajne, pełne ponurych przepaści, które wywołały swego czasu niejedną lęk duszy i niejedną trwogę w bohaterach opisanych tu wydarzeń, a — jak miemam — i w was zadźwięczą tym samym groźnym echem. Słowem, chciałbym przestrzec: opowieść ta nie jest dla ludzi o słabych nerwach lub nie dbających o zagadki życia. Natomiast ci, w których płynie ogień namiętności do rozwiązywania tajemnic bytu i nurkowania w głąb, których umysł nie lęka się herezji, a serce nieoczekiwanych konsekwencji... tak, ci znajdą tu niejedną mocną podniętę.

To właśnie przeczuwał i tego się spodziewał redaktor Leonidas Guran, siedzący owego decydującego wieczoru w pewnej warszawskiej kawiarni na pół godziny przed rozpoczęciem pogoni za...

A więc zaczynamy po kolei i dokładnie.

\*

Redaktor Guran spojrział na zegarek i rzekł z pewnym ociąganiem się: „No, zbliża się północ, za minutę lub dwie, bo nie sprawdziłem dziś czasu i dokładnie nie wiem... Piątek kończy się”.

W tym momencie, jak echo potwierdzające wypowiedziane głośno słowa (a czasem i ich prawdę), rozległy się uderzenia starego zegara ściennego, obwieszczającego nadejście nocy, pory snu dla zrównoważonych i punktualnych urzędników, pory odpoczynku, ciemności, chrapania i względnego bezruchu dla większości obywateli państwa. Ale nie dla wszystkich. Są także ćmy i nietoperze-wampiry.

Bum, bum, bum... dźwięczały metaliczne uderzenia zagłuszające cykanie wahadła o złocistej tarczy, falującego ruchem chybotliwym i niepewnym, a jednak nieustającym.

Zupełnie jak w życiu, pomyślał Leonidas Guran, którego mózg — o czym w odpowiednim czasie jeszcze się przekonacie — skłonny był do filozoficznych zamyśleń, a wiele widzące oczy spoczęły właśnie na utrudzonym wahadle. — Jak w życiu. Powinien od dawna stanąć, a chodzi, toczy go jakaś choroba, jakaś chroniczna niedomoga, jakiś zegarowy reumatyzm: stęka, chrobocze, utyka... a idzie! Zupełnie jak ze mną i jak z innymi. Kto z nas nie jest

chory? A choroby charakterów? Czy pamiętamy, że istnieją chore charaktery? Dlaczego ten kulawy zegar mimo wszystko nie staje? Tajemnica!

— Otóż to — westchnął — jak w życiu. Wszędzie są tajemnice.

Bum, bum, bum...

Ostatni dźwięk roztopił się pod sufitem i znikł w niebie tonów i hałasów. Kelner podszedł obojętnie do wiszącego kalendarza (na którym turystyczne widoczki zachęcały do zwiedzenia tego i owego), zdarł powoli kartkę, zmiażdżył ją i rzucił efektownie celnym rzutem do oddległego kosza, po czym powędrował z powrotem pod ścianę obok kasy, krokiem znamionującym dokonanie czynów niezwykłych. Powiedział: — Piątek był, już go nie ma.

Redaktor Guran nie siedział sam; obok niego tkwiły nieruchomo dwie postacie obleczone w mundury milicyjne: sierżant i plutonowy. Spojrzał na nich, podniósł rękę gestem pełnym namysłu i powiedział:

— Proszę panów, zabieramy się do roboty.

Przedtem, oczywiście, kilka wyjaśnień, na które — jak widzę — czekacie już z pewną irytacją.

No, macie rację: nie znacie terenu, nie znacie sprawy, mnie nie znacie właściwie również, tyle że kilka godzin temu skierowano was do mnie służbowo; przyjechaliście do Warszawy pociągiem o godzinie jedenastej, od pół godziny siedzicie w tej pustej cukierni wraz ze miną, a ja... milczę. Jesteście wściekli, że wyrwałem was z przyjemnej prowincjonalnej drzemki i że nic nie gadam.

Nie — machnął ręką — nie macie co protestować, wszystko w porządku (i ja byłbym zły — pomyślał szybko — gdybym miał takie małe ambicje jak oni), jesteście wściekli i kombinujecie sobie, że „ten tajemniczy redaktor z jakimiś poleceniami od prokuratora i milicji jest nadętą purchawką, pozuje na wielkość i zgrywa się w kamiennym milczeniu. Wiadomo: stolica!”

O nie, moi panowie, pomyłka. To było konieczne. Trzeba było, abyście absolutnie nic o sprawie nie wiedzieli, a także abyście się o tym, co konieczne, dowiedzieli i jak najmniej, i jak najpóźniej.

Dlatego właśnie sprowadziłem was z prowincji, bo choć sprawa, której rozstrzygnięcie, jak spodziewam się, zapadnie dzisiejszej nocy, jest utrzymywana w srogim sekrecie, być może przecież, że dotarła w tych czy innych (a może i w najgorszych) szczegółach do wiadomości pracowników warszawskiej służby śledczej. Nie dziwiłbym się temu. Jest to sprawa tak niezwykła, że najuczciwszy służbista mógłby grzeszyć gadatliwością, pragnąc koniecznie podzielić się z kolegami wiadomościami palącymi jego wyobraźnię i — co gorsza — zdrowy rozsądek.

Krótko mówiąc, moi panowie, w obawie, by w ostatniej chwili zabobonny lęk nie obzwałnił mi pomocników, poprosiłem, by przysłano mi kogoś spoza Warszawy. Wybrano was, wierząc w waszą, że tak rzeknę, dziewiczą nieświadomość.

Obaj milicjanci, jakkolwiek niepocholebnie traktowani w myślach ostro sądzącego redaktora, nie byli tak głupi, jak wyglądali, nic więc nie było w tym nadprzyrodzonego, że nie uwierzyli własnym uszom. Świat, a w każdym razie ich milicyjny świat stawał na głowie, wypadał z reguł. Pierwszy raz mówił im ktoś urzędowo i w sprawie urzędowej, by brali się do roboty wiedząc jak najmniej, a najlepiej nic nie wiedząc.

— Sprawa jest prosta — ciągnął dalej redaktor — chodzi o wasz spokój, o to, byście zabrali się do roboty, zresztą najgłupszej pod słońcem... Przepraszam — poprawił się, uprzytomniwszy sobie, że jest właśnie pełnia księżyca i północ — lepiej będzie powiedzieć: najgłupszej pod księżycem, bez nerwów i bez hysterii.

Właśnie, bez hysterii. A o to łatwo — dodał półgłosem i poczuł, iż słowa wywinęły koziołka i miast trafić do głów sierżanta i plutonowego, wróciły jak bumerang wprost do jego serca.

Będziecie potrzebni przez pół godziny, najwyżej godzinę. Potem — jak wszystko dobrze pójdzie — wróćcie do swoich pieleszy. Przez pół godziny będziecie w charakterze moich podwładnych pilnowali pewnych drzwi w pewnym domu, do którego zaraz pójdziemy. Będziecie ratować głowę umierającego.

— Że co, proszę? — Głos sierżanta zabrzmiał jak wystrzał odkorkowanej butelki i zamilkł równie nagle, jak się narodził.

Guran spojrzął na kościste i czarne oblicze sierżanta i powtórzył bardzo powoli i dobitnie: — Tak, będziecie ratowali głowę umierającego. — Zaciął usta, pochylił nieznacznie czoło w zastanowieniu, podumał trochę i poprawił się: — Nie, właściwie, jest inaczej i znacznie dziwniej: będziecie ratować głowę umarłego.

Teraz słychać było dokładnie nie tylko uciążliwy chód zegara, ale i daleki, bo płynący z drugiego końca sali, oddech kelnera wytrwale podpierającego ścianę i bzyk senny, lecz żwawy przebudzonej muchy, której ciepła noc jesienna nie szkodziła, a nawet szelest pieniędzy liczonych w kasie przez zniecierpliwionego grubaska, pragnącego w ten dyskretny sposób podkreślić trzem dziwnym jegomościom siedzącym przy wielkim oknie wystawowym, że pora jest spóźniona i czas najwyższy opuścić kawiarnię.

Guran zauważył na twarzach sług bezpieczeństwa zniecierpliwienie lub konsternację, a może coś, co było jednym i drugim, i rzekł pojednawczo: — No, panowie, to proste i w gruncie rzeczy nieskomplikowane, będziecie pilnowali, by nikt z zewnątrz nie dostał się przez drzwi parterowego balkonu, wychodzącego na ogród. Tyle tylko. Reszta niech was nie obchodzi — to moja rzecz. Pół godziny, może godzinę. Zobaczymy. Nie puszczać! Trzymać! Zresztą będę razem z wami.

Tak, to była prawda, miał przez cały czas oczekiwać być razem, ale powiedział im to bardziej z chęci uspokojenia ich, a przede wszystkim uniknięcia dalszych pytań — i tak im za dużo powiedział — niż dla samego wyjaśnienia. Był urodzonym pedagogiem, znał się świetnie (choć nie zawodowo) na duszy ludzkiej, na jej wszystkich manewrach. Miał do tego instynkt, jak psy myśliwskie mają instynkt do polowania. Znał składniki duszy. Tak mu się przynajmniej dotychczas zdawało.

Niezadługo już — ale o tym nie wiedział — miał przekonać się, jak małe w istocie miał o tym pojęcie.

Jakoż nie pomylił się: i sierżant, i plutonowy radzi byli słowom „razem z wami”. Gdy wstał od stolika, podnieśli się ochoczo i już z nieuchwytnym, trudnym do zdefiniowania, lecz doskonale widocznym dla ludzi nawykłych do rozkazywania, stylem. Stylem istot wybierających się na łowy, stylem wspólnym wszystkim drapieżnikom. Kot podnoszący się niby to powoli i z ociąganiem na cztery łapy, gdy zwęszy mysz lub ptaka, jest uniwersalnym symbolem tego jakoby niedbałego ruchu, obojętnego początku, który za lada moment przedzierzgnie się, jak pod dotknięciem zaklęcia magicznego, w błyskawiczne, świetne, precyzyjne skoki, w pełne gwałtu ruchy. A na końcu tej fali ruchów tkwi ofiara. Co prawda nie zawsze. Bądź co bądź, życie jest grą, może niekoniecznie ucziwą, ale rzadko tylko nie dającą szans ofierze.

Guran pomyślał sobie, że istotą życia, fundamentem jego nie jest naiwny pogląd, jakoby walczyły z sobą drapieżniki. Życie lwa nie jest wypełnione bojami z nosorożcem, a jedynie łowami na antylopy. Sens bytu orła nie tkwi w walkach z jastrzębiem — i rzadko z nim się potyka — a w jedzeniu stworzeń przez naturę wyznaczonych mu do pożarcia.

Każdy ma swoją ofiarę. Lecz ofiara nie jest bez szans. I ona ma swoje sposoby i sposobi, swoją siłę. Ale zbrodniarz jest sam drapieżną bestią i tu walka jego, walka redaktora Leonidasa Gurana, podobna jest do walki kota ze szczurem. Nie zawsze kot wygrywa. Dlatego zanotował w pamięci swej z sympatią te specyficzne gesty podwładnych, ruchy dla oka pokojowe, oznaczające tylko powstanie z miejsc, ale dla jeszcze lepszego oka — oznaczające walkę. Czuł się pewniej.

Wyszli.

Noc była piękna, ciepła, księżycowa. Minęli „ogródek” kawiarni, zajmujący pół ulicy swoimi kolorowymi parasolami, pod którymi drzemały puste krzeselka i puste stoliki, przeszli różnym krokiem na drugą stronę i zanurzyli się w ciemny tunel alei okrytej gęstym płaszczem szerokolistnych lip. W pustce kroki ich zaczęły grzmieć w sposób niezbyt poufny i dyskretny, rychło więc zmitygowali się i nadali swym nogom chód bardziej elastyczny.

Sierżant nadstawił czarną, kwadratową i włochatą głowę, słuchając uważnie słów niezwykłego redaktora. Pięści, podobne raczej do kowalskich młotów i także włochate (w ogóle cały był ogromnie włochaty), ścisnął bezwiednie, kołysząc nimi miarowo w takt kroków, co przedstawiało widok całkiem zniechęcający, zwłaszcza dla osób wrażliwych i nastrojonych pacyfistycznie.

Od czasu do czasu wybuchał głośnym zdziwieniem i to było bodaj więcej przerażające niż jego kowalskie pięści, albowiem — o ironio — z tej ogromnej postaci i z tej beczkowatej piersi wydierał się głosik tak wysoki, niemal sopranowy, niewieści, tak zaskakujący, że zamiast naturalnego w tym przypadku odruchu komizmu wywoływał obezwładniające zdumienie. Potęgowało się ono jeszcze, gdy sierżant od razu wracał do głębokiego basu.

Czynił to nagle. Okazuje się, że piszczał tylko wtedy, gdy wyrażał zdumienie; normalnie wypuszczał z płuc dźwięki w skali bardziej dlań naturalnej. I tak na przemian raz dudnił gromkim basem, innym razem śpiewał jak flet, wymachując do taktu niedźwiedzimi łapami.

— Uważajcie — mówił Guran — za kilka chwil będziemy na miejscu, bo to niedaleko, właściwie tuż zaraz. Idziemy do willi profesora Pogonowskiego, sławnego naszego matematyka, jednego z filarów „warszawskiej szkoły matematycznej”, której imię cenione jest od lat w całym świecie. Profesor dziś w nocy umrze. Będzie to strata niepowetowana, no, ale umiera się, prawda?

Tu zatrzymał się i wysoko uniósł brwi, jakby zastanawiając się, czy ma rację; wydawało się, że chce coś powiedzieć, dodać albo może nawet zaprzeczyć, ale dokończył tylko krótko:

— Więc umrze. Willa jego położona jest w obszernym ogrodzie, otoczonym sztachetami, które zresztą łatwo przejść, ale to nieważne. Są do niej dwa wejścia. Frontowe i od kuchni. Frontowe drzwi będą zamknięte. Zresztą nimi dostać się można tylko jedną drogą do gabinetu profesora, a tam będzie czuwał kto inny. Niech was o tę drogę głowa nie boli. Drzwi kuchenne będą otwarte, ale za nimi zgromadziłem, w pokoju służbowym, jego domową asystę: gosposię i szofera. I o tę drogę głowa niech was nie boli.

Natomiast z gabinetu jest wyjście na obszerny taras skierowany w głąb ogrodu; z tego tarasu prowadzą półokrągłe schody do klombu, a potem, dalej. Drzwi te będą otwarte jak też i okna do gabinetu, mniejsza z tym dlaczego, tam zaś będzie umierał uczony matematyk. Przy nim czuwa ktoś świadomy tego, co się dzieje.

Tu zaś, przed domem, ujrzyjcie ogród i drzewa. Ukryjcie się. Pilnujcie całej tej ściany, to znaczy wielkich drzwi balkonowych i obu okien. Kazałem zawczasu zapalić wszystkie światła, aby schody, taras i okna widoczne były jak na dłoni.

No więc, zdawałoby się, że sprawa prosta. W cuda nie wierzę, więc nikt nie zauważony nie przedostanie się z zewnątrz. O wnętrzu się nie lękam, bo tylko w starych powieściach kryminalnych znajdują się nagle jakieś tajne przejścia lub służąca przedzierzga się w szefa spisku międzynarodowego. To bzdury!

I ja sam będę czuwał za którymś tam drzewem. Jeśli zauważycie, łapcie i wołajcie na mnie.

To i wszystko. Nic nadzwyczajnego, prawda?

— Prawda — odrzekł posłusznie plutonowy, którego cechy, zalety i wady niebawem poznacie.

## II

### ROZMYŚLANIA NAD ZAGADKĄ

Umierał człowiek.

Organizm poddał się już. Nie, nieprawda, organizm nigdy się nie poddaje; stracił po prostu siły, wyczerpał wszystkie środki walki. Jest to chwila dla chorego błogosławiona. Bóle znikają, gwałt zmagani przemija, świadomość — jeśli wraca — staje się czysta, wolna od zamięceń ostatniej bitwy. Człowiek raz jeszcze może być człowiekiem, a nie biednym, zdychającym zwierzęciem. Nie każdy ma tę szansę. Ten ją dostał.

Do pięknego gabinetu wpadały przez szeroko otwarte okna dźwięki życia: łagodny odgłos wiatru, powiewającego białymi firankami; pojedyncze, senne głosy ptaków; daleki, staroświecki turkot dorożki i bliski, bardzo bliski szelest drzew w niewidocznym stąd ogrodzie.

Lekarz, który już od rana był w stanie dokładnie określić godzinę śmierci pacjenta, a obecnie mógłby obliczyć kwadrans, zbliżył się do wielkiego w stylu wolteriańskiego, z dużymi uszami fotela, w którym rozstawał się ze światem człowiek sławny. Doktor pochylił się milcząco. Głowa chorego ledwie majaczyła w głębokim cieniu miękkiego fotela nie rozproszonym dyskretnym światłem lampy stojącej z dala na małym, okrągłym stoliku. Oddech był niedostrzegalny. Oczy, ciemne i już zdawałoby się obojętne na sprawy tego świata, patrzyły nieruchomo w otwarte okno, w noc i — być może — w coś jeszcze.

Lekarz spojrział tam. Gładka powierzchnia marmurowego parapetu lśniła niebieskim światłem księżyca. Lecz za oknem nie było nic poza cieniami nocy.

Wszedł Guran. Uśmiechnął się od progu i wyciągnąwszy rękę pomaszerował do doktora ze słowami: „Dobry wieczór, jak się pan miewa?” I nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: — Mam nadzieję, że dobrze. Zresztą tym razem nie tylko z pobudek altruistycznych tak sądzę i wierzę i nie tylko z powodu starej sympatii, lecz i z tego prostego a praktycznego powodu, iż wydaje mi się, że rażność ducha i ciała przyda się dziś panu.

Uściśniły ręce. Doktor dyskretnym gestem wskazał na nieruchomego Pogonowskiego; szepnął: — Woli umierać na siedząco, w żaden sposób nie można go było skłonić, by się położył, tak że nasz plan z wstawieniem łóżka do gabinetu nie wyszedł, ale to bez znaczenia, fotel czy łóżko — wszystko jedno... Chodźmy trochę na bok, porozmawiamy... jeśli ma pan jeszcze czas... Ma pan? — zwrócił się doń pytająco.

— Owszem, przecież dopóki pacjent pana żyje, nic mu nie grozi — wzruszył przy tym ramionami ze zniecierpliwieniem — dopiero jak umrze. Bądź tu mądry, człowieku! Czy to długo jeszcze potrwa, panie doktorze?

— Nie, niedługo, już zaledwie kwadrans.

— No to siadajmy gdzieś!

Rozejrzeli się i odeszli na palcach w drugi koniec ogromnego gabinetu; tam ulokowali się na pięknych, ale dość niewygodnych krzesłach, jak to się zdarza niektórym stylowym meblom.

— A gdzie młody Pogonowski? — szepnął Guran.

— Zaraz będzie; wyszedł przed chwilą, by zatelefonować do rektora o nieuniknionej śmierci ojca. Uniwersytet musi zawczasu wiedzieć o tym, należy przecież przygotować różne oficjalności, związane z podobnymi okolicznościami. Takie głupie ceregiele — westchnął doktor i dodał: — no cóż robić, inaczej jak przez różne gesty i pompę nie potrafimy publicznie wyrazić naszych uczuć; konieczne, ale głupie, to dowodzi, że nie umiemy poważnie zachować się wobec spraw poważnych.

Pochylił swoją chudą twarz z wątrobianymi piegami, bladą i pooraną zmarszczkami jego wieku (miał lat sześćdziesiąt dwa), brzydką, ale niezaprzeczenie sympatyczną.

Ten chudy, wysoki człowiek, z rzędnącymi i zawsze rozrzuconymi włosami, wzbudzał w każdym, kto go po raz pierwszy zobaczył, natychmiastową reakcję serca, jakby z domieszką litości. I słusznie, bo był to człowiek raczej nieszczęśliwy, albo — powiedzmy to otwarcie — najzupełniej nieszczęśliwy. Był za dobry i za miękki w życiu.

— Wie pan, redaktorze, jestem z zawodu lekarzem, ale śmierć mnie zawsze przygnębia. Do diabła — zaklął — byłby już czas przyzwyczać się do jej widoku. — Zasłonił usta po tym mimowolnym okrzyku bojowym, zachęcającym go na próżno do bardziej twardych i męskich uczuć — do tego nie był nigdy zdolny — i obejrzał się w kierunku fotela, widniejącego w oddali. Dodał ciszej: — „Wyglupiam się z tymi uczuciami całe życie. — Poszukał oczami usprawiedliwienia na twarzy Gurana.

— Zapewniam pana, kochany doktorze — odparł — że ludzie mądrzy i porządni rzadko są z siebie zadowoleni, to nie paradoks, ale czysta prawda.

Doktor zarumienił się. Doprawdy posiadał jeszcze tę sztukę w tym wieku.

Zapanowała cisza. Siedzieli poważnie i bez ruchu, patrząc w pustą przestrzeń. Obaj — nie wiedząc o tym — czynili to samo: starali się wyłowić uchem oddech człowieka siedzącego w fotelu, z nogami owiniętymi kocem, z rękami leżącymi bezsilnie na kolanach. Czasem dochodził do nich jak szept usypiającego dziecka: cichy i nierówny,znaczony przerwami.

Książki na półkach błyszczały grzbietami wszystkich kolorów Stały nieruchomo w szeregach jak wojsko mądrości na paradzie rzucone w bezruch słowem komendy. Wierne wojsko, siła starego matematyka, wybitnego twórcy w dyscyplinie zwanej semiotyką (nauka o znakach). On to, stary Pogonowski, uzupełnił i po łączył różne szkoły filozoficzne, odsunął swą teorią znaków w cień takie nazwiska jak Leibniz, Hobbes, Locke, Berkeley, Hume, Condillac, Bentham, nie mówiąc o innych.

Książka! Najpotężniejszy protektor człowieka w jego kariera niemy przyjaciel i nauczyciel, główny współtwórca losu. Nic chyba nie jest w stanie tak gruntownie zmienić biegu wypadków życiowych, jak ona. Guran wodził świadomymi oczami po tym kolorowym wojsku, wyciągniętym na baczność i przyszła mu na myśl, że książki są także niezwykle efektowne, zdobią pokój lepiej niż drogocenne sprzęty.

W ciszy dał się słyszeć odległy hałas kroków zmierzających z wnętrza domu: ktoś szedł powoli, pewnie, systematycznie. Guran zastanowił się. Tak, to chyba jest człowiek wysoki i masywny, raczej flegmatyk. Lubił bawić się w podobne zgadywanki i cieszył się jak chłopiec, gdy mu się udało.

Kroki zbliżały się.

— To młody Pogonowski — szepnął doktor. — Pan go jeszcze nie zna.

— Nie, rzeczywiście nie — przyznał Guran — ale przecież, z racji choćby mojego zawodu wiem o nim coś niecoś. Jest starszym asystentem przy katedrze historii kultur. Podobno zdolny i pracowity, wzięłyby to po ojcu...

Drzwi powoli otworzyły się, stanął w nich mężczyzna lat trzydziestu kilku, właściwie olśniewający, a w każdym razie takie wrażenie i podobne określenie powinno nasunąć się kobiecie. Bardzo wysoki. Duża, masywna głowa, ciężkie szczęki; wszystko w nim było masywne, odpowiedzialne. Pewność i zaufanie. Na twarzy, zachmurzonej troską, kwitł jednak miły i spokojny uśmiech, podtrzymywany wysiłkiem woli. Z całej postaci biła siła i męskość. Oto stuprocentowy mężczyzna. Niewątpliwie człowiek uprzywilejowany przez naturę.

Był zresztą masywny nie ciężkością kamienia czy twardością dębu, daleko mu było do granitowości, raczej chodziło o wrażenie równowagi duchowej zamkniętej w mocnym ciele. No i ta piękność twarzy, ta piękność podbijająca natychmiast uwagę i zmuszająca do podziwu.

W czym tkwił jej sekret? Chyba w tym, że nie nos, oczy, usta czy inne części można było uważać za piękne, ale całość, ale proporcje. A w większym jeszcze stopniu w ogóle nie to, co już jest dane, nieruchome, stworzone, czyli nie rysy były piękne — lecz ruchy tej twarzy,

jej gra. Oto co zniewalało do uznania i... lekkiej zazdrości. Nic była więc to tak zwana „przystojność”. Ładna rzeźba to nie to samo co monumentalna. On był raczej monumentalny niż ładny.

Wszystko to Guran zauważył w jednej chwili. W następnych zaś dorzucił do swoich obserwacji i to, że miał przed sobą flegmatyka, istotę opanowaną, co, rzecz prosta, było w zgodzie z budową i wynikało z niej koniecznie, o czym wiemy instynktownie od czasów niepamiętnych, a w sposób dokładniejszy, naukowy od ukazania się typologii Ernesta Kretschmera, niemieckiego psychiatry.

Cholera — pomyślał z uznaniem — co za wspaniały typ!

Przedstawili się sobie.

— Stefan Pogonowski.

— Leonidas Guran.

— Bardzo mi przyjemnie.

— Bardzo mi przyjemnie.

Doktor skrzywił się nieco z hipochondrycznego przyzwyczajenia na widok tych „ceregieli” i dorzucił półgębkiem informację, zwracając się do młodego przybysza:

— Nie wiem, czy słyszał pan o naszym redaktorze? Niech mu się pan przyjrzy, bo to ciekawa sztuka.

— Owszem, jakże miałbym nie słyszeć, przecież to redaktor naczelny pisma naukowego Polskiej Akademii Nauk, kwartalnika „Postępy Wiedzy”. To świetne pismo, które wybiegło swoją popularnością i poczytnością poza krąg profesorów i specjalistów.

— Tak, ale nie o to mi chodzi; nasz redaktor ma jeszcze inne liczne i — obawiam się powiedzieć — zbyt liczne zainteresowania. Mniejsza, że ma trzy dyplomy w tak niecodziennym zestawieniu jak medycyna, filozofia i matematyka, lecz ponadto różne studia prywatne, o ile wiem: fizyka, astronomia, paleontologia i coś tam jeszcze... Ba, żeby to choć było wszystko, ale ten człowiek jest ponadto prezesem klubu sportowego „Warszawa” i mimo swych czterdziestu lat podobno do dziś kopie, i o zgrozo — chętnie, piłkę. Kopie czy gryzie, tego dokładnie nie wiem, co tam się z nią robi. Sądząc z wrzasków, jakie dobiegały mnie czasem z boisk, to chyba raczej coś tam gryzą.

Urwał, połapawszy się w czas, że to ani miejsce, ani pora odpowiednia do tego rodzaju rozważań.

— Przepraszam — szepnął koło ucha asystenta — ale i to panu powiem: dziś pozna go pan z jeszcze jednej strony; ma pasję detektywa i właśnie przedstawiam go w tej ostatniej roli.

— Bardzo mi przyjemnie.

— Dziękuję za uznanie.

— Proszę, niech pan siada z mamą.

Pogonowski siadł i spojrzał ostrożnie na ojca. Spytał: — Panie doktorze?...

Doktor rozłożył ręce: to już tylko chyba kwadrans...

Zapanowała znów cisza, tym razem dłuższa. Doktor martwił się, że popełnił nietakt; Pogonowski, że umiera mu ojciec i zostanie za chwilę sam na tym obszernym świecie, bez rodziny i krewnych — wszystkich zabrała wojna; Guran, że swoją obecnością i funkcją zakłóca surową powagę i ekskluzywność śmierci.

Pogonowski i doktor zapadli rychło w rodzaj niespokojnej zadumy, w której mieszały się rzeczywistość z marzeniami i terażniejszość z przeszłością lub przyszłością. Ale nie redaktor Guran, ten był innej konstrukcji psychicznej, w chwili podobnej jak ta nie poddawał się kołysankom duszy. I teraz jeszcze raz obliczał skrupulatnie swoje plany; oceniał odległość fotela od okien i drzwi prowadzących na taras, zastanawiał się, czy rozsądnie ustawił obu milicjantów i czy w ogóle jego plan, oparty na przeświadczeniu, że ów Nieznany zjawi się po głowę starego matematyka, będzie zrealizowany. Ostatecznie, skąd pewność, że w ogóle przyfrunie tu jak wampir z ciemnej nicości? Hm, ale do licha, jeśli przyfrunie, ważne jest, by



znów się w tej nicości nie rozplynął.

Wyglądali wszyscy jak lalki w gabinecie figur woskowych, usadzone grzecznie za barierą, a przedstawiające „Zmartwienie”. Cztery postacie w oczekiwaniu kłopotów.

Wreszcie młody Pogonowski zwrócił swoje oczy na Gurana i spytał:

— Przepraszam, nie weźmie mi chyba pan za złe, że o coś spytam

— Proszę bardzo, niech pan pyta.

— Widzi pan, chciałbym dokładniej wiedzieć, o ile to możliwe, o co właściwie chodzi temu maniakowi, jaka jest historia tej sprawy i... i... przepraszam... skąd pan się wziął... w roli detektywa... Wstrzymywałem dotąd swoją ciekawość i nie rozpytywałem doktora Prokaszę — tu odwrócił się na moment ze słabym uśmiechem do lekarza — o szczegóły, ale rozumie pan... idzie o mego ojca... pragnąłbym być bardziej w kursie wypadków... ponadto sądzę, że już teraz, gdy właściwie zbliża się chwila decydująca, nie będzie obawy, że swoją ewentualną niedyskrecją, czy coś w tym rodzaju, zepsuję...

— Ależ naturalnie — przerwał mu redaktor — odpowiem panu co prawda nie tak dokładnie, jakby należało, bo mało, obawiam się, będziemy mieli czasu, lecz powiem to, co się da, a innym razem dokończymy, zresztą myślałem już o tym, by z panem pogawędzić, zdaje się, że przyda się nam pan.

Widzi pan, nazbierałem w życiu trochę różnych wiadomości. No, ci i inni chcą teraz to wykorzystać, i słusznie, więc jestem konsultantem kilku instytucji zawodowych.

Jestem ponadto z urodzenia Sherlockiem Holmesem, detektywem, rozwiązywaczem zagadek, rebusów, szarad, krzyżówek, konkursów i co pan tam chce jeszcze. Znają mnie z tego i podsuwają mi od czasu do czasu jakiś węzełek do rozsypłania.

Więc nie tak dawno zwrócił się do mnie prokurator i z tą właśnie historią. „Niech nam pan pomoże pomyśleć — tak powiedział — i wyciągnąć wnioski z tej niesamowitej sprawy”.

Dał mi grubą teczkę... no i w rezultacie siedzimy teraz tutaj i czekamy na wynik moich pomysłów i podejrzeń.

Pogonowski uniósł lekko brwi, jakby z obawą, lecz Guran uprzedził pytanie.

— Niech się pan nie lęka, powiem, co było w tej teście.

Zastanowił się sekundę, rozłożył lekko dłonie, pochylił głowę i ciągnął półgłosem:

— Od pewnego czasu zjawiały się w prokuraturze warszawskiej meldunki dziwacznej treści: ginęły głowy ludziom umarłym. Wywiady przeprowadzone z rodzinami ustaliły, że technika jest zawsze ta sama. Ktoś ucinał te głowy zaraz po zgonie i znikał nie spostrzeżony. Ale po co, dlaczego, kto?... Wszystko otoczone było mgłą niewiedzy.

Ostatecznie ucinanie głów nieboszczykom nie jest zbrodnią, nie jest morderstwem, no ale trudno tolerować, by jakiś — jak pan twierdzi — maniak prowadził ten proceder bez przeszkód, a ku zgryzocie krewnych i bliskich, słusznie zdjętych oburzeniem. Zresztą mogło się kryć coś szczególnego poza tym.

Tak — zastanowił się i zwolnił tempo słów. — Coś innego mogło się za tym kryć, coś niepomierne ważniejszego niż profanowanie zwłok. — Umilkł.

— Czy to pana sugestia? — spytał Pogonowski.

— Nie. Prokuratury warszawskiej, dlatego właśnie zaprosiła mnie dla przedyskutowania tej kwestii. Lecz zgadzam się z nią: coś tam tkwi szczególnego.

— Czy nie można było schwytać przestępcę na miejscu przestępstwa?

— A jak się panu zdaje, panie asystencie, ile ludzi umiera dziennie w Warszawie? Czy myśli pan, że należało publicznie ostrzegać wszystkich, komu ktoś umiera, by zawiadamiali policję i prokuratora? Nie, winniśmy to zrobić dyskretniej. A jak w tej sytuacji złapać ptaszka?

— Rzeczywiście — przyznał asystent i dodał: — nie będę panu przerywał pytaniami, proszę, niech pan mówi.

— Trzeba było działać dyskretnie. Trzeba było wynaleźć metodę poszukiwań. Przeczy-

tałem historię wypadków raz i drugi, potem trzeci i dziesiąty. Najpierw wyobraziłem sobie, jak i pan, że to jakiś po prostu wariat, chory umysłowo. Lecz, moi kochani, czyż wariat mógł zostać znakomitym chirurgiem (a technika odcięcia głów była wspaniała)? Nie! Raczej na odwrót: to jakiś dobry chirurg mógł zwariować. No, lecz żaden znany — ani mało znany — chirurg nie dostał obłądu. Sprawdzono to w Warszawie i wokół niej. Zresztą mieliśmy i inne wskazówki, które odsuwały hipotezę chorego umysłowo jako nie słuszną. Potem odrzuciliśmy hipotezę zbrodni. Trzeba było szukać czego innego.

Nasuwało się przypuszczenie absurdalne, choć przecie żyjemy w XX wieku, przypuszczenie jakichś praktyk magicznych. Jak wiemy, zabobony tego typu często połączone były ze zbrodnią. Dobrze, ale czyż to możliwe, by znalazł się dziś ktoś, kto chciałby wskrzeszać te prymitywne głupstwa?

Ja osobiście w to nie wierzę, mam inną hipotezę, lecz jeśli okaże się — a na to długo już czekać nie będziemy — iż pomyliłem się, jeśli ów Nieznany nie zjawi się dziś tu na schadzce, którą mu podstępnie przygotowałem, słowem, jeśli nie zjawi się, nie wpadnie w potrzask, to znaczy, że pomyliłem się i wtedy trzeba będzie zastanowić się nad tą „magiczną” teorią. Tu właśnie pan, panie asystencie, jako specjalista od historii kultur, posiadający w tej dziedzinie wiadomości, mógłby ewentualnie nam pomóc.

Pogonowski skupił uwagę. Był powolny w ruchach, ale i w myślach także, miał spóźniony refleks. Ważył więc w duchu słowa przez długą chwilę, po czym rzekł:

— Podzielam pana wątpliwości: i ja nie wierzę, ale wszystko ostatecznie jest możliwe i każdą okoliczność trzeba rozpatrzeć. Zainteresowanie głowami ludzkimi jako zdobyczami wojennymi, talizmanami lub po prostu ozdobami, jest szeroko znane. Powiedzmy na przykład: wśród ludów pierwotnych Ameryki Południowej, na Melanezji, w Nowej Gwinei i w ogóle na morzach południowych.

Łowcy głów to przecież wcale nie nowe zjawisko. W preparowaniu i zachowaniu głów odznaczają się na przykład mistrzostwem łowcy z Dorro albo — powiedzmy — z Iivaro.

Ludzie pierwotni wierzyli, jak wiemy, w różne cudowne właściwości takich specjalnie spreparowanych głów.

Australijczycy również bawili się w ten krwiożerczy sposób. Głowy zdobyte na wrogach konserwowali i malowali na kolor czerwony, biały i żółty. Widziałem kiedyś czaszkę ludzką spreparowaną tak, by służyła jako maska — co być może stanowiło etap przejściowy do posługiwania się maskami już wyłącznie tylko symbolizującymi głowę ludzką; była to czaszka Azteka z szesnastego wieku (właściwie tylko twarz i wierzchołek czaszki, aby dało się to nasadzać na głowę kapłana) wykładana kolorowymi kamyczkami, tworzącymi bogatą mozaikę wzdłuż czoła i szczęki. Oczodoły wypełnione były dwoma błyszczącymi kamieniami szlachetnymi; całość pomalowana na kolor czarny i żółty. Okropieństwo! Ekspонат ten — widziałem go w Muzeum Brytyjskim — dobitnie świadczy o demonicznym charakterze religii starożytnego Meksyku.

Powtarzam więc, że łowcy głów to nic nowego, ale żeby taka rzecz mogła się wydarzyć w Warszawie w wieku XX — w to nie wierzę. Zresztą w ogóle w Europie nie ucinano ludziom głów, co najwyżej przebijano po śmierci gwoździem, aby zabezpieczyć się skutecznie w ten genialny sposób przed duchami nieboszczyków, którzy inaczej mieliby ochotę dokuczać żywym krewnym. Zwyczaj ten praktykowano przez wieki, pozostało po nim nawet jakieś hiszpańskie przysłowie. To są jednak wszystko czasy minione.

Ten zaś warszawski amator cudzych głów nie robi tego na pewno dla zapewnienia urodzajów zbóż czy dla prestiżu wojennego lub elegancji — po prostu tkwi w innym środowisku kulturalno-obyczajowym; jeśli nie jest nieszczęsnym pomyślnym, to jest prawdopodobnie sadystą...

### III

#### W PIĘĆ MINUT PO ŚMIERCI

— Nie — z siłą acz po cichu zaprzeczył Guran. — To nie sadysta. Jest tu ciekawy punkt, który zwrócił uwagę prokuratora, a potem i moją również. Sprawa pięciu minut.

— Pięciu minut? A cóż to takiego — poruszył się doktor Prokasz, ożywiając nieco swe posągowo-melancholijne oblicze.

— Pięć minut? — szepnął jak echo, i jak ono automatycznie, asystent, podnosząc wysoko gęste, krzaczaste brwi i mimowolnie w zdumieniu zaciskając wargi.

— Tak, proszę panów, pięć minut. To ogromnie ważne!

— Jest pan, redaktorze, wielce tajemniczy — wyraził niezadowolony doktor — nic o tym nie wiem. A to co nowego?

— Nowego to może i nic, lecz rzeczywiście chowałem to w sekrecie, bo fakt ów prawdopodobnie stanowi klucz do tajemnicy. Widzicie, we wszystkich wypadkach stwierdziliśmy, że głowy zniknęły natychmiast po zgonie. We wszystkich bez wyjątku! Coś w tym musiało kryć się. Ale co?

Zastanowiła mnie niesłychana „punktualność” Nieznanego, stawiającego się dokładnie na wezwanie śmierci! To chyba nie czarna magia... ale co? ale co?

Można przypuszczać wszystko i nic, samo to sformułowanie „natychmiast” nie prowadziło do żadnej oświecającej myśli. Postanowiłem już rzucić nawet niewdzięczną drogę, gdy nagle olśniła mnie pewna idea. Aż podskoczyłem ze zdumienia, powiedziałem sobie: to musi się dziać przed upływem pięciu minut! Poprosiłem natychmiast władze o przebadanie jeszcze raz z tego punktu widzenia wszystkich zainteresowanych i świadków. I wyobraźcie sobie — potwierdziło się. Zdołano w większości przypadków (o ile pamiętam w czterech) ustalić z całą pewnością, że operacja odbyła się przed upływem pięciu minut; w pozostałych zdaje się było to samo.

Asystent zmierzył Gurana przymrużonymi oczami i rzekł:

— To wygląda tak, jakby ów Nieznany czyhał na moment zgonu, jakby po prostu gdzieś z bliska podglądał...

— Nie jakby, nie jakby — poprawił spokojnie Guran — drogi asystencie, a na pewno!

Asystent i doktor wyprostowali się gwałtownie, wymieniając porozumiewawczo ze sobą zdumione i zaskoczone spojrzenia, po czym źrenice ich mimo woli przebiegły błyskawicami po gabinecie, zatrzymując się dłużej na oknach i oszklonych drzwiach balkonowych. Doktor ponadto zerwał się na nogi oraz wsadził palec za kołnierz koszuli, rozluźniając poirytowanym gestem zaciskającą się obręcz.

Guran nie brał udziału w tej pantomimie.

— To oznacza — rzekł doktor, odnosząc raptowne zwycięstwo nad kołnierzem i krawatem, zresztą kosztem guzika — że...

— Tak — mruknął Guran oznacza dokładnie to, co pan myśli.

Doktor opadł z powrotem na niewygodne krzesło i dokończył: — ...że On już tu jest i patrzy.

— Mam nadzieję — potwierdził Guran.

Znów zapanowała cisza, ale zupełnie niepodobna do poprzednich momentów spokoju. Ta cisza była gwałtowna i napięta jak lina stalowa, a niespokojna jak ostatnia noc przed przewodzką.

Guran, wybaczymy mu to, rozkoszował się takimi efektami. Był niezwykłą mieszaniną charakterów: poważne obok niepoważnego, silne obok słabego. Teraz delektował się w duchu sytuacją i spod oka obserwował fizyczną stronę duchowych reakcji swoich towarzyszy.

— Jak to — nachylił się gwałtownie doktor do ucha redaktora i szepnął głosem o wiele silniejszym niż to było zamierzone i właściwie przestało być szeptem — jak to, i pan nic... tak siedzi tu sobie spokojnie...

— A tak: nic!

Młody Pogonowski zbierał myśli. Wycedził powoli:

— Do czego pan zmierza, panie redaktorze?

— Proszę panów, wszystko jest obliczone, wszystko jest przewidziane, nie wiem tylko — tu uśmiechnął się — czy uda się.

— Przepraszam pana — atakował dalej asystent — więc pan twierdzi, że ten wariat, czy jak tam, jest już tu gdzieś, a nawet może widzi nas?

— Tak.

— I to jest zapewne część pana planu, że mimo to siedzimy tu spokojnie i czekamy?

— Tak.

— No dobrze, a czy mogę spytać, do czego to wszystko zmierza?

— Do złapania go na gorącym uczynku.

Asystent podniósł rękę do czoła, zastanowił się i spytał:

— A jeśli nas słyszy?

— Eh, panie asystencie, w cuda nie wierzę. Jestem człowiekiem trzeźwym i mamy tu realne życie, a nie brednie z kiepskiej kryminalnej powieści. Zapewniam pana, nie ma tu na pewno ani tajemnych przejść, ani ruchomych sufitów; jak też zapewniam pana, że ani ja, ani doktor — ani wreszcie pan sam — nie jesteśmy tym Nieznanym. Słyszeć nas nie może! Jeśli on już tu jest, a jest, proszę panów, zapewne jest, jest... na pewno — to jest w charakterze zwykłego człowieka i z możliwościami zwykłego człowieka.

Tu Guran zwrócił się do rozmówcy:

— No, co robiłby teraz zwykły człowiek, który by chciał zabrać głowę pana ojcu...

Wszyscy na te słowa obejrżeli się ku fotelowi, gdzie matematyk dożywał swych ostatnich chwil. Siedział bezwładnie, tak bezwładnie, że tylko fachowe oko lekarza mogło dostrzec w tym nieruchomym kształcie ostatnie ogniki życia.

— Czekalby gdzieś w ogrodzie — odpowiedział młody Pogonowski.

— No jasne — przytaknął Guran — a po czym mógłby rozpoznać moment zgonu?

Odpowiedzi nie było dość długo, wreszcie jednak znalazła się:

— Po nas oczywiście, a nie po moim ojcu, po naszym zachowaniu się, po naszych ruchach...

— No jasne — zgadzał się dalej Guran — po zgonie jest zamieszanie, po czym zazwyczaj wszyscy wychodzą z pokoju. I na ten moment właśnie on zawsze czeka. Tym razem będzie nieco inaczej. Zwabiłem go i nie chcę go straszyć, obserwuje już nas. Milicjantów ukryłem i nakazałem im interweniować dopiero, gdyby ktoś obcy chciał przejść do gabinetu przez taras lub okno. A na wszelki przypadek, gdyby przeoczyli moment wtargnięcia, aby chwytali każdego, kto wychodzi z domu i pragnie zniknąć w cieniach ogrodu. Nie widzi ich więc, a jeśli jest ostrożny — to i oni jego również jeszcze nie zoczyli. Patrzy na nas i czeka.

Tak, moi panowie — odetchnął nieco i poruszył się na krześle — akcja jest dziecinnie prosta. Grunt to wpaść na właściwy trop, odnaleźć klucz, reszta to formalność; najtrudniejsza jest koncepcja, ma ona w sobie element twórczości, zwłaszcza koncepcja przy rozwiązywaniu zagadkowego wydarzenia; gdy zjawi się słuszna koncepcja — tajemnice przestają być tajemnicami i zaczynają się tłumaczyć prosto i racjonalnie.

— Tak, tak — potakiwał głową doktor, złożył obie ręce na kościstych udach gestem człowieka zmęczonego: dłońmi do wierzchu, z palcami bezsilnie rozpostartymi. Obserwował z uwagą oddechy starego Pogonowskiego.

— Panie redaktorze — spytał nagle asystent — czy mógłbym wrócić do kwestii owych pięciu minut?

— Bardzo proszę, ale z góry zastrzegam, że wszystkiego wyjawić nie mogę i nie chcę. Ostatecznie to jest tylko hipoteza, i to moja, może okazać się niesłuszna, więc po co zawczasu wchodzić w szczegóły...

— Wyjawi pan to, co będzie uważał za stosowne — zgodził się i rzekł: — Proszę uprzejmie o poinformowanie mnie, przepraszam — nas — poprawił się — bo i doktor, jak słyszałem, był również zaskoczony; zatem o poinformowanie nas, co pan szczególnego wiąże z faktem niezwykłego pośpiechu tego ucinacza głów? Ja sam dochodzę do przeświadczenia, że musi za tym kryć się coś bardzo ważnego, bo przecie on wielce naraża się tym sposobem postępowania; dokonuje swego ohydneho przestępstwa wśród ludzi kręcących się jeszcze wkoło, niemal w tłoku. Ryzyko ogromne! O ileż łatwiej byłoby przyjść w nocy albo nawet zaczekać, aż ciało przewiozą do kostnicy. Jeśli zaś naraża się, ryzykuje, znaczy — musi. Otóż to: „musi”.

— Brawo — przyklasnął ucieszony Guran — oczywiście musi; słusznie pan to zauważył. Musi! Ale teraz proszę zrobić krok dalej: musi, lecz dlaczego?

I wlepił swe zielone, niemal fosforyzujące oczy w skupioną twarz asystenta.

— Przypuściłbym... chyba... że... jakąś inną wartość ma dla niego głowa zaraz po śmierci... to głupie przypuszczenie...

Guran uśmiechnął się i poradził: — No, no, niech pan nic nie potępia i nic nie ocenia, tylko myśli po prostu i wyciąga wnioski; rzecz prosta, że głowa trupa nic go nie obchodzi, inaczej przecież miałby je w dowolnej ilości w prosektorium, nie mówiąc już o cmentarzach, gdyby z tych czy innych względów chciał unikać prosektoriołów. Ale nie, on poluje na... no, panie asystencie, na co?

— Doprawdy nie wiem... przecież na zmarłych jednak...

— Otóż nie, niezupełnie...

— Jak to nie? — zdumiał się ogromnie.

— No nie, niech pan pomyśli.

— W każdym razie — zaczął asystent wahając się — na umierających.

— No, to też jest niedokładne i nie odpowiadające faktom.

Teraz obaj słuchacze redaktora zgłupieli naprawdę. Oblicza ich nie stanowiły w owej chwili zbyt budującego widoku: otwarte usta, wybałuszone oczy i inne nieinteligentne oznaki nieinteligentnego stanu, acz chwilowego, nie są widokiem wartym kontemplacji.

— Nic nie rozumiem — wtrącił się teraz doktor — to jakiś nonsens: nie na umarłych i nie na umierających, więc na jakich, do licha, na jakich?... Czy są jeszcze jakieś inne stany; przecież na zdrowych nie napada, nie morduje i żywym ludziom głów nie obcina!...

Guran wciąż uśmiechał się, widać było, że bawi go sytuacja. — Moi panowie — zaczął — gdybyście zechcieli pomyśleć dokładniej, koniecznie dokładniej... Oczywiście w grę wchodzi tylko śmierć, a nie życie, wyłącznie ludzie umarli, a nie żywi czy nawet umierający...

— Więc — zaperzył się doktor Prokasz — poluje jednak na zmarłych, a pan powiedział „nie”, co pan kręci chyba.

Redaktor odparł atak — przecież to proste: nasz nieznajomy w sposób widoczny rozróżnia coś w samej śmierci. Ryzykuje nawet wiele, dlatego, że rozróżnia i że właśnie dlatego... śpieszy się.

Pauza. Trzy postacie tych ludzi nachylonych ku sobie stanowiły na pewno interesujący widok dla oczu patrzących z zewnątrz.

Asystent, wciąż nie wyrażając swą twarzą specjalnych wzruszeń, rozpoczął: — Zaczynam pojmować, chce pan, redaktorze, dać nam do zrozumienia, że ów tam... jak go nazwać... w każdym razie przestępca, rozróżnia jakby fazy w procesie śmierci...

— Niech pan odrzuci słowo „jakby” — zakomenderował Guran.

— A więc — posłusznie poprawił się — rozróżnia fazy w procesie śmierci; interesuje

go faza pierwsza, następne nie obchodzą go... czy tak, panie redaktorze?

— Owszem, prawidłowo!

— A więc powinienem wtedy powiedzieć: nie że on poluje na zmarłych, lecz że poluje na dopiero co zmarłych.

— Tak jest. To jest dokładnie właśnie tak, lecz niech pan pozwoli sobie już wobec tego na ścisłość całkowitą...

— Rozumiem, redaktorze: on poluje na głowy ludzi zmarłych nie dawniej niż pięć minut temu.

— Perfekt, o to chodziło — rzekł Guran.

Młody Pogonowski, z twarzą wciąż nieporuszoną, odparł: — Za pozwoleniem, ale ja nic nie rozumiem. Więc co z tego? Wróciliśmy do punktu wyjścia.

Teraz z kolei przerwał doktor Prokasz, i to w sposób gwałtowny, bo znów zerwał się z krzesła i niemal krzyknął: — Ależ nie, ależ nie... nie wróciliśmy... rozumiem... tak, to jasne... pięć minut! — Wyprostował swą długą, asteniczną postać i wpił się wzrokiem w przestrzeń, w swą odkrytą dopiero co tajemnicę.

— Cóż, doktorze — szepnął cichutko redaktor, by oprzytomnić doktora i skłonić go do bardziej cichego zachowania się — pan, jako lekarz, domyślił się prędzej, co? Otóż to, panie doktorze, owemu nieznanemu chodzi o głowę zmarłego przed upływem pięciu minut, czyli... — i dał znak Prokaszowi, by dokończył. Ten uczynił to istotnie wymawiając w najwyższym zdumieniu te słowa:

— Czyli o mózg, o żywy mózg!

— Tak, panowie — dokończył poważnie Guran — o żywy mózg.

Zwracając się zaś do asystenta, wyjaśnił: — Mówi się, że „człowiek umarł” i to tak wygląda, jakby śmierć była jedynie momentem. Tymczasem w rzeczywistości tak nie jest. Umiera się na raty, na tempa, jest to bowiem proces, a nie moment. Gdy serce bić przestało, człowiek umarł, ale jeśli lekarz przywróci bicie, okaże się, że jednak nie umarł. Co to znaczy? No właśnie, że ustanie bicia serca nie oznacza nieodwracalnego faktu śmierci. Przywrócić pracę serca, a powróci życie. Przecież po śmierci rosną człowiekowi paznokcie, rosną włosy. To wiedzą niemal wszyscy, lecz mało kto wie, że komórki, z których składa się nasze ciało, żyją jeszcze i mnożą się przez szereg godzin po śmierci organizmu!

Lecz istnieje gdzieś jakiś moment odgradzający drogę powrotną. Powie pan może, że na pewno nie da się wskrzesić człowieka, który rozłożył się już i rozpadł w proch. No tak, lecz jest moment znacznie bliższy i najzupełniej wystarczający, dokonuje się on zaś właśnie w mózgu.

Najpierwsze nieodwracalne zmiany rozkładowe tam właśnie zjawiają się, stanowiąc barierę odgradzającą życie od śmierci. Brak tlenu dezorganizuje ten centralny układ nerwowy już po kilku minutach, mówiąc okrągło — po pięciu minutach, a więc jeśliby nawet udało się lekarzowi przywrócić bicie serca komuś, kto zmarł pół godziny temu, to życia mu nie wróci. Finis. Koniec. Najpierw umiera mózg, a wraz z nim i to, co nazywamy człowiekiem, to zaś, że inne organy jeszcze żyją i pracują, nawet zadziwiająco długo i uporczywie, to nie jest ważne: całość rozpręła się nieodwołalnie.

Teraz rozumie pan, dlaczego i po co śpieszy się dziwny gość: musi zdążyć przed śmiercią mózgu, potrzebny mu jest żywy mózg.

Tak, moi szanowni, on nie na głowy poluje, potrzebna mu jest szara substancja. Jasne jest, że to jakiś eksperymentator, być może nawet jakiś uczony, ale też nie wykluczone, że i domorosły kandydat na uczonego. Nie wiem. Zapewne czyni jakieś badania mikroskopowe albo inne, czegoś szuka, czegoś tam docieka.

Słowa te wywarły wyraźny skutek na myślach asystenta, ale odwrotny do dotychczasowego ich biegu. Rozczarował się, a być może się nie zgadzał.

— Jak to — odezwał się — to żeby badać mózg, co jest oczywiście dozwolone i co

czyni się nieustannie w wielu laboratoriach, szpitalach, instytucjach i na uniwersytetach, ten człowiek ima się kryminalno-groteskowych sztuczek, lawiruje w każdym razie na krawędzi przestępstwa? W imię czego? Czyż nie może postępować normalnie? Nawet gdyby nie był zawodowym uczonym, łatwiej byłoby mu dostać się ze swymi próbami do sfer profesorskich niż ryzykować eskapady nocne i łamanie prawa.

Guran przyglądał się młodemu z uznaniem, ale i z ledwo widoczną ironią.

— Słusznie pan mówi, lecz proszę nie zapominać, że mamy przed sobą zagadkę. Rozumie pan — zagadkę. Chodzimy w mroku i zgadujemy. Lecz potrafię panu wyjaśnić tę wątpliwość, jakkolwiek przyznaję, że i ja mam niepokoje, i ja czuję, że coś tam jeszcze kryje się, czego nie jestem w stanie dociec. Jakiejś reszty, być może — reszty najważniejszej. Otóż istnieje szczegół, którego pan dotychczas nie zna. Wszystkie wypadki poprzednie dotyczyły ludzi wybitnych, niezwykłych umysłów, uczonych i artystów. To był jeden z powodów, dla którego nie chcieliśmy rozgłaszać sprawy. Ten człowiek bada mózgi genialne. Nie wystarczają mu mózgi ludzi przeciętnych, zwykłych. Nie wykluczone, że interesuje go zagadnienie genialności i szuka gorączkowo jakichś odpowiedników genialności, jakichś może fizjologicznych procesów, towarzyszących genialności. Takich zaś mózgów nie znajdzie on ani w prosektorium, ani w szpitalu i w ogóle ma trudności, bo o mózgi genialne — jak wiemy — niełatwo. Geniusze nie rodzą się na kamieniu i nie umierają co dzień.

Młody pokiwał głową.

— Rozumiem, a także i to, dlaczego przypuszcza pan, że będzie on usiłował wykorzystać śmierć mego ojca, matematyka światowej sławy. Tak, rozjaśnia mi się wszystko. Wygląda tak, jakby miał pan rację.

Pochylił czoło i wsparł je na obu dłoniach. Miał silny charakter, zachowywał się w sposób godny szacunku, ale powiązanie śmierci ojca ze sprawą kryminalną, było trudną próbą dla jego sztuki opanowywania się, a nawet dla jego wrodzonej flegmatyczności. W dodatku te wyjaśnienia i owa teatralna sytuacja z podglądającymi go teraz oczami...

Westchnął. I to było wszystko, co miało wyrażać napięcie nerwów.

Guran spojrział na zegarek. Jego sympatyczna twarz, choć ze zbyt ładnymi i miękkimi rysami jak na mężczyznę, stanowiła kontrast z twarzą młodego Pogonowskiego. Było to oblicze człowieka delikatnego i wrażliwego; typowe oblicze intelektualisty i nerwowca zarazem. Widać było, że narzuca swemu raczej słabemu i nerwowemu ciału żelazną dyscyplinę, nakazuje mu swym intelektem i ambicją to, do czego z natury swej nie zostało stworzone. Z tego już wynika, że często musiał wydawać się przeciętnym obserwatorom nieodgadzionym, tajemniczym i sprzecznym w swych reakcjach. Rzeczywiście — tego człowieka rozgryźć było bardzo trudno. Dobrać się do niego to tak, jakby próbować zdobywać niedostępne szczyty górskie, jakąś Kanczendzunga w Himalajach czy Aconcagua w Andach. Możliwe, ale wściekle fatygujące.

— Panowie — rzekł — na mnie już chyba czas. Muszę teraz pobyć trochę na świeżym powietrzu, popatrzeć dyskretnie na ten gabinet z zewnątrz. Przepraszam pana — zwrócił się do asystenta — za ten ogromny i brutalny kłopot, tak niestety wypadło. Niech się pan o nic nie obawia. Nie dopuścimy do żadnych faktów dokonanych. Doktor zostaje w tym gabinecie. Tyle tylko, że w momencie śmierci uda się niby do drzwi, których z zewnątrz z ogrodu nie widać. Będzie to wyglądało, jakby wyszedł z pokoju. W rzeczywistości doktor usiądzie sobie koło drzwi i będzie czekał. Zrobi to pan, prawda? — zwrócił się doń pytająco.

Doktora nawiedziło teraz gwałtowne pragnienie pytania, którego ze względów prestiżowych nie wyjawiał. Potakiwał głową, ale jednocześnie rękami czynił (nieświadomie) gesty odzeganujące się. Rzadkie, stale rozwichrzone włosy miały teraz chęć do stawania dęba, zadowolili się jednak jeszcze większym rozwichrzeniem niż zazwyczaj. Krótko mówiąc, bał się.

— Ależ doktorze, nie ma absolutnie żadnego niebezpieczeństwa, to nie jest morderca; gdyby nim był, nie czekałby na głowy umierających, tylko kosiłby głowy ludzi żywych i

zdrowych, tam gdzie byłoby mu najwygodniej i najbezpieczniej. Nie ma się czego obawiać. Zresztą milicjanci i ja, i pan asystent czuwać będziemy w pobliżu; pan asystent może nawet zostać z panem w pokoju pod warunkiem ukrycia się w podobny sposób. Musi ktoś zostać w gabinecie, aby uniemożliwić ewentualną próbę, gdyby z tych czy innych powodów udało mu się przedostać do gabinetu. Jeśli mu się to uda, wystarczy, aby ukazał się pan w oknie, będzie to dla nas sygnał pośpieszenia na ratunek.

Doktor kiwał głową w sposób raczej zrezygowany. Spytał: — Jak się mam zachować, gdy wejdzie?

— Najlepiej niech pan powie: „Czym mogę służyć” lub „czego pan sobie życzy?” a najmądrzej będzie, jak pan od razu zacznie krzyżeć. Bez wstydu, od razu i głośno krzyżeć. Instynkt już panu podpowie, co i w jaki sposób.

Redaktor i młody Pogonowski także wstali. Asystent wyciągnął rękę do redaktora.

— Dziękuję panu i proszę nie robić sobie wyrzutów: trudno, tak trzeba. Mam nadzieję, że uda się panu.

Po raz pierwszy spojrział na redaktora uważnie. Spodobała mu się ta szpakowata głowa czterdziestoletniego mężczyzny.

— Dziękuję panu.

Uścisnęli ręce w milczeniu.

Guran rzucił jeszcze okiem na doktora, dodając mu spojrzeniem otuchy, i wyszedł.

## IV

### NIEZNANY ŚPIESZY SIĘ

Wyszedł drzwiami frontowymi, to znaczy od strony ulicy. Nieznajomy, jeśli był już na posterunku, musiał czatować z przeciwnej strony, od ogrodu; musiał też być od dość dawna, bo stan chorego przedstawiał się tak poważnie, iż śmierci spodziewano się tej nocy. Wiadomość nie była tajemnicą i rozeszła się na pewno nie tylko w sferach uniwersyteckich i w gronie znajomych matematyka; zresztą Guran poprosił znajomego redaktora „Wiadomości Warszawskich”, by informację tę opublikował w dzisiejszym wydaniu wieczornym, a doktora Prokasa skłonił do informowania uniwersytetu co godzina o stanie chorego. Kto wie? Może Nieznajomy dowiaduje się o tym właśnie w murach starej uczelni? Trudno przypuścić, by wiadomość o zbliżającym się zgonie Pogonowskiego nie dotarła do niego i by okazja zawładnięcia jednym z najświetniejszych mózgów matematycznych, jakie dziś ludzkość posiada, nie była dostatecznie silna, by go zwabić. Nie, nie: on jest już tam, po tamtej stronie willi.

Guran stał nieruchomy, z ręką jeszcze na klamce, ukryty w mrokach wnęki, niewidoczny i zamyślony. Zbliżał się nieuchronnie moment rozwiązania, wiedział o tym, bo wierzył w trafność swojej hipotezy; inaczej być nie mogło. Delikatny uśmiech, acz wyraźnie ironiczny, pojawił się na jego obliczu. Polowanie na głowy! Na dwie głowy jednocześnie: tamten, ów Nieznany, na głowę Pogonowskiego, a ja — na głowę tamtego. A więc za chwil niewiele na głowę tego, na którego on, redaktor Leonidas Guran, poluje, spadnie miecz Damoklesa, miecz sprawiedliwości. Ponadto rozwiąże tajemnicę owej reszty, której wciąż nie rozumiał.

Jakiego rodzaju były te badania nad żywym mózgiem?

Uratuje głowę Pogonowskiego, upoluje głowę tamtego.

Stał i rozważał. Opanowała go wielka niechęć do dalszych wysiłków. Zostawić to wszystko, on sam nie jest potrzebny już; sieci zastawione, dadzą sobie radę, pójsć zaraz do domu, natychmiast, odejść...

W gruncie rzeczy nigdy nie lubił scen gwałtownych, brutalnych, nienawidził walk.



Kochał książki, znał się na finezjach dyskusji, czuł się szczęśliwy słuchając koncertu skrzypcowego Beethovena (czy pamiętacie, jak fagot rozmawia ze skrzypcami) lub jakżeż tragicznych symfonii Czajkowskiego; ożywał się czytając nowe dynamiczne hipotezy kosmologiczne lub oglądając genialne sztuchy Dorégo. Lecz z całej duszy nienawidził gwałtu. I oto znów będzie świadkiem scen obrzydliwych. Z góry drżał na myśl o okropnym widoku twarzy przerażonej, twarzy człowieka zaskoczonych jak zwierzę, ogarniętego paniką, wściekłością, człowieka załamane...

Lecz trzeba, trzeba, koniecznie trzeba to zrobić.

Oderwał rękę od klamki i zaczął powoli schodzić stopniami na ścieżkę.

Wpatrywał się uważnie w cienie spowijające ścieżkę i kroczył wzdłuż willi, kierując się na lewo, a potem ku ogrodowi. Minał drzwi kuchenne. Teraz musi być bardzo ostrożny. Wychylił z lekka głowę i zobaczył ścianę jasno oświetloną światłami płynącymi z obu okien i z oszklonych drzwi, prowadzących na taras.

Taras również był dobrze widoczny, tylko schody, prowadzące od niego na ścieżkę, tonęły w cieniach. Potem cienie szybko gęstniały i zamieniały się w nieprzenikliwą ścianę ciemności, w której od czasu do czasu błyskały liście lub gałęzie drzew.

Wszystko gotowe. W tym eto miejscu, wiedział to, ale nie widział, stoi za pnem sierżant, sam jak pień nieruchomy i jak on niewidoczny; a tam znów tkwi plutonowy — wyłoni się w odpowiednim czasie jak duch z nicości. Sam ich niedawno rozstawił z największą cichością i szukając najgrubszych mroków, bo On już mógł być przed nimi.

Gotowe.

Teraz wszyscy aktorzy czekali na śmierć. Nie na śmierć własną co prawda, lecz cudzą, to zaś jest przeogromna różnica z punktu widzenia interesów prywatnych, ale bądź co bądź na śmierć.

Pewien aktor, okryty maską zagadki, wciąż niewidoczny i będący tu na polowaniu, czatował gdzieś, wbijając pałające oczy (ale czy na pewno pałające?) w balkon i okno. Powinien być mniej więcej w tym oto miejscu, bo stamtąd najlepiej widać, co dzieje się w gabinecie. Na prawo i na lewo od tego miejsca skamienieli dwaj inni aktorzy, którzy polują na polującego. Mają łatwy dobieg do tarasu i okien.

Ciszę mącił czasem lekki szelest drzew i krzaków. Guranowi wydało się, że brzmi to jak odległy szum morza. Zaczaił się i czekał. Mijały minuty. Zapach nocy. Po niebie pędzą chmury i widać księżyc w pełni. Gdzieś bardzo daleko zajęczał żałośnie gwizd lokomotywy.

Trzeba koniecznie skupić się i uważać. A może to wszystko bajka, libretto z operetki? Może pomylił się? Może tam, w tym miejscu, nikt nie stoi i nie czeka na dokonanie przestępstwa, może tylko ziewają znudzeni milicjanci?... Głównego aktora nie ma?

Guran powoli zamieniał się we wzrok i słuch, oparł się o jakiś pień drzewa i rozpląnął się w jego ciemności.

Ostatnią jego myślą było przypomnienie sobie, że wczoraj zepsuł trzy murowane pozycje na treningu w koszykówkę. Zmarnowałem sześć punktów — mruknął w duszy z żalem. Takie dziwne figle nie a propos płata człowiekowi jego własny mózg.

\*

A w gabinecie, który był bańką światła w otoczce nocy, czarnych drzew i cieni, chory poruszył się. O ile niewidoczne niemal drgnięcie, więcej pragnienie ruchu niż sam ruch rzeczywisty można nazwać poruszeniem. Chciał coś powiedzieć. Lekarz nachylił się, przysunął ucho do jego ust. Nic. Położył więc delikatnie dłoń na jego ramieniu i... i... wyprostował się. To był koniec. Zgasł spokojnie. Zmarszczyły się usta doktora Prokasz, ale na sekundę tylko: „Pan Pogonowski nie żyje”.

Syn, który stał z drugiej strony fotela, zacisnął nerwowo dłonie i skłonił pomału głowę. Doktor Prokasz uważał, że to nie jest czas odpowiedni na dalsze doświadczenie młodego

człowieka. Tak jak niedawno pragnął gorąco, by został z nim w tym gabinecie, tak teraz uważał — pod wpływem współczucia — za zupełnie naturalne, aby wyszedł, aby nerwowo nie szarpał się więcej. Ujął młodego człowieka pod ramię i delikatnie, ale stanowczo pociągnął ku wyjściu.

— Niech pan idzie teraz, niech się pan przejdzie po domu lub położy; musi pan zebrać myśli i spokój, bo wątpię, czy błogosławieństwo snu jest teraz dla pana dostępne. — Mówiąc to ciągnął go przez salon, dbając, by mało co widzące i pod ciosem ugięte w nieporadności i ciężarze ciała nie potknęło się o dywan lub o bezładnie — jak to w chwili śmierci bywa — stojące sprzęty.

Zamknął za nim drzwi.

I on nawet, lekarz ze śmiercią kolegujący, stary weteran rozlicznych walk szpitalnych, nie jest widocznie wolny od wzruszenia. Nadśluchiwał chwilę. W ciszy domu i nocy słysząc było ciężkie kroki sunące po różnych posadzkach, odmykania i coraz cichsze zatraskiwania drzwi.

Doktor odwrócił się. Do niedawna człowiek i do niedawna matematyk ukryty był tam za olbrzymim zielonym fotelem. Stąd widać było jego prawą rękę opartą na poręczu. Rękę nieruchomą na zawsze. Usiadł patrząc niewidzącym wzrokiem w tym kierunku. Tyle już razy krzyżował szpadę ze swym nieuchwytnym wrogiem, tyle już razy ponosił klęski, tyle już razy sformułował sobie jasne, przyrodnicze oceny tego prościutkiego faktu, faktu śmierci, a jednak nigdy nie był w stanie w obecności ciała człowieka, którego bronił, odpędzić od siebie myśli: czy to już wszystko? Czy dylemat ciało-dusza jest tylko niedorzecznością językową, czy istnieje wyłącznie ciało, które jest zarazem duszą — jego rozum lekarza i naukowca wierzył w to nieustępliwie; czy jednak może istnieje w naszym przyrodzonym poznaniu jakaś luka dziś niewidoczna, lecz jutro...

Nagle wyprostował się na krześle, wpił się wzrokiem w żółte półmroki salonu, zaczął nasłuchiwać. Myśli o śmierci pierzchły wobec dziwnych niebezpieczeństw tej nocy.

Profesorowi Pogonowskiemu nic już zagrozić nie było w stanie. Żadna potęga tego świata nie mogła mu grozić ani nie mogła go bronić, dać lub coś odjąć, liczyć na niego lub zawieść się na nim. Był nieosiągalny, na zawsze nieobecny. Pozostało jego ciało. I tylko temu ciału mogły przytrafić się jeszcze jakieś niebezpieczeństwa. Lecz czyż to nie nonsens?

Wzruszył nieznacznie ramionami: bronić głowy zmarłego, jego mózgu? Dobrze! Ale przed czym? Bzdura! I nagle, na przekór zdrowemu rozsądkowi, nawiedziło go uczucie jak najbardziej niedorzeczne: zaczął bać się o profesora.

Uważajcie dobrze: nie o jego ciało ani o głowę czy mózg — ale o profesora Pogonowskiego! Zimno mu się zrobiło. Cisza zaczęła dzwieć w uszach niewidzialnymi dzwonami. Czuł ból łydek, nieomylny u niego znak wyczerpania nerwowego.

Profesor umarł. A czy w tym ułamku czasu między śmiercią a ewentualnym zniknięciem głowy, zrabowanej przez jakiegoś maniaka, może istnieć coś takiego, co by mogło grozić niebezpieczeństwami?

— To wszystko obłąd — mruknął.

Pomyślał, że rozciągnięte już są sieci redaktora Gurana, że gdzieś tu w pobliżu czai się ów Nieznany, szykujący swe paradoksalne, niezrozumiałe i ohydne przestępstwo; że przeszczerzeń między oknem, w którym firanka wciąż spokojnie w niebieskich światłach księżycy oddychała, a zielonym fotelem jest miejscem wyznaczonym przez los, ludzi i coś jeszcze (ale co: namiętności, obłąd?) do akcji, która lada chwila zacznie się; że czas jest również ściśle wyznaczony śmiercią, śmierć nastąpiła, a więc cała maszyna ruszyła już. Oh! — zdumiał się wewnątrz — przecież już ruszyła, wszystko będzie teraz kwestią minut, bo Nieznany...

Zerwał się z krzesła. Czy się zerwał? Wątpliwe! Zerwały się jego nogi, nim zdążył pomyśleć.

Z ogrodu leciało coś poprzez otwarte okno, czego w pierwszej chwili ucho jego nie zdo-

łało sklasyfikować. Krzyk przeciągły, jakby ludzki krzyk, urwany w połowie. Cisza. Potem głuchy, dudniący łoskot. Cisza. Potem ostre wołanie czyjegoś głosu: „Panie redaktorze, panie redaktorze!” Cisza. Potem ostry syk wsyanego powietrza. Tak dusi się człowiek.

Doktorowi wypadły z rąk rogowe okulary. Był to jedyny ruch, na jaki się mógł zdobyć w pierwszej sekundzie, potem jednak pobiegł do drzwi balkonowych, otworzył je i wpadł wprost w objęcia nocy.

Była godzina dwunasta minut pięćdziesiąt. A dwie minuty po śmierci profesora. Nieznany śpieszył się.

\*

Wierzchołki drzew błyszcząły w zimnym świetle księżyca. Dół ogrodu tonął w ciemnych granatach, rozcinanych gdzieś jasnymi smugami i kręgami światła tworzącymi mozaikę przypominającą labirynt. Ostre kontrasty pełni księżycowej, cienia głębokiego i jaskrawej poświaty, oślepiały lepiej niż gorące potoki światła słonecznego.

Doktor zrobił dwa kroki po stopniach tarasu i wzięwszy cień przestrzeni za pewny grunt murawy, runął z reszty schodów. Lecąc w dół zastanawiał się: co się stało? Dotknąwszy ziemi, wiedział już, że leży rozciągnięty na wilgotnym żwirze ścieżki. Zerwał się żwawo i oślepiiony cieniami i mrokiem, pniami drzew i słupami światła przedzierającego się przez liście klonów, własnymi myślami strzelającymi w chaosie jak błyskawice wśród chmur i cudzym tupotem nóg (własnego nie słyszał) — biegł przed siebie dopóty, dopóki jakaś ręka nie pochwyciła go ostro za kołnierz, a głos nie ostrzegł: — Dokąd to, doktorze, czy szuka pan śmierci, czy tylko guza na czole? Cóż to za nowa moda wyścigowa: galopować po nocy z zamkniętymi oczami.

Zatoczył się. Nogi jego poleciały jeszcze kawałek naprzód, lecz reszta ciała pozostała z tyłu, w energicznym uchwycie — w tym skośnym położeniu uświadomił sobie, że słyszy głos Leonidasa Gurana.

To przywróciło mu klarowność myśli i wzrok, a po chwili — przy pomocy redaktora — i normalne, pionowe położenie.

— Co się stało?

— Ano popatrzcie, doktorze, sami zobaczycie.

W odległości dwudziestu kroków tarzało się w wilgotnej trawie dwóch mężczyzn przy flegmatycznej asyście trzeciego, dzierżącego w garści ogromny pistolet przypominający raczej kieszonkową armatę. Walczący migotali dziesiątkami ruchliwych punkcików które powstawały z przedzierającej się przez liście drzew poświaty księżycowej, podobni w ten sposób raczej do walczących cętkowanych ocelotów niż do ludzi. Złudzenie było tym większe, że właściwie nic dobrze nie było widać i rzeczy przedstawiały się oczom ludzkim w postaci plam z mglistymi zarysami. Na szczęście siły były nierówne i oczom doktora i redaktora oszczędzony był widok barbarzyńskiej brutalności, która rodzi się w walce równych mocą.

Poza tym sierżant, bo on to był we własnej osobie, nie tylko jako były mistrz Polski w walkach zapaśniczych w wadze ciężkiej, ale — i to przede wszystkim — jako przedstawiciel ramienia sprawiedliwości, dążył do ujarzżenia przeciwnika w sposób najbardziej nieszkodliwy, a nie do zniszczenia. A to wielka różnica. Więc doktor pozbawiony widoków ekscesów, które by raziły jego intelektualne i kulturalne nawyki, a także i jako człowieka z natury słabego, kontemplował zmagania cętkowanych cieni. Dojrzał wreszcie, przyzwyczajonymi nieco do ciemności oczami, poszczególne fragmenty: białą dłoń spazmatycznie wyprężoną, a kunsztownie wykręcaną przez inną, kosmatą łapę japońskim systemem dziudzitsu, nogi kopiące trawę... na jednej z nich spodnie skręcone były do pół tydki, odsłaniając nagie ciało... i kolano czyjeś przyciskające czyjś brzuch. Zresztą nie trudno było zgadnąć przewagę sierżanta, choćby ze stoickiej postawy plutonowego, zabawiającego się w obserwatora, który tylko z

nawyku służbowego, ale nie dla bezpieczeństwa trzymał w pogotowiu kieszonkową armatę w charakterze dodatkowego argumentu.

Na odgłos walki i krzyków nadbiegali już też i domownicy: szofer Pogonowskiego, dziś — ze względu na wyjątkowe okoliczności, trzeźwy, i stara gospodyni, nie wiedząca, jak się ustosunkować do tak niecodziennej sytuacji jak śmierć chlebodawcy i bójka w ogrodzie; to przekraczało jej możliwości dostosowawcze, ograniczała się przeto do powtarzania wkoło jakiegoś niezrozumiałego wykrzyknika i niezłego, jak na jej wiek i liczne flanelowe halki, kłusa.

Trwało to wszystko dość długo. Okazało się bowiem, że początkowa nierównowaga sił jakoś ulotniła się; widać spowodowana została raczej zaskoczeniem, a zaskoczenie jest potęgą, lub jakimiś innymi czynnikami. Teraz Nieznajomy bronił się zaciekłe, będąc widocznie chłopem nad podziw silnym. W uściskach jego sierżant wił się jak bawół w kleszczach boadusiciela.

Sapali i okładali się coraz zawzięciej. Żadne słowo nie padło.

Mina Gurana wyciągała się w coraz większym zdumieniu. Gdzież są bowiem uczeni albo odkrywcy praw naukowych wyposażeni w bicepsy, zdolne stawiać opór mistrzowi w zapaśnictwie. Na koniec jednak sierżant postawił przed redaktorem złapaną w potrzask ofiarę.

— Nic nie widać, dajcie go tutaj, sierżancie — rozkazał wskazując miejsce na ścieżce. Wszyscy w milczeniu poszli za jego wskazaniem, skupili się półkolem za plecami redaktora, ale dwie tylko osoby miały zaschnięte z emocji gardła: redaktor i doktor, oni tylko bowiem wiedzieli, co ten moment znaczy i że za chwilę odsłonią oblicze Nieznanego, a potem i tajemnicy, która ich bardziej trwożyła niż same przestępstwa tego nieszczęśnika.

Redaktor i doktor zbliżyli się powoli. Nieznany, podtrzymywany z obu stron przez milicjantów — biedak nie mógł stać o własnych siłach — chwiały się i drżały na całym ciele. Widać było, że mimo względności swego pogromcy ucierpiał niezgorzej, był zamroczony i krwawił na twarzy od licznych podrapań. Umazany był też ziemią. Obtarto mu twarz, raz i drugi, ale niteczka krwi ciągle zbiegała z kąta ust.

Doktor, oszołomiony szybkimi wydarzeniami i raczej wyczerpany psychicznie niż podniecony, wpatrywać się począł w nią zrazu obojętnie, po czym coraz natrętniej. Mina jego zmieniała się w sposób złowróżbny. Wtem, wrzasnąwszy niespodziewanie „na litość boską”, poskoczył kuśtykając, bo upadek z tarasu nie minął bez efektu, do Nieznajomego i przysunął swą twarz niemal do nosa schwytanego. Okulary jego — jak wiemy — leżały w tej chwili spokojnie na perskim dywanie w salonie, musiał więc uciec się do tego sposobu, wyrównującego wadę wzroku.

Redaktor, stojący z tyłu za doktorem, i wszyscy obecni — nadal w zupełnym milczeniu — skierowali na niego swe pytające oczy.

— To przecież młody Pogonowski! Syn zmarłego!

Redaktor odetchnął głębiej. Plutonowy schował armatę do kabury. Sierżant podrapał się w głowę. Kucharka przeżegnała się, a szofer nie dał żadnego znaku życia. Rozwiązanie było efektowne, acz najzupełniej nieoczekiwane.

Redaktor odetchnął po raz drugi i rzekł zupełnie spokojnie i cicho: — Przy zmarłym nie ma nikogo, prawda? Mój zacny doktorze, popełniliście gafę wysyłając młodego Pogonowskiego do ogrodu.

— Nic podobnego — wrzasnął piskliwie doktor Józefat Prokasz — ja go wysłałem jedynie do innego pokoju; on widocznie sam, i to zapewne nieświadomie, pod wpływem szoku nerwowego, wyszedł z domu albo może chciał wam pomóc...

— Przepraszam — przerwał szorstko Guran — to już teraz nieważne. Wyszedł wyjściem frontowym, a umówiliśmy się, że będzie ono dla wszystkich prócz mnie zamknięte, że pilnujemy tylko ogrodu. Nic dziwnego, że gdy sierżant zobaczył kogoś zbliżającego się zza węgła willi, capnął go od razu, nie pytając wprzód grzecznie o nazwisko.

Teraz zaś uczynił pan drugą gafę, wychodząc bez mojego pozwolenia. Proszę zaraz wracać i nie ruszać się stamtąd.

Zobaczył zaraz, jak doktor, szofer, gospodyni i obaj milicjanci pędzili co tchu do tarasu, ku otwartym i świecącym drzwiom salonu. Usłyszał dalekie dzwonięcie tramwaju i bliskie jęki budzącego się z omdlenia, a porzuconego przez eskortę młodego Pogonowskiego, usłyszał doktora, który — już na stopniach tarasu — wołał fachowo — przytomnie do szofera, by wrócił po zmaltretowanego młodzieńca, i pomyślał: ...oto figle przypadku, oto szansa ofiary, raz dobra, raz zła dla niej, dziś dobra; oto pomyłki sprawiedliwości.

Pierwszy wpadł doktor, za nim obaj milicjanci, na końcu gospodyni. Podniosły się zaraz krzyki. Szofer posłusznie zawrócił i zobaczył coś niezmiernie ciekawego: redaktor pędził w przeciwną stronę niż wszyscy. Stał przeto, by się zdumieć, ale nie miał czasu, bo zdumienie reszty towarzystwa było większe, a w każdym razie gwałtowniejsze. Dobiegła go wrzawa nieopanowanych wykrzykników, wśród których rozróżnił histeryczny wrzask gospodyni: „Jezus, Maria — głowa zginęła”. Potem powtarzała, jak zepsuta płyta: „Nie ma głowy, nie ma głowy...” aż doktor fuknął na nią gwałtownie, wyrzucając ją bezceremonialnie za drzwi, nakazując przy tym zaopiekowanie się synem zmarłego uczonego i przeniesienie go na pierwsze piętro. W zielonym fotelu siedziała postać bez głowy, z ręką prawą opartą na poręczy, a lewą zwisającą bezwładnie. Był to widok straszny w swej bezmyślnej groteskowości. Doktor uczył, że zachciało mu się okropnie śmiać. Śmiałby się głośno i klepał po udach, a nawet skakał, gdyby mu resztki pozostałych sił pozwalały na to. Zmagał przez chwilę w sobie mdłości i uśmiech, dziwiąc się jednocześnie w duchu tą zaskakującą go reakcją. Dostaje obłędu — pomyślał — zanadto jestem zmęczony — a głośno, lecz głosem chrypiącym, rozkazał: — Panowie, bądźcie łaskawi pomóc mi udać się na górę; nadwerżyłem zanadto swe siły, a gdy się ma lat sześćdziesiąt dwa nie jest ich zbyt wiele.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł sierżant — ale czy nie powiedziała by nam pan przedtem, o co tu wreszcie chodzi w tej całej kabale. Redaktor był tajemniczy, ale teraz — wskazał ruchem głowy fotel — można by się przecież coś dowiedzieć. Co to, do cholery?

Plutonowy, którego błada z natury twarz pobielała pod wpływem wypadków do reszty, rywalizując w jasności odcieni z resztkami słomianych, tłustych włosów wyzierających spod czapki, zdecydował się na zabranie głosu, którego nigdy nie wypuszczał z siebie zbyt szczerze, ryzykując hipotezę „dentystyczną”.

— To sprawka dentysty — mówił — pewnie pan Pogonowski miał dużo złotych zębów.

Jakkolwiek plutonowy znany był ze swego niezmiernego spokoju, nawet w najcięższych momentach, co czyniło go bardzo przydatnym w ryzykownych przypadkach, nie grzeszył bystrością rozumu, i to tak dalece, że nie tylko psuło mu to karierę milicyjną, ale nawet stosunki domowe, gdzie zupełnie nie mógł dać sobie rady z potulną i chorowitą, ale wymowną żoną.

I tym razem nie rzekł nic mądrego.

— Sierżancie — spytał doktor zirytowanym tonem — co on wygaduje? O jakim mówi dentyście?

Sierżant Kowalik stanął na baczność.

— Panie doktorze, nie trzeba słuchać Ogórka.

— Co i pan zwariował? — wrzasnął doktor Prokasz — jakiego mam słuchać czy nie słuchać ogórka? Co to za głupie żarty?

Sierżant wyciągnął się jak struna (gruba struna: wagi 90 kilogramów) i zameldował:

— Ogórek to właśnie on.

— Jaki on?

Sierżant wyciągnął głowę niemo i kilkakrotnie w stronę plutonowego, wskazując, o kim mowa. Teraz i plutonowy stanął na baczność.

— Aha — domyślił się wreszcie doktor. — Więc dlaczego nie należy go słuchać?

— On nie ma doświadczenia w wielkich sprawach — wyjaśnił sierżant Kowalik, wykazując tym określeniem dyplomatyczne zdolności. — A co do tego „dentysty”, to się tak mówi o złodziejach cmentarnych, którzy nieboszczykom wyłamują złote zęby.

— A idźcież do licha z tymi wiadomościami, mam doprawdy powyżej uszu tego wszystkiego. Róbcie tu, co do was należy, pilnujcie, telefonujcie, spisujcie protokół — ja chcę odpocząć.

Ujrzał szofera, który właśnie schodził z góry. Spytał go: — Jak się czuje pan asystent?

— Dobrze. Odprowadziliśmy go na górę. Teraz odpoczywa.

— No to proszę z kolei mnie pomóc. Noga mnie boli po upadku, więc... tego...

Szofer ujął doktora pod ramię, myśląc w duchu, że jednakowoż lepiej „ich” wozić niż prowadzić po schodach. Nie należy dziwić się: i on był podrażniony wypadkami.

Pokój na górze, to znaczy na poddaszu, był od wielu lat pokojem Stefana Pogonowskiego. Okno wychodziło na ogród, stary kasztan zaglądał doń co wiosnę nowymi liśćmi, a jaskółki uwiły tu sobie gniazdko.

Ściany pokoju zapchane były książkami. Stały one również stertami na biurku, na komodzie, a nawet wprost na podłodze. Pokoik był rzeczywiście niewielki, za mały na tę rosnącą wciąż wiedzę zakonserwowaną w papierze za pomocą drukarskiej farby. Na łóżku leżał Stefan, a gospościa wyżywała obok w talerzu pełnym zimnej wody chusteczki, przygotowując kompresy. Zjawienie się starego doktora powitali oboje z zadowoleniem.

— Ach, to dobrze, że pan przyszedł — ucieszył się Stefan i powitał go z łóżka gestem ręki, wskazując jednocześnie fotel, stojący pomiędzy łóżkiem a oknem. Doktor skorzystał skwapliwie z zaproszenia, wyciągając nogi i opierając głowę o pluszowe plecy fotela. Wyciągnął chustkę i zaczął czyścić okulary. Milczeli. Gospościa tymczasem zrobiła kompresy i poszkodowany asystent mógł przyłożyć zimny okład na obolałą szczękę.

— Też historie — zaczęła gospościa, wzruszając ramionami.

— Niech Weronika da spokój — prosił Pogonowski.

— A właśnie, że nie dam. Co to pan sobie myśli, tu diabeł się wmieszał!

Doktor wyciągnął ręce w górę: — Ta znów znalazła diabła! — Westchnął.

— A tak, diabła. Pan jest heretyk, ja wiem, że pan w diabły nie wierzy, ale pan uwierzy. A dziś to co? Czyby człowiek nie bał się ucinać głowy drugiemu? Ja bym umarła ze strachu. To diabeł albo duch potępiony.

Wymawiając „duch potępiony” spojrzała wymownie na doktora.

— Niech Weronika da spokój.

— A właśnie, że nie dam. Przez ostatnie dwa dni ust prawie nie otworzyłam. Przecież człowiek musi mówić, tak go Pan Bóg stworzył. Powiem to, co myślę, czy panowie chcecie, czy nie. To diabelska robota.

Święta Grybalda Egipcjanka też straciła głowę za sprawą czarta. Gdy ta pobożna niewiasta doszła do świętości, diabeł, nie mogąc ścierpieć tego, porwał jej głowę i schował głębokoko w piekle. Ale za wstawiennictwem jednego z aniołów musiał ją oddać, bo nie wolno mu było porwać głowy świętej. I rano wszyscy patrzą — a święta Grybalda znów ma głowę. Dlatego mówię, że to sprawa diabła.

— Weroniko, proszę przestać, lepiej proszę dać nam herbaty lub kawy, przyda się. Doktor pija kawę, prawda? No więc dla doktora kawy, a dla mnie mocnej herbaty. Dobrze?

Weronika obrażona wyszła. Zostali sami.

— To moja wina — wyszeptał asystent nie poruszając się. — Po co ja wychodziłem!

## DOKTOR JÓZEFAT PROKASZ KONTRA DOKTOR FAUSTYN TRAGA

Ranek dnia następnego. Sobota. Wczesne słońce świeci nad ziemią. Helena Landowska, kuzynka doktora Prokasz, otworzyła okno i wyjrzawszy ze swego piątego piętra na piękny świat, przeciągnęła się niedbale, wypędzając resztki snu z młodego i zdrowego ciała. Była godzina szósta, pora jej wstawania. Zapatrzyła się chwilę w kolory jesieni. Naprzeciwko miała mały skwerek: kilka drzew i klomby. Wszędzie zwyciężały żółcie i czerwienie, brązy i znów żółcie; zieloność ustępowała z placu boju, jakim niewątpliwie jest nawet życie liści. Przyszło jej to do głowy nie przypadkiem, była przecież agronomką, naukową pracownicą „Miejskich Zakładów Ogrodniczych”. Dla bliskich osób została przeto raz na zawsze „Skrobimarchewką”.

„Skrobimarchewka” podrapała się w swą kasztanową główkę, ziewnęła rozpaczliwie i otworzyła głośnik. Pora gimnastyki. Stała więc w postawie zasadniczej, nasłuchując instrukcji i wesołych tonów marsza. Ach, jak przyjemnie jest żyć! Raz, dwa — przysiad, wymach ramion w przód; raz, dwa — podskok, ramiona w górę.

Jej dwudziestokilkoletnia (na ucho zdradzimy: dokładnie dwudziestosiedmioletnia) postać szczupłej, strzelistej dziewczyny, obdarzonej przyrodzoną harmonijnością i wdziękiem ruchów, fruwała po maleńkim pokoiku. „O rety” — jęczała energicznie — skłon do przodu, palce rąk dotykają ziemi. Raz, dwa, raz, dwa, no i upłynęło dziesięć minut, koniec. Helenka troskliwie obejrzała nadwreżoną różową pidżamę, zakłęła po cichu i w miarę elegancko, zakręciła się na pięcie — bosej — i ze śpiewem pomaszerowała do łazienki, skąd dobiegły wkrótce ogromne bulgoty wody i bojowe okrzyki.

Za kwadrans siódma gotowało się już mleko na kawę, gotowało i rzecz prosta — wykipiało.

Pokój, przedpokój, mała łazienka i jeszcze mniejsza kuchenka stanowiły jej królestwo, z którego była — używając jej własnego wyrażenia — „cholernie” dumna. No, trudno, wybaczylibyście jej słownictwo, gdybyście ją znali. Zapewniam was w każdym razie co do dwóch rzeczy: primo — klęła z niezaprzeczoną wdziękiem, secundo — była to właściwie poza, nabyta ciężkimi latami życia, walką o byt i biedą; chciała koniecznie być podobna do „twardych” mężczyzn. Instynkt uczył ją prawa mimikry. Oni klęli i ona więc klęła, upodobniała się zewnętrznie. Wystarczyło atoli zapukać do jej serduszka, by ujrzeć łagodność i wdzięk nie niniejszy niż wdzięk jej ruchów.

Podobnie gdybyście zapukali do drzwi jej mieszkanka, ujrzelibyście ład i lśniąca czystość. Przeszypując próg czuło się, iż Chińczycy mają rację, zdejmując buty w przedpokoju.

Wszystko w tym mieszkaniu było niewymyślne i niebogate, ale ładne. Smak — to nie to samo, co pełna kieszeń. Ubierała się piękniej niż bogate damy, choć nosiła kretony, a nie jedwabie.

Ledwo uratowała resztki mleka, zaterkotał telefon. Jej prosty, ostry, zawsze uśmiechnięty profil wyraził zdumienie. Pokręciła noskiem. Kto to może być? Czyżby wujek Józefat? Tak rano? Nie, to na pewno... kto inny... to... Na to ostatnie przypuszczenie poskoczyła żywo do telefonu.

— Proszę, tu Helena Landowska... Ach, to ty, dzień dobry... domyśliłam się... że to ty... cieszę się, że dzwoniisz... Dziękuję — dobrze, właśnie przed chwilą gimnastykowałam się, życie jest piękne i mam aż ochotę skakać z radości i ze szczęścia... Co?...

W jednej sekundzie piękna jej twarzyczka zgasła, jakby kto świecę zdmuchnął; słuchała w skupieniu, lecz nie w zaskoczeniu, widać było, że wiadomość, acz przykra, a nawet ciężka, nie była niespodzianką.

Usta ułożyły się jej w podkówkę. Mówiła: „Ach, mój biedaku”. Widać nie był to jednak koniec złych wiadomości, bo nagle zaszła nowa zmiana w twarzy, tym razem jednakowoż jakby uczyniona uderzeniem (pioruna. Chwyciła kurczowa za telefon: „To niemożliwe, to niemożliwe... okropne... Jak to się stało?... Wczoraj?. Słuchaj, jadę natychmiast do ciebie, zwolnię się tylko z pracy i... Tak, masz rację, lepiej ty przyjdź do mnie... Przyjeżdżaj natychmiast... Do zobaczenia”.

Położyła słuchawkę. Pomyślała chwilę, zatelefonowała do pracowni doświadczalnej, że przyjdzie dziś później, że ma nagłe rodzinne sprawy. Usiadła przy oknie i wodząc odruchowo palcami po guzikach bluzki, wpadła w zadumę. Przy wieściach radosnych ludzie nabierają ruchliwości, przy smutnych — nieruchomieją; przy pierwszych — chcą unosić się w górę, więc skaczą, a co najmniej prostują się; przy drugich — czują ciężar ziemi, siadają lub garbią się, czasem po prostu padają na ziemię. To samo z gestami rąk i rysami twarzy: góra — dół, unoszą się lub opadają. Taka jest przezroczysta i dla każdego zrozumiała, choć nie zawsze uświadomiona fizyczna symbolika stanów psychicznych.

Wreszcie, westchnąwszy, wstała. Trzeba zrobić herbatę — pomyślała — on nie lubi kawy. Wyciągnęła z blaszanej puszki paczkę najlepszej herbaty, potem podeszła do lustra i wycierała łzy.

„Źle wyglądam” — zauważyła. Zdziwiła się jednocześnie, że podobne myśli przychodzą jej do głowy w takim momencie. Nie wiedziała, że nawet najgłupsze myśli mogą przychodzić do najmądrzejszej głowy w najbardziej niewskazanych okolicznościach,

Stefan Pogonowski dobrze zrobił przychodząc do swej narzeczonej. Po nie przespanej nocy i wczorajszych przeżyciach wymagał natychmiastowej i troskliwej opieki, a przede wszystkim serca i zmiany otoczenia. To wszystko miał tutaj.

Przechadzał się teraz chmurny z kąta w kąt, a ona krzątała się koło śniadania, parzyła herbatę, zbyt mocną nawet jak na jego wymagania — ale to z miłości i spoglądała co chwila spod oka, a serce jej się ścisnęło jego wyglądem. Pomyślała, że ludzie opanowani bardziej zmieniają się pod ciosami niż ci, co głośno i hałaśliwie manifestują swe bóle i nieszczęścia.

— Siadaj tu — rozkazała, lokując go na najwygodniejszym miejscu. — Jedz, pij, a później pomówimy, co robić. Masz tu ser i dżem, grzanki zaraz będą gotowe.

Przyjmował to wszystko z wdzięcznością. Czuł, że jest komuś potrzebny, że nie został zupełnie sam.

Po śniadaniu i po jego wyjaśnieniach Helena odezwała się:

— Wiesz, Stefku, musimy odłożyć na kilka miesięcy nasz ślub. Po pierwsze z powodu śmierci twego ojca, a po drugie — ponieważ przeczuwam, że sprawa z tym niegodziwcem przeciągnie się i wtrąci nas w wir wypadków takich, że nie czas będzie na nasze prywatne sprawy. Zastanowiłam się już nad tym, gdyś opowiadał wczorajsze wydarzenia i postanowiłam. Tak będzie najlepiej.

Pomyślał nad jej propozycją i odparł w swój powolny sposób: — Moja kochana, o tym podyskutujemy za kilka dni, może będziemy mieli już jakieś dane w rękę.

Było po ósmej. Postanowili iść najpierw do redakcji „Postępów Wiedzy”, by zobaczyć się z Guranem.

Na ulicy nie było już tej ogromnej rzeki ludzi, płynącej wszystkimi łóżyskami ulic do niezliczonych miejsc pracy, ale i tak w tramwajach i autobusach było tłoczno. Dopiero koło godziny dziewiątej ruch gwałtownie malał. Więc widzieli jeszcze, jak ludzie przy wejściach do tramwajów pchali się, popychali i mieli ciągle o coś do siebie pretensje.

Ponieważ oni nie śpieszyli się, postanowili iść pieszo. Ujęła go mocno pod ramię i szli tak, nic do siebie nie mówiąc. Przystawali, zamyślali się i znów szli powoli; wzdychali, spoglądali niewidzącymi oczami na rzeczy zewnętrzne, byli machinalnie posłuszni sygnałom milicjanta, regulującego ruch na skrzyżowaniach ulic, i znów posuwali się samotni wśród tego kipiącego tłumu. Jakkolwiek słowa jednego ze sobą nie zamienili, poszli — jakby się



umówili — drogą okrężną i dłuższą, ale ładniejszą, przez park. Wczesne słońce jesienne grzało im twarze.

W redakcji, gdy zjawili się, było już małe inferno, czyli piekło. W arkuszu przyniesionym z drukarni wykryto aż trzy błędy i korektorka dostała spazmów; maszynista dzwonił, że klisza na kolumnie 632 pękła i że to właśnie jest już ta zapasowa, i że poprzednia klisza też pękła, więc co robić?... Jakiś redaktor zachorował i dzwonił, że nie przyjdzie, a goniec zleciał właśnie ze schodów, potłukł się i nie było komu biec natychmiast i ratować, co się da, wysiłkiem choćby tylko nóg.

Usiedli więc w hallu, aby przeczekać burzę. Tymczasem sekretarka przejrzała się w lusterku i wyszła na miasto „coś załatwić”. Zawsze, jak ogień prac (i niepowodzeń) redakcyjnych rozżarzał się do białości, jej coś wypadało do załatwienia na mieście. Robiła to zresztą z wielką godnością i powagą.

Zatem reszta personelu czekała na Gurana. Helena i Stefan również. Wskazówki posuwały się naprzód. Zamieszanie rosło.

A Gurana nie było.

— To dziwne — mruzczał redaktor techniczny, melancholijny typ, któremu natura wydłubała część włosów z głowy (ale w postaci kilku oddzielnych łysych placków) — to dziwne: on nigdy się nie spóźnia.

Wreszcie potłuczony goniec postanowił zatelefonować do mieszkania redaktora. Nieobecny! Jak się okazało, nie było go w domu od wczoraj. Na noc nie przyszedł. Guran znikł!

— Widzisz, zaczyna się — strwożyła się Helena. — Miałam rację...

Stefan podniósł się i rzekł, jakby go to wszystko nic nie obchodziło: — Tak, zdaje się... Pojedźmy wobec tego do twego wujka, ma przecież coś wspólnego ze sprawą; w każdym razie zawiadomimy go o tym, a on dalej będzie robił co trzeba. Do widzenia państwu.

Wychodząc natknęli się na ulicy na sekretarkę, która szła załatwiać sprawy na mieście. Szła bardzo powoli. Widać było, że ta praca zajmie jej dużo czasu.

\*

Z narożnego domu, w pewnej kamienicy na Mariensztacie, wyglądała przez okno na drugim piętrze stara, zmięta i smutna twarz w okularach. Wielki zegar obok na placu koło kawiarni wydzwaniał głębokim basem. Dzieci baraszkowały koło fontanny, przy czym mniejsi uczestnicy co chwila przewracali się i zastanawiali przez kilka sekund — w pozycji leżącej — płakać czy dalej się bawić; raz wybierali jedno, innym razem — drugie.

Kobiety szły po zakupy. Gdzieśgdzie dudniły drzwi odmykanych sklepów, bo pora była jeszcze wczesna.

Podmuchy wiatru sypały kaskadę kropeł z fontanny na niebacznych przechodniów, wznecając w dzieciach objawy złośliwej uciechy.

Twarz patrzyła i martwiła się. Jakimś niezwykłym sposobem pasowała do tej historycznej dzielnicy Warszawy. Była w niej — to znaczy w twarzy — starość, że tak powiem, starsza niż sześćdziesiąt dwa lata. Był to bowiem pan Józefat Prokasz, stanowiący w tej chwili mimowolnie jeszcze jeden szczegół ornamentacyjny placu.

Nie trzeba było nawet wchodzić do jego pokoju, by wiedzieć, że patrzy oto na nas okaz samotnika, starego kawalera, odludka, dziwaka, cudaka, ekscentryka, oryginała, fantasty i — wreszcie — nieszczęśnika. To patrzenie przez okno stanowiło jeden z nielicznych jego sposobów kontaktowania się z bliźnimi.

Czasem pragnął jakiejś bratniej duszy, nie wytrzymał samotności, wtedy właśnie wystawiał ostrożnie swoją twarz biało-żółtą i cętkowaną wątrobianymi piegami, ozdobioną rozwichrzonymi, cienkimi i rzadkimi włosami o niezdecydowanym, ale raczej ciemnym kolorze, wystawiał w oknie i... kontaktował się. To było jego życie towarzyskie. Bo oczywiście miał też i życie zawodowe, tam stykał się z ludzkością w sposób bardziej konkretny, lecz też i w

sposób o wiele boleśnniejszy.

Doktor Józefat Prokasz nie zrobił kariery. Ani zewnętrznej, ani wewnętrznej, ani licząc ją na pieniądze czy stanowiska, ani przemieniając na język twórczości czy jakiś tam inny.

Tkwiał w swym kawalerskim pokoiku jak robak w dziurze.

Drzwi do jego pokoiku otwierały się tylko, gdy sam przekręcał klucz w zamku lub gdy robiła to posługaczka, dbająca nie tyle o utrzymanie czystości jego skromnej przestrzeni życiowej, ile raczej o samo jego życie. Gdyby bowiem przestała mu przynosić rano dwie bułki, pięć deka masła i butelkę mleka, a wieczorem coś podobnie prostego (czyniła to systematycznie i nie zmieniając menu od lat trzydziestu), to stary lekarz chyba skonałby z głodu i braku dozoru.

W ogóle intrygujące jest, a właściwie absolutnie nie do wyjaśnienia, jak taki safandula i niedołęga w ogóle przeżył sześćdziesiąt dwa lata. Trudno przypuścić, aby wyłącznie przez nieporozumienie. Zatem musiał mieć jakąś broń tajemniczą, która pozwalała mu trwać i — o dziwo! — trwać i trwać bez katastrofy. Bronią tą była absolutna dobroć i miękkość jego charakteru, czyli dokładnie to samo, co było przyczyną jego klęski. Ludzie cyniczni, okrutni, żądni życia i władzy nie raczyli go kopać: nie warto, nie stanowił przeciwnika; ludzie średniej miary kontentowali się posługiwaniem i wyręczaniem się nim, korzystali z jego pracy, uczynności i pokorności, pomiatając nim, lecz nie topiąc; ci zaś o najlepszych sercach pragnęli mu pomóc.

Ba! Ale jak to zrobić. Józefat nie dopuszczał nikogo do siebie. Strzegł zazdrośnie swojej *splendid isolation* nie dla tego, żeby chciał strzec, miał jej dosyć, niszczyła go, lecz dlatego, że nie potrafił inaczej, miał taki osobliwy instynkt.

Pokój był jak on sam. Należałoby właściwie płakać. Wszystko ustawione nie tak jak należy, zupełnie jak w jego życiu: stolik, do pracy i jedzenia jednocześnie, stał w kącie najciemniejszym, kanapa zaś w kącie najzimniejszym, a łóżko żelazne w miejscu najmniej wygodniejszym do spania, bo żeby się doń wgramolić trzeba było przechodzić przez tylną poręcz łóżka, oba bowiem boki były zastawione gratami o przeznaczeniu trudnym do pojęcia. Znalazł się atoli wyjątek, i to rażący. Istniała tu rzecz na honorowym miejscu, a stanowiła ją mianowicie biblioteka, licząca kilkaset tomów.

Książki zawojowały i właściciela mieszkania i samo mieszkanie, miały więcej żywotności i więcej przywilejów niż tamta para.

Książka, przyjaciółka samotnych, ucieczka spragnionych, pocieszycielka nieszczęśliwych, protektorka istot nie umiejących walczyć — triumfowała w tym mieszkaniu. Tylko że właściciel biblioteki był więcej niż spragniony, więcej niż samotny, więcej niż nieszczęśliwy i nie potrafiący walczyć... Był człowiekiem skończonym, złamanym. Nie dlatego, że starość zwała się na niego. O wiele gorzej: nie zdziałał nic w życiu. A mógł! Czy rozumiecie? Mógł dokonać niejednego dzieła, cieszyć się powodzeniem, a jeśli nie powodzeniem, to czymś równie silnym — świadomością dokonania dzieł pasujących go we własnym sumieniu na człowieka, który nie przeżył życia niepotrzebnie.

Otóż to, tu mamy to straszne, okrutne słowo, słowo-stryczek: niepotrzebne życie.

Życie zmarnowane.

Prokasz był bardzo zdolny. Co więcej — uczył się, został lekarzem i co więcej — miał silne pragnienia życiowe, idealne porywy. Cóż z tego, posiadał też i inny bagaż na grzbiecie: bojaźliwość — rumienił się ciągle i aż do późnego wieku — niemęskość, a nawet bezwolność charakteru.

Był właściwie kobietą w spodniach i to — o zgrozo — kobietą wyjątkowo kobiecą. Jak takiemu miało się powieść?

Został kiedyś urzędnikiem w magistracie i tak zginął.

Można co prawda powiedzieć, że na swój sposób zrobił karierę, bo został po wielu, wielu latach pracownikiem Zakładu Medycyny Sądowej i lekarzem milicyjnym. Zapewne i to

dużo, jak na ponure prognozyki, ale on wiedział, ile mógł zrobić i na co go było stać, dlatego gdy inni patrzyli nań jako na człowieka o przyzwoitym stanowisku społecznym, on wydał wyrok na siebie: zmarnowałem życie.

Zatem pan doktor Józefat Prokasz wyglądał oknem.

Wtem stało się coś zupełnie nieprawdopodobnego. Ktoś zapukał. Było to tak absurdałne, że nawet nie podniósł głowy i nie zmienił wyrazu oblicza; nie wierzył, by ktoś mógł pukać do jego drzwi, przeto nie wierzył własnym uszom. Lecz za chwilę nic było wątpliwości, ten ktoś grzotnął wystarczająco energicznie, by postawić na nogi bardziej niewiernego Tomasza, niż nim był zaskoczony doktor, więc zerwał się w pomieszczeniu i — nie usiłując nawet domyślać się, kto zacz by to mógł być — otworzył.

Słusznie uczynił, że nie usiłował, wahałby się bowiem między Helenką (ale ona o tej godzinie pracuje?) a inkasentem za elektryczność (ten zaś zawsze zostawia rachunek w skrzynce na listy), lecz nigdy, nawet przez pomyłkę, przejęzyczenie się myślowe czy nawet w gorączce nie wymieniłby imienia i nazwiska gościa.

Doktor Faustyn Traga stał w drzwiach we własnej osobie. Słusznego wzrostu i męskiej urody, stał wpatrując się bacznie czarnymi oczami w gospodarza pustelni.

— Ach... tak... to pan... no, przepraszam, nie spodziewałem się — mamrotał Prokasz i oczywiście nie usuwał się w bok, nie mając najmniejszego zamiaru wpuszczania gościa, nawet tak znacznego. Tylko opuścił oazy, bo w ogóle wstydził się, gdy na niego patrzą, a jeszcze w dodatku tak badawczo, jak to miał zwyczaj czynić rektor Akademii Medycznej. — Ach... to pan?... — powtórzył niepewnie.

Tak więc miała rozegrać się walka o próg: doktor Prokasz contra doktor Traga; miała, ale się nie rozegrała, albowiem ten ostatni przeszedł przez doktora Prokasz... Po prostu przeszedł przez niego, co prawda nie jak przez dym, bo doktor Prokasz w ostatniej sekundzie zrejterował w bok i stał zdumiony, zastanawiając się, co teraz czynić należy.

Doktor Traga rozejrzał się po pokoju, pokiwał głową, zrobił ciekawie kilka kroków tędy i owędy, po czym usiadł na krześle pod oknem, na którym dopiero co spoczywała własna osoba gospodarza. Spojrzał teraz znów na doktora Prokasz, ciągle nic nie mówiąc, i tak trzymał go pod mikroskopem swych bystrych oczu.

Doktor Traga był mężczyzną o uderzających rysach charakteru, władczy, nawet fascynujący. Był spokojny, opanowany, pewny siebie, nigdy właściwie nie unosił się i nie denerwował. Znał swoją siłę i korzystał z niej.

Trudno doprawdy byłoby zetknąć ludzi bardziej z sobą kontrastujących. Tego rodzaju sytuacje mogą być pouczające.

Zatem stoczywszy tę małą potyczkę na milczenie i utrzymawszy doktora Prokasz w postawie stojącej, niespodziewany gość wskazał ostatecznie ręką na stołek stojący obok, zachęcając czy też raczej rozkazując mu usiąść. Doktor Prokasz uczynił to szybko i sprawnie. Był ciągle w stanie zaskoczenia.

— No, dzień dobry panu. Widzę, że moja wizyta zaskoczyła pana.

— Dziękuję... Mnie każda wizyta zaskakuje.

— Jak to każda?

— Tak, każda. Nie prowadzę życia towarzyskiego.

— W ogóle?

— W ogóle, panie rektorze.

— Proszę mnie nie tytułowaćrektorem, jakkolwiek przyszedłem tu w sprawie trochę urzędowej. Mówię: „trochę”, bo jest na w pół prywatna, a na w pół dotyczy spraw ogólnych.

— Dobrze, panie rektorze.

Mocno ciosane rysy, ale cienkim dłutem, pozostały nieruchome, natomiast oczy spoczęły ze szczególnym zainteresowaniem na twarzy doktora Prokasz. Gdyby przedmioty martwe potrafiły patrzeć, to tak właśnie stał patrzyłaby na trzcinę.

— Hm — rzekł — znamy się, a właściwie nie znamy się. Ciągłe od wielu lat moje sprawy zawodowe i pana stykają nas, to sekcja, to posiedzenie, to Akademia Medyczna, a nawet — o ile pamiętam — Sąd.

— Tak — potwierdził Prokasz. — Jestem także lekarzem milicyjnym...

— No właśnie, a mimo to nie znamy się; nigdy chyba nawet dłużej ze sobą nie porozmawialiśmy, co?

— Dłużej? — zastanowił się pytany. — Nie, na pewno nie. Dłużej, to niemożliwe.

— Tak, a jednak przyszedłem, bo przyjść musiałem. Zresztą cieszę się, że mogę pana poznać bardziej osobiście. — Stukał machinalnie palcami w poręcz krzesła, ukazując wypukłe paznokcie. Namysłał się. — Widzę, że żyje pan w odosobnieniu.

Na to ni stwierdzenie, ni pytanie doktor Prokasz tylko wzruszył ramionami, co miało oznaczać: „Cóż robić?”

— Ale wiem, że zna pan redaktora Gurana.

Doktor Prokasz nadstawił uszu. Oszołomienie mijało, uwaga wracała. Przyznał:

— Owszem, znam; mniej więcej tak jak pana, może trochę więcej. Ale — dodał zaraz pośpiesznie — nie dużo więcej.

— Redaktor Guran — interesował się dalej przybysz — jest, zdaje się, także lekarzem?

— Niech się pan spyta, czym on nie jest, to łatwiej odpowiem; lekarzem również, specjalizował się w neurologii.

— Ach! — krzyknął ze zdumieniem doktor Traga. — Mówi pan, że w neurologii? No, no... — dziwił się nadal.

Z kolei zdumiał się Prokasz:

— Czy to takie nadzwyczajne?

— Nie oczywiście, że nie — i nie tłumacząc dalej rzucił nowe pytanie: — Ale nie praktykuje jako lekarz?

— Nie. Jako redaktor.

— A jako detektyw?

— Owszem, czasem jest i detektywem; najczęściej spotykamy się gdy on występuje w tej roli, bo ja jestem lekarzem milicyjnym, więc...

— Rozumiem! A może widywał się pan ostatnio z doktorem Byroniem? Pan wie zapewne, że nie bardzo się z sobą zgadzamy, on jest ogromnie ambitny, a i ja niemniej, nie chcemy sobie jakoś ustępować, no, ale to są głupstwa, gorzej, że ostatnio źle wygląda i nawet doszły mnie wieści, że zaniedbuje swoją klinikę. Jest albo chory, albo przepracowany. Trudno mi się zorientować, bo nie rozmawiamy ze sobą na tematy prywatne, i prowadzi odosobniony, nietowarzyski tryb życia, więc trudno dowiedzieć się od innych. Myślę jednak, że należałoby mu pomóc, jeśli rzeczywiście ma jakieś kłopoty życiowe. Najgorzej z dziwakami, prawda? A na mnie ciężą obowiązki: muszę dbać i o Akademię, i o jej profesorów. Myślę, że pan ma do niego dostęp, jako że tak powiem — tu zawahał się sekundę i spojrzał ukosem — dusza pokrewna. Jest pan trochę na bakier z życiem, co?

— Owszem, jestem trochę na bakier — przyznał Prokasz. — Moglibyśmy nawet odrzucić słowo „trochę”, a będziemy bliżej prawdy. Taki już jestem. Zresztą nie dociekajmy, czyja to wina: moja czy życia. Co zaś do doktora Byronia, to rzeczywiście zgadł pan rektor; widzimy się czasem. Nawet go lubię... z daleka, bo stosunków ze sobą nie utrzymujemy. Najczęściej spotykamy się w korytarzu w Zakładzie Medycyny Sądowej, bo on akurat w poniedziałki, środy i piątki kończy o godzinie 10 rano ćwiczenia praktyczne, a ja o tej właśnie godzinie przychodzę do Zakładu.

Owszem, witamy się i czasem rozmawiamy o tym i owym stojąc, tak stojąc, bo on przecież w jedną stronę, a ja w drugą... Ma pan rację, źle ostatnio wygląda, pytałem go o przyczynę, ale on tylko macha ręką i ucieka. Na pewno za dużo pracuje. Trudno, sława ma swoje minusy.

Tak, spytam go przy okazji jeszcze raz, jeśli mu trzeba pomóc, to naturalnie... ja bardzo chętnie — zaofiarował się.

Doktor Traga zamyślił się. Był to człowiek o żywym intelekcie i energii, wyposażony w wolę wszystko przełamującą. Pracowitość jego wzbudzała podziw. Trudno byłoby zliczyć jego rozprawy naukowe. W wąskim kole fachowców był szanowany, w sferach nieco szerszych był znany, ale ostatnio stał się po prostu sławny dzięki państwowej nagrodzie naukowej pierwszego stopnia, którą otrzymał za pracę nad teorią jądra komórkowego.

Prokasz nagle przypomniał sobie to i wyskoczył:

— Gratuluję panu nagrody: zaszczyt i dwadzieścia pięć tysięcy złotych! Kupa pieniędzy!

— Niech pan nie przeszkadza — odparł po prostu doktor Traga i znów zastanowił się nad czymś.

Wreszcie rzekł: — Widzi pan, jestem rektorem Akademii Medycznej, lekarzem z zawodu. Ostatnio dzieją się w Warszawie pewne tajemnicze historie, wie pan przecież, no te z głowami... Pan zna tę sprawę. Wczorajszy wypadek z Pogonowskim poruszył cały uniwersytet i naszą akademię. Ciężkie podejrzeń pada na wiele ludzi, na nas wszystkich. Ja jako rektor i lekarz znam środowisko, z którego mógł ewentualnie wyjść eksperymentator...

Przerwał, aby znów zastanowić się. Spytał:

— Czy pan sądzi, że to eksperymenty naukowe czy co innego?

Doktor Prokasz odparł spokojnie:

— Nie wiem, proszę pana, to tajemnica służbowa.

— Przepraszam — spieszył się szczerze i w sposób widoczny doktor Traga — przepraszam, nie należy się o takie rzeczy pytać, ale ja nie mam obycia ze sprawami milicyjnymi. Krótko mówiąc: niedobrze, że tyle osób porządnych i wartościowych stoi w sytuacji nieprzyjemnej. Zastanawiam się, czy nie udać się do prokuratora z ofertą ewentualnej pomocy. Być może, że to jest głupie. Czy nie poruszyć tego na posiedzeniu Senatu Akademii. Lecz i to nie wygląda mądrze. Siedzieć zaś beczynnym jest — moim zdaniem — najgłupiej. Myślałem, że może rozmowa z panem da mi jakąś decyzję lub rozmowa z redaktorem Guranem. Chcę właśnie, prosto od pana, iść do niego... Panowie jesteście czynni w tej sprawie, wiem to od rektora uniwersytetu. No, coś, trzeba robić. Z drugiej strony trudno narzucać się prokuratorowi z pomocą. Jestem zainteresowany w tej historii, że tak powiem, osobiście, jako naukowiec i gdyby się okazało, że są to istotnie eksperymenty, to rad bym się dowiedzieć o nich coś bliższego. Zaciekawiają mnie — jak pan wie — zagadnienia z zakresu biologii życia, a jeśli ów człowiek potrzebuje głów, to nie wykluczone, że prowadzi pokrewne badania. Właściwie nie wierzę, że to tak jest, lecz na wszelki przypadek proszę pana o wstawiennictwo i umożliwienie mi poznania w odpowiednim czasie wyników.

Doktor Traga uśmiechnął się i dodał: — Dano mi na imię Faustyn, a więc coś od Fausta. Jeśli więc ktoś ma robić wynalazki w biologii istnienia, to przecież chyba ja?

Powinien, według wszelkich reguł, wybuchnąć teraz śmiechem. Lecz to byłoby za wiele. Doktor Faustyn Traga nigdy się nie śmiał na głos.

Prokasz myślał: Oho, zazdrość zawodowa, ten by wszystko chciał wiedzieć, co za fenomenalna żywotność; a jaki on zdrowy i silny...

Traga mówił:

— Mam własną teorię co do tego, co się z tymi głowami dzieje. Widzi pan, w nauce pewne zagadnienia dojrzewają do realizacji i wtedy jakby „wiszą w powietrzu”. Odkrycia rachunku różniczkowego, logarytmów dokonało jednocześnie kilku uczonych; odkrycia planety Neptuna dokonało jednocześnie kilku astronomów, w roku 1777 aż pięć osób odkryło jednocześnie oddychanie roślin; gdy Darwin obmyślał swą epokową teorię ewolucji, to samo jednocześnie czynił Russel Wallace; kilku uczonych dokonało jednocześnie... Ale mniejsza z wyliczaniem, to jest fakt znany naukowcom i historykom wiedzy. Nie znaczy to, rzecz prosta,

ze każdy dureń mógł wziąć na siebie rolę Darwina, ale znaczy, że epoka tworzy zagadnienia; a te tworzą wielkich ludzi, jeśli ci potrafią chwycić szansę; ofiarowuje im tę szansę, której w innych okolicznościach mogliby nie mieć i prowadzić życie mdłe i bezużyteczne. W ten właśnie sposób adwokacina z Arras stał się sławnym Robespierre'em.

Otóż widzi pan — tu doktor Traga znów się zastanowił, dobierał słów — widzi pan, ktoś tam poluje na tę samą zwierzynę, co i ja, chce mnie ubiec. Te zagadnienia w biologii właśnie „wiszą w powietrzu” i wielu z nas usiłuje chwycić je i rozwiązać.

Powiem wprost: ma przewagę nade mną, bo zdecydował się na przestępstwo. Jeśli... jeśli to jest uczony dużego kalibru...

Prokasz obruszył się: — Panie rektorze, to jest przestępca, a jeśli stał się nim, mało ważne będzie, czy to „uczony dużego kalibru”.

Doktor Traga poprosił, by mu nie przerywano i spokojnie kończył swój wywód.

— ...może jest uczonym dużego kalibru, wtedy eksperymenty należałoby udostępnić, dla dobra wiedzy, Akademii Medycznej. Tak. Więc dziękuję panu. Pójdę do redakcji „Postępów Wiedzy”, tam znajdę Gurana. To świetne pismo. Trzeba będzie kiedyś napisać jakiś artykuł.

Wstał i tak jak wszedł stanowczo, tak stanowczo i bezapelacyjnie wyszedł, zostawiając Prokasz pełnego myśli.

Po chwili Prokasz znów wyglądał oknem. Tym razem mógł zaobserwować doktora Tragę, jak wsiadał do wspianego samochodu służbowego.

— Gdybym ja był takim mężczyzną jak on? — zapytał się siebie w duchu. Ale nie sądzono mu było dać sobie odpowiedzi. Znów wydarzyło się coś niepojętego: zastukano do drzwi.

Tym razem nie zastanawiał się — oto pierwsze skutki przyzwyczajenia — podszedł od razu do drzwi i otworzył. Stali w nich: Helenka i Stefan.

Doktor Prokasz podniósł wysoko oba ramiona, tak wysoko, że już więcej nie było można, głowa gdzieś znikła.

— Dziwne — wyszeptał.

## VI

### ZAMIESZANIE WŚRÓD ZNAJOMYCH

— Wyrodny wujku — rzekła surowo Helenka — to tak się przyjmuje ubogich krewnych?

Stary zółw wyciągnął głowę z powrotem, nie tylko zresztą spomiędzy ramion, ale i ze skorupy psychicznej; rozpogodził się i odparł:

— Nie, to tylko w pierwszej chwili. Miałem ciężki dzień. Witam was. Właściwie cieszę się, żeście przyszli.

— Dzień dobry, wujaszku.

— Dzień dobry, panie doktorze.

— Dzień dobry, panie Stefanie. No, to wchodźcie do środka. — Stary podreptał z powrotem, gubiąc po drodze lewy pantofel ranny z czasów Noego.

— Tak rano i ciężki dzień — dziwił się Stefan — a myśmy wpadli do pana doktora właściwie też nie dla zabawy, to przykre... z kłopotami.

Doktor Prokasz kiwnął głową i zgubił drugi pantofel.

— To może ja włożę buty? — zaproponował stojąc w skarpetkach.

Helenka uśmiechnęła się.

— Świetnie, niech wujek włoży buty, pójdziemy do kawiarni. I my też od samego rana żyjemy przykrościami, dobrze nam zrobi, jak trochę pogawędzimy o czym innym.

Wiedziała, że miał upodobanie do kawiarni. Jedyna słabostka, a zarazem generalna kompensata za wszystkie niepowodzenia i za samotność. Tak, doktor Prokasz chadzał codziennie do kawiarni. Nie na długo, czasem dosłownie na chwilę, zupełnie jakby walczyły w nim dwie siły: ochota i strach. Ochota ciągnęła, strach wypędzał. W rezultacie wizyty jego trwały od pół godziny (wtedy czytał gazety) do pięciu minut (wtedy kręcił się niespokojnie), w zależności od nastroju.

Niedługo potem, bo kawiarnia była obok, na placyku mariensztackim, siedzieli na zewnątrz w trzcinowych fotelach, ustawionych pod parasolami. Kawiarnia była zupełnie pusta. O tej wczesnej porze pokazują się jedynie wyjątkowi goście.

Dzień, mimo września, zapowiadał się upalnie i cienka letnia suknia Helenki, zielona w czarne wzorki à la Picasso, była zupełnie na miejscu. Panna Landowska mimo poważnej miny wyglądała uroczo i w porównaniu z Prokaszem stanowiła element młodości i powabu.

— Proszę pół czarnej, tylko żeby była bardzo gorąca — przestrzegął kelnerkę Prokasz.

Helenka zamówiła także kawę, a Stefan podwójnie mocną herbatę i dla wszystkich trzy torty.

Od Wisły ciągnął orzeźwiający chłodek, a od fontanny wrzask dzieciaków, które właśnie umiejętnie wrzucały kota do wody. Zaraz też nadbiegła jakaś mamusia i zaczęła strofować swą pociechę za „złe instynkty”.

Prokasz pił powolutku kawę, smakował dość głośno, jak to się u starych ludzi zdarza, i czuł się coraz lepiej. Jeszcze chwila, a będzie całkiem dobrze. O stopniu tego zadowolenia świadczył fakt, że gdy Stefan zwrócił uwagę na zbliżający się upał, ten opatentowany i sprawdzony praktycznie melancholik i neurastenik odparł: — No tak, ale nie zanoszę się na trzęsienie ziemi — czym wprowadził w osłupienie i Helenkę, i Stefana, a także i kelnerkę. Rzeczywiście, to był naprawdę objaw pogodnego poglądu na świat w wydaniu posępnej indywidualności.

Po dłuższym dopiero czasie Stefan, na odpowiednie mrugnięcie Helenki, rozpoczął powrót do rzeczywistości.

— Jak pan myśli, doktorze, czy jestem podejrzany w tej sprawie?

Prokasz początkowo nie zrozumiał, o co rzecz idzie, potem zastanowił się, wypił resztę kawy, poprawił krawat (całkiem niepotrzebnie, bo i tak nigdy nie tkwił tam gdzie należy), uwidocznił przy tym brak guzików, po czym uspokoił go:

— Pan? A dlaczego? Dlatego, że pan wyskoczył nieopatrznie do ogrodu i pokrzyżował plany? Przypadek. Zresztą tu szło o pańskiego ojca. Jaki miałby pan w tym interes? Najważniejsze: jaki interes? Pan nie jest przyrodnikiem. Bezsensownych przestępstw zaś nie ma.

Nie, nie ma co nawet myśleć. Zresztą w chwili najważniejszej sierżant okładał pana solidnie, aż mi mdło było patrzeć. A w innych przypadkach? W najgorszym razie sprawdzą pańskie alibi, gdzie pan był i co pan robił, gdy kradziono tamte głowy, i sprawdzą oczywiście, że siedział pan wtedy w domu lub u Helenki albo na uniwersytecie. Podejrzewać pana byłoby naiwnością. Przewrażliwienie, drogi chłopcze — zakończył i usiłował wypić jeszcze trochę kawy, lecz jak wiadomo, i Salomon z próżnego w puste nie naleje, więc Stefan zamówił jeszcze raz pół czarnej.

— Mam niskie ciśnienie — mruzczał lekarz — niskie jak na mój wiek — poprawił się skrupulatnie. — Mogę sobie pozwolić. — Zwrócił się do młodego i zastrzegł: — Ale ja płacę, ja płacę i nie ma co gadać! — Po czym wrócił do tematu.

— Czy pan sądzi, że i ja nie mógłbym być podejrzany? Przecież wybiegłem wtedy jak idiota do ogrodu. Myślałem, że pana krzyk oznacza, że go złapali, że to Nieznany krzyczy, że już koniec, ale pomyliłem się i niestety, umożliwiłem temu tam rzezimieszkowi jeszcze raz jego sztuczkę. I to ja, stary doktor milicyjny.

Tym, że to zrobiłem, mogę stanąć w podejrzeniu, nie jako główny aktor co prawda, ale jako współnik umożliwiający dokonanie zamachu. Lecz i mnie łatwo wybielą poprzednie

alibi i zupełna bezpodstawność i bezsensowność podobnej hipotezy.

W świecie milicyjnym, mój drogi, podejrzliwość musi mieć swoje granice — inaczej stałaby się obsesją i obłędem.

— No, dobrze — wtrąciła się Landowska — a Guran?

— Czy nie może być podejrzany?

Prokasza uderzyła ogromnie ta myśl. Zmieszał się jakby nawet tym przypuszczeniem. Popijając zaczął kawę i zamyślił się na dobre, aż Helenka stuknęła lekko łyżeczką w spodeczek i przynagliła: — No, wujaszku?

— Dziwne, dziwne — zaczął myśleć na głos — już drugi raz dziś dochodzi mnie głos tej struny. Struna dźwięczy niebezpiecznie.

Helenka rzuciła pytanie nie rozmyślnie, nie w tym duchu, ale aby dać okazję Stefanowi do zakomunikowania wujkowi złej nowiny o zniknięciu redaktora, więc zaskoczyła ją mina wujka i jego reakcja.

— Cóż to? Czyżby doprawdy można go było podejrzewać? — spytała i rzuciła okiem na niemniej zdumionego Stefana.

Można — potwierdził doktor i zaczął ni stąd, ni zowąd: — Wyobraźcie sobie, był u mnie dziś doktor Traga, rektor Akademii Medycznej i laureat nagrody państwowej. Kiedy ty spytałeś się mnie o Gurana, rozjaśniło mi się w głowie, że prawdopodobnie i Traga jego podejrzewa. Spytał mnie, czy Guran jest lekarzem. Rzeczywiście jest! W tej sprawie to nawet więcej, bo jest neurologiem, specjalistą od układu nerwowego.

Przerwał, podniósł palec do góry i wyskandował powoli:

— A mózg jest częścią układu nerwowego, centralną jego częścią. Rozumiecie sugestię: on mógłby się i dziś interesować mózgiem! To — nie zapominajcie ponadto — jest człowiek genialny.

Słuchali go w milczeniu.

— Tak, om mógłby mieć interes osobisty. Nie wierzę ani przez moment, że tak właśnie jest, lecz mówiąc *sine ira et studio* \*, trzeba przyznać możliwość tej hipotezy. Przy podobnych okolicznościach bardzo się należy strzec wszelkich poszlak przeciwko sobie. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby Guran nie był w stanie wykazać swego alibi w poprzednich wypadkach? Prawda, że nie mógł być podejrzany o czynną akcję, wczoraj był razem z milicjantami i ja sam stałem koło niego, gdy pan bił się z tym goryłowatym sierżantem. Toteż nie wierzę, powtarzam, ale ktoś uparty powiedziałby: „a współnik?” — Tu zdenerwował się staruszek i krzyknął: — Do diabła z tym głupim gadaniem. Musi być jakaś granica podejrzeń, bo inaczej przemienia się w obłęd. Pamiętam, jak raz Guran przejęty mówił: „Wyczuwam, że jeśli sprawa ma w ogóle sens i wybiega poza płaską kryminalkę z wariatem na czele, to dotyczy czegoś ogromnie poważnego; prześladuje mnie głupia myśl, że jeśli ofiarom coś grozi, to grozi po śmierci, rozumie pan — po śmierci!” Tak gadał do mnie, a ja nic nie rozumiałem. I on zresztą też chyba nic. Ciągle o tym myślał. W tym podobny jest nieco do Tragi, który również nie znosi sekretów i nieporządków. Dzięki pierwszej niechęci, niechęci do sekretów, Traga stał się uczonym, bo rozwiązuje te ich sekrety; dzięki drugiej — rektorem i laureatem, bo planuje, organizuje i pracuje.

Dlatego Traga i teraz nie może znieść tajemnicy i pcha się nie proszony.

Podejrzewać można wszystkich: i mnie, i pana, i Gurana, doktora Tragę, profesora Byronia i profesora Lothara i Topolskiego, wszystkich w ogóle profesorów... i jeszcze tysiąc innych osób. Co z tego? Takie podejrzania nie mają sensu. Tu rzecz nie idzie tak: chodzi najpierw o koncepcję, potem o poszlaki.

Koncepcja i poszlaki.

Staruszek mówił trochę nieskładnie, bo zdenerwował się. Zawsze w takich razach psuła mu się wymowa i szyk zdań. Stawał się gderliwy.

\* *Sine ira et studio* — dosłownie: bez gniewu i zapału, znaczy tyle co bezstronnie.



Stefanowi było coraz trudniej wpaść na koncept; jak mu zakomunikować wieść o Guranie, więc podjął:

— Jak to rozumieć, panie doktorze? Przecież to brzmi niedorzecznie. To po prostu jest albo igranie pustymi słowami, albo czysta głupota: „grozi po śmierci”?

— Niech się pan spyta Gurana — rozzłościł się na dobre Józefat Prokasz. — To nie ja tak mówię, ale on. Wszyscy pobzikowali z tą historią. Nie ja, lecz on!

Helenka w lot chwyciła niespodziewaną okazję.

— Wujaszku, spytać redaktora nie możemy, bo go nie ma.

— Jest w redakcji, możecie go tam teraz znaleźć.

— Nie, wujaszku. Nie ma go tam. Stamtąd właśnie przyszliśmy, do ciebie.

— No to zatelefonujcie do domu, kiedyście tacy ciekawi.

— Telefonowaliśmy: nie ma go i... i nie było od wczoraj.

— Jak to?

— Tak, wujaszku. Redaktor Guran przepadł bez śladu.

Prokasz zerwał się na równe nogi, po czym natychmiast usiadł, niezupełnie zresztą dobrowolnie — nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zerwał się po raz drugi i krzyknął:

— To wy tu gadacie, a tam coś się dzieje od wielu godzin! Och, jacy ludzie są głupi! Natychmiast dawajcie taksówkę. Jedziemy do prokuratora.

Po chwili taksówka mknęła z Mariensztatu trasą W-Z do swego przeznaczenia.

Stefan miał spóźniony refleks, dopiero więc w taksówce w jego zrównoważonej głowie zaczęła krążyć myśl-pytanie: czy Guran wpadł w wielkie kłopoty, czy uciekł?

Szofer jego ojca co prawda mówił mu dziś rano, że gdy wszyscy wczorajszej nocy biegli do gabinetu, widział Gurana uciekającego. Spytał szofera: — Jak to uciekającego? — Wydało „mu się to niedorzeczne. „A tak, proszę pana, my wszyscy w jedną, a on w drugą stronę”.

## VII

### POGOŃ

A co działo się z, Guranem?

Gdy wybuchły nieporozumienia owej fatalnej nocy, zostawiliśmy go na ścieżce w ogrodzie. Doktor Prokasz i inni biegli co sił w nogach do gabinetu starego Pogonowskiego. Podniósł się zaraz krzyk. On zaś myślał: „Oto figle przypadku, oto szansa ofiary, raz dobra, raz zła dla niej, dziś dobra; oto pomyłki sprawiedliwości”.

Lecz Guran potrafił w jakiś swoisty sposób myśleć jednocześnie o dwóch różnych sprawach lub w dwojaki sposób o jednej. Nie pytajcie mnie o wyjaśnienie, jak się to robi. Są czasem, ale rzadko, tacy, co to potrafią. Należał do nich.

Te drugie myśli były rzeczowe i szybkie jak myśli człowieka zaskoczonego. Musiał natychmiast, w okamgnieniu coś zdecydować, jeśli miał naprawić pomyłkę. Dlatego szofer, wracający na rozkaz lekarza po omdlałego Stefana ujrzał obraz, który uznał za „niezmiernie ciekawy”.

Guran pędził w przeciwną stronę niż reszta obecnych. Wszyscy do gabinetu, a on w ciemny ogród, między drzewa. Nie potrzebował czekać na wiadomość. Wiedział, że Nieznany wykorzystał błąd. Pędził tak, że doprawdy nadzwyczajne, iż nie grzmotnął po drodze głową o najbliższy pień. Była noc, a choć księżycowa, przecież wśród gęstych drzew widno nie jest. Guran rwał co sił w kierunku, w jakim Nieznany mógł prawdopodobnie uciekać. Zanalizował — jeśli mianem analizy można ochrzcić jednosekundowy huragan w głowie — położenie pod

wzglądem topograficznym i puścił się w pogoń.

Czy w pogoń? To zależało jeszcze od tego, czy trafił na właściwą drogą. Ze świszczącym oddechem przesadzał ogrodzenie ogrodu. Nie był już młody, a choć sportowiec i w formie, jak na swój wiek zadziwiającej, przebiegł spory ogród, i to na przełaj i po ciemku w tempie za szybkim. Zreflektował się, spuszczać nogi na drugą stronę i zeskakując na chodnik: „Za prędko, kochasiu, za prędko; długo tak nie pociągniesz, zresztą Nieznany nie może być młodzieńcem, a poza tym musi mu być odrobinę niewygodnie, bo umyka z dwoma głowami: swoją i Pogonowskiego Zwolnij troszkę, nie śpiesz się zanedo! Stał zatem, odechnął głębiej i zapuścił wzrok w głąb wąskiej ulicy. Na szczęście była dobrze oświetlona. Spojrzał w jedną stronę. Nic! W drugą. Pustka! Nadstawił uszu. Cisza! W którą biec? Zachnął się bezsilnie. Gdy wtem, drgnąwszy pod ciosem niespodzianki, o mało się nie zatoczył: Co się stało?

Za plecami, z tamtej strony ogrodzenia, spomiędzy drzew, tuż o krok czy o dwa od niego wychynał cień ludzki i jak kot przechylił się ku niemu. Szelest ruchów, w ciszy i pustce tej nocy i tej odludnej uliczki, wydał mu się groźniejszym niż szybkość ruchów diabelskiego cienia. Odwrócił się, nim zdążył dobrze zorientować się, o co chodzi, i ujrzał tuż koło swej twarzy jakąś inną, obcą, wynurzającą się z mroku, jakby zawisłą w powietrzu, spoglądającą nań spod wystrzępionej kryzy starego kapelusza. Zmarszczyła się w lisim grymasie.

Guran wyciągnął instynktownie obie pięści dla obrony.

— Daj pan spokój — usłyszał skrzeczący szept. — Ależ pan ganiał... nie przymierzając sarna... Niech się pan nie boi... ja tu na posterunku... leci pan za tym facetem z pudełkiem na kapelusze... co?... On tu hycnął przez parkan prawie w tym samym miejscu co pan; na lewo, o tam, jest przejście między willami... do drugiej ulicy... Biegaj pan tam!

Guran ochłonał odrobinę. Tajniak czy współnik Nieznanego? Naprowadza mnie na niego czy odprowadza od niego? Zdecydował: policja czuwa, ja swoje, a oni swoje, organy śledcze też czasu nie tracą. W drogę! Zanurzył się w wąskie przejście. Stał się teraz ostrożny i cichy w ruchach. Jak pływak wypląnął na drugą stronę, dojrzał ulicę — tym razem szeroką, normalną — i na lewo w niewielkiej odległości... zelektryzowało go to... postać jakąś z okrągłym pudłem w ręku, idącą spieszonym krokiem.

A więc jednak pogoń! Dobry trop!

A tam to on, Nieznany!

Guran aż zamarł wlepiając wzrok w tę postać. Jednak — pomyślał — jednak miałem rację, a więc wszystko nabiera innego blasku, i reszta zatem jest prawdziwa, mój domysł... to straszne!

Tamten zaś oddalał się. Miał na sobie czarny płaszcz z podniesionym kołnierzem i czarny kapelusz. W lewym ręku dźwigał wielkie okrągłe pudło, takie właśnie, jakich damy niegdyś używały na kapelusze. Pudło było również czarne. Niósł je za pomocą rzemiennego uchwytu, umocowanego do przykrywki. Migotało lśniąca powierzchnią w świetle latarni. Widać ze sposobu niesienia, że jest niezwykle ciężkie. A przecież głowa ludzka nie waży tak dużo!

Oczywiście — myśl Gurana pracowała szybko — tak powinno być, to jasne. Amputować głowę na czas to nie wszystko; należy utleniać... mózg trzeba utleniać. Liczy się nie tylko czas po śmierci, ale także i czas transportu, czas potrzebny do przeniesienia mózgu, do wydobycia go z czaszki i do zaczęcia jakichś tam badań. Wszystko zgadza się. W tym czasie mózg musi być utleniany, potrzebny jest jakiś aparat. To proste. Nie mógł tej głowy zawinąć w papier czy włożyć do walizki. To rzekome pudło na kapelusze jest aparaturą, w którą wstawiona jest głowa starego Pogonowskiego. Płyn fizjologiczny to mało... pewnie jest też i urządzenie do pompowania, do wzbudzenia sztucznego obiegu... trudno wiedzieć... Miałem rację... miałem rację... — gorączkował się. — A teraz... a teraz... głowa Pogonowskiego wróciła do przytomności... wróciła świadomość...

Postać z pudłem oddalała się szybko. Czerniała jeszcze bardziej w miarę oddalania się, tylko pudło nieustannie błyskało w takt kroków, jakby wysyłając za pomocą heliografu depeszę: SOS... SOS... SOS... ratunku... ratunku... ratunku...

Poszedł za nim.

Słyszał jego kroki. Rozchodziły się słabym echem. W nocy, gdy ulice są puste, dźwięki nabierają specjalnej mocy i wyrazistości, metamorfoza ta jest często nie do wiary wielka. Toteż i teraz te miarowe stapania przybrały kształt dudnienia kamienia młyńskiego, huczącego przy mieleniu. Nic innego nie słyszał, jedynie ów odległy hurkot, odbijający się od murów i zamkniętych okien.

Sam posuwał się bezszelestnie, trzymając się blisko ścian. Nie miał żadnej wprawy w tego rodzaju historiach i czuł się nieswojo. Nigdy w życiu nikogo nie śledził, nie wiedział, jak to robić. Przypomniawszy sobie, że kiedyś w młodości kochał się i podejrzewał że biegi potajemnie raz za nią, ale czy to jest wystarczający trening na dzisiejszą ekspedycję? Wątpił, pocieszał się tylko, że i tamten nie będąc zawodowym przestępcą nie większą ma rutynę w kłuczeniu niż on w śledzeniu. Tymczasem chmury przerzedziły się i księżyc owładnął niebem, a więc i ziemią, dachami domów, profilami ścian, brukami...

Światło pełni księżyca czyni czasem krajobraz nocny fantastycznym ponad wszelki opis. Pod nogami redaktora potworzyły się pagórki ostrego światła i doliny cieni. — Tfu — syknął — jakbym był na Marsie. — Niemal zatoczył się. Nieznany natomiast szedł pewnie i nie za szybko. Nie oglądał się, sunął wciąż przed siebie, kołyszając pudłem; skręcał od czasu do czasu i sunął wciąż naprzód miarowo, z bezdusnością maszyny. Na prawo, wprost, ciągle naprzód, w lewo, w lewo... raz, dwa, raz, dwa, raz, dwa... Szli coraz dalej. Minęli wiele ulic, zaczęli zbliżać się ku Wiśle, w dół... Guran spostrzegł, że nie zna tej dzielnicy. Mijali właśnie zapuszczone domy Czerniakowa, wkraczali w obszar coraz rzadszych budynków i coraz większych pustkowi, omijali chałupy podmiejskie i ogrody warzywne.

— Nigdy tu nie byłem — dziwił się Guran. — Człowiek tyle lat mieszka w jednym mieście, a tu, w ważnej chwili, okazuje się, że błędzi diabli wiedzą gdzie.

Ludzka maszyna przed nim wciąż się toczyła, migotając swą figurą po mijanych domach, drzewach i płotach jak wskazówka manometru. Szła obojętnie, bez lęku, nie oglądając się, nie dbając o nic.

Naraz Guran zorientował się, że w zmienionym terenie, pełnym niespodzianych zabudowań, zakrętasów i coraz bardziej skąpego oświetlenia, może go zgubić. Podsuwać się zaczął coraz bliżej. Ułatwiała ten manewr niezrozumiała obojętność ściganego. Wkrótce też miał jego plecy niezbyt daleko od siebie.

Zaczął odczuwać zmęczenie fizyczne i psychiczne, lecz i tamten cierpiał widać to samo, bo zwolnił kroku. Weszli właśnie w cień jakichś wysokich krzewów, gdy Guran zorientował się, że tamten stanął. Ledwie na czas zdołał więc uskoczyć w bok parkanu, który tu właśnie wyznaczał róg czyjegoś ogródka czy Podwórka. Przestraszył się trochę i zaczął, wstrzymując oddech, nadśłuchiwać. Tamten nachylił się, stawiając widocznie pudło na ziemię.

A więc tu!

Upływały sekundy ciszy. Nic się nie działo: ani skrzypnięcia furtki, ani kroków, ani w ogóle najmniejszego odgłosu. W napiętych nerwach Gurana błysnęła niedorzeczna myśl: zapadł się pod ziemię; potem druga — jestem zdenerwowany; potem trzecia — a może on tylko odpoczywa? A jeśli ruszy tak cicho, że go nie usłyszę? To możliwe, zwłaszcza gdyby podejrzewał coś i ta dotychczasowa wyniosła obojętność okazała się znakomitą maską, która teraz miała jego, Gurana, zwieść? Co tu robić?

Ukląkł na jedno kolano, przyłgnął niemal do parkanu i medytował. Parkan nie był długi i Guranowi przyszło do głowy, że zdąży na czas oblecieć go wkoło i ulokować się z drugiej strony, wtedy jeśli tamten znów ruszy, ujrzy go niechybnie i pójdzie za nim. Gdy przesunął się wzdłuż tylnego boku posesji, wyjrzał ostrożnie i stwierdził z zadowoleniem, że i pozostały

bok tonął w ciemnościach pod baldachimem krzewów i niskich drzew, począł więc ostrożnie posuwać się jeszcze trochę... jeszcze trochę.

Oddech mieszał mu się ze zdenerwowania, zmęczenia i wstrzymywania go siłą. Zaszył się głęboko w cień i czekał.

Noc była już późna. Cisza. Kraj jakby wymarły. Od pewnego czasu Guran czuł niepokój koło serca. To z wysiłku — pomyślał. Poza tym... bał się. Tak, po prostu odczuwał strach, który omotał go naprzód lekko, teraz silniej. Stał pod tymi głupimi krzewami i czuł, że się boi. Czego? Niczego! Tak sobie: z sytuacji. Co on tu robi? Czego chce? Co za groteska? Opanowywał drżenie nóg i czekał. Zrobiło mu się zimno. W pobliżu zaszczekał pies. Spojrzał przed siebie: widział z daleka, nieco w górze Warszawę, jej światła, a na lewo ciemne pola. Czekał, odpoczywał i słuchał.

Czyżby tamten poszedł? A może wszedł do środka? Odpoczywa, jak i ja? I znów ta idiotyczna myśl: zapadł się pod ziemię.

Postanowił coś uczynić. — Posunę się jeszcze naprzód, jeśli on tam stoi, to jest oparty chyba o parkan i trochę na lewo ode mnie; trochę, bo parkan nie jest długi. — W tej chwili nawiedziła go chęć zobaczenia twarzy Nieznanego i uświadomił sobie zaraz, że to jest możliwe. Była zaś tak silna, że nie zastanawiając się długo, zaczął posuwać się naprzód z nieskończoną ostrożnością. Trwało to bardzo długo. Pomyślał, że gdyby teraz odsunął tę gałąź, zasłaniającą sam róg parkanu to... Wstrzymał oddech...

Ujrzał przed sobą, drugi raz tego wieczora, twarz jakby wiszącą w ciemności. Było to oblicze posępne, inteligentne i zmęczone. Człowiek ten miał zamknięte oczy i oparty był ciężko o drewniane sztachety parkanu. Krople potu widoczne były na skroniach. Spod kapelusza wyzierały siwiejące włosy mężczyzny około pięćdziesięcioletniego. W tej chwili domino wało na tej twarzy bezgraniczne wyczerpanie, ale nie wyczerpanie przeżywane z bezsilnością, lecz z uporem. — Nic diabelskiego — zauważył w duchu Guran. Ani cienia zboczenia czy sadyzmu, o ile to w ogóle jest możliwe do odgadnięcia z rysów twarzy.

Normalny i nawet dbający o siebie. Dobrze ostrzyżony, jakiś elegancki krawat... A więc nie biedak i nie uczony-anachoreta ani szaleniec. Usta były wąskie i zaciśnięte.

Twarz ta wisiała jak kropla nikłego światła na ekranie ciemności. Guran poczuł, że ma chęć głęboko i z ulgą odetchnąć, lecz powstrzymał się. Twarz znikła. Za sekundę dały się słyszeć kroki. Wysoka, czarna postać minęła go i skręciła na wprost, ścieżką w pole, które było nie oświetlone, choć po bokach, daleko, jarzyły się latarnie uliczne. Postępować za nim stawało się coraz większym ryzykiem. Guran z wahaniem ruszył.

Nie uszli atoli daleko, gdy z nocy wynurzyły się zarysy jeszcze ciemniejsze niż noc. Był to wysoki mur ceglany, solidny i stary, obrośnięty gdzieś bluszczem. Nieznany stanął pod furtką. Wyjął klucz i po kilku manipulacjach znalazł się po tamtej stronie. Zatrzasnął furtkę.

Guran został sam. Usiadł po chwili bezceremonialnie na ceglany progu furtki i zaczął rozważać.

Rozsądek nakazywał zapisać adres i pójść spać.

Lecz po pierwsze: na furtce nic nie widział, a dzielnicy nie znał i nie miał pojęcia, co to mogła być aa ulica i gdzie znajdzie tabliczkę; po drugie... otóż właśnie, po drugie Guran przed chwilą stchórzył, więc teraz tenże sam Guran postanowił przełamać strach, i siebie. Gdy zaś wpadał w tego rodzaju dylematy, wyjście zazwyczaj było tylko jedno. I tym razem więc stało się: Guran przelazł, choć z trudem, przez mur i zwałił się na miękki trawnik po drugiej stronie.

## VIII

### LABORATORIUM NA PUSTKOWIU

Zwalił się niezbyt dobrowolnie, po prostu gałęzie bluszczu urwały się i detektyw-amator zjechał na ziemię drogą powietrzną, w tempie przyśpieszonym i uproszczonym. Narobił przy tym nieco hałasu, jakkolwiek w miarę, bo murawa — jak powszechnie wiadomo — nie grzmi tak donośnie jak powierzchnia bębna. Na szczęście dla siebie Guran nie miał do czynienia z posesją, w której znajdowałyby się pies, przeto upadek i hałas nie wywołały żadnych ujemnych skutków. W każdym razie na zewnątrz jego ciała. A jak z nim samym? Po leżał trochę, zorientował się, że murawa jest wilgotna (i jego koszula na plecach również), powstał rozciągając kolana i wyciągając dobrze krzyż. — No, nic mi nie jest — mruknął — zdaje się, że mogę chodzić. — Uczynił też ostrożnie dwa kroki, potem pomacał się po lewym łokciu i zgiął rękę. Dobrze! Gdy minęła główna troska o całość własnej osoby, zjawiała się natychmiast druga (takie niestety jest życie): czy nie zaalarmował domowników?

Nasłuchiwał tym razem dość długo, lecz nie posłyszał nic podejrzanego: absolutna cisza. Wobec tego nadciągnęła trzecia troska: co robić dalej? Przed nim widniał dom ze wszystkimi oknami ciemnymi, z wyjątkiem dwu okien w pokoju na pierwszym piętrze, które jarzyły się jak oczy bestii.

Aha — pomyślał — to tam on pracuje. No tak, musi się śpieszyć...

Zrozumiał (tak mu się przynajmniej wydawało), że dom jest pusty, że nikogo w nim nie ma z wyjątkiem tego tam na górze. Świetnie! I najspokojniej w świecie pomaszerował do drzwi frontowych. Dom przedstawiał się nieco komicznie, od razu było widać w nim zły gust epoki, w której był budowany (przełom XIX i XX wieku, złe czasy architektury), zły gust właściciela i nieudolność budowniczego. Właściwie był to domek parterowy, niemal kwadratowy, lecz na pierwszym piętrze paskudziła się przybudówka, zupełnie niekształtna, jakby jeszcze jeden czy nawet dwa pokoje, i wieża okrągła, przylepiona do nich bokiem.

Po bliższych oględzinach pokazało się, że nie była okrągła, lecz czworokątna. Skąd więc owo nieprawdopodobne złudzenie? Otóż właściwie było tam sześć ścian, tylko dwie były „wkomponowane” jako ściany obu przylegających pokoiów, tak że na zewnątrz wystawały tylko cztery ściany wieży; wyglądało tak, jakby wlepiono siłą część wieżyczki (bo nie była wysoka) w tamte dwa pokoje. Słowem: nie okrągła i nie czworoboczna, lecz sześcioboczna. W rezultacie od wewnątrz tworzyła coś w rodzaju sześciokątnego pokoju, nieco wyższego od sąsiednich i uzbrojonego w spiczasty dach z czerwonej dachówki. Oświetlone okna znajdowały się w tym większym, przylegającym do niej pokoju.

Guran znalazł się pod drzwiami.

We framudze widniał dzwonek, a nad nim utwierdzona była prostokątna blaszka, taka, na jakich widnieją nazwiska właścicieli.

Guran podniósł brwi i sięgnął do kieszeni po latarkę. Wziął ją ze sobą ze względu na spodziewane przeżycia w ogrodzie u starego Pogonowskiego, ale nigdy nie przypuściłby, że przyda mu się w podobnych okolicznościach. To nasunęło mu refleksje, że właściwie wziął się do nie swoich rzeczy (i to nie proszony!). Miał pomóc prokuratorowi w umysłowym rozwiązaniu zagadki, w niektórych technicznych szczegółach, ale żeby gonić... śledzić... kręcić się teraz po tym podwórku?... Nie, na to nie był przygotowany i — co gorsza — nie był całkowicie pewny, czy dobrze robi. O to go nie proszono.

Podsunał się bliżutko i puścił promień światła na tabliczkę.

Jeżeli brwi Gurana już były wysoko uniesione zdziwieniem, że znalazł na drzwiach tabliczkę z nazwiskiem, to teraz uleciały jeszcze wyżej.

Redaktor zakręcił się dziwnym ruchem, niemal tanecznym, tak właśnie, jak ma ochotę

to zrobić człowiek, który dowiedział się czegoś ogromnie znaczącego, doniosłego, cennego i zarazem niewiarygodnie nieprawdopodobnego. Wtedy aż człowieka podrzuca i wykręca ta skondensowana i piorunująca wiadomość. „Ach” — wyrwało mu się.

Na tabliczce, zamiast nazwiska, znalazł tę oto sentencję, pięknie wykaligrafowaną ręcznym pismem, ale raczej pędzelkiem lub patykiem szeroko zakończonym niż piórem, bo litery były grube i wyglądały na malowane, a nie pisane:

LASCIATE OGNI SPERANZA  
VOI CH'ENTRATE

co czyta się mniej więcej: „Laszate oni speranca woi kentrate”. Jest to sentencja słynna w historii literatury i mająca swój symboliczny sens, znaczy zaś: „Porzućcie wszelką nadzieję wy, co tu wchodzicie”. Pochodzi z „Boskiej komedii” Dantego, który taką przestrożą ozdobił wejście do piekła.

Dziwić się, wobec tego, reakcji Gurana nie należy. Ostatecznie w podobnych okolicznościach i zwłaszcza po niedawnych przeżyciach może się człowiekowi od takiej wizytówki zakręcić w głowie. Toć przecież prawie jak w operze — pomyślał. Kręciło mu się też w głowie porządnie. Rychło jednakże rozróżnił w „kręćku” tony nieprawdopodobne, właśnie operowe, więc oprzytomniał i — o dziwo z miną już na wpół rozśmieszoną — zastanawiał się. To idiotyzm — myślał. — Nie wierzę, by ktokolwiek dorosły poważnie wypisywał podobne przestrogi. Odrzucam z miejsca tę koncepcję. Z tego samego powodu odrzucam też i przypuszczenie, iż właściciel wypisał to w przystępie dobrego humoru, chyba że mieszkają tam dzieci. Wydaje mi się, iż najprościej będzie przypuścić tak: w tym domostwie mieszka i rządzi człowiek lubujący się w pozie życiowej. Przypisuje sobie wielkie znaczenie, jest to egotysta i zarozumialec. Znam takich, oni reprezentują „świat na puzonie”, wszystko jest wielkie, nawet ruch ręki.

Nabrał trochę wigoru, zgasił latarkę i wyszeptał: „Lascio il gradicare alle rana” — co znaczy: „Pozostawiam skrzeczenie żabom”. Zadowolony był ze swojej repliki. W jednym jednak nie miał racji i na pewno: Nieznany nie należał do rodu żab.

No dobrze, co jednak teraz czynić?

Właściwie należało wracać i biec z wiadomością wprost do prokuratora, to dyktował rozszadek. Lecz Guran nie zawrócił. Został.

Rozpoczął obchodzić dom. Szedł w lewo od drzwi. Natknął się na zakratowane i zaciemnione od środka. Boczna ściana miała również dwa okna, także zakratowane i oszklone matowymi szybami. Nic zobaczyć nie było można.

Wyszedł na tył domu: również dwa okna po bokach, ale jedno tylko było zakratowane i nieprzezroczyste. Ponadto po środku widoczne było maleńkie okno, takie, jakie znajdujemy w hallach lub na wewnętrznych schodach. Podniósł głowę: na pierwszym piętrze widać było cudaczną wieżyczkę i cztery jej wysokie a wąskie okna, ciemne w tej chwili i mieniące się odbłaskami księżycy.

Pozostała ostatnia ściana: prawy bok domu, prawy licząc od wejścia, gdzie przed chwilą stał i ruszył w okreśną podróż. Minął jakąś małą drewnianą budę, skład na narzędzia gospodarskie lub coś w tym rodzaju, rzucił przy tym okiem na mur, który z tej strony biegł bardzo blisko domu, domyślił się, że za nim płynie Wisła, i to nie bardzo daleko, a wreszcie dotarł do rogu. Wyrzwał ostrożnie. Znów dwa okna, ale... tym razem nie zakratowane. Właściwie był tym zaskoczony. Psuł się jakoś rysunek tej „fortecy”. Zatem nie jest to miejsce strzeżone jako święte, w każdym razie niezbyt pilnie. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy ujrzał, że to dalsze od niego okno jest otwarte.

Po lichu chodziłem w kółko — pomyślał. — Gdybym zaczął iść w prawo, wlaźłbym od razu do środka.

Bo rzeczywiście miał zamiar to uczynić. Gdyby wiedział, co go czeka, może zamiast

przekładać w tej chwili nogi przez okno, przekładałby je raczej przez mur. Uczynił inaczej. Stał ostatecznie w środku niezwykłego domu.

Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zorientował się, że jest w kuchni, najzwyczajszej kuchni, używanej i nieźle utrzymanej, jak zdążył ocenić.

W sposób spokojny — co było dla niego niespodzianką — przeszedł do drzwi i uchwycił klamkę. Naciskał ostrożnie, powoli, systematycznie. Drzwi lekko odskoczyły, popchnął je i zaczął czekać. Nie skrzypiały. Wkroczył w czarną otchłań. Był to korytarz. Starł się zorientować, stojąc wciąż w drzwiach kuchni i tyłem do niej. „Na lewo muszą być i blisko: trzy do czterech kroków — drzwi frontowe, aha — dodał w myśli — i jedyne, jakie tu są. Przede mną muszą być (i to chyba akurat na wprost) drzwi do pokoju, którego jedno okno wychodzi na front domu, a drugie na tamtą stronę domu, oba zakratowane. Zresztą wszystkie izby są narożne, jako że inaczej stać się nie może z czterema izbami w kwadratowym domu. Korytarz więc biegł w poprzek i przez całą jego szerokość. Dalej na prawo są drzwi do pokoju nie zakratowanego; jeszcze zaś dalej na pewno są schody prowadzące na górę i tam jest właśnie owo małe okienko. A na górze?...

Stał i czekał.

Cisza była śmiertelna. Świdrowała mu w uszach. Słyszał walenie pulsu w skroniach i dziwił się, że jest tak głośnie. Ciemności były wciąż nieprzeniknione, jedyne bowiem okienko w końcu korytarza nie było w stanie dać choćby nikłej wstążki świetlnej.

Wyciągnął rękę przed siebie i posunął się wymawiając w duchu: „Raz, dwa, trzy...” Palce oparły się o coś zimnego. A więc korytarz nie jest szeroki, liczy nieco ponad dwa metry. Były to drzwi — jak przewidział. Zawahał się: zapalić latarkę czy nie? I w grobie już ciszej być nie może, tylko chyba o to pulsowanie w skroniach. Idiotyczne porównania nachodzą mnie! — pomyślał. — Ciemno. Chyba jednak zapalę.

Nacisnął i... oślepl. Zgasił. A do diabła z tymi kontrastami. Jeszcze raz. Teraz widział wprost przed sobą drzwi metalowe (dlatego poczułem zimno — przebiegło mu przez głowę), z zamkiem automatycznym i bez klamki. Nic, tylko gładka powierzchnia metalowa, wzbraniająca wstępu do środka. Ale nie: było coś ponadto, kartka wsunięta porządnie w metalową ramkę, umieszczoną w środku, dokładnie na wysokości oczu, a na niej wypisana następująca treść:

## DZIAŁ I (Ciało i organów)

- 1) Historyczne próby hodowli tkanek  
(serce kurze)
- 2) Organa i członki  
(serce, żołądek, płuca, oczy, ręka męska, noga kobiety)
- 3) Ciało  
(korpus kobiety bez głowy)

Słowa były wypisane pedantycznie, niektóre podkreślone kolorowym ołówkiem, przy innych (na przykład przy słowie „ręka”) były wypisane ołówkiem daty. Przy zdaniu „korpus kobiety bez głowy” widniała jakaś data sprzed dwu lat oraz kilka wyjaśnień. Mały ten karteluszek widniał w kółku świetlnym latarki Gurana, mieniając się czerwonymi i niebieskimi podkreśleniami, subtelnym pismem ołówkowym i... swoją treścią. Guran opierał się ciągle palcami lewej ręki o metaliczną ścianę drzwi, czuł, jak go przenika chłód, nie mógł jednak poruszyć się. Czytał owe wyjaśnienia i zastanawiał się nad znaczeniem dat. „A więc zgadłem, całkowicie zgadłem”. Twarz jego skrzywiła się ironicznym, okropnym grymasem. „Głupstwo, że giną głowy; tu dzieje się coś strasznego... Umarłemu niewiele zaszkodzi, gdy mu zginie głowa, ale co ten tu wyrabia... obawiam się, że to może zaszkodzić nawet umarłemu”.

„No więc — wyprostował się i rzucił ogromny cień na korytarz — brak mi jeszcze jednego szczegółu, ostatniego ogniwa i dowodu”.

Ten pokój nie dawał go.

Nie bacząc na środki ostrożności podszedł pod drugie drzwi, te od zakratowanych okien, drugie po lewej stronie korytarza. Wisiała tu podobna kartka, na podobnych, metalowych drzwiach bez klamki. Czytał:

## DZIAŁ II (Mózgów)

- 1) Hodowla mózgów i rdzenia
- 2) Zasuszanie mózgów
- 3) Zamrażanie mózgów
- 4) Transplantacja mózgów.

Przy każdym punkcie znajdowała się adnotacja ołówkiem z jakimiś szczegółami i datami. Lecz nie patrzył na nie, znalazł wreszcie to, czego szukał, co przewidywał.

Odwrócił się: miał teraz przed sobą drzwi, już zwykłe i z klamką. To od tego nie zakratowanego pokoju — pomyślał. — Zapewne jego sypialnia.

Nie pomylił się. Była to sypialnia. Po jednej stronie korytarza laboratorium z kartkami, po drugiej sfera prywatna bez kartek: kuchnia i sypialny.

Lecz mylił się sądząc, że wszystko odkrył; mylił się, że wyczerpał niespodzianki owej nocy, mylił się także — i to jest najważniejsze — w swej centralnej hipotezie. Dostrzegł wagę „pięciu minut”, zorientował się, że chodzi o eksperymenty nad żywym mózgiem, ale pomylił się całkowicie we wnioskach. Dział II nie był odpowiedzią, laboratorium Nieznanego nie kończyło się na Dziale II i w ogóle na tym piętrze. Największa jego tajemnica tkwiła tam, na górze, nad głową Gurana, gdzie właśnie wspinał się po kręconych schodach, nieświadom ani swojej pomyłki, ani w ogóle, do czego teraz zmierzał. Nieznany nie kontentował się krajanem i badaniem wycinków żyjącej szarej substancji, manipulowaniem nią na różne sposoby. Chodziło o coś zupełnie innego. A był tym tak zajęty, pochłonięty, skoncentrowany i zaciekle w swej monoidei, że nie słyszał teraz kroków obcego człowieka w swoim własnym laboratorium na pustkowiu.

O co chodziło?

Cierpliwości!

Guran wyglądał teraz jak zahipnotyzowany, ciągnął w górę, jak ćma ciągnie do światła, wwierał się po tych okrągłych żelaznych schodkach, jak śruba wwierca się w tajemnicę wnętrza deski. Łazł, trzymając się poręczy. Wreszcie stanął. Pierwsze piętro.

„Po co ja tu wchodzę? — zastanawiał się. — To nie ma sensu”. Zbierał myśli. Chciał już zawrócić, gdy wtem ciszę przerwał daleki dźwięk, odgłos jakiś, świadectwo istnienia kogoś w tym domostwie, cichy nieokreślony ton, który pojawił się i zginął. Odgłos ten przygwoździł go do ziemi. Oparł się plecami o ścianę i czekał. Na próżno jednak, znów martwa cisza spadła na niego i cały dom.

Zorientował się, że stoi w małym pokoiku, a właściwie na wąskim podeście, z którego prowadzą jedyne drzwi do owej dziwacznej wieżyczki. Widział to nieźle, ponieważ znajdowało się tu okno, wychodzące na dach. A więc pokój pracy, serce tego laboratorium, znajduje się albo w niej, albo w pokoju za nią (musi więc być tam w wieży drugie wejście), w pokoju, w którym pali się światło i w którym jest teraz Nieznany. Powinien wyjść i zniknąć jak najszybciej. Zrobiłby to też, gdyby nie zachciało mu się zapalić lampki.

Zapalił więc, wtłaczając plecy w ścianę, jakby próbował trwałości murów, i ujrzał kartkę. To go zainteresowało. Podsunął się na palcach i czytał...

Pionowe fałdy wyskoczyły mu między brwiami. A to co znów takiego? Nic nie rozu-



miał! Wtem spostrzegł, że drzwi te były tylko przymknięte. Zgasił latarkę, popchnął lekko metalową przeszkodę i cicho jak widmo wkroczył do wieży. Gdy otworzył drzwi, smuga światła księżycowego wypadła na niego jak zabłąkana strzała. Cztery podłużne okna dawały dość blasku, by można było obejrzeć cały pokój.

Stanął i popatrzył.

Po dłuższej chwili usłyszał pisk i krzyk lub raczej jęk. Padł zemdlny.

## IX

### MIAŁEM HALUCYNACJĘ

Guran otworzył oczy. Co to? Nie zna tego miejsca, czuje się jak człowiek, który przebudziwszy się niespodzianie wśród nocy, nie wie, gdzie jest, nie wie, co się z nim dzieje. Zbierał teraz myśli, dziwiąc się jednocześnie otoczeniu i swemu stanowi.

Czuł się źle.

Naraz przypomniał sobie — „Zemdlałem!” — Z tym zaś powróciła pamięć wszystkiego, co stało się tuż przedtem. Groza owionęła powtórnie mózg Gurana. Przymknął na sekundę oczy, a powieki zamigotały nerwowo i spazmatycznie. Spróbował odetchnąć głębiej, poczuł nagle, że jest związany: siedzi z rękoma z tyłu omotanymi sznurkiem i przytwierdzonymi do poręczy krzesła. Pochylił korpus pod wpływem tej wiadomości i uczył powtórny zawrót głowy. Zbierało mu się na mdłości. Wirowały w pamięci sceny, które widział... kiedy?... kiedy to było?... jak dawno?... kilka minut czy kilka godzin temu... Serce pracowało nierówno, głowa ciążyła, jakby była odkuta z granitu i zbyt luźno przytwierdzona do zbyt miękkiej szyi. Ach, więc to tak! Wystrzelił z chaosu myśli obraz ostatnich przeżyć.

Kartka na drzwiach... prawda... prawda... kartka z napisem. Jakiż to był ten napis, mozolnie przypominał sobie...

### DZIAŁ III

#### (Głów)

- 1) Głowy zwykle
- 2) Głowa pod kloszem
- 3) Głowy...

I znów delikatnym pismem ołówkowym szeregi uwag i cyfr obok poszczególnych punktów. Teraz stały przed nim obrazy przeżyć jak żywe. Prawda! Uchylił drzwi, wszedł i stanął nie zrobiwszy więcej niż dwa kroki.

Wkoło, ale wysoko, błyszcząły światłem księżycowym cztery okna kolumny zielonego światła rozcinały czarną przestrzeń sali wieżowej, nie rozpraszając cieni i mroków gęstniejących po kątach i bokach. Zgubił się na razie w płątaninie, nic nie mogąc odróżnić, stał przeto i czekał, przyzwyczajając oczy. Powoli poczęły wyłaniać się kontury, a chaos — przekształcać w obszerny i pusty pokój. Tak, był chyba zupełnie pusty. Na podłodze leżały podłużne plamy księżycowych okien i nic więcej. W jednym tylko miejscu, prawie pośrodku, stał mały stół i krzesło. Czyniły razem wrażenie jakiegoś stołu przewodniczącego, kierującego obradami pustej sali, lub może katedry profesora, wykładającego nieistniejącym słuchaczom, a wreszcie ambony dla duchownego kultu dziwnego nabożeństwa. Dwa te przedmioty stały pośrodku wieży, niemi świadkowie czegoś, czego Guran zrozumieć nie mógł. Sala głów! Gdzież te głowy! Co to wszystko — do pioruna — ma znaczyć?! Posunął się lunatycznym krokiem naprzód, dojrzał poprzez zimne smugi światła do stolika, minął go: pustka! Nic! Cela wariata

— błysnęło mu w głowie.

Czyżby i tamte pokoje, szumne „działy”, miały okazać się puste? Idzie dalej, zapomniawszy o tym, że tu gdzieś na prawo muszą być inne drzwi, a za nimi pokój, a w nim ów Nieznany, autor tych wszystkich dziwactw, niesamowitości (i zbrodni — być może). Idzie, by pokonać tę nienaturalną pustkę. Już niedaleko przed sobą ma ściany tonące w głębokich mrokach, a okryte od góry, jak dachem, blachami księżycowego światła, wbija oczy i dostrzega wreszcie coś: mającą kształty bezkształtne, rysują się masy niematerialne. Jeszcze krok. Wychylają się postumenty, kolumny posągów, lecz bez posągów. Tkwią martwo, wielkie i nieforemne, niestylowe, niearchitektoniczne, nie przeznaczone dla bawienia duszy estetyką; postumenty przeznaczone widać innym funkcjom. Ale dlaczego puste? Dlaczego same kolumny? Guran stał przed nimi, nie śmiejąc oddychać. Znów ta śmiertelna cisza, w którą wlaź od dłuższego czasu jak do worka!

Nie, tam na wierzchołkach kolumn mających jakieś cienie, tam jednak coś jest. Czyżby? Czyżby Nieznany naśladował owego Aragończyka, króla Ferrante, z czasów Michel-Angelo, który wszystkie swoje ofiary kazał balsamować i ustawiać w sali, a było ich czterdzieści dzie więć, nie wyłączając pierwszego ministra państwa, który u niego na służbie strawił swe życie, a został otruty jak inni przyjaciele, podwładni czy obywatele szalonego króla.

Czyżby i ten szaleniec balsamował (tylko zamiast ciał — głowy) i ustawiał je w swej sali dla zadośćuczynienia obłąkanym instynktom?

Tak, nie ulega już wątpliwości. Guran dostrzega w mgle gęstych mroków, które jakby nagle ożyły i zaczęły krążyć podobne prądom podmorskim, zarysy głów ludzkich zdobiących wierzchołki postumentów.

Raz...

Dwa...

Trzy...

Cztery...

Liczy je. Stoją obok siebie i niezbyt daleko jedna od drugiej. Wpija w nie swój wzrok natężony i coraz lepiej odróżnia kształty. Mającą jak rzeźby głów w galerii amatora i mecenasa sztuk trudniącego się zbieraniem arcydzieł rąk ludzkich. Tylko że to nie są dzieła rąk ludzkich, to nie są piaskowce, marmury, bazalty ani drzewo, brąz odlewu lub zwykły gips czy glina. To nie są rzeźby, lecz prawdziwe ludzkie, zmumifikowane głowy. I ten stół do przemawiania przed nimi?

Wirujące ciemności mącą mu obraz, głowy drgają...

Zapala latarkę, puszcza wąską, wążiuteńką strugę światła poprzez swoje zaciśnięte kurczowo palce obejmujące szkło latarki. Przesuwa nią po głowach, niczym skoncentrowaną uwagę po tematach zadań. Mumie głów.

Stoją, ustawione pod ścianami wielokątnej wieży.

Raz...

Dwa...

Trzy...

Cztery...

Wyglądają jak woskowe lalki, jak eksponaty w słynnych gabinetach figur woskowych.

Guranowi napływają wspomnienia: przypomina sobie grozę „gabinetu okropności”, gabinetów „tortur”, które widział w zagranicznych stolicach. Te same żółte, świecące twarze, do złudzenia przypominające żywe lub martwe, lecz prawdziwe.

Ale tu nie ma figur woskowych, tu są głowy zmarłych ludzi, skradzione przez Nieznanego dla jakichś eksperymentów i potem ustawione w tej obłąkanej galerii... po co?... dlaczego?...

Tam obok pracuje właśnie nad głową Pogonowskiego.

Cisza przerażająca...

Guran przesuwając nitkę światła z głowy na głowę i myśli:

A zatem mam do czynienia także i z obłąkańcem. Także — bo zapewne jest też i uczonym (jakkolwiek miał w tym momencie wątpliwości), oto napawa się widokiem swych ofiar jak ów król Ferrante, ustawił je pieczołowicie pod oknami, a sam siaduje — w wolnych chwilach — na środku sali i wpatruje się w nie, jak on teraz to czyni. Raz... dwa... trzy... cztery...

Guran obejrzał się ze strachem, ale nie — krzesło było puste, przy stoliku nie było nikogo.

Więc jednak sadysta lub obłąkaniec. Oświetlił teraz głowę ostatnią. W kółku wąskiego światła ukazało się oblicze staruszka doskonale zakonserwowane, staruszka niemal łysego, z mięsistymi uszami i piętnem braku inteligencji, a może i wykształcenia. Zdziwił się: jak to, przecież Nieznany poluje na głowy wybitne?

To nie była twarz należąca do człowieka parającego się pracą umysłową. Przeciwnie nawet: wyrysowane było w niej prostactwo bytowania poziomego, bezmyślnego i pozbawionego pragnień. Prawdopodobnie jedno miał tylko za życia pragnienie, i to zarówno w przenośni, jak i dosłownie, bo nos jego nawet po śmierci i zabalsamowaniu pozostał czerwony i z lekka zniekształcony nadmiarem alkoholu.

Przyglądał się jej uważnie i uprzytomnił sobie, że poprzednie były właściwie tego samego pokroju, z wyjątkiem może jednej, tej pierwszej, stojącej pod kloszem.

Wszystkie inne pozbawione były analogicznej ochrony od kurzu, zabezpieczającej przed niszczącym zębem czasu.

Wtem...

Z Guranem stało się coś ogromnie dziwnego, nie potrafił sobie na razie zdać sprawy z natury zjawiska, tonął w niewiedzy...

Co to?...

Światło jego latarki zadrgało na głowie starego pijaka. Patrzy. Opanowuje drżenie rąk, usiłuje unieruchomić kółko światła, by odpędzić halucynację.

Twarcz porusza mu się przed oczami, rysy chwieją się, stężenie ich znika, usta mumii jakby ożyły... mlasnęły językiem, jak to czasem dzieje się po dobrej drzemce... Halucynacja... nie... na Boga, to niemożliwe... Całe... tam... oblicze tkwiące na kolumnie, jak złośliwy portret złośliwego rzeźbiarza, nabrało nagle ruchu... budziło się ze snu.

„Nie, to niemożliwe. Co się ze mną dzieje?”

Guran złapał się za piersi.

Patrzy.

Głowa powoli uchyliła oko, powieka uniosła się nieznacznie w górę, zawisła na moment i raptownie podskoczyła, a za nią i druga. Teraz oboje oczu wlepione są w niego i... i... i... zmieniają się, błyszczą burzą uczuć, rosną z przerażenia, tak, najwyraźniej rozszerzają się trwogą.

Nagle z „zabalsamowanej” głowy wydarł się histeryczny krzyk: „Panowie, tu ktoś jest!”

Z otwartych ust wystawały żółte, zniszczone zęby. Gęba darła się, piszcząc: „Panowie, tu ktoś jest!”

Guranowi świat zawirowało. Runął na podłogę.

\*

Boczne drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Stanął w nich mężczyzna w białym lekarskim kitlu, sam ciemny, wysoki, raczej astenik, i zatrzymawszy się w gwałtownym ruchu, znamionującym wściekłość, krzyknął ostrym głosem: „Co się tu dzieje?!” Nasłuchiwał przez chwilę, jakby spodziewając się odpowiedzi, po czym wyciągnął rękę do kontaktu. Zapłonęło światło.

Nieznany, bo on to był we własnej osobie, na razie nie dostrzegł nic szczególnego, już

nawet dał wyraz zdziwieniu, które zaczęło rozlewać się po jego twarzy, gdy spostrzegł na podłodze postać, nieco zasłoniętą od niego krzesłem i stołem, leżącą bezwładnie na boku.

Widok ten zaskoczył go jak strzał z zasadzki. Stał nadal, ale już jak rażony pociskiem, mocując się wewnętrznie z nawałą sprzecznych emocji.

Usta ścięły się w lodowatą fałdę, nos zaostriął, brwi i oczy wyleciały w górę jak kamienie wystrzelone z procy, bladeść straszna rozlała się na policzkach, sięgnęła brody i czoła. Słysząc było chrzęst zwieranych pięści. Tak jak gwałtownie przyszło zaskoczenie, tak też raptownie pojawiło się opanowanie. Zmiotł wysiłkiem woli ze swej twarzy wszystkie objawy paniki, jakby zmiotł jednym ruchem ręki odrobiny kurzu z gładkiej powierzchni biurka, pozostało na niej tylko zdecydowanie. Gdyby go Guran ujrzał teraz, nie przyszłoby mu nawet na myśl, że przed kilku sekundami człowiek ten był przerażony.

Nieznany wczepił ponury wzrok w niego niczym kotwicę w muliste dno i zastanawiał się, co robić. Nie trwało to zbyt długo, krzyknął: „Homunculus, Homunculus...” Nasłuchiwał przez moment i znów: „Homunculus, Homunculus...”

Cisza wtórowała każdemu okrzykowi i nic i znikąd nie ukazywało się. Szczęście Gura-  
na, że był chwilowo poza zasięgiem zdziwień i strachów, bo gdyby słyszał owe wołania w noc, owe — Homunculus, Homunculus”, to być może zemdlałby po raz drugi. Co właściwie ten człowiek przywoływał czy kogo? Homunculesem nazwał przecież Faust człowieczka przez siebie sztucznie stworzonego. Dobrze, ale Faust jest bajką Goethego z udziałem diabła i cudów. Czego wszelako chciał ten żywy, z krwi i kości i bynajmniej nie bajkowy, nie znany nam człowiek, stojący wciąż we drzwiach?

— Homunculus, Homunculus! — nawoływał bez przerwy. Śladu wściekłości nie dopatrzyłby się nikt w jego twarzy ani nie dosłuchałby się jej w głosie. Był raczej podobny do spokojnego dżentelmena, beznamiętnie nawołującego swego sługę. Beznamiętnie, lecz i bezskutecznie.

— Homunculus!

— Homunculus!

Wreszcie gdzieś w odległych zakamarkach domostwa i w jądrze ciemności dał się słyszeć jakiś charkot, płynął odzew nieokreślony i nie do sklasyfikowania.

— Homunculus! — wezwał raz jeszcze Nieznany, cierpliwie i nie podnosząc głosu. Dobiegł go stukot nierównomierny, podskakujący, ciężki, walący po podłogach, przedmiotach, schodach, rosnący, potężniejący.

Wreszcie z drzwi prowadzących do wieży wynurzył się człowiek, jeśli to coś człowiekiem można by nazwać. Był to niewątpliwie człowiek, ale niegdyś, przed trepanacjami czaszki. Od razu widać było zniekształconą głowę, zniszczoną wielokrotnymi operacjami, zdeformowaną przez samą naturę lub rękami operatora. Spod kudłatej czaszki świeciły bydlęce oczy, pełne niepokoju, a utkwione wiernie i z wysiłkiem w swego pana. Tak właśnie patrzy posłuszny pies, usiłujący z większym lub mniejszym skutkiem odgadnąć sens słów, wezwań i odgłosów pana i władcy. Zatrzymał się olśniony światłem, zahuśtał się wahadłowo w ciężkich biodrach dając tym wyraz niezdecydowania i obawy, po czym podbiegł do człowieka w białym kitlu,

Homunculus widocznie nie potrafił poruszać się po liniach prostych. Jego chód był nonsensem z punktu widzenia celowości i ekonomii ruchów. Podobny był raczej do okrętu bezsilnie miotanego rozhukanymi falami, który zatacza się z boku na bok, kołysze gwałtownie w przód i tył, hamuje swój rozpęd na moment, by zaraz potem rzucać się na osłep w głąb otchłani.

Ten biedak wykonywał jeszcze dodatkowe a liczne ruchy rękami, barkami, głową, oczami, i chciałoby się rzec — każdym włosem oddzielnie, bo w czasie tego chybotania się i szastania jego nie strzyżone i obfite uwłosienie gięło się i fruwało we wszystkie strony.

Wreszcie dowirował do celu i stanąwszy zaryczał, wypatrując z nateżeniem, czego od

niego żąda Nieznany. Stał niby w bezruchu, a wszystko w nim dygotało. Ręce, opuszczone teraz bezwładnie wzdłuż ciała, dyndały miarowo, posłuszne wyłącznie zewnętrznym prawom przyrody: ciężenia i ruchu wahadłowego.

— Homunculus — zaczął powoli i dokładnie człowiek w białym kitlu — patrz! — Wskazał palcem na leżące ciało.

— Patrz!

— Patrz!

Poszedł wzrokiem za palcem, nie rozumiał, porykiwał żałośnie, prznosił wciąż głowę od swego pana do kąta za stolikiem i przestępował z nogi na nogę. Jego zupełnie siwe, a raczej osiwiiałe zawczasu włosy, bo nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat, spadały mu na oczy, odrzucał je przeto gestem głowy i bezradnie porykiwał.

— Patrz!

— Patrz!

Nareszcie dojrzał i pojął. Zabulgotał gardłem na sposób psującego się kotła parowozu i stracił głowę. Wyglądał jak zwariowany wiatrak, machający na oślep skrzydłami. Ogromne i pierwotne podniecenie objęło pożarem to bezmózgie ciało, nie wiedzące, co czynić. Pochylił głowę w kierunku Gurana i coraz głośniejsze ryki wydzierały się z jego krtani.

— Bierz! — rozkazano mu.

Rzucił się pośpiesznie i pracowicie, zawadził o krzeselko, potracił stół, który pojechał kilka metrów w bok, zamachał ramionami, zakolebał się nad ciałem Gurana, jeszcze raz zabulgotał pochylił się, wykrzywiając twarz w sposób wiadomy jedynie istotom, których centrala mózgowa przestała funkcjonować. Dało się słyszeć stękanie i Guran zwiśł bezwładnie na piersiach potwora o białych włosach. Wyglądali teraz jak kompozycja figuralna widziana w koszmarnym śnie. Zabrakło tylko muzyki Berlioza do „Pochodu na szafot” z Symfonii Fantastycznej.

Nieznany usunął się na krok od drzwi i dał znak głową, by Homunculus zaniósł swój ciężar do pracowni. Ten, gdy tylko to zoczył, zarzucił go na plecy i widać było, że przypomina wielbłąda, na którego grzbiecie dostaje się od nadmiaru kołysania morskiej choroby.

Zniknęli, a za nimi i Nieznajomy. Zgasił światło, zatrzasnął drzwi, nie poświęcając ani jednego spojrzenia struchlałym głowom.

Krzyk „Panowie, tu ktoś jest” obudził ze snu wszystkie głowy, ale ukazanie się człowieka w białym kitlu zamieniło je momentalnie w sojuszników ciszy, patrzyły tylko z niemą grozą na to, co się działo. Tkwiły, przez nikogo teraz nie zauważone, na swych niekształtnych słupach, nieruchome z natury rzeczy, a jeśli nie z natury rzeczy, to dzięki okolicznościom, które pozbawiły je ciała, a przeto i możliwości ruchu, strzelające tylko oczami za biegiem wypadków.

Ruch oczu na tle bezruchu samych głów nabierał niebywalej wyrazistości.

Gdy światło zgasło i drzwi się zamknęły, wybuchła wrzawa. Wszystkie głowy zaczęły gadać na raz i w najwyższym podnieceniu.

\*

Guran ponownie otworzył oczy, ale na chwilę. Był chory. Zwisając na swych przywiązanych rękach, z opuszczoną głową, czuł, że zbliża się ku rozpaczce. Nic nie rozumiał, nic nie wiedział, nie mógł wierzyć własnym oczom... nie... nie... — mówił sobie w duchu, kręcąc przecząco bezsilną głową — to niemożliwe... zwariowałem... słabo mi... związany jestem... Co to wszystko znaczy?... — Targnął się. Zapragnął straszliwie wody: pić, pić... choć kropelkę wody... pić... pić.

Och, po co ja tu przyszedłem... Czuł, że znów świadomość umyka mu gdzieś w jakąś niewymierną rzeczywistość i zaczął ratować się przed tym uczuciem. Świat znów drgnął w posadach. Guran jęknął i wysiłkiem woli zatrzymał go...

Przed sobą miał twarz obserwującą go zimno i ironicznie. Twarz surową, o fascynujących oczach, która skrzącinnie potrafiła ukrywać, że jest niebezpieczna, ale teraz czynić tego nie musiała. Więc redaktor „Postępów Wiedzy” mógł nasycić swoje oczy widokiem oblicza pełnego mądrości i okrucieństwa, oblicza, którego niewątpliwie należało się bać. W tej chwili wypisana była na nim wszystkimi palcami namiętności i władz jego duszy formuła: *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*.

Byłoby to oblicze niewątpliwie potężne, gdyby nie skaza okrucieństwa, która — jak pęknięcie na greckiej amforze — niszczyła piękno pierwotnej formy.

Jeśliby Guran był przytomniejszy, zadrżałby na ten widok. Miał przed sobą istotę o genialnym mózgu, jakie zdarzają się raz na stulecia, ale bez serca. Tu nie idzie o to, że gwałcił w sobie poczucie moralności, litości — on po prostu nie wiedział, co te wyrazy znaczą, nie czuł nigdy tych poruszeń wnętrza, które im odpowiadają; nie był niemoralny, gorzej, był amoralny! Dziwił się ludziom, że mają takie jakieś odruchy, pogardzał nimi, choć krył się ze swym mankamentem, uważał siebie za nadczłowieka nie tylko co do swej głowy, lecz i co do swej psychiki. Uważał się za silnego i był bez wątpienia silny w swoisty sposób, siłą maszyn, która miażdżąc, nie odróżnia, czy miażdży kamienie czy ludzkie ciała.

Był wspaniałym okazem człowieka złego. To znaczy: zimnego jak międzyplanetarna przestrzeń, silnego brakiem skrupułów i ludzkich uczuć.

Na codzien miał maskę, tu siedział bez niej: czysty rozum prześwitujący przez te ponure oczy iskrami wspaniale oszlifowanych diamentów.

Guran szepnął:

— Miałem halucynację.

## X

### GURAN W RĘKACH NIEZNANEGO

Szept ów przerwał zaczarowaną atmosferę, powrócił go z majaczeń i fantasmagorii do życia realnego.. Władze umysłowe, czekające na jakąkolwiek zbawczą pobudkę, uporządkowały się i zaczęły sprawnie pracować, pozostało jedynie nieznośne rozbicie psychiczne.

Uświadamiał sobie, że ma przed sobą twarz człowieka, na którego polował; uświadamiał, ale nie „ujrzał”, bo w momencie przełomu oczy jego odskoczyły instynktownie a blyskawicznie od niej i przeniosły się na otoczenie. Uczynił to ze zrozumiałej „jakby-tremy”, z jakiejś wstydlivości czy obawy, a może po prostu, by zebrać siły do zmierzenia się z przeciwnikiem (to byłoby zresztą rozsądne), dość że pierwszą rzeczą odbijającą się w jego świadomości była pracownia.

Stanowił ją bardzo obszerny pokój, jeszcze większy niż pokój w wieży, liczył na pewno około trzydziestu metrów kwadratowych i miał trzy okna na trzy strony świata. Dwa z nich Guran widział krążąc pod domem, trzeciego — od strony Wisły — widzieć nie mógł, bo zasłonięte było występem dachu i ścianami wieżyczki.

Część pracowni oddzielona była ciemną zasłoną, tworzącą coś w rodzaju oddzielnego kąta, tym szczególnego, że odgrodzzonego metalową kratą w rodzaju tych, jakie stosuje się w cyrku przy popisach z lwami.

Za kratą stał stół — również metalowy — z licznymi przyrządami, a nad nim tablica rozdzielcza, zegary, liczniki, wskaźniki i inne aparaty pomiarowe. W drugim rogu stał długi stół, zastawiony naczyniami i aparatami szklanymi, z kilkoma półkami wypełnionymi butelkami, słojami, retortami i niewiarygodną ilością próbek, zgrupowanych według jakiegoś schematu.

Po przeciwnej stronie całą ścianę zajmowały półki z książkami: głównie fachowe encyklopedie i monografie.

Podłoga kamienna, w dużą czarno-białą kostkę, świeciła nieskazitelną czystością, rywalizując z fosforyzującymi tarczami olbrzymiej maszyny, jakby szafy emaliowanej, uzupełniającej urządzenie naukowe pracowni.

Pośrodku stało biurko, również wielkie, ale niemal puste, jeśli nie liczyć kilku książek podręcznych w jednym rogu oraz zegara i kalendarza w drugim. Prawda, widniało tam jeszcze coś na środku i to okazałych rozmiarów: głowa starego Pogonowskiego, umieszczona na grubej podstawie, zaopatrzonej w skomplikowane przyrządy i tarcze, z których wybiegały rury celofanowe do owej maszyny-szafy z fosforyzującymi tarczami.

Głowa była martwa.

Widok ten oprzytomnił Gurana do reszty. Odetchnął głębiej i wyprostował się. W tej samej sekundzie usłyszał słowa:

— Myli się pan, to nie była halucynacja!

Spojrzeni sobie w oczy. Po raz pierwszy Guran nie wiedział, co ma odpowiedzieć, usiłował na razie ukryć swoją słabość. Nieznany ciągnął dalej:

— Miał pan najautentyczniejsze przeżycie, panie redaktorze. — Ostatnie słowo wypowiedział z naciskiem.

— A więc zna mnie pan? — zdziwił się Guran.

— Nie. Byłoby przesadą mówić, że (pana znam; wyjąłem panu z kieszeni portfel z dokumentami — pokazał przy tym palcem na przedmiot leżący na małym stoliku obok — i zapoznałem się z nimi; trudno, chciałem i musiałem, wiedzieć, z kim mam przyjemność, kto zaszczyca mnie nieproszonymi odwiedzinami. Wiem zresztą o panu ze słyszenia. „Postępów Wiedzy” nie czytuję, wybaczy mi pan, prawda? Nie bardzo mam czas na to, ale z nazwiskiem pana spotykałem się już.

I nagle, bez żadnych wstępów i przejść, bez pauzy, wyskandował głosem o zupełnie innej barwie i w sposób złowieszczy:

— Po co pan tu przyszedł? Dlaczego wkrada się pan nieproszony do cudzego domu? Po co w ogóle pęta się pan tu?

Zapanowało milczenie, którego Nieznany nie kwapił się przerywać, natomiast wykorzystał je do obserwowania twarzy Gurana. Szybko wyrobił sobie opinię o tym inteligentnym nerwowcu i wyraz pogardy ukazał się na jego ustach.

— Niech pan odpowiada, kiedy pytam!

Guran znów odetchnął głębiej i zrozumiał, że był nie przygotowany i na podobną ewentualność, i na podobną rozmowę. Jak, do diabła, ma się zachować i co ma mówić? Oprócz słabości zjawiała się w nim złość. Pokonał ją i rzekł:

— Trudno byłoby mi tak od razu odpowiedzieć, ciekawość, poza tym... co? Poza tym jest pan w niezgodzie z prawem — dokończył Guran.

Błysk ironii i pogardy zagościł na ustach Nieznanego.

— W niezgodzie z prawem, mówi pan, w niezgodzie z prawem; sądzi pan, że ja nie mam nic lepszego do roboty, tylko pilnować się przepisów prawnych. Prawo tworzą ludzie i ludzie je obalają i tworzą nowe prawa. Prawo! — wykrzyknął z szyderstwem — a czymże ono jest dla mnie? Przeszkodą w popychaniu wiedzy ludzkiej naprzód, przeszkodą w robieniu eksperymentów. I to jakich! Ja, proszę pana, wyrosłem ponad prawo, należę do rządu ludzi, dla których i dzięki którym prawa się zmieniało. Nie jest pan naiwny: jedni obalali prawa siłą i na ich miejsca stawiali nowe — to byli politycy; inni obalali je dzięki swej wiedzy, wynalazkom i odkryciom, które stwarzały nową rzeczywistość i rodziły konieczność nowych przepisów i nowej regulacji stosunków — to byli wielcy uczeni.

Dla mnie prawo jest przeszkodą. Nie przewidziało sytuacji, w której znalazłem się dzięki moim badaniom. Ja należę właśnie do drugiej kategorii ludzi.

Mnie prawo nie może wiązać. Rozumie pan? Nie może mnie wiązać. Wyrosłem ponad nie. Wiązanie mi rąk oznacza związanie nauki, hamowanie postępu; w dodatku jestem na tropie zasadniczych odkryć w dziedzinie biologii, istoty życia, a w każdym razie na tropie rozwiązania zagadnienia przedłużenia życia ludzkiego. Zmienię być może bieg historii i losy ludzkości, a pan wyjeżdża mi tu z głupim „prawem”. Chce mi pan nim omotać ręce, co?

Guran przełknął ślinę, zrobił to z wysiłkiem, pić chciało mu się ogromnie i gardło z trudem pracowało. Odparł:

— Na razie ja mam ręce związane. Chce mi się pić.

Nieznany zastanowił się i zrobiwszy nieznaczną i trudną do określenia minę, która oznaczała szybką decyzję, powziętą w trudnej sytuacji, rzekł:

— Poczekaj pan trochę, na razie porozmawiamy. Tak, związałem pana, i to osobiście, bo ten bezmózgi mój pracownik nie potrafiłby tego zrobić; potrafi tylko jeść, a może mógłby i zabić, ale niewiele więcej. Jak pan widzi, nie poradził sobie nawet z pilnowaniem otwartego okna kuchni. Zresztą na szczęście, bo kto wie, co by zrobił, gdyby przydybał pana w ciemnościach. Z samego strachu straciłby głowę i panowanie nad sobą, źle by wtedy z panem było.

Spojrzeni obaj na półludzką kreaturę. Homunculus, usłyszawszy swoje imię, zerwał się z kąta koło laboratoryjnego stołu i wlepił wiecznie wysilone oczy w Nieznanego.

Guran skierował tam wzrok właściwie w sekundę później niż Nieznany, bo dopiero zwabiony jakimś ruchem w kącie. Nie widział dotychczas Homunculusa i nie wiedział o jego istnieniu, więc wstrząs był znaczny i rósł z sekundy na sekundę w miarę przyglądania się nieszczęsnej istocie.

Może dosyć byłoby już niespodzianek na dzisiaj? — pomyślał. — Mam tego wszystkiego powyżej uszu. — Przyglądał się wszakże pilnie i rzekł wreszcie: — Zdaje się, że nie udało się panu lobotomia, poza tym ma wyciętą część mózgu. Dlaczego przeważa go pan Homunculesem?

Nieznany, jakby nie słyszał tych uwag, rzucił do Homunculusa jedno słowo: — Siadaj! — Po czym odwróciwszy głowę, kończył: — Tak, związałem pana osobiście. Ale właśnie dlatego z powodu straty czasu straciłem głowę Pogonowskiego.

Guran zdziwił się.

— Jak to, stracił pan? Przecież stoi na biurku.

— Lecz martwa już. Tym razem chyba naprawdę, panie redaktorze.

— Domyślałem się, że szuka pan żywych mózgów, że jest pan uczonym, ale teraz, po tym, co widziałem, nie bardzo wiem, co sądzić: o co panu idzie? O mózgi czy... po prostu... głowy, by... by zachować je przy życiu.

Nieznany potakiwał obojętnie.

— Nie trudno się domyślić, że to drugie, no więc poniosłem wielką stratę, cackając się z panem, straciłem głowę bezcennej wartości.

Obaj przeciwnicy zwrócili uwagę na głowę starca. Guran przy tym z niepokojącym uczuciem, jakby w tym krótkim czasie, od pierwszego spojrzenia do obecnego, zaszła w niej jakowaś zmiana. Rzekł:

— Wcale nie wygląda na głowę nieżywą.

Usłyszał:

— Niech pan patrzy i czeka. Zobaczymy, co będzie.

Skóra była żółta i pomarszczona, ale nie woskowa, a nawet jakby daleki odbłask rumieńców można było dostrzec na policzkach. Nie, stanowczo, głowa nieżyjącego człowieka robi zupełnie inne wrażenie. Lecz zanim Guran zdołał ocenić sytuację, już cień zmiany zstąpił na to czoło, oczy i policzki.

— Dziwne — mruknął redaktor. — Odnoszę wrażenie, że życie ucieka z niej dopiero teraz.

— Bo tak jest w istocie.



— Prawda — przyznał. — Przecież te rury celofanowe...

— Jak widzę, nieźle się pan orientuje — pochwalił Nieznany. — Tak, doprowadzam niemi płyn zastępujący krew, stwarzani sztuczne krążenie sztucznej krwi (po prostu płynu fizjologicznego z małymi domieszkami). Mózg oddycha.

Przerwał mi pan pracę, pod moją nieobecność krążenie ustało, widać awantura z panem trwała dłużej niż pięć czy sześć minut i stary pewnie umarł. Ano, poczekajmy, najbliższy kwadrans przyniesie odpowiedź.

Tymczasem w obliczu Pogonowskiego zachodziły szybkie przemiany, teraz już nikt nie miałby wątpliwości, że to trup.

Dla Gurana fakty tu obserwowane nie były rewelacją naukową, mniej więcej to samo, co robił Nieznany z Pogonowskim, mógłby robić każdy doświadczony uczonec z każdą głową ludzką i utrzymać ją przez kilka godzin — a może i kilka dni — przy życiu. Sam widok atoli był wstrząsający. Rzecz w tym, że żadna ludzka istota nie pozbawiona zupełnie skrupułów nie odważyłaby się na doświadczenie na ludziach; natomiast identyczne doświadczenia na psach były już robione.

A więc nie strona teoretyczna, naukowa była rewelacją, lecz fakt eksperymentów nad ludźmi. Jeśli zaś mowa o rewelacjach, to — owszem — były i one, ale tam, w wieży, i Guran postanowił za wszelką cenę wrócić jeszcze tam i do tego tematu.

Na razie był osłabiony, zmaltretowany i spragniony. Pić mu się tak chciało, że z trudnością odrywał oczy od kranu, widniejącego przy stole laboratoryjnym. Nie miał jednak zamiaru przypominać o tym po raz wtóry. Dostyc upokorzenia cierpiał z powodu tego, że był skrepowany jak baran i przytroczony do krzeselka.

Z tych niewesołych myśli wyrwało go oskarżenie:

— Pan jest winien jego śmierci!

Nieznany, mówiąc to, wskazywał palcem na głowę matematyka.

— Jak to, ja?

— No tak. Gdyby pan nie pchał swego nosa do nie swoich spraw, to Pogonowski żyłby i rozmawiałby ze mną, a zapewniam pana, że rozmowa nasza byłaby więcej warta niż pańskie wygłupianie się z „prawem”.

„Bać się go czy nie bać? — rozważał więzień. — Co on może ze mną zrobić?” Niestety, za wcześniej jeszcze było na powzięcie decyzji rozsądnej, więc sytuacja stawała się coraz niezręczniejsza i po prostu coraz niebezpieczniejsza. Nie odpowiedział więc na prowokację, siedział, słuchając słów Nieznanego.

— Czy pan rozumie? Ja ludzi uznanych za zmarłych powracam do życia.

Spojrzał krytycznie na redaktora, zrobił małą pauzę i dorzucił:

— Tylko że mi głupcy przeszkadzają.

Znów opończa ciszy opadła miękko na laboratorium na pustkowiu.

— Co mam z panem zrobić? — rzekł nagle i dobitnie Nieznany.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu, założył nogę na nogę odsuwając na bok lekarski kitel i zaczął roztrząsać kwestię na głos.

— Mogę pana, po pierwsze, zabić. Tak, mogę to uczynić i jeśli wypadnie mi z rachunku, że trzeba, to uczynię to na pewno. Pana prawdopodobnie dziwią moje słowa i różnie pan je komentuje. Ja wiem, że śmierć jest ważnym wypadkiem i pana rzeczywistość jest obecnie inna, zupełnie nie podobna do mojej. Redaktor przyjmuje moje słowa uczuciowo, nie jest w stanie przemyśleć tej ewentualności równie beznamiętnie jak ja. Zrobią to więc za pana.

Mogę zabić, o ile to się okaże najwygodniejszą alternatywą. Dlaczego by nie? Dla takich ludzi jak ja śmierć jednego człowieka nie jest ważna. Nie, nie jestem krwiożerczy, myli się pan, ani — sadystą, ani przestępcą, ani w ogóle czymś w tym rodzaju. Kieruję się rozumem i korzyścią mej pracy; sentymenty są dla kobiet. To wszystko. Ogromnie pan w tej chwili przecenia wartość swego życia. Nasze na przykład miary tego towaru są rażąco nie-

współmierne. Pan pewnie szacuje je już na całe skarby świata, a ja nie. Nie sądzę, by ludzkość wiele straciła na zniknięciu pana. Tak, niech mi pan wierzy — nie straciłaby wiele i nawet nie odczułaby uszczerbku. Jeśli pan pozwoli, to powiem: dziury w niebie nie będzie.

Nie przypuszczam, bym był cynikiem, po prostu jestem nieco inny niż większość ludzi, lecz moje stanowisko nie ma nic wspólnego z cynizmem.

Po drugie: mogę panu odebrać świadomość. Mam tu liczne trucizny. Nadawałyby się zwłaszcza te używane przez Indian brazylijskich. Odbiorę ją panu — i to raz na zawsze — i wypuszczę na wolność. Będzie pan mógł robić sobie, co tylko dusza zapagnie.

Po trzecie: mogę zastosować środki mniej gwałtowne, przychodzą mi nawet do głowy dwa warianty. Uzależniam swą decyzję wyłącznie od tego, co mi będzie wygodniej i korzystniej.

Pan, jako człowiek inteligentny, nie powinien mieć do mnie żalu, jakkolwiek zdaję sobie sprawę, że na próżno o tym wspominam, bo trudno w tej sytuacji o obiektywny sąd, a zresztą jest pan człowiekiem słabym i nerwowym.

Guran słuchał uważnie, zapomniał nawet zupełnie o pragnieniu, które dopiero co było najważniejsze... i zastanawiał się tym rodzajem namysłu, od którego ponoć włosy siwieją.

Myślał: Po co on to mówi? Jest mordercą czy nie? Zdolny jest do zabójstwa? Po co on to mówi? Tak, to na razie najważniejsze — po co on to mówi? Jaki ma cel?

Delektuje się?

Nie, jakoś słowa jego brzmią inaczej. Zastanawia się.

I to nie, w każdym razie nie wyłącznie.

Drugi raz tej nocy zaświtała mu myśl: to pozer. Człowiek teatralny. Nie w sensie ujemnym, tanim, oznaczającym słabość, ale — i niestety gorzej — w sensie potężnie egocentrycznym, znamionującym pychę w połączeniu z wrodzonym aktorstwem, i to na skalę chorobliwą. Grał w tej chwili, na nieszczęście wszakże był w stanie zamienić grę w rzeczywistość. Jak to wykorzystać dla swego ratunku?

Nieznany zapadł w zadumę naradzając się sam ze sobą lub — o ile miał już decyzję — przeciągając scenę z nie napisanego dramatu.

Guran wtórował milczeniem, szukając fortelu. Już chciał zacząć od wytknięcia mu aktorstwa, ale w porę ugryzł się w język: toć to byłoby dolanie oliwy do ognia próżności, nie mówiąc o obrazie; ludzie obrażają się bardziej, gdy trafiamy w sedno i nie ma co się dziwić, boć oznacza to jednocześnie trafić najboleśniej.

W ogóle każde przeciwstawienie się było teraz niewskazane nawet w najoględniejszej formie. Ostatni ratunek w ciężkich opresjach — humor, obrócenie w żart — był tu całkiem niestosowny. Pozostawał chyba intelekt.

Gdy myśli redaktora doszły do tego punktu, zrozumiał nagle, że znalazł to, czego szukał.

Zmusił się do uśmiechu, który zresztą ujawnił się tylko z jednej strony ust, i rzekł, przerywając jednoosobową naradę Nieznanego.

— Sądzę, że najkorzystniej dla pana będzie odłożyć decyzję na później, nie koniecznie na długo, powiedzmy — wystarczy na kilka godzin.

Uprzedzam pana, że to nie jest podstęp, nie chodzi mi o zyskanie czasu. Ja przyszedłem tu sam, nikt na świecie nie wie, gdzie teraz jestem, więc i nie spodziewam się odsieczki. Że nie kłamię, wywnioskuj pan z tego, iż gdybym był tylko jednym z wielu znających pana i tajemnicę pana, a także i adres, nie mógłby pan mi nic uczynić, bo zgładzenie mnie równałoby się morderstwu — prawda? Za kilka godzin zaś, gdybym nie wracał, złapano by pana i zasądzono na śmierć za morderstwo. Prawda? Gdyby nawet pan teraz uciekł, złapią prędzej czy później, a raczej prędzej niż później. Gdy władze bezpieczeństwa znają sprawcę, odszukać jego miejsce ukrycia nie jest takie trudne, pan zaś, jako uczonec, nie ma żadnego pojęcia o ukrywaniu się. Jeśli byłbym tylko wysłannikiem, to najkorzystniej dla pana byłoby poddać się

i odpowiadać ewentualnie za drobne, bądź co bądź, przestępstwo, jakim jest profanacja zwłok, i znacznie większe, jakim są eksperymenty nad ludźmi; lecz to ostatnie — w pana przypadku — staje się ogromnie zawiłą kwestią prawną i nie jest równoznaczne z morderstwem. Powtarzam więc: gdyby tak było, nie miałby pan żadnych innych szans, poza poddaniem się mi w imieniu prawa. Jasne? Więc nie kłamie i nie zaczynam z tej beczki. Jestem sam i jestem rzeczywiście zdany na pana łaskę. Ale to nie wszystko. Sprawa nie skończona.

Nie ma pan chyba złudzeń, że wreszcie znajdą pana jako człowieka robiącego wiwisekcję na ludziach i jako mordercę — jeśli spróbuje pan zabić mnie. Na jak długą metę oblicza więc pan swą grę, swoje życie i co najważniejsze — to podkreślam z całą mocą — swoje badania naukowe? Na jak długo? Tydzień? Miesiąc? Trzy? Cóż za różnica? Zresztą przestanie pan być uczonym, a stanie się zwykłym mordercą.

Ogromnie mnie zaciekawia, co pan tu robi. Przyznam, że to, co poznałem, przechodzi moje podejrzenia i oczekiwania. Sądziłem, że pan eksperymentuje nad tkanką nerwową, nad mózgiem, że pan wstąpił w ślady Pawłowa, Sherringtona, Adriana; okazało się, że pan pragnie czego innego, że chodzi pan po innych ścieżkach. To są sprawy doniosłe naukowo, powiedziałbym nawet — wstrząsające.

Chciałbym je poznać!

A może zdoła mnie pan przekonać? Może zapalę się i uznam, że należy przymknąć oko na legalizm?! Mógłbym wtedy pana obronić. Więcej: potrafiłbym obronić i ochronić badania, które pan prowadzi (rzecz prosta — nie na ludziach), zapewnić im ciągłość i trwałość. Jako martwy tego nie dokonam. Jako żywy mógłbym!

Nie mówię, że to zrobię, że mnie pan przekona, ale jest w zasadzie to możliwe.

Widzi pan, mówię prawdę. Jest pan zbyt inteligentny, by tego nie dostrzec.

Pokaże mi pan laboratorium, obejrzę, (podyskutujemy, ta noc wystarczy, byśmy doszli do jakichś wniosków. Szczyci się pan tym, że potrafi beznamiętnie działać i myśleć. Proszę — jest okazja. *Sine ira et studio!* Nie idzie o mnie ani nawet o pana, idzie o samą sprawę. To, co już widziałem, świadczy nie tylko o odwadze i — proszę wybaczyć — nieludzkości, ale niewątpliwie o genialności. Wyprzedził pan naukę współczesną. Jest pan fenomenem. Dlaczego tracić możliwość kontynuowania badań?

Przekonam się, czego tu więcej: nauki czy zbrodni. Mam wpływy w Polskiej Akademii Nauk, na uniwersytecie, jestem redaktorem pisma naukowego; mogę więc stać się rzecznikiem i obrońcą wyników naukowych. Jeśli nawet potępią pana, a to jest zresztą prawie pewne, to może uda się jakoś zwekslować doświadczenia na tory zgodne z prawem i ludzkością, może znajdziemy jedno, drugie czy trzecie rozwiązanie?

Jeśli zaś przedzierzgnie się pan w mordercę, któż da panu czas na wyjaśnienie tego wszystkiego? Trybunał sprawiedliwości? Obawiam się, że może mieć zbyt mało czasu!

— Podziwiam pana, redaktorze, ma pan dobrą głowę. — To były słowa Nieznanego. — Właśnie jeden z wariantów mojego projektu trzeciego był dokładnie tym, co pan rozwinął. Co więcej, zastanawiałem się nad nim, wybrałem go. — Spojrzał na głowę Gurana i szepnął: — Ma pan świetnie funkcjonujący mózg.

Od tego szeptu nieszczęsny redaktor uczuł, że nie ma już prawie głowy na karku.

Nieznanym był przez cały czas rozmowy spokojny i niemal nieporuszony, teraz zaś siedział wyprostowany, z obu rękami wspartymi na kolanach, przypominając hieratyczne rzeźby faraonów egipskich (tylko twarz jego z prostym nosem i bladą cerą nie pasowała do tego). Ważył propozycję.

— Zgoda!

Tym jednym słowem zakończył rozmowę.

— A teraz rozwiążę panu ręce. — Wstał.

W tym momencie Guran odpowiedział również jednym tylko słowem:

— Nie!

Nieznany zatrzymał się w rozpoczętym ruchu.

— Jak to nie? Nie chce pan, bym oswobodził pana? — I Nieznany zdziwił się po raz drugi tej nocy.

— Mam prośbę pilniejszą — rzekł Guran — proszę, by przedtem dał mi pan szklanke wody.

## XI

### GŁOWA POGONOWSKIEGO

Była głęboka noc. Za oknami wisiała granatowa zasłona nieba, migocąca gwiazdami. Guran powoli rozprostował ścierpnięte ręce. Rozcierając je, zaczął przechadzać się po pokoju, oglądając przyrządy, czytając pobieżnie na grzbietach książek ich tytuły, obserwując manipulacje Nieznanego przy celofanowych rurach i tajemniczej maszynie-szafie.

Natknął się też na siedzącego Homunculusa. Popatrzył nań ze strachem. Ten tkwił na stołku sztywno i nieruchomo. Osobliwy widziało się kontrast między ową katatoniczną nieruchomością w spoczynku a wahadłowo-wibracyjno-nieskoordynowaną metodą chodzenia i działania. Z lękiem odwrócił się od niego. Myślał: Na co zgodził się ten straszny uczony, na próbę ze mną czy jedynie na odroczenie egzekucji? Czy dobrze zrobiłem, że odkryłem mu, iż nikt nie wie, gdzie jestem? Jaki to dziwny pokój! Tamta na przykład zasłona za stalową kratą... Kto może wiedzieć, co za nią... A pokój sześciokątny w wieży... a dwie izby na dole za żelaznymi drzwiami... Co w nich kryje się?... Albo tu na przykład: licznik Geigera! Do diabła, na cóż mu licznik Geigera, czyżby liczył atomy w mózgu?

Rozbicie psychiczne powolutku ustępowało. Miał ochotę prostować się i przeciągać, lecz poprzestawał na wędrowaniu po kratkowanej podłodze. Po raz pierwszy zaświtało mu też pytanie: kto to jest? Spojrzał na Nieznanego, stojącego teraz doń tyłem licznych kontaktach, tarczach i wtyczkach maszyny. Nie znał go, nie widział go nigdy osobiście, lecz nieprawdopodobnie wydawało mu się, żeby nie słyszał o nim, żeby nie znał nazwiska. Przecież to jakiś warszawski profesor. Lekarz? Biolog? Neurolog? Nie ma ich wielu. Jakaś głupia historia! Nagle zatrzymał się, czyżby... czy możliwe, aby to był samouk, jakiś prywatny odkrywca? Wykluczone! Wiek samotnych i w dodatku amatorskich poszukiwaczy prawdy naukowej dawno minął. Nie ma dziś miejsca na przypadkowych szperaczy, jak w wieku XVII czy XVIII, a nawet XIX. Dziś wiedza jest tak skomplikowana, że nawet najgenialniejszy mózg nie potrafi wyrównać braku systematycznego szkolenia i zawodowych stosunków. Nie wierzę, by on nie należał do sfer uniwersyteckich. To profesor. Na pewno! No, nie czas jeszcze na zadawanie mu podobnie niedyskretnych pytań, czuję jeszcze ból przegubów, a do świtu sporo godzin.

Z aparatu dobiegały od kilku sekund ciche trzaski, rury celofanowe wypełnione były płynem krążącym między dziwną „szafą” a głową za pośrednictwem grubej podstawy, na której była osadzona. Nieznany obracał co chwila wzrok na głowę Pogonowskiego.

— Ma pan piękne laboratorium — zaczął Guran, ale nie skończył zdania, bo oto stan głowy zaalarmował go. Nie tylko zresztą jego, Nieznany również śledził z napięciem, co się dzieje.

Głowa stała w świetlistym kole, stworzonym przez specjalną lampę, i dokładnie ją było widać, ze wszystkimi szczegółami twarzy, na tle błyszczącej powierzchni biurka.

Obaj, zapominając o wszystkim innym, poskoczyli bliżej. Zwycięzać zaczynała zawodowa żądza ciekawości.

W umiejętnym oświetleniu, dającym zdecydowane kontrasty światła, mocne i gwałto-

wne cienie, rysy nabierały niesłychanej wypukłości i wyrazistości. Całość była do tego czasu jedną masywną nieporuszonością. Wtem usta zadrgały.

Po plecach Gurana przebiegł dreszcz elektrycznej iskry, podsunął się do samego brzegu biurka, oparł się rękami i wbił wzrok w głowę powracającą na łono życia.

Głowa — oddychała! Był to ruch płytki, ledwo dostrzegalny, ale niewątpliwy. Powoli stawał się wyraźniejszy, bardziej określony, głęboki i dłuższy. Teraz oto głowa, umieszczona na płycie jak na makabrycznym ołtarzu ofiarnym, oddychała spokojnie i równo. Policzki zabarwiły się kolorami. Trwało to wieki albo może tylko chwilę, Guran stracił poczucie czasu i nie potrafiłby — nawet gdyby tego zażądano — ruszyć się z miejsca. Dostrzegł w okolicach oczu drgania, siatka zmarszczek zadygotała jak powierzchnia martwej dotychczas wody pod uderzeniem wiatru. Rzęsy uniosły się nieznacznie, ukazując szparę oczu, i tak się zatrzymały.

Potem poruszyła się cała twarz, nie w pojedynczych drganiach kresek, lecz w zespólnym ruchu brwi, rzęs, policzków, nosa, mięśni szczęki i ust. Szykowała się do przebudzenia, a raczej do ucieczki od wiecznego snu. Nieznany obserwował widowisko spokojnie, znać było na nim rutynę, ale nie tylko to: nie wierzył widocznie w powrót świadomości.

Odezwał się (a głos jego dopłynął do redaktora jak z otchłani wieków i z przestrzeni kosmicznej):

— Nie, nic z tego nie będzie, to wszystko i tylko na chwilę. Zaraz zobaczymy regresję. Za długa była przerwa.

Głos ten przywrócił Guranowi równowagę. Wyprostował się, oderwał ręce — z pewnym wysiłkiem — od biurka i odparł:

— Jeśli pan tak twierdzi, znaczy tak będzie. Szkoda. Żałuję ogromnie, byłoby ciekawe...

Nieznany nie uśmiechnął się z tej widocznej naiwności oświadczenia, zrozumiałego zresztą ze względu na rodzaj przeżycia, tylko sprostował:

— Szkoda raczej mózgu niż sytuacji. A czegoż to pan się spodziewał? Rozmowy z Pogonowskim? Co by on panu nowego powiedział? Mnie — tak, bo ja oczekuję czego innego, ale panu? Nagada się pan jeszcze do woli dziś w nocy z głowami, nic niezwykłego w tym nie ma i nie będzie. Po prostu — nieprzyzwyczajony pan jest do sytuacji. To tak, jakby ktoś po raz pierwszy zobaczył morze. No, morze i kwita! Co w tym nadzwyczajnego lub nadnaturalnego? Lecz wrażenie wstrząsające — bo pierwszy raz, prawda? Zresztą nie tylko pan łyka ślinę z emocji, są sławni biologowie, którzy chcieli oddać własne głowy pod miecz gilotyny, by móc porozmawiać choćby kilka minut jeśli nie z tej strony, to z tamtej strony rozmównicy. Żałuję, że nie zetknąłem się z nimi osobiście, przyjąłbym ofertę.

W tym miejscu przerwał, głowa przestała oddychać, znów zastygła w kształt martwy.

— Dość tego, mruknął eksperymentator. — Wyłączył obieg w rurach celofanowych, poprzekręcał liczne kontakty i siadł w kącie.

— Pogonowski nie wróci.

Sięgnął po tytoń i fajkę, którą zaraz zaczął powoli nabijać, nie racząc zwracać uwagi na swego więźnia, ani na to, że stoi niezdecydowany, co dalej robić.

Zapalił zapałkę i przytknął, pociągnął kilka razy, zastanowił się nieco i rzekł, nie przezywając czynności.

— Homunculus, będziesz pilnował go — (wskazał głową na redaktora), po czym powtórzył to zdanie jeszcze kilka razy, dopóki kreatura, wirując jak bąk, nie dotarła do przeznaczonego obiektu, wlepiając weń oczy, ledwo zza siwej grzywy widoczne. Jęk zrozumienia wydarł się z jej krtani. Władca laboratorium zaciągnął się kilka razy, wyciągnął wygodnie nogi, oparł głowę na poręczu fotela i rzekł:

— Poza tym mam nadzieję, że jest pan, redaktorze, człowiekiem honoru i nie będzie usiłował robić mi głupich kawałów, dopóki trwa nasza umowa?

— Może pan być pewny.

— To dobrze, wierzę, zresztą wiem, że trzymać pana będzie na uwięzi więcej ciekawość niż pana honor i mój Homunculus. Pan jest intelektualistą, stworzeniem ciekawskim z natury, nie wyjdzie pan stąd, zanim nie przewącha, co się tu właściwie dzieje; nawet strach nie przewycięży tego. Zwłaszcza gdy przekona się pan, do jakich wyników doszedłem. Wyprzedziłem naukę, nie powiem — o setki lat, bo postęp jest dziś niebywale szybki, ale o lat dziesiątki na pewno. W wieku XVIII i XIX wiedza nasza posuwała się mozolnie, ale mniej więcej od siedemdziesięciu lat jest to już nie rozwój, lecz prawdziwy wybuch bomby naukowej, to już nie postęp, ale huragan postępu. Mimo to moje wyniki wyprzedziły wiedzę współczesną o trzydzieści lub pięćdziesiąt lat.

Mogę być dumny z tego i nie mam zamiaru udawać, że nie jestem: owszem, jestem dumny. Skromność nie jest zaletą, jest wadą. Ludzi, co prawda, drażni pewność siebie innych ludzi, więc można ukrywać ją dla celów taktycznych, lecz w głębi serca trzeba być pewnym siebie i dumnym ze swych dzieł, inaczej wpada się w hipokryzję. Pan, redaktorze, oczywiście pomyśli ze zgrozaniem: pycha!

A czymże jest pycha, pytam? Wadą? Nic podobnego — zaletą! Tylko że człowiek inteligentny wie, kiedy ją ukazać, nie obnosi się z nią na codzień i na każdą godzinę. Dawkuje ją zgodnie z potrzebami. Pycha nie jest tym samym co zarozumiałość małych głupców. Zarozumiałość jest śmieszna, pycha jest piękna i potężna. Jestem pyszny! Tak!

Parsknął jakoś przez nos, co miało wyrażać uśmiech, pogardę czy też ironię, i mówił dalej:

— Bawi mnie to trochę, bo ukrywając swe badania i wyniki, nie mogłem nigdy zaobserwować efektu, jaki wywarłyby na człowieku postronnym. Teraz zobaczymy: ma pan okazję i ja mam okazję. Dobrze się składa, że zna się redaktor trochę na tych sprawach, to i pogadać będzie można. Czy wie pan, że ja, poza życiem zawodowym, z nikim nie rozmawiam, nikogo nie przyjmuję, nikogo nie odwiedzam, żyję jak pustelnik. Tu w laboratorium nikt nie bywa, pan jest pierwszym gościem tych murów. Mam taką naturę, odpowiada mi odosobnienie, zresztą — prawdę mówiąc — ludzi nie lubię, a nawet nie cierpię. Ale od czasu do czasu chciałoby się jednak porozmawiać, podyskutować...

Mało sypiam, prawie wcale, właściwie głównie pracuję po nocach. Senny robię się dopiero koło godziny czwartej, piątej nad ranem, a i to nie zawsze; wystarczy mi, jak pośpię godzinę lub dwie, dłużej nie mogę. Zdarza się raczej, że usypiam nad obiadem w południe niż nad robotą o północy. Często w ogóle nie śpię. Zauważyłem, że inaczej pod tym względem funkcjonuje: inni długo śpią i długo czuwają, rozkładając życie swe na dwa tempa; ja, że tak powiem, „podsypiam” sobie po trochu, w nocy godzina lub dwie, a potem, w ciągu reszty dwudziestu dwu godzin, używam na drzemkę tu kwadrans, tam pięć minut, usypiam nad talerzem, w autobusie, nawet na spacerze. Nie mam wyraźnego podziału na sen i na czuwanie. Jakoś to u mnie się popsulo. Gdyby na przykład nie pan, to teraz zdrzemnąłbym się na dwie czy cztery minuty, automatycznie ocknął i znów zabrał do roboty.

Więc co to chciałem powiedzieć, aha, więc właśnie w nocy odczuwam czasem najdotkliwiej moją samotność.

Guran zanotował w pamięci, że „on” ma życie zawodowe; a więc jednak nie mylił się, tylko jakie? Wziął krzesło, do którego był do niedawna przywiązany, odsunął nogą sznury, leżące jeszcze na podłodze, przeniósł się w pobliże Nieznanego i rzekł:

— Ludzie bynajmniej nie są jednakowi, a czasem zdarzają się doprawdy zupełnie różni. Z pana też jest, jak widzę, okaz, że świecą szukać.

Nieznany zamknął oczy i gdyby nie widok czynnej fajki, można by sądzić, że wbrew przechwałkom usnął; nie odpowiedział i nie poruszył się, więc redaktor, odczekawszy nieco, chrząknął i zaczął dalej:

— Może byśmy tak od razu *ad rem*, dobrze? Wiem, do czego służy owo „poidło na kapelusze”, w którym niósł pan głowę Pogonowskiego. Chodzi panu o żywą głowę. Głowę

człowieka zmarłego można po amputacji całego ciała ożywić przez zastosowanie sztucznego krążenia. Umiera się na serce, na nerki, na żołądek i na tysiąc innych chorób, organ ten czy ów przestaje funkcjonować i człek idzie na tamten świat. Ale głowę można wtedy odciąć, głowa jest zdrowa, potrafi nadal działać i żyć. Dobrze: więc pan to robi (z jakich względów, nie wiem, mam nadzieję, że się dowiem), lecz aby donieść głowę w żywym stanie do laboratorium, trzeba specjalnego urządzenia.

Komórki oddechowe w korze mózgowej giną w pięć lub sześć minut po ustaniu oddychania. Im właśnie jest najbardziej spieszno, bo inne komórki i całe organy można przywracać do życia nawet w wiele godzin po śmierci; dla przykładu podam, iż udawało się pobudzić serce do pracy w dwadzieścia cztery godziny po zgonie pacjentów, a nawet i później! Można byłoby dość nie żyć i powrócić na łono ziemi, gdyby nie fatalna wrażliwość mózgu. Dlatego stawiał się pan tak punktualnie u wezłowania umierających. No, świetnie, dokonuje pan amputacji — nawiasem dodam, że w jakiś cudowny sposób i w niepojętym tempie przy użyciu własnej techniki, jakiegoś aparatu w rodzaju ręcznej, sprężynowej gilotyny. I teraz trzeba natychmiast wzbudzić krążenie. Do tego celu służy owo pudło, będące niczym innym jak podręcznym aparatem sztucznego krążenia, zawierającym mechanizm zastępujący serce i płuca. Dlatego jest — jak zauważyłem idąc za panem — takie ciężkie i dobrze się trzeba napracować niosąc je tyle kilometrów. Ale nie to mnie interesowało, nie mogłem wtedy, gdybym nawet chciał, podejść do pana i elegancko zaproponować pomoc w dźwiganiu ciężaru. Interesowało mnie co innego, a nawet muszę rzec, przerażało, i to tak, że wzbudzało niemal zabobonny lęk.

Przecież jeśli wstawił pan głowę Pogonowskiego do aparatu ze sztucznym krążeniem, to... to... Pogonowski ożył... to jego głowa... Powiedzmy od razu: niósł pan głowę, której wróciła świadomość. Niósł pan w tym przeklętym pudle na kapelusze głowę człowieka, który w tym czasie myślał!!

Nie mogłem znieść ohydy tego faktu! Wydawało mi się, że idą od niego sygnały SOS... SOS.. SOS...

Nieznany, nie otwierając oczu, odparł:

— Niech się pan nie podnieca, gdyby nawet, to co? Myślałby, że tak wygląda życie pogrobowe, zastanawiałby się tylko, czy jest w piekle czy w niebie. Pogonowski, jako matematyk, zastanawiałby się dodatkowo, dlaczego to niebo czy piekło ma ruch wahadłowy, i może zdążyłby ułożyć teorię o matematycznym pochodzeniu i strukturze życia pogrobowego.

Ale uspokoję pana, tak nie było. Do płynu fizjologicznego dodaję zawsze w tych wypadkach silnego narkotyku. Życie wraca, ale świadomość zostaje zamroczona. Bez niej świadomość pojawia się mniej więcej w pół godziny po zgonie, narkotyk opóźnia o godzinę. Dopiero tu u mnie, w gabinecie, na miejscu, zjawia się i ona... lub nie — jeśli głowa umrze mimo wszystko, a — niestety — często, za często się to zdarza. Gdy głowa jest kradziona, to nawet — jak dotychczas — zawsze! Powrót świadomości następuje u mnie na biurku. Tu zaczynam pierwszą konwersację. I muszę dodać, że reakcje tych ludzi, czy raczej tych głów ludzkich, są najdziwniejsze, jakkolwiek różne.

Więc zaspokoilem chyba pana humanitarne uczucia? Po prawdzie muszę jednakowoż zastrzec się: ja nie czynię tego bynajmniej z pobudek sentymentalnych, dla mnie uczucia tego rodzaju są obce, pogardzam nimi. Czynię to dlatego, że doświadczenie wykazało, iż głowy stan ten znosiły źle: albo ginęły, zabite strachem własnych myśli, albo dostawały obłądu. Obudzić się, przypomnieć sobie, że się umarło, stwierdzić, że się jednak egzystuje, lecz jedyną, co zostało z bytu, to świadomość, ciemność i ruch wahadłowy — widocznie było za dużo, jak na pierwsze doświadczenie „pośmiertne”. Znacznie łagodniej znoszą szok w pełnym świetle, widząc ludzką twarz przed sobą i szybko konstatując istotny, a nie urojony stan rzeczy. Zatem — mój panie — względy praktyczne, a nie idealistyczne.

Redaktor-detektyw miał w tym momencie nieprzepartą ochotę dowiedzenia się, kim jest

ów człowiek; rzucić pytanie: „Kim pan jest? Jak się pan nazywa?”

To wszelako nie miałoby sensu, wyczuwał, że za wcześniej na te pytania i że forma byłaby zbyt obcesowa. Lecz doprawdy, któż to mógł być? Jak potrafił się maskować w swym życiu „zawodowym”? To jednak musi być któryś z wybitnych warszawskich profesorów! Guran żałował ogromnie, że tak niewielu z nich zna osobiście. Zaprzagnął zgadywać: może profesor Lothar, wybitny doktor i wspaniały teoretyk? Może fizjolog profesor Topolski, profesor Byroń, profesor Traga? Może... Ale odpędził przedwczesną chętkę rozwiązywania zgadywanek, wprzód należało upewnić się, czy istotnie był profesorem i w ogóle był tak lub inaczej związany z uniwersytetem lub akademią.

Nagle przypomniał sobie, że istnieje w Warszawie Instytut Biologiczny im. Menockiego. Prawda! co za gapa ze mnie! Hm — pomyślał — jak wyjdę stąd z życiem, oblecę wszystkich profesorów. — Zaraz jednak zaczął strofować się (w ich imieniu) ze względu na wyrażoną w ten sposób myśl mimowolną o potencjalnym niebezpieczeństwie ludzi wiedzy.

Rzeczywiście: wiedza stała się potęgą. Największą potęgą świata.

Pytanie tylko, komu ma służyć: ludzkości czy jej wrogom? Tacy uczeni jak Nieznany dawali pole jak najgorszym przeczuciom.

Uczony współczesny jest więcej niż magiem, ośmieszył i zdeprecjonował sztuczki tych panów w czarnych, wysokich, spiczastych czapkach, mamroczących zaklęcia i pieczętujących się czarnym kotem. Wyrósł potężnie ponad nich. Aż zdumienie ogarnia, że rzeczywistość uczonego XX wieku jest bardziej fantastyczna niż fantazje nie urzeczywistnione alchemików, magów, wiedźm i czarodziejów.

Do czego zmierzają dziś uczeni, co mogą zrobić, do czego szykują się?

Strach ogarnia, gdy przypuścić, że ta niezmierna potęga może być wykorzystana przez osobników bez skrupułów, przez takich właśnie ludzi jak Nieznany.

Guran pohamował refleksje i wrócił do rzeczywistości.

Powiedział:

— No, to z pana twardy człowiek, ale mniejsza z tym. Chciałbym zadać panu pytanie, właściwie najważniejsze, centralne: po co robi pan te doświadczenia? Dlaczego głowy ludzkie? Czy nie wystarczały panu głowy psów?

Przy tych słowach Nieznany zerwał się na równe nogi, cisnął fajkę na stół i krzyknął:

— Ach, głupi karle! I pan to mówi, pan, którego rozum cenilem...

Wszyscy jesteście mali, potwornie mali, głupi i nikczemni... nikczemni swoim strachem, skrupułami, ach, kiedyż wreszcie spotkam człowieka nieustraszonego, bez serca, zimnego jak nagrobny kamień, ale z rozumem ostrym niczym sztylet, któremu będę mógł powierzyć moją tajemnicę, z którym będę mógł rozmówić się, myśląc tylko o zagadnieniu i nie potykając się co chwila o mazgajstwo i litość.

Podniósł zaciśniętą pięść w górę, stanął na środku laboratorium.

— Precz z litością, precz z uczuciami ludzkimi tam, gdzie w grę wchodzi wiedza i eksperyment.

Oczy gorzały mu jak dwa płonące stopy inkwizycji, ruszył ku Guranowi, a ten, zdjęty prawdziwą grozą, zaczął nieznacznie cofać się.

— Precz, mówię, precz z głupcami, mam dosyć tego wszystkiego. Precz... precz...

Urwał i stał tak jak wcielenie furii zahamowanej nagle czymś potężniejszym niż sama furia, potężniejszym niż wszystkie Erynie, boginie zemsty, córki nocy. Tymi kleszczami była widać jego wola, coś w jego wnętrzu, bo na zewnątrz żadnej przeszkody być nie mogło, a w najmniejszym stopniu stanowiła ją wielce wystraszona postać redaktora.

Ściął usta w wąską krechę, opuścił rękę, oddychał mocno, milczał, podniósł oczy szukając czegoś żrenicami w przestrzeni, potem zwrócił je na Gurana, pokiwał kilkakrotnie głową i zniechęcony wrócił do swego fotela. Sięgnął po fajkę, pociągnął kilka razy i po chwili zamarł w poprzedniej pozycji, wyciągnięty na wpół bezwładnie i z zamkniętymi oczami.



Cóż to za wybuch? Czy śniło mi się — myślał Guran. — Znów siedzi tak samo jak przed kilkudziesięciu sekundami, przysiągłbym, że cała scena była halucynacją. Co mu się stało?

Gurana łatwo było zaskoczyć, ustępował przed niespodziewanym atakiem, taką posiadał naturę; lecz wracał, wracał z uporem fali morskiej i niszczył przeszkody jak i ona, jej technika, powolna, niewidoczną, a pewną jak śmierć.

Był kontrastem Nieznanego. Miał podobnie żywy intelekt, ale był wrażliwy, chciał i potrafił walczyć o dobro, wyposażony był w wysokie poczucie moralne.

— Pozwoli pan, że i ja wyjawię swoje stanowisko — rzekł zachrypniętym ze zdenerwowania, ale spokojnym głosem. — Szczycę się, że jestem karłem. Nie potrafię na razie odpowiedzieć nic więcej.

Zamilkł.

Z kolei zaskoczenie spadło na Nieznanego: widać nie spodziewał się odpowiedzi, a na pewno już podobnej; otworzył oczy i począł przyglądać się dokładnie swemu oponentowi. Rzekł jednakowoż tylko to:

— No więc proszę, niech pan pyta dalej o te głowy, o co chodzi?

— Dlaczego nie wystarczają panu głowy psów? Dlaczego szuka pan... profesor...

Tu redaktor na ułamek sekundy zawiesił głos i rzucił badawcze spojrzenie na Nieznanego, lecz ten nie drgnął nawet, nie dał poznać po sobie, że tytułowanie go profesorem dziwi go, albo — myślał Guran — przyzwyczajony jest do takiego sposobu zwracania się, nie dostrzegł przy tym po prostu mojego podstępu i przyjął tytuł jako rzecz zrozumiałą, albo nie jest wrażliwy na zaskoczenie: to drugie jest nieprawdopodobne, każdy człowiek zareaguje na niespodziankę; a więc Nieznany jest profesorem! I ciągnął bez zająknięcia dalej:

— ...rozwiązania tajemnicy granicy między życiem a śmiercią na głowach ludzkich? Rozumiem, że opis wrażeń może być pomocą, ale nie tak wielką, by wolno było dopuszczać się ogromnego przestępstwa, jakim jest wiwisekcja — i to tego rodzaju — na człowieku.

Wszystkie dane poza tym można uzyskać tak samo na zwierzętach, jak na ludziach. Przypomnę tu choćby badania fizjologów radzieckich, Briuchonienki i Czeczulina.

Dlaczego nie wystarczają panu głowy psów?

— Dlatego, redaktorze, że ja nie szukam tego, o co mnie pan posądza. W każdym razie nie w tej wieży i nie w związku z eksperymentem nad głowami. Owszem, interesuje mnie również problem śmierci, życia i śmierci, granicy między nimi, ale to mam na dole, tam się zajmuję nimi, tu zaś sprawa jest inna. Znacznie prostsza. Właściwie niczego nie badam, w sensie szerszym, pragnę jedynie coś zachować, coś uratować — życie ludzkie!

Zaciekawiał mnie od wielu lat problem przedłużenia życia. Są różne ku temu drogi, badałem je i badam dalej, ale istnieje jedna, która dać może rezultaty zaraz, natychmiast, nie leży — tak jak tamta — w sferze ciągle utopii i marzeń, daje rezultaty zaraz i piękne obietnice na najbliższą przyszłość.

Umiera się zazwyczaj „na ciało”, bardzo rzadko „na głowę”. Co najpierw psuje się? Sam pan powiedział: arterie, nerki, serce, jelita, wątroba, płuca... prawda? No i pacjent umiera, a mógłby przecież żyć, bo głowa była cała i w porządku. Moje obliczenia wykazują, że głowa sama mogłaby żyć do dwustu lat albo i więcej, minimum sto pięćdziesiąt lat. A jaki jest przeciętny wiek człowieka? Dlaczego mamy pozwolić ludziom na umieranie w wieku czterdziestu czy sześćdziesięciu lat? Jeśli ktoś umiera młodo, powiedzmy z wypadku choroby zakaźnej lub coś w tym rodzaju, to dla niego perspektywa życia choćby „tylko” stu lat jest dość ponętna, by zgodzić się na bytowanie w postaci samej głowy.

Jak pan widzi, nie jestem tylko fantastą naukowym, jestem człowiekiem praktycznym. Tam, obok, w wieży stoją moje dowody. Po co mi więc głowy psów? Chcę przedłużać życie ludziom, a nie psom.

Zresztą to nie jest najważniejszy dział mojej pracy i nie bardzo się nim przejmuję. Tam

na dole jest mój Sezam. Dlaczego? Proste: tu w wieży nie dzieje się nic nowego, tyle, że odważyłem się na eksperymenty nad ludźmi; co zaś jest nowego: technika utrzymania głów, zapobieganie gangrenie, doprowadzenie do zabliznienia się rany — nie jest żadną rewelacją naukową, tylko talentem technicznym. Nawet te maszyny zastępujące serce i płuca nie są moim wynalazkiem, stosuje się je już na świecie od dość dawna, tylko dla nieco innych celów.

Najważniejsze, co tu uczyniłem, to odwaga sięgnięcia po głowy ludzkie. Więc, powtarzam, nie bawi mnie to specjalnie. Ostatecznie każdy zdolny lekarz, fizjolog czy chirurg jest dziś w stanie — i to wszędzie na świecie — zrobić to samo co ja. Z jedną tylko różnicą, znaczną z punktu widzenia praktycznego, ale dobrą — z naukowego, że nie utrzyma ich przy życiu dłużej jak kilka minut czy godzin. A ja mam głowy, które żyją u mnie po roku i dłużej.

Jak więc tu używać — powtarzam — głowy psów, kiedy chcę utrzymywać przy życiu ludzi, a nie psy.

I to ludzi wybitnych. Bo cóż to znaczy człowiek wybitny? Jego mózg, jego wiadomości. Nie myślę tu o wybitnych bokserach czy mistrzach bilardu. Jeśli tak, to dlaczego nie zachować tego życia, co oznacza równocześnie — zachować jego mózg, jego wiedzę, jego zdolności i talenty.

Niestety: o głowy ludzi nieprzeciętnych nie łatwo. Nie wystarczały mi głowy z prosektoriów. Musiałem zapolować w innych regionach. Narażałem się. Wpadłem. Wiedziałem, że tak się skończy. Ryzykowałem bez szans na wygraną, z wyjątkiem jednej jedynej: mogłem zdążyć uratować kilka wielkich mózgów. Miałem pewne plany co do nich, może je panu jeszcze zdradzę, sądziłem, że zdążę... teraz widzę, że nie zdążyłem.

Uratować głowę w warunkach, w jakich pracowałem, to znaczy kradnąc ją, śpiesząc się, w warunkach nieodpowiednich, niosąc ją długo w tymczasowym aparacie — było niezmiernie trudno. Rezultat jest taki, że mam cztery głowy, ale z prosektoriów, a żadnej, którą kradłem, nie uratowałem.

Widzi pan, ten dział jest najmniej ciekawy z punktu widzenia naukowego, bardziej — z punktu widzenia socjologicznego, psychologicznego i praktycznego. Uratowałem życie samym idiotom. Ano, niech pan idzie do wieży i trochę posłucha i popatrzy, sam się pan przekonaj. Za chwilę przyjdę do parna.

Homunculus, pilnuj go, zamknij drzwi prowadzące z wieży na schody, idź! — Znów zwrócił się do Gurana: — A panu radzę najpierw posłuchać ich rozmów w sposób niedostrzeżony, po prostu podsłuchać.

One mają niestety bardzo słaby sen. No cóż, nie mają ciał, nie trzeba tyle odpoczynku. Teraz, po wtargnięciu pana w ich obecne życie (zdarza im się w ogóle po raz pierwszy zobaczyć jakąś twarz ludzką poza swoją), na pewno są ogromnie podniecone i gadają bez przerwy. Zgaszę światło i wpuszczę pana tam. Niech pan wkradnie się cichaczem. Homunculus narobi tyle hałasu, że pana nie usłyszą, a jego nie boją się, spełnia przy nich różne posługi. No już.

Zgasił światło. Homunculus zawirował.

## XII

### WIEŻA GŁÓW (BIO-BIBLIOTEKA)

A więc znów wieża, znów światło księżycy, wlewające się, choć już nie tak gwałtownie, przez okna wysoko umieszczone, znów cisza i wreszcie chwilowa ślepotą. Homunculus po zatrzaśnięciu drzwi prowadzących na schody i przekręceniu klucza w zamku rozpląnął się w cieniach pokoju jak sól w wodzie morskiej. Był te ale obecny; znieruchomiał gdzieś i czekał,

zawsze czekał, by się coś działo; gdy nic się nie działo, on jakby nie egzystował, nie istniał, tracił byt i świadomość.

Guran, tym razem prędzej odzyskawszy wzrok, zorientował się w topografii: dojrzał stół na środku, nieco z boku krzesło, a tam w głębi cztery kolumny nieforemne z czterema głowami. Teraz padał na nie jakiś odbłask odbitych promieni księżyca. Widniały więc jak w szarej delikatnej świetlistej mgłę; wyłaniały się z mroku bez konturów, a jednak wyraźnie.

Cztery twarze ze starych obrazów Rembrandta.

Mistrz chiaroscuro \* zadrżałby z rozkoszy na ten widok, gdzie światło i cień malowały silniej niż kolory.

Lecz Guran nie był malarzem, poza tym znalazł się w zbyt szczególnej i skomplikowanej sytuacji, gdzie elementarna obawa o życie, podejrzenia co do równowagi psychicznej Nieznanego i fakty, które tu zastał, nie pozwalały cna kontemplacje estetycznej. Dlatego, zanotowawszy zaledwie na powierzchni świadomości ów efekt plastyczny, dopuścił do głosu inne momenty rzeczywistości.

Dobiegły go ściszone głosy. Zapewne głowy, po chwilowej pauzie, spowodowanej otwarciem drzwi do laboratorium i hałaśliwym wejściem Homunculusa, powróciły do przerwanej rozmowy. Oparł się o ścianę i zaczął słuchać.

Początkowo rozróżniał tylko jakąś sprzeczkę. Po chwili dopiero usłyszał wyraźnie.

— Panowie, panowie, znów kłótnia, a dajcie święty spokój, mnie jest tam wszystko jedno: tak? niech będzie tak, a nie? niech będzie nie. O co się kłócić?

Na to odpowiedziały chórem, acz nieskładnie inne głowy:

— Panu Franciszkowi to zawsze wszystko jedno; gdyby nawet wsadzono panu muchę w nos, to też będzie wszystko jedno. Pan nie ma o niczym własnego zdania.

— A po co mi własne zdanie — bronił się Franciszek. — Za życia nie miałem, to i teraz po śmierci mi nie potrzebne.

Na to dał się słyszeć głos nieco przytłumiony, jakby odleglejszy od tamtych, przemówiła widać głowa, stojąca pod kloszem.

Guran już za pierwszą swoją bytnością zauważył, że klosz nie przylega ściśle do podstawy, lecz stoi na korkach w czymś podobnym do rynienki, widocznie była to ochrona przed kurzem lub bakteriami i należało się domyślać, że Nieznany dbał o nią najwięcej, a może zresztą był to jakiś inny eksperyment.

Dość, że domyślił się, że to właśnie ta głowa włączyła się do budującej dyskusji.

— Znów zaczyna pan swoje, jest pan głupi jak but! Tysiąc razy tłumaczyłem, że to nie śmierć i nie życie pozagrobowe, a po prostu ucięto panu po śmierci głowę i żyje pan dalej.

— Aha — oburzył się Franciszek — niech mnie pan buja. Kto słyszał, żeby po śmierci obrzynali głowy i żeby obcięta głowa żyła? Taki pan mądry! Gada pan jak ten diabeł w białym fartuchu, który trzyma nas i męczy. Pan jest niedowiarek, mędrek, pan zaraz wszystko wie... naukowo... w piekło pan też nie wierzy, choć pan w piekle siedzi. Kto z nas głupi? Nie ja, ale pan. Jestem w piekle. Ale może to tylko czyściec i kiedyś się skończy...

— Idiota!

— Pan sam idiota!

Inne głowy odezwały się:

— Pan Hugon ma rację.

— Pan Hugon wie, co mówi: będziemy żyć wiecznie. Tylko do ciężkiej Anielki z taką jej wiecznością!

— Święta racja, panie Janie!

— Nie kłócić się, panowie!

Zapanowała cisza. Po czym jakiś głos rozpoczął monolog.

— Cholerne życie. Sam łeb na patyku, no i co z tego? Jeść nie można, bo nie ma się

\* Czyta się — kiaroskuro, światłocień (malarstwo).

brzucha, głowa zastrzykami karmiona, żadnej przyjemności. Ruszać się nie można, bo nie ma nóg, stój tu, człeku, jak nie przymierzając wiecheć lub strach na wróble. O, właśnie, byłbym galantym strachem na wróble, jakbym zamrugał nagle i wrzasnął, to wrony pospadałyby ze strachu. Pracować też nie można, bo człek nie ma rąk. Ani się kiwnąć, ani podrapać, ani położyć, ani wstać, ani jeść, ani się odwrócić, jak coś z tyłu huknie, ani się w ucho podrapać jak zaswędzi, ani się uklonić, ani.. Nic, tylko można język pokazać i gałami kręcić. Niechby drań wyrwał mi język i wyłupił oczy, to by już zostało samo myślenie... takie mu to ważne. Wszystko bym oddał, a pierwszą tę moją głupią głowę, żebym się mógł trochę poruszać. Chcę żyć, słyszycie do cholery, chcę żyć...

Rozległ się płacz i siąkanie nosem.

— Chcę żyć do cholery, a nie stać tu na patyku...

Inny głos zawołał:

— Panie Teofilu?

— A co?

— Mnie tam wszystko jedno, mogę stać i na patyku, co za różnica? Jak kara, to kara, wołę to niż ogień i smołę.

Znów siąkanie i płacz i znów — „chcę żyć, do cholery...”

Hugon krzyknął: — Idioci!

Inne głosy: — Ty sam idiota, patrzcie, jaki mądry, skąd się znalazł?

Jan: — Chcę żyć, do cholery...

Franciszek: — Mnie tam wszystko jedno...

Guran stał oniemiały i po nie wiem już który raz dzisiejszej nocy — zaskoczony. Przyrósł do ściany jak wieloletni grzyb przy znakomitej wilgoci i nie wierzył własnym uszom. — Oto — pomyślał — nieśmiertelność, a w każdym razie ograniczona nieśmiertelność głupców, opojów i zer ludzkich.

Głowy, zmęczone, przerwały na chwilę, natomiast dał się słyszeć hurkot od tamtej strony, to Homunculus puścił się naprzód swym pracowitym chodem. Wkrótce wyłonił się w świetle księżycy. W ręku dzierżył szczotkę z piór na długiej tyczce, podszedł do postumentów z głowami i w milczeniu zaczął je otrzepywać jedną po drugiej z kurzu. Tamte przyjmowały należne widać zabiegi toaletowe również w milczeniu.

Przed głową pod kloszem zatrzymał się i popatrzył. Nie było tego widać, ale źrenice tych istot, bytujących dziwnym trybem, spotkały się i... kto wie... może pozdrowiły się w swej nieludzkiej męce.

W tej sekundzie otworzyły się drzwi od laboratorium i gwałtowny strumień światła wdarł się do wieży. Głowy w panice zamaryły, przekształcając się w prawdziwe lalki woskowe. Homunculus zawirował pod ścianę i również zamarył z opuszczoną głową i opadającą na twarz siwą grzywą.

W drzwiach pojawiła się sylwetka Nieznanego.

Stanął na granicy światła i ciemności.

Milczenie ogromne zaległo przestrzeń, nikt się nie poruszył i nie odetchnął, nikt nie szepnął.

Jego ofiary i jego niewolnicy, bo trudno nawet odnaleźć słowo odpowiednie na określenie ich zależności, z drzeniem czekali na swego półboga, pana, władcę i eksperymentatora. Wyciągnął rękę, przekreślił kontakt. Zajaśniało światło i oblało swym blaskiem głowy, Homunculusa, stolik, krzeselko i Gurana.

Wszedł.

Spokojnym, pewnym i automatycznym krokiem podszedł do stolika i siadł. Odwrócił wzrok do Gurana i milcząco wskazał taboret, stojący pod ścianą, lecz blisko niego. Guran siadł mechanicznie.

Nieznany objął wszystkich pochmurnym wzrokiem i milczał. Oddychał. I to było jedy-

ne, co przypominało, że żyje, co było w nim ruchem. Na obliczu rysowało się zmęczenie, wielkie zmęczenie Tantalą.

Tantal, mityczny król frygijski, został za pychę ukarany przez bogów wiecznym pragnieniem i głodem. Stoi w Hadesie, greckim piekle, pod drzewem owocowym i pośród płynącej wody, ale niczego nie może dosięgnąć. Czyż Nieznany nie był Tantalem cierpiącym męki niezaspokojonych pragnień?

Tak, zaiste, to laboratorium na pustkowiu, ów dom bólu był piekłem nie tylko dla jego ofiar, ale i dla niego samego również. Jak ów król frygijski stał pośrodku tego wszystkiego i dręczył się. Dźwigał na sobie ciężar, który sam nałożył na barki. Gniótł go, wgniatał w ziemię, pochylał kark potężną pięścią. Ale on nie dawał się, ba, nawet nie rozumiał, w czym tkwiło sedno zagadnienia. To nie był człowiek zdolny dopuścić do siebie jakąkolwiek krytykę, nawet własną, nawet gdyby płynęła z wewnątrz i krzyczała — ratunku! Nie, ten głaz miał przecież i zalety głazu; mógł roztrzaskać się, rozpaść na tysiące odłamków, ale się nie uginał. Był jak bazaltowa skała, zahartowany w ogniu. Ciekawe, że nawet ta sześciokątna wieża nasuwała pewne refleksje, bazalt bowiem ma właściwość pęknięcia w słupy sześciokątne.

Ignorował obecność wszystkich i wszystkiego, obliczał coś w sobie. Reszta czekała w poddaniu.

Guran patrzył i widział to.

Wzdrygnął się, zupełnie tak samo jak o północy, gdy kulawy zegar zaczął wydzwaniać w kawiarni koniec jednej doby i początek drugiej. „Gdzie mnie ta noc zaprowadzi” — szepnął do siebie.

Nieznany siedział na środku, na prawo od niego, pod ścianą, w pobliżu drzwi do laboratorium siedział na stołku Guran; przed nimi sterczały cztery głowy na słupach, a dalej, na lewo, stał na własnych nogach oparty o ścianę Homunkulus; jeszcze dalej na lewo znajdowały się drzwi prowadzące do schodów.

Guran rozpoznał teraz, że kolumny owe były w rzeczywistości aparatami zastępującymi płuca i serce. W pełnym świetle widział szczegóły i domyślał się ich przeznaczenia, sposobu funkcjonowania. Zagłębił się w dociekaniach. Wyrwał go z nich głos Nieznanego.

— Zaczątki sztucznych ciał.

W pierwszej chwili redaktor nie zrozumiał sensu tych słów, rozważał aparaturę jako raczej skomplikowaną, mechaniczną pompę, a nie coś, co by było zaczątkiem ciał.

Nieznany dodał:

— Proteza! Dlaczego by nie? To tylko sprawa techniczna. Robiliśmy protezy nóg i rąk, dlaczego nie mielibyśmy robić protez całego ciała? Traciło się nogę — dostawało się protezę nogi, traciło się rękę — dostawało się protezę ręki; a dojdziemy i do tego, że jak straci się ciało — dostanie się protezę ciała. Nic nadzwyczajnego. Na razie, kiedy mamy tylko zaczątki sztucznych ciał, kontentuję się słowem „bio-biblioteka”, to znaczy biologiczna biblioteka, bo czyż mogę inaczej nazwać to, co pan ma przed sobą? — Wskazał ręką na głowy. — Te nieruchome głowy podobne są do książek na półkach. Jest to inny nieco sposób przechowywania wiadomości. Ma pan: tak oto wygląda moja bio-biblioteka. Słyszał ich pan? Piękne zainteresowania i pragnienia mają w tym nowym swoim życiu, nie ma co! Teraz chyba nie dziwi się pan, że postanowiłem szukać głów ludzi genialnych. Nie chciałem być właścicielem nędznej i kompromitującej biblioteki. Po cóż utrzymywać podobne głowy i podobne myśli?

Mam mnóstwo kłopotów.

Żywią je zastrzykami, dostają tyle białka, tłuszczu i cukru, ile trzeba, ale okazuje się, że brak przyjemności, jaką daje normalne jedzenie, wpływa ogromnie deprymująco; żywienie zastrzykami, żywienie przez doprowadzanie odpowiednich substancji wprost do krwi nie rozstrzyga sprawy całkowicie. Ciągłe marzą o kiełbasie i kotletach. Jest to jakaś niezrozumiała dla mnie obsesja. Nawet Hugon, najinteligentniejszy z nich (były pracownik Muzeum Narodowego), choć do tego nie przyznaje się, myśli o tym ciągle i snuje wizje zrazów à la Nelson i

czarnej kawy. Zastanawiam się nad rozwiązaniem tego problemu, nad wynalezieniem jakichś sztucznych rozkoszy gastronomicznych, lecz to najmniejszy kłopot.

Większy jest ze sprawą endokrynologiczną.

Do utrzymania poziomu inteligencji potrzebne są nie tylko komórki mózgowy, ale i — jak pan wie — hormony, albowiem układ nerwowy i układ wewnątrzwydzielniczy wpływają nawzajem na siebie.

Nie mają teraz ciał, a więc i większej części układu wewnątrz wydzielniczego, nie mają większości gruczołów dokrewnych. Muszę zastrzykiwać im odpowiednie hormony, a to nie daje dziś odpowiednich rezultatów.

Pan zaś orientuje się, że działanie gruczołów dokrewnych związane jest bezpośrednio z budową osobowości człowieka. Żałuję zwłaszcza tarczycy, dusza bowiem nasza idzie po ostrzu noża między nadczynnością i podczynnością tarczycy, a trudno mi ogromnie regulować to za pomocą strzykawki, małe jeszcze mamy tu doświadczenie i mało wiadomości.

Na szczęście najważniejszy gruczoł, przysadka mózgowa, umieszczona, jak nazwa wskazuje, w mózgu, a przezwana dla jej potężnego i decydującego działania — kapelmistrzem orkiestry endokrynologicznej, zostaje oczywiście nietknięta w czaszce i ratuje mi sytuację.

Mniejsza jednak o szczegóły.

Najbardziej gnębi mnie ich apatia. Pozostało im tylko myślenie, nic więcej robić nie mogą, i niech pan sobie wyobrazi, nie chcą robić i tego ostatniego, tego, co im jedynie zostało, nie pragną nawet myśleć! Rozmawiają rzadko, a jeśli nawet, to przeważnie o jedzeniu lub o kobietach. Nie pojmuję, jak się to dzieje. Zdawałoby się, że gdy odjęte im zostały wszystkie czynności, cały ruch, działanie, praca, akcja, odjęte wszystkie niemal wrażenia i możliwości, zdawałoby się, że gdy została tylko świadomość, myśl, to powinna niemal gotować się wewnętrzna dynamika, omal nie pęknąć od nadmiaru, a tymczasem co? Nie śpią, nie rozmawiają, nie myślą. Pojęcia nie mam, co się w ich głowach dzieje. Wszystkie nieodmiennie wpadają w zupełną prostrację.

Powiniennem wynaleźć przeciwko temu jakiś środek. Głowom musi się chcieć żyć i działać. Po to przecież prowadzę eksperymenty, w tym tkwi moja idea: życie samych głów warte tej nazwy, to znaczy życie intelektualne i aktywne przez intelekt. Po cóż szukam dla nich długowieczności a ofiarowuję dwieście lat bytu? Dwieście lat życia i działania! Po co? Po to, by gładzili o serdelkach i piwie? By kiśli na tych zimnych kolumnach jak zgniła pleśń? Po to trudzę się i narażam, po to ludzkość pielęgnowała wizję długowieczności? Po to Goethe napisał Fausta, a inni komponowali powieści o nieśmiertelności, po to uczeni umierali przy ryzykownych badaniach?

Ten durny pomiot sterczący na drągach działa mi na nerwy, lecz wiem dobrze, że to nie jest ich wyłączna wina, wina ptasich mózgów, wiem, że zło tkwi również w braku dokładnego rozwiązania problemu. Trzeba im dać sztuczny układ hormonalny, trzeba im dać sztuczne ciało, trzeba im dać sztuczne rozkosze, a nawet sztuczną miłość. I zrobię to wszystko!

Mówiąc, wpatrywał się z zawziętością w twarze nieszczęsnych ofiar, zakotwiczał w nich swój upór i wściekłość w rozwiązywaniu zagadnienia, czynił z nich tarcze swej nienawiści, symbole udręki; przelewał na nie wulkaniczność żądy przełamania barier odgradzających go od dokonania dzieła.

Jan, Teofil, Franciszek i Hugon (pod kloszem) wpatrywali się również szeroko otwartymi oczami w swego wodza i twórcę ich nowych losów. Żaden muskuł nie drgnął, żaden ślad przeżyć nie ukazał się na przerażonych obliczach. Wyzierał jedynie strach i bezsilność, która nie ma granic (bo nie ma nawet nóg, by uciekać), oraz nienawiść. Na próżno szukał w nich Guran choćby złudzenia ruchu, choćby cząstki tego, co się działo na twarzy umierającego po raz trzeci Pogonowskiego. Nic, tylko nieruchomość szkła, wyłączność jednego wyrazu, jaki widzi się w głowach woskowych.

Szalony profesor mierzył ich wzrokiem pogromcy, lecz po to jedynie, by odbił się od tych szklanych źrenic i trafił w niego samego. Był także swoim własnym pogromcą.

Guran podziwiał widowisko z boku i już wiedział...

Wiedział o czymś, o czym nawet Nieznany nie miał pojęcia, mimo że dotyczyło to jego eksperymentu, jego wysiłków i nawet filozofii; lecz redaktor nie podzielił się ową wiadomością, było za wcześnie, jedynie pomyślał: rozumiem dlaczego on nie pojmuje okropności podobnego żywota samych głów, dlaczego eksperyment prowadzi w tym właśnie kierunku. I dodał w duchu: O, poczekaj, przyprę i ja cię do muru!

— I zrobię to wszystko — powtórzył Nieznany, kończąc namiętą tyradę — będzie się wam chciało żyć i myśleć, odechce się wam być idiotami, staniecie się lepszym narzędziem niż istota cała z rękami, nogami i korpusem, skoncentrujecie się bowiem jedynie na myśleniu i zrobicie to lepiej niż oni. Przyszłość do was będzie należeć! Przekonam was o tym na razie teoretycznie, uczynię to zresztą zaraz, pojmiacie moje ukryte myśli i pragnienia, otworzę wam krainę przyszłości. Nim w praktyce dam wam wszystko, co będzie trzeba, uświadomię was, do czego zmierzam.

Wstał od stołu, wyprostował się i rzucił pytanie:

— Hugon, czy podoba ci się obecne życie?

— Nie, nie podoba mi się — padła stłumiona odpowiedź — pan nie wie, co pan czyni, to jest koszmar, to jest przestępstwo; prosiłem pana tyle razy: niech mnie pan zabije! O ile ten wyraz „zabić” ma jeszcze sens. Proszę wyłączyć aparat. Odebrał nam pan nawet możliwość samobójstwa, jesteśmy bardziej na pańskiej łasce, niż jakakolwiek istota jest na łasce natury. Powtarzam: nie, nie, i nigdy pan nie usłyszysz nic innego ode mnie tylko — nie! — Umilkł.

— Franciszek, czy chcesz żyć? — padło drugie pytanie, skierowane do sąsiedniej głowy.

— Mnie jest wszystko jedno, proszę pana, ale to nie jest dobre życie. Jeśli pan nie jest diabłem, a ta sześciokątna mordownia nie jest piekłem i nie cierpię za karę, to może nawet i nie jest wszystko jedno. Nawet lepiej byłoby zamknąć tę rurkę i byłby koniec naprawdę. — Skończył.

— Teofil, co wolisz: czy sto lat tego życia, czy rok tamtego?

— Jeśli pan pozwoli, to rok jest za dużo, wolę nawet miesiąc tamtego, tylko żeby było naprawdę i z jedzeniem, i z piciem i z ruszaniem się i w ogóle...

Nieznany przerwał i zwrócił się do czwartej głowy, do byłego opoja z czerwonym nosem.

— Janie, czy chcesz, bym ci teraz odebrał życie? Teraz, w tej chwili?

Nastąpiła pauza i przeciągała się, milczenie nabierało wymowy, wreszcie cienki głosik odezwał się:

— Proszę łaski pana, to już niech będzie śmierć, ale... ale... może kapichnę później... nie tak od razu... łapu-capu... niech się człek zastanowi... życia jest żal, ale i śmierć już nie straszna przy takim życiu... człek nie wie, co wybrać... to już niech pan może zadecyduje... najlepiej po cichu zakręcić tę rurkę, jak się nie będzie wiedziało...

Nieznany gestem ręki przerwał tę niebywałą ankietę i rzekł:

— Zmienicie zdanie. Za miesiąc lub dwa, o ile będę miał możliwość skończyć doświadczenia, powrócę wam dzięki moim zastrzykom część radości życia. Teraz zaś przedstawię wam obraz przyszłości, do której przygotowuję was, a jeśli nie was, to następców.

Nadejdzie kiedyś ów „nowy świat”, świat głów żyjących, posługujących się mechanicznymi ciałami. Stanie się to na pewno, bo poręcza nam to instynkt samozachowawczy: któż będzie chciał umierać, mając lat trzydzieści czy pięćdziesiąt, gdy da mu się okazję zachowania swej świadomości i bytu jeszcze przez lat sto czy sto pięćdziesiąt. W ten sposób kula ziemską powoli, ale systematycznie zamieni się w świat zamieszkały przez istoty częściowo tylko organiczne.

Coraz większa będzie ilość maszyno-ludzi, a coraz mniej ludzi naturalnych. W takim świecie będą dziać się cuda, o których teraz nawet nie marzycie. Na przykład wyobraźmy sobie głowę jakiegoś urzędnika, który idzie na urlop, a jest zamiłowanym wędkarzem. Zostawia swoje ciało pracownicze, które wtedy będzie specjalnie oczywiście skonstruowane do celów urzędowania, a weźmie ze sobą ciało wędkarza. Zresztą nie będzie go brał ze sobą, bo to byłoby niewygodne; zamówi je po prostu w hotelu, w którym się zatrzyma. Zamiast rąk będą wędki, zamiast nóg — pływaki do swobodnego ślizgania się po wodzie na podobieństwo plu-skwiaków wodnych (macie na przykład nartnika, który na swych chudych, długich i cienkich nogach śmiga po naszych stawach i sadzawkach jak akrobata), zamiast brzucha będzie pudełko z robakami na przynętę. Jakież wędkarz współczesny mógłby porównać swoje przeżycia z przeżyciami tego wędkarza przyszłości, śmigającego na własnych nogach-pływakach i używającego własnych rąk-wędek? Jakież piękne i emocjonujące staną się wtedy polowania na rekiny! Każda przyjemność, każda żądza przygód i sportu będzie zaspokojona w sposób niebywały dzięki twórczej inwencji i technicznej wynalazczości oraz potędze maszyny. Ludzie przyszłości będą obserwować mecze i zawody, o jakich dziś nie śni się nawet wariatom, będą świadkami tak gigantycznych i doprowadzonych do mechanicznej siły i perfekcji wyczynów, że obecne tabele rekordów i obecne widowiska i emocje są po prostu śmieszne.

Każda żyjąca głowa będzie rozporządzała tuzinem lub więcej ciał wyspecjalizowanych. Będzie miała: ciało-praca, ciało-auto, ciało-samolot, ciało-wędkarz, ciało-ogrodnik, ciało-żołnierz, ciało...

W tym przyszłym świecie ludzie młodzi, żyjący jeszcze we własnych organicznych ciałach, zazdrościć będą tym, którzy żyją już w ciałach mechanicznych: co za możliwości, co za przeżycia!

Przecież głowa plus maszyna będzie się równać nowej istocie, o wiele potężniejszej, o wiele trwalszej i zdolnej do o wiele potężniejszych przeżyć. Trudna będzie do zniszczenia (byle ochronić tylko głowę), łatwa do zamiany.

Lecz mylicie się, jeżeli uważacie, że! to byłoby wszystko. Są jeszcze inne możliwości, o czym zaraz będę mówił. Lecz już teraz mogę raz jeszcze powtórzyć, że gdy ujrzałem taką przyszłość — ucieszyłem się. Uznałem, że praca moja nie pójdzie na marne i nie stanie się jeszcze jedną osobliwością w gabinecie historii wiedzy.

Doprawdy, człowiek organiczny jest stworzeniem słabym, śmiesznym w porównaniu z tą przyszlą istotą, będącą dziełem nie tylko natury, ale i naszym własnym!

Dopiero wtedy istota owa stanie się prawdziwym zdobywcą tajemnic przyrody.

Mózg jest centrum wszystkiego, on myśli, on widzi i słyszy; reszta to są jego aparaty. My potrafimy dać mu aparaty potężniejsze i wyposażyć go w mechaniczne organy przewyższające zasięgiem i służbą organy i ciała organiczne, tak jak teleskop, radar i czołg przewyższa oko, ucho, korpus istoty biologicznej.

No dobrze, lecz — wreszcie spytacie — jak tym wszystkim poruszać, jak władać — gdy ma się tylko głowę?

Są dwa sposoby, oba praktycznie rozwiązywalne; pierwszy w zasięgu możliwości każdego zdolnego inżyniera i już zaraz; na drugi należy jeszcze nieco poczekać.

Drugi sposób opracowuję u siebie na dole.

Pierwszy jest techniczny, drugi organiczny. Pierwszy to komórka fotoelektryczna. Spytajcie fizyka, o co mi chodzi, a każdy zaraz wam wyjaśni.

Otóż wystarczy, by głowa wypowiedziała odpowiednie słowo, a dźwięk jego, zamieniany na impulsy świetlne lub elektryczne albo nawet cieplne, pobudzi w odpowiedni sposób komórkę fotoelektryczną, a ta z kolei uruchomi w odpowiedni sposób aparaturę mechaniczną, dźwigi, koła, przekładnie, transmisje i tak dalej. Głowa rozkazywać będzie swemu ciału i swym organom za pomocą głosu. Można by zresztą urządzić to inaczej, ale mniejsza z tym, dość że jest to sposób łatwy i dziś już wykonalny.



Tak więc stajemy wobec wizji zupełnie nieoczekiwanej, przedstawiającej nowy, przyszły świat w kształtach niesamowitych, lecz potężnych; wobec wizji, którą można zrealizować.

Przerwał na chwilę, przytknął dłoń do głowy, jakby się nad czymś zastanawiał, nie obdarzył przy tym obecnych ani jednym spojrzeniem i zaczął dalej:

— Ludzkość jest wciąż w embrionalnym stadium swego rozwoju w stadium organicznym, lecz ja już widzę nadchodzącą epokę narodzin nowego człowieka, człowieka mechaniczno-organicznego. Jak długo na nią będziemy czekać? Nie tak długo, jakby się mogło wydawać. Właściwie narodziła się już. Jesteście pierwszymi jej obywatelami. Przypuszczam nawet, że imiona wasze wejdą przez to do historii. W przeciągu najbliższych lat pięćdziesięciu nowa epoka ugruntuje się i sędzę, że narodziny wieku XXI kula ziemską przywita podwojeniem ludzkości i podzieleniem jej, na dwa szczepy, na dwa klany. Kto wie, czy największa wojna, największa rozprawa, jakiej świadkiem ma być historia, nie rozegra się właśnie wtedy, między maszyno-ludźmi a ludźmi. To możliwe: byłoby między nimi dużo spraw spornych i nienawiści, zwłaszcza ze elita żyłaby oczywiście już wtedy całkowicie w stanie maszynowo-organicznym, a plebs pozostałby w stanie pierwotnym, organicznym. Nie wykluczone nawet, że taką właśnie poprowadzi się politykę: proletariatu nie dopuścimy w ten sposób do siły i znaczenia, zmuszając go do bezwzględnego posłuchu i zależności. To wszystko jest kwestią najbliższych lat i niejedyn nawet stary człowiek doczeka chwili, gdy ujrzy na ulicy istotę-maszynę; pierwsze jaskółki zaczną bowiem zjawiać się już za lat dziesięć, najwyżej piętnaście, to znaczy mniej więcej w tym samym czasie, gdy uczeni innej dziedziny, astronautyki, wystartują po raz pierwszy w rakiecie międzyplanetarnej na księżyc. Przypuszczam nawet, że polecą tam nie ludzie, lecz głowy, którym łatwiej będzie znieść niedogodności (liczne) podróży międzyplanetarnej. I na pewno tak będzie z podróżami na inne planety, trwającymi całe lata i dziesiątki czy setki lat.

Zanim jednak nadejdzie ten czas, chcę stworzyć pierwszy na świecie gabinet żywych głów, w którym przechowamy najcenniejsze intelekty i najwyższą wiedzę. Chcę zebrać głowy uczonych, artystów, geniuszy i stworzyć coś w rodzaju żywego panteonu. Dopóki nie wyprodukujemy sztucznych ciał, niech żyją bez nich. Twórzmy bio-biblioteki. Ludzkość będzie korzystała z ich talentu i wiadomości, będzie szukać ich rady i pomocy. Dlaczego mają umrzeć i zginąć tylko z tego powodu, że ktoś tam miał kamienie żółciowe, a inny źle funkcjonujące serce? To jest przecież barbarzyństwo! Nie kamień żółciowy jest ważniejszy, ale mózg. A więc chcę wyrwać śmierci przedwczesnej głowy najcenniejsze, najwartościowsze, niech służą ludzkości. Twórzmy na razie bio-biblioteki. Zabronimy ustawowo umierać ludziom genialnym z powodu ciała. Pamiętajcie: mózg jest centrum zagadnienia. To nasza istota. Reszta jest do zamiany.

Skończył. Ostatnie słowa przebrzmiały echem w zakamarkach wieży i ulotniły się, pozostała uroczysta cisza. Nieznany przestał mówić, ale stał wciąż z ręką opartą na stole, zapałtrony w swój mechaniczno-organiczny świat przyszłości, wypełniony chrzęstem półżywych maszyn czy też półmaszynowego życia, zmierzający ewolucyjnie do ostatecznego oplatania tkanką mózgową świata martwej przyrody; w świat, w którym tkanka nerwowa, wypłynąwszy poza własne ciało, a nawet poza czaszkę, wniknęła w konstrukcje martwe, stworzone uprzednio własną inteligencją, w aparaty, maszyny i przyrządy, i połączyła je ze sobą; w świat, w którym owa tkanka, chroniona już nie czaszkami, lecz kloszami z plastiku przezroczystego i trwałego, zapewniwszy sobie długotrwały byt — a przeto i możliwości realizacyjne nabytej wiedzy — podejmowałaby dalsze podboje przyrody martwej; w świat, w którym na pewno doszłoby wreszcie do łączenia mózgow szeregowo na kształt połączonych baterii elektrycznych (dlaczego by nie?) dla spotęgowania ich działania i przewyciężenia niedoborów indywidualnego życia intelektualnego — słowem — w świat dla nas nie do pojęcia.

Na skroniach Nieznanego, wzburzonego energią wewnętrzną i napięciem wizji, ukazały

się krople potu, na bladej twarzy o kamiennej nieruchomości można było odczytać coś jakby radość.

Okna straciły już swój granatowy kolor i poszarzały zbliżającym się świtem.

Wreszcie zelżało w nim coś: pochylił się nieznacznie, powrócił do rzeczywistości i spojrzął na swoje audytorium. Potoczył wkoło źrenicami.

Cztery głowy utraciły wszelki blask życia, od dawna wyczerpane, znudzone i apatyczne nie słuchały, nie rozumiały, prawie nie egzystowały. Miały zamknięte oczy, puste oblicza — a nie trudno się było domyślić, że w tej chwili i puste mózgi. Szarzały w mętym świetle, padającym z góry na ich czaszki. Pierwsi obywatele nowej epoki: Jan, Teofil, Franciszek, Hugon.

Homunculus stał wciąż pod ścianą, w tym samym miejscu i w tej samej pozie, ze szczotką w dłoni, z przedwcześnie osiwiałymi włosami, spadającymi na oczy i twarz.

Guran siedział na swym stołku, z nogami wyciągniętymi przed siebie, a plecami opartymi o ścianę, z obu rękami w kieszeniach marynarki. Powiedział:

— Gratuluję, panie profesorze; dawno nie słyszałem czegoś podobnie podniecającego. Ale a propos, właściwie jakim pan hołduje poglądom naukowym i filozoficznym w sprawie życia organicznego?

Nieznany ocknął się, zupełnie jak gdyby ze snu lub omdlenia, widać niemal było, jak powraca szybko do terażniejszości i do... przytomności.

Wbił się źrenicami w źrenice redaktora, niby kotwicami szukającymi rozpaczliwie zaczepienia dla statku beznadziejnie dryfującego na skały. Nie odezwał się ani słowem i wyglądało, jakby w ogóle nie zamierzał odzywać się: nic, tylko patrzył nań jakby z głębokim zdumieniem.

Guran, który w czasie wykładu odzyskał całkowicie spokój i pewność siebie i — co niemniej ważne — zdobył opinię własną o tym, co się tu dzieje, postanowił — nie otrzymując odpowiedzi — zacząć z innej strony.

Nie wyciągając więc rąk z kieszeni rzekł:

— Gratuluję, profesorze. Jest pan współczesnym Faustem, doktorem Faustem dwudziestego „wieku. Przejdzie pan do historii jako członek tej rodziny Faustów, nie połączonej krwią, lecz czymś mocniejszym — wspólną ideą, charakterem, namiętnością i wspólnym losem. Dawny to ród i wiele napisano o jego drzewie genealogicznym. Jestem pewien, że znajdzie się tam miejsce i dla pana.

Nieznany usłyszał to. Nic dziwnego, Guran po to właśnie powiedział owe słowa, by je usłyszał; znał już swego przeciwnika, wiedział, że ten genialny profesor jest despota, do którego prowadzi tylko jedna jedyna furtka, odmykana cudzą, a nie jego wolą: jest nią pochlebstwo. Pochlebstwo było tym niezawodnym guzikiem, którego przyciśnięcie otwierało do niego dostęp i zmuszało przynajmniej do słuchania.

Po wtóre nie wypowiedział pochlebstwa płaskiego i ordynarnego; na taki kawał nie można było brać podobnej umysłowości. Lecz Nieznany był rzeczywiście współczesnym wcieleniem Fausta i musiał o tym dobrze wiedzieć, a nawet nieraz zastanawiać się nad tym.

Odparł:

— Dziękuję za uznanie, tylko nie jestem pewien, co właściwie ma pan na myśli, bo Faust i problem faustyczny jest kwestią obszerną.

Guran wyjaśnił. Tamten Faust szukał pomocy diabła, dodam — melancholijnego diabła, w osobie Mefistofelesa, pan zaś szuka pomocy w nauce i to jest pana nad tamtym przewaga. Lecz to nie wszystko, panie profesorze, doprawdy nie wszystko, jednak — jednak diabeł pozostał; nie taki z rogami i ogonem, i nawet nie taki, jak ów książę ciemności, ale nieco inny; otóż ten diabeł siedzi tym razem w panu, nie wyskakuje zza fotela ze słowami: „Oto jestem!” — ale z serca. Mógłbym, go nazwać ogólnie innym imieniem: Przeszkoda.

Teraz diabeł alias przeszkoda tkwi w panu, nie w wiedzy. Działa w tym laboratorium

nie tylko wiedza, działa też i pan, pana poglądy i idee, filozofia. Dlatego pozwoliłem sobie spytać się, jakim pan hołduje poglądom naukowym i filozoficznym na życie organiczne.

Obawiam się zresztą, że Goethe tworząc swego Mefistofelesa czynił go na wzór — przepraszam, że to powiem — pana! Ulepił według tego wzoru nie tylko Fausta, lecz i Mefistofelesa także.

Nieznany uniósł lekko jedną brew do góry, usiadł powoli na krzeselku i złożonywszy ręce na krzyż na piersiach zdziwił się: — No, no, ciekawe, proszę, niech redaktor ciągnie dalej.

— Tak, na wzór pana. Biorąc bowiem dramat Goethego poważnie, widać jak na dłoni, że jego diabeł jest tylko teatralną personifikacją ducha negacji, zaprzeczenia.

To nie jest jakiś upadły anioł czy coś w tym mitologicznym guście, to — według własnych słów poety — jest uosobienie najwyższego sceptycyzmu, niezdolnego nawet do odróżnienia faktów prawdziwych od nieprawdziwych, czynów wysokich od niskich i dobrych od złych; jest to, jakbym dziś powiedział, wiedza i potęga bez celu, bez miary, bez motywu, z wyjątkiem jednego: ambicji, owej ambicji żądzy poznania, co jest ostatecznie — samo w sobie — cechą egoistyczną. Pan nie wierzy w żadną ideę, tylko w swe wiadomości, pan nie wierzy w ludzkość! Czyni pan to nie dla niej, lecz przeciw niej!

Nieznany przerwał mu stanowczo:

— A cóż to za demagogia, wie pan, nie spodziewałem się usłyszeć od pana podobnych idiotyzmów. Ludzkość? A co to jest? Idea? A cóż to jest? Bardzo piękne porównanie i bardzo głupia myśl.

Oblicze Nieznanego stało się agresywne i odpychające. Wpatrzył się w Gurana tak, jak dyrektor ogrodu zoologicznego ogląda jakiegoś niskiego gatunkowo zwierzaka o nikczemnej posturze i ogromnie śmierdzącego.

Rzekł:

— Pogardzam panem. Humanitaryzm nie jest niczym innym, jak nikczemną słabością i jeszcze nikczemniejszą głupotą. Istnieje tylko jedna moralność: moralność panów. Śmiejecie się z tego, z wiary w nadczłowieka, istoty, która stała się wielka dzięki samouwielbieniu, dzięki woli mocy, dzięki podeptaniu uczuć rzekomo ludzkich, jak miłość, litość, wspaniałość, myślność. Śmiecie się, śmiecie się, ale przyszłość należy do nas, zapanujemy nad wami, choć nas jest tylko garstka, a was cały ocean. Przyjdzie dzień, gdy wreszcie roztoczy się nad wami czarna noc, która się już nigdy nie skończy, a dla nas wszędzie słońce wolności, zerwiemy kajdany, wymyślane chytrze przez czerń słabeuszów i głupców dla spętania naszych silnych rąk i nóg, kajdany moralności niewolników i plebejuszów. Ale przyszłość należy do silnych, do nas. Co raz i drugi się nie udało, uda się innym razem. Nasza doktryna i nasz klan są nieśmiertelne.

Istnieje tylko siła. W Fauście podoba mi się to, co jest siłą, a obrzydzenie sprawia to, co jest słabością.

Ale skąd tu droga do tej śmiesznej paraboli z diabłem i do tej patetycznej wiary w ludzkość? Nie rozumiem pana i obawiam się, że pan sam siebie nie rozumie również.

— Rozumiem.

— To w każdym razie nie potrafi pan tego nikomu wytłumaczyć.

— Potrafię i mam przekonanie, że nawet panu wytłumaczę.

— Chełpi się redaktor, to są przechwałki.

Guran wyciągnął ręce z kieszeni i robiąc uprzejmy gest w stronę rozmówcy rzekł:

— Mniejsza z tym, dojdziemy do sedna kontrowersji powoli, jest ona poważna i nie da się wyczerpać w jednym zdaniu. Innymi słowy, w sprawach subtelnych nie należy stosować taktyki gruboskórnej w rodzaju chwytania byka za rogi. Mamy odrobinę czasu i jeśli pan pozwoli, zacznę od naukowych motywów pańskich badań.

Guran pomedytował nieco, uśmiechnął się i powiedział:

— Uczeni orzekli, że przeciętną granicą życia winno być sto pięćdziesiąt lat.

To nie jest kwestia bynajmniej tylko osobistej przyjemności, lecz zarazem kwestia o wprost rewolucyjnym znaczeniu ‘dla przyszłości cywilizacji i rozwoju gatunku ludzkiego.

Otóż człowiek dzisiejszy uczy się długo, bardzo długo, by zostać fachowcem lub uczo-  
nym. Gdy się wreszcie czegoś nauczy, spostrzega, że czas umierać, że stracił życie na pochłanianiu, a nie starczyło go na tworzenie.

Wyobraźcie sobie, co by się działo, gdyby Newton żył sto lat dłużej, gdyby to samo uczynili wszyscy uczeni świata, zmarli w trzydziestych czy czterdziestych latach swych żywotów; gdyby Kopernik zachował młodość tak długo choćby jak łoś, który żyje sto lat, a Einstein czy Leonardo da Vinci żyli jak meksykańskie cyprysy, to znaczy po 10 000 lat każdy.

Nie, nie starczy nam wyobraźni dla przedstawienia sobie tej odmiany świata, jaka by wtedy nastąpiła.

Ludzie pragną żyć dłużej, ale jest jeszcze coś ważniejszego: ludzie powinni żyć dłużej. Rzeczywiście jest to jedno z najważniejszych zadań stojących przed nauką, a kto wie, czy wprost nie najważniejsze! Tylko dlatego, że biologia i nauki pokrewne nie weszły jeszcze w fazę heroiczną swego rozwoju, sprawa ta spała dotychczas snem przedwiecznym. Ale to kończy się. Przystępujemy właśnie do walki. Pan jest jednym z tej armii, co więcej — człowiekiem obdarzonym geniuszem naukowym. Ale...

Tak, panie profesorze, mogę w tym miejscu postawić wielkie ALE...

Ale jaką drogą chce pan dojść do rozwiązania. Otóż celem pańskim jest jakaś gigantyczna proteza, gdy celem słusznej drogi winna być żywa materia i...

— Zamilcz pan!

Był to głos Nieznanego przerywający mu w pół zdania.

— Nie jestem przyzwyczajony do słuchania bredni — dodał. Powstał. Skierował się ku drzwiom prowadzącym do schodów, rzucając rozkaz: — Proszę za mną.

Redaktor pociągnął w zamyśleniu i odruchowo palcem po nosie, zawahał się i spełniając rozkaz, ruszył za nim. Miał podejrzenie, że w tym niewątpliwie genialnym uczo-  
nym rozwija się szaleństwo, jeśli tak, to próba dyskusji stanowiła błąd, a nawet więcej — głupotę. Żałował swojej nierozwagi.

Za tą parą zawirował Homunculus.

Gdy zeszli na dół, Nieznany otworzył kluczykiem, który wyjął z kieszeni, żelazne drzwi z kartką „Dział I” i wpychając redaktora do środka, powiedział:

— Zostawię tu pana aż do mojego powrotu. Postudiuje tu sobie redaktor i pomedytuje; kraty i drzwi są mocne, więc raczej, gdyby zapragnął pan wolności, doradzam krzyk; co prawda tu jest dzikie odludzie, a głos nie dotrze stąd nawet do murów otaczających podwórko, ale proszę spróbować i poćwiczyć się. Wszakże nie radzę denerwować Homunculusa.

Pociągnął powoli ciężkie drzwi i zamknął je za sobą, pozostawiając zmaltretowanego jeńca w rzedniejącym półmroku, dość przecie gęstym ze względu na nieprzezroczyste szyby.

Dobiegły go jeszcze odgłosy oddalających się kroków i jakichś rozkazów wydawanych widać Homunculusowi, po czym zapanowała absolutna cisza.

Guran na razie usiadł na podłodze. Po chwili stał się pastwą niewesołych myśli, które jak czarne stado sępów otoczyły jego głowę. Mijały godziny.

Skończyła się noc z piątku na sobotę.

### XIII

#### SALA UCIEKAJĄCEJ ŚMIERCI

Było już zupełnie jasno, gdy Guran ocknął się z półsnu i pół-oszołomienia. Wstał z trudem, czując ogromne zmęczenie w członkach, gorycz w ustach i zamęt w głowie. Pokuśtykał, rozcierając po drodze ścierpnięte nogi, do drzwi. Spróbował: zamknięte; zbliżył się do okna: nie otwierało się, nic tylko krata i nieprzezroczysta szyba. Usiadł zniechęcony na wysokim trójnogim stolku i zaczął oglądać swoją tymczasową celę więzienną.

Był to obszerny pokój z podłogą wyłożoną linoleum i posypaną trocinami, ścianami białymi jak sufit i zupełnie nagimi. Przenikał go ostry zapach formaliny. Poszukał oczami: rzeczywiście w kącie stała wanna ze zwłokami przygotowanymi do sekcji, obok stał stół sekcyjny, a na nim klocek, na którym zazwyczaj opiera się brodę lub głowę trupa.

Pokój zastawiony był licznymi szafkami, gablotkami i stołami. Postanowił sprawdzić ich przeznaczenie i zawartość, lecz od postanowienia do wykonania było dość daleko: mocował się z osłabieniem i zniechęceniem, które zatruty mu ciało. Wreszcie ruszył i zbliżywszy się do pierwszej z brzegu szafki rzucił machinalnie i obojętnie okiem na szklane wieko. Znajdowała się tam niewielka płaska flaszeczka z jakąś zawartością. Obok przypięty napis wyjaśniał w słowach pedantycznych, że to jest żyjąca tkanka z serca kurzego, hodowana metodą Carrel'a; daty wskazywały, że tkanka ta żyje już od sześciu lat.

Poszedł dalej. W następnej szafce zobaczył pod szkłem coś niezwykłego, było to niewątpliwie serce, całe serce, ale... serce bijące. Pracowało rytmicznie, kurcząc się i rozkurczając w jakimś przezroczystym naczyniu, przypominającym kształtem żelazne płuca. Serce człowieka hodowane sztucznie. Z boku pod szkłem gablotki dojrzał kontakt, przekręcił go i zabłysło lekko fosforyzujące światło. Teraz widać było dokładnie wszystkie szczegóły. Po raz pierwszy w życiu oglądał cały organ funkcjonujący poza organizmem. Dotychczas wiedział tylko, że uczony moskiewski doktor S. Andrejew przeprowadził podobne doświadczenie w szpitalu Botkina w Moskwie.

Udało mu się między innymi pobudzić do życia serce wyjęte w sto godzin po śmierci człowieka. Rzucił okiem na kartkę. „Serce mężczyzny lat 32, zmarłego na gruźlicę, powrócone do działalności w sześć godzin po zgonie, pierwszy organ, który udało mi się hodować w sztucznych warunkach dłużej niż miesiąc”.

Dalej ujrzał w podłużnym szklanym cylindrze coś, czego na pierwszy rzut oka nie potrafił rozpoznać: ach, tak, na pewno — to żołądek ludzki, zanurzany w płynie fizjologicznym. Napis wyjaśniał: „Żołądek kobiety lat 28, zmarłej po wypadku samochodowym, wyjęty na stole operacyjnym po zgonie. Odżywiam go trzy razy dziennie, trawi zdaje się normalnie”. Data postawiona obok wskazywała, że eksperyment trwa już szesnaście dni.

Dalej były płuca, nerki i niewielkie narządy, z których rozpoznał tarczycę, jajniki i przysadkę mózgową. Po drugiej stronie żyły: noga kobieca, ręka mężczyzny, a raczej sama dłoń i kilka pojedynczych oczu. Żyły, owszem, bo jakżeż to inaczej nazwać? Dłoń leżała nieruchomo na porcelanowej płytce i gdyby nie liczne podłączenia do mechanizmu utrzymującego ją w tym stanie, można by przypuścić, że jeszcze do kogoś należy.

Guran przytknął palce do grzbietu tej dziwnej dłoni: była ciepła i miękka. Nacisnął lekko: ugięła się i nieco rozplaszczyła.

Zastanowił się chwilę, po czym wyciągnąwszy z kieszeni scyzoryk, otworzył go i po sekundzie wahania nakłuł delikatnie koniec środkowego palca: ukazała się kropla krwi.

Tak, nie ulegało wątpliwości: żyła, podobnie jak żyje ręka człowieka sparaliżowanego: nieruchoma, niezdolna do działania, lecz przecież nie rozkładająca się, funkcjonująca wewnętrznie.

Powoli i z zastanowieniem wytarł kroplę krwi i rzucił okiem na kartkę. „Dłoń mężczyzny, lat czterdzieści, amputowano po wypadku w fabryce”. Ale widział tam jeszcze dopisek ołówkiem, z dat wynikało, że późniejszy. „Zwyciężyłem tkanę łączną”.

Guran zrozumiał: Nieznany zwyciężył wielkiego wroga eksperymentów utrzymywania organów *in vitro*. Lecz największa niespodzianka czekała go dalej. W samym rogu stała długa skrzynia ustawiona na dwóch prostych ławach, z daleka poprzez łamiące się blaski szyby, służącej jako wieko, dostrzegł w niej coś, co przykuło go do miejsca.

Niełatwo przyszło mu uwierzyć własnym źrenicom, a jednak nie mogło być inaczej: leżało tam ciało kobiety bez głowy. Znaczyło to, że żyjące ciało, żyjący kadłub... Dlaczego by nie? Mogą żyć same głowy, to mogą żyć i same kadłuby. Podbiegł do skrzyni. I tu znalazł kontakt, zapalił światło. Rana szyi była zagojona całkowicie, widocznie amputacja była dokonana dawno. Rzeczywiście z dat wynikało, że miała miejsce blisko dwa lata temu.

Ciało połączone było rurami celofanowymi z aparaturą stojącą na zewnątrz skrzyni. W jarzącym świetle neonowym widać było spokojny, rytmiczny oddech. Klatka piersiowa podnosiła się i opadała, podnosiła i opadała... Jak to jest możliwe, zastanawiał się, czyżby ta skrzynia była rodzajem „żelaznych płuc”? Ciało leżało w niej jak w trumnie, lecz nie było to ciało martwe, a skrzynia nie była trumną; raczej kołyską czegoś nowego, kołyską narodzin... ale czego? Jak Nieznany zmuszał mięśnie klatki piersiowej do pracy? Tego nie mógł pojąć! Przeczytał: „Ewa K., lat dwadzieścia osiem, samobójstwo. Gdy nie udało mi się ożywić głowy, spróbowałem zrobić to z korpusem. Jestem zadowolony”.

A więc biedna Ewa K. żyła już dwa lata bez głowy. Miała teraz lat trzydzieści, lecz nie wiedziała o tym; nie miała już żadnych zmartwień, bo nie miała świadomości. Oddychała wciąż rytmicznie i bezcelowo, starzała się niewątpliwie i gdyby Nieznanemu udało się utrzymać ją w tym stanie przez lat jeszcze dwadzieścia, stałaby się starą kobietą, chyba żeby przedtem umarła na jakąś chorobę.

Guran odstąpił krok w tył, potem drugi z oczami wciąż utkwionymi w niesamowite zjawisko, potem jeszcze jeden i jeszcze... widać było, iż cofa się przed myślami, które huczały mu teraz pod czaszką. A tam ona oddychała równo, beztróska. Beztróska? Mechanicznie!

Guran podszedł do okna i zamyślił się. To, co widział, było zbyt doniosłe, by pozwolić na uboczne odruchy psychiki, jak zdziwienie, entuzjazm lub coś w tym rodzaju; w decydujących momentach myśli się wyłącznie rzeczowo. Rozważał skutki tego pokoju laboratoryjnego w skali ogólnoswiatowej, wpływ na filozofię i na liczne potoczne poglądy życia codziennego.

Teraz dopiero uświadomił sobie, że w tym pokoju panuje nieustanny acz ledwo dostrzegalny szmer maszyn walczących ze śmiercią.

Śmierć! Nieubłagana nieodwracalność procesu! Rozwiera się przepaść. Wyłania się otchłań, w którą z rozpaczliwym lękiem wpadają od bezkresnych wieków wszystkie istoty mające poczucie własnego istnienia.

Tu było inaczej. Lecz i tam, i tu wspólny był problem śmierci. Co to jest śmierć? Tam panowała niepodzielnie, tu była pokonywana przez życie. Co to jest życie?

Zaczął w zamyśleniu kroczyć po pokoju, przechadzając się wśród w milczeniu i w bezruchu żyjących członków, organów i korpusów, obok trupa czekającego na ożywienie jego części i dziwił się. Dziwił się ogromnie temu, jak się to dzieje, że wiadomości naukowe tak okropnie wolno przenikają do świadomości ogółu.

Każdy nowy podręcznik biologii wyjaśnia, że tak wczesna śmierć nie jest bynajmniej zjawiskiem koniecznym, ba! czynią to nawet encyklopedie — a jednak ludzie o tym nie wiedzą, trzeba będzie czasu, może też pięćdziesięciu lat, by rozprzestrzeniła się, spopularyzowała, przeniknęła do mas.

Spróbujcie wypowiedzieć dziś opinię w gronie osób nawet wybitnie inteligentnych i wykształconych, że człowiek winien żyć dwieście albo nawet tysiąc lat, a narazicie się na pewną śmieszność. Powołajcie się na podręcznik, a wywołacie zdumienie.

Jednak jest to prawda i nic więcej, jeno prawda.

Wiedza o człowieku jest wciąż jeszcze wiedzą przyszłości.

Spojrzał raz jeszcze na ciało kobiety. Umarła, a jednak żyje. Nie ulega wątpliwości, że umarła, bo nie ma głowy, ale przecież żyje... Oto skutki niedokładnych słów i nawyku myślenia metafizycznego w trybie „albo-albo”.

Gdzie podziła się na przykład jej dusza?

Czy dusza jest w ciele czy w głowie?

Trudno mówić, że głowy amputowane (ale żyjące) nie posiadają już duszy, bo straciły ciało. Ale co rzekniemy o ciałach żyjących bez głów? Głowę zakopaliśmy, a ciało utrzymujemy przy życiu, co z duszą? Uniosła się w zaświaty czy została wierna kadłubowi bez głowy? Pojęcia nasze o duszy są wciąż naiwne (jak też i pojęcie o śmierci). Postępy w technice chirurgicznej będą miały znaczny wpływ na ich zmianę. Gdy z pociętego robaka wyrasta kilka nowych i niezależnych robaków, to nie przejmujemy się tym, bo „robak nie ma duszy”, ale jeśli ludzie ujrzą na własne oczy ciała żyjące bez głów, to zastanowią się i dokonają rewizji w poglądach o związku duszy z ciałem. Nic dziwnego, uczyniłby to samo nawet Arystoteles (uwważający duszę za formę ciała), gdyby przyszła mu ta możliwość na myśl. Nie ma również teoretycznych przeszkód do rozważania transplantacji mózgow, przenoszenia ich z czaszki do czaszki. Gdzie tedy zostanie dusza: z mózgiem czy z osobą? Przeniesie się do nowej czaszki czy zostanie ze starym ciałem?

Tu przerwał rozmyślenia, bo dostrzegł — dopiero teraz — że wysoka szafa z narzędziami nie dochodzi plecami do samej ściany, zostawiając lukę; a było to tak dziwne, że postanowił zajrzeć i zbadać powód.

Powód był bardzo prosty: za szafą istniało przejście do sąsiedniej sali (przypomniał sobie od razu, że to „dział mózgowy”, w którym Nieznany hodował mózgi i rdzenie, zasuszał je i zamrażał) oddzielone ciemną kotarą; drzwi nie było, widocznie przejście to zostało przebite później.

Dał więc, nie namyślając się, nurka i wyplął z drugiej strony. Był to pokój identycznych kształtów i wielkości, tylko o urządzeniu całkowicie różnym.

Guran, opanowany ciekawością, nie zdążył nawet przyjrzeć się całości, tylko rzucił się na pierwszy stół laboratoryjny, stojący przy samym przejściu.

Stała na nim jakaś aparatura i widać było, że jest czynna. Nachylił się i zaczął uważnie ją oglądać.

Po dłuższej chwili zorientował się, o co chodzi. Wycinek z rdzenia kręgowego, długości około dwóch centymetrów, poddawany był bodźcom elektrycznym, reakcje jego notował samopiszący aparat na cylindrze powoli obracającym się. Dla utrzymania rdzenia przy życiu i funkcjonowania zaopatrywany był w krew i sztuczne odżywki.

Bodźce elektryczne wywoływały zmiany w powrózku nerwowym, które wychwytywał oscyloskop katodowy i przekazywał aparatowi samopiszącemu.

Rozumiał: badano w ten sposób metabolizm nerwów, jedną z dróg prowadzących do wyjaśnienia procesu starzenia się.

Poza tym hodowanie nerwów poza ciałem mogło w przyszłości doprowadzić do połączenia głów z mechanicznymi ciałami za pomocą sztucznie wyhodowanych nerwów, które poruszałyby zamiast członków organicznych członki mechaniczne; można by się wtedy wyrzec pośrednictwa fotokomórki. Widział podobne eksperymenty na rdzeniu szczura, tu użyto rdzenia człowieka z części piersiowej. Z kolei uwagę jego zwróciła aparatura pokaznych rozmiarów, przypominająca do złudzenia lodówkę, tylko że była nie wysoka, a raczej płaska i długa, w sam raz zmieściłoby się ciało ludzkie. Istotnie, nie mylił się, była to, w gruncie rzeczy, lodówka.

Podszedł bliżej, zastanawiając się, czy ma prawo zajrzeć do środka. Po zbadaniu mechanizmów zrezygnował jednak z ciekawości, były zbyt skomplikowane, a nie chciał swoją

nieumiejętnością zepsuć doświadczenia. Zadowolili się więc karteczką, która — jak wszędzie — widniała przyczepiona do boku aparatury. „Eksperyment 357. Wciąż niepowodzenie, nie mogę osiągnąć dostatecznie szybkiego zamrożenia; chodzi tu o minuty, jeśli nie zamrozę mózgu w ciągu trzech minut, ulegnie rozkładowym procesom; albo jeśli uda mi się to wreszcie, pokonam główną przeszkodę i zamrażanie ludzi w stanie żywym stanie się rzeczywistością; inne trudności mam prawie pokonane, zwłaszcza udało mi się krew konserwowaną tak pięknie ustabilizować, że może trwać niezmienną nie tylko przez lata, ale przez wieki”.

Guran przeczytał raz i drugi.

— To geniusz — wyszeptał. — Geniusz, ale zarazem sadysta i zboczeniec. Dlaczego nie robi tego na zwierzętach, lecz na ludziach? On sam siebie chyba oszukuje, twierdząc, że to „dla nauki”. Dla niej wystarczą zwierzęta. Widocznie dokonał jakiegoś epokowego odkrycia, które — łącznie z jego talentami technicznymi i jako chirurga — umożliwi łączenie nerwów i błyskawiczne zrastanie się ich, umożliwi momentalne prawe gojenie się tkanek. To wprowadza kompletny przewrót w możliwościach chirurgicznych w ogóle i transplantacyjnych w szczególności. Przy tej zdobyczy można modelować materię żywą niemal jak plastelinę.

Boję się myśleć, kogo on trzyma w tej lodówce. Czy nie puścił się na wielkie wody przestępstwa i nie przeobraził się po prostu w mordercę-maniaka?

Jaka szkoda, że tak wielki uczony jest tak złym człowiekiem!

Ostatnie stwierdzenie przywróciło mu świadomość jego własnej sytuacji pełnej niebezpieczeństw, w którą się samochcąc wpakował.

Teraz nie miał bynajmniej takiej pewności siebie jak przed poznaniem dzieł Nieznane-go. O nie, teraz mógł obawiać się o swe życie.

Ten tajemniczy profesor nie był normalnym człowiekiem, nie był istotą mającą szacunek dla cudzego istnienia. Należało bać się go: i jego okrucieństwa zimnego, i jego przebiegłości lisiej, i na ostatek — jego szaleństwa.

Guran przerwał dalsze badania i zatopił się myślami w poszukiwaniu planu. Szukał ratunku.

Jest już dzień. Nieznany teraz wyjdzie (lub wyszedł). Musi to uczynić, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Lecz gdy wróci, będzie miał już decyzję. Jaką? Czy ma liczyć na jego ludzkość, łagodność, wreszcie — kulturę? Nonsens i jeszcze raz nonsens. Nie jest ani ludzki, ani łagodny, ani kulturalny. Jest podobny do tygrysa, który nie może przecież czuć i rozumować jak buddyjski święty. — Bez złudzeń — szepnął do siebie powtórnie — bez złudzeń, mój panie. — Zaczął żałować ogromnie, że w ogóle włąził do tego domostwa, że dla wewnętrznej ambicji przełamywał wtedy swój strach.

Niechbym się bał, wielka rzecz — myślał — a teraz co? Jeśli nie stanie się coś nieoczekiwanego, losy moje są przypieczętowane, a godziny życia policzone.

Go-dzi-ny...

Jaką wymyśli mu śmierć?

I... czy nie czeka mnie coś znacznie gorszego po... po tej „śmierci”?

Zdecydował się. Podszedł do okna, chwycił, co mu wpadło pod rękę, i poprzez kratę zaczął rozbijać szybę. Potem miał między kratę a mur wsadzić deskę wyrwaną ze skrzyni lub nogę od stołka i spróbować wyłamać żelazo. Ale do tego nie doszło. Za oknem zobaczył opartego plecami o mur, z twarzą odwróconą do okna, Homunculusa. Stał tam z workiem w rękę. Zaalarmowany brzękiem i widokiem, począł zbliżać się powoli. Guran szeroko otworzył oczy. Błysnęła mu myśl: *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*.



## XIV

### DOKTOR PROKASZ POSTANAWIA BYĆ MĘŻCZYZNĄ

Doktor Józefat Prokasz postanowił pójść na plażę. Była to myśl osobliwa, podobna nie zaświtała mu w głowie od lat blisko pięćdziesięciu. Pamiętał siebie jeszcze jako chłopca, gdy ostatni raz igrał na piasku i próbował nurkować w Wiśle.

„Pójść na plażę” nie znaczyło bynajmniej nic dosłownego: doktor Prokasz nie rozebrałby się za żadne skarby świata i ze względu na zakorzeniony nawyk, i po prostu ze wstydu. Był straszliwie chudy i śmieszny w chodzeniu. W ubraniu nie raziło to jakoś, ale w kostiumie kąpielowym, pożał się, Boże! Z przerażeniem widział siebie w takim stanie i czuł, że stawiałby kroki sztywno, nie zginając niemal kolan, i wyglądałby jak stary bocian przemieniony przez złośliwego czarownika w jeszcze starszego człowieka.

Nie, tego doktor Prokasz nie postanowił. „Pójść na plażę” znaczyło po prostu przejść się koło plaży, wzdłuż Wisły, popatrzeć na łowiących ryby, na łodzie, na młodzież grającą w siatkówkę (jak te bestie sprytnie skaczą i tak jakoś piłkę przez siatkę przerzucają, że nawet nie widać, a mocno! Że też się nie pozabijają). Poza tym miał coś ogromnie ważnego do obmyślenia, tak ważnego, że poczuł nagle konieczność zmiany klimatu i warunków.

A więc wsiadł w autobus, dotarł szczęśliwie do ostatniego przystanku, wysiadł, zrobił jeszcze ze dwieście metrów na piechotę i znalazł się nad Wisłą. Choć była dopiero godzina trzecia, ale że to akurat sobota i ludzie wcześniej skończyli pracę i dzień był piękny, a jak na wrzesień nawet niebywale upalny, więc wszystkie plaże i przystanie roily się od ciał mniej lub bardziej opalonych. Na Wiśle też ruch stawał się coraz większy: kajaki rywalizowały z żaglówkami, a kilka piekielnych maszyn, ogłuszających rykiem całą okolicę w promieniu trzech kilometrów, nazywane skromnie ślizgaczami, skakało po powierzchni wody.

Na ten ostatni widok doktor chciał nawet w pierwszej chwili zawrócić, ale ważność kwestii przemogła, dlatego liczne grupki ludzi, wysypujące się ze wszystkich stron i ciągnące ławą ku plażom, mogły owego dnia zaobserwować dziwnego jegomościa, kroczącego uroczyście po Wale Miedzeszyńskim.

Upał był tęgi, niebo spopieliało od nadmiaru słońca, a on, ubrany całkowicie i przepisowo, w grubej marynarce, z krawatem obciśniętym wokół szyi i ze sztywnym słomkowym kapeluszem. (model z 1900 roku) na wierzchołku głowy, szedł zamyślony.

Koncepcja i poszlaki — tak myślał, to były słowa królujące w jego jaźni i zacierające resztę rzeczywistości, nie wyłączając żaru niebieskiego. Koncepcja i poszlaki.

Doktor Prokasz bowiem martwił się zniknięciem Gurana i martwił się zniknięciem głowy starego Pogonowskiego, bo lubił jego syna, lubił tego chłopca, no i był to narzeczony jego Helenki. Więcej jednak martwił się Guranem, albowiem mogło mu grozić wielkie niebezpieczeństwo. Chciał koniecznie pomóc, coś zrobić, uznał nawet w duchu słuszność podobnych uczuć w sercu rektora Tragi.

Ostatecznie jest się mężczyzną — argumentował — i ciężą na nas wynikłe z tego obowiązki. Jeśli tak, jeśli już jest się mężczyzną, wobec tego...

Lecz nie dokończył, bo akurat wpadł, na szczęście nie z impetem, bo nigdy szybko się nie poruszał, na jakąś przeszkodę. Okazało się, że była to przeszkoda dość elastyczna, bo również żywa i również powoli się poruszająca, i również głęboko zamyślona — a stanowił ją profesor Byroń. Był to człowiek starszy już, siwiejący, o niezwykle bladej i zmęczonej twarzy, ozdobionej oczami o tak intensywnym napięciu, że wzbudzały niepokój. Były to oczy pełne wewnętrznego napięcia, o uważnych źrenicach. Znany był jako znakomitość w dziedzinie sztucznej hodowli tkanek.

Podniósł z wolna oczy, kontrastujące swą siłą ze zmęczoną twarzą. Przywitali się. Za-

częli rozmawiać. Mówił wolno, formułując myśli w pięknych zdaniach, lecz bez gestykulacji, bez żadnego ruchu. Stał jak posąg.

Jakoś nie przyszło im na myśl, aby pójść razem, więc rozmawiali stojąc w miejscu. Działy w nich niewątpliwie sprężyny samotników. Przyjemność przyjemnością, ale ostatecznie nawet sympatyczne spotkanie nie upoważnia do zmiany planów i do zdecydowania się na wspólną przechadzkę.

— Dzień dobry panu profesorowi. Jak zdrowie?

— Dzień dobry, panie doktorze. Nieźle, nieźle... e, e... a właściwie kiepsko. A co u pana?

Prokasz ciężko westchnął:

— Też nie bardzo. Człowiek starzeje się i ma zmartwienia.

— Hm... tak.

— Hm... to niedobrze.

— No — próbował profesor — gorąco dziś, co?

— A rzeczywiście, być może — odparł Prokasz i spojrzał pytająco w kierunku słońca, zresztą w tym momencie poczuł, że cały jest spocony. — Rzeczywiście — zdecydował się ostatecznie. — Gorąco.

W tym duchu porozmawiali nieco dłużej. Prokasz dowiedział się, że Byroń mieszka „tu blisko, nad Wisłą”, a Byroń dowiedział się, że Prokasz mieszka „blisko, też nad Wisłą”. Prokasz dowiedział się, że Byroń jest „ostatnio zmęczony życiem” i że „za dużo wziął na siebie odpowiedzialności”, Byroń zaś dowiedział się, że Prokasz „również zmęczony jest życiem, ale to już tak trochę dawniej, a teraz ma właśnie zamiar wziąć jeszcze na siebie pewne obowiązki”.

Wtem profesor Byroń spojrzał swymi silnymi oczami i spytał:

— Czy nie wie pan przypadkiem, co słychać w sprawie tych głów?

— Nie, nie wiem — odparł nieco zaskoczony Prokasz. — Zresztą, proszę pana, w takich sprawach wszystko jest tajemnicą służbową. — Uśmiechnął się. — Tyle lat jestem lekarzem milicyjnym, odpowiedziałbym podobnie nawet przez sen.

— Oczywiście — przytaknął profesor bez przekonania. — To jest pana punkt widzenia. Słusznie.

W tej chwili doktor Prokasz zrozumiał, że Byroń coś wie lub coś podejrzewa, lub...

Zdjął przeto swe rogowe okulary, przetarł je szybko i włożywszy z powrotem na nos, wbił baczne oczy w interlokutora. Byroń stał w upale z obliczem zroszonym kroplami potu. Był... niespokojny.

Wie, podejrzewa czy boi się? A może tylko interesuje się? Do diabła z podejrzeniami... „Rady już sobie dać nie mogę — rozważał Prokasz. — Koniecznie muszę coś zrobić, i to zaraz, prędko”. Znów zaterkotało mu w mózgu: koncepcja, potem szukać poszlak.

A Byroń tymczasem mówił:

— Przecież my, profesorowie, lekarze i biologowie z zawodu, lepiej się orientujemy, o co tu chodzi, niż inni, prawda? No i jesteśmy bardziej zainteresowani... i... i... bardziej podejrzliwi. — Przerwał i dopiero po dłuższym milczeniu dodał: — Okropna sytuacja, podejrzewać kogoś!

Po czym obaj panowie pożegnali się i minawszy się zrećniej tym razem, ruszyli każdy w swoją drogę.

Myśl „pójścia na plażę” nie powstałaby żadną miarą w głowie pana Józefata, mimo największe zmartwienie i konieczności, gdyby nie pewna dodatkowa okoliczność. Oto gdy wychodzili dziś rano od prokuratora, Helena i Stefan umówili się na popołudnie w przystani żeglarskiej klubu „Warszawa” i zaproponowali mu żartobliwie i nie spodziewając się żadnych konsekwencji praktycznych, aby przyszedł również, to go wezmą na żagiel.

Prokasz był wtedy zaabsorbowany zagadką zachowania się prokuratora, który ich rewe-

lacje o zaginięciu Gurana przyjął z absolutnym spokojem i — co gorsza — bez komentarzy co do przyczyn tego spokoju, tak iż nie wiadomo było, czy przypisać to należy sztuce samopanowania prokuratora, czy po prostu — że wiedział o tym przed nimi.

Później jednak, gdy napadło Prokasz postanowienie, aby być mężczyzną i coś zrobić, przypomniał sobie zaproszenie i uznał, że jest część słuszności w twierdzeniu, iż nowe myśli lepiej układają się w głowie na łonie natury niż we własnym pokoju. Jak najdalszy był od decyzji przejażdżki żaglówką; postanowił — zgodnie ze swoją naturą — pójść na pół drogi, to znaczy dotrzeć do Wisły i ewentualnie posiedzieć na tarasie przystani.

Zbliżał się więc teraz do niej i słabł w postanowieniu widząc gromady ludzi ciągnących w tym kierunku. Na szczęście dążyli gdzie indziej, na plażę miejską, bo z przystani klubu „Warszawa” korzystać mogli jedynie członkowie i wprowadzeni goście. Prokasz zaczął zastanawiać się, na kogo ma się powołać: Gurana czy Stefana (który był również członkiem sekcji żeglarskiej) i tak rozwiązując dylemat, dotarł do samego tarasu, konstatując, że nikt przy wejściu nie kwestionował jego osoby.

Widać — uznał — wzbudzam zaufanie.

Usiadł więc na wygodnej ławce w cieniu budynku, wspartego na palach, i zaczął lustrować widok rozścielający się pod jego nogami.

Ujrzał od razu Stefana Pogonowskiego. Przechodził obok, z żaglem na ramieniu i jakimś workiem w rękę (stary nie wiedział, że tam tkwi płótno, zwane „fokiem”), idąc do pomostu, na którego końcu huśtała się łódź, a w niej — majstrując coś koło steru — Helenka Landowska. Stefan gasił sobą wszystkich mężczyzn. Dopóki się nie zjawił, ten i ów wyglądał na mężczyznę porządnie zbudowanego; gdy się zjawił — wszyscy robili się jacyś mali, pokraczni, słabi, źle wysortowani z przedwiecznego magazynu natury.

Ale ciało miało mało wysportowane. Wstydził się nawet na przykład grać w siatkówkę, gdzie niejeden „cherlak” przewyższał go nie tylko techniką, ale i szybkością, i skokami, i energią.

Pogonowski był flegmatykiem i... naukowcem. Nie miał czasu na sport, przynajmniej w takiej mierze, by wyekspluatować nadzwyczajny kapitał natury.

Prokasz przyglądał mu się z objawami wstrząsu psychicznego: nigdy w życiu nie widział prawdziwego mężczyzny i w ogóle jeśli coś widywał w tym rodzaju — to pod postacią trupów w Zakładzie Medycyny Sądowej. Widok ten oderwał nawet na chwilę jego myśli od kwestii „koncepcja — poszlaki” oraz od nowszej kwestii: „Kogo ten Byroń podejrzewa?” Na Zeusa — strwożył się, przypominając sobie ze strachu mitologię — i to też jest człowiek? — Nie do wiary — szeptał kręcąc powątpiewająco głową — nie do wiary!

Tymczasem młodzi przygotowywali łódź do wyjazdu. Prokasz spostrzegł przed chwilą, więc jednocześnie naradzali się.

— Jak myślisz, Stefan — zaczęła Helenka — zabierzemy tę biedną sowę czy udajemy, że go nie widzimy?

Stefan zdumiony wyprostował się.

— Co ci się stało? Dlaczego mamy go zostawiać?

— Zgłupiałeś czy co? O czym ty myślisz? Jeśli chcę go zostawić, to tylko ze względu na niego; nie wiem, czy chciałby z nami jechać, może się boi, przecież to woda, a on chyba nigdy w życiu na wodzie nie był. Jak go poprosimy, to wejdzie do łodzi, a później może załować. Nie wiesz, jaki on jest delikatny i bezbronny. Myślę, co będzie dla niego lepiej.

— No, jeśli o to pytasz — udobruchał się Stefan — to na pewno będzie lepiej, jak się z nami przejedzie. Woda to cudowne lekarstwo, plaster na duszę. Pójdę i ściągnę go. — Idąc już po pomoście, odwrócił się: — Helenko, a przycumuj bliżej, żeby wujek ci nie zemdlał ze strachu przy skakaniu.

— Dobra, dobra, nie zawracaj głowy! Idź i spełnij dobry uczynek.

W ten sposób doktor Prokasz znalazł się wkrótce w obliczu skrawka wody, huśtającej

się łodzi i olbrzymiego białego żagla, który zasłonił mu cały świat i resztki nadziei. Wąski i chybotliwy pomost był zaiste problemem sam w sobie, ale to, co teraz miał uczynić, przechodziło jego możliwości.

Niemniej nie znacie doktora Józefata Prokasz. Sądzicie na pewno, że jest tchórzem? Pomyłka! Stokrotna pomyłka! To istota delikatna, wrażliwa, lecz jeśli doktor Prokasz stawał w obliczu nieuchronnych konieczności, od których żadną miarą wywinąć się nie było można, zamykał oczy i robił to, co należało. I tym razem więc zamknął oczy i dał krok... w wodę. Niechybnie znalazłby się w niej, gdyby nie opiekuńcza i przewidująca ręka Pogonowskiego. Chwycił go, z szacunkiem, za kark i posadził na dnie łodzi, zanim się doktor zorientował, co się dzieje,

— Wujku, niżej! — krzyknęła Helenka. — Bo żagielek dziobnie w główkę.

Więc stary Prokasz skulił się i usłyszawszy, ciągle oczy miał zamknięte, wystrzał żagla, zrozumiał, że płynie, choć prawdę mówiąc nie wiedział, że to strzelił żagiel nabrawszy za szybko wiatru.

Helena spojrzała z wyrzutem na Stefana. Ten mruknął:

— Przepraszam, zgapilem się. Zajęty byłem panem doktorem.

Tak ruszyli w górę Wisły.

Z drugiego brzegu dobiegły ich tony muzyki niefrasobliwej i lekkiej jak szczęście, prosty walczyk na akordeonie. Pęd łodzi i bliskość wody złagodziły żar słońca, a bulgot dobywający się spod kila i olśniewająca białość żagli, rozpościerających się nad nimi, napełniały serca spokojem. Zielone brzegi Wisły mijały ich coraz szybciej.

Skrobimarchewka pracowała przy fok, a tak sprawnie i ze znanstwem kunsztu żeglarskiego, że bez komendy Stefana i nawet nie oglądając się na niego.

Wiatr nie był spory — ale porywisty, więc od czasu do czasu wychylał ich porządnie od pionu i wtedy Stefan i Helena dla przeciwwagi wychylali się w drugą stronę, wisząc ciałami tuż nad pienistymi brzdami drobnych fal.

Doktor prawie leżał na dnie i czuł tylko to wszystko i słyszał; słyszał szmer wody pod sobą, czuł lekkie drżenie desek, kołysanie, muskanie wiatru — a gdy wreszcie otworzył oko, zobaczył żagiel zasłaniający pół nieba, Helenkę i Stefana wiszących nad wodą oraz nieprawidłowe położenie świata — niebo było ułożone skośnie, a woda szła bokiem w górę. Niebezpiecznie — pomyślał i zamknął oko z powrotem. — Niech się Stefan martwi — dodał sobie w duchu. Wkrótce jednak poczuł się bardzo dobrze i zaczął układać pewien plan.

Doktor Józefat Prokasz postanowił ratować Gurana własnym sprytem, własną wiedzą i na własną rękę!

Wszystkiego można by się po nim spodziewać, tylko właśnie nie tego, no i w rezultacie spowodował później komplikację, która rozrosła się, oplatała ludzi i zaważyła na ich losach. Na jego losie również, lecz to sprawa późniejsza.

Zastanawiał się głęboko: wybierał w myślach wszystkich, którzy mogliby być ewentualnymi sprawcami przestępstwa, i postanowił zebrać ich razem i coś uczynić. Miał plan, trzeba przyznać, dobry, tylko nie wiedział, czy wypadki nie pokrzyżują go.

Zmieniając ustawicznie kurs, bo wiatr był niewygodny, znaleźli się na wysokości Czerniakowa. Minęli gromadkę domów, wysokie drzewa i ujrzeli pola rozciągające się za piaszczystym brzegiem.

— Patrz, jaki tam stoi dziwaczny dom! — krzyknęła Helenka, wskazując palcem na prawo.

— Gdzie? — zainteresował się Stefan.

— Tam, jakieś dwieście metrów od Wisły, otoczony murem, z taką śmieszną wieżyczką sześciokątną.

— Aha, widzę.

— Co to może być?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Ale otoczył się murem, widać nie bardzo kocha bliźnich.

— Może.

Żaglówka mknęła dalej, dwoje ludzi wpatrywało się chwilę w milczeniu w dom rysujący się w słońcu jak samotna forteca, po czym przenieśli wzrok na wędkarza siedzącego pod wikliną, na kierunek wiatru, na migoczącą srebrem wodę i wreszcie na starego doktora, knującego spiski z zamkniętymi oczami na dnie łodzi. O tym ostatnim nie wiedzieli, jak nie wiedzieli nic i o tym domu z wieżyczką.

Popłynęli dalej.

Pogonowski był blady i wyglądał na ogromnie zmęczonego. Do jego zwykłej flegmatyczności dołączyła się teraz apatia, więc żałośnie było patrzeć na jego wymizerowaną twarz, pełną zniechęcenia i upadku duchowego.

Tymczasem doktor Józefat Prokasz wydał usta w zastanowieniu, zawsze to czynił, gdy popędzał swój intelekt, pomasaował nieco nogę, bolącą od wczoraj i spytał:

— Czy ktoś z was nie zna profesora Lothara?

Stefan podciągnął nieco w górę miecz, wjechali właśnie na płytsze wody, i rzekł:

— Jeśli tego doktora, który odkrył coś tam o przyczynach pojawiania się w starzejących się komórkach barwnika żółtawego i pomarańczowego, to ja go znam. Mogę nawet powiedzieć: niestety.

— Dlaczego niestety?

— Cóż tu powiedzieć? Nieciekawy człowiek, całkiem nieciekawy; mówiąc między nami i w sekrecie: wolałbym nie mieć z nim nic wspólnego!

Doktor przytaknął głową na znak zgody i dodał:

— Zgadza się. Już słyszałem podobne opinie.

— Wujaszku, a o co chodzi?

— Dziecinko, to tylko plotki i nie sądzę zresztą, żeby...

Helena przerwała mu:

— Przeklęty wujku, gadać od razu, bo jestem ciekawa, a jak nie, to wytarabanię rodzinę do wody razem ze słomkowym kapeluszem i tymi tajemnicami. Gadać i koniec! — Co rzekłszy uśmiechnęła się do niego.

Na takie dictum wyrecytował pośpiesznie:

— Bąkają ludzie coś o nie wyjaśnionych przyczynach śmierci jego żony; bardzo była piękna, ale źle żyli ze sobą; po śmierci krążyło dużo historyjek o jej prowadzeniu się, a także i o jego nieopanowanej zazdrości. W każdym razie Lothar jest człowiekiem, do którego plotki przylepiają się jak muchy do lepu.

— Dlaczego przyszedł wujkowi na myśl właśnie teraz?

— Bo widzisz, dziecinko — tu podrapał się po szyi, ogromnie przy tym marszcząc twarz — mam pewien plan: muszę zebrać na konferencję kilka osób... ale to tajemnica, więcej nie powiem.

— Podejrzanych... — dokończyła Helenka. — To wujek chciał powiedzieć?

— A tak, rzeczywiście — zdumiał się ogromnie.

— No i kto tam ma być jeszcze?

— Profesor Topolski, fizjolog i właściciel najpiękniejszego prywatnego laboratorium.

— A jeszcze?

— Profesor Byroń, oczywiście.

— A jeszcze?

— Rektor Traga.

— O tym to już nam wujek napomykał. A kto jeszcze?

— To już wszyscy — liczył sobie na palcach, powtarzając: — Lothar, Topolski, Byroń, Traga.

— I to ma być jeden z nich?  
— Jeśli Guran ma rację w swych hipotezach, to prawie na pewno.  
— A czy wujek jest dobrym detektywem? — indagowała dalej, tonem powątpiewającym.  
— Eee — zirytował się doktor — co ty mnie egzamin tu robisz czy co?  
— Nie, ale wujaszek już wyśpiewał nam przed czasem swoje plany, a detektyw tego robić nie powinien, m...

W tym momencie łódź zgrzytnęła kilem, wjeżdżając z impetem na piasek, wszyscy machnęli się, posłuszni prawom fizyki, do przodu, wszyscy i wszystko, nie wyłączając słomkowego kapelusza, który zatoczywszy imponujący łuk w powietrzu, osiadł na wodzie i przepływając obojętnie z powrotem koło łodzi, rozpoczął swą osobistą żeglugę do Gdańska.

Na szczęście doktor Józefat, łapiąc się nieprzytomnie burty, nie trafił ręką jak należy i zamiast chwycić za nią, chwycił wodę, a wraz z nią i... swój kapelusz. Tak przypadkiem wrócił do prawego właściciela, który nawet nie zorientował się w jego perypetiach i do śmierci zachodził w głowę, jak to się stało, że kapelusz był mokry.

Fatalnie zresztą odbiła się przygoda na wstążce rypsowej, która nienagannie służąc przez lat czterdzieści, zaczęła od owego dnia popuszczać w swej spoistości materialnej, jak też i psuć się w kolorze.

Przygoda trwała dwie sekundy, bo oto łódź, wyzwoliwszy się własnym rozpędem, wpłynęła znów na odpowiedniejsze wody i pofrunęła dalej, śmiejąc się wraz ze swą załogą, nie wyłączając szanownego wujka.

Po godzinie wracali. Przejeżdżając obok owego domu z wieżą, ujrzeni z dala jakiegoś chyba kalekę, albowiem szedł ogromnie dziwacznie, który ciągnąc za sobą po ziemi ciężki worek zbliżał się do rzeki. Furtka w murze była otwarta.

— Patrz — pokazała Helena — on chyba wylazł z tego domu?

— Może, a zatem to chyba dom dla paralityków lub pijaków.

Popłynęli dalej.

Po pewnym czasie Helena, odwracając się, dostrzegła, jak ciskał worek z rozmachem takim, że aż siwe włosy rozleciały się na wietrze.

Wygląda na młodego, a siwy. Dziwne — pomyślała.

## XV

### WRÓŻBY WERONIKI

Po niezwykle, jak na wrzesień, upalnym dniu ogród w willi Pogonowskiego stał się wieczorem oazą wytchnienia. Stare drzewa zaszeleściły pierwszymi podmuchami wiatru.

Szofer, występujący w roli ogrodnika, podlewał właśnie kwiaty, gwiżdżąc fałszywie jakąś melodię. Trochę dalej spacerował, założywszy ręce do tyłu, sierżant Kowalik, chętnie zażywający przechadzki po całodziennym dyżurze przy zwłokach matematyka. Nareszcie formalności załatwione, nieboszyk odwieziony do kostnicy, może będzie wreszcie koniec niefortunnej delegacji do Warszawy i jeszcze dziś zdąży wrócić wraz z plutonowym Ogórkim do swojego Grodziska pod Warszawą. Spojrzał na zegarek — odczytał, że jest pięć po ósmej. Puścił się dalej w ogród między drzewa i żółto kwitnące, wysokie bulwy, między chryzantemy i dzielnie trzymające się powoje. W pokoju służbowym zabłysło światło, to Weronika postanowiła przystąpić do swej codziennej i ważnej funkcji zaglądania w przyszłość za pomocą kabały. Siadała wszelako (trzy razy szersza od krzesła) ze złą miną i pełna zastrzeżeń co do sposobu prowadzenia się świata. W ogóle wiele spraw nie mogła i nie chciała zrozumieć.

Na przykład dziś ta jakaś jazda łódką pana Stefana? Do czego to doszło? Żadnego szacunku dla ojca. Weronika pamiętała i ceniła te czasy, kiedy to śmierć bliskich opłakiwało się głośno i ostentacyjnie, wszyscy oczekiwali tych manifestacji i w istocie nie zawodzili się w ufności do czcigodnych uczuć serca, których potęgą rozsadała w tak widoczny i wrzaskliwy sposób nędzne ciała doczesne.

Czuła, że karta będzie źle wychodziła i ostrzegęła o klęskach. Jakoż rzeczywiście: as treflowy od razu wypadł w nieodpowiednim miejscu stolika, komunikując w ten złowieszczy sposób pani Weronice o przyszłych wypadkach. Uważała za swój święty obowiązek przekomunikować to zaraz złemu, ale bądź co bądź interesującemu światu. Pobiegła truchtem w poszukiwaniu jego przedstawicieli i trzeba rzeczywiście pecha — trafiła na plutonowego Ogórka.

— Panie plutonowy, panie plutonowy... — zaczęła alarmować. — Nieszczęście!

— Co takiego?

— Mówię panu, nieszczęście!

Plutonowy był człowiekiem niezmiernie spokojnym, zorientowawszy się zatem, że znów ucięto komuś głowę, nie zdenerwował się ani nawet nie zdziwił, tylko po prostu spytał:

— Komu?

— Co komu? — zdumiała się reprezentantka tradycji i kabały.

— Czy „pani dobrodziejka nie wie, co to znaczy „komu””? No, komu ucięto głowę, pytam?

— Święta Grybaldo! — wrzasnęła — a nie mówiłam! As treflowy koło waleta czerwienego. Na pewno panu Stefanowi!

— No właśnie chciałbym wiedzieć, ale pani jakoś niepewnie to mówi. Więc on czy nie on? Wiem, że trudno rozpoznać ciało nieboszczyka bez głowy, ale powinna pani to zrobić bez trudności jako stara opiekunka syna starego Pogonowskiego.

— Nie, nigdy, za nic nie będę patrzyła! — krzyczała zasłaniając oczy. Po czym, przytomnie, zagadnęła: — Gdzie?

Z kolei plutonowy zastanowił się i spytał:

— Co gdzie?

— Gdzie jest ciało, pytam.

— Przecież to pani dobrodziejka wie. Ja właśnie chciałbym również wiedzieć gdzie.

— Ja nic nie wiem — zaprzeczyła ruchem głowy. — To pan plutonowy wpadł na mnie z krzykiem, że ucięto głowę, a nie ja. To pan przecież wie.

— Ja? — Tym razem nawet plutonowy Ogórek wyraził coś w rodzaju pięcioprocentowego zdumienia. — Ja? Z krzykiem?

Po kilku minutach wyjaśnień ustalili tło nieporozumienia, po czym plutonowy zakończył je następującym aforyzmem, niezbyt może uprzejmym, ale trafnym:

— Pani dobrodziejka, sądząc z wieku, zdawałoby się doświadczona niewiasta, a głupia.

— A ja panu mówię, że kabała mówi prawdę. Źle się dziś skończy ich konferencja! Niech pan to zapamięta, a później się nie wypiera.

— Dobrze, dobrze — zgodził się potulnie — ale pozwoli pani dobrodziejka, że pójde przedtem do kolegi Kowalika, pospacerować trochę i przewietrzyć się. Do jedenastej mamy czas.

Uklonił się jej za pomocą stuknięcia obcasów. Wyszedł, przysięgając sobie w duszy, że przez dwa miesiące nie wyrzeknie słowa, wyjąwszy służbowe odpowiedzi na służbowe pytania.

O godzinie wpół do dziewiątej miała być kolacja, ale spóźniła się nieco z powodu namiętnego wdzierania się w przyszłość zacej Weroniki, zatem dochodziła już dziewiąta, gdy Stefan Pogonowski, Helena Landowska i doktor Józefat Prokasz zasiedli do stołu. Stary doktor znalazł się tu dzięki swojej zamierzonej interwencji w wypadki w charakterze detektywa

(i mężczyzny); postanowił mianowicie zwołać konferencję podejrzanych do willi Pogonowskiego w trybie przyśpieszonym już dziś na godzinę jedenastą wieczór. Była w tym psychologia, owszem i nawet symbolika: w dwadzieścia cztery godziny po wypadku i na miejscu przestępstwa. Lecz nie można było nic poza tym wiedzieć dokładnie, bo doktor szczegóły swego planu trzymał w sekrecie. W tych okolicznościach Helenie udało się, po półgodzinnej walce, przekonać go, że najrozsądniej będzie zjeść kolację razem (bo i ona została dziś przez Stefana zaproszona). Doktor Prokasz zgodził się i ustąpił: był to pierwszy — jak obliczył — przypadek od trzynastu lat, że kolacji nie będzie jadł u siebie w pokoju na stole służącym za biurko do pracy, skład rzeczy, z którymi nie wiadomo co począć, i stół jadalny.

Helena zaczęła smarować mu chleb masłem i podsuwać talerze. Powiedziała:

— Moi szanowni panowie! *Primum vivere, deinde philosophari*, najpierw trzeba żyć, potem filozofować; aby zaś żyć, trzeba najpierw jeść, przeto zabierajcie się do konsumowania tego, co ta zacna i święta niewiasta przygotowała. A należy przyznać: przygotowała umiejętnie. Jestem zdania, że sztuka gastronomiczna winna zwrócić na siebie baczniejszą uwagę naukowców.

— I historyków kultury przede wszystkim — dodał wujek Prokasz, oglądając z głębokim namysłem sałatkę majonezową. — Ja żyję skromnie, jadam, że tak rzeknę, ascetycznie: bułeczka, mleczko, maselko, biały serek i trochę urozmaiceń (ale rzadko... ale rzadko); ludzkość jako taka wszakże zainteresowana jest w tej dziedzinie bardziej, że tak rzeknę — obszernie.

Kolacja skończyła się. Siedzieli potem dość długo spędzając czas na drobnych rozmowach, aż wreszcie staroświecki zegar, stojący w kącie jadalni, zaczął trzaskać, hurkotać i wybił godzinę dziesiątą trzydzieści kunsztownym i skomplikowanym wielogłosem na różnych sprężynach.

— Czas przygotować się, wujaszku.

— Wiem, wiem, dziecinko.

Widać było, że im bliżej tego, co zamierzał, tym więcej był zdenerwowany.

— Koncepcja i poszlaki — wyszeptał, potem wygramoliwszy się z fotela, podreptał do gabinetu starego Pogonowskiego.

Stefan i Helena skierowali kroki do ogrodu, odprowadzani życzliwym acz surowym okiem Weroniki. Tam spotkali zaraz sierżanta Kowalika i plutonowego Ogórka i we czwórkę rozpoczęli spacer wokół klombu. Kroki ich chrzęściły na żwirze ścieżki. Po chwili ujrzeli światło w gabinecie i doktora krzątającego się wokół biurka, przestawiającego krzesła, zamyślającego się i znów ruchliwego.

Stefan spytał milicjantów, czy doktor Prokasz dał im jakieś instrukcje w związku z konferencją.

— Żadnych — odparł sierżant basowym grzotem.

Młody Pogonowski zatrzymał się na sekundę.

— Jak to, żadnych? To dziwne. Czuję, że źle robimy pozwalając pocziwcowi na taką samodzielność! Ale trudno mi interweniować; ostatecznie nie orientuję się, czy to rzeczywiście on sam wymyślił historię z konferencją, czy może jest to jakaś gra prokuratora. Trudno wiedzieć. — Zastanowił się nieco i dodał swym powolnym głosem: — Wobec tego proszę jednak panów o zwrócenie uwagi, tak jak wam wasza służba i znajomość rzeczy wskażą, na ludzi, którzy niezadługo tu się zjawią. Sądzę poza tym — zwrócił się do Heleny — że słuszniej będzie, jeśli i my ulokujemy się blisko gabinetu.

Sierżant pociągnął nosem i ku największej alteracji Stefana i Heleny zapiszczał głosem cienkiego fletu:

— Do diabła z taką sprawą! Ciągłe tylko nic się nie wie i siedzi się jak tabaka w rogu. Chyba zatelefonuję do prokuratora!

Dokładnie w tym momencie usłyszeli odgłos podjeżdżającego samochodu, światła



reflektorów zamiotły niespodziewanie po nich, przeleciały po ścianach, drzewach, zabłyśły kwiatami na klombie i płynęły dalej, dał się słyszeć zgrzyt hamulców i skowyt opon gwałtownie stojącego auta.

— Podjechał z fasonem — mruknął plutonowy, a zerknąwszy lekko na sierżanta, spytał: — Na nas chyba już czas?

— Tak — przyznał tamten skinieniem głowy, po czym obaj, jakby się nagle zdematerializowali, a w każdym razie zniknęli z oczu młodej pary, rozplywając się w ciemnościach ze zrzecznością średniowiecznych duchów.

Stefan i Helena uśmiechnęli się znacząco.

— Wczoraj, mniej więcej o tej porze, zastawił sieci redaktor Guran, dziś czyni to doktor Prokasz, oby tylko z większym powodzeniem — powiedział Stefan ujawnszy narzeczoną pod ramię i, skierowali się do domu.

Noc zapowiadała się piękna i księżycowa, wiatr lekko oddychał, poruszając firankami za otwartymi oknami gabinetu. W pokoju służbowym — jak widać było przez szybę — gospościa zawzięcie o czymś dyskutowała z szoferem. Z tarasu schodził, na spotkanie gościa, doktor Prokasz, poprawiając nerwowo rogowe okulary. Spojrzał ostrożnie pod nogi, aby nie spaść. Od strony furtki zbliżała się postać, w której rozpoznał rychło Bronisława Topolskiego.

— Witam pana profesora.

— Dobry wieczór, doktorze.

— A nie zaziębi się pan, tak bez płaszcza?

— Skąd znowu! Dzień był piękny i wieczór jest ładny. Przyjechałem trochę za wczesnie, bo wracam wprost z posiedzenia Warszawskiego Towarzystwa Naukowego i nie chciało mi się tłuc po mieście przez te kilkanaście minut; na kawiarnię za późno, a do domu za daleko. Wybacz pan, prawda?

— Ależ naturalnie, panie profesorze! Wiem, że mieszka pan gdzieś na przedmieściu. Proszę bardzo, tędy, przejdziemy wprost do gabinetu.

Ruszyli schodami w górę, kierując się za dłonią Prokaszki wskazującą drogę.

— Czy długa będzie ta konferencja? — spytał Topolski. — Bo zostawiłem w samochodzie szofera.

— Raczej nie — skrzywił się w bliżej nieokreślony sposób. — To zależy... sam nie wiem, ale... ale chyba niedługo.

— No, doktoru kochany, a temat? Nic nam pan nie powiedział, mówię — nam, bo jak się dowiedziałem z rozmowy z rektorem i on też nie został poinformowany o celu konferencji. Domyślam się wszakże — zwrócił się twarzą do doktora. — Redaktor Guran i znikające głowy, prawda?

— Tak, owszem, właśnie to. Ale pozwoli pan profesor, ze rozmowę na ten temat odłożymy, aż wszyscy się stawiają. Tymczasem proszę bardzo — znów zaprosił go gestem do wnętrza.

Weszli.

Uczony fizjolog poprawił kilku ruchami włosy zwichrzone na skroniach, rozejrzał się szybko po gabinecie zatrzymując oczy nieco dłużej na biurku i pięciu krzesłach, otaczających go półkolem, po czym zbliżywszy się pewnym krokiem do wolteriańskiego fotela, padł w jego wygodne objęcia z twarzą nie zdradzającą żadnych uczuć, konwencjonalną, obojętną.

Prokasz, który zatrzymał się zaraz przy drzwiach balkonowych, obserwował go pilnie, a nawet z ujawniającym się natężeniem; stał z lekko do przodu nachyloną głową, pięścią podniesioną do wysokości ust i uderzając zwolna dużym palcem po brodzie zastanawiał się.

Był tu wczoraj o godzinie dwunastej pięćdziesiąt czy nie? Zachowuje się nienagannie, a przecież jeśli był, orientuje się, że teraz jest próba i pułapka. Maski czy naturalności niewinności? Siedział oto w tym samym fotelu, w którym siedział Pogonowski, oparł głowę, podaną do tyłu, o zielony materiał i nawet zamknął oczy. Prawie tak samo jak wczoraj... zupełnie jak

tamten... Teatr czy życie, wyrafinowanie czy po prostu przypadek?" Sławny fizjolog założył nogę na nogę, otworzył oczy i spytał:

— Czemu to doktor tak przygląda mi się badawczo?

— Myślę właśnie o laboratorium pana profesora.

Ten zdziwił się jakby, ale nie zanadto i odparł:

— Co za niezwykle skojarzenie.

— Wcale nie takie znów niezwykle. Legendy krążą o pracowni pana, zwłaszcza że nikogo profesor nie dopuszcza.

Topolski przerwał:

— Chce doktor powiedzieć: „strzeże pan zazdrośnie tajemnicy”. Tak, prawda, strzegę, jak każdy tworzący coś nowego strzeże sekretu; wszystko jedno czy będzie to pisarz męczący się nad powieścią kryminalno-fantastyczną, czy fizjolog biedzący się nad włóknem nerwowym, — wszyscy twórcy są wstydlivi i zazdrośni. Oczywiście, do czasu.

— Wstydlivi i zazdrośni — powtórzył mimowolnie doktor.

— A tak — poparł Topolski, unosząc głowę. — Tak, wstydlivi i zazdrośni.

Zapanowała cisza. Profesor nie zdradzał chęci do przerwania jej, zaczął obserwować marmurowy parapet okna; doktor zaś, nadal — tylko nieco szybciej — pukając kciukiem w brodę, dumiał obserwując swego gościa. Wreszcie podrapawszy się palcem po czole rzucił pytanie:

— Czy pan profesor zna dobrze willę Pogonowskiego?

— Owszem — padła natychmiastowa odpowiedź. — Zapewne dziwi się doktor, że tak pewnie szedłem od furki i z tarasu do gabinetu; nic dziwnego: byłem tu wiele razy, kolegowaliśmy ze starym Pogonowskim, znałem go jeszcze, kiedy syn jego, Stefan, chodził w krótkich majtkach. Zresztą — uśmiechnął się — gdybym nawet tu nigdy nie był, to uprzejma dłoń pana prowadziła jak niezawodny drogowskaz.

— Prawda — mruknął zaskoczony doktor, odejmując natychmiast rękę od twarzy.

Topolski jeszcze raz okraślił swą twarz słabym uśmiechem i zniżywszy głos oraz nadając mu ton poufaly, wyszeptał:

— Bardzo kiepski z pana detektyw.

— Prawda — przyznał się Prokasz, wyjmując natychmiast drugą rękę z kieszeni i nadając jej pozycję identyczną do ręki prawej. — Ale... ale — poderwał się nieco — to nie wszystko. Nie o to chodzi... ja tak tylko... mam nadzieję, że nie gniewa się pan... mnie idzie o konferencję... na niej dopiero...

— Nie, nie gniewam się. — Co powiedziawszy z kolei rozpoczął obserwować starego doktora.

Kłopotliwe milczenie przeciągało się. Z oddali, gdzieś z sąsiedztwa dobiegły ciche dźwięki fortepianu. Prokasz począł — nieświadom wpływu muzyki — czubkiem buta wybijając na perskim dywanie takt nokturnu cis-moll.

Melancholia Chopina wionęła po tym pokoju. Krople tonów padały jak krople letejskiego lekarstwa, jak krople jesiennego deszczu, rozpuszczając mu duszę i wolę.

Westchnął głęboko. Trzeba się bronić. Jestem zupełnie do niczego, zupełnie do niczego. — Postąpił krok naprzód. Profesor Topolski zaś nic nie słyszał; dla niego bowiem muzyka była czymś w rodzaju zorganizowanego hałasu, a już w żadnym razie droga do jego uczuć nie prowadziła przez uszy. Jego serce niewrażliwe było na drgania ośrodka materialnego, czym w gruncie rzeczy — jak wiemy — jest dźwięk i muzyka. Jeśli te drgania były umiarkowanie ciche, nie przeszkadzały mu, nie słyszał ich.

Prokasz podszedł do siedzącego, przysunął się zupełnie blisko i spytał:

— Czy wie pan, gdzie umarł wczoraj Pogonowski? W tym właśnie fotelu. — Podniósł palec i trzęsąc nim, informował dalej: — Tu właśnie i tu ukradziono mu głowę, w tym miejscu wczoraj wieczorem.

Patrzył na Topolskiego. Ten zaś, zebrał się powoli, wstał, obejrzał fotel i zaczął przechadzać się po gabinecie. Odwrócił się do Prokasa.

— Widzi pan, doktorze, wszystkie moje reakcje psychiczne będą teraz sztuczne, bo zdaję sobie sprawę z sytuacji. Czyż może być inaczej? Oczywiście, poruszyła mnie ta wiadomość, lecz jednocześnie mam sto innych myśli mniej lub więcej głupich, podejrzliwych i żenujących. Jeśli to są próby psychologiczne, przepraszam i ostrzegam: mogą źle wyjść. Krótko mówiąc: albo nie zdam egzaminu, albo...

Doktor chwycił go za ramię.

— Ależ nigdy, profesorze. Doprawdy, po prostu rozmawiam z panem, przecież czekamy na resztę...

W tej chwili na twarzy profesora, odwróconego do okna, ukazał się wyraz ostrzegawczy.

Prokasz obejrzał się.

Za firanką, odsuniętą w bok włochatą łapą, widniała czarna, kwadratowa twarz.

— Co to? — prędko wykrztusił profesor.

Z okna dobiegły ich słowa:

— Ktoś idzie od ulicy.

— Dziękuję, sierżancie — odpowiedział doktor. — Już wychodzę — a zwracając się do fizjologa, wyjaśnił: — Sierżant Kowalik.

Profesor rzucił na niego wzrokiem. Tamten również przyjrzał mu się ciekawie.

Doktor wybiegł na taras, potem zbiegł po schodach. Ścieżką mało już teraz widoczną szedł niepewnie rektor Traga.

— Witam pana rektora.

— Dobry wieczór, panie doktorze.

Uścisnęli dłonie. Doktor przepuścił kurtuazyjnie gościa przed siebie i rzekł:

— Proszę bardzo naprzód. Jest już profesor Topolski. Proszę uprzejmie naprzód.

Rektor postąpił kilka kroków i ujrawszy taras, spytał:

— Czy tędy?

— Tak.

Wszedł, a za nim doktor, po czym skierował się ku otwartym drzwiom.

— Chyba tu, prawda?

— Tak, panie rektorze.

Prokasz zatrzymał się na chwilę i oderwał wzrok od pleców podejrzanego numer dwa. Zastanowił się: wygląda tak, jakby był tu pierwszy raz, uznał w duchu. Po sekundzie wahania rzekł:

— Zostawiam panów samych na chwilę, zaraz wrócę.

Traga i Topolski, którzy widzieli się dziś chyba już z pół tuzina razy, kiwnęli sobie milcząco głowami.

Nowoprzybyły, włożywszy ręce do kieszeni, podszedł do ściany, na której wisiał wielkich rozmiarów obraz, i zaczął go studiować.

Topolski dumał, zajmując zawczasu krzesło pierwsze z brzegu, przy biurku. Wyciągnął notesik i wieczne pióro, zapisał coś, zawiesił na sekundę rękę nad dopiero co zanotowanymi zdaniem, potaknął energicznie głową, podkreślił powolnym i pewnym ruchem jakieś słowo, po czym schował pióro i notes.

— Tak — powiedział półgłosem, trochę do siebie, trochę do Tragi — marnuję czas, gdy głowę mam pełną piekielnych trudności. Badanie włókien nerwowych to najniewdzięczniejsza praca na świecie, lecz ja kocham ją i złość mnie porywa na tych, którzy mnie od niej odrywają. No, ale dobrze, że wreszcie będziemy mieli poza sobą to, co jest nieuniknione.

Traga, który oglądał obraz tylko dlatego, że nie było nic innego do roboty, odwrócił się i zgodził:

— Ma pan rację. Trzeba przez „to” przebrnąć, ale ja osobiście nie sędzę, by wezwano nas tu wyłącznie jako podejrzanych, nie wykluczone, że będą szukali naszej pomocy.

— Tak pan istotnie sądzi? — zdziwił się niedowierzająco Topolski. Potrząsnął przecząco głową. — Nie wydaje mi się. Organa śledcze dadzą sobie radę same, mają ręce niewidzialne, ale bardzo długie.

Rektor znów odwrócił się do obrazu i mruknął:

— Może...

Tymczasem doktor Prokasz, ukrywając się nieco w cieniu starego bzu, stojącego w pobliżu furtki od ulicy, czekał na następnego.

Który teraz nadejdzie: Byroń czy Lothar?

Plutonowy Ogórek, który niewidoczny dla nikogo stał o kilka kroków dalej, rozmyślał:

Zwariowana historia. Ten stary okularnik czyha na kogoś, a ja nie wiem ani na kogo, ani dlaczego. Zwariowany redaktor powiedział: łapcie, pilnujcie; potrwa wszystko pół godziny, najwyżej godzinę. Potem znikł w nocy jak kamfora. Mija już doba... ładne pół godziny! Zwariowana pomocnica domowa prorokuje nieszczęścia, a jakiś zwariowany gość kradnie głowy nieboszczykom.

Ale był za dobrym służbistą, by zbyt gwałtownie wnikać w głębie taktyki kryminalno-śledczej. Dostał polecenie od sierżanta, by wszystko dobrze obserwował.

— No bo co więcej możemy zrobić? — narzekał Kowalik. — Patrzeć i zapamiętać; chyba żeby wybuchła jakaś awantura, a wtedy co innego.

Sierżant Kowalik, który teraz siedział w ogrodzie pod drzewem, na drewnianej ławeczce otulonej przyjaznym mrokiem, widział dokładnie ruch osób na oświetlonym tarasie i na mniej oświetlonej ścieżce. Rozmyślał: Założyłbym się o pięć butelek piwa, że nie wiem, kto tu kogo śledzi i kto kogo łapie, a o drugie pięć, że już niewiele czasu upłynie, jak zobaczę naszego prokuratora i całą komisję.

Na ulicy dały się słyszeć kroki.

Prokasz wyjrzał ostrożnie.

Zbliżał się wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu. Ręce miał założone do tyłu, głowę nieco opuszczoną. Doszedłszy do furtki zatrzymał się i spoczął długim spojrzeniem na willi Pogonowskiego. Otworzył furtkę i zanurzył się w cień ścieżki, minął nie zauważonego doktora i doszedł do skraju domu. Miał przed sobą lewą stronę willi i jej tył, bo tyłem stała do ulicy; widział odbłask światła padających na trawnik z niewidocznych stąd okien i poszedł za nim. Ale znów zatrzymał się obserwując dom. Prokasz wyruszył za nowoprzybyłym. Był to Stanisław Lothar. Tamten odwrócił się i nie mogąc na razie rozpoznać, kto za nim idzie, zrobił krok ze ścieżki, by znalazłszy się w większym cieniu szybciej zorientować się kto to. Przyłożył rękę do czoła na kształt daszka, wpatrzył się w doktora, a rozeznawszy, powitał go słowami:

— Ach, to pan, panie Prokasz. Dobry wieczór. Sądziłem, że będę ostatni, a widzę, że przyszedłem przed panem.

— Nic podobnego, panie profesorze: ja jestem tu już od dawna, tylko spacerowałem sobie trochę. Piękna pogoda, prawda?

— Piękna, owszem; w Polsce jesienią są przysłowiowe w swej ciszy i równowadze. To na skutek — dodał tonem wyjaśnienia — zrównoważenia się wiatrów wschodniego i zachodniego, które u nas rządzą pogodą. Nasz klimat w dużym stopniu jest funkcją obu tych wiatrów.

— Doprawdy wiatrów? — zdumiał się uprzejmie (lecz i naprawdę zarazem) doktor, myśląc jednocześnie o zupełnie czymś innym.

— To znajdzie pan w każdym podręczniku geografii...

Prokasz jednak, nie czekając na zakończenie zdania, popchnął delikatnie Lothara w ramię proponując, by poszli dalej.

Na próżno wszakże, profesor, jakby nie czując zupełnie owej fizyczno-gestykulacyjnej zachęty, tkwił w miejscu.

Prokasz, wyczerpawszy środki i nie mając danych naturalnych na wywieranie presji większego kalibru, czekał zdając się na rozwój wypadków.

Lothar był zmęczony lub może był nieobecny myślami, lub wreszcie może wzbierało w nim coś, co musiało jeszcze dojrzeć, zanim wyłoni się jak kurczę z jajka. Doktor począł z nudów i nerwów liczyć w duchu:

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem...

Tamten ważył coś w sobie i nie potrafił się zdecydować.

...osiem, dziewięć... zupełnie — przebiegło błyskawicą po głowie doktora — jak Ozyrys ważący na wadze sprawiedliwości grzechy i zasługi, biedzący się nad wyrokiem... dziesięć, jedenaście, dwanaście... trzyna...

Głębokie westchnienie przerwało mu to zajęcie matematyczno-mnemotechniczne. Profesor Lothar zwinął wargi w trąbkę, uniósł delikatnie jedną brew i rzekł:

— Zanim wejdziemy, chciałbym przejść się trochę z panem; mam interes, jeśli doktor pozwoli.

Spojrzał na Prokaszę.

— Ależ bardzo proszę. Chodźmy; możemy iść zaraz, najlepiej tędy.

Poszli. Lothar wziął Prokaszę przyjacielsko pod rękę i... milczał nadal.

Na koniec uczul wyraźny ucisk palców na swym łokciu i chropowaty głos z ciemności:

— Widzi pan, jestem w tarapatach.

Uszy Prokaszowe urosły nagle do niebywałych rozmiarów. Usłyszałby teraz nawet szept mrówki na wierzchołku sosny (tak pomyślał, nie będąc pewny, czy mrówki mają głos).

— Jestem w tarapatach — powtórzył. — Prowadziłem intensywne doświadczenia... — przepracowałem się... zacząłem... no, zacząłem pić wódkę... krótko mówiąc, czy zechce mi doktor pożyczyć sześćset złotych?

Józefat Prokasz na razie zgłupiał, jakby piorun niespodzianki w niego strzelił, potem udał, że nie dosłyszał, potem szybko pomyślał, czy to gigantyczny bluff, czy ruina człowieka, potem zaczął dokładnie wycierać okulary chustką, na końcu wyraził życzenie zastanowienia się.

Profesor przytaknął z wyrazem rozczarowania:

— Oczywiście, oczywiście. Choć to nie jest znów wielka suma, ale rozumiem, że trzeba się zastanowić.

Głos jego przypominał pracę pękniętego dzwonu, lub zepsutej pozytywki. I zakończył:

— No to może po konferencji, dobrze?

— Tak, po konferencji — zgodził się Skwapliwie doktor. — Zatem chodźmy. — Znów popchnął nieznacznie gościa, przepuszczając go naprzód i obserwując go ze zdwojoną energią. Ale obserwacja nie dała spodziewanych rezultatów, „numer trzeci” bowiem potknął się raz i drugi na schodkach, potem o mało się nie przewrócił, aż wreszcie doktor zrozumiał: Lothar był pijany!

Prawdziwe nieszczęście — pokręcił smutnie głową i już znacznie odważnej popychał przybysza w kierunku gabinetu.

Czas upływał. Czekali.

A Byroń nie przychodził.

Zegar wybił godzinę jedenastą, jego zaś wciąż nie było ani widać, ani słyhać.

Topolski rozłożył się z robotą na rogu biurka, zawzięcie i gorączkowo notując na skrawkach papierków jakieś wzory, znaki i liczby magicznym językiem współczesnych uczonych.

Prokasz usiłował gawędzić półgłosem z Lotharem, odpoczywającym w głębokim fotelu, a Traga przemierzał gabinet wielkimi krokami obojętny na wszystko.

Było dziesięć po jedenastej, gdy Prokasz uznał, iż nic mu się nie udaje. Ot i teraz...

Lecz niesłusznie: więcej miało mu się udać, niż wyobrażał sobie, i zarazem więcej nie udać, niż lękał się. Na razie nie wiedział tego. Błąkał się wzrokiem po obecnych: Traga, Lothar, Topolski, a Byronia wciąż brak. Który z nich? Czy może żaden? Na pewno jeden z nich, nie inaczej, ale dlaczego Leon Byroń spóźnia się? Zawsze odznaczał się niezachwianą punktualnością, należało według niego nastawiać zegarki. Gdy bił kwadrans po jedenastej i zanim przebrzmiały echa, rektor Traga zatrzymał się w swym pochodzie i objąwszy wzrokiem obecnych oświadczył:

— Nie sądzę, by profesor Byroń przyszedł. Proponuję zacząć, o ile — odwrócił się do Prokasz — konferencja będzie miała sens bez jego udziału.

W tonie jego odczuli wszyscy szczególne brzmienie, tak jakby przewijała się w nim inna myśl, druga myśl: „czekacie na próżno, ja wiem, że profesor Byroń na pewno nie zjawi się”.

## XVI

### ZDEMASKOWANIE NIEZNANEGO

Topolski uniósł głowę znad notatek i czekał na Prokasz, a Lothar ożywił się, tylko nie wiadomo było czym: perspektywą końca nieudanej konferencji, a co za tym idzie — rychłego zobaczenia sześciuset złotych, czy też faktem niewytłumaczonej nieobecności jednego z zaproszonych, a zarazem i podejrzanych. W tym ostatnim i on się świetnie orientował.

Stary doktor wahał się. Szukał niemym spojrzeniem ratunku zapinając nerwowymi rękami staroświecką marynarkę, symbolizując nieświadomie tymi gestami pragnienie szybkiego zakończenia nieprzyjemnej sytuacji.

— Jak panowie uważają? — spytał — i...

W otwartych drzwiach pojawiły się figura sierżanta milicji; podniósł do daszka rękę rozmiarów kowadła i salutując, zameldował basem:

— Tu jakiś pan twierdzi, że został zaproszony przez pana doktora. Siedziałem pod drzewem w ogrodzie, gdy zobaczyłem go, a raczej usłyszałem, jak zbliża się... od strony ogrodu... — Przerwał na sekundę i dorzucił głosem zdumionym o modulacji piszczącego fletu: — ...tam... przecież nie ma żadnej furtki!

Na tę wieść wszyscy natychmiast wstali, z wyjątkiem rektora, który już przedtem znajdował się w tej pozycji. Nie dotarła nawet do ich świadomości metamorfoza głosowa sierżanta, tak byli zaskoczeni meldunkiem.

Zza kwadratowych barów wielkoluda ukazała się czyjaś wątpa ręka, sierżant odsunął się posłusznie na bok, robiąc przejście i oczom wszystkich ukazał się profesor Byroń we własnej o sobie!

Spoglądał niezwykle uważnie, tak uważnie, że nawet zapomniał przywitać się, tylko — wciąż nie spuszczać źrenic — powiedział:

— Istotnie tak było. Spóźniłem się bardzo z powodu wypadku tramwajowego i nie chcąc okrażać tego wielkiego ogrodu, skróciłem sobie drogę przełaząc przez parkan. Oszczędziłem kolegom pięć dodatkowych minut czekania. Jak wiecie, tramwaj biegnie tamtą stroną posesji i musiałbym dojść do przecznicy; kawał drogi.

Wszyscy byli zdumieni, każdy na swój sposób, ale najbardziej Traga.

Przekręcił twarz nieco do boku i tak z tej skośnej pozycji przyglądał się nowoprzybyłemu zmrużonymi oczami, w których nie wiadomo czego było więcej — zdumienia czy przestachu. Byroń zaś obserwował go.

Prokasz był sparaliżowany: wszystko układało się nie według planu. Skurczył twarz niemal do rozmiarów zwiędniętego jabłka i łapał rozbiegane myśli, galopujące jak dzikie mu-

stangi po bezkresnych preriach.

Byroń?

Przez parkan?

Tak jak wczoraj Nieznany?

Tą samą drogą?

Po co? Dlaczego? Co to znaczy?

A może przypadek, może naprawdę zrobił to jedynie dla pośpiechu? Dlaczego tak gapi się na Tragę, a Traga na niego? Wyznał wreszcie przed sobą: „nic nie rozumiem, absolutnie nic”.

Topolski zapomniał o notatkach, znalazłszy coś bardziej interesującego. Wpatrywał się w Leona Byronia drapiąc się po nosie z objawami najwyższego zamyślenia.

Lothar zaś wytrzeźwiał od razu i całkowicie, odmienił się cały z wyjątkiem cynicznego uśmiešku.

— Widzę, że panów zaskoczyłem nieco — usprawiedliwił się profesor Byroń z namysłem i nagle wszedł do środka dodając: — Dobry wieczór i przepraszam.

— No, no, ma pan młodzieńcze pomysły — zganił sławny fizjolog, zgarniając notatki i pakując je do kieszeni.

— Przepraszam — usprawiedliwił się jeszcze raz Byroń i zaczął się ze wszystkimi witać.

Traga stał wciąż zamyślony, jakby roztargniony, jakby pilnie czegoś szukał.

Lothar, uśmiechając się chytrze, poprosił o chwilę uwagi i wyraził przypuszczenie, że należałoby „wobec tego” przystąpić do rzeczy.

Wszyscy zbliżyli się do biurka, zajmując miejsca, a doktor, zamknąwszy naprzód drzwi prowadzące na taras, okrążył ich i zasiadł z drugiej strony.

— Proszę panów — zaczął — jesteście świadomi zapewne celu naszego zebrania, bo jakkolwiek nie informowałem was, ze względu na konieczność tajemnicy, o właściwym temacie, to jednakowoż domyślacie się, że będzie on w związku ze sprawą „głów”. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin pogorszyła się ona przez zniknięcie redaktora Gurana.

Zanim pójde dalej, chciałem uprzedzić panów, że działam tu prywatnie, z inicjatywy własnej, i że zebranie nasze należy traktować nie jako śledztwo czy coś w tym rodzaju, broń Boże, a jedynie jako konferencję informacyjną. Otóż chodzi o to, byście...

Dało się słyszeć delikatne pukanie w drzwi od jadalni.

Prokasz przerwał i rzekł, w widoczny sposób niezadowolony:

— Proszę!

Drzwi otworzyły się i wszedł szofer Pogonowskiego. Zwrócił się do doktora.

— Jest telefon do pana. Mówiłem, że ma pan doktor konferencję i że kazał pan sobie nie przeszkadzać, ale oni upierają się, że to ważna wiadomość.

— Co to znaczy „oni”?

— Prokuratura.

— Kto chce mówić?

— Sekretarka mówi, że prokurator, i że ma pilną i ważną sprawę, i że szukali już pana wszędzie.

— No, w takim razie proszę przełączyć.

Szofer znikł, a Prokasz, przeprosiwszy zebranych niemym rozłożeniem ramion, ujął za aparat telefoniczny i przysunął go bliżej. Po sekundzie odezwał się terkot aparatu i doktor podniósł słuchawkę.

— Halo, tu doktor Prokasz... Tak, ja... Dzień dobry pani. Będzie mówił prokurator? Dobrze, czekam.

Oparł łokieć o biurko.

.....

— Tak, to ja, doktor Prokasz... Co? Poczekać? Jeszcze? Dobrze... czekam przy telefonie. — Zasłonił słuchawkę dłonią i zwracając się do czterech twarzy rzekł: — Jeszcze raz panów przepraszam. Dziwne... o tej porze!

.....  
— Tak, tak, tu doktor Prokasz... Witam pana prokuratora... Co?... złe wiadomości?... proszę, słucham... no trudno, proszę mówić... — Przez chwilę milczał. Wtem drgnął i krzyknął: — To niemożliwe! — Uniósł się powoli, trzymając wciąż słuchawkę przy uchu. Powtórzył słabo: — Nie-moż-liwe...

Położył słuchawkę, nie trafiając kilkakrotnie na widełki i drżącymi rękami przesuwać zaczął różne leżące na biurku przedmioty.

Topolski wydawał się coraz więcej zainteresowany rozwojem sytuacji. Byroń bystro obserwował rektora Tragę. Ten zaś był duchem nieobecny, ciągle czegoś myślami szukał, gonił za jakąś odpowiedzią na jakieś pytanie, można byłoby nawet bez obawy przegrania założyć się, że nie słyszał rozmowy telefonicznej, a w każdym razie nie zdawał sobie w pełni sprawy z treści i ze znaków zapytania, jakie rysował. Bębnił palcami o wypukłych paznokciach po samym brzegu biurka, błędząc duchem w niewymiernym i bezczasowym świecie myśli. Natężone milczenie wyrwało go z owego stanu, skierował oczy — dotąd niewidzące — na zewnątrz siebie, na Byronia, na Prokasz.

Właśnie w tej sekundzie doktor zebrał się w sobie i cicho, lecz dobitnie wypowiedział te słowa:

— Redaktor Guran nie żyje!

Lothar otworzył usta, a uśmiech zgasł jak zdeptana zapalka; Byroń oderwał wzrok od Tragi i wyraz przestraszenia wykrzywił mu bladą twarz; Tragę zaś ośladnęło bezgraniczne zdumienie, rosnące z sekundy na sekundę. Podniósł rękę, pragnąc uczynić jakiś gest i zatrzymał ją w powietrzu.

Prokasz dodał:

— Został zamordowany!

Wszyscy obecni usłyszeli teraz stalowy głos Tragi:

— To nieprawda!

Prokasz błyskawicznie nachylił się poprzez biurko w jego kierunku.

— Jak to nieprawda?

— Znaczy, chciałem powiedzieć, że to niemożliwe — poprawił się.

Prokasz wodził sekundę oczami od Byronia do Tragi i odparł z naciskiem:

— Dziś po południu znaleziono ciało.

Traga powstał, poderwał głowę jakby w nagłym i tragicznym olśnieniu, cofnął się krok tak, że krzeselko z grzotem wywróciło się na podłogę.

— To Homunculus, ten imbecyl Homunculus... — szeptał cofając się wciąż tyłem. Chwycił się za czoło, wargi ściały z taką wściekłością, że wyglądały jak dwa ostrza miecza. — To Homunculus... jego sprawka... nie kazałem mu tego robić... od rana nie byłem w laboratorium.

Nikt nic nie pojmował, a zwłaszcza dlaczego rektor nagle zwariował, dlaczego mówił o sztucznym człowieczku z poetyckiej legendy, ale wszyscy od razu pojęli, że wiedział, kto zamordował Gurana, że był w to wmieszany, że wobec tego sprawa „głów”...

Byroń podniósł się bardzo powoli i zaczął z jakimś zamiarem zbliżać się do Prokasz, ten zaś opuścił obie ręce wzdłuż ciała, wszystko w nim w jednym momencie zwiotczało, napięcie prysło jak kryształ pod uderzeniem młota i kiwał głową miarowo i śmiesznie jak dziecinna lalka.

Lothar zdmuchnął jakiś niewidzialny pyłek z rękawa, podrapał się za uchem, po czym zrobił głośno uwagę:

— Ho, ho, kto by to się spodziewał po panu, rektorze!



Spojrzał nań spod oka.

Straszna bladość opanowała twarz tamtego. Trwało to bardzo krótko, bo oto nagle i jakby cudownym sposobem opanował się. Przytomnym i zimnym wzrokiem potoczył wokoło. Usłyszeli świszczący głos:

— Karły, karły... Nie będę się przed wami tłumaczył... karły i głupcy...

Oczy przepętnione nienawiścią przebijały kolejno każdego z nich jak szpada. Maskę rektora Tragi spadła. Ukazała się twarz prawdziwa, straszna, okropna, nie do zniesienia. Wypisany był teraz na niej stygmat szaleństwa.

W oknie, zwabiona grzmotem padającego krzesła, ukazała się potężna sylweta.

— Karły... nigdy, nic nigdy nie dokonacie...

Sierżant pytająco indagował wzrokiem doktora, lecz ten — jak i reszta — stał zahipnotyzowany i nic nie widzący poza widowiskiem rozgrywającym się na środku dywanu.

— Głupcy... pogardzam wami... — I nagle jak uderzony prądem elektrycznym, skrzyknął się i — nim zdążyli odetchnąć — kopnięciem nogi wywalił oszklone drzwi prowadzące na taras i w tumanie szkła, wirującego wokół niego, oraz w rozgłosie pryskających dzwoneczków-dźwięków znikł, przesadzając jednym skokiem przeszkodę jak złośliwy gnom, jak przywidzenie w malignie, jak halucynacja. Sierżant, widząc, że nikt nie drgnie nawet, patrzył wciąż błagalnie na starego doktora, instynkt i służbowa rutyna dławili go, ale wiedząc, że na próżno czeka rozkazu, puścił się w pogoń z decyzją wzięcia na siebie odpowiedzialności za ewentualne wybicie kilku zębów niewłaściwej osobie w niewłaściwym czasie. Wpadł w ciemność i kierując się odgłosem oddalających się kroków, cwałował wściekle, czyniąc hałas podobny do tego, jaki sprawia indyjski bawół tratujący dżunglę.

Przed nim bębnił prędkim staccato krok uciekającego. Usłyszał jeszcze, jak z krzykiem wysypują mu się za plecami profesorowie, skaczący jeden po drugim w ciemność niczym rozzłoszczone krasnoludki, i uczył nagle potężne uderzenie w głowę. Znikł z rzeczywistości, został wypisany z gry. Pierwszy nadbiegł Byron i przebijając nic nie przeczuwającymi nogami, wpadł na leżącego sierżanta, fiknął niezgorszego kozła i położył się obok z westchnieniem maszyny, z której uchodzi para; następnie przybieżał Lothar, lecz zatrzymawszy się na czas, rozpoczął alarm głosem chrypiącym z historycznego zdenerwowania jak zardzewiały gwizdek milicyjny. To do reszty oszołomiło pędzącego na samym końcu Prokasa, który hamując rozpęd (i odwagę) począł dreptać na miejscu, czyniąc jednocześnie gorączkowy przegląd sytuacji w celu uzyskania racjonalnej (oraz umiarkowanej) decyzji.

Od strony furtki zaczęła się zbliżać truchtem jakaś postać. Był to plutonowy Ogórek. Wszystko działo się pod pnem niewysokiego bzu, o który to właśnie grzmotnął się pechowo sierżant. Plutonowy zaś, oczywiście, jak zawsze milczący, usiłował zorientować się w skomplikowanej sytuacji.

Dokładnie w tym momencie Prokasz powziął decyzję i zaczął wrzeszczeć:

— Plutonowy Korniszon!... Plutonowy Korniszon!... Plutonowy Korniszon!...

Ogórek czy Korniszon, wszystko jedno, dość że plutonowy w lot zorientował się, że to jego wzywają i odkrzyknawszy: — Jestem, panie doktorze! — poskoczył do niego.

— Gdzie rektor Traga? — wrzasnął nieprzytomnie. — Czy widział plutonowy rektora?

Plutonowy, zgodnie ze swą naturą, to znaczy powoli, zbierał się do odpowiedzi. Nic więc dziwnego, że w tym okresie Prokasz zdołał jeszcze z pół tuzina razy wykrzyknąć to pytanie:

— Gdzie rektor! Czy widział plutonowy rektora?!

— Pojechał do prokuratora, melduję panu doktorowi.

— Do... gdzie?

— Do prokuratora, melduję panu doktorowi.

— Do jakiego prokuratora?

— Chyba do zwyczajnego, panie doktorze.

— Skąd plutonowy wie o tym?

— Mówił mi; to ten wysoki, który przed chwilą wyszedł, pewnie to rektor, jak pan doktor tak mówi.

— Jak to było, proszę mi powtórzyć! — dopytywał się gorączkowo stary doktor.

— Ano, gdy usłyszałem brzęk tłuczonych szyb, rozmawiałem właśnie z szoferem profesora Topolskiego. Zaraz niedługo zmiarkowaliśmy, że ktoś leci i słyhać nawet było upadek. I rzeczywiście, w chwilę potem nadszedł powoli, aż się dziwiłem, że tak powoli, ten wysoki pan i rzekł: „Sierżant nabił guza sobie, łapiąc kogoś, niech no pan go poratuje, a ja tymczasem pojedę po prokuratora”. No i wsiadł w samochód profesora Topolskiego i kazał się zawieźć. A ja tu przyleciałem.

Skargi Byronia przerwały informacje plutonowego. Podnieśli go ostrożnie. Na szczęście nic mu nie było, wyjąwszy lekkie oszołomienie. Gorzej z sierżantem, któremu na czole wystąpiła krwawa pręga, a stan zamroczenia ustępował niechętnie. Każdy inny na jego miejscu musiałby odwiedzić szpital, ale on siedział pod tymże bzem i macając się wciąż po obolałej łepetynie mamrotał:

— Ładny gips, niech cię cholera!

Nadbiegli Stefan i Helena: ona blada i ledwo dysząca, on gotów do walki.

— Co się tu dzieje? — krzyknął do Lothara.

Ten wskazał ręką na scenę, potem w nieokreśloną dal i odparł:

— Czy wiecie, że redaktor...

Ale na te słowa doskoczył do niego Prokasz i machając mu obu dłońmi przed nosem, jakby wachlując niewidzialnym ręcznikiem, by oprzytomniał, syknął:

— Nie... nie...

Na szczęście oni już byli zajęci ratowaniem sierżanta i nie dostrzegli tej dodatkowej sceny mimicznej.

Za chwilę cała kawalkada posuwała się powoli do domu: na przedzie Byroń, kulejący, ale czymś wewnętrznie rozradowany; potem sierżant podtrzymywany przez młodą parę, za nimi Prokasz z Lotharem, wreszcie plutonowy. W gabinecie ujrzeni Topolskiego: siedział przy biurku, zagłębiony w pisaniu. Na widok wchodzących uniósł się nieco z krzesła mówiąc:

— Przepraszam ogromnie, ale właśnie wpadłem na prawidłowe rozwiązanie zagadnienia, które mnie od dawna męczy; nareszcie mam, więc zapisuję na gorąco, by mi nie uciekło. Wybaczycie państwo, prawda?

I usiadł z powrotem, topiąc nos w papierach. Stefan usadowił sierżanta na kanapie przed kominkiem, Helena udała się na poszukiwanie opatrunków.

— A co — zwrócił się młody Pogonowski do sierżanta — los zmienny jest: wczoraj ja, dziś pan. To za karę, że mnie pan tak wczoraj wymłócił.

Ten machnął tylko łapą i jęknął:

— Ładny gips, niech cię cholera...

Lecz Stefana już nie było przy nim. Złapał Prokasz za połę marynarki.

— Co się tu dzieje? — spytał po raz wtóry, lecz i po raz wtóry nie otrzymał odpowiedzi, albowiem stary był zanadto zdenerwowany i pochłonięty swoją myślą, by czuć i słyszeć, i widzieć coś; ponadto powtarzał tylko w kółko do siebie:

— A więc to on, to on... ha, ha. — Kręcił ze zdumieniem głową. — Rektor Traga... koncepcja i poszlaki... Koncepcja była dobra, poszlaki mam, ech, to są już dowody, a nie poszlaki... to on. — Spojrzał na szarpiącego go Stefana, a ujrawszy go wreszcie, spytał nieco przytomniej: — Co teraz robić?

Pogonowski na to:

— No, może wreszcie powie mi pan doktor, co się stało, bo stracę cierpliwość!

— Nie wie pan? Ach, prawda! Wyjaśnił: — Traga jest tym Nieznanym; tym porywaczem głów; tym, którego ścigaliśmy.

Pogonowski oniemiał:

— Doprawdy? Rektor Traga?

— Tak, on.

— Jak się pan o tym dowiedział?

Doktor za całą odpowiedź machnął ręką w powietrzu, wyjaśniając tym gestem, iż pytanie jest za obszerne, gdy jest tak mało czasu.

Stefan rozejrzył się.

— Nie widzę go tu.

— Uciekł. Przecież to jego goniliśmy.

Gabinet wyglądał jak pobożowisko: kupy szkła, leżące krzesło, zwichrzony dywan, sierżant z rozbitą głową na kanapie. Stefan właściwie dopiero teraz ocenił to wszystko. Powiedział:

— Wie, że jest zdemaskowany, i uciekł. Na cóż więc czekamy?

Oblicze plutonowego Ogórka, stojącego obok, rozjaśniło się.

— Trzeba go gonić lub natychmiast jechać do prokuratora — kończył Stefan. — Lecz ponieważ to była pańska prywatna impreza, sądzę, że raczej trzeba zawiadomić przedtem prokuratora.

W tej chwili dopiero plutonowy zrozumiał, że padł ofiarą wyrafinowania i przytomności umysłu wysokiego jegomościa, który zwiódł go i zdobył samochód Topolskiego.

— A to osioł ze mnie! — wyrwało mu się na cały pokój.

Prokasz, zawoławszy: „Panie plutonowy Korniszon, ze mną!” — ruszył naprzód, a odwracając głowę dorzucił: — Lecimy do prokuratora!

Jeszcze dobrze nie zniknęli na tarasie, a sierżant Kowalik zerwał się względnie sprawnie z kanapy i krzyknął:

— Ja również!

Gdy weszła Helena z wodą, medykamentami i bandażami, nie zostało po nim śladu. Zakłęła:

— A to skurczypałka! Ja tu z ratunkiem, a on na spacer!

Stefan uśmiechnął się z uznaniem, a profesor Byroń, zapominając o urzędowo-poprawnym języku, pochwalił:

— Morowy chłop.

Stefan, Helena i Byroń usiedli na opróżnionej kanapie i zerknawszy jeszcze na pracującego Topolskiego, zagłębili się w cichej rozmowie. Profesor wyjaśniał zaszłe ostatnio wypadki, a oni informowali go o poprzednich.

— Widzicie, moi drodzy — sfinalizował Byroń wymianę informacji — i ja tu mam nie mały udział w reżyserii kulminacyjnego punktu. Gdy Prokasz zaprosił mnie na konferencję, błysnęła mi pewna idea. Właściwie to od dawna podejrzewałem Tragę. Nawet nie dalej, jak dziś po południu, spotkawszy Prokasz nad Wisłą, chciałem mu odkryć moje wątpliwości, lecz wiecie, jak trudno jest oskarżać ludzi; zresztą było ogromnie gorąco. W rezultacie nic nie powiedziałem w tej sprawie. Jednak gdy wieczorem zadzwonił do mnie i zaprosił mnie na konferencję, w dodatku na tak pośpiesznie zwoływaną i o tak dziwacznej porze, jak godzina jedenasta wieczorem, od razu odgadłem intencje staruszka: to samo miejsce, ta sama pora, tylko dwadzieścia cztery godziny dzielące od przestępstwa; ani chybi — próba psychologiczna! Po cóż by zbierał samych... podejrzanych.

Postanowiłem uczynić niespodziankę. Plan był taki: zakładam, że to Traga jest przestępcą. Będzie się dobrze strzegł i fortyfikował psychicznie idąc na batalię. Jest twardy i spodziewa się ataku. Nie wróżyłem sukcesu wszystkim podstępom Prokasz. Postanowiłem urządzić niespodziankę dodatkową, atak z miejsca niespodziewanego, przez wojska niespodziewane i w sposób nieoczekiwany: krótko mówiąc, zachciało mi się sfingować na krótki czas sytuację w ten sposób, żeby rzucić podejrzenie na siebie samego. Wyobraziłem sobie mniej

więcej drogę, którą Traga musiał wybrać do tego, i postanowiłem zrobić to samo co on — przyjść tą samą drogą. Rozumiecie?

Klucz podstępny jest dziecinnie prosty: najczęściej zdziwić się musiał sam rzeczywisty przestępca; więcej — musiał się przerazić, węsząc natychmiast jakowyś niedocieczony podstęp.

Stworzyłem mu sytuację psychologicznie nieznośną; zawiesiłem nad nim na cały czas konferencji niepokojący znak zapytania, miecz Damoklesa; wytrącałem go ze spokoju; nadłamywałem pewność siebie i rozstrajałem uwagę. Liczyłem, że w takich okolicznościach ewentualny, byle rozsądny, atak Prokasa dokona reszty. Traga, jeśli to był on, załamie się. Taki był plan, ale los działał inaczej: wprowadził modyfikacje własne. Z prokuratury zatelefonowano z wiadomością...

W tej chwili Lothar zakaszłał znacząco i kopnął lekko Byronia w piszczel.

— ...z wiadomością...

Lothar przerwał mu bezceremonialnie:

— Resztą opowiecie sobie później, a teraz chcę się pożegnać, bo już późno. — Wyjął zegarek z kamizelki. — Właśnie dwadzieścia po dwunastej. Warto się nieco przespać. — A nachylając się do Byronia szepnął: — Prokasz nie chce, by oni wiedzieli o śmierci Gurana. Zatem dobranoc państwu!

Uklonił się wszystkim, Topolskiemu złożył ukłon osobny, wziął palto przerzucone przez poręcz krzesła i włożył je na siebie, po czym wcisnąwszy ręce w kieszenie wysunął się z pokoju.

Natknął się na tarasie, już przy schodach, na jakąś osobliwą niewiastę, która oglądając triumfującym wzrokiem wybite szyby pokrzykiwała z cicha:

— A co? Czy nie miałam racji? Miałam, miałam! Sprawdziło się!

Weronika, boć ona to była we własnej osobie, zoczywszy człowieka w palcie, wycelowała w niego proroczym gestem gruby palec i rzekła:

— As treflowy.

Lotharowi ciarki przebiegły przez krzyż, przeraził się ogromnie, po chwili jednakże błysnęła prawidłowa myśl, że baba zwariowała. Spytał nadzwyczaj grzecznie:

— O co szanownej dobrodziejce idzie?

— Kabała mówi prawdę. Wiedziałam, że tak będzie. As treflowy nie kłamie.

Profesor uklonił się jej, wypowiadając łagodnie te słowa:

— A niech mi paniusia głowy nie zawraca. Kabała i w ogóle duchy to nie moja specjalność. Adieu!

I już więcej przez nikogo nie niepokojony odszedł do swego smutnego świata.

A w gabinecie Byroń, drapiąc się po głowie, mamrotał do siebie:

— Dlaczego Prokasz nie chce, by wiedzieli? Graliśmy, nie umawiając się, na dwie ręce. Chyba zagraliśmy dobrze?

Noc była cicha, ciepła i piękna.

## XVII

### PROKURATOR ODKRYWA KARTY

Auto Topolskiego, wypożyczone podstępem, grzmiało po ulicach Warszawy, śpiesząc się rzekomo do prokuratora, a w rzeczywistości do laboratorium na pustkowiu.

Traga siedział nieruchomo jak posąg, ręce obie złożywszy na kolanach. Jeśli w mózgu jego rozpętała się pożoga, to widać jej nie było: rysy twarzy miał zeszkłone, oczy martwe jak

we śnie hipnotycznym, z rzadka jedynie rozszerzające się nieznacznie i kurczące ruchem wzbierającej, podstępnej fali na tafli spokojnego jeziora.

Szofer, jakkolwiek nie miał ku temu żadnych obiektywnych powodów, z rosnącym niepokojem zerkał ukradkiem na odbicie swego pasażera w lusterku: ta martwa lalka naturalnej wielkości nie podobała mu się i byłby zadowolony, gdyby kurs z nim wreszcie skończył się, więc wzmacniał szybkość. Na tarczy skakały cyfry: 55... 60... 65... kilometrów na godzinę.

Wpakuję się na latarnię, zwariowałem... — wzruszył ramionami. Ale widząc tę martwą figurę z falującymi źrenicami, czuł, że nie zwolni. Zaciął usta ze złością i przypiąwszy się do kierownicy, wziął wiraż w ulicę Książęcą jak na wyścigach ulicznych. Gdy potem zjechali z Czerniakowskiej w bok, zaczęły się wertepy, maszyna skakała jak akrobata na siatce po upadku z trampoliny. Wreszcie zatrzymał gwałtownie. Stanęli. Odwrócił się i rzekł z determinacją:

— Dalej, panie rektorze, nie pojedziemy.

Nie usłyszał odpowiedzi, natomiast zobaczył, że pasażer jego wysiada. Trzasnął za sobą drzwiczkami i nie odwracając się ani dziękując, oddalił się.

Niezwykły jegomość — pomyślał szofer i z ulgą zawrócił.

Mimo ciemności Traga szedł z automatyczną pewnością. Ruchy miał szybkie, lecz odmierzone, opanowane. Otworzywszy furtkę w murze, pchnął ją nogą i nie troszcząc się o zamknięcie jej wszedł do środka; nie zwalniając ani przyspieszając kroku zbliżył się do drzwi, otworzył i wszedł, również nie troszcząc się o ciąg dalszy procedury, która zazwyczaj składa się z dwóch elementów: otwierania i zamykania. Zapalił światło, stanął lekko pochylony do przodu i zawołał:

— Homunculus!

Cisza jedynie odpowiedziała jego głosowi.

— Homunculus!

Nic.

Począł czekać chwilę, po czym przeskakując po dwa i trzy schody znalazł się na górze. Znikł w pokoju za wieżą.

Wkrótce po całym domu rozchodziło się echo rozbijanych sprzętów i aparatów, rumor spadających setek probówek, kolb i butelek, huk walących się metalowych szaf, trzask łamiących się i pękających części, zgrzyt szkła pod nogami, hałas przesuwanych po podłodze ciężarów. Symfonia piekielna zniszczenia i szału.

Guran, który właśnie smacznie spał na dole, ulokowawszy się na stole z podłożonymi pod głowę książkami i marynarką, zwiniętą w trąbkę zamiast poduszki, obudził się. Na wpół przytomny, przypomniał sobie najpierw scenę z wybijaniem szyb (skojarzyło mu się to, rzecz prosta, z powodu analogicznych hałasów, które — choć przez sen — dotarły do świadomości), jak zobaczył Homunculusa wybierającego do worka śmiecie z przepelnionego śmietnika i jak wkrótce zawarł z nim sojusz zaczepno-odporny, którego głównym warunkiem było, aby nie usiłował podchodzić do okna. Potem uświadomił sobie, że jest głodny i obdarty. Lecz teraz zerwał się na równe nogi.

Z sufitu leciał tynk, a dom zatrzęsł się od grzmotu padającego ciężaru.

To sztuczne płuca i serce — przemknęło przez myśl Guranowi i od razu oprzytomniał. Spojrzał na zegarek. Noc. Co się dzieje? Nowe walenie fortissimo i nowy brzęk dziesiątków probówek, które jak delikatny dźwięk harfy w arpeggio przeleciały i znikły.

Redaktor już wciągał marynarkę dygocącymi rękami, starając się jednocześnie zorientować w sytuacji.

Ale nie namyślając się długo, chwycił za ławkę i wyrzucił ją z całych sił w kratę okienną. Aż się zatoczył i o mało nie wywrócił. Trzask się zrobił niemały, lecz tamten na górze czynił hałasy większe i na pewno nie słyszał swego kolegi na dole, oddającego się z zapalem

podobnej pracy. Cofnął się i zamachnąwszy z całych sił, puścił łąwę jak procę. Zgrzytnęło żelazo i krata bokiem odskoczyła. Złapał stołek i rąbnął nim kilka razy, aż puściła całkiem.

Jednym susem znalazł się na oknie, a za drugim był już po tamtej stronie. Nie namyślając się skręcił w lewo i obiegłszy dom, a zobaczywszy otwarte drzwi i zapalone na korytarzu światło, wbiegł do środka.

Zatrzymał się. Teraz cisza była absolutna, ale w uszach grały mu pulsy jak bębny bojowe.

Teraz znów usłyszał jakieś zgrzyty i postukiwania.

Rzucił się na górę w złym przeczuciu. Chwyając się poręczy i dając kilkostopniowe susy wychynął na górze jak wilk z jamy.

Przez otwarte drzwi oczom jego przedstawił się widok, który przeczuwał.

Traga rozrywał rury łączące głowę z postumentem, uderzeniami jakiejś pałki rozbijał urządzenie mechanizmu; głowa, z oczami wywalonymi na wierzch i już dusząca się, piszczała chrypliwie i skomlała zwierzęco, charkotała i wyła, milkła i znów wyła. Traga zamierzył się pałką i chlasnął przez łeb. Głowa potoczyła się po podłodze, wywinąwszy przedtem kilkanaście koziołków w powietrzu, aż oparła się o ścianę i tam spoczęła zdeformowana, nieruchoma i cicha.

Tak zginął Jan, opój z czerwonym, nosem.

Traga rwał wewnątrz aparatury, rozpruwał metalowe organy, kopał resztki walające się pod nogami, rozrzucając je po całej podłodze.

Inne głowy, z oczami wywróconymi do granic możliwości w bok, by choć kątem oka obserwować, rozpaczliwą koniecznością strachu dzieło zniszczenia, ryczały różne słowa, ale unisono jak oszalały chór duchów nocy w starożytnej legendzie.

Traga poskoczył do drugiej. Ta zawyla przeciągle, mroząc krew i nerwy, ale w tej samej chwili pałka dotknęła jej ze świstem i głowa, pofrunąwszy w powietrze na podobieństwo piłki, spadła na drugi koniec sali.

Tak zginął Teofil, głupiec i obzartuch.

Guran, widząc to, jak tygrys rozjuszony skoczył i dwoma susami dopadłszy Tragi zwałił mu się na plecy. Runęli, aż wieża stęknęła głuchym łomotem.

W drzwiach pojawiła się szkaradna postać Homunculusa. Przykuśtykał nie wiadomo skąd, przerażony hałasami, a zobaczywszy martwe głowy rozrzucone po wieży, szczątki aparatów, bebechy metalowe i zwartych w walce, błyskających zębami jak wściekłe psy, swego pana z nowym przybyszem, stracił się zupełnie. Zaczął się bujać na ugiętych nogach, bezradnie bić i machać rękami, kręcić głową jak wrzecionem i stąpać naprzód i w tył. Wyciągnął złowieszczo kleszcze rąk i powirował do środka.

Wyjawszy gwałtowne odgłosy walki, panowała cisza. Ani walczący, ani dwie pozostałe głowy nie przerywały jej dźwiękami mowy. Słyszać było tylko sapania wysiłku lub chrzęst wyłamywanych członków, lub tępy odgłos razów.

Guran czuł, że słabnie: oddech świszczął mu w płucach wysokim tonem, a słodki smak krwi zalewał mu gardło. Zobaczył nadbiegającego Homunculusa.

— Aby złapać drugi oddech, aby złapać drugi oddech...

Zerwał się, a za nim Traga. Guran cofnął się pod ścianę. Traga skoczył na niego. Guran, wparłszy plecy w mur, podskoczył i obu nogami kopnął go. Przeciwnik odleciał bezwładnie, jak wór z piaskiem grzmotnął na ziemię. Homunculus zatrzymał się na ten widok, zakręcił i z gulgotaniem uciekł, ale Traga zerwał się natychmiast i z rozżartą siłą szaleńca spadł znów na Gurana, jak ongiś maczugi spadały na metalowe kolczugi i kołpaki. Guran w tym momencie pośliznął się i zachwiał. Jedna jedyna sekunda.

Ujrzał nad sobą czarne oczy nieprzytomne i zwierzęce, garść jakaś chwyciła go za gardło i targnęła, aż stracił przytomność. Ostatnia myśl Gurana była: Po co to wszystko?

Traga teraz dopiero dojrzał twarz wroga. W zamęcie walki nie zdążył nawet pomyśleć,

kto zacz skoczył mu na plecy.

Co?

Świat potężnie zawirował raz i drugi.

Ta siniejąca twarz... to Guran? Co to znaczy?

Oprzytomniał. Jak to Guran?

Puścił. Bezwładne ciało osunęło się jak zużyty łach i legło u jego kolan.

Traga nachylił się, nic nie pojmował, przeciągnął ręką po swym skrwawionym i spocnym karku, zbierał myśli.

Guran?

Guran?

Oszukany więc został, wepchnięto go w pułapkę jak byle chłystka, zadrwiono z niego i ponizono go, ukartowano grę, omotano i zgubiono.

Chcą mu wyrwać tajemnicę jego pracy.

Jego, jego, jego pracy...

Chcą mu odebrać...

A ten... wysłannik i spiskowiec... leży u jego kolan.

Martwy? Czy nie?

Dobić!

\*

W tym mniej więcej czasie środkiem Krakowskiego Przedmieścia pędziła ogromna, czarna limuzyna. Minęła pomnik Kopernika, wpadła w Nowy Świat, minęła wspaniały dom KC partii, dopadła do Placu Trzech Krzyży i tu ze skowytam hamulców skręciwszy w ulicę Książęcą, sypnęła się w dół nie zmniejszając, mimo znacznego spadku, szybkości. Zupełnie jakby ludzie, siedzący w niej, pragnęli nadwerezyc swoje karki.

Nie szło im jednak bynajmniej o łamanie karków (i to własnych na dodatek). Śpieszyli się ogromnie, oto cały sekret. Na szczęście było już po godzinie drugiej w nocy i z rzadka tylko nastroczył się jakiś zapóźniony przechodzień, uskakujący ze złością i obawą o własną całość przed tym czarnym smokiem łyskającym ślepiami reflektorów, a pędzącym jakby na zatracenie.

Ulice i domy płynęły do tyłu; a przed nimi wiła się jak żywa, skręcała i prostowała droga usiana światłami latarń i cieniami nocy, obramowana śpiącymi murami kamienic; gdzie-niegdzie tylko błyszczało przez chwilę pojedyncze okno jak gwiazda w opończy ciemnych chmur i ginęło za nimi. Wpadli w Czerniakowską.

W samochodzie jechało pięć osób.

Na tylnym siedzeniu, z lewej strony, oparty mocno plecami, teczką na kolanach, siedział prokurator; obok niego Prokasz, a przed nim na dwóch ruchomych siedzeniach — sierżant i plutonowy.

Prokurator, człowiek jeszcze młody, o twarzy sympatycznej, okrągłej i różowej, o ciele raczej krępy i przysadzysty, jeszcze dwa lata temu pracował w fabryce przy obrabiarce, potem jednak — wysunięty przez partię — skończył kurs dla prokuratorów i objął obecne swe funkcje. Rychło wybił się energią i orientacją, nie tracąc poczucia humoru, co tak rzadko zdarza się prokuratorom (a i nie prokuratorom również). Teraz jednak był zły, wyraźnie zły i niezadowolony.

Prokasz zaś, tak jak niedawno żył zdenerwowaniem, teraz żył przerażeniem; nie można powtórzyć tego, co usłyszał przed chwilą od prokuratora, który dowiedziawszy się odeń, co uczynił i co z tego wypadło, omal nie zemdleł z wściekłości. Nie, stanowczo słów tych nie można powtórzyć.

Tak, Prokasz nabroił! Sprawa skończona. Teraz trzeba ratować, co się da.

— Prędzej! — rzucił do szofera.

— Nie da rady, panie prokuratorze — odpowiedział szofer nie odwracając głowy. — Tu już mamy słabe oświetlenie i węższe ulice, a zaraz będzie jeszcze gorzej; wpadamy na przedmieście, nie da rady; będzie jeszcze gorzej.

— No i cóż, doktorze — zaczął prokurator do sąsiada — nawarzyliście mi piwa i zamknęliście sprawę przedwcześnie. — Chciał się o coś zapytać, lecz widząc przerażoną wciąż twarz doktora, uśmiechnął się nieznacznie. — Wobec tego, że nie ma już tajemnic służbowych, powiem, o co chodzi i dlaczego źle się stało, jak się stało.

Już od dawna nie było dla nas tajemnicy. Sekret był, owszem, ale tylko na początku, dokładnie mówiąc, dopóki Guran nie wpadł na pomysł owych „pięciu minut”. Zdaje się, że on rozpowiadał, iż to mój pomysł; jest kurtuazyjny. Ale prawda jest taka, że to nie ja, lecz on znalazł ów klucz. Bo był to rzeczywiście klucz do sekretnego zamka; gdyśmy dostali go do ręki, nie trudno było o resztę. Szybko sprawdziliśmy, kto mógł wchodzić w rachubę, przetrząsnęliśmy pracownie naukowe Uniwersytetu, Akademii Naukowej i Instytutu Menockiego i stwierdziliśmy, że doświadczenia mogły się odbywać jedynie w jakichś pracowniach prywatnych. A były jedynie dwie takie w Warszawie: Topolskiego i Tragi. Przy okazji dodam, że Traga postawił ją za pieniądze uzyskane z licznych nagród państwowych.

I tu oczywiście nie mieliśmy trudności, mimo że Traga strzegł pilnie izolacji. Wiedzieliśmy wkrótce, że to on. A zatem wiedzieliśmy kto i gdzie. Pozostało ustalić dokładnie — co? Co robił ten człowiek z kradzionymi głowami. Nad czym pracował? Jak rozdzielić ewentualnie to, co było nauką i wynikami, od tego, co było przestępstwem i mrzonką szaleńca?

Do tego właśnie zmierzaliśmy i to właśnie pan nam popsuł!

— Ja?

— Tak, pan.

— Skąd mogłem wiedzieć?

— Ba! Skąd, skąd! Ładnie, że pan martwi się, ale nieładnie, że pan miesza się do nie swoich spraw.

Otóż musieliśmy się koniecznie dostać do środka, do jego laboratorium, ale dostać po pierwsze — w sposób niemilicyjny a po drugie — przy pomocy człowieka, który by potrafił zorientować się od strony naukowej i przeniknąć ewentualne tajemnice Tragi. Mieliśmy takiego człowieka, był nim oczywiście redaktor Guran: lekarz, filozof, matematyk, sportowiec i detektyw amator. Lepszego już nie można było znaleźć, prawda?

— No, myślę — mruknął Prokasz.

— Łamaliśmy sobie właśnie mózgi, jak rozegrać tę sprawę, co zresztą było bardzo trudne ze względu na stanowisko Tragi, gdy los sam dał rozstrzygnięcie.

W piątek o północy przewidywał pan śmierć starego Pogonowskiego, w piątek o północy Guran zastawił swoje sieci. Podkreślam: swoje, bo i my — nie chwając się przed nikim, nawet przed redaktorem — zastawiliśmy swoje, ale nie dla szukania sprawcy oczywiście, lecz dla zbierania dowodów. W kilka godzin później zameldowano mi, że Guran pogonił za Tragą i dostał się do jego pracowni. Agenci nasi, obserwujący to domostwo na uboczu, stwierdzili, że do rana nie wyszedł, że natomiast dostrzegli dwie sylwetki poruszające się po pracowni na pierwszym piętrze, a potem światła w wieży. Należało wywnioskować, że... że los oto już sam rozwiązał nasz ostatni problem.

Ponieważ Traga nie wyglądał na mordercę i nim nie był, mogłem śmiało pozostawić redaktora jego losowi na pewien czas, a on na pewno z przyrodzonej sobie ciekawości nie zmarnuje go i zorientuje się, jak tylko będzie można najlepiej. Kazałem wzmocnić obserwację zewnętrzną i postanowiłem czekać na dalszy rozwój wypadków.

Rano wiedziałem, że Traga udał się normalnie do swych zajęć. Został więc tylko Guran i ta nieszczęsna kreatura. Miał zatem przed sobą cały dzień do zbadania tego, co tam było. Zatarłem ręce z uciechy. Po południu naradzałem się służbowo, jak mamy postępować dalej. Odłożyliśmy decyzję do wieczora.



Wieczorem zaś dobiegły mnie słuchy, że profesorowie Topolski, Lothar, Byroń i Traga gdzieś zniknęli. Zglupiałem na moment. To było zaskoczenie. Wszyscy podejrzani i jeden autentyczny przestępca zniknęli!

Zrobił pan to tak nagle, doktorze, że udało się panu, na nasze nieszczęście, zaskoczyć nas. — Trzepnął go groźnie po schylonych plecach. — Jedna możliwość była taka, że to pan ich gdzieś zaciągnął, bo i pana wtedy — jak sprawdziłem — w domu nie było. Chwyciliśmy się jej. No, odszukaliśmy was, ale za późno.

Traga to wielki spryciarz. Z samego rana, gdy widać nie miał jeszcze zdecydowanego planu, co teraz ma robić, udał się do pana z wizytą. Układał sobie świetne alibi, zakładał świetną maskę. Lecz za późno: mógł zmylić otoczenie, lecz nie organa śledcze. Nic nam pokrzyżować nie mógł.

Prokasz uderzył się po kolanach i krzyknął:

— A to diabeł dopiero! Patrzenie, państwo! Pytał się mnie o Gurana i zapowiedział, że idzie do niego do redakcji, gdy tymczasem trzymał go u siebie już całą noc! Mówiąc mi o jednoczesności wynalazków i odkryć, o tym, że wielu uczonych jednocześnie i niezależnie od siebie wpada na te same pomysły (co jest prawdą naukową), robił sobie partnerów do podejrzeń, mącił nam obraz. To, że mówił, iż interesuje się tymi badaniami, co ów porywacz głów, to było też dobre, bo mogło ewentualnie doprowadzić do zaproszenia go do współpracy. No, tego tylko brakowało! — I drugi raz uderzył się po chudych kolanach. — A to diabeł dopiero — dziwił się dalej. — Teraz widzę, że śledztwo to właściwie wyście prowadzili, a my byliśmy tylko drugim torem. Zastanowił się nieco i spytał prokuratora:

— Dobrze, ale na czym opieraliście swoje przypuszczenie, że Traga dopuści redaktora do tajemnic laboratorium?

— Na bardzo prostej historii, na znajomości psychiki Tragi. To wielki pozer, człowiek robiący wciąż teatr; zgrywa się z natury, nawet nieświadomie. Taki teatralny typ. Na pewno nieraz serce go bolało, że nie może nikomu zaimponować swoimi pracami, zwłaszcza że — mówiąc prawdę — miał czym zaimponować. Guran zaś był człowiekiem wykształconym, fachowym i z wyobraźnią. Rektor Gurana cenił, choć z niechęcią, i — pomyśleliśmy — jeśli nie popsuje się tam coś, a redaktorowi spryt dopisze, poruszy ten mechanizm próżności.

Tak się istotnie stało, bo inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć faktu długich ich rozmów i światła w wieży. — Zerknął jednym okiem na doktora i widząc, że płachta przerażenia została zdjeta z jego twarzy, trącił go przyjaźnie łokciem w bok: — No, doktoru, a teraz kolej na was. Jak to urządziliście, że ten twardy charakter załamał się?

— Hm, bardzo chętnie, lecz widzę w tej chwili, że to nie było takie proste, że wyszło nieco inaczej, niż zamierzałem, że gdyby poszło, jak ułożyłem, to nic bym nie zyskał.

— O, to szkoda — zmartwił się prokurator. — Lepiej byłoby, żeby się nie udało.

— No właśnie — przyznał się Prokasz. — No właśnie. — I ożywiając się nieco, krzyknął: — Ale tym razem wina spada na Byronia! Bo muszę panu powiedzieć, że ten człowiek zaskoczył mnie, a jak teraz dobrze rozeznaję i jeszcze kogoś, właśnie o tego kogoś chodziło, mianowicie Tragę. Tak, tak, to raczej zasługa Byronia...

W tym momencie hamulce zgrzytnęły rozpaczliwie i obaj panowie utkwili momentalnie nosami w plecach milicjantów, a ci z kolei położyli się zgodnie na plecach szofera. Zaczęli kłać. Samochód stanął.

Prokurator, usiłując przybrać pozycją bardziej normalną, spytał:

— No, ale wreszcie co pan tam upłótł?

— Ano, panie prokuratorze, sfingowałem telefon od pana; umówiłem się zawczasu z szoferem Pogonowskiego, że jak tylko zaczną przemawiać, aby wszedł do gabinetu i zamełdował, że jest telefon od pana; zrobił to jucha świetnie; potem ja zagrałem komedię i powiedziałem grobowym głosem: „Guran nie żyje”, potem — „Gurana zamordowano”. To go przeraziło. Czuł już przedtem, że mu depczą po piętach, a tu nagle dowiaduje się, że Gurana

zamordowano. Jak? Kto? Tego nie wiedział oczywiście, ale poczuł, że to będzie na jego rachunek, no i przeraził się i stracił panowanie nad sobą.

Usiedli z powrotem, a szofer, wskazując palcem przez otwartą szybę, rzekł:

— Jesteśmy na miejscu.

— No widzi pan — zwrócił się prokurator z wyrzutem do doktora — jesteśmy na miejscu. Już. Rozumie pan, źle, że już. Skrócił pan okres pobytu Gurana u Tragi, a co zatem idzie, być może, że uniemożliwił mu pan rozejrzenie się jak należy; co zaś gorsze, dał pan dziś czas Tradze na ewentualne zniszczenie swoich dowodów i wyników naukowych; co zaś najgorsze — widzi pan — to, że teraz wśród dowodów i wyników znalazł się sam Guran, jedyny człowiek, który może zna jego tajemnice naukowe. Rozumie pan?

— Nie, panie prokuratorze.

— Obawiam się, że zapragnie wobec tego zniszczyć i ten dowód, zamordować świadka. Prokasz skurczył się pod wpływem tej rewelacji i nic nie odpowiedział.

Zaczęli zaraz wyskakiwać z samochodu. Szofer, w niemy podziw, wskazywał ciągle palcem.

Spojrzeni w lewo. Dalej ciągnęła się droga przez pustkowie, przez pole, raczej już ścieżka, po której samochód przejechać by nie mógł. Na końcu jej widniała budowla otoczona ceglany murem. Nad nią zaś błyszczały, na tle granatowego nieba, pierwsze pochodnie pożaru.

Okna na górze łyskały wewnętrznym żarem, wybuchały jasnością, gasły, były niepokojące jak wszystkie sygnały katastrofy.

Ukazał się pierwszy ognisty jęzor, który liznąwszy zasłony na oknie, wybuchł jaskrawym płomieniem i przedostał się na moment na zewnątrz. Zajaśniał i znikł w kłębach dymu. Okna zaszyły cieniem, a potem znów zadygotały światłami.

Pożar!

Prokurator jęknął:

— Ma pan rezultaty swego dzieła!

Wszyscy puścili się pędem.

Pierwszy galopował na chyżych nogach plutonowy i od razu wyprzedził całą grupę o dobre kilka długości; za nim cwałowało potężne ciało sierżanta z ogromnym i głuchym dudnieniem po zbitej ziemi; tuż za nim, trzymając jedną ręką kapelusz na głowie, by nie sfrunął, a drugą ściskając teczkę, sadził ogromnymi susami prokurator; w porządnej odległości, błyskawicznie zwiększającej się, człapał systemem nerwowym, to znaczy ogromnie szybko przebiegając nogami, ale niemal w miejscu, pan doktor Prokasz. Oczy miał utkwione w domostwie czarnym jeszcze, lecz z krwawymi pręgami w oknach. Nagle zniknęło mu wszystko.

— Zgubiłem okulary! — wrzasnął nie wiadomo do kogo, bo nikt go nie słuchał, i stanąwszy zaczął ich szukać.

Ale jak? Noc. Pod nogami polna droga. Więc rzucił się na kolana i szamocząc się na wszystkie strony, macał rękami na oślep. Znieruchomiał zmęczony. Sapał... Wszystko przeciw mnie” — rozpaczliwie zaświtało mu w głowie, ale i rozplynęło się zaraz, bo oto odkrył zgubę jednym ruchem palca. W pośpiechu starał się przybrać pierwotną pozycję dwunożną, po czym rzucił się naprzód.

## XVIII

### POŻAR LABORATORIUM

Plutonowy dobiegłszy do płonącego domostwa i zobaczywszy pootwierane drzwi skoczył bez wahania do środka.

Przed nim widniały schody.

Wyrwał rewolwer z kabury, odbezpieczył, ścisnął w garści i odmierzywszy wzrokiem, raz jeszcze schody, rzucił się na górę. W sekundę później stanął w drzwiach prowadzących do wieży.

Zobaczył leżącego redaktora, a nad nim klęczącego „tego wysokiego”, co to miał niby jechać do prokuratora. Usłyszał słowo — „dobić!” Zobaczył ruch ręki...

Grzmot rewolweru zahuczał stokrotnym echem, ogłuszył wszystkich i sparaliżował. Odpryski blachy i muru świsnęły, a rykoszet pocisku bzyknął cichutko.

Plutonowy, strzeliwszy na postrach, skoczył jak pantera, dopadł Tragi i chwyciwszy go za kołnierz, unieruchomił. Sierżant był jeszcze na dole, gdy usłyszał wystrzał. Serce załopotało mu niepokojem; rwąc schodami w górę, wyciągał swój rewolwer. Zobaczył plutonowego Ogórka z Tragą w rękę, ale z oczami zwróconymi gdzie indziej. Stał jak posąg zgrozy.

— Co jest? — huknął Kowalik. — Co z tobą, Ogórek?

Plutonowy, głosem — jakkolwiek wygląda to nieprawdopodobnie — spokojnym, mimo ładunku zgrozy, wyszeptał:

— Tam... tam żywe lalki... nie, nie lalki... głowy. To te skradzione!

A naokoło rozpełtało się piekło. Na dole hałasował prokurator dobijając się do wszystkich zamkniętych pokojów po kolei; w sali za wieżą huczał ogień, drzwi zmęczone żarem odskoczyły, a kłęby dymu i opary gorące wionęły na wieżę; na strychach, zlanych obficie palnym płynem, pożar przegryzł belkowania i wystrzelił w górę czerwonymi racami. Prokasz przysiadł na chwilę pod murem, dysząc okrutnie i zbierając siły do dalszej działalności. Patrzył na płonące domostwo.

Trzecia głowa umierała, bo przypadkowa kula plutonowego przebiła mechaniczne organy; sine policzki i sine wargi szeptały coś, czego nikt i nigdy wiedzieć już nie będzie; była jak zawsze nieruchoma, tylko oczy zamykały się ciężkimi powiekami.

Tak zginął Franciszek, któremu było „wszystko jedno”.

Hugon — ostatnia głowa — pod kloszem myślał dokładnie to, co mogła myśleć istota rozumna i świadoma niebezpieczeństwa, a całkowicie nieruchoma i bezbronna; płomienie lizały już podłogę pojedynczymi wypadami z do niedawna *sanctum sanctorum* doktora Tragi.

Guran leżał bez zmysłów.

Na dole żyły, pracowały i oddychały organy i ciało bez głowy.

*Inferno!*

Po kilku minutach redaktor, ocucony przez Prokaszę, leżał na murawie „na palcie prokuratora. Wydawał rozkazy:

— Ratujcie, za wszelką ceną ratujcie głowy, te, które pozostały przy życiu.

— Tylko jedna jeszcze żyje — zameldował sierżant.

— Jedna? — strwożył się, po czym powtórzył: — Tę więc ratujcie!

Wszyscy spojrzeli na dom: od góry to już tylko morze żywego ognia falującego nad dachem.

Sierżant i plutonowy pobiegli. Na tle czarnej nocy, gdy wskakiwali w obręb czerwonego królestwa, wyglądali jak salamandry, córy płomienia. Sypały się na nich iskry kaskadami i długimi, czerwonymi warkoczami.

Za murem słychać było wzmagające się głosy; to okoliczni mieszkańcy, zwabieni poza-

rem, zaczęli tłumnie zbiegać się dla ratunku i na widowisko. Ktoś widocznie zawiadomił straż, bo z dala dobiegło wycie syreny i niecierpliwy brzęk dzwonek.

Guran uniósł się na łokciach i rzekł:

— Doktorze, na dole, drugie drzwi na prawo, jest jego pokój...

Przerwał.

— Ach... prawda... kto to właściwie jest, doktorze?

— Traga, rektor Traga, panie redaktorze.

— Traga? A więc jednak? Jaka szkoda, że go nie znałem, choćby z widzenia. Inaczej potoczyłyby się tu wypadki... Doktorze — wrócił do tematu — drugie drzwi na prawo jest jego pokój. Może są tam jakieś papiery, zapiski, notatki... — Spojrzał błagalnie na Prokasz.

Ten, zrozumiałwszy wagę chwili, kiwnął tylko głową i wyciągnąwszy chustkę, przytknął ją do nosa w obronie przed dymem i pobiegł.

Po sekundzie dreptał korytarzem. Obłoki białego i sinego dymu spływały schodami. Wpadł do pokoju Tragi.

— Trzeba ratować i resztę — mruknął Guran do prokuratora — Są tu jeszcze dwa pokoje na dole...

— Nie. Raczej musimy dać asekurację naszym milicjantom — sprzeciwił się prokurator. — Są w diabło niebezpiecznej sytuacji.

— Racja, mogą się usmażyć.

— Ale redaktor ma leżeć. Ja to sam załatwię.

Określił sobie włosy chustką i pobiegł za tamtymi.

Guran spojrział w bok.

Traga, w kajdankach, stał pilnowany przez szofera prokuratora. Szeroko rozwartymi oczami, ale o skurczonych źrenicach wpatrywał się w dzieło zniszczenia.

Gdy wreszcie w progu ukazała się trójka ludzi, uginająca się pod ciężarem postumentu z żywą głową, z której zresztą klosz zleciał, rozbijając się o ceglane stopnie, dał się słyszeć ogromny trzask i dach zapadł się. Płomienie strzeliły wysoko w niebo, zajaśniały blaskiem, wywołując głębokie westchnienie tłumu za murem. W tejże chwili Prokasz rozbijał okno wychodzące na boczną ścianę i gramolił się na drugą stronę, do bezpieczeństwa, do życia.

O Boże, już po mnie! — myślał. — Już po mnie. — Krztusił się i płakał od gryzącego dymu.

— Nic już nie uratujemy — zmartwił się redaktor.

Prokurator i milicjanci postawili Hugona. Samochody straży nadjechały z towarzyszeniem ryku syreny. Błysnęły miedziane hełmy. Za późno! Pożar był dobrze zorganizowany.

Traga wciąż wpatrywał się.

Usłyszeli drugi trzask: waliły się sufity na piętrze.

— Uciekajmy za mur! — ktoś rzucił ostrzegawczo.

Owionął ich swąd, skwar, gryzący dym, duszące wylizy chemikalii, iskry latały i wirowały jak czerwone płatki.

Ktoś chwycił redaktora, inne krzepkie ręce porwały żelaznego Hugona, tylko Prokasz, sam, na końcu, nie zauważony i zapomniany, przedzierał się z rozwichrzonym włosom, ale z okularami wciąż na nosie. Myślał, że już zginął. Zamknął oczy i biegł. Przewrócił się. Koniec.

Do świadomości jego dobiegł ogromnie daleki krzyk:

— Gdzie doktor? Doktor zginął!

Aha — zmiarkował — może mnie uratują.

Nic nie czuł i nie dławił się, przylegając twarzą do trawy. Tak właśnie wygląda śmierć — pomyślał. — Najzupełniej niespodziewanie zaskakuje człowieka.

Chwyciła go jakaś siła i zaczęła wlec; zdążył jeszcze zobaczyć firmament z gwiazdami — po czym chciał zemdleć, lecz przeciągając go przez próg furtki, nadwerężyli mu nieco

kolana, więc wrzasnął:

— Panowie, ostrożnie!

Tymczasem kilku milicjantów odsuwało tłum gapiów; nadjechały nowe samochody, ktoś meldował się służbowo prokuratorowi, inni opatrywali poparzenia sierżanta i plutonowego, samochody straży zbierały się do powrotu, zostawiając tylko jedną obsługę do spełnienia formalności dopilnowania pożaru do końca. Zrobiło się widno jak na balu i gorąco jak w hali maszyn pod pokładem okrętu na równiku. Ludzie zaczęli się wycofywać, uformowawszy koło w dość przyzwoitej odległości.

Traga, siedzący w samochodzie między eskortą, śmiał się po cichu. Motor warknął, odjeżdżali. Odwrócił głowę i patrzył, patrzył na gorejący dom, nie przestając śmiać się cicho.

Jeden z milicjantów zrobił ukradkiem, porozumiewając się z drugim, znaczące kółko na czole.

Guran, który zdołał już wstać i doprowadzić się nieco do jakiego takiego porządku, podszedł do prokuratora.

— Dziękuję, panie Lorek. Przybył pan w sam czas. Zupełnie jak w filmie. Krucho już było ze mną.

Uścisnęli sobie dłonie.

Ponieważ Prokasz zawieruszył się gdzieś, ruszyli obaj wokół domu w nadziei, że może coś jeszcze da się uratować lub że może coś jeszcze znajdą. Szli ramię w ramię podobni do czarnych punkcików przemierzających płomienistą tarczę. Tłum śledził ich uważnie. Znalazszy się po drugiej stronie, zobaczyli Wisłę: błyszczała spokojnie i zimno. Tam dalej poza nią migotały okna Saskiej Kępy.

Odeszli. Usiedli pod starą topolą i odpoczywali.

W ciszy prokurator usłyszał skargę redaktora:

— O rany, jaki jestem głodny! Chyba zacznę jeść trawę czy co?

— To lepiej gryź pan czekoladę. — Lorek wsunął mu do ręki połamane szczątki czegoś, co było niegdyś tabliczką czekolady.

— Życie jest piękne — wzdychał znękany redaktor-detektyw, chrupiąc słodką podporeę sił i witalności. — Bardzo piękne — przytwierdził sobie raz jeszcze.

Prokurator dodał:

— I straszne często.

Redaktor jakby nie słyszał.

— Rozmarzę się jak pensjonarka: noc, gwiazdy, Wisła, z dala kochana Warszawa, a ja żyję jeszcze, czuję, widzę, że świat jest piękny. Och, prokuratorze, chętnie bym teraz posiedział tu do rana.

— Ale wolałbyś, redaktorze, z ukochaną nie ze mną, co?

— Ba, co robić? Jestem samotny, żadna mnie nie chciała.

— Czy może pan nie chciał?

— Iii, różnie bywało. Skomplikowane sprawy.

Wyciągnął się wygodnie, podłożył obie ręce pod głowę i chciał zagwizdać, lecz obolałe, opuchnięte usta odmówiły służby.

Później długo milczeli.

Guran śledząc gwiazdy odtajał duchowo po napięciach ostatniej doby, dziwnie łatwo i skutecznie. W gruncie rzeczy był młody, tą niezwykłą młodością pewnych ludzi, którzy nie starzeją się, choćby doczekali nawet pół setki lat.

— Życie jest piękne — potwierdził.

Topola szeleściła zaimprovizowaną przez powiew wiatru kołysankę.

— Życie jest bardzo piękne.

Usłyszał:

— Niech się pan spyta doktora Tragi, czy czuje teraz to samo.

Z dala dobiegały słabe odgłosy wydarzeń, tu jednak panował spokój i królował wzniosły firmament. Leonidas Guran wchłaniał w siebie z rozkoszą orzeźwiające powietrze wrzesniowej Ogarnęła go przemożna, nie do odparcia, chęć snu.

## XIX

### WSZYSTKO OD POCZĄTKU

Doktor Traga rozpoczynał niedzielę za kratami. Jako przypadkowego towarzysza w tej przejściowej celi miał jakiegoś oberwańca, włóczęgę w rozlatującym się ubraniu, istotę o czarnej, kręconej brodzie i białej twarzy, którego — jak twierdził — zabrano „do pudła” niewinnie:

— Przez nieporozumienie, proszę pana!

— Po raz pierwszy? — spytał Traga.

— Nie, po raz szósty.

— Zawsze przez nieporozumienie?

— Niezmiennie, proszę szanownego pana!

— Widzę, że używa pan wytwornych słów!

Wagabunda był zadowolony. Spytał:

— Czy podoba się panu słowo „niezmiennie”?

— Owszem. W pana ustach i w tych okolicznościach nabiera ono symbolicznego znaczenia.

Włóczęga wstał i rzekł uroczyście:

— Pozwoli pan dyrektor, że się przedstawię. Ewaryst Sokół, były adwokat, zniszczony przez niechęć do pracy, złą miłość, potęgę wódki oraz jeszcze kilka innych nie sprzyjających okoliczności; ten Sokół wysoko nie zaleciał, choć mógł, mój panie. Ale to nic, za wielki byłby tłok w podniebnych rejonach karier, gdyby wszystkie Sokolicy chciały tam fruwać. Jeśli już nie jest się wybrańcem losu, trzeba przynajmniej być świadomym usługi, jaką oddało się innym konkurentom, i ciągnąć stąd słuszną podniętę moralną: nie zabieram miejsca innym, bo tam tłok okropny. Jest się altruistą — proszę pana — a że niezupełnie dobrowolnym, no... można przymknąć oko: nie ma ideału na tym świecie, a poza tym nic mnie bardziej nie irytuje jak cnotliwość w odcieniu wyniosłym i nieskazitelnym. Mam zasługę z przymusu, ale zasługę. — Ukłonił się i zauważył: — Kolega, widzę, także człowiek inteligentny. — Zawahał się i spytał: — Pierwszy raz?

— Tak.

— Oczywiście przez nieporozumienie?

— Nie, przez głupotę.

— ?

— Źle mnie mecenas zrozumiał: przez głupotę innych.

— Rozumiem, dyrektorze.

— Nie jestem dyrektorem. — Przedstawił się: — Doktor Traga, profesor.

Zwichnięty mecenas zdziwił się lekko, lecz nie nazbyt niedyskretnie, po prostu wypuszczając z siebie wiele i nic nieznaczący odgłos zdumienia:

— Fiu, fiu! — Pokiwał głową na znak, że rozumie, i rzekł: — Tak, świat jest głupi. Znałem kiedyś młodego studenta, który...

— To mnie nie interesuje — przerwał Traga.

— ...który choć chorował na płuca...

— To mnie nie interesuje.

— ...i nie miał pieniędzy...

Traga spojrział karcąco na towarzysza niedoli, lecz i to nie pomogło.

— ...chciał pozostać idealistą i dostać dyplom; w rezultacie gryzie piasek. Ale pana profesora to nie tacy głupcy zasadzili do pudła, co?

— Owszem, tacy: obrońcy prawa! — Wykrzywił się pogardliwie.

— To tak samo jak mnie!

Drzwi otworzyły się. Zabrano byłego mecenasa Ewarysta i Traga został sam.

Dzień był już w pełni, słońce rozpoczynało swój codzienny marsz po niebiosach, wyniosłe i obojętne na wszystkie nasze sprawy.

Splótszy ręce za plecami, stanął przed kratą. Jego dzień, dzień życia doktora Tragi dobiega końca. Czyżby to był moment sprzyjający wzbudzeniu w nim jakichś tkliwszych uczuć? Jedyny, pierwszy i ostatni? Nie! Burzliwe jego dzieje nie miały zaznać nic innego ponad burze.

Był opanowany i spokojny, nawet nieco refleksyjny, z domieszką rezygnacji, lecz wszystkie te uczucia kwitły w tonacji zimnej.

Niewiele upłynęło czasu, gdy drzwi znów skrzypnęły: zabrano go i wkrótce jechał ulicami Warszawy w towarzystwie Kowalika i Ogórka do Zakładu Medycyny Sądowej. Domyślał się, o co chodzi.

Chcą, bym pomógł przy utrzymaniu przy życiu głowy Hugona — rozważał. — Z aparaturą daliby sobie radę beze mnie, nic nadzwyczajnego. Widać jednak nie wiedzą, co dodać do płynu fizjologicznego, a może chodzi im jeszcze o co innego?

Poza tym zastanawiał się dalej:

Będą chcieli wydostać ode mnie rzeczy stokroć ważniejsze...

Nie mylił się.

Istotnie w Zakładzie Medycyny Sądowej czyniono przygotowania do rozmowy z nim, nie o tym wszakże, by ratować Hugona, który miał się całkiem nieźle, ale raczej, by ratować samego Tragę, a ściślej mówiąc — to, co wiedział, jego tajemnice naukowe.

Prokurator konferował na ten temat już o godzinie szóstej rano z różnymi odpowiedzialnymi czynnikami naukowymi i partyjnymi, wezwał do rozmowy z Tragą doktora Prokaszę (ale zrezygnował na razie z pomocy Gurana, którego widok mógł źle wpływać na rektora) i kazał zarezerwować pokój dyrektora Zakładu. O tym też należało pamiętać, bo była niedziela. Spieszył się, chcąc wykorzystać pierwsze godziny aresztowania, jako psychologicznie najkorzystniejsze.

Gdy wszedł Traga, prokurator Lorek przywitał go uprzejmie:

— Dzień dobry, panie rektorze.

Traga kiwnął głową.

Prokurator przyglądał mu się z zaciekawieniem; wiedział o nim dość dużo, by spodziewać się nawet grubiaństwa. Wiedział znacznie więcej, niżby życzył sobie tego aresztowany.

Prokurator usiadł i przystąpił do rzeczy.

— Chcielibyśmy oddzielić dwie sprawy: pana jako wielkiego uczonego, posiadającego wiedzę i olbrzymie wyniki, oraz jako człowieka nie wahającego się łamać prawo. Możemy to uczynić tylko przy pana pomocy, bowiem...

Traga przerwał:

— To mnie nie interesuje!

— A co pana interesuje?

— Proszę podać mi powody aresztowania, o co jestem oskarżony?.

— Chce pan, jak widzę, poprowadzić rozmowę według swego schematu.

— Tak.

Prokaszę patrzył nań z mieszaniną podziwu i odrazy.

Prokurator zastanowił się. Czuł, że krew zaczyna mu się burzyć, lecz pomny, że ma

ważniejsze sprawy niż swoje porywy gniewu, pohamował się.

— No, dobrze. Kiedy sobie pan rektor tak życzy, zacznijmy od tego. A więc po pierwsze: oskarżam pana o wiwisekcję, o eksperymenty nad żywymi ludźmi; po drugie: o ukrywanie odkryć naukowych o wielkiej doniosłości; po trzecie: o dwukrotne morderstwo dokonane na głowach pańskich królików doświadczalnych.

Traga zbladł, nie odezwał się już więcej. Próby prokuratora nawiązania rozmowy zakończyły się szybko: były bezcelowe.

Wezwał więc dwu policjantów i rozkazał im odwieźć aresztowanego z powrotem do więzienia.

Stuknęli służbiście obcasami. Sierżant rzekł:

— Proszę z nami!

Traga, nie kłaniając się, odwrócił się i wyszedł, a za nim obaj milicjanci. Prokasz i Lorek obserwowali scenę: znikające plecy Tragi, znikające plecy plutonowego, znikające plecy potężnego sierżanta, jego kosmatą łapę, którą położył na klamce, by zamknąć za sobą drzwi.

Lecz drzwi się nie zamknęły.

Ręka zawisała na moment, a z nią zatrzymały się drzwi. Z korytarza dobiegł odgłos padającego ciała.

Drzwi otworzyły się z powrotem i ukazała się w nich przestraszona twarz sierżanta.

Prokurator i doktor skoczyli na równe nogi, pobiegli.

Na środku korytarza leżał, na plecach, Traga, nieruchomy, obojętny, z jednym okiem otwartym, a drugim jakby filuternie przymkniętym. Prokasz nachylił się i zaczął go badać; procedura jego ruchów nabierała dziwnie zwalniającego tempa. Wreszcie powstał i rzekł:

— Nie żyje.

— Co, się stało?

— Samobójstwo, otrucie. — Prokasz pokazał prokuratorowi szczątki szkła leżące mu na dłoni. — Wyjąłem to z ust. Miał tam widać ukrytą fiolkę z trucizną, zgrzył, gdy wychodził. Zrobił prędko obrachunek i wybrał śmierć.

Wyrzucił okruszki na podłogę, strzepnął ręce i spojrzał pytająco na Lorka.

Ten chował powoli do teczki akta sprawy z napisem: „Dr Faustyn Traga — ginące głowy” i zauważył:

— No, to w takim razie koniec.

Po czym, wydawszy stosowne dyspozycje co do komisyjnego zbadania przyczyn zgonu i co do załatwienia innych formalności, pożegnał się z doktorem i wyszedł.

Sierżant rozłożył bezradnie ręce i zapiszczał:

— Cholera, tak nagle: fajt i już go nie ma!

Prokasz podreptał do swego gabinetu.

\*

Po południu tego dnia redaktor Guran siedział przy śniadaniu. Nie zdziwi chyba nikogo tak spóźniona pora. Nie wyspał się jak należy ani wczorajszej, ani onegdajszej nocy, odrabiał więc zaległości.

Gospośia przygotowała mu grzanki, masło i ser oraz jajko sadzone. Jedno? Tak, tylko jedno, Guran bowiem jadł zadziwiająco mało. Popijał bardzo mocną herbatą. Tak jak Pogonowski przekładał ten złoty płyn ponad rozkosze kawy, czego na przykład Prokasz absolutnie nie mógł zrozumieć.

Był w znakomitym nastroju. Nie zepsuła mu go nawet wiadomość, którą niedawno otrzymał telefonicznie o śmierci Tragi. Przeciągnął się z przyjemnością, wypił ostatni łyk, odsunął szklankę i zadzwonił na gospośię, by zabrała puste już i zbędne talerze, imbryczki, szklanki, kubeczki. Trzeba bowiem dodać, że śniadanie kazał sobie podać w gabinecie.

Przechadzał się teraz w swym pasiastym, jedwabnym szlafroku, zaglądając do kwiatów,



sprawdzając, czy ziemia w doniczkach jest odpowiednio wilgotna; badając na termometrze za oknem stan ciepłoty, popierając owo badanie obserwacją pogodnego nieba i sposobu, w jaki dziś poubierali się ludzie, spacerujący o tej porze parami, rodzinami oraz samotnie; sprawdził, czy nie wytropi przypadkiem kurzu na biurku lub na półkach z książkami, przesunął to i owo, by przywrócić porządek, wreszcie wyciągnął się w fotelu, usnął.

Gdzieś koło godziny ósmej dzwonek odezwał się przy drzwiach i wkrótce gospościa zapukała.

— Pan Stefan Pogonowski!

— Prosić!

Wstał na przywitanie gościa.

— Witam kochanego pana. Jak się miewa pani Helena?

— Dobry wieczór, panie redaktorze. Dziękuję, wszystko dobrze.

Uścisnęła sobie dłoń.

Redaktor sumitował się:

— Przepraszam, że... tak w szlafroku... może nie zapalimy światła... lubię takie pory dnia...

— Ależ oczywiście — zażenował się gość. — Ależ oczywiście! Przepraszam, może przeszkadzam?

Guran wziął go pod ramię i prowadząc do drugiego fotela rzekł przyjaźnie:

— Skąd znowu, z chęcią pana witam. O tak zdrzemnąłem się trochę; właściwie jednak już nie spałem, miałem nawet zamiar obudzić się na dobre, gdy pan akurat zadzwonił. No to pięknie, siadaj pan tu wygodnie, a ja sobie spocznę na starym miejscu.

Ulokowali się.

— No — zaczął Stefan — jak się pan czuje?

— Świetnie, gdyby nie pokiereszowane nieco gardziółko i w związku z tym chrypiący głos, byłoby wszystko w jak najlepszym porządku... Ale, ale — zatrzymał wyjaśnienia — czy wie pan, że Traga nie żyje?

— Owszem, wiem — kiwnął głową Pogonowski. — Popęłnił dziś rano samobójstwo przez otrucie.

— Właśnie, nie żyje. — Guran znów zaczął nabijać fajeczkę.

— I kto by to pomyślał — zastanawiał się gość — taki mocny człowiek, pewny siebie...

— Ba, ba... kto by to pomyślał — powtarzał redaktor. — Kto by? Mocny człowiek... pewny siebie. Otóż właśnie, że można było pomyśleć. Z nimi to tak jest: niby mocni, a słabi, niby odważni, a tchórzliwi; wszystko „niby”, a jak jest naprawdę?

— Właśnie — podchwycił Stefan. — To ciekawe, jak jest naprawdę.

— Panie Stefanie... ta postać wygodnie rozpostarta, którą oglądałem przedwczorajszej nocy, wpatrującą się we mnie wyzywająco, ironicznie! Żeby pan to widział! Była unikatem, groźnym unikatem, krańcowym i czystym przypadkiem istoty, żeby tak rzec — diabolicznej. Wspaniały mózg na służbie gorejącej ambicji. Żadnych instynktów społecznych, żadnej służby ogółowi... nic... nic.

Poza tym złe instynkty! To ukrywał nawet przed sobą samym, maskował je „celem”, częściowo sublimował przy pomocy intelektu, każąc wyzywać się im w eksperymentach naukowych. Razem dawało to posmak groźnej groteski.

Oto istota inteligentna, aspołeczna, amoralna, despotyczna. Człowiek wyprany nawet z takich ludzkich potrzeb, jak dom, żona, dzieci. Nic, tylko intelekt i wyłącznie intelekt. Doprawdy, był to raczej kryształ zimny i błyszczący niż stworzenie z krwi i kości.

Kochać nie potrafił. Miłość? A cóż to za zjawisko? Uczucie do dziecka, kobiety, ludzkości? Nie, to abstrakcja, bajki dla grzecznych (ale głupich) dzieci. On, nadczłowiek, stał ponad słabościami rodzaju ludzkiego, którym na imię: litość, miłość, humor, poezja, humani-

taryzm, instynkt społeczny. Ten chyba pięćdziesięcioletni mężczyzna skojarzył w sobie cechy, które w rezultacie dały człowieka niebezpiecznego, człowieka o losach wahających się między dobroczyńcą ludzkości (zdolności!) a przestępcą. Był to maniak! Taki genialny uczony, a taki zły człowiek! Jaka szkoda, że zabrakło mu kilku instynktów małego „szarego” człowieka! Był na granicy szaleństwa.

Zamilkli.

Tymczasem cienie stawały się coraz głębsze i oni sami poczęli znikać dla siebie wzajem, wchłaniany fluidem nocy — mrokiem.

Pogonowski zamyślił się i wreszcie, widać w formie konkluzji, powiedział:

— Tak, to koniec sprawy.

\*

Późnym wieczorem tego dnia zaterkotał telefon do prywatnego mieszkania prokuratora,

— Czy jest pan prokurator Stefan Lorek?

— Jest, kto mówi?

— Sierżant Kowalik.

— Zaraz zamelduję.

Po kilku chwilach odezwał się głos:

— Proszę, słucham, tu prokurator Lorek.

— Dobry wieczór, panie prokuratorze.

— Dobry wieczór, sierżancie. Cóż to, myślałem, że już obaj jesteście z powrotem w Grodzisku. A może telefonujecie z Grodziska?

— Nie, z Warszawy i... i ja już napisałem do domu, że nieprędko wracam.

— Jak to?

— A tak, panie prokuratorze. Ogórek to samo.

— Co się stało?

— Ano właśnie, melduję, że dziś przed wieczorem została zamordowana głowa tego pana bez ciała, co to Hugonem go nazywali.

— Co, co?

— Ano zamordowana, czy jak to powiedzieć. Ale przecież gdy żywa, głowę zabija się, to przecież też morderstwo, tak jakby zabili całego człowieka, no nie?

Prokurator opanował się.

— Czy jest ktoś na miejscu zbrodni?

— Tak, wartuje plutonowy Ogórek.

— Wracać proszę do niego. Ja zaraz przyjeżdżam.

— Rozkaz, panie prokuratorze. Dzwonię tu z dołu, z Zakładu Medycyny Sądowej. Straszne miejsce: same trupy i wszędzie fotografie trupów. Jak żyję nie widziałem tyle tego. Więc już biegnę na górę, bo i Ogórek też czuje się niewyraźnie. Lecę!

Rozłączyli się.

Prokurator stał jeszcze z ręką na telefonie i zastanawiał się. A więc wszystko od początku? Chyba tak. Bo z czym powiązać to morderstwo? Z czym powiązać? Dlaczego Hugon?

Prokurator miał rację. Nie wiedział tylko jednego: niedługo miała stać się rzecz znacznie gorsza.

# CZEŚĆ DRUGA

## I

### DZIWNE WYPADKI W ZAKŁADZIE MEDYCZYNY SĄDOWEJ

Ulica Oczki jest ponura. Trzeba to powiedzieć otwarcie, nie licząc się z sentymentami nielicznych jej mieszkańców.

Z jednej strony ciągnie się stary mur, odgradzający szpital, i stoją za nim budynki cierpienia; na rogu widnieje potężny gmach z okratowanymi oknami — to prosektorium. Po drugiej stronie główną ozdobą jest Zakład Medycyny Sądowej, podobny z kształtu do starego polskiego dworku ożenionego z nieokreślonej urody pałacym. Styl jego ma nie mniej dwuznaczny charakter niż ciała, które w nim leżą.

Padął deszcz, wiatr chwia latarniami, które bezskutecznie zamiatały mroki i pustkę mdłymi wiechciami poświaty. Jeden taki błysk ogarnął na moment, niczym ramieniem świetlistym latarni morskiej, jakąś postać zbliżającą się powolnym krokiem.

Człowiek ten wahał się lub pogrążony był w głębokiej zadumie. Samotny i zapóźniony gość podniósł wreszcie głowę, ledwo widoczną spoza nastawionego kołnierza oraz mocno naciśniętego na oczy kapelusza, i zaczął wpatrywać się w zarysy Zakładu, bielejące po drugiej stronie. Krople dudniły echami.

— No, dobrze — mruknął przez zaciśnięte zęby — dobrze, zobaczymy... zaczniemy od początku.

Przeszedł przez jezdnię i ominąwszy główne wejście, zmierzał do furtki przy sztachetach, odgradzających sporą przestrzeń Zakładu od ulicy i sąsiednich zabudowań.

Z cienia, niespodzianie acz spokojnie, wyłoniła się sylweta milicjanta.

— Dokąd?

— Do Zakładu.

— Proszę o dowód osobisty.

— Jestem prokuratorem, nazywam się Lorek. — Sięgnął po portfel.

— Ach to pan — milicjant zasalutował — właśnie czekamy; proszę, prosto i na lewo.

— Wiem, dziękuję.

Wbił ręce w kieszenie płaszcza i znikł w podwórku.

— A więc, sierżancie — mówił po jakimś czasie, siadając w rogu gabinetu i rozcierając mokre i zziębnięte ręce — proszę mi przedstawić wypadki możliwie dokładnie i kolejno.

Kowalik obciągnął mundur falujący na jego potężnym korpusie i spytał głosem cichym, przypominającym odległy pomruk armat.

— Od kiedy? Czy od samego wypadku z głową?

— Nie, od samego rana, od momentu samobójstwa doktora Tragi.

Sierżant zastanawiał się kilka chwil, po czym zaczął relację.

— Gdy pan prokurator wyszedł, zabraliśmy — na polecenie doktora Prokaszka — ciało Tragi i przenieśliśmy je z korytarza do sali sekcyjnej. Doktor w tym czasie telefonował do kogoś, by przyjechał asystować przy sekcji. Jak się orientuję, sam nie chciał czy nie miał prawa jej robić. Mamy niedzielę — dodał wyjaśniająco — i nikogo nie było, dopiero potem zrobił się ruch. Ja, z plutonowym Ogórkim, poszedłem na śniadanie; nie mieliśmy tu właściwie nic do roboty; pozostała tylko kwestia tej żywej głowy: czy zostanie tu w Zakładzie, czy mamy ją przenieść do kliniki uniwersyteckiej?

Doktor Prokasz powiedział, że decyzja będzie za godzinę lub dwie. Tymczasem gdy wróciliśmy, wciąż nic nie było wiadomo. Także i ten asystent jakoś nie zjawiał się. Tymczasem naschodziło się tu profesorów, zaczęli oglądać głowę, gadać...

— Gdzie stała? — przerwał Lorek.

— W pokoiku, tym zaraz przy sali sekcyjnej.

— Czy pokój był zamknięty?

— Nie, nie było takiego rozkazu.

— Rzeczywiście — przyznał prokurator wzruszając ramionami; kto by mógł przypuścić?

— A właśnie — przytaknął Kowalik — kto by mógł przypuścić. — Obciągnął kurtkę, podrapał się po nosie i ciągnął dalej: — Więc zaczęli oglądać i dziwić się...

— Przepraszam — znów mu przerwano — czy wiecie, sierżancie, jacy to profesorowie byli?

— Nie, nie wiem, nie pamiętam nazwisk, ale ci sami, których widziałem wtedy w willi starego Pogonowskiego.

— Czy doktor Prokasz był cały czas?

Kowalik zamyślił się.

— Zdaje się, że prawie cały czas, ale jednak wychodził...

Prokurator przywołał dyżurnego milicjanta. Rozkazał — sprowadzić tu natychmiast doktora Prokasz! — Wyjął notesik z kieszeni i podyktował adres.

Milicjant zanotował i znikł.

— Proszę dalej, przepraszam, zatem oglądali głowę Hugona.

— Tak, oglądali, było to mniej więcej w południe, potem powoli rozchodzili się, został tylko doktor Prokasz, woźny i my. Muszę tu podkreślić, panie prokuratorze, że trudno będzie ustalić winę, bo sprawka wykryła się dopiero wieczorem. — Znów podrapał się po nosie. — A nie wiadomo właściwie, kiedy to nastąpiło.

W południe byliśmy na obiedzie, znaczy ja i plutonowy; gdy wróciliśmy, doktor Prokasz kręcił się jeszcze po Zakładzie. Czekaliśmy, nudząc się, na tę decyzję i tak zeszło do wieczora. Zdaje się, że nikt tam później nie zaglądał. Dopiero niedawno plutonowy Ogórek, przechodząc obok tego pokoju, postanowił sprawdzić, czy wszystko w porządku, otworzył więc drzwi, zapalił światło i... i... przestraszył się. Coś mu się w niej, to znaczy w tej głowie nie podobało. Przyleciał zaraz do mnie i zawołał, abym zobaczył. Poszedłem więc, a ze mną i woźny. Akurat rozmawiałem z nim. Rzeczywiście: twarz była sina, taka jak u człowieka zaduszonego. Pamiętam nawet, że woźny powiedział: „Oho, kaput!” No i zaraz zatelefonowałem do pana prokuratora.

Lorek milczał. Wyciągnął się wygodnie w krzesło, opierając głowę o ścianę.

Kowalik zbierał dalej wspomnienia, wreszcie potrząsnął swą potężną głową, całkiem czarną od nie golonego od dwudziestu czterech godzin zarostu, i ciągnął dalej:

— Właściwie, to może i przypadek, trudno wiedzieć, bo — tu zwrócił się wprost do prokuratora — co by komu przyszło z tego morderstwa? Jeszcze rozumiem, gdyby ktoś ją ukraść, ale i to na przykład... po co właściwie miałby kraść?

Lorek nie odzywał się, podłożył obie dłonie pod kark i zamknął oczy.

Sierżant zakończył swoje refleksje:

— Coś mi się widzi, że nawet przestępstwa związane z nauką są trudne i skomplikowane jak ona sama; to nie to, jak w zwykłym morderstwie: pieniądze, zazdrość, miłość, ot i prawie wszystkie motywy. — Pokręcił powątpiewająco głową. — To nie dla mnie robota.

Prokurator ocknął się.

— Zobaczmy — szepnął — nie śpieszcie się z sądami. Chodźmy do tej nieszczęsnej głowy.

Poszli. Dołączył się do nich plutonowy. Zapalali światła, wędrowali korytarzem; na

ścianach wisiały fotografie ofiar wypadków i zbrodni, stanowiących teraz tylko już materiał naukowy; dobrnęli wreszcie do celu. Stukot ich kroków grzmiał w pustym labiryncie.

— To tu — rzekł plutonowy.

Zatrzymali się. Prokurator nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Plutonowy wyjaśnił służbowo:

— Kontakt jest z lewej strony, blisko, wystarczy wyciągnąć rękę.

Zabłyśło światło, prokurator wszedł do środka.

Sierżant i plutonowy, którzy już mieli dość przykrych widoków, wyczernionych z owych ponurych fotografii i przygniecenia z lekka całą atmosferą Zakładu Medycyny Sądowej, którzy zresztą oglądali już i nieszczęsnego Hugona i byli świadkami tragicznego końca żywota doktora Tragi, zatrzymali się na progu. Ponadto nie byli pewni, czy Lorek życzy sobie ich obecności. Porozumieli się wzrokiem i jednomyślnie zatrzymali się na zewnątrz.

Uszu ich dobiegł odgłos kroków przeplatany martwymi pauzami: znów kroki i znów cisza, oto jeszcze stąpienie jedno i drugie oto następna cisza. Można by przypuścić, że prokurator zamiast oglądać uważnym wzrokiem głowę na postumencie, szuka czegoś. Jeszcze kilka stąpień i szurań; sylwetka prokuratora wyłoniła się z pokoju. Ujrzeni zdumione oblicze.

— Gdzie ona jest?

— Na środku pokoju, panie prokuratorze.

Oblicze dało z powrotem nurka, milicjanci zaś uczuli nagle, że są na wpół ubawieni, a na wpół przestraszeni: przecież głowa z postumentem wielkości człowieka to nie szpilka i nie można tego nie zauważyć, zwłaszcza w tak mikroskopijnym pokoiku. Co się dzieje z Lorkiem?

Prokurator wyskoczył jak kamień z procy.

— Co to znaczy, do cholery! Gdzie mnie, gamonie prowadzicie, popiliście się czy co? To przecież nie ten pokój!

Sierżant otworzył usta-wrota, natomiast plutonowy zmarszczył twarz, właśnie w taki deseń, jaki odpowiada stanowi częściowo rozbawienia, a częściowo przerażenia, po czym wyrecytował:

— Melduję posłusznie, to dokładnie ten pokój i nie może być żaden inny.

Już skoczyli też obaj, pchani nieomylną sprężyną instynktownego działania, nie czekającego na trafne, ale powolne wyjaśnienia rozumu.

Pokój był pusty!

Owszem, wszystko stało jak dawniej — biurko pod oknem, dwa krzesła znajdowały się na swoim miejscu, jak też i wieszak tkwił po staremu w kącie, pod ścianami stały szafki z preparatami, ale z głowy i postumentu nie pozostał nawet ślad najmniejszy.

Tak jak prędko skoczyli, tak prędko znieruchomieli. Nie było siły, która potrafiłaby teraz odczarować ich i znów pobudzić do jakichś objawów życia. Tylko gałki ich oczu spazmatycznie kręciły się, patrolując mizerny teren intrygującej zagadki.

— Nie, nie ma głowy. — Rzeczywiście.

— Cóż to, do cholery, ma znaczyć — ryczał, darty wewnętrznym niepokojem prokurator.

Na próżno jednak czekał wyjaśnień. Jakąż można by bowiem dać odpowiedź? Stała w tym pokoju, w tym pokoju coś się jej stało i zmarła. A teraz nie ma jej.

Plutonowy rzucił się kilkanaście kroków, szarpnął drzwi do sali sekcyjnej, zapalił światło. Nie ma!

Sierżant pobiegł do drzwi, prowadzących do kostnicy, zajrzał — nie ma!

Prokurator ochłonał. Po szalonych ruchach Kowalika i Ogórka zmiarkował, że coś się istotnie stało, że nie idzie tu o pomyłkę, lecz o coś, czego żadną miarą nie mógł na razie zrozumieć. Oni również. Wreszcie wszyscy stanęli i spojrzeli osłupiali na siebie. Nie ma!

Zaczęli szukać jeszcze raz, dokładniej, spokojniej, pedantycznie, jakkolwiek więcej z

poczucia obowiązku niż z rozsądku, bo co tu dużo gadać: postument nie igła, a pokój nie jest stogiem siana.

Uczynili jednak słusznie, bo rozległ się nagle kobiecy pisk wydzierający się z pagórkowatego sierżanta.

— Aha — szepnął plutonowy domyślnie — Kowalik się zdziwił, pewnie coś zobaczył.

Znaleźli go w kostnicy nachylonego nad cementową podłogą.

W samym rogu leżała porzucona głowa Hugona. Lecz postument, precyzyjny mechanizm zastępujący płuca, serce i krwiobiegi znikł bez śladu.

Zbadali jeszcze raz wszystko, po czym, spoceni z wysiłku, a jeszcze bardziej z emocji, wrócili do gabinetu, zostawiając za sobą ciemności i głuchą ciszę.

Prokurator westchnął głęboko i począł wędrować od rogu do rogu z dłońmi z tyłu splecionymi i opuszczoną głową. Obaj milicjanci stali z boku, w postawie symbolizującej szacunek i zrozumienie oraz — oczywiście — oczekiwanie.

Nieustanny szum deszczu na szybach przemienił się, w kłującej ciszy, w rodzaj syczenia: jakby ukryty gdzieś blisko tajemniczy wąż obserwował z ukontentowaniem tych bezsilnych ludzi. Ale węża nie było, natomiast był tu gdzieś przestępca.

Głowa Hugona nie żyje. Czy zmarła naturalną śmiercią, czy została zamordowana?

Ledwo zdążył przyjechać na miejsce, a tu już i postumentu brak. Zginął bezcennej wartości aparat naukowy. Jakoś to jedno z drugim nie pasuje! Co to znaczy? Westchnął raz jeszcze i wyprostował się, a ściśnięte dłonie aż zachrzęściły i zbieleły niemal do kostek.

— No — powiedział głośno w przestrzeń — w każdym razie widzę, przyjacielu, że śpieszysz się ogromnie. — Sierżancie, zwolnijcie zmobilizowanych milicjantów, nie będą już potrzebni, nie ma co zabijać i nie ma już nic do skradzenia, więc nasz przyjaciel czy też nasi przyjaciele nie zjawią się więcej. Ale przedtem macie wszyscy wraz z woźnymi przetrząsnąć cały Zakład od góry do dołu, może jednak ten postument ukryto tu gdzieś; ponadto sprowadźcie mi zaraz dozorcę.

Po chwili wiedział już, że od dozorczy nic się nie dowie. Przestraszony opiekun nieruchomości dawał odpowiedzi jasne i ścisłe.

— Czy dyżuruje pan przy bramie?

— Nie.

— Czy ma pan z mieszkania jakieś okno na bramę?

— Mam, ale wieczorami jest zasłonięte storą, aby mi nikt do mieszkania nie zaglądał.

— Czy drugie, główne wejście jest stale otwarte?

— Tak, dopóty, dopóki czynny jest Zakład.

— A więc można tu wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie?

— Można.

— A z jakimś ciężarem?

— Byle się zmieścił w furcie i nie trzeba było otwierać całej bramy, jak się to na przykład robi, gdy zwożą nieboszczyków, to też można.

— Czy mieszkają tu jacyś ludzie?

— Mieszkają i nawet jest ich sporo; są to pracownicy Zakładu: niższy personel, ale też i niektórzy lekarze.

— Plutonowy — rozkazał Lorek — zarządzam natychmiastową rewizję tych mieszkań.

— Rozkaz, panie prokuratorze! — Wyszedł.

Dozorca pochylił się nieznacznie i spytał:

— Czy mogę coś powiedzieć od siebie?

— Oczywiście, proszę bardzo.

— Myślę, panie prokuratorze, że tu w ten sposób nic pan nie znajdzie. Każdy mógł wejść i każdy mógł wyjść, kiedy chciał, ale żeby potrafił niepostrzeżenie dostać się do preparatorium i zabić głowę, w to nie wierzę. To musiał być ktoś z tutejszych, z naszych profesoro-

rów!

— Co to jest preparatorium? — spytał Lorek.

— A to ten pokój, w którym postawiliśmy ten filarek z głową; tak się nazywa, bo przechowuje się tam preparaty Zakładu. Jak nam przywieźli ją, to zdenerwowałem się ogromnie... taka rzecz... żywa głowa z maszyną zamiast ciała... rozumie pan prokurator... gdy zapytali, gdzie to zanieść, to jakoś mi się wyrwało, że do preparatorium... niby że i ta głowa — choć żywa — też przecież preparat. Pan doktor złościł się trochę i chciał ją przenieść...

— Jaki doktor?

— Ano doktor Prokasz...

— Aha, proszę dalej.

— ...ale potem znów wybuchła historia z panem rektorem, jak się otrułem, nikt już nie myślał o przenoszeniu głowy.

— Dziękuję — rzekł Lorek — ale ja wezwałem pana nie w związku z głową.

— Nie w związku z głową? — Zdumiał się ogromnie. — A co się stało? Co nowego?

— Ktoś ukradł tę maszynę, postument.

— Ukradł filarek?

— Tak, i to niedawno, w ciągu ostatniej godziny; od chwili gdy sierżant zadzwonił do mnie, do mojego przyścia nie upłynęło więcej. Zatem ktoś to uczynił niedawno.

— Ukradł postument? Niemożliwe — dziwił się ciągle dozorca i niewątpliwy wyraz zaskoczenia odmalował się na jego poranej głębokimi bruzdami twarzy.

— Czy nic pan nie słyszał i nie widział?

— Nie, nic.

— Czy mógłby kto inny coś zauważyć?

— Chyba ktoś z mieszkańców, jeśli akurat przechodził, bo tu ulica o tej porze odludna, a zwłaszcza w niedzielę; można by cały skarbiec wynieść. — Zastanowił się. — Ale coś mi się widzi, że na rękach tego nie wyniosł. Za ciężkie.

— Oczywiście, dlatego pytałem, czy nic pan nie słyszał. Może warkot samochodu?

— Nie, co to, to nie, samochodu na pewno nie było — poświadczył z przekonaniem.

— Musiano jednak wynosić koło pana mieszkania, przez furtkę, boć cała posesja otoczona jest wysokim murem, a na nim tkwi jeszcze wysoka krata; tylko furtką mógł się przesliznąć.

— I ja tak myślę. Pozwoli pan prokurator, że dodam, iż mógł to zrobić bez zbytniego strachu i ryzyka. Tu się niczego nie pilnuje, Zakład Medycyny to nie bank, nic nigdy nie ginęło, co tu zresztą mogło ginać — dziwił się.

Lorek przyjrzał mu się uważniej. Inteligentny — pomyślał, a głośno dodał:

— Więc sądzi pan, że tylko ktoś z tutejszych?...

— A nie, co do tego postumentu, to nie wiem... nie myślałem... nie wiedziałem o tym... — Zastanowił się. Sekundy mijały. — Hm, sam tego chyba nie zrobił. Ale jak wyniesiono postument z Zakładu? Przecież obaj milicjanci...

Lorek przerwał mu, wpatrując się weń uważnie:

— Drzwi od kostnicy na podwórzu były nie zamknięte na klucz.

— Nie zamknięte? Ależ zawsze są zamknięte, ja sam je otwieram i zamykam, gdy potrzeba!

— A dziś niedziela, prawda — spytał Lorek.

— Właśnie i niedziela na dodatek więc na pewno były zamknięte.

— Więc to nie pan?

— Broń Boże, ja o niczym nie wiem — wykrzyknął pośpiesznie i z niepokojem wbił oczy w Lorka.

— Klucz tkwił w drzwiach od wewnątrz, czy to w porządku?

— Tak, panie prokuratorze, zawsze tak było.

— A więc otworzył je zawczasu lub niedawno ktoś z wewnątrz?

— Tak mi wygląda.

— Kto przebywa teraz w Zakładzie i kto ostatnio tu się kręcił?

— Nie wiem, może woźny będzie wiedział.

— Dziękuję, wystarczy, proszę zawołać woźnego.

Wyszedł. Widać było, że pełen niepokoju. Po chwili ukazał się woźny. Skłonił się należycie i starał się unieruchomić biegające oczy.

— Czy teraz niedawno przychodził kto lub wychodził?

— Nie.

— Nikt, na pewno?

— Na pewno nie.

— A kto teraz jest w Zakładzie?

— No... ja i ci milicjanci.

— Czy jest przejście ze skrzydła mieszkalnego do Zakładu?

— Nie.

Lorek ulokował źrenice na twarzy woźnego i rzucił obojętnie:

— Brama w kostnicy jest otwarta.

— Że co, proszę? — Nie zrozumiał.

Lorek powtórzył:

— Brama w kostnicy jest otwarta.

— Nie — zaprzeczył ruchem głowy — zamknięta, panie prokuratorze. — Widocznie sądził, że zdanie wypowiedziane przez Lorka jest pytaniem, a nie stwierdzeniem.

— Mówię panu, że otwarta!

Teraz woźny pojął i krzyknął:

— To niemożliwe, chyba ktoś ją otworzył.

— Proszę powiedzieć mi, kto tu dziś był i co robił?

Woźny rozstawił palce lewej ręki i zaczął liczyć na nich.

— Doktor Prokasz, od samego rana, potem przyszli: profesor Topolski z profesorem Byroniem, a później profesor Lothar; ale przed nimi przyjechał taksówką asystent Barchan...

Prokurator zmarszczył czoło.

— Asystent Barchan? Co on tu robił?

— Ano wezwał go telefonicznie doktor Prokasz do pomocy w sekcji i do podpisania protokołu sekcji, czekał na niego dość długo; to tak należy się urzędowo: jeden nie ma prawa tego czynić.

— Wiem i co dalej.

— Pan asystent zaraz potem wyszedł, był ogromnie zły, że mu nawet w święta spokoju nie dają; to porywczy człowiek, panie prokuratorze: jak zły — trzaska drzwiami, aż się rozlega w całym Zakładzie.

— Więc wyszedł zaraz?

— Tak.

— A reszta?

Woźny pomedytował chwilę, zanim odparł:

— Dokładnie nie wiem. Byłem ciekaw tej głowy i zaglądałem do preparatorium, ale tylko dwa czy trzy razy i na krótko. Ale widziałem, jak koło niej biegali. Profesor Topolski był strasznie podniecony, a profesor Lothar ciągle chodził zamyślony po korytarzu. Ale detalicznie powiedzieć nie mogę, bo zasadniczo siedziałem w hallu przy głównym wejściu.

— Dziękuję, może pan odejść.

Prokurator spojrział na zegarek, zbliżała się jedenasta. Wstał i zaczął przechadzać się. Mijały minuty.

W pewnym momencie usłyszał dalekie odgłosy otwierania i zamykania drzwi, potem



echa zbliżających się kroków. Zbliżały się, rosły, wreszcie umilkły za drzwiami.

Wszedł doktor Prokasz. Zawsze był żółtoblady z psychicznym odcieniem wystraszenia, a teraz był śnieżnobiały i wyraźnie przestraszony.

Lorek przyjaźnie uśmiechnął się doń i serdecznie uściśnął dłoń.

— Witam i przepraszam, że wyciągnąłem pana z domu.

— Ach, głupstwo, co to za dom, tylko jestem po wczorajszych historiach nie wyspany i... i... mam tego wszystkiego powyżej uszu.

— Czy wie pan doktor, co się tu stało?

— Wiem, powiedział mi milicjant, który mnie tu przywiózł, a resztę dowiedziałem się już tu od Kowalika.

— I co pan na to?

Prokasz rozłożył ręce. Widać było wyraźnie, że drżą, rzekł krótko:

— Nie pojmuję.

— To się zgadzamy, bo i ja nie pojmuję. To znaczy wiem, że aparat jest komuś potrzebny do jego sekretnych prac. Proste! Lecz dlaczego nie ukradł go wraz z głową? Dlaczego posunął się do morderstwa? Dlaczego rozłożył akcję jakby na raty? Źródło wypadków przedstawia mi się mniej więcej wyraźnie, jak też i osoba, nie ulega wątpliwości, że to znów jakiś uczony, profesor, że chyba jeden z tych, którzy tu dziś byli... — Przerwał i jakby spytał wzrokiem o opinię.

Prokasz zmęczonym ruchem głowy przytaknął, mu i mruknął:

— To jest właśnie najgorsze: ludzie czasem nie wiedzą, jak łatwo wpadają w matnię przestępstwa.

— Ma pan rację, lecz nie zastanawiam się teraz filozoficznie, jestem na służbie i myślę praktycznie. Zatem: Topolski, Byroń, Lothar i może ów Barchan...

Prokasz zaprzeczył nagle:

— Nie, nie... on na pewno nie.

Lorek wyjaśnił:

— I ja nie przypuszczam, by ten asystent maczał tu palce, chodzi o grube ryby, ale ja muszę wszystkich podejrzewać, rozumie pan?

Stary doktor podniósł zaczerwienione, łagodne i bezsilne oczy. Powiedział:

— Rozumiem, wszystkich... wszystkich... i mnie.

Lorek miał w tej chwili ogromną ochotę roześmiać się na głos, ale powstrzymał tę niewczesną chętkę, milczał. Milczał dyplomatycznie. Poklepał go jednak po wystających łopatkach. Spytał po sekundzie:

— Kto kręcił się koło Hugona?

— Wszyscy. Byliśmy tam i razem, i każdy z osobna. Oglądaliśmy aparat, rozmawialiśmy, Topolski coś — jak zwykle — notował; Hugon jakby ucieszony zmianą w jego losach odpowiadał nam żywo i chętnie. Lothar był chyba kilka razy, Byroń też.

— Zatem każdy z nich mógł to uczynić?

— Tak, tak się składa.

— Jak pan myśli, doktorze, dlaczego zjawili się tu tak licznie?

— Nic w tym nie widzę nadzwyczajnego: każdy z nich jest osobiście zainteresowany w kwestii długowieczności, eksperymentów biologicznych nad żywą materią; każdy z nich, nawet Lothar, jest powagą naukową; tych trzech pojawiło się na naszym horyzoncie naukowym jak sto lat temu trzech wieszczów: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński na horyzoncie poetyki: od razu kupą. Topolski jest na pewno na tropie czegoś wielkiego, Byroń — jak pan prokurator wie — zrobił się ostatnio ogromnie tajemniczy, na pewno coś odkrył. Jakżeż by mieli nie przyfrunąć tu na wieść o dramatycznym rozwiązaniu sprawy rektora Tragi i jego żywym eksponacie? Ja to rozumiem.

— I ja również, doktorze. No, a jak sekcja? — Spytał prokurator.

— Protokół mam przy sobie. Szczegóły pan tam znajdzie. — Prokasz sięgnął do portfela i wygrzebawszy kartkę złożoną w czworo, wręczył ją Lorkowi. Ten zagłębił się w niej, wymruczał półgłosem ważniejsze ustępy i schował do teczki.

— Dziękuję. — Popatrzył w okno i rzekł nagle: — Po co temu Nieznanemu Nr 2 postument? Znaczy się, jest jeszcze ktoś czyniący takie same eksperymenty jak Traga. Czy to możliwe?

Zapukano do drzwi.

Kowalik i Ogórek meldowali wkrótce o wynikach poszukiwań.

Postumentu nie ma. Nikt nic nie widział i nie słyszał. Natomiast odkryli coś nowego: zginął mały dwukołowy wózek, stojący zwykle w podwórku.

Deszcz szumiał jednostajnie.

## II

### PICASSO I RUBENS, CZYLI PRZYGODA W PARKU

Następnego dnia rano redaktor Guran odgradzał się duchowo od przykrych wydarzeń. Stosował higienę psychiczną. Był po ostatnich przeżyciach, istotnie i ciężkich, i nadzwyczajnych zarazem, najzupełniej uprawniony do tej ochronnej taktyki. A więc korzystając z czarującego poranka jesiennego, wybrał się na spacer do parku.

Łazienki warszawskie mogą rzeczywiście przynieść ukojenie duszom w rozterce: pagórki, wiekowe drzewa, odludne stawy, łączki zielone, senny pałacyk przeglądający się już od stu pięćdziesięciu lat w przezroczystej wodzie, daleki widok ruin starego zamku książąt mazowieckich, ławki romantycznie rozstawione i tradycja zabaw i miłości, związana z tym ogrodem i ostatnim królem, wszystko to razem wzbudza w istotach skorych do miłych wzruszeń nastroje przyjemne.

Zatem Guran błąkał się sposobem romantycznym i od czasu do czasu głośno wzdychał. Pozwalał sobie na ten efekt, jako że wkoło nie dostrzegał na razie krępującej obecności istot ludzkich.

Liście już po trochu żółkły. Niektóre cicho wirowały w powietrzu, opadając lekko i z gracją na ziemię. Po wczorajszym deszczu trawy wydawały miłą i przenikliwą woń.

Umówił się tu ze Stefanem i Heleną, ale przyszedł trochę wcześniej, by w samotności witać się z naturą.

Usiadł wreszcie na ławce z widokiem na czerwone ruiny zamku i przymknął oczy: od razu niesforne myśli zdradziły ochotę do wędrówek w czasie, lekceważąc sobie zdrowy rozsądek i wymogi życia codziennego. Zdało mu się, że ze wzgórze zamkowego wyłaniają się wiotkie cienie duchów, które w rytm uwertury do Snu Nocy Letniej, spływają do teraźniejszości. Lecz niestety owe nimfy leśne nie zdążyły uczynić nawet kilku kroków, gdy spłoszyły je i powróciły do nicości kroki prawdziwe, realne.

Oto zbliżały się dwie młode nimfy współczesne, oddające się z całym i niefałszowanym zapałem, a nawet pewną namiętnością towarzyskiej rozmowie. Niestety, usiadły na tej samej ławce. Jedna z nich, ta bliższa, była pięknością w typie rubensowskim, tylko młodsza o kilka lat od przeciętnego modelu mistrza Rubensa.

Redaktor zauważył, że miała piękne, miękkie (uwaga: podkreślił w myślach — miękkie), jedwabiste włosy, skręcone nad czołem w jasne pukle, w nich zaś niebieską aksamitkę w kształcie kokardki. Oczy duże, rozszerzone, powiedziałby ktoś — „rozszerzone ciekawością świata”, lecz Guran nie ominął w ten sposób dość prymitywnej sprawy istotniejszej. Słowo bowiem „rozszerzone” miało dlań specjalny ciężar gatunkowy. Był z zamięłowania detekty-

wem i zamierzał właśnie wskrzesić tradycję Sherlocka Holmesa. Z zachowania jej promieniowała energia. Mówiła i gestykulowała szybko. Gotów byłby przysiąc, jak się to potem okazało — słusznie, że równie szybko myśli i działa. Druga natomiast była, chciałoby się rzec — brzydka jak noc. Stanowczo jednak — snuł rozważania — zwrot ten jest bez sensu. Noc może być czasem straszna, ale dlaczego brzydka? Noc jest równie ładna jak i dzień.

Była więc brzydka jak... kobiety Picassa!

Jasnowłosa piękność skarżyła się. Córa Picassowa słuchała w skupieniu. Skądś zaczęły dobiegać dźwięki miłego walczyka.

Natura jest piękna! Ta blondynka obok — również. Guran uświadomił sobie w pewnej chwili, że piękność ma kłopoty rozwodowe.

— On mi — mówiła — zarzucił wtedy, że mamy niezgodne charaktery i...

Obudził się w nim raptem jasnowidzący duch detektywa z bożej łaski, a także i duch wyćwiczony przez wiedzę. Zastanowił się, ryzykować czy nie ryzykować? I nim się zorientował, co czyni, wpadł jej w słowo:

— Nie trzeba było upierać się przy otwieraniu okien!

Efekt był piorunujący. On sam co prawda nawet nie drgnął, zapatrzonej wciąż zasadniczo w królewski zamek, za to one zwróciły się do niego jednocześnie i mechanicznie. Nic dziwnego — zaskoczenie!

Nim ochłonęły, ciągnął dalej — wiedząc, że wykorzystanie zaskoczenia jest równie ważne, jak samo zaskoczenie:

— Pani jest fanatyczką otwierania okien, nawet w zimie, prawda?

— Tak, ale...

— Pani nigdy nie czuje zimna; nawet w zimie ubiera się pani lekko?

— Proszę pana, co...

— Lubi pani jeść i apetyt pani często razi szanownego małżonka, który — zawahał się — cierpi raczej na niestrawność?

— Skąd pan to wszystko wie? — Zdumiała się.

Dobrze — pomyślał — nieprzyjaciel dał wciągnąć się do bitwy.

— Przepraszam panią, czy mąż pani ma zimne ręce i nogi? I ciepło się ubiera?

— Tak.

— No właśnie. Ciągłe mu zimno, a tu pani upiera się przy otwieraniu okien. Jest rozta-rgniony i często apatyczny?

— Tak. — Zdumienie torowało sobie coraz wyraźniej licznymi oznakami drogę do jej powabnej twarzy.

— Hm, to jasne. Pani zaś, zapewne, jest zawsze pełna inicjatywy, ciągle planuje, jest niewyczerpana w pracy i raczej trudno usypia, a...

— Skąd pan to wszystko wie, na miłość boską, przecież o tym nikomu nie mówiłam?

— Istotnie, o tym pani nie mówiła, ale ja widzę pani duszę, a duszy pani męża domyślam się.

W tym miejscu obie panie zaniepokoiły się naprawdę.

— Duszę?...

— No, nie trzeba brać moich słów dosłownie. Nie tyle widzę duszę pani, ile działanie jej. Znam gruczoły pani duszy.

— Gruczoły duszy?! — odkrzyknęły razem.

Córka Picassa odsunęła się przezornie a córka Rubensa, która jako kobieta piękna i zalotna mężczyznę się nie bała, spojrzała tylko pytająco i szepnęła jakby do siebie, ale trochę złośliwie i trochę zalotnie:

— A ileż gruczołów ma moja dusza?

— Siedem — odrzekł lakonicznie — jak każda dusza ludzka.

Tym razem i ona zaniepokoiła się. Lecz spojrzawszy na nią, uśmiechnął się łagodnie.

Jak wiadomo zaś, ludzie niebezpieczni (wariaci, fanatycy, wynalazcy) nie uśmiechają się nigdy, zwłaszcza zaś łagodnie.

— Siedem zaś dlatego, że tyle mamy gruczołów dokrewnych, będących gruczołami osobowości. Są to: tarczyca, nadnercza, płciowe, trzustka, grasicca, szyszynka i przysadka. Proszę zwrócić uwagę na swój niepokój i podniecenie, na przewrażliwienie systemu nerwowego; czyż mógł on nie drażnić pani męża, wiecznie apatycznego, cierpiącego na bóle głowy i niestrawność? Tak, tak, to jasne — nie dobraliście się. Nie dobraliście się endokrynologicznie.

Notując w tym miejscu niebezpieczny zenit zaciekawienia słuchaczek, wyjaśnił:

— Pani szanowny małżonek ma niedoczynność tarczycy, pani zaś osobiście ma wrodzoną nadczynność tego ważnego gruczołu dokrewnego. To wszystko, co powiedziałem o was obojgu, opiera się wyłącznie na tym przypuszczeniu. Przypuszczeniu, jak widzę, trafnym, a wydedukowanym z kilku bardzo prostych faktów. Do nich należą: miękkość pani włosów, nadmierne rozszerzenie oczu, szybkość mowy i ruchów, dermatografizm, który u pani zauważyłem. O, widzi pani te kreski — ślady na przedramieniu, które przed kilku chwilami zrobiła sobie pani nieświadomie paznokciami drugiej ręki. Przypuszczeniu popartym nadto dodatkową hipotezą co do męża pani. Dlatego właśnie, aby je sprawdzić, wypytałem podstępnie dla potwierdzenia niedoczynności jego tarczycy. A tacy właśnie ludzie są wrażliwi na zimno, apatyczni, mają zimne ręce i nogi, są roztargnieni, źle pracują, mają zazwyczaj bóle głowy, niestrawność. Zabawiłem się w endokrynologicznego detektywa i udało mi się. Lecz muszę tu dodać ostrzeżenie: nie radzę paniom dedukować życia z zasad endokrynologii. Nie zawsze to się udaje. Trzeba tu być także i detektywem, co znaczy mieć jakiś szósty zmysł, zbierający do kupy — że się tak dosadnie wyrażę — rozpierzchłe elementy. No, cóż robić, życie jest skomplikowane, sama „matematyka” nie wystarczy...

W tym miejscu musiał przerwać potok elokwencji. Wpłynęły na to — jak się zdaje — dwa fakty. Jeden całkiem realny — to osłabiony nagle impet rozwijającej się myśli; drugi, bardziej abstrakcyjny — to intuicyjny niepokój, odczuwany przez każdego rozmówcę, gdy zda sobie sprawę, że słuchają go z roztargnieniem lub nie słuchają wcale. Gdy przestał mówić, odzyskał wzrok, to znaczy skupił w nim ten skromny zasób uwagi, który musiał do tej chwili służyć myśli. Skierował więc jego badawcze spojrzenie na obie słuchaczki.

Zaiste, w sam czas! To, co ujrzał, wypłoszyło rysujące się już kontury uwag na temat zależności naszej osobowości od ciała — a ściśle mówiąc od gatunku ciała i na odwrót — zależności naszego ciała, nawet jego chorób, od naszej osobowości, od psychiki. Bo oto obie panie właśnie wstawały. Już odchodziły. I tym prostym i nieuchronnym faktem oddalania się od ławki i od niego stworzyły nową rzeczywistość. Nie potrzebował już mówić. Więcej — nie mógł już mówić, bo nie miał do kogo.

Popułnił jakiś fatalny błąd! Ale jaki? Decyzje kobiece często są niezbadane co do pobudek. Tak więc pozostał z otwartymi jeszcze ustami i z uczuciem podobnym nieco do zawstyżenia. Osłodę stanowiło spostrzeżenie, że córka Rubensa idzie tak, by nic nie urobić ze swych naturalnych powabów. Lecz cóż z tego? Kobiety są próżne, robią to bez względu na osobę i okoliczności.

Guran zaskoczony i zawiedziony zamknął usta. Ładna bestyjka — pomyślał, po czym zaraz uzupełnił: — a ja jestem głupiec; popisywać się talentami detektywistycznymi przed kobietą?! Co za nonsens. — Zwrócił więc znów, lecz jakby z łagodnym żalem, uwagę na stare ruiny, próbując wskrzesić poprzedni nastrój i nimfy leśne.

Na próżno! Czary minęły i nie dały się sztucznie zmaterializować po raz drugi. Westchnął więc głośno i obrócił uwagę ducha na wiewiórkę opodal wirującą wokół dziupli i czyniącą niezrozumiałe manewry. Wszystko mija. *Panta rhei*, lecz nim minie, wiruje jak to rude stworzonko naznaczone stygmatem pewnych konieczności.

Pustka. Cisza.

Ale oto widać już w oddali Stefana i Helenę: maszerują różnym krokiem. Ona celnymi kopnięciami zmiata ze ścieżki leżące kasztany, on, solenny jak wielka uroczystość i milczący, rozgląda się za Guranem. Dostrzegli się.

Redaktor zdążył na czas poprawić krawat, a Helena przybrać pozę kobiety bardziej dojrzałej. Po zwykłych uprzejmych ceregielach powitalnych Helenka wybuchnęła zdziwieniem z domieszką uznania.

— Ale to z redaktora pracowity gość: od świtu randki i życie towarzyskie; kto by to powiedział? No, no...

— Jakie tam randki, proszę pani, zwykły przypadek; mógłbym nawet powiedzieć: niestety przypadek.

— Tak się panu podobała?

— Hm, trudno się zorientować od razu, ale...

— Niech pan nie będzie gapa!

— Co?

— No, gapa, ge-a-pe-a, razem gapa — wysylabizowała wyraźnie — zwykła gapa, o taka. — I pokazała paluszkami na smętną istotę wygrzewającą się samotnie na najwyższej gałęzi topoli. — Należy szybko się decydować.

— Dziękuję pani — skłonił się i uważnie spojrział na swego symbolicznego i upierzonego sobowtóra. — Może i podobieństwo jest — zawyrokował.

Roześmieli się wszyscy na raz, po czym powędrowali w głąb parku.

Helena ponownie rozpoczęła wojnę z kamykami i kasztanami, a panowie wdali się w rozmowę.

Stefan Pogonowski rozwinął przed redaktorem obfity bukiet kolorowych plotek.

— Uniwersytet trzęsie się dziś — mówię panu od emocji, hipotez i podejrzeń. Rozumie pan: w naszym środowisku rzadko przydarzają się takie historie jak z rektorem Tragą; ale żeby do tego były dalsze ciągi, jak wczoraj. Nie, to zakrawa na bajkę. Tylko że śmierć głowy Hugona i zniknięcie aparatu to ani bajka, ani żart.

Oczywiście, wszyscy zdają sobie sprawę, że krąg podejrzanych jest mały: Topolski, Byroń, Lothar, no i może Prokasz. Co pan, redaktorze, myśli o tym?

— Nic.

— Jak to?

— A tak to, drogi panie — odpoczywam.

— Prokurator nie zwrócił się do pana?

— Nie. A ja nie pcham się.

— Lecz zdaje mi się, że uczyni to?

— I ja tak sądzę, znam przecież środowisko, ludzi, zagadnienie, no i sprawę Tragi, którąśmy tak dramatycznie i szybko wczoraj zakończyli.

— Redaktorze, lecz prywatnie mówiąc, co właściwie mamy myśleć: na uniwersytecie i w akademii wszyscy dziś rano chodzili struci; wszyscy udawali, że „niby nic”, a jednak każde zjawienie się Topolskiego czy innych wmieszanych w tę sprawę wywoływało niewidoczną, lecz wyczuwalną sensację, jeśli to tak można nazwać. Czyżby rzeczywiście któryś z nich?

— Kto wie — odparł Guran — wszystko możliwe. Teraz Helenka wtrąciła swe złośliwe trzy grosze.

— To strasznie dużo pan nam powiedział.

— A czy łaskawa pani sądzi, że nie jestem jak tabaka w rogu? Nie tylko nic nie wiem, ale i na razie nie chcę o tym myśleć. Odpoczywam.

Szli pewien czas w milczeniu.

— Ale co u licha kryje się za całą kabałą? Gdzie tu sens?

— No, jeśli o to pani idzie, to sens jest, łatwiej dobrnąć do sensu niż do ludzi.

Oboje, Stefan i Helena, z zaciekawieniem zwrócili się do redaktora. Ten ciągnął dalej:

— Widzicie państwo, są na tym świecie siły potężne, lecz liczba ich jest ograniczona; zrozumiecie moją aluzję, jeśli zechcecie zwrócić na nią swoją uwagę i od niej zacząć.

— Instynkt samozachowawczy? — rzuciła pytająco Landowska.

— Tego nie możemy brać w rachubę — zaprzeczył Stefan.

— Poczekajcie z pojedyńkiem — przerwał redaktor — na razie nie chodzi o to, którą z tych sił bierzemy w rachubę; trzeba posuwać się metodycznie, moi drodzy, koniecznie metodycznie, bo inaczej zginiecie jak mysz w wielkim lesie. Zatem dobrze: instynkt samozachowawczy; kto wie? No, a dalej?

— Żądza naukowo-badawcza, szaleństwo wiedzy — zaryzykował Stefan.

— Tak jest: owa żądza jest chciwością profesorów, uczonych i wynalazców. U rzeźmieszków i opryszków — pieniądz, a u nich — tajemnice natury, odkrycia naukowe.

— To na pewno to — wykrzyknęła Helena, tupiąc stanowczo nogą chwilowo nie zajęta kopaniem kasztanów.

Guran skłonił głowę:

— Jest pani genialna.

— A pan nieznośny gdera.

— A pani czarująca przerywalska.

— A pan... — powstrzymała głos — no dajmy spokój — zrobiła do niego sympatyczną minkę i wyciągnęła rękę. — Niech pan przeprosi.

— Z największą chęcią.

— Do rzeczy, do rzeczy — wtrącił Stefan z powagą przewodniczącego na licytacji starożytnych arcydzieł. I dodał zaraz: — Może zboczenie charakteru, czy coś w tym rodzaju, bo jak inaczej wytłumaczyć zamordowanie głowy Hugona; przecież łatwiej i prościej byłoby ją ukraść wraz z postumentem.

Guran pokręcił głową.

— Dlaczego pan przypuszcza, że motyw jest tylko jeden, pojedynczy?

Młodzi zatrzymali się raptownie, uderzeni tą ideą.

— Racja! A może to w ogóle nie jedna sprawa, lecz wiele?

— Może. Widzicie zatem, że motywy mogły być różne albo nawet kilka naraz, że może płaczą się razem różne sprawy? Kto wie? Lecz aby dociekać jakichś prawd — a rozwiązywanie zagadek kryminalnych jest wszak dociekaniami prawdy — należy mieć metodę myślenia. Sama analiza faktów nie wystarcza. Ja na przykład już dziś... jestem... zdezorientowany moją metodą.

— Jak to? Zdezorientowany? — Niedowierzała własnym uszom.

— Chciał redaktor rzec: zorientowany — poprawił jej towarzysz.

— A nic podobnego, właśnie zdezorientowany — upierał się Guran.

— Co to znaczy? Jaki to ma sens? — Dziwili się.

— Bardzo głęboki, moi kochani, bardzo głęboki; może innym razem wytłumaczę wam dokładniej, teraz samym jeno rusztowaniem służyć. Zdezorientowany, albowiem fakty, czyli rzeczywistość, układają się inaczej, niż pragnęłaby tego moja hipoteza, którą wysnułem w oparciu o metodę.

— Ale też głupstwa horrendalne pan mówi — krzyknęła niemal i zaraz zakryła usta dłonią, zawstydzona i szukająca przestraszonymi oczami przebaczenia.

— Tak pani myśli? — spytał, nie objawiając najmniejszej ochoty do obrażania się.

Stefan chciał coś wtrącić, ale redaktor przerwał mu łagodnym chwyceniem za łokieć.

— Dajmy spokój, nie psujcie mi kilkugodzinnego urlopu; czuję, że przyda mi się.

Helenka zawyrokowała bez zwłoki:

— No, to damy panu spokój, niech sobie redaktor odpocznie i pomyśli o swojej piękności z ławki.

— Dziękuję, a w nagrodę za dobre sprawowanie i życzliwość zdradzę wam jeszcze

jedną potęgę, która może wchodzić w grę; wielką potęgę, nieskończoną potęgę.

??

Staął przed nimi, odczekał sekundę i mrużąc oczy, spytał:

— Co może dać pojęcie o nieskończoności?

??

Wycedził powoli:

— Głupota ludzka.

### III

#### ODKRYCIE PROFESORA TOPOLSKIEGO

Profesor Topolski uwijał się gorączkowo przy aparacie okazałych rozmiarów, w każdym razie dorównującym wysokością jego wzrostowi i o kształtach dla laika nieokreślonych.

Był to jeden z cudownych przyrządów naszego wieku, wehikuł wiodący nas w głąb mahości, w przepaść, jak sądziliśmy do niedawna, bez dna, ale mającą jednak swoje dno gdzieś w jądrze atomu; słowem — był to mikroskop protonowy.

Za pomocą innego mikroskopu — elektronowego — stojącego w przeciwnym końcu wspaniałej i jasnej sali, jego laboratorium, mógł robić powiększenia 40000-krotne; tam na mikro fotografiach oglądał narodziny, walki i śmierć bakterii i wirusów, które na nich prezentowały się jak serdelki z ogonkami, liszki włochate lub coś w tym rodzaju.

Lecz dla jego badań mikroskop elektronowy był za słaby. Tu, przy protonowym aparacie, drżał z emocji wewnętrznej; tu ważyły się losy poszukiwań i nadziei, losy jego życia, w każdym razie — życia naukowego.

— Prędej, prędej — denerwował się na asystenta — zaczynamy...

Mikroskop protonowy!

Za chwilę profesor otrzyma mikro fotografię w powiększeniu 600 000 razy! Znaczący: jeden centymetr zamienia w sześć kilometrów! Na ścianie, nad biurkiem, wisi fotografia atomu, przesłana mu przez kolegę, uczonego z zagranicy. Pierwsza fotografia atomu dokonana mikroskopem jonowym. On wszakże nie interesuje się fizyczną stroną zjawisk, jest fizjologiem, jest na tropie jednej z tajemnic życia organicznego.

Asystent wie, o co chodzi, na co poluje jego patron, i czuje się niemniej zdenerwowany, przygryza suche, popękane wargi, śpieszy się, skacze koło aparatu niczym średniowieczny alchemik koło płomienistego athanora\*.

— Dobrze — wyrzekł wreszcie Topolski — koniec. — Włożył ręce w kieszenie białego kitla i odsunawszy się do okna, zadumał się.

Laboratorium jego znajdowało się właściwie już na przedmieściu, na dalekim Mokotowie, stało na uboczu, na skarpie, ze wspaniałym widokiem na drugą stronę Wisły, hen aż do lasów otwockich na horyzoncie. Piękna panorama, lecz nie widział jej teraz. Nic nie widział poza swoim celem. Od dłuższego czasu żył jedną tylko ideą, jedną pogonią. Sądził, wierzył — i nie bez powodu — że stoi na krawędzi odkrycia, które zrewolucjonizuje historię naturalną ludzkości i w ogóle materii ożywionej. Historię materii!! Jego psychika, motor wewnętrzny, dygotała jednym wyłącznie tonem: pracą, pracą, pracą...

Topolski wyposażony był wszakże w twarde ciało i twarde nerwy, znosił znakomicie trudy wysiłku i niebezpieczeństwa monoidei. O dziwo — potrafił zachować nawet jowialność charakteru.

Nie można by tego rzec z całą pewnością o jego asystencie, chudziutkim i nerwowym

\* Piec alchemiczny.

okazie rodu męskiego. Ten na pewno przyżeglował niebezpiecznie blisko do łóżka szpitalnego. Lecz profesor tego nie widział, nie mógł widzieć, w ogóle nic nie dostrzegał poza swoimi myślami i swym gigantycznym celem.

Nie było to wcale oznaką złego charakteru, nie: siebie również nie dostrzegał.

— Panie profesorze!

— Co, moje dziecko? (tak osobliwie odzywał się profesor do swego asystenta).

— Tym razem uda się nam, co?

— Wątpię, czegoś ciągle nam brak.

Zmarszczył brwi i wyraz niezwyčajnej powagi zagościł mu na twarzy. „Czegoś ciągle brak — powtarzał machinalnie — czegoś brak”. Zaciął usta i głębokie westchnienie wydarło się z gardła. Czegoś brak. Zapatrzył się niewidzącymi oczami. Wyciągnął rękę i chwycił dłoń powietrze.

— Ot — odezwał się — tylko chwycić, czuję to o krok, o pół kroku i... i nie widzę, nie trafiam. — Zamykał ciągle dłoń, jakby istotnie chciał coś niewidocznego złapać. — Opuścił rękę i pochylił ciężko głowę.

— Sześć miesięcy wysiłków, tyle ogromnej pracy — współczuł na głos asystent — zapisałem dwanaście brulionów po 240 stron każdy notatkami z poszczególnych faz; a pan profesor zapisał w tym czasie 36 brulionów, nie licząc notatek na skrawkach papierów, gazet i prospektów zebranych w osobnej teczce. A to tylko badanie jednego szczegółu. A co rzec o pracy lat całych? Raz, pamiętam, zastałem pana profesora rano w tej sali śpiącego na stole laboratoryjnym, właśnie z tymi brulionami pod głową.

Profesor machnął ręką.

— Nie ja pierwszy i nie ja ostatni. Edison robił to samo, pewien badacz owadów, Lubbock, będący jednocześnie członkiem parlamentu, zapomniał o decydującym posiedzeniu, obserwując mrowisko, które miał od wielu miesięcy u siebie... na stole. To głupstwo, znane rzeczy, jesteśmy ofiarami pasji wiedzy. — Machnął jeszcze raz ręką i zamilkł.

Asystent, któremu nie schodziły z policzków ceglaste wypieki oczekiwania, rzekł:

— W służbie tej namiętności warto nawet poświęcić życie.

Topolski odwrócił powoli głowę, zmarszczył brwi.

— Jak to, co pan ma na myśli?

Asystent okropnie się zmieszał.

— To znaczy, miałem na myśli swoje życie, nasze własne życia, a nie... — Urwał, wbijając zaambarasowany wzrok w podłogę.

Profesor znów spojrział w okno i mruknął tylko:

— Aha.

— Przepraszam pana profesora.

— Za co pan przeprasza?

— No... jesteśmy wszyscy przewrażliwieni z powodu wypadków rektora Tragi i... i późniejszych... w ogóle zrobiła się sytuacja nie do zniesienia...

— Hm.

— ...myślałem — ciągnął dalej młodzieniec — o sile pociągającej tego sportu, nazywanego wiedzą, że namiętność...

Topolski przerwał mu, nie odrywając głowy od okna:

— Pan podejrzewa mnie?

Asystent skoczył całą swą drobną postacią.

— Ależ panie profesorze...

Lecz ten znów mu przerwał obojętnym gestem.

— No, dobrze, dobrze... wie pan co... proszę wyszukać mi równanie Fechnera, to z psychofizyki, na stosunek między podniętą fizyczną a reakcją psychiczną.

Asystent przekształcił się momentalnie w słuch i posłuszne narzędzie intelektualne,



rzekł:

— Ach, wiem to „delta R” i tak dalej; jeśli idzie o sam wzór, to jest w encyklopedii, tom 18, strona 720 i 721, pamiętam dobrze, ale jeśli idzie o dyskusje wokół tego wzoru, zwłaszcza prace Urbana i jego funkcje psychometryczne...

— Nie, niech pan pokaże mi tylko sam wzór.

Asystent po chwili podał mu w milczeniu żądane równanie. Topolski pochylił głowę, zacisnął nerwowo dłoń, na sekundę opanowała go niepewność, lecz naraz dusza cała wtargnęła mu do oczu; spoczął pałającym i zdumionym wzrokiem na filigranowym uczniu i wyszeptał zduszonym głosem:

— Tak, rozumiem, wreszcie rozumiem...

Odetchnął z głębi piersi i przeciągle, wyprostował się. Szeptał wciąż w kółko: „Rozumiem... rozumiem... rozumiem...”

Asystent w postawie pełnej uszanowania stał jak słup wysokiego napięcia.

Profesor, wzburzony wewnątrz, podbiegł do biurka i rysował prędko jakieś równania, wykresy... liczył... kontemplował... pisał... Dotknął wreszcie zwiniętym palcem dolnej wargi i zamarł w skoncentrowanym zastanowieniu. Widać było, iż świat zginął dlań.

Trwało to bardzo długo. Ponieważ zbliżał się rychły wieczór jesienny, półmrok zaczął spowijać ich i wszystkie przedmioty tej sali, z której mógł wkrótce wyjść wyrok dla całej ludzkości. Nic się już nie poruszyło i nie zamąciło burzliwej, ale straszliwie milczącej pracy myśli.

Zapukano delikatnie do drzwi. Asystent gwałtownie, acz cicho, podbiegł i otworzyłszy, szepnął:

— Cicho, cicho.

Zaraz też milcząco uklonił się, albowiem w drzwiach stała małżonka profesora. Należy cię obeznana ze zwyczajami tego sanktuarium wiedzy i zarazem — po trosze — domu wariatów, dała znać na migi, że czas na przerwanie pracy, na odpoczynek i kolację.

O niewdzięczny losie kobiety, zmuszający cię do pamiętania o codziennych koniecznościach i do przerywania geniuszom ich momentów natchnień. Bez ciebie może by umarli z głodu przed dokonaniem odkryć, ale nikt tego nie bierze pod uwagę; natomiast potępiają cię za takie właśnie wtargnięcia i za takie kontrasty. Asystent bezwolnym gestem rozłożył ramiona, wyglądał jak ucieleśniony symbol łagodnego *non possumus* \*.

Skończyłoby się na pantomimie, gdyby nie fakt, że profesor, znienacka powrócony na łono rzeczywistości, zoczywszy nieme przy drzwiach nawoływania codziennej prozy życia, wrzasnął tak, że oboje przy drzwiach podskoczyli.

— Świetnie, kochanie, bardzo dobrze, już idziemy, nareszcie mam... czy ty to rozumiesz... nareszcie; tak — jeść i odpocząć! Tak, daj nam coś dobrego i butelkę wina; przygotuj dobrą kolację; te dwie rzeczy mi pomogły: idea z wzoru Fechnera-Webera i tamto drugie... *Eureka!*

Podniósł oba ramiona w górę i stał w mrokach, niczym prorok Starego Testamentu. Oczy błyszczały mu osobliwym blaskiem i potęgą.

— *Eureka!*

Potrząsnął wzniesionymi dłońmi i krzyknął raz trzeci:

— *Eureka!*

Po czym, nim świadkowie zdołali powrócić do równowagi po tym akustycznym wstrząsieniu, puścił się w dziki taniec: wywijał nogami niemal w powietrzu, jakby tańczył hula-hula, poklepywał radośnie aparaty, tablice rozdzielcze i sprzety, pocałował mikroskop elektronowy, kopnął przyjaźnie protonowy i ucapiwszy wreszcie doszczętnie ogłupiałego, lecz już szczęśliwego asystencika zawirował nim i sobą, bawiąc się w popularną grę dzieciinną „drobną ka-

\* *Non possumus* — nie możemy; odpowiedź odmowna papieża na żądanie władzy świeckiej, której nie chce zadośćuczynić.

szkę”. Ucałował wreszcie żonę.

Ta znalazła się na wysokości chwili, mówiąc wyrozumiale:

— Nie czynię ci, drogi Bronku, wymówek, żeś naprzód wycałował sprzęty i pana Dominika, a mnie na końcu, bo rozumiem, że nie jesteś człowiekiem, dla którego żona, dom i dzieci są na pierwszym planie.

Wtem drgnęli z kolei zaci małżonkowie, bo oto całkiem nagle i nieco po czasie asystent puścił się w taniec zwycięstwa, aczkolwiek w wydaniu umiarkowanym nie tylko mniejszym udziałem w przygotowaniu triumfu, ale i skromniejszymi zasobami cielesnymi. Niemniej jednak wywijał efektowne i pocieszne łamańce przez parę chwil, po czym, zatoczywszy się, łapał powietrze ustami jak ryba wyjęta z wody. „Niech żyje pan profesor” — krzyknął.

Wychodząc z laboratorium, Topolski jeszcze zauważył:

— Na dziś dosyć, jutro powierzę papierowi moją tajemnicę i prześlę ją do kilku akademii w kraju i za granicą; trzeba będzie też napisać doniesienie do *Nature*. Jutro świat dowie się o moim odkryciu, ale teraz — jeść i butelka wina. Żono — krzyknął radośnie — mamy jeszcze zdaje się butelkę *Barraque*?

— Dziecko jesteś — odparła — to wcale nie *Barraque*, nie ma takiej marki, pozwól, że załatwię to już bez twojej wiedzy, która w tym miejscu kończy się bezapelacyjnie.

W gabinecie, do którego przeszli, zapanował nastrój beztroski, jakby im ciężar spadł z barków i frasunek z serc.

Pani Topolska i asystent usiedli na kanapce pod balkonem, a profesor w fotelu. Rozpostarł się wygodnie i sapnął:

— No, widzicie!

— Gratulujemy — odparli.

— Nareszcie!

— Jestem szczęśliwa, ale prawdę mówiąc, to nic nie widzę, zawsze byłeś tajemniczy, moim zdaniem — nawet niemoralnie tajemniczy, gotowa jestem przysiąc, że nawet pana Dominika wymanewrowałeś sprytnie na tak boczne tory, że i on niezbyt się orientuje... — Rzuciła okiem na asystenta, ale ten tylko uśmiechnął się nieznacznie i bez zobowiązań. — Więc — ciągnęła dalej — może zechcesz teraz, w godzinie zwycięstwa, oświecić nas, a w każdym razie mnie, twoją własną małżonkę.

Profesor kiwnął potakująco głową i przyznał sentencjonalnie:

— Co racja, to racja. Nie ma rady, nadszedł czas, by uchylić rąbka zasłony, a muszę ci powiedzieć — za nią stoi prawda naukowa zdolna zmienić bieg ludzkości i rozwój materii ożywionej... Nie potrafię na razie znaleźć dość silnego i trafnego wyrazu. — Przerwał i spytał: — Ile mamy czasu do kolacji?

— Pół godziny lub coś w tym rodzaju.

— Pół godziny — powtórzył bezwiednie — no świetnie. — Przygładził lewą ręką włosy i odchrząknawszy, zaczął mówić: — Wiele lat temu, jeszcze w okresie mojej bujnej młodości i w początkach kariery naukowej, znalazłem się pewnego dnia w towarzystwie ludzi inteligentnych i wykształconych. Pamiętam do dziś z dziwną wyrazistością niemal każde zdanie, które podówczas padło; nic w tym osobliwego, albowiem wieczór tamten zdecydował o moich losach. Co też mówię! O moich? Głupstwa prawię! Nie, nie zwariowałem, poczekajcie, a wyjaśni się wam znaczenie słów moich, gdy zrozumiecie, co to za odkrycie. Posłuchajcie.

Pomedytował nieco i powiedział:

— Mam poczucie humoru. Będę nieco wesoły w stylu, podkreślam, w stylu, w formie, bo treść będzie mimo to wściekle poważna.

Genio, mój ówczesny przyjaciel, raczył mnie nazwać wtedy pluskwą. Taktownie pominę milczeniem okoliczności tego incydentu, jak też i przyczyny, dla których się nie obraziłem. Nie o tym zresztą będzie tu mowa, ale o dyskusji, jaka wyłoniła się nieoczekiwanie.

Mianowicie na atak Genia odpowiedziałem z niezmałym spokojem ducha, że plu-

skwa nie jest znów taką pluskwą, jak on sobie wyobraża. Po czym jego zdziwione pytanie — co te pytyjskie słowa mają oznaczać — skontratakowałem pytaniem, czy wie na przykład, jak długo ta pogardzana pluskwa żyje?

Genio — w widoczny sposób zaskoczony — zaryzykował hipotezę, że może sześć tygodni? Zaprzeczyłem. No i rozpętała się licytacja w górę i w dół. Marianna, mająca skłonności do pesymizmu, dawała sześć dni, ktoś inny, jakiś entuzjasta — sześć miesięcy. Gdy oznajmiłem skromnie, lecz pewnie i z odcieniem uzasadnionej satysfakcji, że sześć... lat, nie uwierzono mi.

— Jak to, pluskwa? Sześć lat? Ta zwykła pluskwa?

— Tak, ta najzwyczajniejsza pluskwa, owad bezskrzydły, pasożytny, karmiący się krwią człowieka.

Zapanowało milczenie pełne niezadowolenia. Wreszcie zawiedziony entuzjasta szepnął: „Jak to? Pluskwa aż sześć lat, a człowiek tylko jakiegoś głupie sześćdziesiąt lat?”

Uczułem gwałtowny przypływ chęci imponowania, byłem młody. No cóż — rzekłem — niech to pana nie dziwi, zwierzęta w ogóle żyją dłużej lub proporcjonalnie dłużej niż my, korona stworzenia. Ropucha żyje blisko 40 lat, a taki powiedzmy, Aleksander Wielki, który podbił Turcję i Ilirję, Persję i Tyr, Egipt i północne Indie — tylko 33 lata. Cóż życie tego przesławnego męża (a ściślej — długość życia) znaczy w porównaniu do długowieczności chociażby dzikiej gęsi, dożywającej normalnie nieprawdopodobnego wieku 80 lat?

Zacząłem, zadawać pytania moim rozmówcom.

— A wiecie, ile żyje cyprys meksykański?

To przrzucenie się z królestwa fauny w królestwo flory zaznaczone zostało katastrofalną serią pomyłek, którą zakończyłem oznajmieniem, że... 10 000 lat, tak, dziesięć tysięcy lat!

Wytrzymawszy efektowną pauzę dorzuciłem: — To nie jest rekord, pewien australijski kuzyn sagowców żyje 15 000 lat!

Tak, my, ludzie, możemy żywić uzasadnioną pretensję do natury za zbyt niedbałe rozwiązanie problemu funkcjonowania naszych ciał.

Gdyby udało się życie człowieka przedłużyć, to społeczne konsekwencje byłyby tak olbrzymie, że doprawdy trudno o przesadę w superlatywach. Człowiek współczesny zaczyna uczyć się mając lat siedem, kształci się na fachowca teoretycznie i praktycznie około dwudziestu lat, nabiera rutyny i dogłębnej znajomości po drugich dziesięciu czy nawet dwudziestu latach. Rezultat? Ano, staje się pełnowartościowy społecznie koło czterdziestki lub po niej, czyli akurat w tym zwrotnym momencie żywota, gdy siły witalne zaczynają go opuszczać, zdrowie nie dopisywać, energia wygasa, a grób staje bliżej niż warsztat pracy.

Oto jaskrawy nonsens sytuacji biologicznej ludzkości. Trzydzieści do czterdziestu lat zbierania i... ile lat siania? To musi być zmienione i będzie zmienione.

Człowiek może żyć co najmniej sto pięćdziesiąt lat, a jeśli osiągniemy tę granicę, otworzymy nową erę, przerastającą wszystko, co możemy pomyśleć i zgadnąć, zamaryć i przyśnić sobie.

O tym owego fatalistycznego wieczora rozprawialiśmy a ja o tym samym, jeszcze myślałem, gdy wyszedłem, gdy wróciłem do swego pokoiku na poddaszu, gdy następnego dnia jechałem do pracowni — a byłem wtedy asystentem, jak pan teraz u mnie, panie Dominiku, gdy... no i już o niczym innym nie myślałem aż do tej chwili. Rozumiecie, pierwsze to są minuty po wielu latach, gdy owa obsesja, boć inaczej nazwać nie mogę, odpadła ode mnie.

Wyciągnął znów rękę.

— O jestem wolny, nareszcie wolny.

Zapanowała cisza na kilka chwil, po czym dorzucił nieco zdziwiony:

— Lecz, cóż za fantastyczna kolej losu, w tej samej chwili inna obsesja wtłacza mi się w mózg: kto ma realizować mój wynalazek? Co stanie się z ludzkością? Co mam zrobić? Czy

jestem odpowiedzialny i za co? Za to, co zrobiłem, czy za to, co inni zrobią z tego, co ja uczyniłem? — Pokręcił głową powoli, lecz z jakimś niezwykłym znaczeniem.

Nagle rozległ się donośny głos dzwonka, brutalnie przerywając ów szept.

Było to tak niespodziewane, że wszyscy poruszyli się w widoczny sposób.

— Cóż to — zastanowiła się pani Topolska — kto to może być?

Podniosła się i wyszła, by otworzyć nie przeczuwanemu przybyszowi. Oni zaś pozostali w oczekiwaniu na swych miejscach Trwało to dość długo i w niewytłumaczony sposób na gabinet zaczął opadać, jak wielka sieć rybacka, niepokój. Ujrzeni nareszcie panią domu i kogoś za nią. Był to sierżant Kowalik.

Pani Topolska i asystent nie znali tego zwalistego i skalistego mężczyzny w mundurze, ale profesor znał już, widział go owego wieczora w willi starego Pogonowskiego, kiedy to zdemaskowano Tragę. Zbladł mimo woli, ale opanował się, spytał rzekomo spokojnie.

— Czym mogę panu służyć.

— Z polecenia pana prokuratora Lorka proszę, by pan udał się ze mną.

Profesor poruszył gwałtownie wargami. Upłynęło sporo czasu, nim rzucił drugie pytanie:

— W jakim celu?

— Tego nie mogę powiedzieć.

— Dokąd?

— Również nie mogę powiedzieć.

— A więc cóż to, jestem aresztowany? — Uniósł się nieco na fotelu, opierając się rękami i zawisł w oczekiwaniu odpowiedzi.

— Nie, na pewno nie, panie profesorze... — sierżant wytrąbił spokojnie swym basem, po czym ociągał się chwilę i dorzucił: — w każdym razie teraz nie o to chodzi, ale przepraszam, nic nie mogę powiedzieć.

Topolski zacisnął usta, zmarszczył czoło, powstał całkiem, wyprostował się, zabębnił palcami w powierzchnię stołu.

— Czy mogę nieco odłożyć tę... tę wycieczkę, by dokończyć i zapisać mój dzisiejszy eksperyment?

— Niestety, panie profesorze: rozkaz mam wyraźny, idziemy natychmiast i bez dalszych wyjaśnień.

— No to wobec tego ruszajmy.

Profesor zdecydował się i ciągle zaciskając wargi, zmierzał do przedpokoju.

Zatrzymał się jeszcze i spytał:

— Która godzina?

Asystent poskoczył do dużego zegara, stojącego w rogu. Była godzina siódma minut pięćdziesiąt.

Poniedziałek. Wieczór.

## IV

### UKRADNIJ!

W pewnej modnej warszawskiej restauracji, pretensjonalnie urządzonej przez ambitnego architekta, który chciał przypuszczalnie swą sztuką wyrazić: patrzcie, co ja potrafię i na ile mnie stać, w tej więc restauracji panował wzniosły szmer ludzi zadowolonych, ludzi jedzących, ludzi pokazujących się, celebrytów, a także i ludzi podnieconych nieco ogólną atmosferą, znacznie więcej — alkoholem.

Gwar był rozkoszny, a kelnerzy uwijali się mniej lub więcej zwinnie, roznosząc na lśniących tacach zabite zwierzęta. Śmierć ich zatajono łagodnie i z taktem za pomocą sztuki kulinarnej, kolorowych sosów i wymyślnych a sztucznych form geometrycznych; zresztą sami konsumujący dary boże byli na tyle dyskretni, że zapominali łatwo o tym drobiazgu. Trudno: *C'est la vie*, jak to się pięknie mówi, czyli — to jest życie! Życie jednych jest śmiecią drugich; aby trwało — zwłoki muszą krążyć.

Życie istotnie wrzało tu nie za mocno i nie za słabo, w sam raz; nie jak wulkan, ale — powiedzmy — jak ciepławy gejzer. Co chwila wybuchały fontanny różnogatunkowego śmiechu i brzęczały cieniutko kieliszki błyszczące czerwienią lub przezroczystością wody... lecz — wody życia. Albowiem *aqua vitae*, czyli krócej i ordynarniej — wódka, królowała tu łaskawie swym wdzięcznym poddanym i niewolnikom.

— Czy dolać?

— Proooszę bardzo — dziękował niepewny bas.

Kelner odwrócił się do poci pięknej.

— Może jeszcze nóżka albo skrzydełko? A może mózdzek, jeszcze kawałeczek wątróbki lub nerczki?

— Proszę — zgadzał się sopran, wymykający się z twarzyczki czerwonej i z lekka spoczonej z wysiłku obfitego jedzenia.

I natychmiast owe części ciała, przeniesione biegłymi palcami, kładły się na dnie talerza jak do białej trumny.

— Wódeczka również?

— Nooo... może pół... dziękuję... już, już.

Orkiestra grała uprzyjemniając w kulturalny i subtelny sposób realizowanie żelaznej zasady spożywania i picia. Skrzypek, indywiduum wyleńnię, dobrze po pięćdziesiątce i z wystającym, okrągłym brzuchem, i chroniczną niestrawnością, śpiewał na swym instrumencie, to znaczy za pomocą końskiego ogona zamienionego w smyczek i baranich kiszek zamienionych w strunę. W gruncie rzeczy znudzony był śmiertelnie i sobą, i tym codziennym rzępolem, lecz uśmiechał się i pokazywał rutynowanymi, automatycznymi geścikami, jak mu przyjemnie i błogo.

Nad wszystkim unosiła się ciężka, mdła, stojąca fala wyziewów kuchni, tytoniu i wódki. Sala była niestety źle wentylowana.

Przy bocznym stoliku, zręcznie odseparowanym od głównego nurtu życia, biesiadowały trzy osoby: dwóch mężczyzn i kobieta. Pan profesor Lothar ze swą drugą żoną oraz, któż by pomyślał, asystent Barchan, ten sam, który wczoraj wyraził swe ogromne niezadowolenie, że mu psują niedzielę wzywaniem na jakieś sekcje (choćby nawet trupa byłego rektora, to co?), energicznym trzaśnięciem drzwiami frontowymi Zakładu Medycyny Sądowej. Bawili się dobrze, co stanowiło niechybną oznakę, że sporo już wypili.

Lecz poczekajcie z potępieniem: profesorowie, nawet jeśli wzmacniają swe nadwątlone samopoczucie w ten tak gminny — i powszechny — sposób, mimo wszystko pozostają profesorami; jeśli nawet nie zawsze, to zazwyczaj, a nie należy od życia spodziewać się zbyt wiele.

Otóż kelner, który sam siebie zaliczał — i nie bez silnych podstaw — do umysłowości wybitnej i bezsprzecznie zmarnowanej, od dłuższego czasu podpierał dyskretnie cienki filarek tłustymi plecami, nateżając swe ogromne i mięsiste organa słuchu.

Rzeczywiście warto było. Profesor Lothar miał mocną głowę i uczciwy oraz pracowity trening w picu, zatem mówił logicznie, jasno, spokojnie — mimo siedmiu kolejek, jedynie z większym niż zazwyczaj ferworem i wzmocnioną gestykulacją.

— Otóż widzicie: zginał, wpadł do szczeliny lodowca...

— Kto? — przerwała druga małżonka, stawiając opróżniony kieliszek na śnieżną serwetę.

— ...nie mógł się widocznie wydostać i zamarzł pod stopą lodowca...

Kto? — pomyślał kelner wracający ochotnie na swe miejsce pod filarek.

— ...stało się to piętnaście tysięcy lat temu; znalazła go niedawno ekspedycja naukowa. Był jak żywy. Kucharz wyprawy szykował się już do wycięcia mu dwumetrowej polędwicy, bo krucho było z zapasami...

— Komu? na miłość boską — zaniepokoiła się dama.

— ...Złotko, słuchaj uważnie: mówię ciągle o tym mamucie.

— Nie słyszałam.

— Aha — pomyślał kelner.

— Powtarzam: zginął piętnaście tysięcy lat temu! Wpadł do szczeliny, nie mógł się widocznie wydostać i tak wytrwał w charakterze mimowolnej konserwy mięsnej do naszych czasów. Jest to jednak sensacja nie tak znów wielka, zważywszy, iż dość dawno temu wydobyto, w podobnych okolicznościach, całego mamuta. Ciekawsze, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby przypuścić, iż pewnego dnia znajdziemy człowieka sprzed piętnastu tysięcy lat. Człowiek prawdopodobnie nie wpadał tak łatwo w zdradliwe szczeliny jak mamut i być może łatwiej się z nich wydobywał, lecz nie ulega wątpliwości, że musiało się to zdarzać. Czekajmy cierpliwie, a ujrzymy na własne oczy prawdziwego człowieka sprzed potopu. Nic również nie stoi na przeszkodzie, by była to istota sprzed dwudziestu czy pięćdziesięciu tysięcy lat. Lód i wnętrze ziemi okazały się znakomitymi pomocnikami profesorów.

Muszę przyznać, że gdy wyobraziłem sobie na sekundę, jak się pochylam nad uspioną snem wiecznym twarzą człowieka, będącego nawet — być może — moim pra... pra... pra... pra... dziadkiem, dlaczego nie, przypadki, jak się to mówi, chodzą po ludziach, to zrobiło mi się z wrażenia zimno. Tak zimno, że omal sam nie zamarłem.

— No, to na zdrowie — zaproponował Barchan.

— Na zdrowie — podniosły się kieliszki i głowy odchyliły się wprawnie i jednocześnie do tyłu.

W tym miejscu wystąpiła aktywnie kobieta, krzywiąca się właśnie acz z zachowaniem wdzięku i łagodząca ukrop w ustach kawałkiem bułki.

— Czy mamut ładnie wyglądał?

— Ładnie — odrzekł przytomnie na to bądź co bądź zaskakujące pytanie.

— A czy gdyby to była zamrożona taka przedhistoryczna kobieta, to czy nie byłoby widać, że ma 15 000 lat?

— Absolutnie nie! Tylko tyle, ile miała w chwili śmierci. Zamrożenie hamuje procesy biologiczne.

— A czy nauka nie mogłaby wymyślić takiej jakiejś metody, żeby troszkę zamrażać, a troszkę nie, żeby można żyć i trochę wolniej się starzeć? Ty jesteś profesorem, powinieneś wszystko wiedzieć.

— Na razie stanowczo nie.

Lotharowa westchnęła i wyciągnęła z torebki olbrzymie lustro.

Kończył tak:

— Fantazja szeptala mi do ucha: Ach, gdyby udało się zahamować procesy w mózgu, zachodzące nieodwracalnie w ciągu kilku minut po ustaniu krążenia krwi, może w przyszłości powstałyby „zamrażalnie ludzi”. Przychodzi oto człowiek do takiego przedsięwzięcia i mówi: panowie, kiepskie mam teraz życie, kocham się nieszczęśliwie w kobiecie, która jutro wychodzi za mąż za mojego osobistego wroga, proszę zamrozić mnie na lat pięćdziesiąt.

Wypuszczają mu krew i konserwują w buteleczce. Jego samego zamrażają w pięknej bryle lodu i wsuwają do szuflady Nr 31875, na której przyczepiają karteczkę: „Stanisław Lothar, zamrożony 29 lipca 1952 roku; odmrozić 30 lipca 2002 roku”.

A po pięćdziesięciu latach otwierają niszę lodowych katakumbów, wstrzykują z powrotem krew, mały masażyk i człowiek wraca do życia. Ukochana jest już zwiędłą staruszką, osobisty wróg — nieszczęśliwym, kulawym i zgorzkniałym mężem, a Urząd Skarbowy zapo-

mniał o moich podatkach. Ja zaś nadal piękny i młody, nie postarzały, pełen nieopisanego wigoru, po tak długim odpoczynku, zaczynam dalszą ratę życia.

Asystent Barchan, przysłuchujący się od pewnego czasu ze wzrastającą uwagą, odsunął od siebie kieliszek i zapomniał o gastronomicznej naturze przybytku: ściągnął twarz w wyraz ostry i widać było ukazujący się na niej coraz uporczywiej znak zapytania. Gdy Lothar sięgnął po karafkę z mokrym władcą dusz ludzkich, zaskoczyło go osobliwe pytanie.

— Skąd pan to wie?

— Co — zdziwił się szczerze — o mamucie?

— Nie, o zamrażaniu ludzi!

Profesor zatrzymał się wpół drogi i z zastanowieniem obejrzał twarz Barchana.

— Przecież ja to opowiadałem w formie fantazji — wyjaśnił, przekrzywiając nieznacznie głowę.

— Ale ja odniosłem wrażenie, że pan profesor opowiadał tak, jakby to nie tylko sama fantazja szeptała do ucha.

— Co mam rozumieć przez to?

— Dziś rozmawiałem — wyjaśniał asystent — z redaktorem Guranem, wzywał mnie też prokurator Lorek, wiecie państwo — w związku z Tragą i morderstwem głowy Hugona...

Lotharowie spojrzeli na siebie. Zabawa skończyła się. Nieszczęsne dziedzictwo Tragi i wczorajsze historie w Zakładzie wypelzły na kształt hydry o licznych trujących językach.

— ...dowiedziałem się o tej, jak to mówił Guran, „sali uciekającej śmierci”, gdzie doktor Traga robił eksperymenty z zamrażaniem ludzi. Uderzyło mnie, że pan profesor mówi o tym samym i w tym samym duchu.

Małżonkowie znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wszyscy byli pełni podejrzliwości, a każde słowo stawało się od wczoraj aluzją.

Lothar wreszcie zaczął rozlewać następną kolejkę, a Barchan dokończył:

— Tak jakby pan profesor wiedział i znał.

W tej chwili rozległ się śmiech: śmiała się Lotharowa, chichotał Lothar; jest to dźwięk zaraźliwy, więc i Barchan, zmożony niepojętym hipnotyzmem owych głośnych konwulsji, zawtórował im.

— Nie, drogi panie — wyjaśniała małżonka — niech się pan nie gniewa, to przecież nie z pana śmiejemy się razem, prawda? z sytuacji; trzeba będzie nam jakoś ustosunkować się do podobnych okoliczności.

— A ja dodam — wtrącił profesor — że przecież sprawa długowieczności, sprawa zahamowania procesów organicznych przez zamrażanie jest znana i dostępna wszystkim, jaki bądź nawet uczeń gimnazjalny może o niej rozprawiać; to żadne sekrety; o! zrobić, zrealizować... inna sprawa.

— No, na zdrowie.

Upłynęło jeszcze pół godziny, asystent spojrzawszy na zegarek, dyskretnie zaklął i począł się pośpiesznie żegnać. Odprowadzony do szatni ukłonem wyleniałego muzyka, potoczył się żwawo do lustra i utopiwszy głębokie i miłosne spojrzenie w swym odbiciu, pogładził policzki wierzchem dłoni, jakby sprawdzając stan ich zalesienia. Niezadługo, odczuwając w żołądku ciężar niedawnych przyjemności, śpieszył w kierunku placu Trzech Krzyży do autobusu.

A tymczasem pani profesorowa mówiła:

— Jesteś naiwny! Jakżeż dziś można przyznawać się do współpracy? Ściągniesz na siebie i na mnie nieszczęście!

Lothar wypił jeszcze jedną kolejkę, odsunął zwiędłe kwiaty na sam brzeg stolika i jakby nie słysząc, rozglądał się po sali.

— Na szczęście roześmiałam się od razu i ty miałeś tyle przytomności, żeby mi zawtórować; zdaje się, że niebezpieczeństwo zażegnane.

Lothar nadal, z drewnianą twarzą, milczał; poszukiwał właśnie wykałaczkę, rujnując przy tym porządek na stole; trącony kieliszek przewrócił się, zalewając serwetę resztką żrącego płynu.

— Słuchajże mnie, Stasiu, to są sprawy poważne! — Potrząsnęła go poprzez stół za ramię. — Mówię do ciebie.

Stasio nadał usta, wycelował źrenice w niebrzydka małżonkę i burknął:

— Z tym niebezpieczeństwem to idiotyzm!

— Jak to?

— Mówię ci — idiotyzm.

— Jak to?

— A cóż to za współpraca! Ty nie znałaś Tragi, to była persona, no, no... szczęście dla niego, że zginął. On by kogo dopuścił do współpracy? Phi! Nigdy! On chciał jedynie wykozystywać, rozumiesz: wy-ko-rzy-sty-wać człowieka! Co ty myślisz, że ja jestem taki głupi? I ja mam swoje wyniki, dorobek naukowy. Miał mnie za chłystka, chciał wyrwać moje wiadomości o wpływie barwika żółtawego i pomarańczowego na starzenie się komórki.

Spadłem nisko, stałem się pijakiem, życie mi się pokręciło... nie — nie pokręciło się, to ona, ona mi je pokręciła — zacisnął pięść jakby grożąc duchowi pierwszej żony — przestałem pracować, szkoda... strasznie żałuję.

Przerwał. Muzyka brzęczała i ludzie wkoło również.

— Wiesz, odkryłem rolę tych barwników, odgadłem, dlaczego tyle wody gromadzi się w starzejących się komórkach, wiesz — ja doprawdy mogłem wpaść na generalne rozwiązanie, ja, a nie on, ja to mogłem uczynić... Ale on był zawzięty na pracę i na zwycięstwo, to nie był człowiek, lecz kamień, miał talent i szczęście. Mnie tego ostatniego zabrakło.

Opuścił głowę nisko nad pobrudzoną serwetą — pobjawiskiem z resztkami pobitych zwierząt

— Byłem tak blisko. Rozumiesz? Sława minęła mnie o krok, o jeden jedyny krok. Traga orientował się, och jak krążył koło mnie, jak próbował... wtedy właśnie zaproponował mi współpracę. — Lothar roześmiał się ironicznie. — Hm, tak jak to on rozumiał „współpracę”. Ale nie byłem naiwny, nie dowiedział się ode mnie nic.

We wspominkach Lothara nastąpiła efektowna pauza, potem wrócił do jakiejś nurtującej go idei.

— Kto wie, co by było, gdyby nie ona; ona zniszczyła mnie.

Nalał znów kieliszek, podniósł go i powtórzył z uporem podpitego:

— Sława minęła mnie o krok.

— Stasiu, ty musisz być sławny, dogoń ich; Tragi już nie ma, został tylko Topolski i Byroń; ty mógłbyś jeszcze ich dogonić.

Atakowała go słowami i wzrokiem.

On kręcił przecząco głową.

— Stasiu, musisz być sławny; zawsze marzyłam o tobie jako o sławnym uczonym. A ja przy twoim boku. Przypomnij sobie, jak w zeszłym tygodniu rozdawano uroczyste nagrody państwowe. Sala była przepiękna, kwiaty, mnóstwo kwiatów; minister z orderami w pudełku czekał na podium. Wszyscy ich po tym ściskali, całowali, każdy podbiegał, miał coś laureatom do powiedzenia, rozumiesz — każdy pragnął podkreślić, że zna, że wita się ze sławnym uczonym. Och, takie widoki gryzą serce tego, który mógłby teraz stać tam w świetle lamp i reflektorów i w chwale, a sterczy na uboczu i nikt do niego nie podchodzi, i nikt nań nie patrzy, a zazdrość kęsa mu serce.

Stasiu! To ty wtedy stałeś z boku, a ja przy tobie. I mnie gryzła wściekłość i zazdrość. Przypomnij sobie, jak nazwiska innych twoich kolegów pojawiają się cytowane w podręcznikach i pismach, ciągle... rozumiesz, a o tobie głucho. Możesz być sławny, musisz być sławny! — Zahamowała na sekundę namiętny potok zdań i niemal krzyknęła: — Dogoń ich.



Lothar spojrział jej prosto w oczy i rzekł smutnie:

— Nigdy już ich nie dogonię.

Znów chwyciła go, przez stół, za rękę.

— Musisz!

— Nie znasz się na tym — odparł niechętnie — to jest nieprawdopodobne, nauka w miejscu nie stoi; a oni dwaj pędzą jak szatany. Nie, moja kochana, nie łudź się, nie dogonię. Wiesz zresztą, że usiłuję to zrobić, ale...

— To ukradnij papiery!

Słowa padły twardo, a niewinnie zarazem, jak to jedynie kobiety żądne zaszczytów i błyszczenia, a bez skrupułów potrafią połączyć. Usta Lothara ścięły się, po czym nieznacznie zadrgały, znów znieruchomiały w zacięciu.

Cofnął rękę, oparł obie dłonie o stół i obserwował piękną twarz swojej żony. Swojej drugiej żony!

— Czy ci tamto nie wystarczy — szepnął — czy nie dość już upadłem?

Nie spuszczała oczu, była spokojna i świadoma. Rzekła:

— Stach, pamiętaj, że jestem twoją podporą i twoją siłą, ty masz wiedzę, ja mam charakter, ty potrafisz — ja chcę.

Lothar w milczeniu patrzył.

— Nie bądź głupi... — nalegała.

Urwała naraz.

Kelner, którego szef sali odwołał był przed niedawnym czasem, wracał w układowych podskokach. Skrzypek oglądał go znudzonymi oczami.

— Przepraszam państwa, ktoś czeka w szatni i chciałby się widzieć z panem.

— Ze mną? — zdumiał się profesor.

— Tak, z szanownym panem.

— Ależ nikt nie wie, gdzie jestem, nikomu nie zwierzałem się, gdzie idę na kolację! — Czy na pewno mnie?

— Tak, powiedział, że to profesor Lothar, i pokazał mi stolik, bo ja nie miałem przyjemności znać pana profesora z nazwiska.

— A kto to jest, jak wygląda — indagowała z kolei żona profesora.

Kelner zniżył się jeszcze i szepnął:

— Milicja!

Pod wpływem wiadomości oczy Lothara poleciały w bok i w dół.

— Milicja?

— Tak, jakiś sierżant, ale to raczej góra niż sierżant — dodał z uznaniem.

— Czego chce?

— Nie wiem, pan profesor musi osobiście... — Odszedł.

Lothar wstał, pociągnął nosem i ruszył za nim.

Powiedziała, goniąc go spokojną przestroją:

— Nie bądź słaby.

— A to pan, sierżancie — przywitał Kowalika — jakżeż mnie pan tu znalazł?

— Ano, panie profesorze, po tym wszystkim, to tak... musimy wiedzieć, gdzie który z panów przebywa. — Przybrał zaambarasowaną minę.

— No, no — uśmiechnął się profesor — a czym mogę panu służyć?

— Z rozkazu prokuratora Lorka proszę o pójście ze mną.

— Gdzie? — Lothar zeszywniał jak naciągana struna.

— Nie mogę powiedzieć.

— W jakim charakterze?

— O nie, nie jako aresztowany.

Lothar pociągnął nosem i złągodził postawę.

— A zatem pożegnam żonę i służę panu.  
Lecz Lotharowa stała już uśmiechnięta w pobliżu.  
— Słyszałaś, kochanie? Wracaj więc sama do domu, a ja pewnie niedługo będę z powrotem. — Zwrócił się do sierżanta: — Więc?  
— Samochód stoi przed restauracją, panie profesorze; zresztą tam jest już profesor Topolski.  
— Co?  
— Tak, profesor Topolski.  
— No, to się nie będę nudził.  
Lothar ucałował żonę i znikł w drzwiach wraz z Kowalikiem. Spojrzała na zegarek: była godzina siódma minut pięćdziesiąt dziewięć.  
Poniedziałek. Wieczór.

\*

Uniósł na wysokość oczu flakonik i ostrożnie puszczał krople lekarstwa na dno szklanki. Liczył półgłosem: ...trzyście, czterście, pięćście. Odjął go i postawił na stole, po czym wypił zawartość, a lekki grymas wykrzywił na moment rysy twarzy.

— Świństwo — burknął.

Podumał nieco, stojąc, obejrzał z bliska paznokcie i rzucił półgłosem retoryczne pytanie: — Jak to się dzieje, że choroba wewnętrzna zmienia strukturę i wygląd paznokci? Doświadczeni lekarze znają ten związek i od razu, nim pacjent otworzy usta, stawiają mu, ku jego wielkiemu podziwowi, prawidłową diagnozę. A jednak... — cmoknął w zastanowieniu, zamilkł, postał kilka sekund, po czym machnąwszy znacząco ręką, włożył marynarkę, bo ze zbliżającym się wieczorem odczuwał chłód, i wrócił do pracy. Pytanie było retoryczne, albowiem w pokoju nie było nikogo poza nim.

Człowiek ów pochylił zmęczone, blade oblicze nad kartkami zasianymi drobnymi maczkami liter, cyfr i tych szczególnych równań, stanowiących abrakadabrę nowoczesnych zgłębiaczy sekretów przyrody.

Wysoka lampa z brązowym abażurem, stojąca na biurku, rzucała krąg światła na tę głowę, kartki i na kilka otwartych książek, okupujących całe biurko, a nawet krzesło obok niego. Zaglądał do nich, sprawdzał coś, mruzczał:

— To nie do wiary... czyżby szybkość światła i tu miała coś do gadania... stała elektromagnetyczna... hm... hm... — Przewrócił kilka stron w grubym tomisku z lewej strony, leżącym na innej książce, także rozpostartej. — Aha...  $R$  równa się dwa  $\pi$  kwadrat razy  $M$  razy  $e$  do potęgi czwartej podzielone przez... hm... hm... muszę zająć się trochę widmem atomowym... — Znów pisał, znów śleczył nad różnymi kartkami i stronicami, błyszczącymi w świetle elektrycznym; stalówka skrzekliwie szumiała, posuwając się prędkimi i małymi ruchami po chropawym papierze.

Podniósł głowę i zasłuchał się w ciszy i w swych myślach. Sekundy upływały, potem minuty, wreszcie szepnął:

— Wszystko jest powiązane, wszystko, a szybkość światła — jak widzę — wpływa nie tylko na materię martwą, na gatunek naszego wszechświata, co wynika z wzoru Einsteina  $E = mc^2$ , ale i na materię żywą, na jej cechy... — Potrząsał nieznacznie głową. — Dziwne... dziwne... powoli dochodzimy do jądra zagadnień bytu. — Znów słuchał, ale jak widać było z ruchu ręki, przyłożonej do serca, tym razem badał jego stan i funkcjonowanie.

Zniechęcony odłożył pióro, odsunął notatnik, opadł głębiej w fotel i zapadł w bezruch. Zegar tykał miarowo, światło jarzyło się obojętnie.

— Należy mi odpocząć — zagadał znów do siebie, zwyczajem samotników.

Wyciągnął rękę ponad głowę nie ruszając się z miejsca i zdjął z półki tom pięknie oprawiony w grube szare płótno z czerwonymi skórzanymi grzbietami. Potrzymał go nieco, otwo-

rzył, po czym zapuścił wzrok w czarną kolumnę.

I oto rozległy się w tym pokoju, będącym świątynią wiedzy, podziw wzbudzające słowa, wyłaniały się nowe dekoracje, na scenę wystąpił inny aktor: poezja.

Rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Przerwał i położywszy rozłożoną książkę grzbietem do góry, aby się stronicie nie przekręciły, zastanowił się i jakby zasłuchał w echa kołatania. Poszedł otworzyć.

— A, to pan, panie Barchan, bardzo proszę do środka.

— Dzień dobry, panie profesorze.

— Dobry wieczór, właściwie, dobry wieczór.

— Miałem wpaść tu po opinię pana profesora o tej książce, co to mamy ją tłumaczyć, nie wiem, czy pan pamięta.

— Świetnie pamiętam, proszę do środka, niech się pan rozbierze.

Asystent zdjął palto, poprawił fryzurę przed okrągłym lustrem, zdążył ze smutkiem pomyśleć, że zjadł stanowczo za dużo, i ruszył kierowany uprzejmym gestem profesora do pokoju.

— Widzę, a właściwie czuję, że pan trochę wypił, panie asystencie — zaczął rozmowę Byroń.

Barchan poczerwieniał aż do czubka czoła i zaczął nerwowo zacierać ręce, stając natchmiasz tam, gdzie odkrywcze słowa zaskoczyły go.

— Tak, tak, rzeczywiście, troszeczkę wypiliśmy; byłem na kolacji z profesorem Lotharem i jego małżonką.

— Aha — mruknął domyślnie gospodarz i posadził gościa na krześle. Poszperał w papierach i wyciągnawszy tom w kolorowej papierowej obwolucie, wręczył go asystentowi. — W środku znajdzie pan moją opinię; jest już przepisana na maszynie. Jutro odda ją pan komisji wydawniczej, prawda?

— Tak jest, panie profesorze. — Wziął odeń książkę. W tym momencie spostrzegł tę drugą rozłożoną na stole. Zdziwił się i krzyknął niemal:

— Cóż to, poezje?

— A tak — odparł zaskoczony odrobinę — czy to dziwi pana?

— Nnnooo... nie, właściwie nie bardzo... eee, co tu gadać, przyznam się, ten mój wykrzyknik był przecież impulsywny; przepraszam za tę nieogłędność.

— Broń Boże, nie szkodzi, przecież to nie wstyd.

— Poezja? Życie? W życiu wszystko brzmi jednak inaczej: życie ma mało wspólnego z poezją. Działanie to jedno, a uczucia to drugie. Czemu ludzie są tak krzykliwi w gestach i słowach? Czemu tyle hałasu? Prawdziwe działanie wymaga milczenia i też prawdziwy człowiek jest jak grób: niemy i zimny. Nie znoszę istot histerycznych, odstręczają mnie tandetnością i połowicznością swych dzieł. Uczuciowość, impulsywność to tyle samo co słabość i niedojrzałość.

Raz jeszcze spojrzął na czarne szeregi i mruknął:

— Wolę poezję nieemocjonalną... intelektualną.

Złożył ręce na piersiach i pogrążył się w rozważaniach. Gdyby nie jego czarne, pałające jakimś osobliwym blaskiem oczy, można by przypuszczać, że śpi. Ludzie tak głęboko zapadający w otchłań swojej jaźni nie są przeciętnymi śmiertelnikami, zwłaszcza jeśli na dodatek mają mózgi przepełnione wiedzą: mogą być pionierami, mogą też być... niebezpieczni. W ten czy inny sposób. W ogóle uczeni są niebezpieczni, bo są potężni.

Nagle opuścił ręce i wydał głośne orzeczenie czy wyrok na to, co myślał:

— Człowiek gwałtowny nie bardzo wie, czego chce, a gotów jest nawet diabła z piekła wyciągnąć za ogon byleby osiągnąć to, co dwoi mu się przed oczami. Tymczasem są znacznie lepsze metody aktywności. Mistrzostwo walki, a życie przecież to walka — zwrócił się wyjątnie do gościa — ma również swoją teorię. Walka ma swoją własną logikę i prawa. Jest

na naszym uniwersytecie dobry specjalista tego zagadnienia; wie pan zapewne, o kim myślę, o profesorze filozofii Kotarbie; zatem są prawidła, a dalekie one od krzykliwości. Czy zastanawiał się pan na przykład kiedy nad prawdziwą rolą podstępu, zaskoczenia i...

Barchan przerwał profesorowi dyskretnym śmiechem.

— Hi, hi, hi... Oh, nie, nie zastanawiałem się nigdy, nie interesują mnie te zagadnienia, nie mam wszechstronności pana profesora, ale właśnie przypomniały mi się opowiadania o tym, jak to pan zdeorganizował psychicznie Tragę. To było chytrze pomyślane, sędzę, że zgodnie z ową teoretyczną rolą podstępu i zaskoczenia. Doktor Prokasz twierdzi w rozmowach, że bez pana nie udałoby mu się w żaden sposób rozkonspirować doktora Tragi.

— Tak mówi?

— Tak.

Asystent zastanowił się nad czymś i powiedział:

— Właśnie dopiero co profesor Lothar opowiadał mi o zamrażaniu żywych ludzi, to znaczy o tym, co eksperymentował w swym laboratorium Traga, a twierdzi, że nie miał z nim nic wspólnego, że to przypadek.

Byroń zmarszczył brwi i zatopił gorejące oczy w mówiącego.

— Lothar, mówi pan? Hm... no tak... wszyscy dziś kręcą się wokół tego ognia... jak ómy. Proszę pana, rozwiązanie kwestii długowieczności jest sprawą o doniosłości światowej... ogólnoludzkiej.

Energiczne stukanie do drzwi przerwało mu w pół zdania. Obrócił głowę, słuchał przez krótki czas, przeprosił gościa, potem zgarnął swe notatki i nakrywszy je książką, poszedł otworzyć. Ujrzał plutonowego Ogórka.

— Ach, pan?

— Tak jest, panie profesorze, to ja.

— No słucham?

— To raczej nie o słuchanie idzie, a o udanie się ze mną w pewne miejsce z polecenia pana prokuratora Lorka, jest mu pan potrzebny — wyrecytował spokojnie i jednym tchem.

— Ja?

— Tak.

— Czy się pan nie pomylił?

Plutonowy zaśmiał się krótko i nic nie odrzekł.

Nie pytając dalej, profesor włożył marynarkę i płaszcz, wziął do ręki kapelusz i zwróciwszy się do oniemiałego asystenta, powiedział: — Bardzo pana przepraszam, lecz widzi pan — musimy iść. Po czym zwróciwszy się do Ogórka, dodał: — Chodźmy, jestem gotów...

Barchan pośpiesznie pożegnał się i znikł. Oni poszli za nim.

W ten sposób i profesor Byroń został wciągnięty w krąg akcji. Na schodach skontrolował czas. Była godzina siódma minut pięćdziesiąt.

Poniedziałek. Wieczór.

\*

Samochód zawarczał i zatrzymał się niedaleko wieży Św. Anny, na placyku mariensztackim. Milicjant, który wyskoczył pośpiesznie, znikł we wnętrzu kamieniczki i zaraz rozległ się tupot nóg po schodach.

Doktora Prokasz, zagłębionego w problemacie, czy zjeść bułkę na kolację, czy nic nie jeść, stuk do drzwi wstrząsnął jak wystrzał armatni. Nauczony wszakże wypadkami ostatnich dni, nie zastanawiał się już po próżnicy, kto to może być i w ogóle jak to się dzieje, że ktoś do niego puka, lecz przymuszony tym odgłosem podreptał gdzie należy i otworzywszy drzwi, ujrzał plutonowego Ogórka. Plutonowy wszedł i wyprężywszy się na bacność, rzekł:

— Panie doktorze, melduję posłusznie, pan prokurator Lorek prosi.

— Gdzie?

- To tajemnica.
- Ale w jakiej sprawie?
- Ano, tej wczorajszej.
- No to dobrze, już idę.

Chwycił kapelusz i już chciał maszerować, ale na skutek przytomnej interwencji plutonowego zawrócił i wziął płaszcz.

— Mamy samochód na dole — informował Ogórek — jest już w nim profesor Byroń, niedługo będziemy na miejscu.

Za czym i on z kolei spojrzął na zegarek i z zadowoleniem stwierdził, że brak minuty do ósmej.

Poniedziałek. Wieczór.

## V

### WRÓG ATAKUJE

Kobieta popłakiwała spokojnie, bez afektacji, ze zrozumieniem wymogów losu, a jednak nie z rezygnacją. We łzach jej doszukać się można było czegoś przypominającego raczej smutną lirykę niż dynamiczny dramat, ba — coś więcej nawet, bo jakby ukrytą aprobatę przeznaczenia. A aprobata toć przecież więcej niż bierna rezygnacja. Płakać z aprobatą? Intrygujące!

— Ogromnie panią przepraszam — usprawiedliwiał się prokurator Lorek — nie mogłem przypuszczać, że sprawy wezmą taki obrót. — Rozłożył obie ręce szeroko. — Niepotrzebnie pokwapiłem się, ale pani rozumie, człowiek śpieszy się z wiadomościami przyjemnymi, a ociąga się z niewesołymi, no więc... żałuję teraz.

— Proszę nie robić sobie żadnych wyrzutów — mówiła kobieta, wycierając chusteczką kąty oczu — to jasne, kto zresztą mógł przypuścić! — Zawahała się i dodała: — W końcu to wszystko bardzo dziwne, ogromnie dziwne, zapewniam pana; nawet nie wiem, czy potrafię wyrazić z sensem moje przeżycia. Bo na przykład, wtedy — gdy zawiadomił mnie pan, że mąż żyje, ja... ja... pod wpływem tych dalszych szczegółów... nie mogłam się radować, nie udało mi się, a wstyd mi było; teraz zaś... no tak... widzi pan przecież, że płaczę, lecz co to za płacz, pożał się Boże; przynosi mi pan wiadomość, że teraz znów nie żyje, a ja oddycham z ulgą, tak proszę pana — z ulgą. To wszystko jest straszne, nie na mój rozum. Wie pan, to słówko „znów”.

— Najlepiej niech pani zapomni o wszystkim możliwie najprędzej — radził pocziwie Lorek, kiwając głową rozumiejąco i współczująco.

— Tak, zapewne tak się stanie. Nie mogę się jednak powstrzymać przed wyznaniem. Ogromnie bałam się, że go zobaczę, a przecież kochałam go i szczęśliwie ze sobą żyliśmy.

— Nie dziwię się pani. Mieć męża, być przy jego śmierci, żyć ponad rok jako wdowa, znów dowiedzieć się, że ma się męża i tego samego, tylko... jak to wyrazić... ma się tylko jego głowę, to rzeczywiście są doświadczenia niecodzienne.

— Hugon — szepnęła — to przecież straszne.

— A jak właściwie czuła się pani, dowiedziawszy się, że pani mąż... chciałem rzec — głowa pani męża żyje?

— Jak wdowa.

— ??

— No tak, w dalszym ciągu jak wdowa; przecież to straszne, nieludzkie, głowa to nie to samo, co cały człowiek.

— A obecnie gdy i ta głowa nie żyje? Jak to pani określa?

— Ulga, panie prokuratorze, wyzwolenie z koszmaru. Jak ja bym na niego miała patrzeć, jak rozmawiać?... nie... nie... to są obłądne pomysły obłąkanych uczonych. To nie jest życie i to nie był już człowiek.

Łzy na nowo ukazały się w jej oczach, a w sercu Lorka walczyły z sobą sprzeczne uczucia natury prawniczej i moralnej.

— Tak — bąknął — to obrażało zdrowy rozsądek i wprowadzało fantastyczne zamieszanie. No, więc raz jeszcze przepraszam i dziękuję pani za wyjaśnienia.

Gdy wyszła, nacisnął guzik i po chwili zjawił się bardzo wysoki i chudy, pochylony człowiek w potężnych okularach na krogulczym nosie i z włosami uczesanymi sztywno do góry, „na jeża”, metodą nie stosowaną zaiste od półwiecza. Ile miał lat? Trudno określić, był bez wieku: ot mniej więcej między czterdziestką a sześćdziesiątką. Skłonił się w milczeniu.

— Przepraszam — rzucił szybko prokurator — jeszcze zadzwonię — wskazał ręką krzesło — niech pan siada. — Nakręcił numer, zabębnił palcami po teczce z aktami, rzucił okiem na krogulczy nos, wystający teraz z drugiej strony biurka. — Halo, tu mówi Lorek, dobry wieczór, redaktorze.

— Dobry wieczór — przywitał się na odległość Guran — dostałem w południe zawiadomienie, by wieczorem być w domu, no więc jestem, czekam, a teraz słucham.

— Pragnąłbym z panem zamienić kilka słów i pokazać panu coś w pewnym miejscu.

— Świetnie, kiedy?

— Zaraz, drogi redaktorze, zaraz, a dokładniej mówiąc, chciałbym zjawić się u pana przed ósmą.

— Przed ósmą? No to mało mam czasu, bo musiałbym się ubrać; w pidżamie raczej nie wypada jechać, co?

— Na pewno nie — uśmiechnął się Lorek — zatem niech się pan pośpieszy i będzie gotów punktualnie.

— Zawsze jestem niemożliwie punktualny.

— Do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Prokurator położył słuchawkę i zwrócił się do krogulczego nosa:

— Więc?

— Tak jak przypuszczaliśmy, panie prokuratorze.

— Dobrze, a zatem po kolei: Topolski?

— U profesora Topolskiego postumentu nie ma, to oczywiste; gdyby nawet on był sprawcą, to nie schowałby go u siebie w laboratorium. Cieszy się opinią nieposzlakowaną, prowadzi jakieś doświadczenia zasadniczej doniosłości. Jakiegokolwiek podejrzenia o „spółki” z woźnym czy dozorcą z Zakładu Medycyny Sądowej są chyba absurdalne; wykluczam to, jak zresztą i pan to czyni. — Wlepił weń martwe oczy i zreasumował: — Więc chyba nie on.

— Dobrze, teraz Byroń — padło następne pytanie.

— To samo: nie znaleźliśmy postumentu, opinią cieszy się znakomitą, żadnego punktu zaczepienia nie mamy; wyjeżdża za miesiąc na międzynarodowy zjazd z referatem o przyspieszaniu regeneracji tkanek.

— Dobrze, a Lothar?

Krogulczy nos ożywił się, jak też i reszta postaci, co wywołało jakby chrzęst kości całego długiego i chudego ciała.

— Lothar to co innego! Po pierwsze: miał jakieś konszachty z Tragą. Tę sprawę właśnie badamy. Po drugie: przeszłość ma niejasną, bo jakkolwiek nic mu nie dowiedziono, faktem jest, że pierwsza żona zmarła w okolicznościach podejrzanych. Po trzecie: poszukuje jakichś papierów naukowych, jakich i czyich oraz dłaczego, tego nie wiem jeszcze, sprawa jest w toku. — Zatrzymał się i dodał: — Tu może coś tkwić.

Po czwarte: ma ambitną żonę, która w sposób bezwzględny nakłania go do rywalizacji naukowej z Topolskim i Byroniem, a on — przypominam — ma słaby charakter. Po piąte: jest alkoholikiem od czasu dramatu z pierwszą żoną. Czego należy — w nim bardziej dopatrywać się: nieszczęśliwego człowieka czy wykolejeńca, tego dziś jeszcze nie wiem. — Błysnął martwymi oczami poprzez grube szkła i wyjaśnił: — Widzi pan jednak, że szala przechyla się wyraźnie na jego niekorzyść.

— No, dobrze — przerwał prokurator — a postument?

— Nie, nie znaleźliśmy.

— Dobrze, a asystent Barchan?

— Ten przecież wyszedł zaraz po sekcji, to sprawdziłem; nie ma mowy, by widział głowę Hugona lub zaglądał do kostnicy. Jednak zbieram dane i o nim.

— Racja — mruknął Lorek i dodał: — no, a Guran wcale nie był wtedy w Zakładzie?

— Nie, panie prokuratorze; spał długo, późno zjadł śniadanie, a wieczorem miał wizytę Stefana Pogonowskiego.

Właściciel krogulczego nosa chrząścił znacząco kośćmi, a Lorek wodził palcem po policzku. Rzekł:

— Podejrzać musimy wszystkich, rozumie pan, wszystkich, absolutnie wszystkich; może to jednak jakaś szajka, czy ja wiem zresztą co? Niech pan sprawdzi jeszcze mieszkanie Gurana i Prokasza. Dziwię się temu, co teraz mówię, bo to są głupstwa, lecz nie mamy prawa zaniedbać żadnej możliwości.

Krogulczy nos aprobował punkt widzenia głośniejszym chrzęstem piszczeli i mruknął od niechcienia:

— Oczywiście, tak jest, robimy to już zresztą, jutro będziemy w posiadaniu ścisłych informacji.

— A więc proszę dalej prowadzić dochodzenie, widzę wszakże, że jak na razie nie mamy nic konkretnego w ręku, tylko poszlaki przeciw Lotharowi. Prawda?

— Tak.

— Ale co to za historia z papierami?

— Sądzę, panie prokuratorze, że lepiej będzie zastanowić się później, jak zbierzemy coś więcej, ale rzeczywiście, w razie czego... — pokręcił znacząco nosem — w razie czego... tu może znajdziemy nitkę Ariadny.

Prokurator obserwował z podziwem tego pracownika, którego nikt nigdy nie widział z teczką w ręku: on wszystko miał w głowie. Jego pamięć przybrała cechę wprost nadprzyrodzoną. Lorek pamiętał, jak w czasie pewnego procesu człowiek ten, zeznając w charakterze biegłego, znalazł się nagle w ogniu walki z obrońcami oskarżonego. Zniszczył cały ich atak w zarodku, cytując, nie przygotowany, pewną depeszę sprzed sześciu lat: jej tekst — co było mniej ważne — ale także jej datę, miejsce nadania, godzinę przyjęcia, i wreszcie — co zdecydowało — cyfry i znaki poczty. A widział ją tylko raz jeden sześć lat temu! Gdyby Lorek nie słyszał tego na własne uszy, nie uwierzyłby w możliwość fenomenu. Tak, to był pracownik-skarb, perła i primadonna. Gilotyna na wszystkie głowy krętaćkie, mające coś do ukrycia lub coś do skłamania. Skłonił się i wyszedł, a wyglądało tak, jakby każdej sekundy miał się rozpaść na kawałki.

W kilka minut później Lorek pędził samochodem, zastanawiając się nad batalią, którą postanowił niezadługo stoczyć. Zamknął oczy i wywołał w sobie wizję trzech postaci, Byronia, Topolskiego i Lothara; snuły mu się po głowie jak sylwetki sceniczne w niepojętym dramacie. Lecz z uporem migąła mu inna jeszcze sylwetka, wplątana w koło wydarzeń: Leonidas Guran!

Przyczynił się walenie do klęski Tragi, to prawda i nie miał — przynajmniej pozornie — żadnego interesu osobistego, nawet w formie rywalizacji naukowej, w dokonywaniu morderstwa na głowie Hugona... Snuł się jednak milcząco i ten cień, dołączył się wreszcie do tam-

tych i oto cztery już teraz widma uchwyciły się za ręce i rozpoczęły piekielny taniec wokół zagadki.

Otworzył oczy i pomyślał: Pamiętać należy o wszystkich, ale właściwie nad czym zastanawiam się? Skupić trzeba uwagę na Lotharze. Od tego zacznę.

Samochód zatrzymał się przed niewielkim domem, a raczej willą na ulicy Wawelskiej. Tu właśnie mieszkał redaktor Guran zajmując cały parter. Stał już w oknie i zoczywszy prokuratora, zamachał do niego ręką na znak, że jest gotów i idzie. Jakoż nie upłynęło kilkanaście sekund, gdy pojawił się w drzwiach; przebycie skromnego ogródeczka i otworzenie furtki wraz z ulokowaniem się w samochodzie nie zajęło więcej niż kilka sekund, tak że Lorek musiał wyrazić należne uznanie dla jego pośpiechu, jako też i ruchliwości.

Wjeżdżali w ulicę Oczki. Ponura uliczka otworzyła przed nimi swe źle oświetlone wnętrze. Wehikuł podskoczył kilka razy na wyboistej jezdni i stanął przed tym Zakładem, co to w stylu swym wahał się między bogatym dworkiem a ubogim pałacem. Lorek wyskoczył pierwszy i poleciwszy szoferowi, by wrócił po niego najwcześniej za dwie godziny, wszedł do gmachu. Za nim jak cień postępował redaktor. Zegar zaczął gdzieś wybijać leniwym, poważnym basem godzinę ósmą. Bum, buumm, buumm... Lada moment miała się tu rozegrać dziwaczna scena, coś w rodzaju... plagiatu.

I rzeczywiście przedstawienie rozpoczęło się — o ile słowo „przedstawienie” pasuje do tego, co się miało tu dziać — lecz tylko rozpoczęło się, albowiem finał ułożony był przez kogo innego.

Najsamprzód przybyli Byroń z Prokaszem w asyście Inianowłosego Ogórka. Plutony, zgodnie z własną naturą milczał jak mogiła, natomiast profesor i doktor korzystali ze swych języków i sztuki porozumiewania się. W hallu zdjęli płaszcze i powierzyli woźnemu, po czym udali się spokojnie na pierwsze piętro, nie dostrzegając, ma się rozumieć, makabrycznych fotografii, którymi obwieszono były ściany korytarzy, a które to fotografie doprowadzały osoby tu po raz pierwszy przybywające natychmiast do stanu bliskiego znośności plus mdłości duchowe i fizyczne. Zbrodnia jest potwornością nie tylko moralną, estetyczną również, więc i fotografie zbrodni wywołują wstępną.

— Wie pan co — ciągnął doktor Prokasz rozmowę zaczęłą widocznie w samochodzie — a propos Tragi, to przypominam sobie teraz, że jak był u mnie przedwczoraj rano, wspominał o panu.

— O mnie? — zaniepokoił się lekko Byroń. — A cóż on mógł mówić o mnie. Zналиśmy się tylko oficjalnie.

— No, właśnie, on też twierdził, że nie bardzo się panowie z sobą zgadzacie; określał pana jako ambitnego i wchodzącego mu w drogę; skarżył się też, że zaniedbuje pan profesor swoją klinikę i przypuszczał, że ma pan jakieś kłopoty życiowe; chciał — przy mojej pomocy — dowiedzieć się jakie.

— Czyżby?

— Tak mówił. Zrobiło to na mnie wrażenie, że coś go niepokoi i że o coś pana podejrzewa. Czuję nawet za to złość do niego, ale w tych piekielnych wypadkach zapomniałem na śmierć o jego aluzjach.

— Czy zaniedbuje klinikę? — Zastanowił się, wyciągając chusteczkę z kieszeni i wycierając nos. — Chyba nie? To był pretekst Tragi, by od pana coś wyciągnąć o mnie.

— Ale co — zainteresował się Prokasz.

— Hm, tego i ja nie wiem, drogi panie. A teraz co do tego „podejrzewania”, to po prostu był chytry wybieg: czując powróż na szyi, usiłował odwrócić uwagę od siebie; dla tego samego powodu udawał, że idzie do Gurana, choć miał go w rękach już od połowy nocy.

Prokasz dziwił się na głos:

— Patrzcie państwo, jak to wszystko leci. Już druga historia...

Zatrzymał się raptownie z jedną nogą wzniesioną, powstał tak sporą chwilę i dokończył z



najwyższym zdumieniem.

— Już drugi raz idziemy w 24 godziny po przestępstwie na miejsce przestępstwa! Oho ho!

Byroń skierował pytający wzrok na kolegę.

— No, tak, przecież to tak samo urządzone, jak ja to zrobiłem wtedy w willi starego Pogonowskiego... tylko... tylko tym razem nie ja jestem autorem scenariusza.

— Racja — mruknął Byroń, marszcząc gwałtownie czoło — zgadza się, na nowo coś w rodzaju wizji lokalnej plus teatr psychologiczny, tylko tym razem i ja nie występuję w roli aktywnego i zaskakującego bohatera; rozumiem, to dlatego ciągnęli nas w tajemnicy... no... to prokurator lepiej to zorganizował niż pan, zacny doktorze, o lepiej!

Poszli dalej, lecz już w całkowitym milczeniu, pogrążeni w smutnym nastroju.

Ledwie przebrzmiały echa ich kroków, a już Kowalik przywiózł drugą parę. Topolski i Lothar grzecznie i dość wyczerpująco certowali się w drzwiach, kto ma pierwszy przejść, potem niechcący wepchnęli się po społu, co stało się bez żadnej dla nich szkody, jako że drzwi tego przybytku są bardzo obszerne.

Lothar wydawał się ogromnie zdenerwowany. Miał nerwowe tiki koło ust i oczu i nieopanowane ruchy.

— Złowieszca forteca — wycedził przez zęby, oglądając się wkoło.

— To zdumiewające — zauważył Topolski — że jeszcze się pan profesor nie przyzwyczaił.

— Przyzwyczaił? — Zaprzeczył ruchem głowy. — Ja, proszę pana, nigdy nie przyzwyczaję się, chociaż, jak i pan profesor, pracuję tu od pięciu lat.

— Nerwy zapewne? — przypuścił Topolski.

— Nie tylko.

Topolski poprawiał akurat krawat i przyznał:

— Rzeczywiście, dziś ja sam odczuwam złowieszczość panującej tu atmosfery. Gdybym był hipochondrykiem, powiedziałbym: czuję, że zaciskam na szyi nie krawat, lecz pętlę.

Roześmieli się nieszczerze. Postali kilka sekund, jakby nasłuchując, gdzie ich śmiech przypadnie lub w jakiej formie owa złowrogość zmaterializuje się, po czym ruszyli schodami w górę.

— Jak idzie praca, czy posunął się już pan daleko? — zaczął Lothar.

Topolski zaprzeczył energicznym gestem.

— Oh, nie, nie idzie, zupełnie nie idzie.

Uczynili kilka kroków. Teraz Topolski odwzajemnił się pytaniem.

— A pan, profesorze, czy ma pan teraz coś na warsztacie? Zdaje się, że przerwał pan swoje badania?

Ten namyślał się, posunęli się kilka kroków w górę, odparł krótko:

— No, niezupełnie.

I ich stąpania umilkły. Wnętrze tego budynku — niczym paszcza Molocha pożerającego ofiary — czekało nieruchomo, jakby wiedząc, że rychło zamknie się z ohydny klapnięciem. Jak? Nad kim? Dlaczego? Cisza, oślizgła wilgoć i niepewne mroki towarzyszyły złemu bogu w charakterze okrutnych kapłanów.

Plutonowy i sierżant usiedli zgodnie na stole woźnego, stojącym w hallu, i zaczęli wahadłowo majtać zwisającymi nogami. Był to widok niefrasobliwy, lecz ogromnie złudny, albowiem woźny, który siadł blisko nich — na krześle co prawda — usłyszał, jak Kowalik westchnął:

— Jestem coś zdenerwowany.

Błade oblicze Ogórka nie dało poznać zdziwienia.

W niewielkim gabinecie dyrektora, który ze zmartwienia, że podobne wypadki miały miejsce w jego Zakładzie, rozchorował się, zebrała się nieliczna gromadka. Lorek siedział za

biurkiem, a Topolski, Byroń, Lothar, Prokasz i Guran — gdzie popadło; rozlokowali się swobodnie, z tym, że Prokasz siadł pod ścianą w pobliżu Gurana, Byroń i Lothar zajęli dwa rogi pokoju, Topolski zaś zarezerwował sobie *splendid isolation*, okupując samotny środek.

Lothar z trudem opanowywał drżenie rąk, schował je więc do kieszeni marynarki; Topolski zimno śledził jakiś pyłek, widoczny w ostrym świetle lamp, wędrujący bezmyślnie w żywiole powietrza. Byroń opuścił nieco swą niezwykle bladą i zmęczoną twarz ku podłodze, tak że nie widać było jego oczu; Prokasz, wymizerowany przeżyciami, przedstawiał widok wręcz żałosny, szukał zmęczonymi plecami ratunku w ścianie; Guran zaś bawił się sam za pomocą małej kulki papierowej.

Prokurator wodził po twarzach napiętym wzrokiem niczym lufą rewolweru po tarczach-zagadkach. Szepnął w duchu: — Dobrze, spróbujmy się. Dobrze, zobaczymy... zaczniemy od początku.

A głośno powiedział:

— Pozwólcie, panowie, że zacznę od wyjaśnienia. — Przerwał, zastanawiał się. Ściągnął brwi i machinalnie zaczął przesuwać drobne przedmioty na biurku; widoczne stało się, że mowa nie była przygotowana, że dobiera słowa. — Jestem tu wobec bardzo szacownego grona, mam przed sobą uczonych — i to o wielkich nazwiskach — umysły błyskotliwe i pełne wiedzy; mam ludzi związanych z nauką... Zdaję sobie z tego sprawę i mam niesfałszowany szacunek do tego rodzaju ludzi i do wiedzy. Chciałem to właśnie powiedzieć najpierw.

Odsapnął.

— A teraz tak: wczoraj popełniono w tym miejscu zbrodnię morderstwa i dokonano kradzieży aparatu naukowego. Nie wiem, kto to zrobił. — Znów przerwał.

Natężona cisza zaczęła obejmować słuchających, jak potężny a zdradliwy wir wodny, który po cichu, zatoczywszy koło śmiertelne, wysysa wszystko, co napotka, w swoją okrutną głębię. Słuchali uważnie i w jakimś niewytłumaczalnie gwałtownym, mimo wszystko, napięciu. Jakby w przeczuciu gorszego zła.

— Nie wiem, proszę panów, kto to zrobił, ale niestety wiem jedno na pewno: wczoraj przez cały dzień nikt poza panami nie był tu; co prawda był jeszcze asystent Barchan, ale tylko rano, pomagał panu doktorowi Prokaszowi przy sekcji, zjawił się na niedługo, ani przez sekundę nie był sam i wyszedł. Czy tak? — zwrócił się do starego doktora.

— Tak, zaraz potem wyszedł; nawet śpieszył się — potwierdził zapytany.

Prokurator przytaknął głową i uzupełnił:

— To samo zeznał woźny. A może który z panów ma coś do dodania?

Byroń podniósł rękę.

— Ja.

— Proszę.

— Potwierdzam słowa doktora, widziałem, jak spiesznie wychodził, ze złości trzasnąwszy drzwiami, nie wiem, dlaczego był zły.

— No więc — ciągnął dalej Lorek — pozostało panów pięciu Tak? — Wpatrzył się w słuchających chmurnymi źrenicami i powtórzył z namysłem: — Panów pięciu. Ale przecież redaktora Gurana tu również nie było. Czy tak, panie redaktorze?

— Tak, cały dzień byłem w domu. Nie wychodziłem, odpoczywałem po wypadkach sobotnich.

Lorek zwrócił się do reszty:

— Czy widział tu który z panów redaktora?

Zaprzeczono mu niemymi gestami.

— A pan, doktorze? Pan był tu prawie cały dzień.

— Ja również nie widziałem — szepnął Prokasz.

— Zatem czterech wchodzi w grę — powiedział spokojnie i rzeczowo.

Przerwano mu nagle.

— Za pozwoleniem, czy nie było możliwości wtargnięcia kogoś obcego z zewnątrz?  
Był to głos Topolskiego.

— Owszem, była taka możliwość i nie wykluczone, że ktoś ją wykorzystał, jednak... jednak została zaaranżowana przez jednego z tu obecnych.

Wir bezdźwięcznie zatoczył nowe koło, wszyscy pobledli, nie wyłączając Gurana, dało się słyszeć jakieś westchnienie, Lothar siłował się z rękami, Prokasz był bliski zemdlenia.

Prokurator powstał.

— Nie wiem nic i nie chcę nic przypuszczać, ale proszę teraz o dokładne i prawdziwe opisanie, co każdy z panów tu robił. Doktor przebywał najdłużej, prawie cały dzień, więc poda swoje obserwacje na końcu, i to w preparatorium, dokąd przejdziemy zaraz, a teraz proszę po kolei.

Zwrócił się i rzekł:

— Pan profesor Topolski.

Wywołany fuknął głośno z hamowaną złością.

— Panu chodzi o to, czy mogłem zabić Hugona? Mogłem, bo dwa razy sam siedziałem w preparatorium studiując mechanizm aparatu i rozmawiając z głową. Przecież to dla mnie, jako specjalisty w tej dziedzinie, było objawienie... rozumie pan... objawienie; ciągnęło mnie tam, no więc coś z tego, że mogłem... nie zrobiłem tego, zapewniam pana... W ogóle nie orientuję się w tym zbrodniczym idiotyzmie, nie mogę ponosić odpowiedzialności za jakiegoś kretyna...

Teraz już niemal krzyczał z wściekłością, rzucił przy tym mimowolne spojrzenie w kierunku Lothara.

— Owszem, robiłem notatki, owszem myślałem o tym, że dobrze by było zabrać do siebie ten postument; ale też wiedziałem, że równie dobrze mogę doświadczenia robić tu na miejscu, tu przecież pracuję, mam własny gabinet. Po cóż na litość boską miałem mordować i kraść? Byłem poza tym u Hugona jeszcze raz, ale razem z kolegami, już nie pamiętam z kim, przecież to był ciągły kontredans.

Skończył. Obrócił się na krzeselku i gwałtownym zamachem założył nogę na nogę.

— Pan profesor Byroń — poprosił z kolei niewzruszenie prokurator.

— Byłem w preparatorium z doktorem Prokaszem, potem z profesorem Lotharem, potem przebywałem sam na sam, dość długo, może nawet z pół godziny, ale chciałbym podkreślić, że moja samotna wizyta miała miejsce przed kolegą Topolskim, a później już nie wchodziłem. Głowa Hugona oczywiście żyła, a z wypowiedzi kolegi Topolskiego wnioskuje, że i on ją badał w tym stanie, więc szczęśliwą okolicznością mam — przynajmniej tak sądzę — alibi.

Topolski otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i zaprzeczył:

— Niekoniecznie, kolego; zwracam uwagę, że zabić Hugona można było dwojako: bezpośrednio i pośrednio — przez odpowiednią manipulację przy aparacie; w tym drugim przypadku śmierć mogła nastąpić później, nawet znacznie później, powiedzmy, w dwie, trzy godziny potem; wystarczyła drobna manipulacja przy regulacji krążenia lub oddychania, alby uduślił się. — Zwrócił się do obecnych: — Czy widział kto z panów głowę po śmierci?

— Owszem — przytwardził prokurator — mamy relację, że była sina, jak u uduszonego.

— A co? — wykrzyknął Topolski.

— Przepraszam wobec tego — wycofał się spokojnie Byroń. — Bądź co bądź sądzę, że Hugon skarżyłby się następnym wizytującym kolegom, że coś tam kręciłem; prawdopodobnie też poczułby się źle i dał o tym znać. Ja zaś, proszę panów, aparatu nie dotykałem. — Ostatnie zdanie wypowiedział silnie je akcentując.

Prokurator odwrócił się teraz do Lothara:

— Proszę, pan profesor będzie łaskaw.

Lothar ochryplym z emocji głosem zaczął, przerwał, odkaslnął i znów zaczął.

— Co do mnie, nie byłem sam na sam z Hugonem nawet przez jedną sekundę.

Wszyscy unieśli czoła i wbili źrenice w mówiącego, a on ciągnął dalej:

— Nie mogłem tego więc uczynić. Najpierw znalazłem się tam wraz z doktorem Prokaszem, drugi raz z profesorem Byroniem. Sam nie byłem. Powiem wprost... bałem się.

Uwaga obecnych napięła się raptem jak pociągnięta cięciwa w łuku.

— Bałem się... siebie, to znaczy swego bankructwa naukowego... Koledzy tu obecni wiedzą, że to ja mogłem ubiec Tragę w odkryciach... niestety... no więc rozpacz mnie wtedy ogarnęła i nie chciałem być sam, obawiałem się załamania. Sądzę, że koledzy zdołają z analizy czasu i przebiegu naszych ruchów potwierdzić moje słowa. — Nieznacznym gestem wyciągnął do nich dłonie i powiedział głośniejszym i dobitniejszym głosem: — Ja tego nie uczyniłem!

Chciał coś jeszcze dodać, ale dał spokój, opuścił głowę.

Prokurator poszukał wzrokiem Prokasza.

— No cóż, powędrujemy teraz do preparatorium?

Lecz nim zdołali się ruszyć, profesor Lothar zsunął się z krzesła na ziemię. Wszyscy porwali się na nogi i rzucili do niego. Lothar, podtrzymywany przez Gurana i Byronia, chwiały się.

— Do diabła — wyszeptał — niedobrze mi się zrobiło... serce... trochę świeżego — powietrza.

W ten sposób została zarządzona nieoczekiwana przerwa.

— Panowie, tylko pięć, dziesięć minut, potem proszę wszystkich od razu do preparatorium.

Rozeszli się. Przechadzali się w dławiącej atmosferze, ktoś wszedł do swego pokoju, ktoś wyszedł na dziedziniec za Zakładem, inny jeszcze przechadzał się po korytarzu. Snuli się milczący i odurzeni.

Lorek, oparłszy gorące czoło o szybę, oglądał ciemny świat i błyszczące latarnie. Minuty mijały. Z tych minut i z tej nocy, i z tej dławiącej atmosfery, i z tego podwórka wyrósł nagle krzyk. Krzyk krótki.

Potem natychmiast wróciły owe minuty obojętnie i niezmordowanie płynące naprzód, owa noc, ale już inne, nieskończenie inne. Rozpoczęło się straszliwe zamieszanie: wszyscy biegali, wszyscy wrzeszczeli, trzaskali drzwiami, szukali, pytali, wpadali na siebie i znów znikali. Trwało to długo. W ostateczności całe zamieszanie spłynęło w jedno miejsce na podwórku, pod samym murem. Wyjaśniło się.

W mdłym świetle latarni, z trudem docierającym do trawnika, pod murem leżała głowa bez ciała. Ciała nie było. Zniknęło.

Zbadali zaraz wzrokiem najbliższą przestrzeń, potem zaś przeszukali szczegółowo cały gmach, na próżno: ciało zniknęło. Została głowa, urągająca swoim samotnym widokiem naszym przyzwyczajeniom. Był to widok ohydny i bezmyślny.

Z małej gromadki podniosły się nerwowe krzyki oburzenia, przerażenia i wstydu, tak — wstydu za mordercę. Głowy to jednak już nie wzruszało ani ciała, które teraz — uprowadzone — było nieobecne.

Tak zmarł profesor Topolski. Albowiem jego to była głowa.

Prokasz przystąpił do zbadania głowy ofiary i okoliczności morderstwa.

## VI

### ANALIZA LOGICZNA ZAGADKI

Gdy zebrali się ponownie i zajęli poprzednie miejsca, z trudem odwracali wzrok od pustego krzesła, ostentacyjnie stojącego na środku pokoju.

Jeden podejrzany odpadł, przedzierzgnąwszy się w ofiarę, lecz tym samym tajemne oskarżenie przesunęło się i zgęstniało nad głowami reszty. Biedny Topolski świadczył obecnie śmiercią własną, że wśród pozostałych, a tu obecnych kryje się zbrodniarz bezwzględny, chytry, zimny, wyrafinowany, nawet genialny, który dla niedocieczonych na razie powodów demonstruje swój geniusz i bestialstwo.

A więc nie spoglądali na puste krzesło. Ale także unikali panicznie spoglądania na siebie. Nic dziwnego. Taka sytuacja! Zginęło ciało!

Niepojęte, nieprawdopodobne, niedocieczone, absurdałne!

Prokurator Lorek, czerwony jak burak i rozsierzdzony jak zaatakowany nosorożec, nakażał sierżantowi Kowalikowi, by stanął przy drzwiach. Plutonowego wystąpił już uprzednio ze stosownymi rozkazami do komisariatu milicji.

— Pan profesor Byroń zechce nam wyjaśnić, co robił i gdzie był w czasie przerwy. — Głos wydyszał z niego niczym para z kotła pod wysokim ciśnieniem.

Zagadnięty odparł natychmiast:

— Przez cały czas przebywałem w hallu na półpiętrze, oglądałem fotografie. Nie ruszyłem się poza tym nigdzie nawet pół kroku.

— Czy ma pan świadków?

— Hm, panie prokuratorze, byłem sam, trudno mi dostarczyć świadków.

W tym miejscu sierżant Kowalik gruchnął, aż szyby zadzwoniły:

— Ja rzeczywiście widziałem tam kogoś — rzeczywiście przechadzał się całą przerwę aż do tego krzyku i oglądał coś na ścianach.

— Czy to był profesor Byroń?

— Tego powiedzieć dokładnie nie mogę, bo nie bardzo tam widno, a ja siedziałem na dole na stole, więc...

Prokurator spytał:

— Czy ktoś z panów mógłby jeszcze potwierdzić?

Cisza.

— A czy mógłby zaprzeczyć?

Cisza.

— Zatem dziękuję panu; teraz proszę redaktora Gurana.

— Co do mnie, to mam dwie informacje: po pierwsze wychodziłem na dziedziniec, chciałem zapalić fajkę i przewietrzyć się; po drugie — spotkałem tam Topolskiego, który wyszedł pierwszy już przede mną, i zamieniwszy z nim dwa czy trzy słowa, niekontent ze spotkania — bo pragnąłem być sam — poszedłem dalej trawą pod murem. Potem wróciłem okrężną drogą do Zakładu. Od chwili spotkania do morderstwa upłynęło koło siedmiu minut.

— Skąd pan to wie?

— Bo spojrzałem na zegarek, gdy zarządził pan przerwę, i spojrzałem, gdy rozległ się krzyk, ja... ja, widzi pan, spodziewałem się czegoś niedobrego, ale... ale nie morderstwa!

Prokurator zastanowił się nad ostatnim zdaniem, po czym wrócił myślą:

— To się zgadza, wyglądałem oknem i widziałem Topolskiego, potem pana, potem jakżeście zniknęli w cieniu, lecz niestety wtedy właśnie odszedłem od okna. Pozostało więc zbrodniarzowi około sześciu, może pięciu minut na dokonanie morderstwa. Co pan robił w tym czasie? — Zapuścił w niego uważną sondę wzroku.

— Gdy wróciłem, poszedłem do preparatorium podumać trochę i rozejrzeć się zawczasu w sytuacji,

— Czy spotkał pan kogo?

— Nie.

— Czy któryś z panów widział redaktora w tym czasie?

Cisza.

— Czy któryś z panów był na dziedzińcu?

Cisza.

— A może ktoś wyglądał na dziedziniec?

Cisza była odpowiedzią.

— No, dobrze — odsapnął ze świstem Lorek i rzucił stropione oczy na mocno pobladłego redaktora.

Właśnie zapukano i plutonowy zameldował przybycie ekipy z komisariatu.

— Panie doktorze — rozkazał prokurator — proszę załatwić formalności.

Prokasz, podźwignąwszy się z miejsca, wyminął bezsłownie plutonowego i znikł w korytarzu.

— Ale... ale — zachnął się Lorek — co robił Prokasz? ...Sierzancie, zawróćcie doktora.

Sierżant ruszył za nim, lecz zdążył jeszcze odpowiedzieć:

— Widziałem doktora, jak wchodził do swego pokoju, z mojego miejsca widać drzwi, machnął nawet do mnie ręką jakby na znak, że ma tego wszystkiego już dosyć; tak przynajmniej zrozumiałem.

Plutonowy, o dziwo, podzielił się dodatkową informacją.

— To się zgadza, bo i ja widziałem, jak wchodził, i widziałem, jak wychodził, a okno od jego pokoju jest zakratowane, więc w żaden sposób nie mógł ulotnić się inną drogą.

Sierżant już zniknął, ale zatrzymał go rozkaz zwierzchnika.

— Zatem nie turbujcie go na razie, niech zrobi, co do niego należy, lecz potem ma wracać.

— Rozkaz! — Wyszli, najpierw ogromny sierżant, będący już przedtem jedną nogą po tamtej stronie, potem jasnowłosy plutonowy.

Prokurator kontynuował ustalanie sytuacji.

— Pan profesor Lothar, proszę.

— Ja chodziłem chwilę po korytarzu — odparł krótko zapytany — potem resztę czasu spędziłem z doktorem Prokaszem w jego pokoju.

— Jak to, nie był pan na dziedzińcu?

— Nie.

— No, jak to — zadziwił się wymownie — przecież pan źle się czuł?

— Nie rozumiem, do czego pan zmierza, prokuratorze.

— Myślałem, że świeże powietrze...

— Świeżego powietrza było dość w pokoju, zresztą otworzyłem okno.

— Taaak? — zgodził się niepewnie oraz niedowierzająco prokurator i poruszył kilkakroć brwiami. — Dziękuję. A więc sytuacja jest taka: doktor Prokasz, profesor Lothar i profesor Byroń mają alibi; redaktor Guran — nie. Ciało zniknęło i poszukiwania nie dały rezultatu, znaczy się ktoś ciało zabrał i wyniósł, oczywiście normalnie przez furtkę, bo ogrodzenie jest za wysokie. Był więc i współnik. Tak przynajmniej na razie wygląda...

Wszedł właśnie Prokasz. Strach buchał z niego jak żar z rozpalonego pieca. Bał się. Ale czego się obawiał? Czy drżał o swoje życie? Czy lękał się swych myśli? A może... może odpowiedzialności?

Lorek od razu przerwał rozpoczęte zdanie i zaskoczył go pytaniem:

— Gdzie doktor był w czasie przerwy?

— W swoim pokoju — szepnął przerażony.

— Czy cały czas?

— Tak, z całą pewnością, to mogę udowodnić, bo... profesor Lothar...

— Wiemy już, dziękuję panu. Czy stwierdzono, jakim sposobem wyniesiono ciało?

— Owszem, przez furtkę, po czym wywieziono je wózkiem dwukołowym, pewnie tym samym, skradzionym, którym wywieziono wczoraj postument; to są zeznania przypadkowego przechodnia, studenta medycyny, wracającego ze szpitala, oraz szoferów.

— Nie dziwili się, nie usiłowali zatrzymać go? — dopytywał się Lorek.

Prokasz spojrzął z wyrzutem na niego.

— Ależ to jest Zakład Medycyny Sądowej, tu codziennie przywożą i stąd codziennie wywożą trupy; nikt z obeznanych z tą ulicą nie zwróci na to uwagi.

— Racja — uderzył się ręką w czoło, aż klasnęło głośno. — No dobrze, ale dlaczego nie widzieliśmy śladów krwi do furtki.

Lecz pytanie to zostało bez odpowiedzi.

Zamyślił się. Rozwahał widać sytuację. Spozierał uważnie od czasu do czasu na ręce i ubranie Prokasz, Gurana, Lothara i Byronia, potem już tylko na Gurana i Lothara, lecz wszystko było w porządku.

Każdy z obecnych świetnie rozumiał, o co rzecz idzie; Lothar nawet demonstracyjnie — znów ten brak taktu i godności czy opanowania! — demonstrował swe dłonie, oglądając je ze wszystkich stron. Milczeli w oczekiwaniu.

— Tak — mruknął wreszcie Lorek, zbliżył się do siedzących — tak — powtórzył, stając na wprost nich — nie można uciąć człowiekowi głowy własnoręcznie, nie zakrwawiwszy rąk i ubrania. Ta brudna robota zlecona została komu innemu... rączki pozostały czyste... hm... — zaczął trząść nieznacznie głową na znak przeczenia i niewiary — ale jak to zostało zorganizowane, jak uplanowane? No i wobec tego wszystkie alibi i nie-alibi tracą znaczenie. Jeśli zabił kto inny, to obojętne chyba, gdzie w tym momencie znajdował się inspirator i impresario zbrodni, mógł nawet oglądać obrazki czy siedzieć cierpliwie w (pokoju. A jeśli przecie sam to uczynił? Może sekret tkwi w metodzie morderstwa?

Zmarszczył twarz w wysiłku myślenia, głowę przechylił raptownie na lewy bark i stał tak przed nimi groźny, a nawet majestatyczny, jak symbol karzącej sprawiedliwości. Ba, lecz karząca ręka sprawiedliwości wisieć musiała na razie w powietrzu, bezsilna, nie wiedząc na kogo opaść. Wreszcie trzasnął prawą pięścią w otwartą lewą dłoń i ryknął:

— No, dobrze, zobaczymy.

Po czym poprosił szorstko, by wszyscy wyszli i poczekali na dalsze decyzje, a niemym gestem zatrzymał Gurana. Założył ręce do tyłu i zaczął chodzić z kąta w kąt.

— No i co pan na to, redaktorze?

Guran również nie siadał, oparł się plecami o drzwi i skrzyżował ramiona na piersiach.

— Jesteś w zaskoczeniu — odparł.

— Więc? — Lorek zatrzymał się na moment, odwracając się doń.

— Więc najpierw trzeba zlikwidować skutki zaskoczenia.

— To znaczy?

— Musimy się opanować, najpierw zniszczyć zaskoczenie w sercach głównodowodzących i generałów. — Westchnął głęboko. — Ja sam, prokuratorze, jestem — mimo wszystko — zaskoczony i... i co gorsza... w ciężkiej sytuacji.

Prokurator ponownie rozpoczął wędrówkę.

— A właśnie — przyznał nie od razu.

Guran odczekał trochę.

— Zanim prokurator coś zdecyduje, może byśmy razem zastanowili się nieco; nie jestem tylko pewien, czy w obecnej sytuacji?...

— Wał pan śmiało, potem zobaczymy, sam dotąd nie wiem, co mam robić.

— A zatem, prokuratorze, pomyślmy, koniecznie pomyślmy spokojnie i dokładnie. Cudów nie ma; zwłaszcza przy zbrodniach, w cuda nie wierzę; to musi być ogromnie prosta historyjka... prawie na wierzchu, niemal oczywista... tylko dojrzeć to... No właśnie, co dojrzeć? Tego rodzaju niebywałe cudactwa mogą okazać się genialnie proste, śmiesznie proste.

Stał spokojnie, skupiał się, zamilkł; Lorek zbliżył się do okna, również oparł się plecami o mur i czekał, zastanawiał się, czego będzie teraz świadkiem: może świadkiem popisu przestępcy usiłującego zatrzeć ślady.

— Pierwsze pytanie, prokuratorze; przypadek czy organizacja? Improwizacja czy plan? Powiedzmy, że zbrodnia była uplanowana. No jak tedy morderca dowiedział się... Ale, ale, czy jest pan pewien, że sekret istotnie był utrzymany? Kto poza panem mógł wiedzieć o tym, że zbierzemy się tu, teraz i w tym gronie?

— Jestem w stanie zapewnić, redaktorze, że sekret był absolutny; nikomu się nie zwierzałem z mego planu; plutonowy wiedział tylko, że ma przywieźć Byronia i Prokaszę; sierżant — któremu rozkazy wydałem, gdy plutonowy już ruszył w drogę — był świadom jedynie, że ma dostarczyć Topolskiego i Lothara, przy czym dostał informację, gdzie szukać tego drugiego, bo Lothar jadł w tym czasie kolację w (restauracji „Liryczna”. Tylko więc Kowalik orientował się, że Topolski tu będzie, no i Lothar od chwili wejścia do samochodu, bo przyjechali razem. Najważniejsze jednak, co przed chwilą sprawdziłem w rozmowie z szoferem, który ich przywiózł: Kowalik, wyszedłszy ode mnie, wsiadł wprost w samochód, nigdzie nie zniknął, nie telefonował i tak dalej; zresztą wybaczy pan, podejrzliwość ma swoje granice. Kowalik ani Ogórek nie mogą z tym mieć nic wspólnego.

— Przyznaję to oczywiście — zgodził się redaktor. — A zatem tajemnica była utrzymana. No to jakim nadprzyrodzonym sposobem zorganizowano zabójstwo i kradzież ciała? Jak wywabiono Topolskiego na dziedziniec? Czyżby wszystko od początku do końca było przypadkiem? Bezsensem?

Prokurator bąknął z irytacją:

— Ciała ludzkie nie znikają przypadkiem i zwłaszcza w takim pośpiechu.

— A postument zginął również sprawnie i szybko, a głowa Hugona umarła także sprawnie i szybko — uzupełniał redaktor — czyżby tyle przypadków i w tak krótkim czasie? W sobotę w nocy spłonęło laboratorium Tragi, w niedzielę rano samobójstwo Tragi, a już tegoż dnia pod wieczór — śmierć Hugona, tegoż dnia nieco później — zniknięcie aparatu, poniedziałek wieczór — zabicie Topolskiego i wykradzenie ciała.

— Po cóż do diabła i komu potrzebne ciało! — krzyknął niecierpliwie Lorek, lecz umilkł nagle pod mitygującym wzrokiem Gurana.

— Jak na przypadki, to stanowczo za dużo, prawda? Zatem nie przypadek, zatem — plan. Trzymajmy się na razie tego. Zbrodnia została zorganizowana i uplanowana. Po wtóre: została zorganizowana bez uprzedniej znajomości miejsca i czasu, bo nikt z nas nie spodziewał się, że tu dziś będzie.

Prokurator nadstawił uszu.

— To drugie jest tak pewne jak to pierwsze, a razem łącznie daje bądź co bądź zarys do dalszych rozważań. Czy można zorganizować zbrodnię bez ustalenia miejsca i czasu?

— Oczywiście, że można — przyznał Lorek.

— A jaki stąd płynie wniosek?

—??

— A taki mianowicie, że jakkolwiek została zorganizowana... — tu Guran oderwał plecy od drzwi i wyciągnawszy przed siebie rękę, zaczął w powietrzu wybijać palcem punkty — to szczegóły musiały z niechybną koniecznością być przypadkowe, improwizowane, nie przewidziane. Ergo: należy nam na początku oddzielić owe elementy przypadkowe, by nie prowadziły nas na manowce. Od razu rzuca mi się w oczy to na przykład: zabrać ciało wózkiem? Hm, jasne... to wymaga przygotowania... — Przerwał, wyraz zakłopotania zakwitł na



obliczu... Głos jego stał się niepewny, po czym zabrzmiała w nim nuta zdumienia. — A więc jednak liczył się, że dokona tego w Zakładzie... — Głos znów nabrał mocy i zawibrował. — A więc jednak miejsce zbrodni zostało wyznaczone... rozumiem... zostało wyznaczone niezależnie od pana planu, prokuratorze, którego nie znał. On sam powiedział sobie: tam go zabiję. Chciał go zabić i zabił. Znaczy, po pierwsze: znał życie Topolskiego i miał dostęp do Zakładu; po drugie: czekał na okoliczność sprzyjającą.

— Lecz skąd wiedział, że Topolski ma tu dziś być? — krzyknął z pasją Lorek, również odrywając się od muru.

— Zaraz, po kolei, skończmy najpierw z jednym. Jakież więc były elementy przypadkowe? Ano chyba dziedziniec jako miejsce przestępstwa albo... metoda wywabienia Topolskiego.

Prokurator przytwierdził mówiącemu ruchem głowy, ale nie rzekł nic.

— A teraz następne zagadnienie. Czy mógł kto z obecnych zabić Topolskiego osobiście?

— Wykluczone — odparł natychmiast Lorek — to jest niemożliwe. Byłyby jakieś ślady, jakieś efekty fizyczne i psychologiczne, zresztą nie miałby czasu wrócić niepostrzeżenie do środka gmachu. Absurd!

— Zatem — zgadzał się Guran — sprawa alibi nabiera innego światła. Nabiera innego światła — powtórzył — mordercą był ktoś z zewnątrz, a inspirator urządził się zapewne tak, by mieć alibi, i to dobre! Więc może należy spoglądać na sprawę alibi odwrotnie niż normalnie, to znaczy...

— Rozumiem, rozumiem pana — przerwał Lorek — co dalej?

Guran zamyślił się nagle, podniósłszy brwi wysoko. Po dłuższej dopiero pauzie spytał:

— Czy mógłby mi pan opisać stan doktora, gdy zdawał panu sprawę z oględzin głowy?

— Nie rozumiem! Jaki stan?

— No, po prostu, w jakim był stanie psychicznym?

— Był przerażony, prawie bełkotał w kółko: „to niemożliwe... to niemożliwe... mój Boże, morderstwo... kto to mógł uczynić, kto to mógł uczynić...” I coś w tym rodzaju. — Teraz prokurator uważał za wskazane wyjaśnić: — Muszę dodać, że nie wątpię w szczerą reakcję Prokasa i wszelkie aluzje...

Guran zachnął się.

— Niech pan da spokój: ja chcę myśleć, *sine ira et studio*, odsuwam od siebie wszelkie uczucia, sympatie i antypatie.

— Ależ, panie redaktorze, nie jestem dzieckiem: jego przerażenie nie było fałszywe, tu nie idzie o uczucia, to jest fakt. Ponadto mamrotał „kto to mógł uczynić” w sposób tak żałosny, niedołączny, że — a przecież znam doktora! — nie mam cienia wątpliwości w prawdę jego stanu. Czyżby pan sugerował mi, że stary jest genialnym aktorem, nie mówiąc, że na dodatek świetnym organizatorem i zbrodniarzem?

Guran gasł wyraźnie pod wpływem tych impetycznych słów. Szepnął niemal:

— Nie, na pewno nie.

Lorek zaczął przechadzać się z rękami splecionymi za plecami, rzucił krótko:

— Wobec tego, co dalej?

— Ano, motyw, panie prokuratorze!

— O właśnie, to najważniejsze, zazwyczaj znajomość motywu otwiera drogę poszukiwań. Co to mogło być? Rywalizacja uczonych, która zwyrodniała w przestępczą walkę? Pragnienie usunięcia świadka? Chęć zawładnięcia cudzym dorobkiem naukowym?

— Czy ma redaktor jakąś ideę?

— Obawiam się, że nie tak łatwo otworzymy sobie drogę. To wszystko pięknie, bardzo możliwe, ale zapomniał pan o jednym. Komuś potrzebne było ciało Topolskiego!

Lorek gwałtownie odparł:

— O, pamiętam, pamiętam, to jest gwóźdź piekielny; ale — widzi redaktor — czy to nie jest przypadkiem mistyfikacja, fortel wojenny.

Tym razem znów redaktor otworzył usta, widać było zaskoczenie.

— A tak, dlaczego nie? Dopiero co zamknęliśmy śmiercią Tragi sprawę ginięcia głów, a tu hop! — wyskakuje od nowa jak królik z cylindra magika, ta sama sprawa. Ginie głowa czy ciało — to wszystko jedno, a zostaje efekt potężny i... fałszywy trop. Czy koniecznie za nim pójść? Czy mamy od razu uwierzyć? Podejrzewam, że jakiś zwykły profesor przedzie-rzgnął się w profesora magii. Ponadto z akt poprzedniej sprawy wiem, że gdyby ktoś nawet przeprowadzał eksperymenty podobne jak Traga, to korpus człowieka, w przeciwieństwie do głowy, można pobudzić do działania po upływie pół godziny, czy nawet więcej. Nie trzeba się śpieszyć, porywać zwłok, wystarczy jakiegokolwiek ciała z prosektorium, a choćby z tego Zakładu Medycyny Sądowej, w kostnicy zawsze coś by znalazł.

Szarpnął wściekle ramionami w podziwieniu i zaambarasowaniu.

— Idiotyzm!

Guran uniósł dłoń. Namysłał się.

— A jednak, nie wolno wykluczać tego, że to właśnie ciało było potrzebne.

— Na co?

— Choćby do eksperymentów.

— Jakich?

— Długowieczność, wskrzeszanie... czy ja wiem zresztą co jeszcze...

— I akurat potrzebne było ciało nieszczęsnego Topolskiego? Eh, redaktorze: może tak, może nie, ale znanadto mi to wygląda fantazyjnie. Zresztą jak za dwa lub trzy dni zbierzemy nieco materiału, będziemy mogli coś więcej powiedzieć o motywach. Czyżby redaktor rzeczywiście miał jakiś pogląd? Dlaczego Topolski?

— Nie, nie mam, ale sądzę, że należy poszperać nieco w tym kierunku. Poza tym... poza tym... — tu zupełnie się zaciął i umilkł, aż dopiero przynaglające i szorstkie — no? prokuratora zbudziło go. — Poza tym — spytał powoli — czy rzeczywiście chciano zabić Topolskiego?

— Co?

— No, właśnie!

— O tym nie pomyślałem.

— A ja pomyślałem i ciągle myślę.

— Czy ma pan jakieś fakty?

— Nie.

— No więc?

— Mam poszlaki.

— Sądzi pan, że Topolski padł ofiarą pomyłki?

— To bardzo możliwe.

— I... i... może domyśla się redaktor, kto mianowicie był tym szczęśliwcem, któremu udało się uciec spod gilotyny?

— Tak.

— Kto więc miał być zamordowany?

— Ja.

— Pan?

— Tak, ja, redaktor Guran we własnej osobie.

Gdy prokurator zwalczył pierwsze objawy zdziwienia, spytał:

— Na miłość boską, a jakież szczególne właściwości ma pańska osoba, pańskie ciało, że tak specjalnie pasowałoby do eksperymentów?

Guran z lekka uśmiechnął się i zaprzeczył.

— Nie, nie sądzę, lecz przecież motywy mogą być różne, może nawet i ma prokurator

rację, że to rywalizacja czy usuwanie świadka, może co innego. Ja nie mam wyrobionej opinii co do tego punktu. Ale przecie może być także pragnienie usunięcia... niebezpieczeństwa.

— Niebezpieczeństwa? O kim redaktor myśli?

— Owszem, proszę nie zapominać, że jakkolwiek w zlikwidowaniu Tragi miałem udział w gruncie rzeczy słaby, to powszechnie sądzi się inaczej; pan, prokuratorze, został w cieniu, a mnie się obawiają. Cóż, jeśli ktoś, jakiś Nieznany Nr 2, robi niedozwolone, przestępcze eksperymenty? Cóż, jeśli boi się, abym i jemu nie wszedł w paradę? Czy nie lepiej zwłaszcza sprzątnąć mnie, i to radykalnie?

— Hm, możliwe, ale skąd redaktorowi przyszło to do głowy? Na jakiej podstawie? Czy to domysł? Fakty?

— Było nas dwóch, przecież — wyjaśnił obojętnie Guran, opierając się z powrotem o drzwi i krzyżując powtórnie ręce na piersiach.

— Co to znaczy dwóch? Gdzie?

— Na dziedzińcu!

Teraz jego natężone źrenice wpatrywały się niemal inkwizytorsko w czerwone oblicze prokuratora.

— Na dziedzińcu? Racja! Najpierw Topolski, później pan. Topolski znikł w cieniu, potem pan nadszedł i też znikł w...

— Właśnie, no a jeśli ktoś czyhał ukryty w pobliżu; co widział... przepraszam... co mógł widzieć?

Prokurator zrozumiał teraz dokładnie.

— Mógł usłyszawszy kroki na dziedzińcu wyrzeć z kryjówki czy coś w tym guście i... i zobaczyć właśnie pana, bo Topolski miał czas zniknąć w cieniu.

— Mogło być tak lub nieco inaczej — uzupełniał Guran — mniejsza z tym; zasadniczo jednak jeśli było dwóch na dziedzińcu, to istnieje wszakże możliwość pomyłki, prawda?

Prokuratorowi znów błysnęła myśl, że to ogromnie sprytnie pomyślane.

— Sam redaktor przecież przypuszcza, że podwórko stało się sceną przypadkowo. Więc jak to pogodzić...

— Nie wiem.

— Jak morderca mógł dojść do wniosku, że znajdzie tam pana?

— Nie wiem.

— Dlaczego pan wyszedł na dziedziniec?

— Chciałem zapalić fajkę i zaczerpnąć świeżego powietrza, przypadek.

— Więc Lothar nie miał w tym żadnego udziału?

— Nie.

— Same niewyjaśnione sytuacje — ironizował Lorek.

— Tak, i samym rozumem tego nie rozwikłamy, konieczne są fakty. Ale prawdziwe fakty — dodał tajemniczo i niezrozumiale.

— Słowem: nie wiemy, dlaczego zabili, nie wiemy, czy zabili kogo chcieli, nie wiemy, kim są sprawcy.

— Mniej więcej — przyznał.

Prokurator rozjaśnił nikłym uśmiechem czerwone oblicze, wypuścił z siebie głośnym sapnięciem nadmiar energii nerwowej i padł na krzesło za biurkiem.

— No to — burknął — pogadajmy inaczej. Zacznę od Lothara. Twierdzi, że po zasłabnięciu nie zamienił z Topolskim ani słowa, że w ogóle nie widział go; znaczyłoby — że nie wywabił go na dziedziniec.

— Potwierdzam to, przecież szedłem tuż za Topolskim, zaledwie kilkanaście kroków za nim.

Prokurator podniósł oczy — no widzi pan, więc nie zwabił go, nie zamierzał nawet tego uczynić, więc ta historia z zasłabnięciem nie była fałszywa. — A Byroń? A Prokasz? Nikogo

nie przyłapałem na kłamstwie. Wasze zeznania pokrywają się, wszystko pasuje, wszystko idzie składnie jak na rewii wojskowej. Pozostaje jeszcze kwestia czasu. Gdyby nawet morderstwo było przygotowane, gdyby nawet wykonawcą był ktoś obcy, to tak czy inaczej inicjator musiał mieć czas i okazję do puszczenia maszyny w ruch, do zawiadomienia współnika, że dziś, że teraz. Mam już zeznania obu szoferów i obu milicjantów. Nikt z obu samochodów nie wysiadał, przyjechali wprost do Zakładu, w dodatku Lothar, Topolski, Byron i Prokasz nawet jadąc, nie wiedzieli, dokąd jadą. A tu, na miejscu? Również nie! Mam zeznania obu milicjantów i woźnego. Tak się złożyło, że woźny nie był ani chwili sam i nie mógł — przypuściwszy nawet, że był w zмовie — porozumieć się ani z Prokaszem, ani z Lotharem czy z innymi. Zatem?

Pytanie zawisło nad nimi. Spojrzeli sobie w oczy. Lorek parsknął niepohamowanym śmiechem. Kropnął pięścią w biurko, ryczał prawie, łyż kapały mu na chustkę, którą wyciągnął pospiesznie. Nerwy znalazły ujście. Śmiejąc się nadal, wydusił z siebie:

— A więc to tylko ja jeden mogłem wykonać tę robótkę, bo ja jeden mogłem zawczasu... Ha, ha, ha... tylko ja... prokurator.

Spoważniał tak szybko, jak szybko wybuchnął wesołością.

— Dobrze — warknął cicho — zobaczymy, zaczniemy od początku. — A potem rzekł głośno i dobitnie, z odcieniem ironii: — Zapraszam redaktora do współpracy i do przychwycenia tego, który zawczasu wiedział i zawczasu zorganizował to, czego nie mógł zawczasu wiedzieć i czego nie mógł zawczasu zorganizować.

## VII

### PRZEMIANY PSYCHICZNE DOKTORA PROKASZA

Następnego dnia rano słońce wstało jak zwykle. Na ogół świat natury nie bierze udziału w wydarzeniach świata ludzkiego. Słońce świeci jednakowo zbrodniarzowi i świętemu, nie powstrzymuje biegu ani go nie przyśpiesza w zależności od szlachetnych czy nieszlachetnych uczynków dwunożnych stworów, zamieszkujących pewną planetę w jego systemie. Ma swój rozkład jazdy i nie ma problemów moralnych.

Jakkolwiek niektórzy twierdzą inaczej.

Taka na przykład Weronika, zacna pomocnica domowa starego Pogonowskiego, z niezwykłą łatwością odcyfrowuje tajemne związki obu tych światów za pomocą kart, dziejów św. Grybaldy Egipcjanki lub własnych, na mocnych posadach opartych teoriach.

Tym razem jednak słońce nie usłuchało zaklęć, a raczej przekleństw i wstało o zwykłej porze. Tak więc wtorek zapowiadał się pięknie. Ludzie starsi wiekiem od samego rana podstawiali swoje często łyse głowy pod życiodajne kaskady płynące z nieba i z zadowoleniem komunikowali sobie wzajem:

— Ładny dzień, co?

— Będzie ciepło, prawda?

— Nie ma to jak słońce, panie dobrodzieju!

I rzeczywiście: koło godziny jedenastej mieliśmy ładny dzień, ciepło i słońce. Trafili!

Ogródek kawiarni na Mariensztacie bulgotał życiem. Wdzięczne kelnerki biegały, wywijając tacami niczym wojownicy starożytni tarczami; po bokach gorzała cicha i pełna podstępów walka o stoliki: rywale czatowali w skupieniu i gdy tylko ktoś wstawał, rzucali się do wyścigu rąco i pełni animuszu. Ach, ta walka! Wszędzie walka.

Prokasz siedział z boku i kontaktował się z ludzkością. Popijał drobnymi łyżkami czarny napój, którego podniecające właściwości odkryły ongiś przypadkowo kozy arabskie,

słuchał gwaru kawiarni, bawił oko fontanną, gapił się na ruch na placu, spozierał z tkliwością na słomkowy kapelusz, jeszcze mokry, leżący na krześle, i czekał.

Umówił się z Heleną i Stefanem.

Pojawili się też wkrótce na bliskim horyzoncie miejskim. On wyższy od niej o dwie głowy, ona wdzięczniejsza odeń w ruchach o trzy lekcje baletowe. Zatrzymali się, raczej ona go zatrzymała, przed wystawą sklepową, potem ominęli z respektem fontannę siejącą wokół kroplami i mgiełką wodną; z dala jeszcze poczęli uśmiechać się do niego oraz witać gestami.

Zapłacił pośpiesznie i chwytając wilgotne nakrycie „siedliska władz duchowych” pomknął powoli, to znaczy śpiesząc się, ale z małym skutkiem realnym, na ich spotkanie.

— Gwałtu rety, wujku roztrzępany, masz źle zawiązany krawat — powitała go niepoprawna Helenka.

Prokasz zwolnił, poprawił krawat, przywitał się bardziej metodycznie i poszli.

Stefan z zadowoleniem stwierdził, że stary wyglądał nienajgorzej, nawet — o dziwo — dawało się w nim zauważyć pewne ożywienie.

Świątek uniwersytecki huczał wczorajszymi wiadomościami; Lothar i Byroń byli nieuchwytni; Helena zatelefonowała z rana do Zakładu i umówiła się z Prokaszem na godzinę jedenastą. Postanowili zastosować jakąś higienę psychiczną, ratować starego przed zbyt ponurymi nastrojami. Z przyjemnością więc zauważyli teraz, że on sam wynalazł jakąś cudowną odtrutkę. Czuli nawet z tego powodu, zwłaszcza Helena, coś w rodzaju podziwu.

— Widzę, że wujcio dzielnie się trzyma?

Prokasz, zmagający się ze zdeformowanym kapeluszem, odwrócił się do niej i nie przerywając bezskutecznych usiłowań ulokowania go jednakże w jakiś mniej więcej sensowny sposób na głowie, odparł z zadowoleniem:

— A jakże, mogę powiedzieć, że mam dobry dzień.

— Co?

— Dlaczego??

Prokasz zdecydował się wreszcie, wziął kapelusz pod pachę, parasol przełożył do drugiej ręki i potwierdził:

— Owszem, dobry. Wczoraj myślałem, że ze mną już koniec. Wyobraźcie sobie tylko sytuację... — Zatrzymał się, rzucił na nich krytycznymi, wyblakłymi źrenicami. — Ale czy wy potraficie sobie to wyobrazić? Wiecie, normalnemu człowiekowi trudno pojąć nawet, jak właściwie ona wygląda. Nikt nie umie zachować się normalnie, zimno, rzeczowo; biegają człowiekowi po łepetynie jakieś idiotyczne myśli, nogi boją, ręce trzęsą się, wszystko traci sens. Nie, nie możecie sobie wyobrazić! Otóż wczoraj byłem w takiej sytuacji. Ale to jeszcze ból biedy; druga może gorsza — załamałem się psychicznie pod wpływem podejrzenia.

Pogonowski i Landowska z niebywałym zdumieniem odwrócili do niego twarze.

— Podejrzenia?

— To wujka mogli podejrzewać?

— Że... że to pan doktor?...

Stary lekarz, zaskoczony pytaniami, zastanowił się i zmieszał.

— Eee, to jest i tak, i nie tak... — Zwinął wargi w trąbkę, po czym błyskawicznie rozwinął je z powrotem i wyjaśnił: — Może mnie i podejrzewali? Nawet przypominam sobie, że i takie obawy napastowały mnie wczoraj, ale człek miał ich wtedy tyle na raz w głowie, że, muszę się wam przyznać, jakoś nie bardzo sobie... jakby to powiedzieć... wziąłem to do serca, po prostu nie miałem czasu. — Zatrzymał się i z namysłem powtórzył powoli raz jeszcze, stukając parasolem o bruk: — A rzeczywiście mogli podejrzewać!

Helenka popchnęła go leciutko paluszkami, wprawiając go znów w ruch prostolinijny jednostajny i wyjaśniła:

— Jak mi świta w łepetynie, to wujaszek załamał się pod naporem podejrzeń, ale własnych, a kogo to wujaszek podejrzewał?

Prokasz skoczył, jakby go w piętę ukąsił skorpion.

— O nie, moja kochana, tego powiedzieć nie mogę. Nie, nie, w żadnym wypadku. To jest zbyt skomplikowane.

— Jak to? — zdziwił się lekko Stefan, poszukując oczami wyjaśnień.

— Jak to, kochany Józefatku — zawtórowała kuzynka — chcecie ukryć przestępcę?

Prokasz zaczął dreptać przódzej. Przyspieszyli za nim kroku. Milczeli czas pewien, wreszcie odezwał się.

— Pomówmy poważnie o poważnej kwestii. Nikogo nie mam zamiaru ukrywać i jeśli co wiem, to na pewno w odpowiednim czasie wyjaśnię. Sprawa wygląda inaczej. Na szczęście inaczej. Wczoraj podejrzewałem, widzicie, dziś — nie. Dziś wiem na pewno, że moje przerażenie było zbędne, na szczęście — powtarzam — zbędne. Podejrzenie było może uzasadnione, ale okazało się nieprawdziwe, czy to nie wystarcza?

— Wystarcza, oczywiście — przywtórzyli mu zgodnie.

— No, jest między nami zbrodniarz, pozostało do wyjaśnienia, kto nim jest. Lecz co do mnie, pozbyłem się koszmaru.

— Ale czy dziś ma wujek jakieś przypuszczenia, kto to mógł być?

— A nie, co to, to nie, zupełnie się nie orientuję. Bójcie się Boga, przecież wybór jest wyłącznie między Lotharem, Byroniem i Guranem. Co za sytuacja!

Słuchacze pokręcili głowami na znak zgody.

— Podejrzenie może być czasem przeżyciem przerażającym — zaczął Pogonowski — zwłaszcza dla osób wrażliwych... — Nie dokończył i spytał: — Ale czy pan doktor jest pewny?

Prokasz zachnął się.

— Co pan myśli, ja stary lekarz milicyjny nie zorientowałbym się; o nie, jestem może zanadto skrupulatny niż za mało.

— A czy mógłby pan wtajemniczyć nas...

Nie zdążył skończyć, gdy usłyszał:

— Drogi panie Stefanie, po pierwsze należy pamiętać o tajemnicy służbowej; po wtóre zakomunikuję gdzie należy moje wiadomości, ale już w innym charakterze, to nikogo nie będzie obciążało; po trzecie Nieznany Nr 2 jest krwawym bydlakiem, posuwającym się do morderstw, czego — przypominam wam — nie czynił Traga, jest szybki jak tygrys i złośliwy jak małpa, a wydaje się być ponadto wszechwiedzący jak minister milicji... Ja... ja... się nie boję, ale ten Nieznany Nr 2 wiedział o mnie to, czego nikt na świecie nie wiedział. — Stał znowu, spojrzął na nich niemal błagalnie i podnosząc rękę wraz z parasolem, krzyknął: — Czy pojmujecie to? — Po czym znacznie ciszej i skromniej: — Bo ja nie!

Oboje natychmiast odczuli, że coś kryje się poza słowami pocziwca, że coś i gdzieś rozegrało się chyba dziś w nocy, o czym jednak nie chciał mówić. Wobec tego Stefan zaryzykował.

— Może jednak byłoby lepiej wyjawić komuś, bo widzę, że rzeczywiście ma pan jakiś sekret?

— Wujku — dorzuciła Helena — chciałam spytać: czy wujek na pewno wie, że ta tajemnica nie stwarza niebezpieczeństwa?

— Dla kogo?

— No dla wujka!

— Dla mnie?

— Tak!

— Hm, moje dziecko, nie przypuszczam... widzisz on, ten Nieznany Nr 2, gdyby chciał, toby... mnie dziś w nocy... tego... rozumiecie?... — poza tym on zna mój sekret. — Co powiedziawszy, Prokasz zakończył z mocą: — A nic więcej już ode mnie nie wyciągajcie.

Oblicze Stefana wyraźnie zasepiło się, zamyślił się i do końca drogi nie wyrzekł już ani

słowa. Natomiast Helena rozmowności nie utraciła.

— No, wszystko jedno, dobrze, że wujkowi spadł ciężar z serca, że widzimy wujka w nadzwyczajnej kondycji, to bardzo miła dla nas niespodzianka. — Zwróciła się do Stefana. — Prawda?

Pogonowski kiwnął potakująco głową. Lecz Helena niepokoila się. Wyczuła, że Prokasz, mimo wyjaśnień przeciwnych, mógł się czegoś obawiać. Nie należał do rzędu bohaterów, lecz też i nie do tchórzów. Że uwolnił się od jakiegoś obrzydliwego podejrzenia, to mu było lżej i nie dbał na razie ani o te tajemnicze historie, które mu się przydarzyły, ani o siebie, ale co będzie jutro? pojutrze? Uszanowała jednak nie znane powody, skłaniające go do dyskrecji.

— Wie wujek, wieczorem idziemy do redaktora Gurana, zaprosił mnie i Stefana.

Prokasz jakby się przestraszył.

— Do Gurana? — Zdjął rogowe okulary, znów je włożył na nos, przełożył parasol z powrotem do lewej ręki. — Czy nie lepiej, dziecko, siedzieć w domu?

— Cóż to, czyżby wujaszek pokłócił się z nim? To niemożliwe!

— Nie, skądże znowu.

— No, więc? Czuję jakąś niechęć w głosie przedstawiciela rodziny.

Stary nic atoli nie rzekł.

— No?

—??

— No?

—??

— No — tupnęła nogą.

Stary wściekłym ruchem wcisnął kapelusz na głowę, aż niemal po oczy i pisnął:

— Lepiej się trzymać z daleka!

— Od Gurana?

— Wszystko jedno: od Gurana, od Byronia, od Lothara... wszystko jedno. Czyż nie orientujesz się, że coś strasznego dzieje się wkoło, że idzie jakaś gra, jeśli grą mam prawo nazwać zbrodnię po zbrodni i pewność nowych zbrodni...

— Pewność nowych zbrodni — szepnęła.

— A tak, a tak, a tak...

Tym razem ona zatrzymała się.

— O czym wujek wie?

— Wiem! I mam szczęście, że sam życia nie straciłem, że tylko... Eee... — rozzłościł się — mówię ci, najlepiej trzymać się z dala... nic nie wiemy... jesteśmy za mali...

— Bo, jeśli wujek uważa, że Guran...

— Nic nie uważam!

— Właśnie dlatego, że nic, to ja nie odwołam swojej wizyty.

— To ładnie, Helenko, bardzo ładnie — błagał ją i chwalił — lecz niebezpiecznie, nie narażaj się.

— Dobrze, będę pamiętała.

Stefan nie odezwał się.

Poszli sobie wzdłuż Wisły. Ich trzy tak różne sylwetki odcinały się wyraźnie na bulwarze skąpanym w słońcu. Potężna postać Stefana, wdzięczna Heleny i chuda a pocieszna Józefa.

Wisła igrała milionem słońc, skaczących po drobnych falach.

## VIII

### PRZYPADEK CZY PODSTĘP?

Każdego wtorku, od godziny 3.30 do 4.30 redaktor Leonidas Guran zabawiał się — i to ochoczo — w prezesa klubu sportowego „Warszawa”. Na tym stanowisku cieszył się nie tylko należnym szacunkiem, ale i sympatią sportowych kamratów. Młode gęby adeptów sztuk mięśniowych zawsze potrafiły znaleźć dla niego szeroki i szczery uśmiech — on też dlatego chętnie poklepywał ich po plecach, rozdierał kuksańce i fachowe rady, pokpiwał niezłośliwie z niezdarnych wyników. Jakoś nie raziała ta jego szpakowata, inteligentna głowa w ciżbie łbów młodych, jurnych i bykowatych. Była między nimi widać ukryta symbioza, wspólnota duchowa.

Po załatwieniu spraw, Guran trenował półtorej godziny w grupie *old-boyów*. „Stare chłopaki” gziły się nieszkodliwie i w miarę pozostałych sił, wypełniając wielką salę sportową wrzaskiem niewiele tylko mniejszym od tego, jaki wyczyniali młodszy koledzy. Pół godziny gimnastyki — odprawianej niechętnie acz ze zrozumieniem jej walorów, potem godzina uganiania się za piłką, później prysznic, ubieranie się, no i oczywiście błogość i wniebowzięcie psychiczno-fizyczne.

Guran naraził się dziś na liczne i głośnie wymyślania. Trzeba przyznać, iż patałaszył niemożliwie: był nieruchliwy jak stara foka w balii z olejem rycynowym, strzelał, jakby był zezowaty na troje oczu. Ale pomogło. Gdy wychodził z klubu, koszmar i strachy ostatnich dni i zwłaszcza wczorajszego wieczoru opadły z niego jak mgła; czuł się rażno i lekko, zstępując ze schodów, pogwizdywał i rozdawał liczne, na lewo i prawo, ukłony młodej generacji sportowców śpieszącej o tej porze na trening, zwłaszcza zaś na basen, bo wtorek był dniem waterpolistów.

Pięknymi Alejami Ujazdowskimi dotarł wkrótce do bocznic i zbliżał się do Wawelskiej. O tej porze roku, godzina koło siódmej oznacza nadciągający zmrok. Światła rozpałały się w oknach, a z Pola Mokotowskiego dochodził orzeźwiający powiew. Odetchnął głęboko, zapuścił wzrok w pustą przestrzeń, poszukał nieba i szepnął:

— Życie jest piękne.

W tej samej chwili poczuł, że wpada na kogoś. Uderzył w niego przestraszony głosu kobiecego, zdjął pośpiesznie kapelusz, by przeprosić stokrotnie, opuścił oczy z nieba na ziemię i wycelował w ruchomą przeszkodę. Zdał sobie niewyraźnie sprawę, że tę przystojną twarzyczkę widział już kiedyś, mocował się z pamięcią, zauważył, że ona jest spłoszona, czym? Jakby nim, że otwiera szeroko oczy, że chwyta go za rękę, a nim te wszystkie efekty, jak również i kilka jeszcze innych wrażeń, elementów i myśli nabrało mocy i zdołało się zindywidualizować, usłyszał:

— Ach, jak mnie pan przestraszył!

— To moja wina, pani mi łaskawie wybaczy, prawda?

— I ja pana przepraszam.

—??

Wpatrywali się w siebie z coraz większym zakłopotaniem.

— Czy ja przypadkiem nie widziałem już gdzieś pani? Mam takie uczucie jakby...

— I ja również.

— Ale to było chyba przelotnie, bo...

— Ach — krzyknęła lekko — to pan... to pan... czy to pan był wczoraj rano w Łazienkach?

Momentalnie poznali się: on — „córkę Rubensa”, ona — tajemniczego natręta, popisującego się talentami detektywistyczno-naukowo-logicznymi.



— Bardzo mi przyjemnie — wybąkał nieco zmieszany redaktor.  
Ona była zaskoczona niemniej, ale co ciekawsze — była oszołomiona.  
— Pozwoli pani, że się przedstawię.

Wymamrotał pośpiesznie i rytualno-niedbale swoje nazwisko. Jednocześnie spostrzegł, że „córka Rubensa” zrobiła się jakby nieobecna myślami. Odczuł to nieprzyjemnie jak zrozumiały skutek jego wczorajszego natręctwa i już chciał pożegnać i przeprosić ją, gdy ona znów chwyciła go za rękę, tym razem kurczowo i z nagłą determinacją. Powiedziała cicho:

— Szukam rady.

— Co?

— Szłam właśnie do przyjaciółki, żeby...

— Czyżby nowa kłótnia z mężem?

— Niech pan da spokój... — Stała się poważna, a oczy jej smutnie spoczęły na Guranie. — Nie wiem... działam teraz pod wpływem impulsu... Jak przypomniałam sobie, że to pan, przyszło mi do głowy, że... że... Czy chciałby mi pan coś poradzić?

— Ależ chętnie — zapewnił, lecz przestraszył się odrobinę — jeśli to będzie tylko w mej mocy, jakkolwiek...

— Proszę się nie lękać, szukam tylko rady. Nie znam pana, ale uczynił pan na mnie wrażenie niemal magiczne, tak jakbym słyszała jasnowidza.

Uśmiechnął się kontent i słuchał uważnie. Ona mówiła dalej:

— To rzeczywiście było zdumiewające. I oto wydarzyło mi się dziś coś... no, muszę koniecznie poradzić się kogoś mądrego, co mam robić... a tu pan, taki detektyw, więc...

— Rozumiem: korzystna koincydencja, którą chce pani wyeksploatować. Jeśli sprawa nie jest zbyt drażliwa i uważa pani, że mogę się przydać, służę chętnie.

Teraz dopiero nawiedziły ją skrupuły, obrzuciła postać Gurana niepewnym wzrokiem, zastanawiała się i milczała; on także czuł rosnącą z minuty na minutę niezręczność sytuacji; ostatecznie całe to zdarzenie miało posmak nieortodoksyjny towarzysko i mogło zrodzić nie-miłe rozczarowanie.

— Może więc pójdziemy do jakiejś kawiarni — zaproponował niewyraźnie.

— Ach, nie — zaproponowała — to niepotrzebne, nie, może... inaczej... proszę mnie odprowadzić kilka kroków.

Ruszył za nią posłusznie, a w skrytości ducha ucieszył się, że niespodziewana przygoda nie oddała go od domu; wspomniał o dopiero skończonym forsownym treningu i o swych czterdziestu latach.

— Proszę pana, co powinien zrobić człowiek, który przypadkiem znalazł się w posiadaniu dokumentów, może ważnych dla milicji, ale nie chce się dać osobiście wciągnąć w wir wypadków, nie chce świadczyć, narażać się na różne formalności i niewygody? Czy nie będzie najlepiej wysłać je bezimiennie pocztą? Chyba tak?

— A mąż pani?

— Ach, mąż! Właśnie różnimy się w poglądach, on uważa, że trzeba to zrobić osobiście.

— Hm, pani zaś?

— Ja uważam, że nie podobna wymagać, byśmy wniknęli się w sprawę niebezpieczną, dlatego tylko, że przypadek dał nam w ręce jakieś strzępy materiałów czy coś w tym rodzaju.

— No, lecz może i ten „przypadek” ma znaczenie?

Za całą odpowiedź otrzymał wzruszenie ramion.

— Czego więc pani spodziewa się ode mnie?

— No, rady, co mam zrobić.

— Zgodzić się z mężem.

— I pan też to samo?...

— Tak, szanowna pani, i ja też.

— Gdyby pan wiedział, o co rzecz idzie, może rada inaczej by brzmiała?

— No, ale nie wiem.

— To są jakieś papiery związane ze sprawą rektora Tragi, który — o czym pan pewnie nie słyszał — popełnił w niedzielę samobójstwo.

Guran stanął jak posąg.

— Co? Co pani powiedziała?

— Jego notatki naukowe czy coś w tym rodzaju; to na pewno nie ma znaczenia, ale dla spokoju sumienia chcę je wysłać do milicji lub gdzie indziej.

Spojrzała na niego i przestraszyła się.

— Co się stało?

— Tragi? Rektora Tragi? — Za wiercił się jakoś pociesznie, a krew zabarwiła mu policzki szkarłatem.

— ??

— Proszę pani, ja tu mieszkam o kilkanaście kroków, o tamten dom na prawo, za tą furtką; błagam, niech pani pójdzie ze mną, to niesłychane, o tamten dom, potrwa niedługo... niesłychane. — Złapał ją za rękę i niemal przemocą pociągnął za sobą. — To niesłychane, notatki Tragi, pani nie wie, co to dla mnie znaczy, tu, jeszcze kilka kroków...

— Co się stało? — powtórzyła z lękiem.

— Pyta się pani, co się stało? Ładne md pytanie! To ja się pytam pani, co się stało? Notatki Tragi... bagatela... ładna niespodzianka ...proszę tędy i przez ogródek... pani się pyta?

Guran trząsł się niemal z emocji, wyciągnął z kieszeni klucze, a otwierając drzwi, odwrócił do niej głowę i rzekł:

— Wiedziałem, czułem raczej, że gdzieś muszą być jakieś jego papiery, czy pani rozumie — spadek naukowy... ale nie, skądże może pani wiedzieć. — Proszę.

Córka Rubensa jednakowoż nie kwapiła się teraz z wejściem; jak dotychczas miała ochotę na szukanie rady, tak ją nagle straciła. Guran ciągnął ją do środka niemal przemocą.

— To dziwne — szepnęła — co za reakcja, pan, widzę, jest ogromnie tym zainteresowany? Czy mogę wiedzieć dlaczego? Pan rozumie...

Guran bez słowa wskazał jej tabliczkę z nazwiskiem na drzwiach.

— Nie jestem pewien, czy to powie pani coś, ale być może...

Nie powiedziała: odczytała i przeniosła pytający wzrok na Gurana.

— Wszystko jedno; daję pani słowo honoru, że lepiej trafić pani nie mogła.

Wkrótce siedziała w gabinecie za biurkiem, słuchając jego wyjaśnień.

Gdy skończył, zauważyła po prostu:

— Dziwnie się plecie czasem na tym świecie. — Otworzyła obszerną torebkę i wyjmując niewielki plik papierów, wyjaśniła: — Mój mąż znalazł to na ulicy Oczki, najlepiej, jak oddam to panu, a... a... pan niech robi z tym, co zechce.

— Skąd pani wie, że to są papiery Tragi?

— Proszę zobaczyć.

Rozłożył szybko arkusze i dostrzegł z lewej stromy u góry pieczętkę Tragi, taką, jakiej często używali lekarze na papierach do wypisywania recept.

— W którym miejscu znalazł te dokumenty?

— Niedaleko Zakładu Medycyny Sądowej, leżały pod murem, tak jakby komuś wypadły w pośpiechu, czy coś w tym rodzaju.

— Czy mogę prosić panią o nazwisko?

— Nie!

Guran, który oglądał arkusze na razie powierzchownie, oderwał wzrok.

— Racja, pani jest uparta, ale obawiam się, że to będzie nieodzowne.

— Panie redaktorze, zaufałam panu — rzuciła z wyraźną przestrogą.

— Droga pani, przecież trzeba się orientować, to jest ważna sprawa.

— Niech będzie ważna, ale bez nas, beze mnie i bez mojego męża.  
— Hm — zmartwił się — apeluję do pani rozsądku.  
— A więc dobrze, proszę, niech pan zapisze: Ewa i Jan Porkowscy, ulica Paryska 2.  
Boże! gdzie pan chce pisać, nie na tych papierach, gdzie indziej.

— Przepraszam panią, rzeczywiście...  
Zanotował i schował adres do portfela, potem otworzył szufladę i schował cenne papiery.

— Uff — odsapnął — to ci karuzela! — Wyciągnął chusteczkę i wycierał pot z zaróżowionej twarzy.

— Zobowiązuję jednak pana, że skorzysta pan z adresu tylko w ostateczności.

— Przyrzekam pani.

Uśmiechnęła się do niego prawie wesoło, lecz on nietaktownie nawet nie zareagował, pograżony w rozważaniach; paliła go gwałtownie nieodparta chęć natychmiastowego przeczytania dokumentu, ale ta siedzi jeszcze i jakby nie miała zamiaru ruszyć się, a niedługo przyjdzie Pogonowski z narzeczoną.

— No to dziękuję pani, proszę mi ufać.

Odwrócił oczy na sufit.

Wstała.

— Pięknie pan mieszka.

Guran, uradowany, że wizyta zbliża się do końca, zerwał się chyżo zza biurka i już znacznie życzliwiej odparł:

— Czy ja wiem?

— Na pewno pięknie, niech mi pan wierzy, to nie komplement, a... a... pan wciąż — jak się domyślam — niezonaty.

Guran wzniosł natychmiast oczy nabożnie do nieba.

— Dzięki Najwyższemu!

— Nie można powiedzieć, żeby pan był czarujący.

Poskoczył do niej i rzekł już niemal serdecznie:

— Proszę się nie gniewać.

— Wiem — wyciągnęła doń rękę — wy mężczyźni zawsze jesteście jednacy — duże dzieci.

Poszła.

A Guran zatrzymał się na chwilę, powoli zamykając drzwi, i medytował: Duże dzieci? No, no, nigdybym nie pomyślał, ładne dzieci... zbrodnicze dzieci. — Po czym pobiegł jak mógł najszybciej do biurka, wyciągnął papiery, zapalił wspaniałą lampę, stojącą na biurku, zgasił resztę świateł, otworzył okno, bo poczuł, że mu bardzo gorąco, powachlował się dłonią, zasunął ciężkie story, by odseparować się od świata, ulicy, a nawet pierwszych gwiazd na niebie, skoczył jak kot do biurka, spojrzął na zegar tykający pod obrazem i mruknąwszy: „no, zdążę”, padł w fotel i zagłębił się w papierach.

Kartki, wypełnione równym, porządnym pismem maszynowym, leżały oto przed nim, a on drżąc wewnętrzną emocją zaczął je przeglądać. Nie miały tytułu, strony zostały wyrwane lub zgubione w większej całości, to dostrzegł niezwłocznie. Mruknął:

— Leonidasie, *Festina lente* \*.

Wyprostował się powoli w fotelu, wyciągnął ręce, przeciągając się, aż stawy zatrzeszczały i dodał:

— To może być ważne... masz szczęście, chłopie...

Utopił wzrok na sekundę w pustej przestrzeni i rzekł do siebie na głos i wyraźnie, jak to miał często zwyczaj robić:

— Przypadek czy podstęp?

\* *Festina lente* — śpiesz się powoli.

Po chwili absolutna cisza królowała w tym gabinecie. Czytał.

„Gdy człowiekowi ucinają głowę, umiera z dwóch powodów: z upływu krwi i z przecięcia systemu nerwowego. Rozcinając rdzeń, uniemożliwiamy oddychanie. Płuca nasze pracują automatycznie na skutek nieustających rozkazów-depesz płynących z mózgu do mięśni klatki piersiowej.

Teoretycznie od razu więc nasuwają się wnioski: po pierwsze — zatamować upust krwi; po drugie — zastosować sztuczne oddychanie. Gdyby głowę Robespierre'a wstawiono natychmiast do pompy tłoczącej krew, to mniej więcej po upływie pół godziny otworzyłyby oczy i zaczął mówić lub, co prawdopodobniejsze — krzyczeć, tak jak czynią to moje «głowy».

Jeden z żyjących obecnie biologów angielskich, marksista Bernal, sądzi, że udałoby się w takim przypadku doprowadzić do odrośnięcia nerwów, za pomocą których można by poruszać mechanicznym ciałem. Pracuję nad tym i mam niezłe rezultaty. Niezadługo będziemy chronić najtęższe głowy przed zbyt pośpieszną śmiercią i rzeczywiście niezadługo doczekamy się, że tu i ówdzie wybitni intelektualiści czy w ogóle wybitni ludzie trwać będą w tej formie po zgonie ciała lub po amputacji ciała nieuleczalnie chorego, na przykład na raka. Ale ludzie sądzą, że rodzaj tego bytu będzie straszny i do zniesienia tylko dla jednostek altruistycznych, żyjących więcej ludzkością i jej sprawami nie własnymi. Bio-biblioteka będzie dla nich — mówią — symbolem poświęcenia, a nie szczęścia. Oceniają to jako totalne kalectwo, jako najwyższą formę kalectwa. Ja też tnie czynię z tego ekstatycznego szczęścia. Ten rodzaj długowieczności będzie jednak złem koniecznym, nie wynajdziemy bowiem lepszej i bardziej naturalnej drogi. Twierdzą niektórzy, że wysuwanie owej formy bytu jako zasady, to znaczy formy «głowo-maszyn» jest przykładem odrywania się od rzeczywistości, od podłoża biologicznego, że kryje się za tym fałszywa filozofia, że z kalectwa pragnę uczynić fundament długowieczności, że tymczasem droga naturalna jest drogą biologiczną, drogą Miecznikowa, Woronowa, Steinacha i Bogomolca, drogą rosyjską: zdobywania sekretów organicznych, a nie — zastępowania organizmu maszyną. Nie mają racji. Jeden z moich rywalów wierzy, że znajdzie ową drogę «naturalną», jego eksperymenty i teorie, które...”

Tu kończyła się strona i urywał tekst.

Guran wyprostował się zwolna i niewidzącymi oczami wodził po cieniach gabinetu. Myśl jego zatopiona wciąż była w tym, co przeczytał, została uwięziona jakąś osobliwą kotwicą w pewnym miejscu tekstu.

Powstał. Przechadzał się, zatrzymywał i znów chodził, ciało wykonywało ruchy bezwiedne, nie kontrolowane, mózg zaś czepiał się tajemnicy; czynił to z wysiłkiem i móżdżem, bo tajemnica była trudna do uchwycenia, jak oślizły kamień na dnie morza. Lecz mózg jego starał się upodobnić do ośmiornicy, której ramionom nic się nie oprze.

Usiadł znów i przeczytał dokument po raz drugi od początku do końca. Opadł teraz plecami w głąb fotela, przymrużył powieki. Dał się słyszeć głos, Guran rozmawiał sam z sobą.

— Nie, to nie był punkt wyjścia. Nic nie pojmuję.

Zamilkły jego usta, trwał nieporuszony w kręgu nieruchomego światła, płynącego spod abażura.

— Tak, to właśnie zrobił... Lecz jakżeż mam teraz pogodzić... po co?... nic nie pojmuję. — Znów wziął się do czytania. Teraz położył palec na jakimś fragmencie. Wpatrywał się. Nagle oczy otworzyły się, a z ust wybiegł jeden jedyny dźwięk, raczej szmer...

— Prokasz!

Chwilę trwał w bezruchu, lecz oto zerwał się z rosnącymi błyskawicznie oznakami podniecenia; zaczął krążyć niecierpliwie, był już oto prawie nieprzytomny. Szarpnął się gwałtownie i stając pośrodku pokoju, rozłożył szeroko ramiona i szeptem, świszczącym z emocji, powtarzał:

— Rozumiem! Tak, zrozumiałem! Rozumiem! Nie może być inaczej. — Miałem rację. Liczba zabijających jest ograniczona. Nie złapie mnie w fałszywy potrzask.

Ktoś zapukał do drzwi frontowych. Usłyszał drepające kroki gospośi śpieszącej otworzyć gościom. Oprzytomniał. Schował papiery Tragi do szuflady, po czym stanąwszy, czekał.

Lecz sprawy okazały się z czasem bardziej skomplikowane. Był podstęp, był i przypadek: wszystko pomieszało się okrutnie, jak to czasem przydarza się na tym nie najlepszym ze światów. Nawet niezwykły intelekt redaktora Leonidasa niezdolny był sprostować pogmatwaniu i odróżnić jednego od drugiego, a w szczególności, gdzie i w czym ukazała się ręka losu, a gdzie i w czym — ręka człowieka. A najważniejsze: która ręka dzierżyła wyrok. To go niepokoiło. Tymczasem wyciągnął własną rękę ma powitanie gości.

## IX

### TRZY SCENY, KTÓRE DUŻO OBIECUJĄ

W tym samym czasie prokurator Lorek i Krogulczy Nos nachylili się zgodnie ku sobie, zasiadając w wygodnych fotelach. Prokurator przybył, by wysłuchać sprawozdania z wyników śledztwa. Krogulczy Nos — rzecz prosta — stawiał się bez papierów: wszystko miał odfotografowane w głowie na wieki, a jeśli nie na wieki, to do samej śmierci.

— Czy mogę zacząć?

— Proszę, czy jest coś ciekawego?

— To już zostawiam do oceny panu prokuratorowi. — Skłonił się sztywno. — Najpierw więc Topolski.

Dokonał wczoraj jakiegoś wielkiego odkrycia. Asystent jego twierdzi, że oznaczałoby ono całkowity przewrót w życiu biologicznym ludzkości, a nawet całej ziemi; miał na myśli możliwość zmian w sposobie bytowania zwierząt, roślin i w ogóle — jak się wyrażał — „sposobie bytowania białka”, zrobił przy tym taką minę, że odniosłem wrażenie, jakoby to istotnie było ważne. W zeznaniu swoim kazał dopisać, że uważa za prawdopodobne, iż właśnie owo odkrycie stało się powodem śmierci jego profesora. Co do mnie, też skłonny jestem dopuścić tę okoliczność. Mamy w każdym razie ewentualny motyw. Cóż, kiedy stanowczo twierdzi, iż nikt poza nim i żoną Topolskiego o odkryciu nie wiedział i wiedzieć nie mógł, a Topolski zginął. Dlatego użył trybu warunkowego, mówiąc, że odkrycie „oznaczałoby” przewrót. Sekret odkrycia przepadł.

Po drugie: Topolskiego zabito przez ogłuszenie i odcięcie głowy przy użyciu albo jakiejś ręcznej gilotyny, podobnej bardzo do tej, której używał Traga, albo w jakiś inny sposób, ale szybki. Po trzecie: Przetrzęsaliśmy dziś rano mieszkanie Prokaszka. Wszystko w porządku, najmniejszego podejrzanego śladu! Po czwarte: W mieszkaniu Gurana również nic nie odkryliśmy. Po piąte: Guran widuje się ukradkiem z profesorową Lotharową.

— Co? — Prokurator zerwał się jak człowiek, któremu właśnie oświadczono, że siedzi na zegarowej bombie. — Co pan powiedział?

— Powiedziałem.

— Guran z Lotharową? — dopytywał się Lorek.

— Owszem: Guran z Lotharową.

— Czy wiadomości o poszukiwaniu przez Lothara jakichś papierów naukowych potwierdzają się?

— Potwierdzają się, jakkolwiek powoli posuwam się, bo tajemnice i ostrożność zainteresowanych zagęszczają się. Więc tak, owszem — Lothar krótko współpracował z Tragą nad pewnym zagadnieniem teoretycznym. Szybko jakoś się rozeszli. O co? Nie wiem. Lothar dowiedział się widać właśnie wtedy o naturze badań, a może i eksperymentów byłego rektora, zapalał żądzą wielkich dzieł, wielkich odkryć. Z wywiadów wiem, że to był uczony o wie-

lkich zdolnościach i świetnie się zapowiadający. Teraz, panie prokuratorze, ślęczy po nocach i pracuje, pracuje, pracuje; żona jego jak cień snuje się koło niego, pilnuje, pomaga swoją obecnością i wytrwałością; ale najważniejsze: kontaktuje się z Guranem. Ta sprawa wyskoczyła mi nagle. Przyznam się, że to była niespodzianka. Mam wieloletnią rutynę i tak zwanego „nosa” — nie sądziłem, by można było wyrysować jakieś znaki, jakąś linią: Traga-Lothar-Guran.

Prokurator odsapnął raz i drugi, po czym siadł z powrotem.

— Nie do wiary — zamruczał. — Przecież on tak dzielnie tropił Tragę. Czyżby... czyżby... dla wydarcia mu tajemnicy i obrócenia jej na własną korzyść?

— Czy mogę dalej?

— Jazda, jedź pan, tylko szybko, bo stracę głowę do reszty.

— Więc doniesiono mi, że wczoraj Lotharowa widziała się z redaktorem. Sama wiadomość oczywiście nic nie znaczy, ale — i teraz następuje coś ciekawego — gdy spróbowałem sprawdzić u Gurana, w sposób pośredni oczywiście, jak i po co? to on oświadczył, że profesorowej nie zna! Zatem ukrywa! Ale co? Może romans? Nie! Dziś podsłuchaliśmy rozmowę telefoniczną Lothara z żoną. Taka sobie. Mówili o drobnych sprawach bieżących, lecz na końcu Lothar rzucał pytanie: „Czy będziesz widziała się z Guranem?” Ona odpowiedziała: „Tak”. Więc wie o tym i posługuje się żoną dla kontaktu.

Prokurator sapał coraz głośniej.

— Niestychane, niestychane! — Potem dodał: — No dobrze, ale w rezultacie informacje owe nic dokładnie nie wyjaśniają; należy ślad ten nadal mieć pod obserwacją.

— Rozumie się, panie prokuratorze. Po szóste: Sprzątaczką w Zakładzie Medycyny Sądowej znalazła dziś rano jakieś papiery na podłodze w korytarzu na pierwszym piętrze. Był na nich stempel rektora Tragi, więc pomyślała, że trzeba je najlepiej odnieść do gabinetu Tragi. Zrobiła to, położyła je na biurku. Chcieliśmy je zabrać. Chcieliśmy, ale nie zabraliśmy.

— Dlaczego? — zapytał Lorek.

— Bo już ich nie było!

— Znów! Znów kradzież!

— Tak.

\*

Lothar podźwięgnął się zniechęcony i zmęczony, trzasnąwszy wściekle ołówkiem po rozsypanych po stole notatkach. Zdjął z nosa modnie w ośmiokąt wykrojone okulary, bez oprawy, natomiast ze złoconą resztą, i podszedłszy do lustra, przyjrzał się sobie uważnie i z bliska. Oczy miał przekrwione. Poza tym jednak uczył w sercu swym aprobatę. Lubił swą twarz — istotnie męzczyzny przystojnego i przy okazji przeglądania się czynił zazwyczaj acz bezwiednie (z długiego nawyku) różne „wyrazy twarzy”. Poprawił będące cokolwiek w nieładzie włosy, czarne i świecące przyjemnie brylantyną.

Spojrzał z en face, potem z trois quart, potem z nieco większego oddalenia, odchylając głowę do tyłu; wreszcie ze wzruszeniem ramion, jakby chwyciwszy drugą myśl bardziej rozsądną, oddalił się od zwierciadła, a zbliżył do karafki stojącej kusząco na pobliskim stoliku.

— Do diabła z żółtawym barwnikiem w starzejącej się komórce — mruknął — sam prędzej zestarzeję się i zwiędnę, niż odgadnę jego związek ze starością. A już sądziłem, że sprawę rozwiązałem. Do diabła z tym wszystkim.

Nalał ostrożnie aż do samego brzegu kieliszka, nie uroniwszy ani kropli, po czym podniósł go.

— O wodo życia — powiedział gorzko-ironicznie — rzekoma sprawczyni mojego upadku, przepraszam cię. To nie ty. Ja wiem: to ja. Ja i moja słabość, i mój parszywy, pechowy los. Ja sam i okoliczności, ty zaś przysłaś potem, pokryłaś swoim kosztem, swoim nazwiskiem moje błędy; na ciebie ludzie zwalają moje upadki. Przepraszam cię.

Wypił i zaraz nalał rozważnie i ostrożnie drugi.

— Tak, nie miałem szczęścia do kobiet! — Znów wypił.

Zgasił lampę. Było bardzo późno. Włożył ręce do kieszeni i zagapił się. Przez okna wpadały promienie latarni ulicznej stojącej naprzeciw, obejmując jego postać niewyraźnym płaszczem świetlistym.

— Psiakrew, dokąd ja dojdę... — Skrzywił się szyderczo. — Ja?... raczej dokąd mnie dojdą... dokąd mnie popchną.

Przetarł bolące oczy, odwrócił się od okna i utonął w cieniu. Ale i stamtąd wydobywać się poczęła skarga.

— Silna wola! Prymat woli nad intelektem! Wola! Zagadnienia, same zagadnienia. Arystoteles i Kartezjusz, Duns Skot i Epiktet, Fichte i Kant, no i także Nietzsche i Schopenhauer, no i także... — Ucichło. Z ciemności nic nie dochodziło. — Po chwili: Albo na przykład wolna wola! Etyka, determinizm, psychoanaliza, mistyka i diabli jeszcze wiedzą co i kto? A ja na przykład nie wiem, co to jest wola.

Zagulgotało w kieliszku, a potem w gardle. Cisza. Martwe światło czekało na wieści z żyjącej czerni.

— Ale wiem, co to jest tragizm. Wielkie słowo: tragizm! Ale parszywa prawda i lichy los. O Lotharze, Lotharze — jęknął cichutko — zmarnowałeś życie; to straszne i nieodwracalne... już niczego nie dokonasz... możesz jeszcze tylko oszukać... świat... Ale siebie? Oszukać... okraść... i... ale nie siebie!

Z ulicy dobiegł ciężki turkot wozu, zagrzmiał, przegrzmiał i ścichł; ktoś wchodził na schody, ktoś brzdęknął w fortepian, chyba przez pomyłkę, bo zaraz ucichł. Z mroku wysunął się cień Lothara, popłynął wzdłuż pokoju, potem z powrotem i tak niczym widmo karaweli \* żeglował w swym strasznym świecie straconych okazji i utraconych złudzeń. Sam zaś kapitan wielkiej żeglugi toczył wewnętrzny bój z Maxem Schelerem o istotę tragizmu i o to, czy jest on rysem świata czy człowieka.

Lothar dokładnie zdawał sobie sprawę, w jakim znalazł się punkcie i dokąd zmierza. Był nieszczęśliwy, to prawda, lecz czyhało nań nieszczęście obszerniejsze i znacznie, znacznie głębsze; wzywało go syrenim głosem dno odległe i nęcące, w swój swoisty, straszny sposób, jak każda dojrzała otchłań: zawrót głowy i niczym nie umotywowany mus rzucenia się głową na dół. Niby straszne, a niby wzywające. Instynkt życia czepia się wtedy czegoś twardego i stacza walkę; czasem bywa to instynkt moralny. Wszakże co do Lothara, to owe wszystkie zmagania były blade, anemiczne, odbywały się teoretycznie, intelektualnie bardziej niż uczuciowo. W gruncie rzeczy był to człowiek nie tyle zły, co po prostu słaby, a to wiele wyjaśnia i wiele określa na przyszłość. Był jednym z legionu niby Hamletów, a więc nie groziły mu walki silnych i burze oceanów, co najwyżej straszło nieefektywne utonięcie w błocie.

Usłyszał na schodach kroki żony. Poznał je nieomylnie, jak każdy człowiek poznaje uchem kroki swych bliskich. Powstrzymał bezcelową wędrówkę i nadśluchiwał. Zbliżyły się delikatnie i raczej powoli niż szybko. Zamilkły z tamtej strony drzwi. Dobiegły go dźwięki i drobnutki szelesty i hałasy towarzyszące otwieraniu torebki i wyciąganiu kluczy; stanowiły jakby muzykę komarów wśród martwej ciszy wielkiego lasu.

Nagle wstrząsnęła nim nerwowa fala dziwnej bojaźni. Zawsze tak działo się, gdy ona otwierała drzwi. Nie było to bowiem zjawisko zwykłe. Ta piękna kobieta, elegancka i cicha, ładnie uśmiechająca się — jeśli było trzeba — i niemal dystyngowana, miała niewytłumaczalną lukę w tym korzystnym obrazie. Stanowiło ją właśnie... otwieranie drzwi, ściślej mówiąc, sposób ich otwierania. Klucz w rękę, podniesiony i gotowy do działania. I oto wstrząsa nimi brutalny impet, z jakim przekręca zasuwę w zamku. Moment krótki, nie — tylko bolesny zgrzyt żelaza i drżenie drzwi, krótki, ale tak krótki jak dokonanie zabójstwa. Coś niewiarygo-

\* Karawela — średniowieczny statek żaglowy.

dnego promieniowało z tego gwałtu, jaki zadawała drzwiom, z tej złości, sadyzmu, z tej wreszcie — przestrogi. To było rzucanie się na drzwi. Lothar nigdy nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego nie może przywyknąć do tego, ostatecznie małego defektu; brutalny sposób otwierania drzwi można by zaliczyć do tej samej dziedziny, co nieobyczajne trzaskanie nimi przy zamykaniu. A jednak to ostatnie jest tylko niedbałością, czasem — chamstwem, tamto zaś napawało go nieodmiennie delikatnym lękiem, jakby było symbolem czegoś złego, choć nieokreślonego. Tak otwierała drzwi jego druga żona.

Mruknął niechętnie.

— Znam gorsze nieszczęścia. — Zaświecił lampę, stojącą na małym stoliku, w kącie pokoju i znów zaczął krążyć.

Weszła po jakimś czasie, jeszcze zaróżowiona chłodem nocy jesiennej, ale już z poprawionymi włosami i twarzą. Ogromnie dbała o swój wygląd, jak przystało na kobietę piękną.

Mówiła cicho i potulnie.

— Może wypijesz kawę? Zaparzyć?

— Nie, już piłem, nie mógłbym spać, dziękuję.

— Jak praca?

Uczył ostry grymas ironii i nic nie odpowiedział. Ona usiadła w pobliżu lampy.

— Nie będę ci przeszkadzać?

— Nie, już skończyłem na dziś.

— Czy dobrze wypadło?

— Nic nie wypadło! Jestem przemęczony.

Rzuciła okiem na karafkę i kieliszek, wyjęła z pudełka wełnę i zabrała się do roboty. Wnet druty jej sprawnie migały pod abażurem. Zapanowało długie milczenie, znaczone ostrym *staccato* jego kroków.

— A czy z żółtawym barwnikiem...

Nie dokończyła, bo krzyknął nagle.

— Do diabła z nim, daj mi święty spokój; muszę odpocząć, mam powyżej uszu tego wszystkiego, a ty ciągle mi z tym barwnikiem.

Nie zareagowała wcale: była spokojna, cicha. Gdy wyskoki brutalności jej męża stawały się zbyt jaskrawe albo gdy tak przynajmniej sądziła, dawała czasem wyraz zdziwieniu, zresztą wypowiedzianemu zawsze łagodnie. Tym razem wszakże nie podniosła nawet głowy, a szydełka krzyżowały się pracowicie i podstępnie niczym szpady sławnych fehmistrzów.

— Stoisz jak kat nade mną. Daj spokój. Sam wiem, co mam zrobić i kiedy. Sądzisz, że z nauką, z badaniami to tak jak z urzędowaniem w biurze: przyjść, zasiąść, odsiedzieć i gotowe.

— Nie bądź złośliwy — odpowiedziała. — Wiem, ale pozwól, że będę pilnowała, bo to chodzi o ciebie.

— O mnie?

— Dlaczegoż by nie?

— Moja droga, pozwól, że między sobą będziemy mówili prawdę. O mnie to najmniej. Myślisz o sobie.

— Jesteś niesprawiedliwy.

Znów stanął raptownie.

— Ja? Ty myślisz o mnie? Dobre sobie! A może dbasz o naukę, pragniesz dobra wiedzy, co? Może jesteś altruistką i poświęcasz się dla mnie i dla wiedzy, co?

Złożyła systematycznie i pedantycznie robótkę i siedziała nieruchomo.

— Może to nie ze względu na twoje ambicje i twoje interesy? twoje zawiedzione nadzieje i twoje chętki rewanzu?

— Przestań! — Rzuciła krótko.

— Może to nie ze względu na pieszczone marzenia o sławie i pieniądzech, tak — pieniądzech i samochodzie, którego nie mam, o szykownym mieszkaniu, którego też nie mam...



— Przestań, powtarzam.

— Dość mam twego terroru, twego panowania i... i w ogóle do czego...

Powstała, przerywając mu.

— Za dużo wypileś, stajesz się głupi. Powiem ci teraz ja, co myślę. — A cóż byś robił beze mnie... Czy nie zdajesz sobie sprawy, że nie mamy czasu na takie rozmowy?...

\*

W tym samym czasie Prokasz siedział w fortecy, to znaczy oczywiście w swoim pokoju. Oddzielony od świata i ludzi grubymi ścianami, nabierał spokoju i pewności siebie. Czuł się bezpieczny.

Aby wykonać postanowienie, które właśnie powziął, spisania zeznania, wyznania, oświadczenia lub coś w tym rodzaju, musiał najprzód dostać się do biurka drogą okrężną. Stało bowiem w kącie najciemniejszym, co na razie nie szkodziło, albowiem był późny wieczór i lampka zastępowała słońce; natomiast dojście do niego było nieco utrudnione, jak zresztą do łóżka, do którego włąził po stołeczku. Ulokowawszy się wreszcie przy biurku, miał absolutną pewność oddalenia od tego świata pełnego niepokojów, nieporozumień i gwałtownych namiętności oraz niebezpieczeństw. Na chudej, żółtej głowie, ozdobionej rzadkimi, rozwichrzonymi włosami, tkwiła mała, okrągła czarna mycka z czerwonym chwastem; spadek po dziadku, zresztą ceniony i skrupulatnie używany. Odsunawszy na stronę gazety z ostatnich dwóch tygodni, książki z ostatnich dwóch lat, torebkę z cukierkami (!), grzebień i scyzoryk, karteluszek z notatkami, kilka resztek ołówków i stalówek, mogących się jeszcze przydać, dzisiejsze nie dojedzone śniadanie i wczorajszą nie zjedzoną kolację oraz pewną ilość mniejszych i większych przedmiotów — zabrał się do pisania.

Przedtem jednak, ponieważ było chłodnawo, zsunął klapy spłowiełego, zielonego szlafroka pod szyję, wyciągnął chustkę z kieszeni tegoż szlafroka i głośno wytarł nos; chowając ją z powrotem, zapatrzył się w fotografię pewnej kobiety, przypiętą pinezką do tapety. Fotografia, wystawiona tak bezceremonialnie na trudy i wpływy brutalnej rzeczywistości, zbladła, spełzła, została zapstrzona przez muchy, nadgryziona przez wilgoć, zmatowana przez kurz, słowem — była nieczytelna. Kobiety na niej można się było jeno domyślać, lecz Prokasz mając jej obraz od czterdziestu lat w niezmienionej, romantycznej i — jednak wciąż — dziecięcej duszy, nic nie uronił z pamięci. Widział ją oczami wyobraźni.

Porachowawszy się w ten sumaryczny i króciutki sposób z odległą, ale wciąż żywą przeszłością — notabene, przeszłością, która skończyła się, zanim w sposób właściwy zaczęła — westchnął i wziął pióro do ręki. Napisał drukowanymi literami słowo „Wyjaśnienie”. Przekreślił i spróbował pod spodem: Oświadczenie. Popatrzył, także przekreślił i napisał nad obu przekreśleniami: Zeznanie. Jeszcze raz przekreślił i wykaligrafował o wiele niżej: Do prokuratora Stefana Loraka.

Potem, umoczywszy pióro, pisał tak:

*Wczoraj, to znaczy w poniedziałek, gdy wracałem do domu, byłem tak ogromnie wstrząśnięty morderstwem profesora Topolskiego, a także i okropnym podejrzeniem co do tego, kto mianowicie był chcącym czy niechcącym sprawcą (bo i to drugie mogło wchodzić w grę), że musiałem na schodach nieco odpoczywać, mimo że do drzwi miałem już tylko kilka kroków.*

*Jak wiadomo wszystkim mieszkańcom tego domu, od dłuższego czasu brak żarówki na klatce schodowej i ciemności są dość znaczne, jednakowoż nie tak duże, aby nic nie było widać. Otóż stojąc tak i łapiąc oddech oraz rozpierzchłe siły ciała i ducha, dostrzegłem, że drzwi do mojego mieszkania stoją otworem. Zdziwiłem się, bo nie przydarzyło mi się nigdy zapomnieć o tak elementarnej sprawie, jak zamknięcie drzwi. Nie mogłem tego przegapić, zwłaszcza że bardzo cenię sobie, że tak powiem, odrębność i izolację oraz przywiązany jestem do swoich gratów. Od razu, panie prokuratorze, wiedziałem, że coś się stało; domyślałem się nawet, co mianowicie, ale muszę pisać po porządku, więc o tym potem. Pobiegłem więc do*

*mieszkania, zapominając nawet o niebezpieczeństwie, a mogło być i ono (ale i o tym wspomnę dopiero na właściwym miejscu), zapaliłem światło i stwierdziłem, że włamano się do mnie i ograbiono mnie. Ba! Żeby tylko mnie! Padłem na krzesło, ale — jakkolwiek pan prokurator tego na razie nie pojmie — z radością. Owszem — i ze smutkiem, z pomieszaniem, właściwym takiej sytuacji, ze zdumieniem itd., lecz przede wszystkim z radością. Dlaczego? Otóż właśnie, aby to wytłumaczyć jasno, muszę wpieryw dodać, że nikt na świecie nie wiedział o tym, że...*

Podniósł głowę, bo zdawało mu się, że słyszy jakieś szelesty za drzwiami. Jego mieszkanie było ostatnie na tym piętrze i nikt nie miał powodu znajdować się o tej porze w tej części korytarza... Spojrzał na zegarek. Nadstawił uszu, lecz nic nie usłysawszy, poprawił szlafmycę i zaczął dalej, a raczej pragnął zacząć dalej, bo wybity dystrakcją, stracił wątek. Zastanawiał się tedy i marudził niemałą chwilę, nim stalówka rozpoczęła z powrotem zgrzytliwą wędrówkę opowieści.

*...że ja w moim mieszkaniu miałem...*

Nie, stanowczo za drzwiami ktoś stał. Prokasz uczył, jak gorące ciarki przebiegły mu po grzbiecie. Wytężył uszy. Jednak — cisza.

Medytował, czy to imaginacja, czy nerwy. Prokasz miał się czego bać. Wir wypadków rzucił go w sprawę niebezpieczną, sprawę absurdalną i prawie obłąkaną. Odłożył pióro i nadłuchiwał.

Przywidzenie, poruszył bezdźwięcznie ustami; nerwowo poprawił rozsuwające się kłapy szlafroka i ujął pióro w palce. Po namyśle przekreślił ostatnie zdanie. Zaczął tak:

*Jakim cudem Nieznany Nr 2 wiedział o tym, że znajdzie u mnie, czego szukał, pojąć nie mogę i nigdy tego nie odgadnę. Poza mną nikt o tym wiedzieć nie mógł; podkreślam to z całym naciskiem i absolutną pewnością.*

*Jednak zdumienie płynące z tego faktu zaczęło rosnąć dopiero potem, na razie upadłem na krzesło rad, że moje podejrzenia w związku z morderstwem Tragi nie sprawdziły się. Wyjaśniam sytuację.*

*Włamano się do mego mieszkania prawie dokładnie w tym samym czasie, gdy popełniono tę ohydłą zbrodnię w Zakładzie, zatem, jak mogą sądzić, obie te sprawy łączą się ściśle...*

Tym razem szmer za drzwiami był wyraźny. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że coś się tam działo. Prawie już noc. Nigdy o tej porze nikt tu się nie kręcił. W ogóle nikt tu się nie kręcił o żadnej porze dnia i nocy. Więc? Oddech zmieszał się staremu doktorowi, stał się krótki, płytki i prędko, a nawet nierówny.

Poszukał wzrokiem pewnej kartki; leżała na biurku. Odczytał ją po raz setny i po raz setny mieszał się i tracił w sobie, lękał i zżymał. Znalazł ją po kradzieży właśnie na tym samym miejscu. Nie ruszał jej, tylko często przyglądał się i powtarzał jej idiotyczną treść. Nabazgrana dziwnymi kulfonami, jakby przez człowieka niewprawnego do pisania lub świadomie zmieniającego charakter pisma, śmieszyła go i straszyla zarazem: „Nakazuję milczenie pod groźą śmierci”.

Tyle tylko, ale wystarczy. Cóż to za dziecinne wygłupy? Prokasz nie potrafił do tej chwili ustosunkować się do powagi, a zarazem do płaskości owego świstka papieru. Co za dziecinada!

Przyszło mu na myśl, że może to tani efekt domorosłego przestępcy, mającego się nie swego fachu; lub może po prostu... obłąkanie? Rozważał, kręcił głową, przerzucał podejrzenia. Guran nie był obłąkany i nie można chyba było posądzać go o dziecinadę w tym stylu; Byroń zaś? Lothar? — nie, nie do pojęcia. Jeszcze najprędzej ten ostatni.

Instykt szeptał staremu lekarzowi, że jednakowoż karteluska z groźbą lekceważyć nie należy. Czy źle zrobił, że zawczasu nie powiadomił prokuratora, że nie powiedział wszystkiego Helence i Stefanowi?

Przełknął z trudem ślinę, odłożył pióro możliwie najciszej i zgasił lampę na biurku.

Otoczyły go ciemności. Upłynęły długie sekundy, zanim począł dostrzegać ściany i cienie rzeczy. Uświadomił sobie, nieco zaskoczony, iż nogi lekko mu drżą, zaczął więc mocniej przyciskać je do podłogi. Ale cisza na zewnątrz panowała niezmacona, za to w jego uszach dzwoniła pulsami i szumiała krew. Postanowił tak czekać. Bał się. Biedak miał rację.

## X

### WYKŁAD GURANA O METODZIE

— Dobrze, że jesteście — zaczął się witać redaktor z Heleną i Stefanem — pożądam gwałtownie obecności życzliwych istot; cieszę się, że was widzę.

Uścisnęli sobie ręce.

— I my również radzi jesteśmy — odwzajemniła się Landowska — Stefan pana polubił i nic tylko wciąż gada o panu... a że pan to, a że pan owo, a tamto... wprost zakochał się.

— To niemożliwe — wykrzyknął pochwalony i zaczerwieniony wstydliwie redaktor — kto ma pani serduszko, świata poza panią nie widzi.

— Ale pana jakoś dostrzega!

— Czyżby zazdrość, proszę pani?

Pogonowski wmieszał się uwagą, że ma jednak obawy, czy nie przeszkadzają.

— Jak to, zaprosiłem was i jesteście w sam czas, muszę trochę odsapnąć i koniecznie pogadać.

— Oho — rzuciła ostrzegawczo Helenka.

— Hm — mruknął i spojrział badawczo Stefan.

— Możecie sobie ohać i hmać, ale tak jest; widzicie — czasem myśli się lepiej na głos i przy krytycznych słuchaczach, zwłaszcza zaś dzieje się tak, gdy koncepcje nabierają wyraźnych konturów.

— Oho, redaktor ma hipotezy?

— Hm — dołączył się oszczędnie Stefan.

— Tak czy inaczej, chodźmy wobec tego do saloniku. — Zaprosił ich szerokim, gościnnym gestem do środka.

Stół był już nakryty i zastawiony zimną kolacją. Gospościa spytała, kiedy przynieść herbatę. Teraz czy później? Później, za pół godziny? Dobrze. Wyszła.

Salonik był malutki i służył jednocześnie jako jadalnia. Okna patrzyły na ogródek. Okrągły stół i cztery krzesła na środku, kanapa pod jedną ścianą, mały kredensik pod drugą stanowiły główne meblowanie. Na ścianie wisiał obraz sporych rozmiarów, malowany temperą, przedstawiający jakąś kobietę — symbol z trójkątem w ręku, a kulą i ostrosłupem przy nogach.

Na stole natomiast widać było indyka z borówkami, pasztet zapiekany w cieście, poduszoną kiełbasę wędzoną w jałowcu i ozór w sosie chrzanowym, poza tym sałatkę jarzynową w sosie majonezowym, pomidory czerwone i żółte, surowe ogórki, dynię w occie z korzeniami. Butelka tokaju węgierskiego stanowiła wyniosłą oś tych kolisto rozstawionych specjałów.

— No, no, no — podziwiała Helenka. — Daję słowo honoru, czuję ogromny głód na ten widok i mam nadzieję, że długie dysputy odłożymy na potem, a zaczniemy od...

— Helenko — upomniał odrobinę zgorszony narzeczony.

— Stefanku, nie bruźdź. Podoba mi się ten indyk; a ty jesteś dobrze wychowany hipokryta i nie pokażesz po sobie, że ślinka ci płynie na widok pasztetu w cieście; może nie przepadasz za pasztetem? co?

— Owszem, ale...

— A zwłaszcza w cieście? co?

— Owszem, ale...

— A nie wspominałeś, że jesteś głodnawy?

— Ale...

— Nie aluj, pan redaktor jest swój chłop i nie obrazi się. Nie udawaj małojadka.

— Helenko!

Guran mimiką i pantomimą wyraził, że zgadza, się z nią, a nie z nim. Tymczasem Helenka usiadła już przy stole; Stefan, kręcąc karcąco głową, obok niej, a redaktor naprzeciw nich.

Gospodarz rzekł:

— No, to do dzieła, zacni goście.

Guran i Helenka jakby zapomnieli o kłopotach, przestroгах i znakach zapytania. Co do Stefana, trudno wiedzieć: zawsze był kamienny. Stary tokaj wkrótce zrobił przecież swoje: przelał gorące słońce, zamknięte kiedyś w gronach, do ich krwi.

Oczy Gurana, zielone i marzące, stały się jeszcze jaśniejsze i jeszcze bardziej marzące. Helenka tryskała żywotnością i szukała pilnie sposobności do zadziwienia obu panów swoimi wyrażeniami i formułowaniem „prawd życiowych”. Stefan również począł odczuwać błogi, wysokogatunkowy ciepłik, rozlewający się po kanałach duszy.

Czas upływał. Wniesiono wreszcie herbatę w olbrzymim porcelanowym imbryku i kruche ciastka oblewane czekoladą.

— Jak babcię kocham, co za ciacha! Gosposiu, ozdobo rodzaju ludzkiego, skąd przybyłaś do nas, mówże prędko!

— Z Raciąza, proszę pani — odparła „ozdoba rodzaju ludzkiego”, nieświadoma finezji pytań retorycznych.

— Z Raciąza? Skąd znowu! Z Olimpu lub Paryża! — entuzjasmowała się.

— A jednak, proszę pani — z Raciąza.

— Na brodę proroka, dajcie czym prędzej te kruche ciasteczka — jęknęła komicznie.

Gospościa była w siódmym niebie.

Helenka przesiadła się z herbatą na kanapę, a panowie, odwróciwszy nieco krzesła, rozsiadli się wygodniej przy stole.

— Redaktorze — zaproponował Stefan — przydałaby się jakaś rozrywka towarzyska... hm... może zechciałby pan popisać się swoją słynną dedukcją.

— O świetnie — przyłączyła się do ataku Landowska oglądająca jednocześnie z nabożną uwagą maluteczkie ciasteczko.

— Dedukcją? Można to i tak nazwać. — Mrugnął szelmowsko do Stefana i bez dalszych wstępów zagadnął. — A wie pan, co powiem, żeby pana olśnić?

— Nie, nie mam pojęcia.

— Dziś rano sam pan czyścił sobie buty; dlaczego? Zazwyczaj robi to kto inny!

Pogonowski, otworzywszy szeroko usta, spojrzął ostro na Gurana.

— Do licha, skąd pan to wie?

Helenka przestała chrupać kruchy smakołyk.

— No... to proste i skomplikowane zarazem; gdybym chciał dokładnie wytłumaczyć, musiałbym wysupływać się co najmniej z kwadrans, więc pozwólcie, że zasygnalizuję wam skrótowo. Ale powtarzam przedtem pytanie: dlaczego?

Pogonowski namyślał się flegmatycznie, wreszcie odparł:

— Weroniki nie było w domu, nawet nie wiem dlaczego; ja zaś musiałem wcześniej wyjść, no więc sam oczyściłem sobie buty.

— Otóż to wyszło z pożytkiem dla pańskich butów — oświadczył poważnie z komiczną miną Leonidas. — Niech pan obejrzy obcasy.

Wszyscy poczęli oglądać obcasy.

— No i co? — zastanawiał się na głos asystent.

— Pani Heleno, co pani może powiedzieć o nich — skomenderował Guran.

— Że są doskonale wyczyszczone.

— Słusznie, ale lepiej czy gorzej niż reszta butów?

— O, lepiej: błyszczą jak latarnie!

— No właśnie — przytaknął Guran.

— To co z tego? — spytał Pogonowski.

— To z tego, że zazwyczaj lepiej błyszcząły u pańskich butów noski; jest to zresztą zgodne z ogólną ludzką tendencją: dbać o to, co widać, pracować i nosić się prestiżowo, a w szufladach to już nie zawsze jest porządeczek; łatwiej żyć na pokaz niż naprawdę; poza tym pedantów jest mniej niż niedbaluchów, o wiele mniej.

— Aha, więc stąd wykalkulował sobie redaktor, że buty czyścił kto inny?

— Tak; wyglądają dziś inaczej niż zazwyczaj.

— A że ja to uczyniłem?

— No, bo pan jest właściwie pedantem, i to wyjątkowym i nie tylko pedantem: dokładny, spokojny, flegmatyczny, kocha się pan w „czystej robocie”. Czyż trudno było odgadnąć? Rzadko kto czyści w ten sposób buty i trudno przypuścić, by w pana otoczeniu znalazła się osoba o podobnych skłonnościach.

— Brawo — krzyknęła Helenka, połykając błyskawicznie ciasteczko.

Pogonowski wpatrywał się długo w Gurana. Wreszcie rzekł.

— Owszem, to jasne... to bardzo niebezpieczne.

— Dlaczego? — zaprzeczył ubawiony gospodarz.

— Czy nie pojmuje pan? Taka potęga obserwacji!

— No, w każdym razie nie dla pana niebezpieczne, panie Stefanie. A poza tym chciałbym dodać, że obserwacja to tylko połowa metody rozwiązywania zagadek.

Popijał herbatę, zastanawiając się nad czymś. Helena spoważniała, przestała szarżować i przesadnie zachwycać się łąkociami; odstawiła szklanekę z herbatą, splótła dłonie na kolanach i gdy spoglądała na Gurana, wyraz troski zagościł na jej zazwyczaj uśmiechniętej twarzy. Odrzucała ruchem głowy kasztanowate włosy. Wszyscy naraz zamilkli. Myśli ich rozpieczęły się, niby w różne strony, a jednak...

Wstała. Gdyby kto miał teraz czas przyjrzeć się jej strzelistej, zgrabnej figurze i pięknemu, ostremu profilowi, byłby oczarowany. Oto element młodości wśród ciżby ludzi starych lub starszawych, pochłoniętych sprawami ważnymi i dramatycznymi; oto kontrast, oto zwykły, przyjemny świat, świat ludzi bez wielkiej troski, trochę naiwny, trochę nieodpowiedzialny, przeciwstawiający się ich rzeczywistości na puzonie, często wielkiej, ale i od czasu do czasu dętej.

Jednak wesoła „Skrobimarchewka” jak ją zwano w domu, przestawała coraz częściej być „wesołą”.

Stanąwszy na końcu pokoju, objęła wzrokiem obu siedzących, pochylanych w zamyśleniu mężczyzn.

— Panie redaktorze — zaczęła — czy wie pan, że wczoraj, gdy w Zakładzie Medycyny Sądowej ginął profesor Topolski, w mieszkaniu mego wujka również coś się działo, tylko nie wiemy co, bo fakt ten ukrywa z jakichś nie docieczonych powodów? Myślę, że okradziono go? Jakkolwiek dziwię się, bo co mogli mu skraść? Poczciwy staruszek, zamiast martwić cieszył się, bo odpadły mu w tym czasie jakieś na kogoś podejrzenia.

Guran uniósł nieznacznie głowę i słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

— To prawie śmieszne: czego szukali u tego altruistycznego safanduły? Po wtóre... — jakby przykre wahanie zatrzymało ją na sekundę — odradzał nam dzisiejszą u pana wizytę...

Guran wciąż unosił powoli głowę.

— ...odradzał, bo bał się czegoś czy może podejrzewał... — wzruszyła ramionami. — Mówię to panu, bo mam zaufanie do pana talentu. Powiadam krótko: nie podoba mi się ta

sprawa.

Stefan przytaknął ostatniemu zdaniu i dodał wyjaśniająco:

— Słuchajcie: niedziela wieczór — ginie głowa Hugona, potem ginie aparat, czyli dwa ataki jednego wieczoru; (poniedziałek wieczór — umiera Topolski i ginie coś u Prokasz, czyli dwa ataki: razem — cztery przestępstwa w ciągu doby. A co dalej? Dziś mamy wtorek i znów jest wieczór; przyznam otwarcie, iż jakkolwiek jestem z natury opanowany i nieskłonny do nerwowości, zaczynam odczuwać zabobonny lęk. Nie o siebie — machnął wymownie ręką i skierował spojrzenie na Helenkę... — jej nie odstępuję na krok... ale i nie to, przecież ona nie jest zaplątana w tę piekielną historię... no, po prostu dostałem jakiejś drzączki duchowej.

Głowa Gurana wciąż ledwo widocznym ruchem windowała się do góry.

— Co pan myśli o tej żywołości, tej ilości wypadków? — dopytywał się Stefan.

— Nic nie myślę.

— ??

— Nie chcę myśleć — powtórzył dokładniej Guran.

— Nie chce pan myśleć? Jak mamy to rozumieć?

— Moi mili, nie chcę zginąć w tym gąszczu, w gąszczu łatwo zabłądzić, prawda?

— Tak, prawda, ale brzmi to jak jakiś paradoks, a tu — przyzna redaktor — nie czas na efekty i kuglarstwo słowne.

Guran podniósł wreszcie głowę i zwrócił błyszczące źrenice na Stefana.

— Kuglarstwo, mów pan? A któż tu jest tym kuglarzem? Gdzie kryje się? Który to z was, z nas, gdzie on jest, komu teraz grozi? I jak? — Wstał gwałtownie. Krzesło odskoczyło od stołu. — Na kogo teraz kolej? A co najważniejsze, po co to wszystko dzieje się? Kuglarstwo? O tak, siedzi tu gdzieś figlarz nad figlarze... Wybacz pan — perorował dalej — nie chcę zginąć w chaszczach, potrzeba mi trochę świeżego powietrza, przestrzeni, by nie dać się zaskoczyć owemu kuglarzowi, by pochwycić go.

Głos tętnił namiętnością niemal teatralną, dzwonił pasją rozżarzoną do białości. Ten człowiek walczył. Tylko z kim i o co? Pytanie to zadawał sobie w duchu Stefan. Helena, zaskoczona nagłym jego porywem i oplatana samymi sekretami, słuchała z natężeniem.

— Mówicie — przeskoczył nagle redaktor — że doktor Prokasz dał wam do zrozumienia, iż coś mu ukradziono?

— Należy się tego domyślać — wyjaśnił Stefan.

— Zaraz, zaraz — śpieszył się Guran — niech ja to posegreguję... nie wszystko na raz... o nie, nie sądzicie, że wleżę w środek gąszczu, nic tam po mnie, pozwólcie, że fakty przebiorę i posegreguję... pójdę za jednym śladem, za jednym tropem... Mówicie więc?... to dobrze, spodziewałem się tego... część papierów Tragi znaleziono na ulicy... podobno na ulicy... może rzeczywiście na ulicy... ale skradziono coś Prokaszowi... to dobrze... tak powinno być... nieważne kto mi przyniósł lub podrzucił część ich... nieważne po co, ważne, że mój trop jest dobry.

Stefan obserwował wybuch na swój sposób, to znaczy jakby go to nic nie obchodziło.

— O ile rozumiem, pan, redaktorze, coś wie i z czegoś ucieszył się, mianowicie z tego, że doktorowi Prokaszowi — jak się teraz orientuję — skradziono jakieś notatki Tragi.

— Ależ nie, nigdy — zaprzeczył — nie z tego cieszę się, tylko z tego, że moje podejrzenia materializują się.

— Więc pan doprawdy domyśla się, kto jest tym sprawcą? — szepnęła raczej, niż powiedziała Helena.

Guran uśmiechnął się cierpko.

— Czy wiem? Może i wiem!

Oboje młodzi zamarli w oczekiwaniu.

— No, to co z tego — ciągnął — wiedzieć to mało, moi drodzy; trzeba dowieść, a to będzie... — zatrzymał się.

— Będzie?... — powtórzyła jak echo Helenka.  
— Będzie trudno — dokończył Stefan.  
— Przeciwnie! Może i nietrudno — zaprotestował redaktor. Słowa te były kulminacyjnym punktem zaskoczeń.

— Nietrudno?  
— Zatem sprawa rozwiązana?  
— Kto więc jest mordercą?  
— Co to wszystko znaczy?

Zasypywali go pytaniami, ale na próżno, on uśmiechał się i czekał. Podtrzymywał efektowną pauzę. Lecz rychło spoważniał, uśmiech znikł z warg. Siadł, a raczej opadł na krzesło.

— Powoli, moi państwo, powoli; nie powiedziałem, że wiem, tylko, że „może wiem”, to jest jednak pewna różnica. Lecz jutro? Tak: jutro będę wiedział!

Wpatrywali się w niego z osłupieniem.

— Jutro?

— Jutro jest środa — zauważył oschle Pogonowski.

— Tak — powtórzył posłusznie redaktor — jutro środa, a dziś wtorek, mam dwadzieścia cztery godziny.

Teraz i Stefan nie był wcieleniem obojętności, rumieńce podniecenia ukazały się mu na licach. Mruknął:

— Nie wierzę.

Helenka zdziwiona, spytała go wzrokiem.

— No tak, to byłoby fantastyczne, bo panie redaktorze, tyle ostatecznie niegłupich ludzi kręci się w szprychach tego koła, a nikt — o ile wiem — nie tylko że nie pojmuje, kto działa, ale nawet i co się dzieje. Więc jakim cudem mógłby się pan już teraz i właściwie chyba bez poszlak orientować? Niewiarygodne! Co prawda daje pan dowody przenikliwej obserwacji: choćby powiedzmy z moimi obcasami, lecz cóż mógł pan zaobserwować w tej sprawie? Same wyniki. Ale sprężyny? Motywy?

Umilkł.

Helenka znów siadła na kanapie z widocznymi objawami podekscytowania.

A czas płynął. Guran stygł emocjonalnie, założywszy ręce za tył głowy, i obserwował sufit. Czekali na niego.

— Moi drodzy — zaczął — oni szukają, a ja... myślę, to nie jest takie cudowne, jak się wam wydaje.

Helena przerwała:

— Owszem, jest cudowne.

— Nie, proszę pani, powtarzam: nie jest cudowne.

— Ależ... — zaczęła, ale dała spokój, by nie przeszkadzać.

— Widzę, że muszę wobec tego zacząć w inny sposób. Wyjaśnię wam dokładnie, dlaczego to jest proste. Dziwiliście się potędze obserwacji. W porządku! Już zdążyłem, zdaje się, oświadczyć, iż ona jest tylko częścią metody: ważna, ale sama w sobie nieskuteczna. Wiecie, co to jest nauka? Nauka triumfująca? To przede wszystkim metoda. Metoda zwycięża. Czy pamiętacie naszą rozmowę w parku? No, to teraz ją dokończę.

Wyciągnął nogi przed siebie i niezmiennie z oczami utkwionymi w suficie zaczął wtajemniczać ich w metodę myślenia Leonidasa Gurana — metodę nauki współczesnej.

— Są trzy stopnie wiodące do poznania, czyli do rozwiązywania zagadek, albowiem każde poznanie, każda wiedza jest niczym innym, jak rozwiązaniem sekretu. Fizyka, astronomia, chemia — czymże są? Niezliczoną ilością rozwiązanych zagadek. Czym jest słynny wzór Einsteina  $E = mc^2$ ? Rozwiązaniem zagadki stosunku materii i energii. Pierwszy stopień to zwykła, powiedzmy — naiwna, ordynarna obserwacja. Słońce krąży po niebie, kamień spada na ziemię, woda zamarza w temperaturze poniżej zera. Lecz co ona nam daje? Chaos,

fakty dziko pomieszane i bez wyrazu, fakty nigdzie nie prowadzące.

Drugi stopień to hipoteza, czyli pewien pomysł, przypuszczenie, powstałe w głowie, dla wytłumaczenia związku wewnętrznego faktów: że oto jest tak a tak, że zakładam, iż winowajcą jest ów, a nie tamten, że Słońce nie krąży wokół Ziemi, a na odwrót (a więc nawet na podstawie hipotezy ośmielam się zaprzeczyć rzekomym faktom). Tak jak sama obserwacja dawała chaos, tak uczynione przypuszczenie daje wybór; układa fakty... rozumiecie — układa w jakiś wzór, wybiera: jedne przyjmuje, inne odrzuca, jednym nadaje taki sens, a innym inny. To jest stopień drugi, absolutnie niezbędny. Niestety i on jest niewystarczający i zawodny. Albowiem na dziesięć hipotez jedna tylko jest dobra i prawdziwa, dziewięć zaś mylnych. Rozum jest twórcą, pomaga, rozwiązuje, lecz — moi drodzy — dziwna rzecz: sam rozum jest wobec natury bezsilny, nie chwyta jej, fantazjuje, plecie baśnie i androny.

Tu zjawia się stopień następny: obserwacja numer dwa, jak to nazywam, czyli eksperyment. Poddaje się hipotezę i jej teoretyczne wyniki arbitrażowi rzeczywistości, natury, słowem — sprawdza się ją na doświadczeniu. To sprawdzanie ma czasem formę przepowiedni. Na przykład: przepowiadam, iż promienie dalekich gwiazd przebiegając w pobliżu Słońca uginają się. Sprawdzono doświadczalnie. Istotnie — uginają się. Miał pan rację, drogi Einsteinie, uginają się, zatem pana teoria względności zdała egzamin praktyczny, jest prawdziwa. Doświadczenie, czyli sprawdzenie, ma ostatni i decydujący głos. *Natura locuta causa finita* \*.

Czegóż teraz mi trzeba? Ano — doświadczenia, sprawdzenia mej hipotezy. Jutro ją sprawdzę. A fakt, którego szukam, sprawę ostatecznie rozstrzygnie. I ja mam swoją przepowiednię. Dam wam przykład...

Gdy Mikołaj Kopernik studiował astronomię na sławnym wtedy w Europie Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, dumiał sobie skłopotany, przechadzając się po uroczych krużgankach, nad chaosem kół i epicyklów, po których krążą planety; nad koniecznością stwarzania coraz nowych „sfer” ruchomych i nieruchomych, aby wyjaśnić sobie zachowanie się planet na niebie. Same obserwacje niczego nie wyjaśniały, przeciwnie: obserwacje wymagały się wyjaśnienia; zła hipoteza Ptolemeusza wyjaśnienie to uniemożliwiła. Męczył się biedny Kopernik, klęczał nocami przy swym astrolabium\*\* i wołał do gwiazd: O nie brońcież tak srogo swej tajemnicy, dajcie mi rozwiązanie! Biedny, potężny duchu Mikołaja, ile żeś się nacierpiał i natrapiał, bo wiązała ci ręce i mózg mylna hipoteza! Jechałeś do Bolonii szukać prawdy. I tam jej nie znalazłeś! Zimne gwiazdy lśniły boską pięknnością na granatowym firmamencie. Gwiazdy — tajemnica niebios! Aż odważył się na szaleństwo: stracił nieruchomość i tak pewną pod stopami Ziemię w otchłań makrokosmosu. Był odważny, szalenie odważny!

I oto zaczęły stawać mu się niepotrzebne i owe liczne koła, i epicykle, i sfery, zaczęło się wszystko układać prościej, ukazało się oblicze ekonomii natury. Im prościej — tym bliżej prawdy. Właściwe przypuszczenie momentalnie ustawia pozornie chaotyczne i skomplikowane wydarzenia w jeden logiczny, wytłumaczalny szereg. Rozumiecie więc: właściwe przypuszczenie, odważne, nie wahające się przed strąceniem uczciwego i spokojnego globu w otchłań... dało triumf prawdzie. Dam wam jeszcze jeden przykład.

W tym miejscu Helenka przerwała.

— Panie redaktorze, dosyć przykładów, pragnę usłyszeć od pana wyjaśnienie, bo nie rozumiem...

— Proszę, śmiało.

— Dlaczego pan niedawno krzyczał niemal, że nie da się wciągnąć w gąszcz faktów, że pan nie chce o nich myśleć... to jedno drugiemu przeczy: gdzie obserwacja, a gdzie unikanie?... Nie rozumiem!

— Brawo — cieszył się Guran — brawo, jakżeż żałuję, że nie jestem o dziesięć lat mło-

\* Guran sparafrazował tu słynne powiedzenie. Roma locuta causa finita.

\*\* Astrolabium — przyrząd do mierzenia położenia gwiazd.



dszy. No — tu zwrócił się do narzeczonego — miałby pan we mnie rywala; tylko zapewne nieszczęśliwego — uzupełnił pośpiesznie i szczerze. — Odpowiem pani. Nie ma żadnych sprzeczności, są tylko pozornie.

Nie mogę przecież wytłumaczyć w kilka minut całego życia. Otóż jeśli uczonego pragnął odgadnąć prawo spadania po równi pochyłej, wydrzeć ten sekret naturze, musiał n a p o c z ą t k u abstrahować od wielości czynników wchodzących w grę, na przykład musiał udawać, że nie dostrzega tarcia. Gdyby chciał wszystko od razu, nie otrzymałby nic. A tak najprzód ułożył niejako czysty, abstrakcyjny wzór na równię pochyłą, a potem dopiero uwzględnił poprawki na p e ł n ą rzeczywistość. I ja też mądrzejszy być nie mogę i nie potrafię. Rzecz prosta: nie rozumiejąc wielu faktów, odsuwam je od siebie, ale n a r a z i e, łaskawa pani, na razie. Jasne?

— Jasne — przyznała.

Pogonowski zatopiony był w sobie; rozmyślał nad taką sprawą: Czego jestem tu świadkiem: pracy świetnego intelektu czy gry teatralnej tego intelektu? — Poza tym czuł w sercu lęk wciąż rosnący, jaki nieodmiennie towarzyszy człowiekowi nie wiedzącemu, kto na kogo poluje. Kto był tu myśliwym, a kto zwierzyną?

Stefan Pogonowski, którego oblicze z natury nieruchome pasowało na niedoścignionego gracza w pokera, zadał jeszcze jedno pytanie:

— Czy można wiedzieć, jakiego to faktu pan szuka?

Odpowiedź była krótka i jasna.

— Nie!

— A jaką ma pan przepowiednię?

— Że nieboszczyk uśmiecha się.

Zbaranieli zupełnie. Czuli, że powiedział prawdę, ale że jednocześnie ukrył ją przed nimi. Dlaczego Topolski miałby się uśmiechać? Dotychczasowy nastrój zginął bezpowrotnie. Pogonowski podźwignął się z miejsca, przeszedł się, ale zaraz usiadł i rzekł:

— Przepraszam, spytałem, bo i ja interesuję się sprawą; mam podejrzenie mianowicie, że działają tu, a może walczą z sobą dwie bandy czy coś w tym rodzaju. Zastanawiająca jest owa podwójność przestępstw każdego dnia: niedziela — Hugon i aparat, poniedziałek — Topolski i Prokasz. Powtarzam spostrzeżenie, bo przypuszczam, że tu można znaleźć klucz...

— Albo zgubić — dopowiedział złośliwie Guran.

— Ależ, redaktorze, to musi mieć jakieś znaczenie!

— Niewątpliwie, drogi panie, niewątpliwie — j a k i e ś znaczenie musi mieć; lecz mój punkt wyjścia, moja hipoteza jest wręcz przeciwna.

— Więc redaktor sądzi, że jedna?...

— Nie, nie to mam na myśli, ale co — nie powiem.

— Stefanku, nie ciągnij redaktora za język, albowiem „Język sieje, a ucho zbiera”, zresztą, jak się orientuję, nic nie wyciągniesz.

Guran skłonił się z uznaniem.

— Muszę ciągle bić brawo. Pozwoli więc pani, że za to stare polskie przysłowie odwzajemnię się drugim, jeszcze może starszym i całkiem zapomnianym. „Często język ucina głowę”.

Zrobiło się w saloniku markotno i jakoś niezręcznie. Dopiero gdy słowa przebrzmiały, Guran zorientował się w niezamierzonej symbolice. A zresztą kto wie? Nieświadome rzekomo lapsusy nie zawsze są tak przypadkowe, jakby wyglądało na pozór.

Helenka skrzywiła się.

— Znów głowy?

— Przepraszam — westchnął — wyrwało mi się.

A czas ciągle płynął.

## XI

### KARUZELA KRĘCI SIĘ CORAZ SZYBCIEJ

Stefan spojrział na zegarek, po czym pytająco za Helenkę. Ta zrozumiała gest.

— Co, późno już?

— Tak, sądzę, że powinniśmy się wybierać.

— Ależ skądże znowu — zaprotestował Guran — posiedźcie jeszcze trochę, bardzo was proszę. Zmienimy temat i zaraz zrobi się nam weselej.

— Kiedy wy o niczym innym nie potraficie myśleć i mówić; my kobiety mamy większą łatwość w odrywaniu się od przykrości.

— Co do mnie, uroczycie przysięgam. — Pan Leonidas podniósł rękę jak do przysięgi. — Tymczasem napijemy się jeszcze starego tokaju.

Wkrótce kieliszki zabłyśły w dłoniach topazową tęczą.

— Piję zdrowie gości.

Trzy ręce wyciągnęły się. Lecz pozostały tak w zawieszeniu, nie zdążywszy donieść kieliszków do ust, albowiem nagle zgasło światło. Wypadek właściwie błahy, jaki przydarzyć się może wszędzie i każdemu; wszakże nie takim wydał się tym ludziom, sterroryzowanym ubiegłymi wydarzeniami.

— Co to?

— Światło zgasło?

— Tu, czy w całym mieszkaniu?

— Zaraz sprawdzę — zabrzmiał głos Gurana.

W ciemności dały się słyszeć pośpieszne kroki. Stefanowi przyszło na myśl, że ucieka. Zawołał:

— Heleno!

— Jestem tu na kanapie.

— Idę do ciebie.

Drzwi trzasnęły, po czym słyhać było z przedpokoju bezskuteczne kilkakrotne prztyknięcia kontaktu.

— Niestety — dobiegł ich głos gospodarza — w całym mieszkaniu; widocznie przepaliły się korki; poczekajcie chwilę, zaraz zreperuję, mam zapasowe.

Gdy pierwsze wrażenie minęło, zawstydziła się w skrytości ducha owej trwożliwości.

— Stefanku, nie poznaję cię, zrobiłaś się strasznie nerwowy,

— Hm.

— Musisz się porządnie wyspać, a przedtem wziąć krople walerianowe.

— Hm.

Dobiegł ich głos:

— Mam już, wychodzę na korytarz, za chwilę będzie gotowe.

Ujrzeni smugę światła w przedpokoju, to Guran otworzył drzwi prowadzące na schody.

— Idź, pomóż mu — szepnęła.

Zobaczyła jego sylwetkę znikającą posłusznie w przedpokoju.

— Pozwoli redaktor, że pomogę — mówił z daleka.

— Świetnie.

Odkręcili korek, w rezultacie światło zniknęło i na schodach.

— Nie, to nie ten, niech pan spróbuje następny.

Znów błysk, po małej chwili znów ciemno.

— Wobec tego to te w dolnym rzędzie.

— Ba, ale jak tu po ciemku wkręcić... czy ma pan zapałki?

— Mam... zaraz...

Usłyszeli krzyk, krótki i pełen strachu. Krzyk Heleny Landowskiej. Spadł na nich jak piorun i jak piorun poraził ich i sparaliżował. Teraz cisza huczała od odmetu myśli objętych paniką. Natężali słuch.

— Helena!

Głos Stefana zabrzmiał rozpaczą. Cisza była jedyną odpowiedzią.

— Helena! — jęknął po raz drugi i skoczył w ciemność, przewrócił coś w przedpokoju, wpadł na ścianę, wyrznął się z całych sił o jakąś potępieńczą przeszkodę: dotarł po omacku do drzwi, do saloniku, stanął.

— Helena!

Bezradnie zatrzymał się i wyciągnął ręce w ciemność. Guran jednak został. Nie spadł z krzesła, co też — w podobnych okolicznościach — było sztuką. Wkręcał szybko korek. Błysk na korytarzu. Światło poraziło mu wzrok; zakrył oczy ręką, poczekał. Zaczął wkręcać drugi korek. Zajrzał do przedpokoju: jest!

Zeskoczył i pobiegł za Stefanem. Wpadł niemal na niego. Teraz Pogonowski był oślepiiony. Ale Guran zoczył, że przed nimi na kanapie zwisała Helena. Stefan rzucił się zaraz do przodu, a tuż za nim i Leonidas.

Głowa? Tak, głowa. Na szczęście głowa była na miejscu. Landowska otworzyła oczy.

— Tam — odezwała się zduszonym głosem — tam — podniosła rękę, wskazując w kierunku gabinetu, tam coś było... tam.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia, przez ułamek sekundy wahanie zagościło na ich twarzach, lecz oto Stefan pierwszy ruszył miarowo, chwytając po drodze ze stołu pustą butelkę po winie; za jego masywną zasłoną pofrunął Guran również szukający wzrokiem na stole jakiejś broni, lecz na próżno, więc — choć niezdecydowanie — chwycił w przelocie kryształowy wazon. Szkoda go na ten głupi łeb, zafrasował się.

Stefan uchylił drzwi od gabinetu, po czym otworzył je; Leonidas, kucnąwszy nieco i sięgnąwszy tamtemu pod ramieniem, przekreślił kontakt. Story przy oknie powiewały, ale... z drugiej strony. Pokój pusty. Teraz Guran puścił się galopem i zwinnym susem, zapominając o trudach popołudniowego treningu, przesadził okno stylem plotkarza finiszującego na Olimpiadzie w obliczu stutysięcznego wrzeszczącego tłumu. Ogródek także był pusty. Pobiegł do furtki, ale szukaj wiatru w polu!

Ulica Wawelska zabudowana jest jednostronnie, druga strona to Pole Mokotowskie: ciemne, z rzadka urozmaicone drewnianymi domkami. Posunął się jeszcze dwa kroki i stanął. Rzucił wszelako wzrokiem na olbrzymie drzewo, szumiące niedaleko, z niejasnym pragnieniem spenetrowania jego cieniów, lecz dał spokój. Wrócił.

Stefan tymczasem oglądał uważnie szufladę biurka.

— Co to?

— Ano nic specjalnego — odparł — zdaje się, że pana okradziono.

Istotnie: szuflada wyciągnięta była niemal na całą długość. Guran zastanawiał się, czy zauważył to od razu czy dopiero teraz. Zajrzał do środka. Papierów Tragi nie było. Zaczął zamykać okno, pogwizdując z lekka. Pogonowski usłyszał to i był niemało zdziwiony.

Wrócili do saloniku. Helena stała w progu i gdy tylko pokazali się, uchwyciła Stefana za kłapy marynarki.

— Stef, jedźmy natychmiast, natychmiast, rozumiesz!

— Gdzie? — Odczuł w jej głosie niepokój; to nie wyglądało na wezwanie do powrotu do domu. — Gdzie? — powtórzył.

— Jedźmy do wujka Prokaszka. Lękam się o niego. Rozumiesz: boję się okropnie. Zrobiliśmy straszny błąd pozostawiając go swemu losowi; między nami dzieją się okropne rzeczy... on... on przewidywał... mówił, żebyśmy tu nie przychodzili... niebezpieczeństwo... ale i jemu grozi coś... ja to czuję... Stef, natychmiast jedziemy do niego.

Guran zmarszczył brwi, odbywała się w nim jakaś walka; głowa z lekka zadrżała jakby w przecuciu lub niedowierzaniu. Może to było zresztą co innego. Ale nie rzekł nic. Nie zatrzymywał ich.

Ubrali się pośpieszanie i pożegnali go tak, jak w podobnych wypadkach może pożegnanie wyglądać: w pomieszaniu i w poczuciu śmieszności tych szacownych i koniec końców — koniecznych form.

\*

Pędzili taksówką. Z Wawelskiej na Mariensztat nie jest tak blisko, więc szofer, ulegając życzeniom ich, przekroczył dozwoloną szybkość. Helena, siedząc z zaciśniętymi piąstkami, liczyła z niecierpliwością ulice i place; Stefan zaś rozważał skrupulatnie dziwne wydarzenia i słów, które przeżył i usłyszał.

A więc nowy zamach. Nowa kradzież. Jeśli system „dwójkowy” funkcjonuje nadal... objął Helenę spojrzeniem... to... dobrze, że śpieszą się... tylko czy już nie za późno?

— Słuchaj, Helenko — zwrócił się do niej ściszym głosem — odnoszę wrażenie nieodparte, że ilekroć gdzieś dzieje się coś naprawdę, to jednocześnie w drugim miejscu dzieje się coś... jakby to sformułować... dla odwrócenia uwagi. Zamilkł, lecz zaraz dodał szeptem: — W każdym razie zaczynam mocno podejrzewać Gurana.

— O co? — spytała machinalnie, niezdolna skoncentrować teraz uwagi na niczym innym, jak na wypatrywaniu Mariensztatu.

— Ba! żeby to ja wiedział. Nie podoba mi się. Jest za mądry, za sprytny, zbyt wszechwiedzący i zbyt łatwo rzucający posądzenia na innych. Powiem więcej: tak jak do niedawna dojrzewała we mnie sympatia do niego, tak obecnie czuję wzbierającą gwałtownie niechęć.

— Stefku, co ty wygadujesz? — Wzruszyła niecierpliwie ramionami. — Guran? Nie masz intuicji. To człowiek bardzo porządny i bardzo nieszczęśliwy.

— Nieszczęśliwy?

— A tak, podobnym typkom niełatwo przychodzi ugodzić się z życiem. Pęta się wśród nas — jakiś inny, niezrozumiany.

— Czyżby? — spytał niedowierzająco, a w pytaniu zadrgała nutka zazdrości. — Odniosłem zupełnie inne wrażenie.

Ona jednak liczyła place i ulice, rozmowy nie podtrzymywała.

— Mgły gęstnieją — mruknął.

— Jakie mgły?

— Ach, nie, pomyślałem sobie nie o pogodzie, lecz o tych historiach... to w przenośni... idę o zakład, że nikt i nigdy nie odkryje ani Nieznanego Dwa, ani jego motywów.

— Wiesz, podziwiam cię, czasem nawet nie rozumiem. Jakiś ty spokojny i flegmatyczny! Czuję grozę wokół siebie, czuję stale na sobie czyjeś oczy, ktoś ciągle bez zmęczenia czyha, a ty chcesz się zakładać!

Taksówka wpadła już na Krakowskie Przedmieście. Spostrzegli dostojną sylwetkę wieży przy kościele Św. Anny. Wkrótce wpadli zygzakami na trasę W-Z, potem z rozgłosnym zgrzytem i brawurowo szofer zatrzymał samochód na prawie bezludnym o tej porze placu.

Wyskoczyła i nie czekając na Stefana, usiłującego pośpiesznie uregulować należność, pobięła przed siebie.

\*

Stary lekarz nie poprawiał już klap zielonego szlafroka, nie wycierał zakatarzonego nosa. Lampka na biurku paliła się. On zależał wyciągnięty na podłodze. Spod otwartego szlafroka wyłaniała się koszula, bez krawata, z rozpiętym kołnierzykiem: szlafmyca, niepotrzebna już, spoczywała obok głowy, na której resztki rzadkich włosów znieruchomiały w nieładzie. Wypływały fotel w stylu simlerowskim, kryty czerwonym pluszem, z jedną nogą krótszą,

osłaniał starego dobrotliwym cieniem, ukrywającym jaskrawość dramatu.

Pokój dopiero teraz ukazał całą patetyczną potęgę i siłę przymierza ze swym twórcą i właścicielem. Trwał nieruchomo jak dekoracja do straszego i niesamowitego filmu. Dziwne mieszkanie i dziwna istota zespolone zostały dodatkowo wspólną nieruchomością i obojętnością. Jakby kurz wieków opadł na ten pokój.

\*

Gdy wspinali się schodami, Stefan zapalał zapałkę od zapałki. Ciężko jest posuwać się w ciemnościach, stąpali przeto niepewnie i hałaśliwie. Otworzył się przed nimi tunel korytarza, chwiejący się i tańczący w mdłym płomyku zapałki. Wtem stanęli zdziwieni. Jakiś cień biegł w powietrzu w poprzek korytarza.

Na samym końcu korytarza była kuchenka gazowa, z której korzystali lokatorzy kawalerskich pokoi. Umieszczona była dokładnie naprzeciwko drzwi prowadzących do mieszkania Prokasz. Nie to wszakże zatrzymało ich i przykuło wzrok. Co innego. Coś, czego na razie nie mogli zmiarkować. Ów cień! Co to jest?

Biegł powietrzem od kuchenki do drzwi. Drzwi były zamknięte. Nie mogli odgadnąć. Postąpili jeszcze kilka kroków. Zapałka zgasła. Potarł następną i gdy zapalała się, usłyszał trzask i zaskoczyło go niezwykle intensywne palenie się jej.

— Boże — krzyknęła — to rura gumowa od maszynki gazowej.

Rzuciła się naprzód i szarpnęła ją, wyrwała koniec tkwiący w zamku, w otworze na klucz. Stefan odrzucił zapałkę precz i skoczywszy do maszynki, próbował po omacku zorientować się, który kurek jest odkręcony. Helena, milcząc i płacząc, szarpała już drzwi, on zaś instynktownie dopadł do okna wychodzącego z końca korytarza na ulicę i otworzył je, mimo że było to całkiem zbędne, bo gaz ulatniał się do pokoju, a nie na korytarz.

Odwrócił się. Helena na próżno, choć rozpaczliwie szarpała wciąż drzwi. Zwalczając wrodzoną nieruchliwość i powolność refleksji, oderwał się od okna i zbliżył z pomocą; odsunawszy ją łagodnie na bok, ujął klamkę w obie dłonie i wsparł się ramieniem w drzwi; momentalnie, jakby bez oporu, odskoczyły i owionął ich złowieszczy zapach. Nim zorientował się, ona już była w środku i jakąś książką wybijała szyby. Dźwięki szklane i samo szkło potoczyły się na mariensztacki placyk, budząc uśpione echa i ludzi.

Teraz dopiero oczom ich przedstawił się najważniejszy obraz tego miejsca, ręką losu ujęty w piękną, kolistą ramę światła padającego z biurka, przecięty smugą cienia rzucanego przez kulawy fotel: obraz Prokasz, skomponowany nienagannie. Nie widzieli jednak tego w ten sposób, albowiem rozsądna natura wyłącza w istotach ludzkich, znajdujących się w podobnych okolicznościach, zbyteczne i luksusowe momenty estetyczne, obdarowując je wyłącznością instynktu walki.

Już ciągnęli go na korytarz, już otwierały się drzwi sąsiadów i wyskakiwały spoza nich wystraszone i zwichrzone głowy podobne do kukiełek, już tu i ówdzie dobiegał miękki i pośpieszny tupot nóg wdzianych w ranne pantofle, już też rozległy się tu i ówdzie krzyki i szepty.

— Prokasz?

— Samobójstwo!

— Co się stało?

— To ten stary lekarz z końca korytarza?

— Tak.

— Samobójstwo!

— Jakie to straszne.

— Idź, Matyldo, do mieszkania, nic tu po tobie, to nie dla ciebie widoki.

— Dzwonić po pogotowie!

— Za późno.

— Biedak, dlaczego się zabił?

— Odejdźcie, państwo, zróbcie trochę miejsca.

— Odejdźcie, odejdźcie, czego się, do cholery pchacie — wrzasnął histerycznie ktoś bardziej nerwowo.

Z otwartych drzwi wypełzały smugi światła, tnąc korytarz na segmenty; wyglądał teraz jak olbrzymia gąsienica, w której wnętrzu buzowało gorączkowe życie i kiełkowała jednocześnie nieruchomość śmierci.

Prokasz leżał obojętnie. Ale nie martwy! Nie umarł bowiem. Dobre serce Helenki nadbiegło z pomocą w sam czas. Przypadek, potężny brat Przeznaczenia i równy mu pan pół bitywnych, zjawiał się nagle na arenie wypadków. Pokrzyżował chytre i mądre plany mordercy.

Przypadek! Co to jest przypadek? Mniejsza z filozofią, mniejsza z nazwami: jak się zwał, tak się zwał, dość że pojawił się w porę i na korzyść człowieka poczciwego. Morderca wszakże teraz nie wiedział, czy to był przypadek czy co innego.

Pan Józefat otworzył oczy i powiedziaławszy: — Niedobrze mi — zamknął je czym prędzej z powrotem.

Po policzkach Helenki ciekły wolniutko, lecz już swobodnie i wesoło, łzy. Uśmiechała się.

— Ty głuptasku, dlaczego chciałeś się zabić?

Otworzył oczy, ale z powrotem zamknął.

— Żyje, żyje!

— Przynieście wody!

— Nie, lepiej mleka! No, dzięki Bogu, żyje!

— Sprawdźcie tam, czy gaz jest dobrze zamknięty.

— Do domu, moi państwo, do domu — zaganiał ktoś tłumek jeszcze podniecany, ale już altruistycznie radosny, że obyło się bez tej ostateczności: śmierci.

A Helena, kiwając bezradnie główką, z której kasztanowate loki spadały na twarz pyszne w swej obfitości, powtarzała machinalnie:

— Ty głuptasku, dlaczego chciałeś się zabić?

Prokasz znów otworzył oczy zaiste już trochę naburmuszone. Przemówił szeptem, ale całkiem wymianie i, o dziwo, z pogłosem irytacji:

— Co się stało? Dlaczego tu leżę?

Natychmiast wszystkie hałasy, szelesty, pogwarki, szurania i mrużenia zapadły się pod ziemią. Teraz wszyscy dokładnie usłyszeli niezadowolony, acz jeszcze słabowity głos:

— Kto chciał się zabić?

Zanim ochłonęli, dorzucił, zamknąwszy przedtem oczy:

— Niedobrze mi.

Pewien spostrzegawczy człeczyna, z głową pozbawioną owłosienia i podobną z kształtu do jajka, zawyrokował:

— No, jak się złości, to bądź co bądź nie umrze. — Po czym zawiąawszy swe drobne ciało w obfite poły szlafroka pisnął: — Dobranoc państwu — i czmychnął drobnym kroczkiem do ciepłego jeszcze łóżka.

Stefan, skrobiąc się w ucho, mruknął:

— Znów dwa... — ale przerwał mu donośny głos Prokasz.

— Ja chciałem się zabić? Idiotyzm.

Teraz Józefat oczy otworzył na dobre i już nie chciał ich zamykać, lecz niestety słabość ciała okazała się silniejsza od siły postanowienia, które okazało się za słabe. Dostał ataku sercowego. Nie trzeba zapominać: miał sześćdziesiąt dwa lata.

## XII

### KŁĘSKA GURANA

Następnego dnia rano redaktor Leonidas Guran okazał się niedbaluchem; zamiast iść, jak zwykle, do redakcji „Postępów Wiedzy” stał na Dworcu Śródmieście z biletem w rękę. Wybierał się do pewnej podwarszawskiej miejscowości w poszukiwaniu „faktu”. Gdy rano dowiedział się o wypadku z Prokaszem, postanowił przyspieszyć swój eksperyment, sprawdzić swoją przepowiednię.

— Jeśli nie znajdę, czego szukam, znaczy — mam rację; jeśli zaś znajdę, czego szukam — znaczy nie mam racji, błędę po manowcach, w które zwabiła mnie zła hipoteza.

Był raczej markotny. Przechadzał się po peronie nerwowo, zatopiony w zdumiewających sprzecznościach. Albowiem od wczoraj wieczór stracił pewność siebie. Działo się nie tak, jak przewidywał. Najście na jego mieszkanie i kradzież owej resztki papierów naukowych Traği nie mieściły się w orbicie hipotezy, nie powinny się wydarzyć.

Nie umiał powiązać poszczególnych nitek. Pocięszał się myślą, że może to tak jak u Kopernika z tą orbitą księżycą, która łamała mu schemat pięknego pomysłu heliocentrycznego. Pomysł był nie tylko piękny, lecz i prawdziwy, a orbita księżycą mu nie zaszkodziła, zmieściła się jako dodatkowy element.

Może i to najście na mój dom należy traktować — zastanawiał się — jako element dodatkowy, uboczny, przypadkowy? Kto wie? — Westchnął ciężko. Lecz to głupstwo, gorzej z zamierzonym zgładzeniem Prokasza. Doprawdy, najwyższy już czas przekonać się, poddać hipotezę eksperymentowi, wóz lub przewóz, tak lub nie, albo zwyciężyć, albo utonąć.

Pojechał zamiast do redakcji na Dworzec Śródmieście i oto czeka na pociąg.

Była to środa. Dzień — jak się niezadługo okaże — najdziwniejszych wydarzeń oraz najgwałtowniejszych wahań i zwrotów losu; lecz czy będzie dniem odkrycia prawdy, dniem zdemaskowania? Poczekajmy.

Z ciężkim sapaniem, w obłokach pary i przeraźliwie gwiżdżąc, lokomotywa ukazała się w tunelu, a za nią ciąg wagonów, czyniących swymi żelaznymi cielskami turkot i szcęk ogłuszający. Wkrótce siedział na miękkich poduszkach, wtulił się jak mógł najgłębiej i wyglądał obojętnie, zmęczonym wzrokiem. Trzeba bowiem powiedzieć, że nie spał tej nocy. Przechodził ją krokiem lunatyka w swoim pokoju, tam i z powrotem, tam i z powrotem, miały godziny, zegary gdzieś biły, gwiazdy toczyły swoje koła na firmamencie, ludzie chrapali w łózkach, a on jak dobrze nakręcony automat wędrował z kąta w kąt i bił się z myślami. Był więc zmęczony nie tylko psychicznie, ale i fizycznie.

Pociąg ruszył i niezadługo Guran z ulgą stracił z oczu widok ponurych i brudnych kamienic nieprzyjemnych ulic. Wyłoniły się na ich miejsce zielone łąki, żółknące od chłodnych nocy i zamierającego słońca, zaorane, brunatne pola i rzadkie, ostatnie podwarszawskie kępy drzew. Oddychał swobodniej. Otworzył okno, mimo że wczesny ranek był nieprzyjazny wilgocią i niską temperaturą; toteż wstrząsnął się zaraz i poprawił szalik, lecz wdychał chciwie orzeźwiający, choć surowy nektar powietrza.

Był rad, że jedzie sam. Starał się tylko, by miarowy turkot kół nie uśpił go i żeby nie przejechał stacji, na której miał wysiąść. Po godzinie był na miejscu. Znalazł się na malutkiej stacyjce, wdzięczącej się kwiatami i spokojem. Postanowił najpierw zjeść śniadanie, decyzja wczesnego bowiem wyjazdu była tak gwałtowana, że alby nie spóźnić się na pociąg, zrezygnował ze swych przyzwyczajzeń i z zasady: śniadanie przede wszystkim.

Nie żałował, bo oto oczom jego ukazała się kawiarenka spełniająca jego niewyżyte tęsknoty romantyczne: wśród kilku świerków, w ogrodzie w stylu jakichś myśliwskich czy campingowych domków, z werandą, podcieniem i z ową uroczą aurą zamierzonego prymity-

wizmu. Stoliki również proste, nakryte grubymi obrusami w kratę, za oknami pnące róże, a dalej morelowe, ranne obłoki pilnujące skrajów nieba.

Świetnie, cieszył się w duszy i już — z niecierpliwości przyspieszył kroku. Wybrał stół z najponętniejszym widokiem i usiadł tak, by go obserwować z najkorzystniejszego kąta; z ukontentowaniem też stwierdził, że robi się ciepło i zdjęcie płaszcz nie przychodzi mu z trudnością.

— Proszę jajecznicę z dwóch jajek z cebulką.

— Słucham pana.

— Czy może być na skwarkach?

— Słucham pana, może być.

— Wobec tego na skwarkach poza tym — ser...

— Czy życzy sobie pan szwajcarski czy trapistów? Polecam szwajcarski.

— Dobrze, szwajcarski, dwa kawałki.

— Słucham pana.

— No i dwie bułeczki, masło, herbata; czy może być jakiś dżem?

— Owszem, polecam z pigwy.

— Świetnie, toż to delicje, dziwię się ludziom, że tak mało o tej cudownej pigwie wiedzą, dawaj pan tę pigwę.

— Słucham pana.

Spojrzeni na siebie z uśmiechem: oto dwóch mężczyzn poznało się i polubiło w symbolicznych okolicznościach i w jakżeż pochwalnie ludzkich. Ha, trudno, nie samym ideałem człowiek żyje i nie samym rozwiązywaniem zagadek. Czyż trudno zatem odgadnąć jaki potężny nastrój ducha zapanował wkrótce w ciele redaktora Leonidasa?

Jajecznica była dobra, ser również; bułeczki trzeszczące, pulchne i pszenne, herbata świeża i umiejętnie parzona; za oknem kłaniały się wciąż pęki róż, a chmury rozpełzały się po niebie jak — białe już — baranki, wróżąc cudowny dzień jesienny. Czuł rześkie ciepło ducha i ciepło ciała, rezultat konsumpcji estetycznej i konsumpcji gastronomicznej.

— Czyż życie nie jest piękne?

Z pytaniem tym rzeczywiście zwrócił się do sympatycznego, kelnera. Ten skinął poważnie głową i odparł ostrożnie:

— W każdym razie mogłoby być.

— Mądrze pan powiedział — pochwalił Guran — mogłoby być; wszystko jest jakieś dwuznaczne, niedosycone, niepewne i utrudzone. Już... już, a jednak nie! Chwytny momenty, a pragniemy wieczności; eh — skrzywił się ironicznie — ja kontentuję się momentami.

— Rozumiem pana — poświadczył statecznie kelner — dlatego wybrałem tę kawiarenkę, mało przecież popłatną, przełożyłem ją nad warszawskie; a dlaczego? Właśnie dla spokoju i tego... tu — zatoczył niepewnie ręką w koło, wskazując na wszystko: i drzewa, i niebo, kwiaty, ciszę... — właśnie dla tych „momentów” jak pan szanowny mówi.

Guran zapłacił.

— Dziękuję i do widzenia.

— Do widzenia panu, życzę powodzenia.

Gdy szedł drogą polną, prowadzącą do wiejskiego kościoła, pamiętał jeszcze to życliwe: „powodzenia”.

Właśnie! Powodzenia! Bardzo mu teraz przydałoby się. Powodzenia. Ba, wzruszył ramieniem, powodzenia...

Szedł szparko i w nastroju już więcej zniecierpliwienia i decyzji niż zniechęcenia i hamletyzowania; przemiany tej dokonało przyjemne śniadanko i powaby natury. Do kościoła było niecałe dwa kilometry, a że droga, którą szedł, prowadziła wprost jak strzelił, więc nim się spostrzegł, już mijał niski murek cmentarza, położonego tuż obok kościoła.

Było to miejsce odosobnione, oddzielone rozległymi, podmokłymi łąkami od najbli-



ższych osiedli ludzkich. Nic tu nie kłóciło spokoju umarłych i tych trojga żywych, to znaczy księdza, kościelnego-organisty i gospodyni.

— Życie mają odludne, ale niefrasobliwe i ciche — mruknął, opierając się o cmentarny murek.

Cmentarze są zazwyczaj odseparowane od świata i lękliwych ludzi wysokimi lub masywnymi przegrodami: tak jakby — im wyższa, tym trudniej się tam dostać... na stałe. Może i taka jest skryta psychologia tego murowania, a może i nie taka, dość że ten akurat cmentarzyk stanowił swego rodzaju unikat: murek był niski, tak niski, że bez wielkiego trudu można by przezeń przeskoczyć. Zbudowany był z różnych kamieni polnych, spojonych malowniczo cementem w kolorowy deseń. Oparł się więc łokciami, przechylając ciało częściowo na drugą stronę, jakby był spragniony widoku, jaki ujrzy.

Jeśli chodzi o widoki, to wybrał odpowiednią porę roku i dnia. Jarzębiny błyszcząły jaskrawo koralowymi gronkami, zebranymi w baldaszki, jakby przesyłając mu pozdrowienia; podobne pozdrowienia wyczytał z podłużnych czerwonych jagód berberysu. Liście łagodnie szeleściły w coraz mocniejszym słońcu.

No a dalej?... a dalej — groby. Takie, jak to bywają na wiejskich cmentarzach. Szukał oczami. Znalazł. Jest grób świeży, jeszcze ziemia ma nim jasna i wilgotna.

— Dziwne czuję w sobie stany — mamrotał do siebie — tak jakbym miał odkryć Bóg wie nie co. A przekonam się tylko, czy mam rację. Lecz jeśli nie... hm... wtedy... — Odpędził wszakże od siebie złą myśl i uderzywszy pięścią w kamień, rzekł z siłą: — Inaczej być nie może, w każdym razie... nie powinno!

Udał się na plebanię i wprędce stanął przed księdzem, chudym, małym i siwiuteńkim staruszkim, bez ustanku zacierającym ręce.

— Proszę księdza proboszcza — zaczął sięgając do kieszeni i wyciągając jakiś urzędowy papier — przede wszystkim przepraszam za turbację, mnie samemu trochę nieprzyjemnie, że w tak uroczy ranek muszę zwrócić się o pomoc w dokonaniu ekshumacji; chodzi mi mianowicie o wydobycie zwłok pochowanych na tym cmentarzu, o ile się nie mylę, wczoraj lub może nawet już w poniedziałek. — Zatrzymał się, spoglądając pytająco.

Ksiądz opuścił powieki i wykonał dwa młynki dłońmi.

— Zapewne chodzi panu zatem o grób świętej pamięci rektora Tragi?

— Tak jest, proszę księdza proboszcza, chodzi mi o rektora Tragę. A czy „świętej” pamięci, to nie jestem pewien.

— Pochowaliśmy go wczoraj; oto ten grób. — Wskazał ręką. Uwagi Gurana jakby nie dosłyszał, może ją zignorował.

Obejrzeni się; rozpoznał ową świeżą mogiłę na uboczu.

— Czy ma pan pozwolenie władz?

— Proszę, oto ono.

Ksiądz przebiegł fachowym wzrokiem po ćwiartce papieru, a potem przeniósłszy go na przybysza, spytał:

— Czy mogę wiedzieć, w jakim celu?

Guran, mimo że musiał być na to pytanie przygotowany, w widoczny sposób zawahał się. Bąknął:

— Niech to księdza proboszcza nie dziwi, muszę sprawdzić, czy nieboszczyk uśmiecha się. — Co mówiąc, opuścił zażenowane oczy w ziemię.

— Co? Co?

Dobroduszny księżulo o mało nie upadł, rażony nie wiedzieć czym bardziej: zdumieniem niespodzianki czy oburzeniem z powodu profanacji.

— Ja wiem... — zaczął usprawiedliwiać się Guran — zdaję sobie sprawę...

— Co? Co?

Zrobił się czerwony na twarzy jak te koralowe jagody jarzębiny, czuwające obok nad

miejszem spoczynku utrudzonych ludzi, i nic więcej nie mógł z siebie wykrztusić.

Guran lekko rozpaczliwym gestem zanurzył lewą rękę we włosy i energicznie podrapał się, po czym wyciągnąwszy ją i rzuciwszy w górę w powietrze, jakby w milczącym wykrzykniku „ha, trudno”, pozostał tak sekund kilka czy kilkanaście.

— Czy nieboszczyk uśmiecha się? — wybuchło wreszcie z księdza, niczym z podpalonej petardy. — Czy pan zwariował?

— O nie, proszę księdza, co do tego — to nie, jeszcze nie; klepki mam w porządku, na to daję słowo honoru.

— Co znaczy słowo honoru wariata?

— To prawda, ksiądz słusznie poprawia moją niezręczność; więc może ten urzędowy papierek zaświadczy o zdrowotności mojego mózgu. A poza tym, to tylko na pozór prośba moja czy też ciekawość — jak ksiądz woli? — wygląda na szaleństwo. W istocie sprawa jest prosta, tylko że...

Ksiądz niecierpliwie przerwał.

— Więc o co idzie? Proszę krótko wyjaśnić.

— Krótko? Proszę! Chcę obejrzeć wyraz twarzy nieboszczyka Tragi. Może takie sformułowanie nie będzie razić ucha księdza proboszcza.

— A po cóż to panu, na litość boską!

— Nnnooo... ten uśmiech — wyjął zgnębiony redaktor.

— Czy widział pan kiedy, dziwny człowieku, nieboszczyka śmiejącego się, a zwłaszcza jeśli otruł się gwałtowną trucizną?

— Ach, więc ksiądz wie i to?

— A owszem, wiem, jak też i to, że cała ekshumacja będzie nieprzystojną komedią, albowiem nieboszczyk się nie uśmiecha. Tak, nie uśmiecha — dodał, zwracając się wprost do przybysza z akcentami przedrzeźniania, irytacji i niechęci.

Guran na dźwięk tych słów cofnął się o krok, potem o drugi.

— Co ksiądz powiedział? — krzyknął z przestachem. Zmienił się też momentalnie, pierzchnęła może nieco i sztuczna pewność siebie, ukazała się bladość policzków, z których krew uciekła z nagłą i zupełnie. — Co ksiądz; powiedział? Proszę powtórzyć. Czy dobrze zrozumiałem?

Z kolei ksiądz przeraził się nie na żarty. Zdreptał trzy schodki z ganku plebanii do swego gościa, zawiercił błyskawicznie kilkanaście młynków i rzekł:

— Doprawdy, nie wiem, co to wszystko znaczy; powiedziałem po prostu, że niepotrzebnie pan się trudzi, nieboszczyk na pewno się nie uśmiecha, sam to widziałem...

Nie zdołał dokończyć, bo przerwał mu głos, wypełniony już więcej bólem zawodu niż niewiary.

— Sam ksiądz widział?

Przytaknął głową, zupełnie oszołomiony niewiarygodną sceną.

— A tak, sam widziałem.

— Jak to możliwe, przecież przywieziono go w trumnie?

— Owszem, prawda, ale zaszły drobne okoliczności natury technicznej, musieliśmy wieko otworzyć...

Guran nie dał mu skończyć.

— I ksiądz na własne oczy?...

— Na własne, proszę pana, ale dodam, że doprawdy nie rozumiem...

— A czy jeszcze ktoś widział?... — ratował się rozpaczliwie redaktor.

— Organista i te parę osób, przypadkowych, tutejszych, które odprowadzały rektora Tragę ma wieczny spoczynek, a nawet i moja pani gospodyni. Widać był to człowiek samotny, bo rodziny nie było.

Guran odetchnął bardzo głęboko i podniósłszy zmęczone oczy na siwego staruszka,

oświadczył tonem niemal uroczystym:

— A więc klęska! Zupełna i bezapelacyjna klęska. Przegrałem. Nie miałem racji, pobrałem, wpadłem w potrzask.

Ksiądz stał czarny i biały w swej sutannie i w swej siwiźnie, nieporuszony i mało co pojmujący.

— To okropne: podejrzewałem niewinnego. Jakiż ze mnie idiota! Aby nie było za późno.

Ksiądz podszedł do wytraconego z równowagi i położywszy mu rękę na ramieniu, wyszeptał:

— Bracie, nic nie wiem, ale widzę, że poważne i ogromnie tajemnicze jakoweś sprawy przywozisz z sobą; proszę zachować spokój umysłu, bo to może teraz będzie najważniejsze. — Przeżegnał go znakiem krzyża.

Guran, jak bezwolne echo odpowiada głosowi, machinalnie odpowiedział księdzu:

— Tak, to najważniejsze. — Znów westchnął i szepnąwszy zmieszonym głosem: — Przepraszam — odwrócił się i odszedł.

Ale zatrzymał się na moment. Ksiądz zauważył, jak jego pochylone plecy prostują się, i usłyszał wyraźnie i bez omyłki owe słowa, które na długo zapamiętał.

— Napoleon zbrodni byłby do pobicia, jak każdy, największy nawet wódz, ale ciebie, Nieznany Numer Dwa, nie mogę ochrzcić nawet tym mianem — jesteś czymś więcej, a raczej czymś mniej, raniej niż cieniem, mniej... jesteś nieuchwytny jak sama nicość, jesteś niepojęty jak czwarty wymiar. Poddaję się.

Poszedł. Po chwili znikł za murem z kamieni i rzędem jarzębin, by wyłonić się z drugiej strony na drodze wiodącej ku rozmokłym łąkom, odgradzającym odludny kościółek od świata.

— To ogromnie, ogromnie zdumiewające — przytaknął proboszcz swoim zafrasowanym myślom i szukał długo jakichś słów, które by określiły mu wrażenie, jakie odniósł. — Aha — mruknął — zupełnie jak w teatrze.

I zawrócił ku domowi.

— Katarzyno — zawołał — Katarzyno, *beatus ille, qui procul negotis* \*, a teraz podaj mi śniadanko; Bóg łaskaw, ładny mamy dziś dzionek.

\*

Gdy drzwi rozwarły się z niecodziennym impetem i redaktor Leonidas Guran bez przywitania, nie przestawiwszy jeszcze dobrze nogi za próg, krzyknął gromkim głosem — „gdzie jest doktor Prokasz?“, prokuratorowi nasunęła się uwaga, że jednak człowiek ten czyni to zbyt obcesowo.

— A to co nowego? — spytał powściągliwie i z godnością.

— Owszem: nowego, dużo nowego.

— Prokasz — wyjaśnił prokurator — leży u Heleny Landowskiej.

— Leży?

— Tak, rozchorował się po przejściach: serce, nerwy, ogólny szok; lekarze nakazali absolutny spokój przynajmniej przez dobę.

— To dobrze — odetchnął z ulgą Guran.

— Dobrze?... że... że chory?

— Nie, prokuratorze, że u Landowskiej, że nie jest sam, że jest chroniony przed niebezpieczeństwem.

— Hm, ale pan, redaktorze, jest podniecony. Co się dzieje?

— Dzieje, dzieje, prokuratorze, składam rezygnację.

\* szczęśliwy, kto daleki od interesów.

Lorek pokiwał głową, ale widać było, że nie bardzo rozumie.

— A może by tak redaktor po kolei, co? A najważniejsze: spokojnie.

— Eh, spokojny to ja jestem, w każdym razie na swój sposób.

Zamrugnął oczami, tak właśnie jak człowiek budzący się ze snu, i sięgnął po fajkę, którą stale nosił w kieszonce marynarki, wyciągnął też pudełko z tytoniem i zapalka.

Lorek opadł wygodniej w fotel, wiedział bowiem, że są to niechybne oznaki, iż zbiera się tamtemu na gadanie. Poprawił się jeszcze, splótł ręce na brzuchu. Czekał. Usłyszał:

— Co to wszystko znaczy?

— Co? — spytał prokurator.

— Nie, to tylko pytanie retoryczne, chcę w ten sposób zagaić debatę o sposobach myślenia.

— Świetnie, ma redaktor tu popielniczkę, zamieniam się w słuch.

— Widzi pan, ja jestem osobą prywatną, pan zaś — prokuratorem; pan rozporządza aparatem śledczym i ma inne metody zdobywania wiadomości niż ja. Cóż ja? Ja mogę działać wyłącznie umysłem, mózgiem. Tym tylko mogę ewentualnie pomóc. Otóż rzeczy tak się składają, że nie mogę, nie potrafię w tym kierunku nic zrobić, jestem po prostu — co tu ukrywać — za głupi. Nie dam rady Nieznanemu Numer Dwa. Owo, mospanie — jak mawiali nasi pradziadowie — głupi mądrego nie chwali, przeto i ja chwalić tu owego wykolejonego nieznajomka nie mam zamiaru. Natomiast mam zamiar, jak rzekłem, zrezygnować z poszukiwań, bo nic już nie znajduję.

Całą noc przechodziłem próbując nowych hipotez. I nic. Próbowałem nowych zaś dlatego, że ostatnie dwa wypadki zdawały się obracać wniwecz moją hipotezę dotychczasową. Teraz wiem, że obaliły ją na pewno i z kretesem. Zatem przydatność moja skończyła się. Na pewno nic nowego nie wymyślę. Rozumie pan?

Prokurator, który słuchał z oczami przymkniętymi, uśmiechnął się powściągliwie, z odrobiną zadowolenia, ale bez śladu złośliwości. Guran ciągnął dalej:

— Teraz atoli moim obowiązkiem jest wyjaśnić to, co myślałem i dlaczego tak myślałem. Zaczynam więc od sakramentalnego pytania — „co to wszystko znaczy?”

Zdziwienia i następujące po nich pytania odegrały dość znaczną rolę w dziejach ludzkości, stworzyły bowiem wiedzę. Wszystko zaczyna się od zdziwienia. A więc zadziwmy się raz jeszcze i w naszej drobnej sprawie. Co to wszystko znaczy?

W poprzedniej historii z Tragą sytuacja była prosta, nawet — powiedziałbym — dziecinnie prosta. Ktoś i gdzieś robił jakieś eksperymenty naukowe. Niewielki namysł pozwalał wysnuć nitkę prawdy z faktów, które po sobie pozostawiał. Każdy, czyniący coś realnego, pozostawia za sobą fakty; w języku puszczy i zwierząt, a także w ogóle życia prymitywnego — nazywa się to śladem. Drapieżnik zostawia po sobie ślady większe niż drobiazg puszczy. Wytropić go łatwiej.

W tej sprawie — inaczej. Po pierwsze: nie jest prosta. Ślady są liczne, ale każdy prowadzi gdzie indziej i nie do tego grubego zwierza, który siedzi w jakimś mateczniku. Po drugie: mamy do czynienia z morderstwami. Zwracam też uwagę, że nawet Traga nie mordował; odcinał głowy zmarłym, a to co innego. Dopiero później można go było oskarżyć o zabicie głów, ale uczynił to w szale i niewątpliwie miał naówczas niejasne uczucie, że niszczy swoje eksponaty, dowody naukowe, a nie, że morduje ludzi.

Tu inaczej. Sprawa zdegenerowała się do zwykłej przestępczej, kryminalnej historii. Nie będę tu pana nudził obszernymi opisami heroicznych i komicznych przygód myślowych, pomysłów, scen i podejrzeń, wystarczy, iż powiem tak: znalazłem! To znaczy, przepraszam: wydawało mi się do dziś, że znalazłem. Widzi pan, chciałem być poważny, mówiłem sobie: rzecz dzieje się naprawdę, wśród prawdziwych ludzi i w prawdziwej sytuacji. A więc? Nie może być tylu morderców! I to stało się osiłą moich rozmyślań.

Świat profesorski, świat poważnych i statecznych uczonych jest królestwem solidności i

zaufania, zrównoważenia i umiarkowanych namiętności. To nie jest świat przestępczy! W tej sferze nie kradnie się, nie oszukuje i przede wszystkim — nie zabija! Oczywiście, znajdują się wyjątki, życie to nie matematyka. Znaleźliśmy więc takiego wyjątkowego ananasa w osobie Tragi.

Ale żeby zaraz wyskakiwali w tej biednej Warszawie nowi — i jeszcze okrutniejsi — przestępcy i zbrodniarze niczym grzyby w lesie po deszczu? Nie, w to nie uwierzę! Nie mieściło mi się w łepetynie i nie zmieściło. Otóż, krótko mówiąc, to jest niemożliwe. Za dużo morderców, alby było prawdziwe! „Ach, wydarło mi się raz gwałtowne westchnienie z głębi piersi, gdyby Traga żył!” Gdyby żył, to wszystko stałoby się proste i jasne!

Prokurator uśmiechał się od kilku sekund w sposób coraz bardziej znaczący, znów otworzył oko — tym razem jedno — i chytrze świdrował nim rozprawiającego redaktora. Gdy ten doszedł do owego wykrzyknika, Lorek wybuchnął wulkanicznym śmiechem, od którego zatrzęsły się wszystkie atomy pokoju, a policzki Gurana zapłonęły czerwienią, szkarłatem, purpurą, amarantem i wreszcie fioletem.

— Ha, ha, ha — ryczał położywszy się na biurku i wczepiwszy obie ręce w blat biurka. — Ha, ha, ha...

Redaktor, który jakkolwiek nie nosił nigdy korony na głowie, teraz miał właśnie zamiar włożyć ją, by stracona nieobyczajnym wrzaskiem prokuratora mogła świadczyć, iż ma prawo obrazić się, i to poważnie. Na szczęście Lorek oderwał, choć z trudem, zapłakane policzki od biurka i krztusząc się oraz jękając, zakwilił:

— To nie z pana... ha, ha, ha. — Machnął rozpaczliwie obu rękami. — To nie z pana, to z siebie... to z nas razem...

Wycierał kułakiem łzy niewinnie ciekące, po czym spiesznie poszukał chustki.

— Redaktorze miły, co pan myśli, że ja nie wyobraziłem sobie również, że Traga żyje? Ha, ha, ha... I ja również! Ja także chwyciłem się tego jak rzep psiego ogona. Przecież wszystko zaraz układałoby się jasno i logicznie. No, więc Traga nie żyje, mogę pana zapewnić. Miał w młodości wycięte dwa żebra z klatki piersiowej. Sekcja ustaliła to samo: brak dwóch żeber z lewej strony.

Wycierał wilgotne oczy i policzki, dośmiewując po trochu resztki wesołości.

— Niestety, nie ma żadnych wątpliwości: Traga otruł się i leży pochowany pod ziemią. Jego sprawy i sprawki skończyły się. — Wytarł oczy i schował chustkę; zatrząsł się jeszcze dwa razy chichotem, spoważniał i szepnął: — Przepraszam pana.

— Głupstwo, nie szkodzi, chciałem się nawet początkowo obrazić na prokuratora, no, ale jeśli tak sprawy stoją, to wycofuję się na z góry upatrzone pozycje.

— Hola, hola — zawołał Lorek — nim pan to robi, proszę mi wytłumaczyć pewną nieścisłość w rozumowaniu. Twierdził pan, że nawet Traga nie był mordercą, z czym zgadzam się, a jednocześnie zauważył pan, że sprawa zdegenerowała się do zwykłej kryminałki; jak redaktor godził owe sprzeczności?

— Zapewniam prokuratora, że świetnie wiedziałem, dlaczego tak się stało, to był zresztą najładniejszy punkt mego rozumowania.

— Jak pan to godził?

— To nie ja, prokuratorze!

— Jak to? A kto?

— Pawłow!

— Pawłow? Ten światowej sławy, rosyjski...

— Tak, sam Pawłow.

— Redaktor lubuje się w efektach, ja to wiem i znam, ale błagam, niech mnie pan nie męczy, dlaczego akurat Pawłow?

— Bardzo po prostu, lecz to wynikało z m o j e j hipotezy, a ona okazała się nieprawdziwa, więc nie ma po co rozwodzić się, a to delikatna i skomplikowana teoryjka, zatem

wymagająca długiego wywodu. Nie warto. — Kiwnął lekceważąco dłonią. — Szkoda czasu, ot po prostu powiem: nerwizm.

— Nerwizm? — zdumiał się Lorek. — No, dobrze, dobrze, wytłumaczy mi to pan innym razem, nie znam się na tym. Najważniejsze, że obaj wpadliśmy, bałamuctwo to zabrało nam sporo czasu, redaktorowi więcej i tyle. — Westchnął szeroko, odświeżony śmiechem.

Guran wodził tymczasem pracowicie palcem po nosie, okropnie marszczył twarz i milczał.

— Powiem redaktorowi coś: szkoda czasu na myślenie. Mamy prawdziwy ślad.

Guran najpierw nie zrozumiał. Prokurator czekał na niego, na jego reakcję, a on na prokuratora; powoli wszakże wiadomość dotarła do opornych komórek w mózgu i wywołała należyty efekt. — Guran, acz w tempie opóźnionym, uniósł się w powietrze, tak był gwałtowny jego podskok na fotelu.

— Co pan powiedział? — wrzasnął, wisząc na razie w przestworzu, po czym klapnął, aż jęknęły sprężyny.

— Mamy, być może, mordercę w ręku.

— Kto to?

— Trochę wstrzemięźliwości, redaktorze. Zresztą niedługo dowie się pan.

Teraz Guran dostał konwulsji śmiechu w formie tak gwałtownej, że Lorek zaczął wkładać niewidzialną i chybotliwą Koronę-Wrażliwy-Honor na rozżłoszczoną głowę.

— Czegóż pan ryczy?

— Ojej, oj, ojej, nie mogę — popłakiwał i postękiwał skręcony w śrubę redaktor — ojej, oj, ojej...

Lorek zaraził się mimo woli i zaczął mu wtórować. Pokój dygotał od hałasu tych dwóch dzieciuchowatych i wyczerpanych nerwowo mężczyzn.

Zaniepokojony urzędnik z sąsiedniego gabinetu zajrzał ostrożnie przez uchylone drzwi, ale jeden ruch ręki prokuratora wymiół go z powrotem.

— No, śmiech śmiechem, śmiech to zdrowie — zaczął Lorek — ale co pana ugryzło? Co w tym śmiesznego?

— A nic, tylko to, że wydało mi się to niemożliwe! Widzi prokurator, ja tak się nagłowilem, wysnuwałem takie niebываłe teorie, że ta prosta wiadomość zaskoczyła mnie jako prawie... prawie niedorzeczna. — Spochmurniał i spytał: — Czy to prokuratorowi rozwiązuje wszystko?

— Skądże znowu — wycedził Lorek — na razie absolutnie nic nie wyjaśnia, za to mam w ręku dowody. Ale, ale — niby to przypomniał sobie nagle drobną sprawę. — Czy może mi redaktor powiedzieć, dlaczego i po co utrzymywał kontakt z żoną Lothara?

Guran rozdziawił szczęki szeroko.

— No?

— Ja? Kontakt?

— Wiem na pewno, że tak było. — Prokurator nasrożył się i spoważniał. — To nie są żarty i proszę o odpowiedź. Właściwie jestem zdumiony: sądziłem, że redaktor bez wykrętów objaśni mi, co to ma znaczyć.

Sprzeczne uczucia wydawały się szaleć na obliczu Gurana, malując całą gamę nastrojów: od głupkowatości do trwogi. Wreszcie wykrztusił:

— Co to ma znaczyć?

Lorek pilnie i z natężeniem śledził tę grę rysów i uznał, że jest genialna. Bawił się po trosze objawami kompletnego zaskoczenia. Uznał jednak wreszcie za stosowne przerwać tę pauzę i ponownie przynaglił adwersarza:

— Czekam, redaktorze.

Guran zaniknął wreszcie usta i wymiół z oblicza wszystkie uczucia z wyjątkiem jednego: niewiarygodnego zdumienia.

— Ależ... ależ, prokuratorze, ja pani Lotharowej nie widziałem na oczy, nie mam pojęcia, jak wygląda, to chyba jakaś pomyłka, co mówię — na pewno pomyłka!

Zamilkł, wpatrzony w człowieka po tamtej stronie biurka. Lorek zagrał palcami na krawędzi biurka pośpiesznego marsza.

— To na nic się nie zda; pan zna ją na pewno; redaktorze, oświadczam: zna ją pan i widuje się pan z nią.

Guran skulił się w sobie, zrobił się mniejszy. Warknął niemal:

— Nie pojmuję.

Zapadła ciężka cisza. Lorek zamamrotał:

— Ja zaś nie pojmuję pańskiego uporu. — Po czym ściał wargi w dwa ostrza, oderwał palce od biurka, objął dłonią brodę i zastanawiał się. — No, trudno, musimy wobec tego zrobić konfrontację. Ponieważ wybieram się właśnie do Lothara, poproszę redaktora, by nam towarzyszył.

Guran zbladł, a właściwie zrobił się szary.

— Oczywiście — rzekł oschle — proszę bardzo... czyżby... czyżby pan łączył mnie jakoś z Lotharem?

— Nie, nie wiem... sądziłem, że redaktor wyjaśni zadowalająco ów niewątpliwy fakt; no, ale układa się inaczej, więc zmuszony jestem... — Machnął lekko ręką w powietrzu i dorzucił: — Proszę pamiętać, że pan był ostatnim człowiekiem, którego widziano z Topolskim.

Guran na razie nie zareagował i nie dał żadnej odpowiedzi. Po dłuższej chwili jednak odezwał się.

— To jest nieporozumienie albo wprost pułapka; tak czy inaczej, szybko się wyjaśni... chyba... chyba, że to pan ją zorganizował sztucznie.

Lorek nasrożył się.

— Ja? Ja jestem tu prokuratorem, mój panie.

— Wiem i wierzę panu co do intencji, dlatego też wiem, że wyjaśni się wszystko; ale przyszło mi teraz do głowy pytanie: dlaczego prokurator zwolnił wtedy milicjantów?

— Milicjantów? Jakich? Kiedy?

— No, w ten wieczór, tuż przed zamordowaniem Topolskiego; wyjścia od Zakładu były obstawione przez milicję; zwolnił ich pan za wcześniej... gdyby nie to, wyniesienie ciała Topolskiego stałoby się niemożliwe, a wobec tego może i samo morderstwo.

Lorek powstał.

— Tak, wiem, pamiętam — potwierdził głucho — żałowałem potem tej nieostrożności, lecz po skradzeniu aparatu nic już więcej nie mogło, jak sądziłem, stać się, no i popełniłem nieostrożność.

Guran przełknął głośno ślinę.

— Owszem, oceniałem ten wypadek jako usprawiedliwioną nieostrożność... lecz... w tych okolicznościach... wszystko na raz robi się podejrzane.

Lorek niespodzianie rzucił pytanie:

— Więc redaktor istotnie nie zna Lotharowej?

— Nie.

— I nigdy pan jej nie widział?

— Nie.

— Zdumiewające. Wszystko — jakiś obłąd.

— I ja tak sądzę, prokuratorze.

— Wie redaktor co, jesteśmy zdenerwowani, odłóżmy te głupie dramatyzowania; wierzę panu, jeszcze wierzę; jedźmy na konfrontację.

— Ruszajmy.

Guran skończył nabijanie fajki, zapalił zapałkę i pyknawszy kilkakroć, mruknął:

— Czy ta... ta Lotharowa jest przystojna?

— Bardzo — stwierdził prokurator z głębokim przekonaniem.  
— Hm — pyknął jeszcze raz i tylko odsapnął dymem.  
— No to co? — Zaciekawiał się prokurator.  
— No to to, że na pewno jej nie znam, bo moje znajome to niestety tylko stare i brzydkie baby.

### XIII

#### FAJERWERK MAŁŻONKÓW LOTHARÓW

Mieszkanie profesora Stanisława Lothara utrzymane było w wybornym stylu drobno-mieszczkańskim; nie był on skażony najdrobniejszą nawet przymieszką dobrego smaku.

Biurko, fotele, kanapa, zasłony na okna, obrazki na ścianie świadczyły żałośnie o potędze ducha naśladowczo-imitacyjnego i o nikłości poczucia piękna.

Fotele? Oczywiście — „klubowe”; kto słyszał o innych? Wszakże państwo doktorostwo iksińscy mają skórzane, żółte, okrągłe fotele klubowe, u mojego ojca też...

Obrazy? Tu szaleje najnikczemniejsza orgia złego gustu i tupetu. Malarstwo stanowiło już od dawna sztukę najbardziej hermetyczną spośród wszystkich hermetycznych sztuk, bodaj więcej tajemniczą i nieodgadnioną niż muzyka.

Tam, w krainie dźwięków, zjawiali się przecie zabłąkani znawcy, pół-znawcy i wyznawcy, odróżniający fugę od fagotu, a Ryszarda Straussa od Jana Straussa. Tu zaś, w królestwie barw i pędzli, gdzież są, gdzież podziali się mali i cisi miłośnicy, umiejący swymi skromnymi oczkami bystro odróżnić miękką, subtelną kreskę rysunku Renoira od tragicznej, niebezpiecznej i odkrywczej kreski Toulouse-Lautreca; lub jednym rzutem źrenicy i na odległość poznać kolor Fałata, „marmury” Siemiradzkiego albo koniki Orłowskiego? To królestwo pozostawiono na łup rzeźmieszkom od sztuki, którym za propagowanie tandety nie groził strycek, nie groziło więzienie ani nawet hańba towarzyska.

Dlatego u profesora Lothara przyklepione było do ściany pół tuzina strasznych rzeczy, oprawionych w „złoczone” ramy. Był także i dywan. Czy mogło obyć się bez niego? Nie, stanowczo nie! Dywan czy kilim, wszystko jedno, trudno odróżnić jedno od drugiego; fabryczny czy ręczny — to samo, można tylko udawać, że się rozróżnia. A w ogóle jedno tylko słowo spełniało tu obrządek magiczny, słowo „perski”. Perski dywan to tak jakby abrakadabra, Sezamie, otwórz się, czy coś w tym rodzaju. Czasem mogło paść na dodatek ultrasekretne słówko „afgan”, „buchara” — i wszyscy natychmiast padali plackiem (przynajmniej duchowo). Ale — w gruncie rzeczy — nie rozróżniali i kupowali powielaną ohydę.

Były i bibelociki; całe mnóstwo bibelocików uzbieranych niewiedzą lat i wysiłkiem ignorancji; bibelocików — gratów opaskudzających etażerki, stoliki, półki, okna, biurka i wszystkie pozostałe wystające miejsca pokoju.

Niech im ziemia lekka będzie: i bibelocikom, i ich właścicielem! Guran dlatego też zamknął zaraz oazy na całe to piękno i polor burżuazyjny, zużytkowując funkcję wzroku w granicach niezbędnie potrzebnych: żeby się nie przewrócić i usiąść na krześle, a nie na przykład na podłodze.

Profesor, niemile zdziwiony pojawieniem się obu gości, zaprosił ich właśnie niemym i niepewnym gestem do zajęcia miejsc w swych fotelach klubowych, sam zaś, pełen niebezpiecznych przeczuć, zasiadł na brzeżku krzesła z drugiej strony.

— Bardzo mi miło panów widzieć — skłamał. — Czym mogę służyć?

Poprawił ośmiokątne okulary, zrobił dwa lub trzy ticki nerwowe i zawisł podejrziwym wzrokiem na nieproszonych gościach. Głos zabrał prokurator Lorek.



— Proszę mi wybaczyć, że trwonimy pana cenny czas, ale mam kilka pytań w związku z wypadkami zaszłymi w Zakładzie Medycyny Sądowej; nie jest to przyjemne, wiem, lecz służba jest służbą i musimy się poddać koniecznościom. Najlepiej jak zaczniemy od razu, prawda?

— A więc? — spytał profesor.

Prokurator odetchnął, by nabrać rozpędu.

— Pan profesor wznowił ostatnio prace badawcze, zarzucone przecież — jak mnie informowano — od dość dawna. Pracuje pan intensywnie, po nocach również, nie szczędząc zdrowia i... i śpiesząc się. Czy mógłbym wiedzieć, co wpłynęło na ten fakt?

Lothar opukiwał pytającego czujnym wzrokiem, niczym lekarz, poszukujący zagadki we wnętrzu chorego.

— Owszem, wznowiłem, nie widzę w tym nic szczególnego, jestem profesorem, autorem kilku rozpraw naukowych w moim zakresie. Twórczość naukowa należy do moich obowiązków. Zmęczyłem się, znów zacząłem... ot jak pisarz, któremu powieść utknęła i ani rusz; przejdzie jakiś czas i znów czuje przypływ chęci i zrozumienia, zabiera się do roboty. Prosta historia.

— Tak że to nie ma nic wspólnego z wypadkami, o których wspomniałem?

— Absolutnie nic.

— Hm. Pan profesor współpracował niegdyś z rektorem Tragą. Czy mógłbym uzyskać jakieś szczegóły tej współpracy, zwłaszcza co się tyczy zagadnienia przedłużania młodości i w ogóle regeneracji starych tkanek?

— Nie można tego nazwać współpracą, panie prokuratorze, w żadnym wypadku nie można. Powiedziałbym: to była próba współpracy, lub — mówmy szczerze — próba wydobycia z siebie nawzajem swoich wiadomości. Niestety, życie nasze, to znaczy profesorskie, również nie jest wolne od intryg, zawiści i małych podstępów. Zdarza się. No, właśnie zdarzyło się i wtedy. Trzeba było znać Tragę. Pojęcie „współpraca” w odniesieniu do osoby Tragi było czymś zupełnie niestosownym. A więc: nie, nie współpracowałem i nic się nie dowiedziałem o jego wynikach, a on nie dowiedział się o moich.

— Czy doszedł pan w rezultacie do wyników, które mogłyby... mogłyby...

— Przepraszam, że przerwę panu prokuratorowi: nie doszedłem, bardzo żałuję, lecz taka jest przykra prawda; nie doszedłem i wątpię, czy kiedykolwiek dojdę dokądkolwiek.

Zaczerwienił się, mrugnął nerwowo oczami, potem jednak hardo i świadomie spojrzął na swego inkwizytora, potwierdzając tym prawdę słów.

— Hm — Lorek zaczął wiercić się na klubowym fotelu.

— Cóż robić, prokuratorze; nie jestem może złym profesorem; ale odkrywcą, pionierem chyba nie będę. Trudno. — Rozłożył ręce.

Prokurator przestał się wiercić, a zaczął zastanawiać; powiódł powoli palcem po wardze, mruknął wielokroć swoje hm, hm i spytał głosem ścisłym:

— Dlaczego zabrał pan ukradkiem papiery Tragi z Zakładu Medycyny Sądowej; to znaczy myślę o tych kilku kartkach, które pan zgubił, a potem — gdy sprzątaczką położyła je na biurku Tragi — zabrał je pan z powrotem?

Fala czerwonego upału uderzyła w oblicze Lothara, by nagle ustąpić lodowatej bieli.

— Co to znaczy? — wybełkotał ledwo zrozumiale.

— No, właśnie — cicho, lecz drapieźnie powtórzył Lorek — chciałbym wiedzieć — co to znaczy? — Ostatnie słowa wyskandował z naciskiem.

— Ależ ja nic nie zgubiłem — wybuchnął profesor, wlepiając rozszerzone oczy w prokuratora — ja nic nie zgubiłem, to jakaś pomyłka. — Urwał nagle, jakby w jego mechanizmie zegarowym pękła sprężyna.

— To znaczy, że pan profesor nie ma tych papierów?

— Nie, nie mam i nigdy nie miałem!

— A jednak mam zeznania sprzątaczkki i laboranta; oboje widzieli, jak pan wszedł do gabinetu Tragi, a wychodząc, chował do kieszeni kartki złożone we czworo. Posługaczka, tknięta jakąś intuicją, sprawdziła i... i... papierów już nie było. A przecież dopiero co tam położyła i nikt więcej — prócz pana — do gabinetu nie wchodził.

Lothar wrócił trochę do równowagi, jakkolwiek czuł, że cegły z rozpadającego się budynku złudzeń sypią mu się na głowę wzrastającą lawiną. Zastanawiał się długo, bardzo długo. Słyszał było tylko różne oddechy, falujące i napełniające martwość milczenia wibracjami niezwyklego podniecenia.

— To co innego! — Słowa te padły wyraźnie i głośno. — To co innego, panie prokuratorze. Prawda: zabrałem je, byłem ciekaw... i no... — odsapnął pośpiesznie i wyrzucił z siebie: — no ukradłem, jeśli pan tak woli to nazwać.

Guran uciekł oczami w odległe zakątki świata, mniej drażliwe.

— Wszakże, niech pan wierzy lub nie, miałem zamiar zwrócić je; przejrzeć i zwrócić. Taki miałem plan.

Twarz drgała mu teraz nerwowo jak wzburzona powierzchnia wody, w którą wpadły właśnie owe cegły. Ręce szukały gorączkowo zajęcia, a nie znajdując go, biegały na próżno i bezzasadnie po biurku, niczym po klawiaturze niewidocznego fortepianu.

— No, tak, wreszcie musiało do tego dojść... to jest prawda... Zabrałem... lecz chciałem później zwrócić.

Lorek zadumał się, nie spuszczając jednak Lothara z oczu. Nie odzywał się, czekał, pozwalał mu mówić, a raczej zmuszał go tym milczeniem do dalszych wyznań.

— W tych kilku kartkach nie ma zresztą nic ciekawego; stanowią one jakiś nikły fragment z obszernej pracy, liczącej kilkaset stron, jak można zorientować się z numeracji stron zgubionych. Nie mogłem się powstrzymać, ciekawość przemogła... sądziłem, że znajdę tam Bóg wie co... no i zawiodłem się... nic szczególnego... czułem się ogromnie głupio... no, ale przepadło. Natomiast całości spadku naukowego po Tradze nie widziałem, nie miałem, a zatem — nie mogłem zgubić. Pan prokurator myli się, sądząc, że to ja; nie, skądże znowu, nie miałem przecież żadnego dostępu.

— A kto, zdaniem pana profesora, zgubił te kartki, innymi słowy kto jest w posiadaniu całości?

Lothar obrócił oczy na redaktora Gurana, po czym na prokuratora i rzekł, pokazując palcem:

— Oczywiście pan Guran. To jasne.

Teraz zainteresowanie i obserwacja przeniosły się na postać i oblicze redaktora, w które wymierzony był palec Lothara. Drgnął, jakby go dźgnięto skrytobójczym ostrzem, i wykrzyknął:

— Ależ nic podobnego! — Złapał się obu rękami za piersi, jakby wzywając tym odwiecznym gestem sprawiedliwości i piorunując profesora wzrokiem, spytał obcesowo: — Skąd panu przyszło to na myśl?

— Panie redaktorze, a któż inny mógłby je mieć? Traga był odludkiem, nikomu by ich nie powierzył, nikogo do siebie nie dopuszczał; pan zaś był u niego w laboratorium, w środku, był tam całą noc, potem cały dzień, pełną dobę, w tym w dużej części sam, miał pan czas i okazję do znalezienia tej pracy i do zabrania jej z sobą. Poznał pan też osobiście jego wyniki eksperymentalne, rozmawiał pan z nim. No, więc jak? Któż inny, jeśli nie pan?

Prokurator, który miał, rzecz prosta, świadomy zamiar rzucenia ich na siebie, a od dawna podejrzewał ich o współpracę lub o jakiś nieuchwytny kontakt, z którego rodzaju nie mógł sobie zdać sprawy, skoncentrował uwagę.

Guran dyszał nerwowo, twarz jego pocętkowały krwiste plamy.

— Panie profesorze, daleka droga od tego, co pan słusznie powiedział, do tego, co pan niesłusznie wykombinował, bo inaczej tego nazwać nie mogę. Nawet śmieszne to jest. Ja by-

łem pod grozą śmierci, byłem więźniem, a nie przyjacielem Tragi, swobodnie korzystającym z ruchów.

Lothar przerwał mu niecierpliwie.

— To wszystko jedno, szczegółów nikt znać nie będzie, ale tylko pan ma jego dorobek i nikt inny.

— Za pozwoleniem — krzyknął Guran — w tym nie ma za grosz logiki, a za pół grosza prawdy!

Prokurator podniósł rękę i spytał ostro:

— Przepraszam, czy mogę wiedzieć, co panów właściwie łączy?

Guran przekrzywił głowę i zastanowił się, natomiast Lothar odparł bez namysłu:

— Ponieważ wiedziałem, że tylko ten pan może mieć spuściznę naukową Tragi, ponieważ owe zgubione kartki potwierdziły moje podejrzenie, postanowiłem wejść z nim w kontakt: on ma papiery, ja mam wiedzę, razem moglibyśmy osiągnąć decydujące wyniki naukowe. Rozmawiałem na ten temat z moją żoną i postanowiliśmy spróbować. Ułożyliśmy, że dyplomatycznie będzie, jeśli to ona zrobi. Tak się też umówiliśmy...

Lorek powstał z miejsca, przechylił się nad biurkiem i zbliżając czerwoną, pałającą twarzą do Lothara, huknął:

— Więc redaktor Guran zna pańską małżonkę?

— Zna.

— Czy jest pan tego pewny?

— Śmieszne pytanie, prokuratorze.

Guran zaczął trząść się. Jednocześnie rozległ się trzask pięści prokuratora, aż wszystkie bibelociki w pokoju i na biurku podskoczyły do góry, a w tej samej sekundzie zabrzmiał donośny krzyk Gurana:

— To fałsz!

Teraz wszyscy już byli na nogach, stali obrócenii do siebie i nieco nachyleni, wczepiwszy się wzajem w siebie dzikim wzrokiem. Jeden z nich kłamał, ten był przestępcą!

— Lothar?

— Guran?

A jednak sytuacja była niejasna.

— Profesorze — zagrział potężnie prokurator — kto zabił Topolskiego?

— Tego nie wiem, ale...

— Ale co?

— Ale myślę, że redaktor Guran. Tylko on był na dziedzińcu i tylko jemu można by przypisać jakieś motywy. — Znów wyciągnął palec w kierunku redaktora.

— To fałsz! — wrzasnął Guran. — To idiotyzm!

Darł się nieprzytomnie, biegając rozszerzonymi oczami między — jednym a drugim.

— Pan profesor kłamie!

— Jak redaktor śmie!

— Profesor kłamie, ja nie znam pana żony, nigdy jej nie widziałem i nie mam pojęcia, jak wygląda, ja nie mam pracy naukowej Tragi, nie zabiłem Topolskiego i... i... zwariuję...

— Złapał się za głowę rozpaczliwie jedną ręką, a drugą wskazując Lothara, krzyczał dalej: — I nie pojmuję dlaczego pan mnie oskarża... nie mogę przypuścić... nigdy nie mogłem przypuścić... że to pan jest tym mordercą... pan jest za... za głupi na to... a jednak teraz... teraz zaczynam...

Lotharowi wszystka krew uciekła do serca, zbladł i zachwiał się, padł, ciężko dysząc, na krzesło, zaczął rozrywać kołnierzyk ruchami zarazem wściekłymi i bezradnymi. Zsinał, jakieś nieartykułowane dźwięki wydzierały mu się z krtani.

— Ghh... Bzzz... oooh...

Lorek poskoczył do okna i dał znak. Z dołu ruszyła natychmiast para milicjantów:

olbrzymi, czarny Kowalik i lnianowłosa, mlecznobiały Ogórek.

W pokoju huczały teraz niemo, lecz gwałtownie mocno rozhuśtane namiętności; prokurator bacznie pilnował obu przeciwników czy współników, na razie nie mógł dociec. Wreszcie zapukano do drzwi i stanął w nich sierżant, a za nim plutonowy.

— Plutonowy stanie przy wejściu, a sierżant sprowadzi mi tu zaraz panią Lotharową.

— Rozkaz.

— Rozkaz.

Drzwi zatrzasnęły się. Dźwięk ten zdawał się oznaczać także i jakieś zatrzaśnięcie symboliczne. Milczeli uparcie i głucho. Lothar opadł na poręcz fotela i powoli dochodził do siebie, Guran stał z zaciśniętymi pięściami, a Lorek, powędrowawszy w głąb pokoju, usiadł na kanapie. Splótł dłonie na brzuchu i rzucał na nich spod wściekłych powiek kamienne spojrzenia.

Drzwi otworzyły się. Ukazała się w nich przystojna kobieta. Weszła ruchem powolnym, opanowanym, jednym rzutem oka objęła scenę i pojęła ją: dostrzegła rozsunięty krawat i rozpięty kołnierzyk męża, pięści Gurana i wściekłe choć przymknięte oczy prokuratora; wyczuła plecami, że ten sierżant utkwiał za drzwiami jak sztyldwach, którego ominąć nie ma już sposobu. Bez słowa przeszła pokój, zbliżyła się do wolnego fotela i opieszale siadła. Czekwała.

Guran, gdy tylko pojawiła się, sapnął głęboko i jakby coś zdecydował lub raczej jakby załamał się; oczy Lorka nie były w stanie prawidłowo ocenić tej metamorfozy. Dość, że gdy Lotharowa siadła, wszyscy niespodziewanie usłyszeli spokojny głos Gurana:

— Tak, znam ją.

— A więc klamka zapadła — mruknął do siebie prokurator.

— Znam ją — powtórzył — nieczuły na groźną uwagę.

Lorkowi potoczyła się przez głowę lawina myśli, na skutek tego przestał na chwilę w ogóle dostrzegać cokolwiek. Nigdy później nie mógł tego odżalować, z tego bowiem powodu stracił ostrość obserwacji i to, co się zaraz potem stało, pozostało mu w pamięci w formie jedynie mętnego i niewyraźnego obrazu.

Guran wznosił rękę, jakby prosząc o ciszę, całkiem niepotrzebnie zresztą, albowiem cisza była i tak wprost przejmująca.

— Lecz oświadczam, że nie znam pani Lotharowej.

Tego było za wiele. Lorek, jakby go wąż ugryzł, zeskoczył z kanapy, aż wszystkie sprężyny jęknęły harmonijnym akordem jakiejś staroświeckiej maszyny grającej.

Lothar chwycił się kurczowo za serce i zaczął niemal miauczeć:

— On zwariował, on zwariował, to czysty wariat, nie — już nie mogę dłużej wytrzymać... zwariował.

Pani Lotharowa opuściła głowę nisko, niziutko, oparła o miękki fotel klubowy. Jej piękne blond włosy rozsypały się efektownie niczym złota aureola nad głową upadłego anioła.

— Co to wszystko, do ciężkiej cholery, znaczy — zaryczał Lorek, zapominając o formach towarzyskich.

Guran, gestem kaznodziei rozłożył obie ręce, a oczy wznosił do nieba.

— Dokładnie to, co powiedziałem, panie prokuratorze.

— Więc zna ją pan czy nie?

— I tak, i nie.

— Dość tych błazeństw!

— To nie są błazeństwa, prokuratorze, to jest czysta, źródłano czysta, kryształowa prawda.

— ??

— Owszem, znam tę panią podwójnie, lecz nie znam na sposób trzeci.

— Cóż to, do pioruna, ma znaczyć, proszę bez teorii względności.

— Znam jako Ewę Porkowską, bo tak mi się przedstawiła; przedtem zaś poznałem ją

przypadkiem w Łazienkach, a właściwie tylko widziałem i pozostała mi w pamięci jako „córka Rubensa”. Ale, panie prokuratorze, nie znałem jej jako pani Lotharowej. Nie wiedziałem, że jest panią Lotharową. Po prostu ukryła to przede mną dla jakiejś gry, teraz domyślam się — jakiej. Zaczyna mi się coś niecoś wyjaśniać, lecz sądzę, że najlepiej będzie, jeśli szanowna pani zechce sama udzielić nam niezbędnych informacji.

— Kiziu, czy to prawda? — zabrzmiał znękany głos Lothara. — Czy to możliwe, czyżbyś rzeczywiście?...

Kizia, nie podnosząc głowy, z ukrycia siwych cudownych jasnych loków odpowiedziała lakonicznie tonem opanowanym, ostrożnym i znudzonym:

— Tak, prawda.

Guran z zadowoleniem przełknął ślinę. Przepłynął szczęśliwie Scyllę i Charybdę i teraz mógł dać odpoczynek znużonej nadmiarem uczuć powłoce cielesnej; opadł zatem z ulgą w miękką czeluść skórzaną fotela klubowego i... i... o mało nie zemdleł. Wszechświat drgnął znacząco w swych posiadach, a nawet śmignął dwa mdłości wywołujące koła, lecz na szczęście zatrzymał się. Poczuł słodycz koło serca, spokój w mózgu i czczość w żołądku.

— Kiziu, co to znaczy?

— Zrobiłam inaczej, niż łożyliśmy.

— Coś ty właściwie „zrobiła inaczej”?

— Nie męcz mnie, to wszystko jedno — odparła, wciąż spoza zasłony włosów.

W tym miejscu wystąpił prokurator, który co prawda nie zdołał jeszcze zupełnie dobrze ochłonać, lecz zorientował się, że należy działać.

— O, przepraszam panią, wcale nie wszystko jedno; przeciwnie — bardzo to ciekawe; może by jednak zechciała nam pan opowiedzieć, i to możliwie dokładnie, co to ma znaczyć i jak plan pani ułożyła i po co. A także — dodał energicznie — może zechce pani podnieść głowę.

Kizia, mająca zresztą już dobrze po trzydziestce, uniosła posłusznie acz niechętnie, widąc że pod przymusem, swoją pustą ozdobę i nie zaniedbawszy uporządkować uprzednio włosów, spytała po prostu i trafnie:

— Skąd mam zacząć?

— Od początku.

— To byłoby za długo, panie prokuratorze, bo musiałabym zaczynać od dnia naszego ślubu.

— Dobrze, więc o tym potem, teraz zaś poprosimy o sprawę rektora Tragi.

— Stasiu, zapnij kołnierz od koszuli, popraw krawat.

Panowie zbaranieli.

— Bój się Boga, o czym ty teraz myślisz — załamał ręce Lothar.

Guranowi głowa zaczęła kiwać się na boki, cmoknął kilkakrotnie z przejęciem i dał głośny upust swym refleksjom.

— Prawdziwy filozof, szkoda tylko, że taki pusty i ze złymi skłonnościami; ho, ho, ho — co za spokój, przytomność i jaka drobiazgowość obserwacji.

Lorek dał mu karcący znak ręką, by zamilkł.

— Proszę, czekamy.

Ociężałym ruchem wyprostowała się i zaczęła głosem prawie ze obojętnym referować wypadki, a robiła to tak, iż obecnym wydawało się, że były to wypadki jak najbardziej naturalne i zrozumiałe same przez się.

— Pragnęłam sławy naukowej męża. Chyba miałam do tego prawo? Gdy pan rektor Traga tak nagle zginął, pomyślałam sobie, że trafia się okazja. Po tym... tym zabiciu profesora Topolskiego doszliśmy z mężem do przekonania, że ktoś uwija się wokół spadku naukowego pana rektora. Ten ktoś to jest... chciałam powiedzieć — miał być pan redaktor. Tak przypuszczaliśmy. Gdy Staś przyniósł wczoraj zgubione kartki Tragi, ustaliliśmy, że zgubił je

na pewno redaktor, i ułożyliśmy plan wciągnięcia go do współpracy. Ja to miałam zrealizować przez „perswazję i namowę”, jak to mówił Staś. Pomyślałam sobie jednak, że tak będzie niedobrze... — Przerwała i odwróciwszy się do męża puknęła się lekko trzykrotnie paluszkiem w czoło mówiąc samokrytycznie: — Kiziunia pomyślała! Co?

Wzruszyła ramionami nad swoją głupotą, której jeszcze nie ujawniła, lecz której już teraz nie wstydziała się.

— ...że lepiej będzie, jak ja zrobię po kobiecemu. Ułożyłam to sobie jeszcze w niedzielę. Dowiedziałam się przypadkiem, że w poniedziałek rano, to znaczy — zastanowiła się, rachując na palcach — przedwczoraj, tak, przedwczoraj, pan Guran umówił się w parku z asystentem Pogonowskim. Poszłam do Łazienek, tak sobie, na wszelki przypadek. I rzeczywiście dobrze zrobiłam. Pan Guran był jeszcze sam. Obmyślałam sobie zawczasu, że poznamy się niby przypadkiem, no i tak dalej, szczegółów nie opracowałam, ale łatwiej przystąpić do interesu z mężczyzną, którego się już zna. Nieprawda? O czym to ja mówiłam? Aha! No, więc i dobrze by wszystko wypadło, ale na nieszczęście wpadłam na moją znajomą i nie mogłam się w żaden sposób odczepić. Trudno było w tych warunkach... panowie pojmujecie. Więc pan redaktor tylko odgadł moje stosunki i pożycie domowe...

Lothar i Lorek zdumieni się.

— ...odgadł, jaki mam charakter i jaki charakter ma Stasio, że on lubi zamknięte okna, a ja otwarte, że on jest apatyczny, a ja ruchliwa, że bardzo różni się...

Lothar i Lorek spojrzeli na Gurana i jeszcze bardziej zdumieni się, redaktor zaś spłonął gorącym rumieńcami.

— ...że ja mam siedem gruczołów duszy, a mąż tylko trzy...

— Ależ nic podobnego nie mogłem powiedzieć — wtrącił Guran, odzegnując się od głupstwa słowami i energicznymi machaniami dłonią.

— ...to wszystko jedno. Dość, że musiałam odejść nie zawarłszy z panem znajomości. Zresztą byłam cokolwiek przestraszona pana przenikliwością detektywistyczną.

— A więc to było zasadzka — jęknął Guran. — Co za idiota ze mnie! — I pacnął się w czoło.

— Mniej więcej — przytwardziła.

— A więc detektyw oszukany — jęknął po raz drugi.

— Mniej więcej — zgodziła się z odcieniem zadowolenia.

— Proszę nie przerywać — zwrócił się Lorek do redaktora i natychmiast odwrócił głowę, by ukryć uśmiech.

— Czy mogę dalej?

— Proszę.

— No, więc nie udało się, lecz nie tak znów zupełnie. We wtorek Staś przyniósł te karteczki Tragi i powiedział, że dobre byłyby na przynętę, na pułapkę. Pokazać mu je i zorientować się, czy to on zgubił. Będziemy mieli pewność. No i tak dalej. Miałam spotkać się z panem Guranem. O incydencie w parku nie powiedziałam mężowi. Ale ja pomyślałam inaczej. Wywiedziałam się, że we wtorek wraca wieczorem z treningu sportowego. Ułożyłam niby to przypadkiem spotkanie na ulicy i intrygę. A naprawdę chciałam wybadać, gdzie trzyma papiery. Okazało się, że w biurku w lewej szufladzie. No i tak dalej.

Skończyła.

Lorek poruszył się niespokojnie na kanapie.

— Co to znaczy „i tak dalej”? Co dalej? Co pani zamierzała zrobić?

Położyła z powrotem głowę na fotelu.

— Chciałam zabrać wszystkie papiery.

— Jak to zabrać? W jaki sposób?

— No, po kryjomu, wtedy spółki nie byłyby potrzebne. O sposobie, przyznam, się, nie myślałam, to by się jakoś samo ułożyło. I rzeczywiście...

— Co rzeczywiście?

— Gdy wychodziłam, dostrzegłam, że pan redaktor otworzył okno. Mieszka na parterze. Zaczęłam głęboko rozmyślać i w tym czasie, gdy tak spacerowałam i rozmyślałam, nadeszli Pogonowski z narzeczoną. Domyślałam się, że będą w saloniku, bo mieszkanie zdążyłam obejrzeć i zapamiętać. Rzeczywiście wkrótce w gabinecie zgasło światło. Więc chodziłam i myślałam: oni będą hałasować, to jest parter, biurko stoi blisko okna, wchodzi się od ogródka, a tu wieczór — ciemno, ulica odludna... Nic właściwie nie stało na przeszkodzie.

— Nic, rzeczywiście — zauważył z przekąsem Guran, lecz ona jakby nie dosłyszała.

— Wahałam się nawet długo, ale powiedziałam sobie, że to byłoby tchórzostwo. No i weszłam. Trochę było niewygodnie i parapet strasznie zakurzony. U mnie parapety są utrzymane w czystości, leżały tylko te nasze kartki. Na nieszczęście nastąpiłam na przewód elektryczny od lampy, stojącej na biurku, i widocznie wywołałam krótkie spięcie. Ogromnie zlekkałam się, gdy panowie chodzili po przedpokoju. Potem — w ciemnościach — coś potrąciłam, tamta pani zaczęła krzyżeć. Uciekłam. Wzięłam nawet niepotrzebnie te nasze kartki. Scho- wałam się zaraz za tym wielkim drzewem. Byłam ogromnie rozczarowana.

— No myślę — wymknęło się teraz prokuratorowi.

— Kiziu — jęknął osłupiały Lothar — Kiziu, coś ty zrobiła?

Wzruszyła ramionami, nie podnosząc głowy.

— Pani zechce wyprostować się — skomenderował prokurator. — Tak. Dziękuję. A więc: redaktor Guran nie wiedział o pani roli i pani tożsamości.

— Nie.

— Mąż pani nie wiedział o pani pomysłe oszukania redaktora i o pani przemysłnych zabiegach i eskapadach.

— Nie.

— Dziękuję, może pani odejść, ale na razie proszę nie wydalać się z mieszkania.

Wyszła. Zapanowało milczenie. Trzej mężczyźni zastanawiali się, rozważali w duchu i odpoczywali. Nagle usłyszeli głos Lothara.

— Nie miałem szczęścia do kobiet!

— A rzeczywiście — nie! — potwierdził prokurator. I dodał: — Zatem nikt z panów nie kłamał.

Lothar i Guran spojrzeli na siebie.

— Jestem zawstydzony — zaczął profesor — tymi podejrzeniami i karczemną sceną; przepraszam pana, redaktorze.

— Ja także — odwzajemnił się Guran.

— No dobrze — oprzytomniał nagle nieszczęsny małżonek — lecz któż jest owym mordercą? — I zaraz dokończył myśl: — Pozostał na placu tylko Byroń.

Ani Guran, ani Lorek nic nie odpowiedzieli. Cóż mieli rzec? Nic nie pojmowali.

## XIV

### POPŁOCH

Krogulczy Nos słuchał wielce uważnie sprawozdania prokuratora. Jego pergaminowa twarz, złożona z natury niby z oddzielnych kawałków, pofałdowała się jeszcze bardziej; jedynie sztywne włosy, sterczące na jeża i ucięte u góry gładko sprawną maszynką fryzjera, reprezentowały ideę płaszczyzny, gładkiej powierzchni i nieczułości na wydarzenia.

— Czy być może? — wydmuchnął z siebie słowa zdziwienia.

Prokurator tylko westchnął z rozżaleniem.

— A wie pan prokurator, że to się zgadza z innymi szczegółami — zastanowił się na głos — na przykład z zagadnieniem: czy Lothar mógł zawczasu wiedzieć, że Topolski będzie w Zakładzie. Pamięta pan, że Kowalik przywiózł ich razem; zastanawialiśmy się, czy podobna, aby zdążył ktoś zawiadomić o tym.

— Pamiętam, doszliśmy do wniosku, że miał taką szansę; mianowicie z wyjaśnień sierżanta wynikało, iż wspomniał Lotharowi, że w samochodzie jest już profesor Topolski.

— Właśnie — podchwycił Krogulczy Nos — to było w szatni restauracji „Liryczna”, a jak się okazało, jego żona też tam była. Mogła słyszeć lub sam Lothar mógł dać jej jakieś polecenie.

— No i co? Jakie mamy informacje?

— Otóż zeznanie szatniarza po twierdza wyjaśnienia Kowalika: nie mogła słyszeć, bo stała w pewnej odległości, a muzyka na pewno zagłuszała słowa; zresztą i w samej szatni był ruch i gwar. Poza tym z całą pewnością Lothar nie miał już czasu ani okazji na danie choćby najmniejszego sygnału. Wiemy ponadto dokładnie, co Lotharowie porabiali i gdzie byli wczoraj i dziś. Nie mogli być zamieszani w zamach na Prokaszka. Nie znaleźliśmy najmniejszego śladu powiązania ich z aparatem lub ciałem Topolskiego. No, a przecież ten, komu były potrzebne, musi mieć z nimi do czynienia; nie wrzucił ich do Wisły. Spółka z Guranem odpada. Rola Lotharowej wyjaśniona. Zatem zagadka nadal czeka na rozwiązanie. Lothar — nie, więc kto?

— Co słyhać z Prokaszem — zainteresował się Lorek — jak się czuje?

— Po luminalu śpi ciągle, serce pracuje już spokojnie; obudzi się koło wieczora.

Lorek spojrział na zegar wiążący na ścianie.

— Po pierwszej — bąknął niechętnie — po czym znów spytał: — Co mu właściwie ukradli?

— Tego nikt jeszcze nie wie; zeznanie, które zaczął pisać, nie dokończone i nic nam nie wyjaśnia, a on sam śpi.

— Czy to możliwe, żeby owe papiery Tragi były u niego?

Krogulczy Nos skrzywił się w sposób, nie wiadomo co oznaczający i odparł:

— Wszystko jest możliwe, ważne natomiast tylko to, żeby dokładnie wiedzieć, jak przedstawia się sytuacja naprawdę.

— Kto miałby podstawy jakieś czy motywy, aby dybać na jego życie?

— Usiłowaliśmy dociec tego. Absolutna tajemnica, jak na razie, panie prokuratorze.

— Czy był kto u niego w mieszkaniu, gdy Ogórek wzywał go do Zakładu?

— Plutonowy twierdzi, że na pewno nie, bo był przecież w pokoju; na korytarzu również nikogo nie było.

— A więc czekamy na obudzenie się starego; czuję, że ten nam wywali jakąś ciężką historię; aby... aby... bo jeśli nie...

— Jeśli nie, to istotnie — przyznał Krogulczy Nos — zaczniemy fikać nogami w próżni.

— Czy analiza grafologiczna tych bazgrołów z groźbą, znalezionych na biurku u Prokaszka, dała jakieś wyniki?

— Żadnych.

— Zatem musimy czekać do wieczora.

— Musimy.

— Ma pan coś jeszcze?

— Ano o Byroniu!

Prokurator wyzwolił się z letargu, obejmującego go w wyniku paraliżujących wiadomości, poruszył się z nadzieją.

— Co takiego?

— Po pierwsze. Jest ciężko chory na serce. Angina pectoris. Jedenaście miesięcy temu



przeżył szczęśliwie zawał serca. Trudno przypuścić, aby w tym stanie zdrowia on właśnie okazał się owym arcyksięciem magików i morderców.

— Ładnie to pan powiedział — pochwalił Lorek. — Rzeczywiście trudno przypuścić, aby puszczal się na takie awantury. — Znow spytal: — A inwigilacja?

— Żadnych wyników: siedzi w domu, pracuje trochę więcej. Nic ponadto, chociaż sprawdzaliśmy drobiazgowo.

— A sprawa jego wyjazdu za granicę na kongres międzynarodowy?

— Zdaje się, że zrezygnuje, właśnie ze względu na stan zdrowia.

— Ma pan co jeszcze? — Lorek znow poczuł śpiące dotknięcie letargu.

— Czy pan prokurator pomyślał o Pogonowskim?

Tym razem letarg czmychnął na dobre. Prokurator zmarszczył gwałtownie czoło między brwiami, oparł się łokciami o biurko, splótł palce.

— Nie, a cóż to nowego, dlaczego miałbym myśleć o nim? — Wzruszył ramionami.

— Dotychczas, panie prokuratorze, stoi poza śledztwem.

— No więc co z tego? Dwadzieścia pięć milionów ludzi w Polsce stoi poza śledztwem. Czy ma pan coś specjalnego.

— Nie, niestety nie, ale myślę, że warto by, w tych okolicznościach, w jakich znaleźliśmy się, szukać na wszystkie strony.

— Pogonowski? — mruknął Lorek i znow wzruszył ramionami. — To bzdura.

— I ja tak sądzę, ale...

Prokurator przerwał.

— Kiedy odbył się pogrzeb starego Pogonowskiego?

— W poniedziałek po południu.

— Czy willa Pogonowskiego jest pod obserwacją?

— Tak. Ale tylko pod zewnętrzną.

— Nic podejrzanego?

— Nic.

— A co się dzieje w środku?

— Tego nie wiem; nie pomyśleliśmy o tym.

— A jak wyglądają wyniki poszukiwań aparatu? Co z ciałem Topolskiego?

— Żadnych wyników.

— Czy nie przychodzi panu na myśl, że z tym ciałem to zapewne pomyłka?

Krogulczy Nos wyciągnął pofałdowane oblicze do prokuratora.

— Pomyłka? Jak mam to rozumieć?

— Bardzo prosto. Ginęły głowy, prawda?

— Tak, ginęły głowy — przyznał.

— Morderstwa na Topolskim prawdopodobnie nie popełnił osobiście nikt z obecnych wtedy w Zakładzie?

— Tak należy przypuszczać.

— Uczynił to jakiś nieokrzesany pomocnik.

— Prawdopodobnie.

— No, a on akurat pokręcił instrukcję, Wszakże dziwaczna, prawda? I zamiast zabrać z sobą głowę, wziął ciało.

Krogulczy Nos długo wpatrywał się w prokuratora, wreszcie zakończył rozmowę lakonicznym: — Być może.

\*

Sekretarka „Postępów Wiedzy” oglądała kopertę wzrokiem podejrzliwym. Obracała ją na wszystkie strony — nie zdecydowana co ma robić. Przede wszystkim brak było znaczka pocztowego; musiała zapłacić listonoszowi z własnej kieszeni. Koperta zaadresowana wyra-

źnie: Redaktor „Postępów Wiedzy”, Leonidas Guran. Ale ulicy nie podano; dobrze, że poczta działa sprawnie i list mimo to doręczyła. Nie ma nadawcy, natomiast dopisek „sprawa osobista”.

To jeszcze nic, ale wszystko wypisane było ołówkiem i tak niemożliwymi kulfonami, tak nabazgrane, że odczytywała z trudnością, nie mówiąc o wyniosłej irytacji.

„Co to może być? Kto to mógł pisać?”

Redaktora dziś nie będzie, zapowiedział to; zbliża się godzina trzecia i trzeba się zdecydować: odesłać gońcem do redaktora czy nie? Może położyć na biurku, jutro redaktor przyjdzie i przeczyta?

Mocowała się z wątpliwościami i obracała wciąż kopertę, oglądając po raz dziesiąty nieprawdopodobne dzieło tajemniczego nadawcy.

— Jędrek!

— Słucham panią.

— Zanieś ten list do pana redaktora.

— O rety, a co to?

— Niech cię to nie obchodzi, zaniesiesz i kwita; nie gap się i pośpiesz się.

— Lecę, lecę...

Lecz zamiast lecieć stał w miejscu.

— A czy, psze pani, mogę już nie wracać do redakcji?

— Masz wrócić.

Jędrek wyszedł najpowolniej, jak tylko potrafiły to uczynić jego młode nogi.

\*

Stefan Pogonowski nakręcił na tarczy telefonu numer i czekał.

— Proszę, kto mówi?

— Halo, czy to mieszkanie pani Landowskiej? — spytał zdziwiony, słysząc jakiś obcy kobiecey głos.

— Tak, kto mówi?

— Ale, ale... Czy pani Heleny nie ma w domu?

— Nie, jest teraz w Miejskich Zakładach Ogrodniczych.

— Kto opiekuje się wobec tego panem doktorem?

— Ja.

— Ach, przepraszam, pani jest zapewne pielęgniarką?

— Tak. Czy mogę wiedzieć, kto mówi, pani Landowska prosiła mnie...

— Tu Stefan Pogonowski... dziękuję... ja sam zresztą zaraz do niej zadzwonię... —

Przerwał i przez sekundę słysząc było delikatne trzaski w słuchawkach. — Proszę pani, a jak się miewa pan doktor.

— Znacznie lepiej, śpi spokojnie, zdaje się, że niebezpieczeństwo minęło.

Znów chwila ciszy.

— Czy mówi coś przez sen?

— Słucham pana — zdziwiła się pielęgniarka — ach przepraszam, nie zrozumiałam od razu; nie — śpi spokojnie i głęboko.

— Czy... ach zresztą nic... no to dziękuję pani uprzejmie... zaraz... jeszcze jedno: będzie pani dyżurowała przez całą noc, prawda?

— Nie, proszę pana, niebezpieczeństwo minęło, nie ma potrzeby; będę tylko do wieczora, do powrotu pani Landowskiej; przed wyjściem zrobię jeszcze zastrzyk. Możecie państwo zupełnie nie obawiać się, wstrząs minął i wszystko ułoży się dobrze.

— Bardzo pani dziękuję. Do widzenia.

— Do widzenia.

Położył słuchawkę, odczekał chwilę, zastanawiając się, podniósł ją i znów nakręcił

numer.

— Halo, czy to Miejskie Zakłady Ogrodnicze?

— Tak.

— Proszę wewnętrzny szesnaście.

— Zajęty.

— Poczekam, dobrze?

— Dobrze.

Rozparł się wygodnie za biurkiem i spojrzął przez okno na ogród. Telefonował z gabinetu swego ojca.

Szyby do drzwi balkonowych były już wstawione, lecz Weronika nie zdążyła widać wymyć ich, bo pozostały na nich odciski rąk szklarzy i smugi od nie startego dobrze kitu.

— Proszę, łączę pana.

— Czy mógłbym mówić z panią Landowską?

— Owszem — usłyszał i zaraz potem głośne wołanie: — Pani Landowska, pani Landowska, do telefonu.

— Tu Helena Landowska.

— Stefan; dzień dobry, kochanie.

— Dzień dobry. Ładnie, że dzwonicz. Wiesz, stan wujka jest znacznie lepszy.

— Wiem, właśnie telefonowałem przed chwilą i rozmawiałem z pielęgniarką. Cieszę się. To dobrze. Chciałbym przyjść dziś wieczorem do ciebie.

— Ach, świetnie — ucieszyła się — tylko może lepiej będzie wcześniej, tak koło godziny piątej, szóstej, bo później chcę prasować bieliznę.

— Mówisz, koło piątej, szóstej? Widzisz, kochanie, ja... ja chciałbym być koniecznie wieczorem; nie będę ci przeszkadzał, a nawet — jeśli zechcesz — pomogę ci.

— E, to nie dla mężczyzn robota — roześmiała się do słuchawki.

— Tak, może, ale... Nagle Helena zrozumiała.

— Tak, o to właśnie chodzi.

— Ja nie mam zamiaru nigdzie wychodzić, zamknę się, mam moc roboty. A może wujek obudzi się, to będę musiała i koło niego skakać. Nic mi się nie stanie.

— Jednak będzie lepiej, jak przyjdę.

— Wiesz, mój kochamy, że dla mnie najlepiej, jak mam cię przy sobie; więc przyjdź, tylko nie przeszkadzaj i nie spodziewaj się, że będę cię bawiła. Wiesz co? Kup paczkę herbaty, bo mało mi zostało, i wstąp do apteki po lekarstwa dla wujka, będą już gotowe. Zapłaciłam. Wydadzą ci pewnie bez kwitu, bo to w tym samym domu i znają wujka. Dobrze?

— Dobrze. Zatem zjawię się już przed siódmą. Albo nie — o szóstej. Do zobaczenia.

— Pa.

Położył słuchawkę.

\*

Dziekani Wydziału Medycznego głaszcząc swą długą srebrzystą brodę czytał kartkę wypełnioną pośpiesznym pismem.

*Panie Dziekanie*

*Zawiadamiam z przykrością, że nie będę dziś wieczór obecny na posiedzeniu Wydziału. Miałem fatalne przejście natury osobistej, komplikacje rodzinne, jestem prawie chory. Ale nie byłby to powód wystarczający. Spełniłbym swój obowiązek. Niestety, dołącza się druga sprawa, związana z wydarzeniami w Zakładzie Medycyny Sądowej i innymi... Krótko mówiąc, nie wychodzę dziś wieczorem z domu i nikogo nie wpuszczam do domu. Może się to wydać komuś przesadną obawą. Niech będzie! Co do mnie, jestem przekonany, że to nie jest przesada, a najbliższe godziny ukażą, że się nie myliłem.*

*Proszę więc uważać mnie za usprawiedliwionego. A w ogóle noszę się z myślą o krótkim urlopie zdrowotnym.*

*Przesyłam wyrazy szacunku  
Stanisław Lothar*

— No, no — zamruczał do siebie — chłop zląkł się; kto wie czy nie bez racji. Na jego miejscu czułbym to samo, kropka w kropkę to samo. Ciekaw jestem co też wyskoczyło mu z tymi „komplikacjami rodzinnymi”? Czy aby nie małżonka? Oho, ani chybi — małżonka. Nigdy nie cierpiałem tej baby.

Odłożył kartkę i sięgnął po książkę, czytał właśnie romans kryminalny Abaty Chroustie — „Siedem guzików”. Lubił urozmaicać sobie czas przed obiadem w ten właśnie sposób. Zanurzył wzrok w gąszcz czarnych liter, niosących mu nie mniejszy gąszcz wydarzeń, gdy oto zaterkotał telefon.

Niezadowolony odłożył ciekawą lekturę.

— Proszę, słucham — odezwał się groźnym tonem — kto mówi i po co?

Znany był ze swego niepohamowanego dowcipu, zaprawionego niemniej impulsywną złośliwością.

— No, słucham, proszę prędeej.

Ktoś tam odzyskał wreszcie mowę i wyjąkał:

— Czy... czy to pan dziekan...

— A dziekan, dziekan...

— Tu Byroń.

— Profesor Byroń? No dobrze... dzień dobry... słucham pana; mam nadzieję, że sprawa krótka.

— Dzień dobry, panie dziekanie... rzeczywiście krótka. To jest... tego... chciałem zakomunikować, że nie będę na posiedzeniu Wydziału.

— Co, i pan również?

— ??

— Przed chwilą profesor Lothar pochwalił mi się podobnym zamiarem.

— On też? — wyszeptał Byroń bez zdziwienia.

— Ano też, też, też i dekompletujecie mi posiedzenie — irytował się na niby złośliwy, ale poczciwy starszek. — Więc nie będzie pan, co? Będzie pan siedział w domu, co? I nikogo pan nie wpuści, co?

— Jakby pan zgadł, dziekanie. — Tym razem dało się jednak wyczuć w głosie nutę zdumienia.

— No to nie przychodźcie, kolego; trzymajcie się, nie dajcie się; lichy wie co jeszcze może z tego diabelstwa wywinąć się; ano więc siedźcie w domu. Do widzenia.

— Dziękuję, do widzenia.

— Mmm — zachnął się brodacz — że też mnie się nigdy nic nie przydarzy.

Wziął książkę do ręki. Aliści drzwi się otwały.

— Józiu, obiad gotów, na stole: rosół z makaronem i kotlety siekane z marchewką.

Rzucił książkę i krzyknął:

— Co za życie, ciągle kotlety i marchewka, marchewka i kotlety, a na dodatek fizjologia krążenia chorób, krążenia i pisanie dwój w indeksach! Do licha z takim życiem!

Jednak powstał i dość chętnie podreptał w kierunku obiadu.

— Żeby choć raz coś się człowiekowi przydarzyło — martwił się płaczkliwie — choć jeden razik. Nawet warto by się trochę pobać. Brr — wstrząsnął się cały — miły dreszczyk, miły.

- Halo, czy to Wydział Śledczy, Rezerwa?
- Tak, tu dyżurny kapral Stec.
- Będzie telefonogram.
- Piszę.

„Zarządzam natychmiast, stosownie do wczorajszej ustnej rozmowy, ochronę następujących osób: Prokasz, Landowska, Pogonowski, Byroń, Lothar, Guran”. Podpisane: Lorek, prokurator.

- Przyjęte?
- Tak.

\*

Zbliżała się godzina czwarta po południu. Dla wielu ludzi zamieszanych w tę obłądną sprawę dzień dłużyl się nieprawdopodobnie. Byliby zadowoleni, żeby ta środa wreszcie szczyła i minęła, przepadła i nie męczyła swymi ukrytymi, a może urojonymi niebezpieczeństwami.

Męczyli się jawnie lub po kryjomu, dręczyli przypuszczeniami, truli strachem. Czekali.

W nieznanym miejscu tkwił nieruchomy pająk i plątał sieć, plątał, plątał... Życie wokół toczyło się normalnie: tramwaje, auta, autobusy płynęły rzeką; ludzie pracowali, śpieszyli się, bawili, kłócili, biegali; sklepy zapraszały do swych wnętrz; błyszcząły światła i neony reklam kinowych. Lecz ta mała gromadka czuła inaczej. Dla niej czas dziwnie spuchł, jak trup topielca i groził... ale czym? Chmury zaciągnęły nieboskłon, zbliżał się deszcz, dlatego też wcześniej zaczęło robić się szaro.

Brudnożółta opończa padła na Warszawę.

\*

Redaktor Leonidas Guran leżał wyciągnięty na tapczanie. Głowy nie było widać, zasłonięto ją bowiem białym ręcznikiem. Ręce, rozrzucone bezwładnie, były mokre. To samo — ręcznik. W powietrzu unosił się ciężki zapach kropli walerianowych.

Redaktor przykładał sobie zimne kompresy. Nawiedził go już błogi stan półsnu, wewnętrznej ciepła, wyłączenia mózgu, utraty poczucia czasu i przestrzeni, a także — spraw tego świata. Błoga nieświadomość fizjologiczno-fizyczno-psychiczna rosła, pęczniała, zataczała niewymierne kręgi w górę i unosiła go na łono skrzydlatego boga nocy, Morfeusza.

Nie pisane mu jednak było: ani ta odrobina przyjemności, ani sen, ani odpoczynek. Dźwięk dzwonka targnął usypiającymi zmysłami niczym salwa stu armat, rozpoczynająca natarcie mrowia piechoty, wyłaniającej się z błotnistej ziemi.

Szarpnął się niespokojnie.

Miał uczucie, jakby wychynał na powierzchnię cuchnącego bajora. Słyszał już człapiące kroki gospodyni, szcęk łańcucha przy drzwiach, zgrzyt zamka, głosy...

Czekał, by usnąć, by dali mu wreszcie święty spokój, by hałasy ustały. Zamiast tego zapukano do drzwi.

— Och — westchnął wściekle, zerwał kompres, obrócił mokrą głowę do drzwi i stęknął. — Co tam?

Weszła. Trzymała coś w ręku.

— List do pana. Przyniósł goniec z redakcji. Mówi, że to osobiste. Miarkuję sobie, że może ważne i pilne. Więc...

— Od kogo?

Obejrzała uważnie raz i drugi.

— Od nikogo!

— Jak to od nikogo? Musi przecież być od kogoś.

— Nie napisano.

— Proszę. — Wyciągnął rękę.

Podeszła i wręczyła mu kopertę ruchem dumnym i pełnym znaczenia.

— Może gospościa zapali światło, jakoś ciemno jest.

Podniósł się na łokciu i czekał, aż prośba została spełniona.

Wtedy rzucił okiem na kopertę, rozerwał ją niedbale i wyciągnął z niej świstek złożony we dwoje.

Raptem usiadł, wlepił weń oczy, nogi, które zawisły na moment w powietrzu, dotknęły podłogi. Już stał, w skarpetkach, bez krawata i marynarki. Oczy rozszerzyły się, usta otwarły, głowa opadła bliżej kartki: „Zaniechać dochodzeń. Pierwsze i ostatnie ostrzeżenie”.

Treść wypisana była ołówkiem, a raczej nabazgrana niewypowiedzianymi kulfonami. Guran w niemym osłupieniu obracał teraz jednocześnie w obu rękach kopertę i kartkę, jakby chciał tym prostym sposobem doświadczyć się prawdy.

Gospościa, widząc to, przeżegnała się i czym prędzej wyszła z pokoju. Miała już pewne doświadczenie i ze swym chlebobawcą, i z jego zawikłanymi często sprawkami, wołała tedy zniknąć cicho i pośpiesznie.

On zaś przeszedł przez pokój jak lunatyk, przeszedł w skarpetkach przez przedpokój i gabinet.

Usiadł w fotelu. Pochylił się mocno do przodu, właściwie skurczył i trzymając nadal w obu dłoniach, opartych na kolanach, dwie części poselstwa, myślał i myślał. Trwało to bardzo długo. W domu panowała niezmacona cisza.

— Idiota!

Słowo to wymówione zostało bez nacisku, bez pośpiechu, raczej ze zdziwieniem.

— Cóż to za głupie i płaskie dowcipy?

Wstał, zbliżył się powoli do okna, zapuścił wzrok w mętne niebo, oparł się łokciem o ścianę.

Wreszcie, wróciwszy jakby nieco do przytomności, począł krzątać się koło spraw drobnych, lecz niezbędnych: włożył pantofle (zauważywszy mimochodem, że w lewej skarpetce jutro będzie dziura), związał krawat, naciągnął marynarkę, zgasił światło. Po czym zaczął wędrować z kąta w kąt.

Minęło może pół godziny. Telefon wisiał w przedpokoju, poszedł tam i zadzwonił.

— Czy pan prokurator Lorek?

— Tak, to ja; nie spodziewałem się co prawda od pana telefonu, po tej rezygnacji...

— Hm, niech pan dobrze posłucha, a przedtem usiądźcie. „Zaniechać dochodzeń, pierwsze i ostatnie ostrzeżenie”.

— ??

— No co, zatkało pana?

— Jeszcze nie wiem, o co chodzi? Czy to pan się do mnie zwraca i grozi mi?

— Ależ nie! To ja dostałem dopiero co takie ostrzeżenie. Przyszło do redakcji; właśnie przed chwilą wręczył mi goniec.

— Niemożliwe!

— Całkiem możliwe, bo tak jest.

— Jak Prokasz!

— Właśnie zupełnie tak samo.

— I nabazgrane?

— Nabazgrane.

— Bez autora, oczywiście; skromny drań jest, nie pcha się ma scenę.

— Bez autora.

— Fiu, fiu — gwizdnęło w słuchawce. — Co wobec tego redaktor zamierza?

— Zamierzam cofnąć swoją rezygnację.

— To mi się podoba. Moje gratulacje.

— Mam w związku z tym prośbę: czy mógłby mi pan prokurator zmobilizować, ale zaraz, koniecznie zaraz, grafologa?

— Mogę. Zna pan przecież Kwieciewskiego, prawda? Proszę przyjść do niego za dwie godziny, powiedzmy o szóstej, ja też będę ciekaw ekspertyzy, lecz zwracam uwagę, że ekspertyza kartki znalezionej u Prokaszka nie dała żadnego efektu.

— Nie szkodzi.

— A czy ma redaktor w domu próbki pism dla porównania? Jeśli tak, proszę wziąć z sobą.

— Owszem: Prokaszka, Byronia, Lothara. To wystarczy na razie. Resztę sprawdzi się jutro.

— Co to wszystko znaczy — spytał Lorek.

— A diabli wiedzą!

— A redaktor nie wie?

— Ja. Ja... ja... wierzę w naukę, w metodę, w jasne i prawidłowe myślenie...

— Aby to redaktora nie zawiodło!

— Dziękuję zatem, prokuratorze, i na razie do widzenia.

— Żegnam.

Odłożył powoli słuchawkę i siadł zaraz obok telefonu na krześle.

Cóż teraz pocznę? — rozmyślał. — Jestem ciemny jak chłopek na puszczy. Rozum mnie zawiodł, zdrowy rozsądek mnie zawiodł, fakty są przeciw mnie; ktoś mi grozi — nie wiem kto... Wznawiam walkę nie wiedząc, co począć. Nie powiem, by to była oznaka szczególnej inteligencji i przezorności z mojej strony. Doprawdy wolałbym, aby ten oszalały geniusz był bardziej wszechwiedzący i nie wyskakiwał z drażniącymi i prowokującymi groźbami właśnie w momencie, gdy zaniechałem pościgu. Ale co robić? Nie mogą teraz inaczej. Zaczynam więc od początku. Ba! Lecz co to znaczy? Od jakiego „początku”? Hm, szukać nowego wyjaśnienia, które by obejmowało wszystkie zaszłe fakty i układało je w jakiś sensowny wzór. Znaleźć równanie, jedno, wszystko obejmujące, rozwiązujące...

Westchnął przeciągle, głęboko i ciężko, wsadził desperackim ruchem ręce do kieszeni i wyciągnął nogi przed siebie na całą ich długość, dotykając czubkami butów przeciwległej ściany wąskiego przedpokoju.

Nic znalazłem i kto wie czy znajdę? Czy nie zostałem na stare lata Don Kichotem? Oj, Leonidasie, Leonidasie, trafiła kosa na kamień, i to na dobry kamień, piekielny kamuszek, zdaje się, że wykończysz się na nim.

Tu rozsierzdził się i jakkolwiek nigdy nikt nie słyszał, by kłął, tym razem uczynił to. Do cholery! Przecież nie wierzę w cuda, nie wierzę w czarnoksiężników; wierzę w rozum, w fakty...

„Fakty?”

„Fakty?”

„Dlaczego fakty są przeciw mnie?”

„Co to są fakty?”

„Fakt!”

Zaczął bezwiednie rysować butem jakieś zygzaki na białej ścianie, co nie wychodziło na dobre jej nieskalanej czystości. Głowa opadła mu na piersi.

— Fakt — powtórzył półgłosem. Co to jest fakt?

Raptem drgnęło w nim coś, wyprostował plecy, a oczy rozbłysły. Zdjął pośpiesznie nogę ze ściany, wyjął ręce z kieszeni, uniósł palec wskazujący i zawiesił go nieruchomo w powietrzu. Rzekł tym razem spokojnie:

— W każdym fackie tkwi interpretacja. Od momentu, gdy staramy się go zrozumieć, pakujemy weń naszą interpretację. — Powstał powoli i dodał: — A co, jeśli interpretacja księdza jest fałszywa? Interpretacja i fakt — oto dwa oblicza jednej rzeczywistości. Gdzie tu

może znaleźć się błąd? Jaki jest stosunek między nimi? Ba! Gdybym miał czas. Dałbym sobie radę, lecz — niestety — nie mam go. Liczą się już godziny, a może nawet kwadrans. Natychmiast... muszę... natychmiast... jeszcze raz sprawdzić uśmiech nieboszczyka Tragi.

## XV

### I JESZCZE JEDNA ZAGADKA

Gdy wskazówki zegarów oznajmiły godzinę szóstą, a powłoka ciężkich chmur zasłoniła trzy czwarte nieba, czyniąc niezwykle a przedwczesne ciemności, Guran stanął przed domem znanego warszawskiego grafologa sądowego Kwieciewskiego.

Już zamierzał wejść do bramy, lecz w ostatniej sekundzie zatrzymał się: ciemna limuzyna prokuratora pojawiła się na rogu ulicy i wzięwszy zakręt, zbliżała się w jego kierunku. Zaraz też wyskoczył z niej sam rumianotwarzy, ale w tej chwili posępny i przygnębiony, Lorek.

Uścisnęli sobie dłonie. Lorek, zwróciwszy się całą swą masywną postacią do redaktora, stęknął:

— Nic! Zupełnie nic! Żadnego postępu, żadnego światła, żadnej nowej informacji. Rozumie pan.

Ten uczynił grymas ironiczny, wruszył niecierpliwie ramionami.

— Dlaczego by nie, dobrze rozumiem.

— To nie sprawa kryminalna — irytował się Lorek — to jakaś obłąkana historia!

Potakiwał głową w całkowitym zrozumieniu.

Drobne, pojedyncze krople deszczu wciąż padały z nieba, ale z jakimś ociąganiem się, jakby chmury nie mogły się zdecydować na rozwiązanie swego eterycznego ciała i przemienienie go w potężną rzekę wody, runąć na ziemię.

— Ciekaw jestem tej kartki, ma ją pan oczywiście ze sobą, nie zapomniał pan?

— Nie, nie zapomniałem, zaraz ją pan obejrzy; chodźmy.

— Co redaktor sądzi o groźbie?

— Wyobrażam sobie, że świadczy, po pierwsze, iż Nieznany po prostu lęka się; widocznie coś mu się psuje... Ale zjem własny kapelusz, jeśli wiem co. Po drugie: jeśli grozi — znaczy jest bezsilny; ta bestia nie zawahałaby się sprzątnąć mnie bez ostrzeżenia, gdyby zdolna była to uczynić. Grozi, a więc jest bezsilna. Dlaczego? Wydaje mi się, tak czuję, że gdybyśmy odcyfrowali ten szczegółlik, trafilibyśmy na właściwą ścieżkę.

Szli na górę powoli, przy czym Lorek okropnie sapał.

— Po trzecie: list wysłany był do redakcji i bez podania jej adresu. Tylko: Leonidas Guran, redakcja „Postępy Wiedzy”. Znaczy to, prokuratorze, że ten facet nie zna...

— Adresu redakcji — wtrącił Lorek.

— Ba! żeby tylko. I mojego, i mojego, panie prokuratorze! Bo inaczej list przysłałby wprost do mnie.

— O to ważne, racja — wyszeptał niemal nabożnie Lorek.

Stanęli przed drzwiami Kwieciewskiego. Prokurator nacisnął dzwonek. Pracownia grafologa przypominała trochę nowoczesny zakład fotograficzny, a trochę laboratorium: mnóstwo lamp, osobliwych aparatów, buteleczek z chemikaliami, pudełek, szkieł powiększających, rzędy całe drobnych przyrządów; światła kolorowe, kwarcowe, zwykłe. Wśród nich uwijało się oblicze w potężnych okularach, spoza których spoglądały łagodne oczy Kwieciewskiego.

Od dłuższego już czasu biegał po pokoju, od lampy do lampy, od stolika do stolika,



poddając papier przeróżnym próbom. Po czym zasiadł za biurkiem i począł studiować go, porównując z próbkami pism Prokasz, Lothara i innymi, które Guran wręczył mu razem z owym „Zaniechać dochodzeń. Pierwsze i ostatnie ostrzeżenie”.

Tymczasem Guran rozmawiał ściszym głosem z Lorkiem.

— Panie prokuratorze, wybieram się po raz wtóry na cmentarz.

— Na cmentarz? Przecież był pan rano.

— No, owszem, mimo wszystko spróbuję raz jeszcze.

— Jak to, chce pan dokonać ekshumacji ciała Tragi?

— Tak.

— Po co?

Redaktor uczynił niezdecydowany ruch dłońmi i ramionami, ale nic nie wyjaśnił.

— Przecież nie ulega wątpliwości, że Traga rzeczywiście nie żyje.

Znów w odpowiedzi ten sam niejasny ruch i milczenie redaktora.

— Czyżby redaktor wątpił w to?

— Nie!

Lorek zmierzył go oczami pełnymi sprzecznych myśli i uczuć.

— Mimo to chce pan dokonać ekshumacji?

— Tak.

— Ależ po co?

Guran chrząknął i podrapał się po nosie, po czym Lorek usłyszał te niezwykle słowa:

— Mimo wszystko, prokuratorze, mimo wszystko. Wiem, że nie żyje, wiem, że jego ciało leży tam w grobie; wierzę panu i wierzę księdzu; wszystko w porządku i wszystko się zgadza, a jednak... chcę jeszcze raz...

Lorek otworzył szeroko oczy i szepnął głosem pełnym rozpacz:

— Pan także zwariował.

Po czym jął się wpatrywać z troską w unikające go oczy Gurana.

— Nie, jeszcze nie — zamruczał w swojej obronie — ale kto wie? Jeśli drugi eksperyment da podobny rezultat jak pierwszy, to może obawa prokuratora sprawdzi się. Zatem, proszę pana o udzielenie mi pomocy do ekshumacji.

— Po co? Jest na miejscu kościelny i grabarz, wystarczą chyba?

— Hm, ale widzi pan, ja... ja wybieram się jeszcze dziś, a po nocy nie będą chcieli kopać.

— Dziś?

— Tak, zaraz.

— Zaraz?

— Uhu.

Lorek chwycił się najpierw za głowę, potem zerknął na zegarek na ręku i wymownym a niemym gestem wskazał mu godzinę.

— Nie szkodzi. Nawet późną nocą.

— Doprawdy, źle z redaktorem.

— Nic podobnego, bardzo dobrze.

Na razie Lorek zasępił się i przez moment nic nie było słychać prócz szelestu papierów na biurku grafologa.

— Ha, to w takim razie jadę z redaktorem. Weźmiemy z sobą Kowalika i Ogórka. Mam wielką landarę, zmieścimy się. Ale ja nie mogę wyruszyć wcześniej jak o dziesiątej, a może nawet nieco później.

Guran nie od razu odpowiedział. Wreszcie jednak wycodził tylko te słowa:

— Może być o dziesiątej.

— Przyjadę wobec tego do redaktora na Wawelską.

— Nie. Dziś wieczorem wolę nie być w domu.

— Rozumiem. — Prokurator stuknął kilkakrotnie paznokciem w zęby i powtórzył: — Rozumiem, słusznie. Zapomniałem. — I spytał. — Wobec tego jak?

Redaktor znów zastanawiał się i znów prokurator musiał zaczekać, nim usłyszał.

— Wobec tego będę czekał na pana i resztę kompanii o godzinie dziesiątej przed Filharmonią. Zgoda?

— Zgoda. Będziemy punktualnie.

Teraz obaj przenieśli swe spojrzenia i swą uwagę na Kwieciewskiego i zaiste w sam czas.

Z grafologiem działały się rzeczy niedobre, acz, na pierwszy rzut oka, nieokreślone. Chciałoby się rzec, że oczy jego demonstrowały ochotę wyskoczenia z orbit. Cały zaś był zdrętwiały, skamieniały i bez oddechu, jakby go ktoś wyciosał z belki i zawiesił u góry okulary. Niczym teraz nie różnił się od swych nieruchomych instrumentów, tym tylko, że one były obojętne, a on nie. I to całkowicie dokładnie nie był obojętny. Przeciwnie: był sparaliżowany nadmiarem zdumienia.

Prokurator wrzasnął.

— O rany, jeśli jeszcze coś nowego, to nie wytrzymam! Co się stało?

Lecz na próżno krzyknął, mógł wzywać Kwieciewskiego do woli, ale bez skutku. Twarz grafologa zaczęła przybierać różne barwy, jak skóra u przerażonego kameleona; w obu rękach dzierżył papiery w sposób taki, jakby to nie on trzymał je, ale one jego trzymały i „one” to znaczy nie dwie kartki, ale dwa blade widma powstałe z mogiły, które ucałowały go ciągną przemocą a przedwcześnie w zaświaty.

— Co tam nowego? — krzyknął z kolei Guran.

Teraz ruszyli się z miejsc, dopadli dwoma skokami do biurka i stanąwszy grafologowi za plecami rzucili wzrokiem na owe dwa świstki. Nic jednak szczególnego, a tym więcej strasznego nie dojrzeli.

Lorek szturchnął grafologa, pomagając mu w ten sposób do złapania zgubionego oddechu.

— No, panie Kwieciewski, co pan wyrabia?

Guran zaś położył mu łagodnie dłoń na ramieniu.

— Co pan tam u licha wyczytał?

Kweciewski, popędzony, przebrnął możliwie szybko przez całą tęczową gamę kolorów i zwalczony stan paraliżu mimowolnego, przemówił wreszcie. Wypowiedział atoli ledwo jedno słówko.

— Topolski.

Lorkowi i Guranowi przyszła jednocześnie szaleńcza myśl do głowy, że to Topolski wysłał kartkę po śmierci. Poczuli zgodnie mrówki na plecach.

— Pfu, zwariowałem — fuknął na siebie prokurator.

— To niemożliwie — bąknął zmieszany redaktor.

Potem zaczęli beładnie, przekrzykując się, doprowadzać grafologa do stanu większej wymowności.

— Co Topolski?

— Co ma pan na myśli?

— Ocknij się pan, do pioruna!

— Topolski przecież nie żyje!

Raptem Kweciewski powstał, odwrócił się do nich. Odzyskał równowagę.

— Panowie — zaczął uroczyście — ta kartka z napisem „Zaniechać dochodzeń. Pierwsze i ostatnie ostrzeżenie” jest wypełniona pismem, starającym się zafałszować rękę, (która go wypełniała. Ten, kto ją pisał, zniekształcał litery rozmyślnie; litery są zdeformowane, ale to nie wprowadzi mnie w błąd. Kartkę pisał profesor Bronisław Topolski!

Po słowach tych zapanowała męcząca cisza. Stali, wpatrując się w siebie w kompletnym

bezruchu osłupienia, niczym grupa portretowa.

Sekundy mijały, a oni wciąż pozowali niewidzialnemu malarzowi naszych widzialnych sytuacji. Wpatrywali się wciąż w siebie uporczywie i pytająco.

Nareszcie padło pytanie.

— Czy pan jest zupełnie pewny?

— Absolutnie; tu oto mam próbkę pasma Topolskiego. — Pokazał ją. — Pomyłka jest wykluczona. Zresztą muszę powiedzieć, że niezręczny z niego fałszerz. Nie, panowie, żadnej wątpliwości.

— Czy pan wie, że Topolski nie żyje?

— Wiem, oczywiście.

— Przecież zmarły nie może pisać!

— Toteż nie ma mowy o tym; Topolski napisał ją przed śmiercią. Jestem wprost wstrząśnięty, że Topolski był przestępcą.

Lorek i Guran odetchnęli. W zawstydzeniu opuścili wzrok. Odeszli i usiedli zgodnie na krzesłach po drugiej stronie biurka.

— Mam już nerwy do niczego — bąknął prokurator.

— Ja też — zgodził się redaktor.

Grafolog zaś ciągnął dalej:

— List, sądząc z datownika pocztowego na kopercie, wysłany był istotnie dziś rano... mamy środe, prawda? — spytał.

— Tak, środe — przytwierdzili razem.

— No więc: wysłany był dziś, ale napisany był... musiał być napisany wcześniej, przed zgonem, znaczy najpóźniej w poniedziałek po południu.

Guran jęknął żałośnie.

— Panie Kwieciewski, panie Kwieciewski, w poniedziałek po południu ja jeszcze nie miałem nic wspólnego z tą sprawą. Jeszcze właściwie nie było i samej sprawy, bo — przynajmniej dla mnie — zaczęła się dopiero po zamordowaniu Topolskiego. On zaś nie mógł przecież przewidzieć, że go zamordują i na dodatek grozić mi zawczasu, abym nie ścigał jego morderców. Bzdura przecież oczywista.

— To jest sprawa pana redaktora i pana prokuratora. Ja nie mam zamiaru łamać sobie nad tym głowy. Lecz... jedno chciałbym powiedzieć. Czy nie przyszło panom na myśl, że Topolski mógł być zabity przez pomyłkę, że zginąć miał kto inny, a on — z góry wszystko uplanowawszy — miał wysłać potem list do pana z tą groźbą?

Lorek i Guran słuchali z natężeniem. Pierwszy odezwał się redaktor.

— Owszem, przyszło do głowy, przyszło, ale widzi pan, tym zabitym wtedy musiałbym być właśnie ja. Więc po co groźba, bym nie śledził własnych morderców?

— Dlaczego, dlaczego koniecznie redaktor?

Lorek i Guran raz jeszcze spojrzeli na siebie, wreszcie ten pierwszy przeciął kwestię.

— Nie wszystko od razu. Tak czy inaczej — wiadomość pierwszorzędnej wagi. Jedno nareszcie jest pewne: to był Topolski. Jeśli był głównym sprawcą, to my szukamy właśnie jego. No, nic dziwnego, że znaleźć nie możemy; jeśli zaś był tylko współnikiem, to... to i tak wpadliśmy wreszcie na trop. Mamy na ostatek jakiś dowód.

Zatarł ręce. Oczy promieniały mu teraz żywiołową energią, a posepność i zgryzota ulotniły się z twarzy jak mgły poranne z letnich pól.

Inaczej z Guranem. — Ten w widoczny sposób zmartwił się. Zmarszczył brwi, natężył rysy i zgłębiał jakowąś kwestię.

— Cóż, znów fakty przeciw teorii? — zainteresował się wesoło prokurator.

— Uhu — potaknął smętnie redaktor.

— Więc... z tym cmentarzem?...

— Pojadę.

— ??

— Decyzji nie zmienię.

Lorek oparł się ciężko obu rękami na skraju biurka i obserwował uparciucha. To samo uczynił grafolog.

Guran siedział teraz przygarbiony, z czołem zasnutym troską; zmęczenie wydzierало się z niego każdym centymetrem kwadratowym twarzy. Powtórzył, przepełniony zniechęceniem, lecz z akcentem zaciętego uporu:

— Więc pojedę... sam.

— Nie, nic podobnego — odparował natychmiast prokurator — tak jak się umówiliśmy; będę o dziesiątej przed Filharmonią. Kto wie? Może ma redaktor rację stojąc niezłomnie przy swoim? A z tym nowym obrotem rzeczy będziemy mieli czas zapoznać się bliżej jutro. — Zwrócił się do Kwieciewskiego. — No, ale poczęstował nas pan bombą, niech pana kule biją. Azem się spociał z emocji. — I aby podkreślić autentyczność wyznania, wyciągnął kraciastą chustkę i począł wycierać różowe oblicze. — Toć to sensacja pierwszej wielkości. — Zatrzymał na sekundę pracowity ruch ręki, zastanowił się i dodał pogodnie: — Zaczyna się robić jasno. Topolski przygotował robotę, i to pedantycznie i precyzyjnie... lecz ktoś się pomylił i dziabnął jego zamiast... zamiast... — Westchnął i zakończył: — No takie za bardzo jasne to jeszcze nie jest. Lecz dzięki i za to. — Ucisnął mocno rękę grafologa.

Niedługo wszyscy się rozstali. Guran ocknął się z zadumy dopiero na ulicy. Spojrzał machinalnie na zegarek: dwadzieścia pięć po szóstej.

— Zdążę jeszcze zjeść kolację — mruknął. Rozejrzał się i zoczywszy w pobliżu małą restauracyjkę, puścił się w tamtym kierunku. Szedł niepewnie, często zatrzymując się, z głową uparcie wycelowaną w bruk; gestykulował rękami i mówił do siebie.

— Zaczyna robić się ciemno — wyszeptał głosem przepełnionym bezsilnością i skargą.

Ktoś obejrzał się za nim, uśmiechnął się i pokiwał litościwie głową.

Że też ludzie — pomyślał sobie przechodzień — przejmują się nawet chmurami; jest ciemno, jutro będzie jasno; też! nie ma większych zmartwień!

A on kładąc rękę na kłamce i spoglądając mało przytomnymi oczami na szyldzik z napisem „Restauracja”, zagadał do siebie raz jeszcze.

— Oto głos zza grobu odezwał się... a mnie przecież chodzi o inny grób. Nic nie pojmuję. Czyżbym rzeczywiście się pomylił? Ale... ale... zmarli leżą w ziemi... ciekawe, kto z żywych reżyseruje to przedstawienie. Który to z nich... ten geniusz i magik, co przemienił nas w kupę wystraszonych idiotów?

## XVI

### UŚMIECH NIEBOSZCZYKA

Deszcz był potężny. Samochód zamiatał reflektorami szosę, błyszczącą kałużami, rozcinał światłem drgające sznureczki kropel i rozpraszał pył wodny oraz ciemności nocy.

Lorek, Guran, Kowalik i Ogórek wsłuchiwali się w jednostajny, usypiający szum ulewy, w warkot motoru, plusk fontann wody, wytryskujących od czasu do czasu spod kół maszyny, i w swe równomierne oddechy.

Jechali już ponad godzinę i właściwie nie zamienili dotąd dwóch zdań. Powodem tej powściągliwości był Guran milczący jak pień. Tkwili nieruchomo w swych siedzeniach: Guran obok Lorka, a przed nimi, na rozkładanych krzesłach — Kowalik i Ogórek.

Przelatywali obok nielicznych wiosek, mrugających z rzadka żółtymi oknami, mijali raz i drugi suchotniczy las czy zagajnik. Świat był pusty; noc, deszcz i odludna okolica sprawiły,

że posuwali się jakby krainą martwą: nigdzie żywego ducha, jakiejś istoty ludzkiej.

Na zewnątrz było zimno i mokro; im zaś zrobiło się ciepło i z niechęcią myśleli o zbliżającej się konieczności opuszczenia wygodnego samochodu, wystawienia swych ciał na nieprzychylność natury; o robocie, o moknięciu... i... w ogóle z tym cmentarzem...

Samochód raptem zwolnił; wjeżdżał właśnie na boczną wyboistą drogę.

Koła momentalnie zapadły się w błotniste i rude ciasto, motor zajęczał, szofer pochylił plecy, zamajaczyły wokół trzęsawiska i łąki, ginące w ciemnościach tak gęstych, że nie było horyzontu, wszystko rozplywało się przed samym nosem w ruchomych cieniach.

Deszcz niespodziewanie ustał: nagle i całkowicie, tak że sierżantowi markotno zrobiło się na duszy na widok tego — jakby zamówionego — przyrodniczego widowiska.

Guran obudził się. Westchnął powoli, jak człowiek wracający z błogiego i mocnego snu do złej i głupiej rzeczywistości. Zauważył połowę świadomości, że wichura trzęsła przydrożnymi drzewami, a kałuże kipsiały pod jej uderzeniami. Usłyszał też zbliżający się poszum starych, potężnych drzew.

W ostrych światłach reflektorów zamajaczył przed nimi cmentarz; niski okalający go mur, a nieco na prawo i trochę w głębi kościół niewielki i wiekowa plebania. Okna zakryte były okiennicami. Podniósł rękę i spojrzął na zegarek. Za kwadrans dwunasta. Samochód powoli wtoczył się na suchszy kawałek drogi, jako że cmentarz wraz z kościołem znajdowały się na małym wzniesieniu, panującym nad tymi rozłogami i pustkowiami. Śledzili oczami kawałki scenerii, jakie światła samochodu wydzierały dla nich z brzucha ciemnicy. Rozkrwawiły się nagle baldaszki jarzębin.

— To tu — rzekł półgłosem Guran, przypominając sobie dzisiejszy ranek.

— W dobry czas przyjechaliśmy — dorzucił Lorek — zbliża się północ; redaktor zawsze musi urządzić jakiś teatr: północ, cmentarz... może i duchy nawet będą.

— Czy i wyjące wiatry zamówiłem? — zdziwił się zaatakowany.

— Nie, nie posądzam redaktora o takie wpływy i moce, lecz przyzna pan, że dodają obrazowi szczyptę niesamowitości.

— Oby na niej skończyło się.

— I ja mam podobne pragnienie.

Teraz samochód przetoczył się obok muru i powoli zatrzymał się przed bramą cmentarza. Gdy motor stanął, zrobiła się na chwilę cisza. Lecz oto na plebanii zaczął ujadać pies histerycznym i cienkim głosem; zdawało się, że każdej chwili udusi się z nadmiaru złości.

Szofer puścił kierownicę i obejrzał się pytająco.

— No, chłopcy, brać latarnie, zapalić je, brać łopaty i sznury — komenderował Lorek. — Poszukacie grobu Tragi, my z redaktorem wpadniemy na chwilę do księdza, uprzedzić go o naszych czynnościach, i zaraz wracamy.

Uczynił się ruch: wysiadali i prostowali ścierpnięte ręce i nogi. Ogórek mruknął:

— Dobrze, że ta febra przestała cieknać z nieba; uprzejmie zaczyna się.

— Ogórek, bierzcie się do roboty i bez filozofowania — zahuczał głębokim szeptem i jeszcze głębszym basem Kowalik, zbierając kłęb grubych lin.

— Rozkaz, sierżancie, robi się.

Zaraz też zaczęły podźwiękiwać łopaty i ciężki oskard. Szofer w milczeniu majstrował koło dwóch lamp naftowych, wysokich i opatrzonych siatką żelazną, takich, jakich używają chłopci w gospodarstwie. Zdejmował szkła, szukał zapalek, a ukradkiem spoglądał na cmentarz.

Po chwili zamigotały mdłe ogniki, rozzarzyły się nieco, gdy włożył szkła. Podeszedł do samochodu i wyłączył reflektory.

Ciemność zarzuciła im natychmiast mokry worek na głowy. Lorek i Guran, którzy już oddalili się spory kawałek, złapani nagle w potrzask ciemności, odwrócili się płochliwie.

— Ach, to zgasił światła — zmiarkował jeden. — Hm — wymamrotał uspokajająco

drugi.

Poszli dalej. Na plebanii też już mignął oto mikroskopijny ogieniek; ktoś tam wstawał i ruszał się. Gdy podeszli bliżej, trzasnęła odmykana okiennica i wychyła wystraszona fizjonomia kościelnego. Podniósł lampę wysoko nad rozczochraną głowę i starał się wytrzeszczonymi oczami dojrzeć cokolwiek; patrzył wskroś nich, ale ciągle nic nie widząc; dopiero gdy ci, zgrzytając żwirem, wkroczyli w kółko światła lampy, dojrzał ich i spytał ostro:

— Czego panowie sobie życzą?

— Tu prokurator z Warszawy; chcemy widzieć się z księdzem proboszczem; przyjechaliliśmy dokonać ekshumacji grobu rektora Tragi. Sprawa urzędowa.

Kościelny uniósł lampę jeszcze wyżej, aby ich lepiej dojrzeć, i zamrugął oczami.

— Teraz, po nocy?

— Tak, zaraz.

Milczał zdumiony i przejęty. Prokurator... ekshumacja... noc... niespodzianka... sen dobrze nie przepędzony... Gdy koniec końców pojał, o co rzecz idzie, krzyknął za siebie do pokoju:

— Stara, wstawaj piorunem, tu coś się święci, ja biegnę do księdza dobrodzieja. — Zamknął z trzaskiem okno. Ogieniek pofrunął w głąb i znikł.

— Mają sensację, co?

— Przyda im się w tej głuszy i nudzie, będzie rozrywka.

Guran odwrócił się, bo dmuchało mu w twarz. Wiatr trząsał brutalnie gałęziami. W wilgotnej ciemności nie rozpoznawał zrazu nic poza fantastycznymi cieniami. Ale nie! Tam z daleka dwa białe robaczki światła pełzały skacząco, czołgały się, chygotały. Ale nagle przepadły. Pozostała tylko mokra, nieprzebita, przelewająca się ciemność. Krople, zmiotane z gałęzi i daszku ganku, tykały jak sekundnik zegara. Poszum wiatru, szmer kropel, czarne, wszechogarniające i wszystko połykające tło — jak w obrazach Rembrandta — pomyślał szybko.

Czekali. Staruszek długo jakoś wstawał. Krople spadały, minuty mijały. Na koniec w głębi domu dał się słyszeć jakiś ruch, jakieś człapania, chrobotania; przez szpary okiennic wypełzał na sekundę żywy i poruszający się blask, by zaraz zniknąć.

Zazgrzytało w drzwiach i oto ujrzeli, w świetle lampy niesionej przez kościelnego, starego księdza, otulonego w czarny płaszcz ze staroświecką pelerynką, który ksiądz obciskał na sobie chudymi rękami, broniąc rozgrzane spaniem ciało przed gwałtownym napadem zimnego wiatru. Popatrzył długo i niemo.

Guran wystąpił naprzód.

— Ach, to pan — ksiądz odezwał się pierwszy — to pan był tu rano? Prawda? Poznaje.

— Tak, ja właśnie...

— Chodziło o ekshumację grobu świętej pamięci Tragi?

— Owszem, właśnie...

Staruszek zatrząsał głową, jakby nagle zamiotał nim wewnętrzny wiatr strachu czy zdumienia.

— Panu podobno zależy na zobaczeniu uśmiechu nieboszczyka?

Guran nic nie rzekł; miał już właściwie dosyć tej maskarady i ukrywania istotnego celu. Pytanie zbył milczeniem.

Ksiądz zwrócił się teraz powoli do Lorka.

— A pan jest prokuratorem?

Ten skłonił głowę i także nic nie odrzekł.

— A więc jeśli wszystko jest zgodne z prawem — usłyszeli zatroskany głos — przystępujcie, panowie, do dzieła; jakkolwiek zastanawia mnie to ogromnie i niepokoi w moim sumieniu kapłana; przystępujcie zatem, ja zresztą przyjdę później; macie panowie pozwolenie przy sobie, prawda? Poproszę o nie. — Wyciągnął kościstą rękę. Białe i długie włosy rozrzucił poryw wichru.

Lampa zamigotała, ich cienie drgnęły, jakby resztką widzialnej rzeczywistości miała zamiar ulotnić się i właśnie ruszała w niezbadaną drogę. Dach skrzypiał dziwnie. Wichura potężniała.

Lorek, rzuciwszy słowo „dziękujemy”, skłonił się i zawrócił. Za nim Guran. Szli teraz w kierunku cmentarza nie widząc absolutnie nic, nawet własnych rąk, nawet drogi pod nogami, tak że co i raz zbaczali i orientowali się dopiero, deptając butami miękką trawę. Posuwali się ostrożnie i powoli. Szli wciąż przed siebie. W takich ciemnościach czas rozciąga się niebywale. Zdało im się więc, że już powinni być, że mur cmentarny już tu winien ukazać się, że może zabłądzili, przeszli, poszli za daleko?

Lorek potknął się.

— Cholera!

— Co się stało?

— Nic, ale zdaje mi się, że w środku Ziemi nie może być ciemniej.

Guran szurał nogami, upewniając się o prawidłowości kierunku. Wreszcie coś ciemniejszego od ciemności zamajaczyło tuż przed nimi. Guran wyciągnął rękę. Zimne, mokre kamienie sparzyły mu palce, takie dziwne odniósł wrażenie; cofnął je nerwowo i wytarł o kraj płaszczka.

— To tu. Zaraz będzie brama.

Jakoż weszli i na cmentarz. Stanęli też zaraz, by się zorientować. Usłyszeć nic nie mogli z powodu rozgłośnego gadania wiatru i drzew, ale szukali spodziewanych świateł.

Rozhukane wichrzysko łopotało, wyło, gwizdało, jęczało, klaskało; ocean powietrza płynął nad nimi z szumem, wywołując zewsząd kroki, stapania nagłe, szepty i westchnienia, całą terrorystyczną sarabandę tajemniczych i niebezpiecznych odgłosów. Nie, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, ktoś niewidoczny kręcił się koło nich. A świateł nie było.

Guran zakrzyknął na Kowalika i resztą, lecz wiatr wepchnął mu krzyk do gardła i wy dobył się na zewnątrz jedynie ni to pisk, ni miauknięcie. Obracali prędko głowami na wszystkie strony, jak łodzie podwodne, zanurzone w odmętach wody, kręcąc peryskopami w poszukiwaniu wroga i przyjaciół.

— Jest!

Prokurator wyciągnął rękę przed siebie, na próżno wskazując kierunek. Guran nie mógł jej widzieć. Wszakże dostrzegł w oddali, na lewo, dwa świętojańskie robaczki, które w tych przeklętych mrokach przedstawiały się jak gwiazdy błyszczące w kosmosie.

— Widzę — wrzasnął.

— No, jak my teraz dojdziemy? — zafrasował się Lorek.

— Może na wprost? — zaproponował Guran.

Lecz po chwili projektodawca leżał wyciągnięty na jakimś grobie. Objął rękami płytę i zdrętwiał. Poczuł ból nogi; pojawiła się nagła myśl: „jak to dobrze, że jest tu ze mną ten Lorek”. Pośpiesznie acz niezręcznie wstawał, stąpając po jakowychś nierównościach.

— Nie, na przełaj nie da się, trzeba jakoś inaczej, trzymajmy się mniej więcej ścieżek.

Gramolili się po omacku, jeden blisko drugiego.

— Bęcwały — zasapał rozsierdzony prokurator.

— Szkoda, że nie domyślił się któryś i nie zostawił przy bramie latarni.

— Rzeczywiście, ale wtedy nie odszukaliby tak szybko grobu; we dwie latarnie poszło im prędzej.

— Słusznie...

Nagle, co to. Co najmniej kubeł zimnej wody wpadł im za kołnierz; to wodospad z drzewa, pod którym się znaleźli w niefortunym momencie, gdy zamachało mokrymi konarami. Lorek stanął i odwróciwszy się w kierunku, w którym jak imaginował, znajdować się powinien redaktor, fuknął:

— Nie mógł pan, do ciężkiego diabła, wybrać innej pory dnia, człowiek kark skręci na

niewłasnym grobie. — I zaczął poruszać głową i plecami.

Z bliskości dobiegła go odpowiedź, wstrząsana gwałtownymi wirami powietrza.

— Nie mogłem.

Zawinął na sobie wściekłym ruchem płaszcz wciąż powiewający na wsze strony i trzymał go mocno przy sobie.

— Nie mogłem, nie mogłem... — przedrzeźniał. — A ja teraz nie mogę się zorientować, gdzie mam postawić następny krok.

Jednocześnie przyszła mu do głowy myśl prosta i do rzeźna, że kto zna meteorologię i czyta komunikaty, świetnie mógł przewidzieć obecny stan rzeczy. Odpędził ją zaraz, a jednocześnie o mało nie wpadł do jakiegoś dołu. Zatrzepotał gwałtownie rękami. Od razu też spociał się. Lecz na szczęście światła zaczęły szybko rosnąć, jedno zwłaszcza dyndało się pośpiesznie w ciemnościach nocy, jakby sunąc na pomoc.

Istotnie. Wyłoniła się spośród drzew i grobów potężna postać Kowalika, przyświecająca sobie i chybocząca się niepewnie na różne strony. Teraz on obracał głowę, nurkował, szukał towarzyszy.

— Tu jesteśmy — wrzasnął ogromnym głosem Lorek. — Tu jesteśmy!...

Kowalik skierował się do nich i zapuścił sondę wzroku, widać było, że jest niepewny, waha się. Przyłożył rękę do ucha.

— Tu-u-u je-steś-my — zaryczał po raz wtóry.

Teraz ruszył do nich, a oni do niego. Tak nastąpiło spotkanie. Miało w sobie — mimo wszystko — coś ze spotkania Livingstone'a i Stanleya w środku Afryki, w ubiegłym wieku, gdy to jeden ratował drugiego, zaginionego w sercu Czarnego (a wtedy nie zbadanego) Łądu.

Kto próbował kiedykolwiek podróżować w taką noc po cmentarzu, odczuje dobrze trafność tego porównania. Mieli nawet ochotę uściskać sobie ręce, lecz zaniechali tego.

W oddali mdało światelko drugiej lampy pilnującej plutonowego Ogórka i szofera, siedzących obok siebie na małej drewnianej ławeczce. Ogień huraganowy artylerii wiatrów doszedł do szczytu.

\*

Przy grobie Faustyna Tragi było spokojniej.

Jako samobójca, leżał na ziemi nie poświęconej, z dala od reszty bractwa umarłych, właściwie w kącie, oddzielonym gęstym rzędem starych drzew, krzewami i chwastami. One właśnie teraz dawały im pewną ochronę.

Leżał samotny. Widać okolica nie była bogata w nieszczęśników, skracających swój żywot żelazem, powrozem, trucizną lub innym jakimś sposobem. Ale jego, byłego rektora, to już nic nie obchodziło, tak przynajmniej można by sądzić według reguł zdrowego rozsądku; bardziej natomiast obchodziło tych pięciu, przystępujących właśnie do niepokojenia go.

Redaktor ukrył się za grubasnym pniem, którego korony nie potrafiłby dostrzec mimo dwóch chwiejnych płomyków, bo ginął w pomroce tuż nad jego głową; zaraz tej poczuł ulgę w plecach wystawionych dotąd ma kłanianie paskudnej wichury, przedzierającej się przez jego odzienie niczym woda przez oczka sieci rybackiej.

Natomiast Lorek, z kapeluszem wciśniętym możliwie najgłębiej, trzymając oburącz poły płaszcz, zbliżył się do mogiły.

Teraz obie lampy stały po obu jej stronach, wprost na piasku. Zagłębił oczy w tablicy. Widniały na niej następujące słowa: „Faustyn Traga, urodzony dnia... zmarły tragicznie dnia... doktor medycyny, profesor Akademii Medycznej w Warszawie i jej rektor w latach... Uczony wielkiej miary. Starał się obalić bramy grobów. Sam leży tu spokojnie. *Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!*”

Tablica, ze zwykłej blachy, pomalowana na biało, przekrzywiła się znacznie na bok opierając się resztkami sił naporowi rozsierzonego żywiołu; drgała rytmicznie, błyskając, jak



sygnałem, pierwszym słowem: *Lasciate... Lasciate... Lasciate...*

Świeża, nie ubita ziemia zsuwała się z cichutkim szmerem grudek; niektóre nawet odlatywały drogą powietrzną w noc; natura szybko i sprawnie demolowała wątłe symbole pamięci.

Lorek mocował się z sobą: nie wiedział, czy zdjąć kapelusz. Oto tajemnica śmierci, która zmusza pozostałych żywych, a pochylonych nad grobem do rozpamiętywania czynów owego mieszkańca Ziemi, teraz naprawdę i ostatecznie — mieszkańca z i e m i. Przed majestatem śmierci, a może przed trwogą śmierci ściąga się kapelusz z głowy. Ale tu leżał Traga i prokurator nie mógł zdecydować się, czym ten uczony był bardziej: Don Kichotem czy nędznikiem. A było to ważne, albowiem o Don Kichocie pamiętają wieki, nad grobem zaś łajdaka nikt łzy nie uroni.

Zły był na siebie za to niezdecydowanie, więc nagle wydał rozkaz głuchym głosem:

— Kopać.

Kowalik i Ogórek, którzy ściągali już z siebie płaszcze i rozpinali pasy, usłyszawszy rozkaz, odrzucili czapki, pochwycili potężne łopaty, Odsunęli nieco latarnie ruchem znamionującym troskliwość i zabrali się do dzieła. Kowalik miał łapy niedźwiedzia, toteż wbił łopatę w miękką ziemię aż po nasadę drzewca i zamachnąwszy się, odrzucił w bok pierwszą solidną bryłę. Po nim zaraz uczynił to samo stojący naprzeciwko plutonowy Ogórek. Kowalik machnął potężnie drugi raz i ładunek zniknął cicho w ciemności. Jednak Ogórek nie naśladował go tym razem. Nie mógł.

Wszystko stało się błyskawicznie. Usłyszeli niespodzianie jakieś rżenie, raczej domyślili się go, bo wichurzynsko rzeziło i na różne sposoby. Domyślili się, to było najbliższe prawdy, gdy bowiem zdumieni przenieśli oczy z nagle nieruchomego narzędzia na twarz plutonowego, niewiele mogli zobaczyć: tonęła w niewyraźnej mgłę — mieszaninie światła i ciemności.

Ogórek? Ten nieziemsko spokojny, prostoduszny i niewrażliwy na żadne uczucia Ogórek? Co mu się mogło stać? Nie ulegało wątpliwości wszakże, że coś się stało; wypuścił teraz łopatę z rąk i uniósł je do góry w ciemność, jakby w poszukiwaniu czegoś.

Ponownie usłyszeli śmiertelne rżenie. Człowiek dusił się. Lorek poskoczył przytomnie do lampy, chwycił ją w garść i podniósłszy wysoko, dał susa w kierunku plutonowego. Ukazało się ich oczom coś straszego: Ogórek stał bez głowy! Lorek szarpnął się i zatrzymał jak trafiony wrażą kulą, niedorzeczne i najdziksze obawy zatopiły go w doszczętnym pomieszczeniu; zdołał tylko jeszcze pomyśleć: Gurana nie ma, gdzie Guran? Znikł Guran... To on...

Kowalik wybałuszył oczy, wypuścił łopatą i pisnął cieniutkim głosem:

— Ludzie! Ogórek bez łba!

Lecz dlaczego stoi i nie przewraca się? Dlaczego rzezi i macha rozpaczliwie rękami? Czyż człowiek pozbawiony głowy potrafi czynić takie rzeczy? Nad korpusem widniała bezkształtna czarna plama, poruszająca się niezdarnie, i z niej właśnie wybiegał charkot.

Lorek dał trzy kroki i niemal przytknął lampę do tego miejsca. Otóż plutonowy stanął pod wiatr, trudno, nie był marynarzem i nie znał figlów i potęgi tego żywiołu. Cała ziemia z łopaty, którą rzucił przed siebie, wróciła i zalepiwszy mu dokładnie oblicze, wraz z ustami, nosem, oczami i uszami, obezwładniła go i co gorsza — przeraziła. Plutonowy Ogórek nigdy w życiu swym nie przestraszył się, nie zdenerwował, nie uniósł, nie wiedział po prostu, co te wyrazy w rzeczywistości wyrażają. Tu, po raz pierwszy, straciwszy nagle w sposób niewytłumaczony, o północy, nad grobem wzrok, słuch i oddech, uległ małej panice. Przebierał łapami po twarzy, chrapał, ciężko pracował pierściami, ale nade wszystko usiłował prędko zrozumieć, co się z nim stało, i ani rusz nie mógł.

Gdy Kowalik wreszcie zmiarkował, na czym rzecz polega, buchnął nieprzystojnym — zważywszy miejsce i okoliczności — śmiechem, skurczył się i złapawszy się za kolana, ryczał i ryczał bez tchu. Co słysząc, Ogórek opuścił ręce i zaczekał. Zrozumiał: Kowalik śmieje

się, to dobrze, nic mu nie jest; od razu spokój i flegma wróciły do swych naturalnych praw, jeno serce waliło mu trochę za głośno. Znów zabrał się do twarzy, Lecz metodycznie, nie tak nerwowo. Wypluł ziemię i stęknął:

— Niewąsko się urządziłem, co?

Cały zaś otrząsnął się jak pies wyłażący z wody, a nawet zatupał kilkakroć nogami.

Lorek gorzał z wściekłości: na siebie, na głupi przypadek, na tę całą niesamowitą historię, lecz przede wszystkim — na siebie. Co się dzieje ze mną, dziwił się w duchu i stawiając lampę z powrotem na miejsce, huknął:

— Do diabła z takimi kawałami, uważajcie, Ogórek, na to, co robicie.

Ogórek wyprężył się na baczność, a nawet uśmiechnął. Tej sztuki, w kilkanaście sekund po tragikomedii, nikt na świecie dokazać by nie potrafił.

— Tak jest, panie prokuratorze, meldują posłusznie — wrzasnął z ulgą.

Kowalik chwycił łopatę i wrócił do roboty; Ogórek zaś przeniósł się rezolutnie na jego stronę. Szofer Lorka, wtajemniczony w sprawę Tragi, porywacza głów, trzymał się za serce i bardzo powoli wracał do równowagi.

— Nie dla mnie takie przeżycia — mamrotał i liczył uważnie puls.

Co zaś do Gurana, to wcale nie uciekł ani zniknął; trwał, podpierając drzewo.

Lorek zbliżył się i wzniciwszy płomyczek w zapalnicze, zaczął przypatrywać się twarzy redaktora. Oczy Gurana utkwione w pustce nie zareagowały nawet. Tracił go, z przychylności, palcem.

— Redaktorze, proszę nie spać!

Ten drgnął oczami, powoli obrócił je na prokuratora i przejrzał. Wrócił.

— Nie, to nic, zaraz przejdzie — wyskandował powoli i smutno.

Prokurator, nie bardzo wiedzący, co to ma znaczyć i co ma przejść, a nie śmiejąc przypuścić, że Guran aż tak się przestraszył, pokręcił w podziwie głową i powiedział:

— Dziwna noc.

Zdmuchnął wariujące, lecz dzielnie broniące się światełko zapalniczki, podniósł kołnierz, wbił ręce w kieszenie płaszcza i oparłszy się o ten sam pień, wpadł w zadumę.

A tamci kopali. Robili to w milczeniu i metodycznie. Ponieważ lampy stały na ziemi, widać było dobrze jedynie nogi kopiących, łopaty śmigające i błyskające oraz ręce; reszta w górze była mało co dostrzegalna i im wyżej, tym dokładniej wtapiała się w otoczenie. Pracowali jak maszyny. Po trochu dolne partie ciała znikwały w grobie, a światło docierało do coraz wyższych. Tu zgrzytnął zabłąkany kamień, tam łopata zsunęła się, czasem któryś odsapnął — oto wszystkie odgłosy. Za to w górze śpiewał przestwór powietrzny z niemniejszą wściekłością.

Minął kwadrans, zniknęli już prawie zupełnie, jeno głowy ich, zroszone potem, wystawały, świecąc w miękkiej miedzianej poświacie naftowego światła, niczym dwa ruchliwe atomy goniące się w czarnej przestrzeni kosmosu. Ruszali się teraz wolniej i ostrożniej, z premedytacją; było im ciasno, więc sierżant burknął:

— Ogórek, wysiadka! Sam resztę zrobię.

Plutonowy zatrzymał się, wyprostował powolutku plecy, otarł łokciem twarz i lniane włosy. Potem smyrgnął łopatę na kupę piasku i popatrzył pod nogi. Mruknął:

— Niewiele już zostało. — Wygramolił się, otrzepał nieznacznie i powierzchownie i siadł obok leżącej łopaty.

Głowa Kowalika dała nurka do grobu; od tej chwili ziemia sama wytryskiwała miarowo, a chwycona gwałtownymi prądami, zmieniała kierunek i leciała obok plutonowego, posłuszna przemocy praw. Lorek obrócił nieco głowę do Gurana, poszukał go oczami i rzekł:

— Kończą już, a więc niedługo...

Redaktor, podchwycił:

— Tak, niedługo...

— Tedy czas już redaktorze, przerwać milczenie; byłem dyskretny, lecz wydaje mi się, że nadszedł moment na wyjaśnienia. Czego pan szuka? Co się pan spodziewa znaleźć? Jaka odpowiedź? Odpowiedź na co? Co to znaczy ten „uśmiech nieboszczyka”? Chciałbym nareszcie wiedzieć.

Guran zafrasowany wybąkał:

— Właściwie jest już za późno.

— Za późno?

— Tak.

— Co to znaczy, za późno? Jak mam to rozumieć?

— Och, tyle tylko, że... że... o ile mam rację... przekona się pan naocznie, eksperymentalnie w jedną sekundę lepiej i dokładniej, niżbym to opowiadał z pięć minut. A ponieważ poczciwy Kowalik zbliża się do końca, więc — za późno.

Jakby dla potwierdzenia słów dobiegło ich w tej sekundzie metaliczne stuknięcie z grobu. Plutonowy i szofer powstali; ten drugi ze zwojem grubych lin. Guran wystąpił naprzód.

— Nie, panowie, nie potrzeba...

Spojrzeli na niego pytająco.

— ...nie potrzeba lin; wystarczy podnieść wieko trumny. Myślę, że to wystarczy. Bierzcie lampy.

— No, dobrze — zawołał za nim prokurator zniecierpliwiony i zawiedziony — ale o co właściwie panu chodzi? Co pan chce sprawdzić? Nie ulega wątpliwości, że tam leży ciało Tragi i jeśli pan to poddaje w wątpliwość, to szkoda naszego czasu.

— Nie, nie to.

— A zatem?

— A zatem kończmy, prokuratorze, tę zabawkę i to szybko.

Guran drżał lekko, ale nie na skutek zimna. Powtórzył rozkaz:

— Lampy postawić na brzegu; trumnę otworzyć.

Wszyscy zbliżali się powoli do jednego miejsca; Gurana i Lorka znów uderzył wiatr i rozwiął z wściekłością płaszcze; szofer, rzuciwszy liny i przygryzając spieczoną gorączką wargi, podążył do Ogórka; sierżant dłużył coś w dole. Skupili się w krąg, oparli nogi na krawędzi otwartego grobu, redaktor ukląkł i nachylił się, prokurator kucnął obok niego.

W tej przepaścistej ciemności i wśród sarabandy wichrów wyglądali jak mikroskopijna bańka świetlista zatopiona na wieki w nieprzyjaznym żywiole. Nie widzieli teraz nic poza sobą i nic nie słyszeli. A za nimi wyłoniły się nagle dwa bezkształtne cienie i bezszelestnie zmierzały do odkopanego grobu. Ci zaś tak byli zajęci i przejęci tym, co za chwilę mieli w nim ujrzeć, że nie zwracali uwagi na świat poza nimi. Cienie oderwały się od linii drzew i popłynęły teraz znacznie szybciej.

Głos Kowalika zabrzmiał z dołu:

— Gotowe, otwieram.

Cztery oblicza, rzeźbione bliskim światłem, pochyliły się zgodnie do przodu. Wtedy inny, obcy głos zawołał:

— Zaczekajcie!

Uderzenie pioruna nie miałoby większego efektu. Szofer o mało nie fiknął koziołka w dół, ale zamiast tego usiadł na mokrej ziemi i tak gwałtownie odkręcił głowę w niebezpiecznym kierunku, że aż poczuł dotkliwy ból w karku, że aż mu tam coś trzasło. Lorek drgnął jak pod uderzeniem prądu, Ogórek po prostu spojrzał zdziwiony na nieznanym, którzy wyłonili się tak nie w porę lub tak w porę.

Był to ksiądz i kościelny.

— Jak widzę, szybko panowie daliście sobie radę, mało brakowało, a spóźniłbym się. — Ksiądz zacierał ręce pośpieszonym młynkiem. Peleryna sutanny fruwała nad nim jak czarne żagle lub skrzydła, z nich zaś wyłaniała się srebrna głowa. — A cóż to? Trumny nie wyjmu-

jecie?

— Nie, odparł Guran.

— Dlaczego? — dziwił się proboszcz.

Kościelny spozierał ostrożnie i bacznie spoza jego sutanny.

— Wystarczy, jak podniesiemy wieko. — Zwrócił się niecierpliwie do sierżanta: — Jeśli gotowe, to proszę...

— Kiedy zmieścić się nie mogę — padły niespodziewane słowa z grobu. — Zaraz, jeszcze trochę, odkopię tu sobie z boku kawałek miejsca. Dwie minutki.

Wysunęła się kosmata ręka i pochwyciła łopatę. Poczęły wyskakiwać fontanny ziemi. W natężeniu i skupieniu czekali. Ksiądz również podsunął się możliwie najbliżej, a kościelny za nim. Wszyscy milczeli.

Wreszcie sierżant skończył i po chwili dostrzegli wieko trumny w jego ramionach. Odłożył je na bok. Zwrócił wzrok na Lorka, potem na Gurana. Lorek z kolei spojrzął na tego ostatniego, teraz wszyscy jeden po drugim utkwili w nim swe źrenice.

Guran zaś klęczał nad grobem, lewą ręką wparł się w świeżą ziemię, przechylił się mocno naprzód, lecz nie spoglądał gdzie należy! Nie śmiał czy nie chciał spojrzeć? Oczy miał utkwione w przestrzeń, twarz i całe ciało drgały mu nerwowo. Ociągał się. Czarne oblicze Kowalika, wyłaniające się z grobu tuż koło jego kolan, trwało w napięciu i oczekiwaniu.

Przeleciała przez nich cwałem fala dżdżu, strąconego z pobliskich drzew uderzeniem nawałnicy. Nagle usłyszeli gardłowy, chrypliwy głos Gurana.

— Światło bliżej!

Plutonowy chwycił jedną lampę, szofer pobiegł na przeciwną stronę i wziął drugą.

— Poświecić!

Nachylili się posłusznie i pośpiesznie. Mętny, miedziany krąg opadł na dno. Ujrzeni ręce. Ręce splecione.

Guran powoli, powolutku, ostrożnie, skradająco się sunął wzrokiem. Ręce... palce... Paznokcie grube, wypukłe. Wyszepał gorączkowo.

— To jego, jego, pamiętam, jak bębnił nimi po krawędzi stołu, tam w swym laboratorium na pustkowiu, gdy życie moje było w tych rękach.

Krzyknął niemal:

— Dalej! — Zrazu nie pojęli. — Dalej!

Lorek dał im znak, by przesunęli wyżej światło. Żółty krąg przesunął się i padł na twarz. Jeden rzut oka Gurana... Teraz położył dłoń na ramieniu Kowalika i głosem załamującym się wypowiedział dziwne zdanie.

— Sierżancie, dajcie mi jego głowę.

Źrenice obecnych — znów jak na komendę — oderwały się od grobu i pobiegły do mówiącego. Co to znaczy? Oczy Kowalika rozszerzyły się. Tylko Lorek wpił się wzrokiem w twarz umarłego i robił się coraz bledszy.

— Tak — powtórzył z naciskiem i ostro redaktor — proszę o jego głowę.

— Ależ — wybuchnął Kowalik i nie dokończył, bo w tejże sekundzie redaktor spojrzął na niego z wyrzutem.

— No, kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, o co chodzi.

Zrozumiał istotnie i otworzył usta pełen niespodzianki. Postąpił krok, nachylił się... Za chwilę ujrzeni nad grobem w jego ręku głowę; ciało zostało w trumnie. Albowiem ciało było Tragi, ale głowa — nie!!! Głowa należała do kogoś innego. Do kogo? Tego nikt z obecnych nie wiedział.

Ktoś krzyknął:

— Ukradli rektorowi głowę!

Guran ociężale wyprostował się, oderwał ręką od ziemi i postawił na niej jedną stopę, klęczał już na jednym kolanie, powiódł wzrokiem po grupie osób częściowo tylko wydziera-

jących się z pomroki; źrenice jego pochwytyły jakieś wynurzające się części ciała, kawałki twarzy, zdjęte zgrozą oczy, profile objęte mdłą poświatą, a wszystko skaczące, drgające, wylaniające się i ginące z powrotem. Obrócił wzrok na księdza, który nic nie pojmując, odczuwał wszakże całym jestestwem, że dzieje się tu coś niepojętego a ważnego.

— Co właściwie, panowie, tu robicie? — krzyknął przejęty strachem i nie odwracając wzroku od strasznej głowy. — Co znaczy ta oddzielona głowa?

Redaktor widział go nad sobą, peleryna, napęczniała wiatrem, rozděła się do olbrzymich rozmiarów i trzepotała gorączkowo; czyniło go to nieodparcie podobnym do czarnego nietoperza z ludzką twarzą; wydawało się, że unosi się w powietrzu nad tą otwartą mogiłą.

— Znaczy to, proszę księdza, że mam wątpliwości, czy grób ten należy się panu Tradze.

— Co mam przez to rozumieć?

— Ano, to po prostu, że nie robi się grobów dla uciętych nóg czy rąk, czy nosów, więc nie sędzę, żeby trzeba było czynić wyjątek dla tułowia. — Poszukał oczu księdza i dokończył: — Bo głowa Tragi żyje, zapewniam księdza, żyje, myśli i patrzy, i słucha.

— To straszne, co pan mówi... nie mogę uwierzyć...

— W każdym razie — nowe, proszę księdza. Tak, Tradze ten grób jeszcze się nie należy, przeskoczył tymczasem bramę śmierci. Gdy byłem tu rano, pragnąłem sprawdzić „uśmiech nieboszczyka”. Przeraziło to księdza. Prawda? No, mówiłem tak dla sekretu; w rzeczywistości zaś pragnąłem jedynie zobaczyć głowę nieboszczyka; nie spodziewałem się jej ujrzeć i przewidywałem, że leży tu sam kadłub; to było ogromnie ważne dla mnie i nie tylko dla mnie. Dlatego też gdy ksiądz oświadczył mi, że widział twarz nieboszczyka, uległem przerażeniu, uwierzyłem. Nie miałem powodów do niewiary. Ksiądz nie kłamał. Odjechałem w panice. Tak, ksiądz nie kłamał, ksiądz mówił prawdę, lecz nie był to fakt, którego ja poszukiwałem, to był fakt inny, ksiądz mówił o innej głowie, ja szukałem innej, a sytuacja ułożona została tak, że nie połąpałiśmy się, iż mówimy i myślimy o różnych rzeczach.

Ksiądz przerażał się coraz bardziej i z lękiem przyglądał się niezwykłemu nieznanemu nad niemniej dziwnym grobem.

Guran powtórzył:

— Tak, Tradze ten grób jeszcze się nie należy, uchronił go przed nim pewien jegomość. Znalazł się nowy eksperymentator, godny następcy i naśladowca... — Obrócił oczy na Lorka i ciągnął na poły ironicznie, na poły ze smutkiem: — ...zaczyna doktor Prokasz: dwukrotny morderca, złodziej, znakomity oszust, który wszystkich nas wyprowadził w pole...

Lorek przerwał głosem nieswoim, zgrzytającym jak szkło po żelazie:

— To nieprawdopodobne, nie do wiary!

Guran pokiwał filozoficznie głową.

— Wiele rzeczy jest nie do wiary. — Na przykład — znów obrócił oczy na księdza — gdzie jest jego dusza? — spytał i wyciągnąwszy rękę w dół, wskazał na ciało Tragi. Czekał na odpowiedź.

Ksiądz-ptak czy też nietoperz spoglądał za jego ręką, zmarszczył czoło, pomłynkował dłońmi, a obecni spoglądali nań w zastanowieniu.

— Tu na Ziemi, chyba...

— A więc ksiądz ceni więcej głowę niż resztę ciała?

Dobiegła go odpowiedź z powietrza:

— To są rzeczy potworne.

— Zgadza się z księdzem, ale co z duszą?

— Po zastanowieniu dochodzę do przekonania, że nasze potoczne poglądy są naiwne; lecz mógłbym tu powołać się na św. Tomasza. Mianowicie chodzi o zagadnienie substancji i przypadłości... Ale... ale czy redaktor zna filozofię Tomasza?

— Nie...

— No to trudno mi będzie wytłumaczyć.

W tym miejscu Lorek, ochłonawszy po wybuchu bomby wrażeń, wkroczył energicznie.

— Zdaje mi się, że nie czas na tę dyskusję teologiczną, skończycie ją sobie później, kiedy indziej, w okolicznościach odpowiedniejszych. Teraz zaś — odwrócił się do milicjantów — kończymy sprawę. Musimy się śpieszyć, i to bardzo. Trzeba wracać do Warszawy. Wobec tego, cośmy tu stwierdzili, nie mamy chwili do stracenia.

Mała grupka ludzi w nędznym krążku światła zaczęła znów żwawo poruszać się. Artyleria wiatrów grzmiała nad nimi z nie słabnącą mocą.

\*

Samochód pędził do Warszawy. Szosa była wciąż mokra, ale chmury, porwane na strzępy, poczęły ukazywać wolne przejścia, w których na granatowym tle migotały samotne gwiazdy.

— Która godzina? — spytał Guran.

— Dochodzi druga — odpowiedział Lorek.

— Prędkośmy się uwinęli.

— A tak, ale co ważniejsza: wygrał redaktor swój wyścig. Ciekawy jestem, jak pan do tego doszedł. Jak pan wykombinował tego Prokaszka i tę głowę?

— Hm, bardzo prosto.

— Co? — Lorek podskoczył, niezadowolony z hipokryzji redaktora.

— Rzeczywiście bardzo prosto — potwierdził jeszcze raz głosem raczej śpiącym.

— Więc zamieniam się w słuch. Jak ta „prostota” wygląda, bardzo jestem ciekaw.

— Hm, proszę bardzo, nadszedł czas wyjaśnień, no więc tak... Wczoraj wieczorem miałem tę przygodę z córką Rubensa, która dziś okazała się żoną Lothara; zostawiła mi zgubione przez Prokaszka kartki z notatnika naukowego Tragi. Była godzina mniej więcej siódma trzydzieści, gdy siadłem i zacząłem czytać. Byłem niezwykle podniecony. Właśnie wtedy sformułowałem sobie pogląd, że należy jednak zainteresować się głową Tragi. Jak do tego doszło? Skąd przyszło to skojarzenie? Jak pan wie, pierwotną moją hipotezą było, że Traga żyje. To był początek. Początek zresztą kiepski, bo na przeszkodzie stały dwa podpisy na akcie sekcyjnym: Prokaszka i Barchana. Jeśli wychodzę z założenia „minimum przestępców”, to nie mogę zaraz pakować do mojej teorii dwóch nowych przestępców. Wszakże myśl taka kołatała się po mózgu.

W pewnym miejscu tekst był mniej więcej taki: „człowiek jest istotą niepodzielną. Gdy gilotyna ucięła głowę Robespierre'owi, to musiało umrzeć jego ciało i jego głowa”. I tak dalej. Stronica zaś kończyła się następującą uwagą: „Gdyby głowę Robespierre'a wstawiono natychmiast do pompy tłoczącej krew, to mniej więcej po upływie pół godziny otworzyłyby oczy i zaczął mówić”. Otóż, prokuratorze, proszę pamiętać: krążyła mi ciągle myśl o Tradze, o tym, że żyje; poza tym miałem świeżą pamięć eksperymentów jego i jego głów.

Wie pan, jak ja przeczytałem? Niech pan nadstawi uszu: tak oto zabrzmiało mi w umyśle: „Gdyby głowę T r a g i wstawiono natychmiast do pompy tłoczącej krew, to mniej więcej po upływie pół godziny otworzyłyby oczy i zaczął mówić lub — co prawdopodobniejsze — krzyknąć.” Widzi pan — to było olśnienie. Racja! Przecież taka rzecz była możliwa, kto by znał sekrety Tragi, potrafiłby to uczynić. Przyszła zaraz refleksja: Głowa? No to co? Zastanowiłem się.

Po pierwsze: odpada Barchan. Prokasz mógł sam dokonać tego, nie wtajemniczając go ani dopuszczając. Zmniejsza się więc ilość osób zamieszanych w sprawę. Ożywa z nadzieją moja pierwotna hipoteza. Dobrze! Lecz co dalej? Po co by to miał robić? Oczywiście — dla eksperymentu naukowego. Dla tego, kto pragnął kontynuować doświadczenia Tragi, głowa Tragi przydałaby się ogromnie, nieprawda? Zawsze to więcej niż jego notatki. Lecz Prokasz? Czy to możliwe? Czy to nie jest jakiś dziki paradoks? Byroń i Lothar są uczonymi, a Prokasz, taki skromny szaraczek... Nie, coś nie w porządku! Tak by się zdawało. A gdy się zastano-

wimy — wypadnie inaczej, na odwrót: ten „szaraczek” mógł to, czego nie potrafili tamci. Tu było drugie olśnienie. Niech pan posłucha. Tylko Prokasz mógł to uczynić, jeśli w ogóle to było rzeczywiście uczynione.

Kiedy? Tylko natychmiast; znał sekret pięciu minut. Gdzie? W Zakładzie Medycyny Sądowej. Czy miał czas i możliwości? i jedno, i drugie,

A teraz najważniejsze: czy znał się na tym, czy potrafiłby eksperyment przeprowadzić, czy miał aparaty odpowiednie? Wszystko! Jeśli kto — to tylko on! Właśnie on, a nie Byroń czy Lothar; Byroń i Lothar są teoretykami, zwłaszcza ten ostatni, prace ich zresztą będą w innym kierunku; obaj nie mieli dostępu do prac Tragi i jego rezultatów.

Otóż, panie prokuratorze, ja sam w czasie pożaru laboratorium wysłałem Prokasz do pokoju Tragi — znajdował się na parterze, o ile pan pamięta — by uratować, co się da. Byłem zanadto wtedy zbity i oszołomiony, by dobrze wiedzieć, co potem nastąpiło; wszakże mógł coś uratować. Co? Przede wszystkim notatki Tragi. Dlatego znaleźliśmy potem kilka luźnych kartek, zagubionych przez „kogoś” w Zakładzie. To on je zgubił. Po wtóre: musiał znaleźć i uratować ów aparat, owo „pudło na kapelusze”, inaczej nie byłby w stanie dokonać eksperymentu i głowę Tragi przenieść i ukryć. Tylko on mógł go znaleźć, nikt inny tylko on, Prokasz. Miał spokojną i wolną noc z niedzieli na poniedziałek, nauczył się z notatek, co i jak, a rano znalazł się, zresztą służbowo, w Zakładzie. Jeszcze nie miał zapewne planu ani nawet może określonego zamiaru. Raptem Traga leży na korytarzu. Nie żyje. Samobójstwo.

I oto w mózgu Prokasz rodzi się idea zupełnie zrozumiała w tych okolicznościach, może nawet odruchowa, zresztą szczegóły sprawdzimy u niego osobiście: uciąć głowę, uratować Tragę, dokonać eksperymentu. A gdy to się stało, reszta potoczyła się już z koniecznością fatalności. — Przerwał, by nabrać oddechu, skorzystał z tego Lorek i spytał powątpiewająco:

— Prokasz zbrodniarzem? Czy wierzy pan w to?

— Ja w nic ani wierzę, ani nie wierzę. Owszem, dziwiłem się nawet w duchu i teraz nawet nie mogę wyjść z podziwu, lecz uczucia odsuwam; konstruuje logiczny budynek z możliwości, z przyczyn i skutków, z mozaiki wypadków. Składam łamigłówkę z klocków. Więc Prokasz! A co z Barchanem? Ano w tej konfiguracji nie był — jak już nadmieniałem — potrzebny. Na pewno przyzwyczajony jest do sekcji trupów bez nóg, rąk, poszarpanych, zakłutych, powieszonych, zastrzelonych, przecież pracuje w Zakładzie Medycyny Sądowej. Nie zdziwił się więc, gdy przyjechawszy, zobaczył trupa bez głowy. Zresztą Prokasz mógł po prostu powiedzieć: sekcję głowy zrobię sam. Czy coś w tym rodzaju.

W tym miejscu może mnie pan ze zdumieniem spytać... — tu Guran zerknął na Lorka i sprawdził istotnie rozlewające się na jego obliczu uczucie niepewności i chęć przeczenia — dlatego najprościej w świecie nie spytałem asystenta Barchana, czy gdy asystował przy sekcji, Traga miał głowę, czy nie. No tak, pytać mogłem, lecz ja pytam się teraz pana, jako prokuratora, czy miałem prawo to uczynić?

Oblicze Lorka gwałtownie przebyło liczne szczeble uczuć i namysłów. Odpowiedział:

— Skądże znowu, nie wolno było, istniała przecież możliwość jego udziału; a jeśli mamy choćby najlżejsze podejrzenie, nie wolno płoszyć; spytałby pan go, a potem co... ptaszki wyfrunęłyby zawczasu.

Guran potaknął.

— Właśnie. Trzeba było wybrać drogę żmudniejszą i absolutną tajemnicę. Głowa Tragi — jeśli miałem rację — była newralgicznym punktem całego spisku. A więc postanowiłem dokonać ekshumacji. Dlatego zaraz po wyjściu Stefana i Heleny zadzwoniłem do pana z prośbą o wydanie mi pozwolenia na ekshumację. Tymczasem zaczęły się mnożyć wypadki zbijające mnie z tropu. Najgorszym był rzekomy zamach na Prokasz. Guran znów na chwilę przerwał, po czym zaczął mówić wolniej i z wahaniem. — Wczoraj wieczorem bawili u mnie Pogonowski z Landowską. Wygadałem się niepotrzebnie, że jutro — to znaczy dziś — mam zamiar dokonać decydującej próby; co gorsza, wyrwało mi się, że chcę sprawdzić „uśmiech

nieboszczyka”. Było to ogromnie niezręczne i słabo kryło moje istotne zamiary. Później żałowałem przedwczesnej szczerości.

Prokurator Lorek wtrącił tu znów swą wątpliwość:

— Czyżby pan i ich podejrzewał?

— Hm, nie wiem, właściwie — nie, lecz najprościej byłoby przypuścić, że właśnie oni zaraz zawiadomili Prokaszę i zaaranżowali całą komedię.

Lorek energicznie zaprzeczył.

— Jest redaktor w całkowitym błędzie; mam wystarczające dane, by twierdzić, że gdy zjawili się na Mariensztacie, Prokasz był już nieprzytomny.

— Czyżby — zdziwił się Guran.

— Z całą pewnością, to nie podlega dyskusji.

— To znaczy — mruknął redaktor — że stary sam zorientował się, że podejrzewam go; może Helena przedtem powtórzyła mu moje przypuszczenia? Rano byli przecież na spacerze nad Wisłą.

— Może — przytaknął Lorek — ale oni na pewno są wolni od podejrzeń w tej sprawie.

— Więc niech będzie, Prokasz sam sobie zorganizował scenerię...

— Nie! — To powtórnie Lorek nie zgadzał się. — Nie, redaktorze, mam świadectwo lekarzy; on istotnie był zatruty gazem świetlnym; poza tym stwierdzono, długo po wykryciu wypadku, ogromne ilości gazu w jego pokoju; atak serca i szok nerwowy także nie były symulowane. Coś się tu redaktorowi nie zgadza.

Guran zasepił się i opuścił głębiej w siedzeniu. Wycedził powoli:

— To niemożliwe, tak być nie mogło, sprytna symulacja.

Przerwał raptownie pod wpływem nagłej myśli.

— Ale, ale czy Prokasz jest pilnowany?

— Owszem.

— To dobrze, lecz jeśliby chciał się cichaczem ulotnić dziś w nocy?

— Nie uda mu się to; ma swobodę ruchów, ale będziemy wiedzieli, jak z niej korzysta.

— Hm, to dobrze, bo istotnie moglibyśmy go nie zastać. Zatem rano zjawimy się u niego i dowiemy, co trzeba; teraz nie mam już sił na łamanie głowy. Jestem podle wyczerpany. I śpiący — dorzucił wyjaśniająco, ziewnął przy tym dyskretnie, lecz wymownie.

— Zgoda, śpij pan, wszakże przedtem proszę jeszcze o jedno wyjaśnienie. Prokaszowi coś ukradziono tego wieczora, gdy Topolski padł ofiarą morderstwa. Co? Poza tym Prokasz był właściwie zadowolony, że ukradziono. Dlaczego?

— Zdaje mi się, że to proste — odpowiedział Guran.

— Co znów proste?

— No oczywiście — symulował. Nic mu nie ukradziono; być może, że spostrzegł się, iż zgubił kilka kartek; i chciał tym upozorować kradzież albo — i bez tego — symulował, choć nie pojmuję dlaczego.

Lorek tupnął nogą.

— No, ale przeszukaliśmy mieszkanie Prokaszę i nic nie znaleźliśmy!

— Prokuratorze, pośpijmy trochę; będziemy mieli jutro huk roboty. A Prokasz panu wszystko lepiej wyjaśni niż ja.

Zapadła cisza. Kowalik i Ogórek pochrapywali rozlewnie i kiwali się miarowo na swoich miejscach, szofer układał różne plany na osiągnięcie jednej rzeczy: urlopu wypoczynkowego choćby na dwadzieścia cztery godziny. — Redaktor istotnie wpadł od razu w stan półsnu; schował ręce w rękawy płaszcza, a nos w postawiony kołnierz i uniósł się w świat mgławicowo-senny.

Lorek natomiast został całkowicie trzeźwy, za to w stanie doszczętnego pomieszania. Rozwahał... I tu po raz setny nawinęła mu się, jak powracająca fala, myśl, że przecież w momencie krytycznym był przy Topolskim tylko jeden człowiek: redaktor Guran. Westchnął



gwałtownie.

— Dobrze, dobrze, cierpliwości. Jutro w każdym razie nastąpi moment decydujący. Wyznanie Prokasz.

Samochód pędził pustą szosą w kierunku Warszawy. Grzmiał motorem, mieszając swój krzyk z wrzawą powietrza wstrząsanego przemieszczaniem się wyżów i niżów barometrycznych. Drzewa przydrożne kłaniały się na wsze strony. Środa była przełomowa, ale...

## XVII

### SEKRET DOKTORA PROKASZA

Wstał nowy dzień, rześki i wesoły. Po wczorajszym huraganie ani śladu. Wesołe słońce witało warszawski świątek.

Helenka gimnastykowała się w takt muzyki płynącej z głośnika i słów instruktora.

Biegała, skakała, wyginała się, robiła wszystko, co tylko głos z radia nakazywał, wytrząsała z siebie sen i gnuśność. Przyspiewywała z cicha, nieco głośniejszym głosem (przy trudniejszych figurach) i cieszyła się, cieszyła, że żyje.

Na maszynie gazowej odezwał się pierwszy ostrzegawczy warkot czajnika z pełnym brzuchem gorącej wody — uff, gul-gul-gul, gotuję się, uff.

— Nie śpiesz się, szczeniaku — ostrzegła go — przecie widzisz, że jeszcze nie skończyłam; pani gimnastykuje się.

Landowska spała dziś w kuchni, odstąpiwszy łóżko w pokoju wujkowi Prokaszowi, a sofę Stefanowi.

Czuła też w kościach niewygodę nocy, jednakowoż nie tak jak Pogonowski, który żadną miarą i żadnym wysiłkiem nie mógł uzgodnić swego atletycznego ciała z niewyrośniętą i anemiczną sofą.

A Józefat Prokasz leżał jeszcze w wygodnym łóżku. Przystrojony w damską pidżamę (zmieściła się!) i w damski szlafrok koloru banana — w czym mu zresztą było nie do twarzy — z brązowymi klapami i mankietami. Nie spał już od dawna.

— Panie doktorze — usłyszał głos Pogonowskiego, który zakręciwszy prysznic, zaczął się gwałtownie wycierać — jak tam ze zdrowiem?

— Ano niczego sobie, owszem — można wytrzymać, dziękuję, ale panu na tej sofce to nie tego było, co?

— Nie szkodzi, nie szkodzi, spało się i marzyło doskonale.

Ktoś energicznie zapukał w ścianę, ucichli więc. Helenka dawała im znać o swojej obecności, dobiegł ich też wnet jej głosik.

— Ależ hałasujecie; do bani z takimi sublokatorami. I pewnie nie wygramolicie się na czas, a już smażę racuszki. Stefan, wyłaż prędzej z tej łazienki, ubieraj się i szykuj stół; przesun go bliżej łóżka, wujek chyba jeszcze nie wstanie?

— A właśnie, że wstanę — zagadał pan Józefat — nie ma co przesuwac stołu. — Sięgnął pod poduszkę, wyciągnął tom oprawiony w grube płócienne okładki. Otworzył. Na pierwszej stronie widniał ręczny napis: „Prof. Dr Faustyn Traga. Notatki”.

Wpatrywał się w skupieniu czas dłuższy, po czym otworzył na stronicy, która była założona skrawkiem gazety, mianowicie na stronicy 373. Widniał tam nagłówek następującej treści: Pomysł 147 — „wspólne krążenie krwi dla dwóch ludzi”. Prokasz opadł głębiej w poduszkę i zaczął czytać:

„Jest to sprawa prosta, a niezwykle doniosła...”

— Wujaszku, czas wstawać!

Stary pan Józefat, wyrwany obcesowo i od razu ze świata wiedzy i fantastyki, zachnął się pełen oburzenia i zamknąwszy z głośnym trzaskiem księgę natchnień, zaczął zrzędzić płaczliwie:

— Słowo daję, wołę u siebie. Człowiekiem nikt nie kręci. Cóż to? Czy jestem fryga? Czy jest do czegoś śpieszyć się? do jedzenia? do racuszków? co mi tam jedzenie!

Ale wstał, zawiązał ściślej szlafrok koloru banana, schował księgę pod poduszkę, wyrzwał przez okno, podrapał się energicznie po czaszce i pomaszzerował — odrobinę chwiejnie — do łazienki. Po drodze zdążył zauważyć, że Stefan mocuje się duchowo przy stole, nafaszzerowany wątpliwościami co do sposobu umieszczenia kwiatów.

Pokręcił głową i rzekł sobie w duchu:

— Ot zakochani! Zawsze im kwiaty na myśli, same głupstwa.

\*

Prokurator nacisnął dzwonek. Po chwili ukazał się w drzwiach Krogulczy Nos; lecz czyż to on we własnej osobie, czy kto inny, podobny jak dwie krople wody? Nie, to on sam, oczywiście, ale odmieniony: zaszła w nim nieuchwytna, wszakże zdecydowana metamorfoza. Promieniował! Jakikolwiek mogłoby się to wydawać mało prawdopodobne, a może wręcz — nieprawdziwe, było faktem. Promieniował! Nie promieniami alfa, beta czy gamma, nie promieniami X, nie emanowały z niego fale radiowe ani broń Boże — promienie kosmiczne, ale po prostu promieniował radością.

Lorek, który przygotowywał się odpowiednio do efektownego zaskoczenia go swoimi wiadomościami, od razu spuścił z tonu, zamiarkowawszy, że i tamten akurat niesie zdobycz, i to zapewne niemałą. Westchnąwszy więc żałośnie, odezwał się pierwszy, a w głosie łatwo było wyczuć nutę nadąsania i zawodu.

— Siadaj pan i gadaj, bo widzę, że wiadomości rozsadzają pana.

— A rzeczywiście, rzeczywiście, prokuratorze, trafiło się to i owo, nie można narzekać, no nareszcie — był najwyższy czas.

— Zatem? — spytał Lorek rzeczowo.

— Zatem są nowiny. Kelnerka z kawiarni na Mariensztacie widziała starego doktora w niedzielę późnym popołudniem, wracającego do domu z pudłem na kapelusze. Zastanowiło ją to i nawet lekko rozśmieszyło, zwróciła nawet na to uwagę koleżanki; stary dziwak z ogromnym pudłem na kapelusze, i to w dodatku ciężkim, był dla nich widokiem niezwykłym: po co mu to? skąd niesie? Co za cylinder czy melonik tkwi w tym szacownym pudełeczku? Woźny z Zakładu Medycyny Sądowej widział istotnie Prokaszę w niedzielę rano, jak wchodził do Zakładu z „pudłem okrągłym i dość dużym”, jak go określił; sądził, że to jakiś aparat naukowy. Gdy robiłem mu wyrzuty, dlaczego nie wspomniał o tym szczególnie wcześniej, na przykład przy pierwszym badaniu, odparł, że nie wiedział, że to jest takie ważne.

— Rzeczywiście, trudno było przypuścić, że to ważne — zgodził się Krogulczy Nos w imieniu woźnego.

Posługaczka Prokaszę zeznała jak poprzednio, że w niedzielę na sprzątanie nie chodzi, a w poniedziałek nic podejrzanego w mieszkaniu nie było. Gdy spytałem jednak, czy przypadkiem nie przyniósł do domu jakiegoś pudła, od razu krzyknęła:

— Tak, stało na szafie, takie jakieś okrągłe, ale nie zaglądała, a we wtorek już go nie było.

Krogulczy Nos uniósł suchy palec i wyjaśnił:

Posługaczka Prokaszę zeznała jak poprzednio, że w niedzielę w nocy, to znaczy przy pożarze laboratorium Tragi, zdobył aparat, a rano szedł z nim do Zakładu, późnym popołudniem wracał z nim do domu, a we wtorek rano już go nie było. Więc?

Więc: po pierwsze domyślam się, żeście panowie głowy Tragi nie znaleźli w grobie, bo jest w mocy Prokaszę; po drugie — zgadza się czas, dokonał operacji w niedzielę i w niedzie-

lę uciekł ze zdobyczą; po trzecie — wiem, kto otworzył kostnicę — pan Prokasz, rzecz prosta, aby uciec z głową boczną drogą, przez kostnicę, podwórko i ową furtkę, a nie przez główne wyjście, bo musiałby wtedy przedefilować przed woźnym, a woźny właśnie zeznał, że nie widział, by wychodził z aparatem; po czwarte — wiem teraz, że musi mieć jakąś melinę i współnika, gdzie ukrywa zdobyczą; po piąte — zaczynam rozumieć, jak zamordowano Topolskiego, przecież kto ma współnika w takiej sprawie, może nim manewrować i używać go; po szóste — rozumiem, dlaczego Prokasz symulował jakąś kradzież, zamach na jego osobę — to jasne, aby odwrócić uwagę od siebie i aby w razie czego mieć ładny wykręt.

Lorek nie rozumiał.

— Co to znaczy, „w razie czego”? i jaki „wykręt”?

— No, jeśliby odkryła się ta histeria z głową Tragi, wtedy nie mając szans na wykreślenie się od udziału w tej operacji, w każdym razie będzie mógł bronić się, że ktoś ukradł mu ją, że nie ma nic wspólnego z ową bandą, że po prostu — on tylko ratował życie Tragi. To lub coś w tym guście.

— Hm — mruknął Lorek. I zaraz dorzucił: — No i wykryła się.

— Właśnie — zgodził się rozmówca.

— Więc jest czas na ów punkt szósty.

— Tak, nic innego mu nie pozostaje.

— Hm, zatem sądzi pan, że i Topolski, to...

— A któż inny, panie prokuratorze? Owszem, to jest jego ofiara, Prokasz.

— Zdumiewające!

— Widziałem bardziej zdumiewające sprawy.

— A jednak — próbował bronić się Lorek.

— Zresztą, proszę pana, ujrzymy sprawę od podszewki już niedługo, bo sądzę, że...

Lorek powstał.

— Tak, dobrze pan sądzi; Guran miał rację i pan ma rację... nie należy zaczynać od psychologii i od nadmiernego zaufania do cnót człowieka... — Powiedział to, lecz westchnął zarazem, bo miał łatwość do westchnień, a trudno przy tym mu było uwierzyć w tę potworność. — Dobrze pan sądzi — mruknął raz jeszcze — jadę zaraz...

\*

Helena nalewała herbatę, Stefan siedział już i krajał bułkę, Józefat śpieszył się z łazienki.

— Wujku, siadać!

— Zaraz, zaraz.

I podskoczył względnie żwawo do łóżka, capnął księgę spod poduszki i otworzywszy ją, zaczął na stojąco przewracać kartki. Helenka aż otworzyła usta z podziwu.

— Wujku! — zgromiła go — herbata nalana.

— Zaraz, zaraz...

Teraz i Stefan przyłączył się do opozycji.

— Może jednak pan doktor... tego... zechce lekturę przełożyć na później...

— Zaraz, zaraz, mówię wam, chcę tylko coś sprawdzić.

Doszukał się wreszcie stronicy i zagłębił wzrok podniecony niezaspokojoną ciekawością. Albowiem stary doktor, myjąc się w łazience, nie potrafił opędzić się przed natrętną ciekawością: co też Traga wymyślił z tym „najciekawszym” z tym „rewelacyjnym” zastosowaniem łączenia dwóch ludzi wspólnym krwiobiegem.

— Zaraz, zaraz, powtórzył machinalnie i już czytał: „...Co zaś do...”

W tym miejscu Helenka ujęła wujka łagodnie, lecz zdecydowanie za ramię, drugą ręką odebrała mu notatki Tragi.

— Dość tego, to nawet niegrzecznie, my czekamy, herbata stygnie, racuszki też, a...

— Nie wytrzymam z tymi racuszkami, jak Bożę kocham. Czyż nie macie nic innego w życiu do roboty, tylko jeść racuszki.

— Owszem, mamy, ale jeść też trzeba i należy się pilnować porządku.

— No, już ja wujaszka wyedukuję, nie ma co, ale teraz proszę do stołu.

Poprowadziła go, on zresztą oporu nie stawiał, przeciwnie, szedł chętnie, burcząc tylko dla honoru i z przyzwyczajenia.

Wyglądał teraz — zważywszy damski szlafrok w kolorze banana — ogromnie komycznie i oboje młodzi z niemałym nakładem energii ukrywali chętkę do uśmiechu, nawet do głośnego śmiechu. Gdyby wszakże zajrzał ktoś do pokoju w kilka minut później, zastałby atmosferę całkiem inną, odmienioną i napiętą. Zaczęło się to wszystko od niefortunnej uwagi Pogonowskiego o Guranie, mianowicie, że ten twierdził wczoraj, jakoby zna sprawcę morderstwa Topolskiego.

Na te słowa stary lekarz zbladł i fuknął:

— To nieprawda!

— Jak to nieprawda? — zaprotestował Stefan, a Helena, nie mniej zaskoczona, wtrąciła:

— Tak było i ja mu wierzę, on istotnie zna sprawcę.

Prokasz zwinął wargi w trąbkę i błyskawicznie rozwinął z powrotem, odstawił filiżankę z herbatą, lecz tak niezręcznie, że ta spadła ze spodka, i rzucił spojrzenie lśniące niepokojem.

— Jak to — jęknął — powiedział, że zna sprawcę?

— Tak powiedział.

— Zupełnie na serio?

— No, tak można sądzić.

— ...i co jeszcze, czy nie pytaliście go o szczegóły, czy o nic więcej nie pytaliście, na przykład... na przykład... kogo ma na myśli?

— Pytaliśmy, ale oczywiście na próżno, wykręcił się jakimś opowiadaniem o „uśmiechu nieboszczyka”.

— O... o... uśmiechu... a cóż to do licha znaczy?

Stefan wzruszył ramionami.

— A skądże mogę wiedzieć, ale tak myślę sobie, że interesuje go głowa Topolskiego.

Teraz Helena dodała:

— Albo Traği, bo tego nam nie powiedział, to są tylko nasze domysły.

Prokasz zadrżał, wstał nagle od stołu i szepnął:

— Och, to bardzo ważne, to ogromnie ważne... co on ma na myśli? co on zamierza zrobić? — Odszedł dwa kroki i mruknął: — Ten Guran zaczyna mi się naprawdę nie podobać.

Usłyszeli dobrze te słowa. Stefan wymienił spojrzenia z Heleną, jakby mówiąc: a widzisz i on też sądzi to samo co ja. Otworzył nawet usta, by coś powiedzieć, gdy nagle rozległo się głośne pukanie. Zamknął je więc z powrotem nic nie rzekłszy i powstawszy, ruszył do drzwi. Po chwili ukazał się z powrotem i oznajmił dziwnym głosem:

— Mamy wizytę.

— Czyją? — zdumiała się Landowska.

— Prokuratora Lorka i redaktora Gurana.

Ręce Prokasz zadygotały i chwyciły kurczowo powabny szlafrok, natomiast ona, nie widząc ani nawet domyślając się reakcji starego doktora, ucieszyła się.

— Ach, jak to dobrze, świetnie, są pewnie jakieś ważne nowiny. — I zwracając się w kierunku przedpokoju, krzyknęła: — Witamy, prosimy, wejdźcie, panowie... wejdźcie, o ile zmieścicie się w tym skromnym pokoiczku.

Jakoż ukazała się puciołowata i czerwona twarz prokuratora, a za nią blada i zmęczona — redaktora. Obaj utkwili oczy, jak na komendę, w starym lekarzu. I ten przyglądał im się, zaciskając coraz mocniej szlafrok. Widok jego w tym kolorowym stroju był tak nieoczekiwa-

ny, że byliby parsknęli śmiechem, gdyby nie okoliczności.

Stefan przenosił spojrzenie od nich na niego i z powrotem i coś go uderzyło, zrozumiał, że między nimi teraz coś tkwi, jakaś wiadomość, jakaś sytuacja.

Weszli.

— Dzień dobry państwu.

— Dzień dobry.

— Jak się pan miewa, doktorze?

— Dobrze, dziękuję.

— No to świetnie.

— A pani?

— Doskonale.

— Czy będzie można tu gdzieś usiąść?

— Proszę bardzo.

Lorek zwrócił się do doktora Prokaszka i zaczął od razu mówić Wyłożył fakty i ujawnił podejrzenia. Po czym zakończył:

— Zatem prosimy o wyjaśnienia; jak pan widzi, fakty są ustalone i radzę odpowiadać prosto, szczerze i wyczerpująco.

Helena nie wierzyła własnym uszom, objęła oba policzki dłońmi i śledziła nieprzytomnym wzrokiem twarz Prokaszka; w kącikach oczu ukazały się łzy-perełki i poczęły powoli staczać się między palce. Stefan także był wstrząśnięty; zmarszczył groźnie swe krzaczaste brwi, zaciął usta, pięści oparł na kolanach i czekał.

Prokasz, który już siedział na łóżku, blady, podniecony, chwilami poruszający nerwowo głową, jakby mu ją ktoś niewidzialny próbował ukręcić, chrząknął raz, drugi i dziesiąty, rzucił rozpaczliwie oczami na wszystkie strony i zaczął głosem chrypiącym, grubym, chropowatym i załamującym się.

— Tak jest, panie prokuratorze, powiem wszystko szczerze i wyczerpująco; przecież ja od razu chciałem wszystko szczerze i wyczerpująco, od razu miałem taki plan, ale... ale to tak wszystko jakoś się ułożyło, zagmatwało i poleciało szybko, że... że... No więc tak, tego... — Przycisnął bananowy szlafrok do siebie i ominął przerażony wzrok Helenki. — Więc najpierw był ten pożar laboratorium Tragi. Ja akurat zgubiłem okulary, ale na szczęście znalazłem... Nie, źle mówię — na nieszczęście, bo gdybym ich nie odszukał, to może sprawy potoczyłyby się inaczej, a...

Lorek przerwał mu.

— Może bez dygresji filozoficznych, doktorze, dobrze? Prosimy do rzeczy.

— Do rzeczy? Dobrze — zgodził się pośpiesznie — więc do rzeczy — więc gdy przyszedłem bliżej, pożar był ogromny, potem redaktor Guran krzyknął do mnie, abym ratował, co się da, z pokoju Tragi, z tego — wiecie panowie — na parterze, po prawej stronie. Pobiegłem co tchu, choć dym był straszny i gryzł, ale jak wpadłem do środka pokoju i zatrzasnąłem za sobą drzwi, zrobiło się trochę lepiej.

Najpierw biegałem nieco bezładnie, nic nie widząc i nie wiedząc, co zrobić, ogień nade mną huczał, a u dołu pod drzwiami biały dym wciskał się, jakby kto dmuchał; potem zorientowałem się, że trzeba coś stanowczego zrobić i akurat ujrzałem na stole to pudło, a obok jakąś książkę. Rzuciłem się w tym kierunku, złapałem jedno i drugie i zaraz pobiegłem do drzwi, ale jak tylko otworzyłem, dym i ogień objęły mnie, więc poleciałem w drugim kierunku do okna. Wyrzuciłem oba przedmioty i sam czym prędzej wyskoczyłem. Pomyślałem, że najlepiej będzie przeleźć przez mur, ale okazało się, że za wysoki; a tu dach już się zapadał z łoskotem i iskry latały naokoło mnie i czułem swąd palącego się garnituru i coś mnie bolało; no więc... no więc rzuciłem wszystko i dałem nurka w ten dym i ten ogień. Chciałem dotrzeć do furtki.

Ale proszę panów — tu Prokasz zmartwił się — zawsze w ważnych chwilach nie udaje

mi się. Tak i teraz. No, przewróciłem się. I już nic nie wiedziałem, sądziłem, że to koniec wszystkiego. Ktoś mnie jednak wyniósł. Potem, gdy pożar zmniejszył się, dogasał, a pan prokurator odszedł gdzieś z redaktorem, poprosiłem strażaka, żeby odszukał te rzeczy — że są na podwórku pod murem. Przyniósł mi je i były w porządku. Zobaczyłem wtedy, że to nie książka, lecz notatki naukowe rektora Tragi. Ogromnie się ucieszyłem, ale to bardzo, nie macie, panowie, pojęcia; wszak laboratorium spaliło się na moich oczach ze wszystkim, co w nim było, więc uratowanie tego aparatu i notatek uważałem za duży sukces. Zaraz też uczułem się raźniej, chwyciłem aparat, a książkę włożyłem pod pachę i poszedłem. Panów wciąż nie było, a tu głęboka noc, odludna okolica, chciałem najpierw dojść do tramwaju, ale nie wiedziałem, gdzie się zwrócić. Postanowiłem więc iść na piechotę, bo od Czerniakowa na Mariensztat droga prosta, jeśli się trzymać w pobliżu Wisły. Trochę się przeliczyłem, bo to ciemno, daleko, aparat ciężki, a nogi stare, więc szedłem i szedłem — ogromnie długo szedłem. Toteż ulżyło mi, jak nareszcie dobrnąłem do mojego Mariensztatu.

O spaniu nie było oczywiście mowy. Czułem się niemożliwie zdenerwowany. Pomyślcie, panowie, taka historia z Tragą, wiecie — wtedy w willi Pogonowskiego, pościg, pan prokurator mi potem nawymyślał, a potem pożar i zdobycie tych cennych rzeczy. Zaparzyłem kawę i siadłem do czytania. Czytałem do samego rana, jednym tchem, w coraz większym podnieceniu. To było coś nadzwyczajnego, nie możecie wiedzieć, nie znając jego zapisków. Wprost — olśnienie! Obejrzałem potem dokładnie aparat, przeczytałem instrukcje, jak się z nim obchodzić; znalazłem w nim zapas surowicy plastycznej, w fioletowej butli. Ta surowica plastyczna jest właśnie jednym z wynalazków Tragi. Zalewa się nią ranę. W ten sposób jednocześnie hamując upływ krwi, zabezpieczając przed infekcją i pobudzając w fantastyczny sposób siłę regeneracji tkanek. Wystarczy, gdy powiem; że gdy normalnie jakaś rana musi się goić tydzień, to pod wpływem jego surowicy plastycznej goi się w trzy do czterech godzin. Jednym ze składników tej surowicy był jakiś ekstrakt z odwłoków pszczoł; ale nie zwykłych pszczoł — tylko królowych. Znalazł tam widać potężne źródło sił regeneracyjnych czy witaminowych. Pisał, że zastanowiło go to, iż robotnica żyje trzy miesiące, a królowa pięć lat; rozpoczął badania i wykrył przyczynę. To wszystko wyglądało nadzwyczajnie. Świtało już, gdy wreszcie oprzytomniałem. Znowu zaparzyłem kawę i długo, długo chodziłem po pokoju. Żebyście wiedzieli, co ja tam wyczytałem. Gdybym na przykład przedstawił panom, choćby pobieżnie jego eksperyment z zamrażaniem żywych mózgów, to...

Lorek znowu przerwał.

— Nie, dziękujemy, nich pan doktor opuści szczegóły, zresztą przeczytamy potem sami, teraz zaś — do rzeczy.

— Bardzo proszę, więc o czym ja mówiłem?

— O tym, że świtało, gdy skończył pan czytać.

— Aha, świtało. Tak. To była niedziela. Właśnie chciałem położyć się trochę, może bym nawet zasnął, gdy nagle dostałem wezwanie od pana prokuratora do Zakładu Medycyny Sądowej. Miała być próba skłonienia Tragi do złożenia czegoś w rodzaju testamentu naukowego, czy coś w tym rodzaju? Prawda? A ja tymczasem mam w swych rękach cenne rzeczy. Zatem wziąłem aparat i notatki, a b y o d d a ć j e p a n u p r o k u r a t o r o w i i wyszedłem.

Dzień był ładny, słoneczny, jak może pamiętacie, a ja miałem głowę szumiącą wiadomościami i w ogóle... Właśnie wtedy uczułem w sobie po raz pierwszy w życiu niezwykle pragnienie. Nigdy nie marzyłem o karierze, o swoich jakichś sukcesach, no i o takich podobnych sprawach; ale oto sam los wsadzał mi w ręce niezwykle szansę. Musiałem o tym pomyśleć, nie, źle mówię — nie chciałem o tym wcale myśleć, ale coś mi ciągle szeptało w tym kierunku; i to talk, że ostatnią taksówkę na postoju ktoś mi zabrał przed nosem. Stałem i zdumiony walczyłem z nie znanym sobie uczuciem. Ruszyłem powoli, noga za nogą, uległem pokusie, znowu się obroniłem i znowu uległem. Tak w kółko. Aż doszedłem do Zakładu. Leczą

miałem decyzję: oddaję aparat i notatki panu prokuratorowi. Zniosłem je więc do swego gabinetu i czekałem „na wezwanie. Ale jak wiecie, wypadki potoczyły się inaczej. Traga popełnił samobójstwo.

Zdenerwowałem się ogromnie, zapomniałem o wszystkim; pan prokurator poszedł, a ja miałem zrobić sekcję. Wtedy... wtedy, gdy nachyliłem się nad Tragą, spoczywającym na stole sekcyjnym... No właśnie, wtedy zatrzęsłem się. Zrozumiałem sytuację.

Proszę panów, chyba rozumiecie mnie. Ja musiałem dokonać tej amputacji głowy, to był mój obowiązek, wiedziałem, jak to zrobić, miałem odpowiedni aparat, miałem surowicę plastyczną, znałem instrukcje, obok była sala sekcyjna, a pod nogami zwłoki Tragi. Zwłoki? Jeszcze nie. Jeszcze był czas, jeszcze miałem kilka minut... Nie było sekundy do zastanawiania się, do wahania.

Zrozumiałem. Muszę dokonać tej operacji, jeśli nie z innych powodów, to w każdym razie jako lekarz zobowiązany do ratowania życia. I dokonałem. Za to winić mnie nie można i nie należy. A co nastąpiło dalej? Tak, to jest właśnie histeria ciężka. Ale opowiem po kolei.

Przystąpiłem do operacji. Byłem sam, w całym Zakładzie nie było żywej duszy, bo to niedziela, tylko woźny w hallu, pilnujący drzwi wejściowych. Śpieszyłem się ogromnie. Ponieważ pan prokurator nie życzy sobie szczegółów, pomijam je, jakkolwiek przeżyłem wtedy osobliwe chwile.

No więc stało się: operacja dokonana, głowa Tragi stoi w aparacie. Spojrzałem na zegarek; dokładnie nie wiedziałem, kiedy zmarł, ale według tego, jak sądziłem, upłynęło niestety koło sześciu minut. Nie miałem wprawy i z natury nie jestem szybki. Przestraszyłem się, że się nie uda! Zniosłem aparat z głową do swego pokoju. Usiadłem i zacząłem wycierać pot z czoła i karku, słyszałem delikatny szmer mechanizmu, strzałki wskazywały właściwe ciśnienie płynu fizjologicznego i właściwy rytm. Dygotałem cały, niepokoilem się, siedziałem i czekałem. Wiedziałem zresztą, że potrwa to dwadzieścia minut lub dłużej, o ile w ogóle uda się, potem dopiero Traga powinien odzyskać świadomość.

Przez okno, wychodzące na podwórze Zakładu, wpadało skąpe światło i była ogromna cisza w całym gmachu. Nagle usłyszałem hałas, to nadchodził asystent Barchan. Prędko wyskoczyłem z pokoju i wyszedłem mu naprzeciw, powiadomiłem go o samobójstwie i o konieczności zrobienia sekcji; dodałem, że przystąpiłem nawet już do niej, bo się spóźniał (co było prawdą) i że głowę Tragi już zbadałem, a resztę zrobimy wspólnie. Przy robocie nie bardzo byłem przytomny, toteż pan Barchan zerknął na mnie raz i drugi, ale przypisał widać moje nerwy samemu wypadkowi samobójstwa rektora. Spytał tylko raz, pamiętam, czy w mózgu znalazłem jakieś zmiany. Odrzekłem, że nie i upewniłem się, że nic nie podejrzewa. Jak panowie widzą, wystąpiłem wobec niego już pod osłoną tajemnicy, ukryłem przed nim prawdę. Dlaczego uczyniłem tak? Nie wiem. Naprawdę, działałem instynktownie, nie planowałem nic, nie zamierzałem nic. A jednak widać działał we mnie jakiś motorek, popychający mnie nieubłaganie do późniejszych wypadków. Powtarzam: nie wiem, dlaczego właśnie tak postąpiłem, a nie inaczej, w każdym razie sumienie mam czyste, przynajmniej co do tego — nie zamierzałem nic złego, działałem w dobrych intencjach i pod presją błyskawicznych wydarzeń.

Wreszcie sekcję ukończyliśmy, protokół został podpisany i asystent wyszedł. Trzasnął gdzieś drzwiami i znów zostałem sam. Nie muszę tłumaczyć, że udałem się natychmiast do mego pokoju. Nie wierzyłem w pomyślny rezultat, ostatecznie byłem nowicjuszem, no... no, w ogóle nie wierzyłem, a jednak gdy otworzyłem drzwi i ujrzałem na stole pudło z otwartym wiekiem, a w nim niewidoczną z tego miejsca — głowę, serce biło mi jak młot parowy. Co z tą głową? Żyje? Przez dłuższą chwilę nie śmiałem się ruszyć, wyęczałem natomiast bezskutecznie słuch; wreszcie, krok za krokiem, zbliżyłem się, ujrzałem z góry najpierw wierzch jego głowy, ciemne włosy przyprószone siwizną na skroniach. Jeszcze jeden krok, — nachyliłem się i oto... i oto... nie, to było okropne... zobaczyłem, jak wywraca oczy do góry i

zaczyna wpatrywać się we mnie. Ten ruch, te oczy prześladowały mnie potem długo. O mało nie zemdlałem, padłem bezwładnie na krzesło, zawirowało mi w głowie i straciłem na chwilę świadomość.

Gdy ocknąłem się, tkwiło we mnie mgliste uczucie czegoś strasznego, czegoś przerażającego. Bałem się powstać, bałem się zajrzeć tam, bałem się ruszyć. Ach, jakżeż żalowałem, że wypuściłem Barchana, że nie było teraz kogoś żywego koło mnie... Co ja też wygaduję?... jak to żywego? Ona była też żywa, ta głowa, właśnie to stawało się nie do zniesienia: była żywa.

Niestety byłem sam na sam z żywą głową Tragi. Trzeba się wreszcie zdecydować. Powstałem i zajrzałem do przeklętego pudła. On także raz jeszcze wzniosł oczy do góry, patrzył na mnie. Zawsze byłem lękliwy i wstydlivy, spojrzenie obcych oczu ciążyło mi niemiłosiernie, wyobraźcie więc sobie, co się teraz ze mną działo. Patrzałem i ja na niego. Ale jak! Nie mogłem, nie potrafiłem wzroku odwrócić, jakbym był urzeczony, jakbym spozierał w oczy węża. Serce łomotało mi w piersi, a cisza była taka, że słyszałem dokładnie jego bicie.

Wtem coś się stało. Nie wiedziałem na razie, co to takiego, tylko czułem, że włosy stają mi dęba. Ach tak... To krzyk! Krzyczał! Słabo, ale rozpaczliwie krzyczał. To stamtąd, z tego pudła, leciał ni to jęk, ni krzyk. Właśnie w tym momencie odzyskał świadomość i dostał szoku nerwowego. Byłem jak rażony gromem, świat rozsypywał mi się pod nogami, a jednak — pamiętam to doskonale — przysłała mi myśl szczególna, sadystyczna, choć sprawiedliwa: One także krzyczały... tamte głowy... jego ofiary... masz teraz za swoje, okrutny oprawco, istoto pozbawiona litości. Trwało to trochę. Umilkł nagle, jak nagle zaczął. Sądziłem, że umarł, to znaczy, że głowa Tragi umarła, że już koniec, spojrzałem więc nieco przytomniej w tym kierunku. Nie, oczy były rozwarte i lśniły jak dwa karbunkuły. Opanował się siłą woli.

Dlaczego oczy nabrały czerwonego blasku, nie wiem, nie zastanawiałem się, pewnie jakiś refleks w pudle, w każdym razie żył i myślał, byłem tego pewny. Poczulem raptem dziwną do niego złość i odrazę; Uzmysłowiłem sobie, że on właśnie był twórcą tej metody, którą tak nieopatrznie zastosowałem wobec niego samego. Powiedziałem: — Przed chwilą dokonałem sekcji pańskiego ciała... — Urwałem nie dokończywszy zdania, on bowiem raz jeszcze uniósł brwi i wycelował we mnie swój krwawy wzrok. Trwaliśmy tak przez jakiś moment, po czym usłyszałem szept:

— Sekcję mojego ciała?

— Tak — odparłem — sekcję pańskiego ciała.

— A więc nie mam już ciała?

— Nie.

Nakrył oczy powiekami i wyraz przerażenia odmalował się na jego twarzy, po czym — czułem to dobrze — zaczął wsłuchiwać się w szmer aparatu.

Zapomniałem dodać, że składał się, tak jak każda maszyna sercowo-płucna, z dwóch części: części utleniającej, spełniającej rolę płuc, i pompy, spełniającej rolę serca. Otóż ta druga składała się z miniaturowego metalowego cylindra, w którym umieszczony był mankiet gumowy i przewód; wewnątrz niego umieszczone były dwie zastawki, spełniające taką samą rolę jak zastawki sercowe. Rytmiczna zmiana ciśnienia w mankiecie powodowała przepływ płynu fizjologicznego. Aparat wydawał przy tym jednostajny, monotony szmer.

Nagle otworzył oczy i rozkazał:

— Proszę natychmiast zbadać moje prądy mózgowe.

Zaskoczyło mnie to tak bardzo, że początkowo nie zrozumiałem, o co mu chodzi.

Powtórzył:

— Proszę mnie przenieść do elektroencefalografu.

Jak panowie wiecie, mamy w Warszawie dwa elektroencefalografy: jeden w Klinice Psychiatrycznej, a drugi w naszym Zakładzie, oba zbudowane w Politechnice Warszawskiej.

Było w jego głosie coś takiego, że nie namyślając się ani sekundy, chwyciłem pudło i



niemal pobiegłem do gabinetu badania czynności mózgu. Założyłem mu elektrody wokół głowy, uruchomiłem maszynę i zacząłem regulować światło i ostrość fali na ekranie...

Tu Prokasz przerwał, starał się uśmiechnąć do prokuratora i rzekł:

— ...przepraszam, zapomniałem, nie życzy pan sobie szczegółów, więc...

Lorek — o dziwo — energicznie i pośpiesznie zaprzeczył.

— Ależ nie szkodzi, nic nie szkodzi, proszę bardzo, niech pan ciągnie dalej, to ogromnie interesujące, niech pan mówi tak, jak pan chce i... i... i proszę o wyjaśnienie, o co tu właściwie chodzi i co to jest ten encefalograf.

Prokasz zgodził się kiwnięciem głowy.

— Ja domyśliłem się, proszę państwa, od razu, co mianowicie Traga chce sprawdzić, i gdy manipulowałem przy gałkach ekranu, byłem ogromnie podniecony. Otóż to, że w korze mózgowej powstają samoistne prądy elektryczne, wiemy od lat kilkudziesięciu. Jednymi z pierwszych badaczy, panie prokuratorze, byli polscy uczeni: Beck i Cybulski. Chodzi o to, że te prądy są rytmiczne i towarzyszą pracy mózgu; można je więc oglądać na ekranie w formie płynących fal lub na wykresie w formie linii elektroencefalograficznych. Nazywamy je w skrócie — EEG. Zmieniają się one nawet, gdy zamykamy i otwieramy oczy, zmieniają się, gdy intensywnie myślimy, gdy zapadamy w sen, gdy przerazimy się lub ucieszymy, słowem — towarzyszą naszym zmianom psychicznym i myślowym. Ostatnio mamy nawet próby segregacji typów ludzkich według kształtu poszczególnych rytmów w ich mózgach.

Jednak wiele lat upłynęło, zanim nauka zdołała przewyciężyć trudności techniczne i zbudować przyrząd tak precyzyjny i czuły, aby zdołał zanotować czy pokazać, przez zwykłe przyłożenie elektrod do powierzchni czaszki, te niesłychanie słabe prądy, pod nią przebiegające. Wystarczy, jeśli powiem, że wzmacniacze katodowe naszego aparatu potęgują ich napięcie dziesięć milionów razy. Otóż przekręciłem kontakt, uruchomiłem aparat i spojrzałem na ekran. Ukazała się nierówna linia, zacząłem nastawiać na ostrość. Wiecie, panowie, że my — orientujący się w tych zagadnieniach — przyzwyczajeni jesteśmy do charakterystycznego wyglądu poszczególnych fal; nie zdziwcie się zatem, gdy powiem wam, że wyczekiwałem na ukazanie się fali alfa i szybciej drgającej fali beta. Jakoż istotnie zarysowała się fala drgająca dziesięć razy na sekundę, ale jakże gwałtowna, jakże odkształcona!

Kazałem zamknąć mu oczy i o niczym nie myśleć. Gdzie tam! Zamiast oczekiwanego zmniejszenia, ten sam stan gwałtowności. Zdumiałem się. Muszę tu powiedzieć, że prądy czynnościowe mózgu mają pewne podobieństwo do odcisków palców, mianowicie, że są indywidualne; tak jak poznajemy ludzi po ich odciskach palców, a nawet założyliśmy w tym celu kartoteki milicyjne, a czasem używamy ich zamiast fotografii do paszportów i dokumentów, tak i fale mózgowe, zwłaszcza alfa, charakteryzują ludzi, i to tak dalece, że nie ma dwóch osobników na świecie z identycznym rytmem alfa; są one różne nawet u bliźniaków. Rytm ten pozostaje właściwie niezmienny przez całe życie.

Tu zaś ujrzałem coś okropnego, rytm dziwny, zdegenerowany, spazmatyczny, jakiego nigdy w życiu nie obserwowałem. Tknęła mnie zła myśl, nastawiłem odpowiednio elektrody, aby otrzymać obraz ze środkowej części mózgu i spojrzałem na ekran. Jest! Miałem przed oczami rytm theta...

Prokurator Lorek poruszył się niespokojnie i przerwał.

— Panie doktorze, ale co to znaczy, jak mam to komentować, dlaczego wspomniane przez pana zjawiska miały być dziwne czy nawet straszne?

Prokasz mrugnął powiekami, ścisnął mocniej dłonie.

— Hm... w dwóch zdaniach można by to ująć następująco. Z jednej strony — prądy czynnościowe w mózgu są u wszystkich ludzi jednakowe, z drugiej jednakże, jeśli się uważniej przypatrzeć, różnią się szczegółami; to jasne, boć i w swojej działalności umysłowej jesteśmy z jednej strony wszyscy do siebie podobni, z drugiej wszakże — wszyscy różni. Dlatego wystarczy jeden rzut oka, by odróżnić na ekranie lub na zapisie fale czynnościowe

człowieka od fal pająka, żaby czy mrówki; dlatego atoli wystarczy także jeden rzut oka, by wyróżnić fale alfa jednego człowieka od fal alfa innego. Jeśli już idzie o te właśnie fale, to mamy wyraźny podział na typy: M, R i P.

Pierwszy myśli wyłącznie obrazowo, wizualnie, decyduje się szybko i dokładnie, gdy problem może rozwiązać oczami; typ P potrafi myśleć abstrakcyjnie lub w terminach dźwięków i ruchów (dlatego u niego fala alfa jest taka sama przy otwartych oczach jak i przy zamkniętych, oczy nie grają roli). Czasem spotyka się u ludzi dorosłych fale theta, normalnie ginące wraz z przejściem z dzieciństwa w dojrzałość. Ten rytm elektryczny, mający siedlisko w środkowej części mózgu, związany jest z uczuciami. Załóżcie dziecku elektrody na głowę i dajcie zabawkę, a potem ją odbierzcie, natychmiast ujrzenie na EEG wzrost aktywności rytmu theta.

U ludzi dorosłych, lecz z charakterem agresywnym, wybuchowym, zwłaszcza u psychopatyków, rytm ten nie tylko istnieje, ale nawet dominuje nad wielkim obszarem mózgu. Są to istoty o dziecinnej niecierpliwości, nie tolerancyjni, egoiści, złościcy, gwałtownicy, czasem zbrodniarze.

Cała ta wiedza jest jeszcze młoda i stawia dopiero pierwsze kroki; cóż? upływa zaledwie dwadzieścia lat od odkrycia prądów mózgowych, ale jest fascynująca i — jak sądzę — na tropie wielkich rzeczy. No, tak by wyglądało w kilku zdaniach, a teraz wracam.

Dlaczego przestraszyłem się? Otóż rytmy w mózgu Tragi zostały zdeorganizowane; mógłbym to przypisać co prawda szokowi pooperacyjnemu, ale mam za dobrą wprawę, by popełnić ten błąd. One uległy istotnej zmianie! To było widoczne i wstrząsające zarazem.

Nie miałem czasu zastanowić się nad głębokimi przyczynami tego zjawiska, wszakże nie było wątpliwości, iż głównym powodem stało się odcięcie mózgu od ciała, to znaczy, mówiąc energetycznie, odcięcie go od miliona depesz płynących nieustanną falą od ciała, depesz informujących i o tym, co się dzieje w nim, i o tym, co się dzieje na zewnątrz, poza nim. Zapanowało w jego mózgu milczenie; pozostały tylko bodźce płynące z głowy, to co prawda jest dużo, ze względu na oczy i uszy, ale nie wszystko. Mózg stanął wobec nowej, zasadniczo odmiennej sytuacji i zaczął rozstrajać się.

W tym miejscu Prokasz zauważył, że Guran potakuje mu z nietajoną radością; zastanowiło go to: co za licho, dlaczego on się tak cieszy — pomyślał — tak jakby mu to sprawiało osobistą przyjemność?

Prokurator, widząc, że stary lekarz umilkł, popędził go niecierpliwie.

— No, no, panie doktorze, jedziemy dalej, wracaj pan do Tragi. — Poprawił się pośpiesznie na krześle i dygnął przepraszająco połową korpusu przed Helenką, nadal mało przytomną.

Prokasz zbierał rozpierzchłe myśli.

— Więc wracam. Gdy ujrzałem na ekranie owe fale theta, byłem tak zdumiony, że wyrwało mi się:

— Panie rektorze, tu jest coś dziwnego... — Ale zaraz ugryzłem się w język i nie dokończyłem.

Za późno! On... to znaczy jego głowa... ech, chciałem rzec, że usłyszałem słaby, lecz rozkazujący głos.

— Co z rytmem alfa?

Odparłem, choć czułem, że nie powinienem tego mówić:

— Jakoś dziwnie się rozregulował; niech pan zamknie oczy, zaraz sprawdzę i... i... proszę o niczym nie myśleć.

Zamknął. Na ekranie jednak nic się nie zmieniło, a powinno, rytm alfa powinien być silniejszy.

— No co?

— Jakoś bez zmian, nie pojmuję...

— Ale ja pojmuję, niech pan doktor sprawdzi teraz theta.

— Panie rektorze, już widziałem... fale są... jakieś... żeby tak rzec... nieprawidłowe; czy u pana rektora za życia... przepraszam, chciałem powiedzieć — przedtem, to znaczy, gdy miał pan jeszcze ciało, czy robiony był EEG?

— Tak.

— Czy był rytm t h e t a?

— Nie.

— Jak to, na pewno?

— Na pewno.

— A... a jak... jak to tłumaczyć, że teraz...

— Mam w mózgu rytm theta — dokończył Traga lodowatym szeptem.

— Tak, właśnie o to chciałem zapytać.

Długo mi nie odpowiadał. W tym czasie wyłączyłem elektroencefalograf, zdjąłem mu elektrody i sprawdziłem ciśnienie w aparacie sercowo-płucnym, wreszcie usłyszałem, lecz zupełnie co innego.

— Tamte głowy to samo!

W głosie wyczułem więcej lęku niż skargi. Trudno mi było go obserwować, jakkolwiek pudło było dość obszerne, ale udało mi się zobaczyć jego twarz i ujrzałem na niej rozpacz. Miałem uczucia nieco sprzeczne, kolor bowiem jego twarzy nie zmienił się, nie mógł: przecież zamiast serca miał pompę, a ta nie reagowała na zmiany uczuć, a więc i nie pompowała ani mocniej, ani słabiej; nie było mowy o zabarwianiu lub blednięciu policzków. Jednak same rysy ułożyły się w niechybny zygzak nieszczęścia.

Ignorował mnie, tak jakbym nie istniał, kto wie — może zapomniał także i o swoim nieszczęsnym stanie; rozmyślał o czymś z niezwykłą mocą. Wreszcie szepnął:

— One tak samo, one tak samo... a więc wina nie leżała w nich, w ich konstrukcji, w tym, że to były egzemplarze marnych mózgów, a... a... a... nie mogę tego dopuścić do świadomości...

Milczenie.

— ...a jednak mój mózg był lepszy, a też w nim... to samo...

Milczenie.

— ...nie... nie uwierzę, bym się mylił aż tak dalece... przecież dostarczałem wszystkich potrzebnych składników.

I znów zapanowała cisza, tym razem dłuższa.

Wtem rozległ się dziwny szloch, jęk czy coś w tym rodzaju, rzuciłem niespokojne spojrzenie w jego kierunku: oczy miał zamknięte i... i... doprawdy ciekły z nich łzy. Jedna po drugiej, jedna po drugiej. Chyba pierwsze a i ostatnie także — łzy Tragi. Nie wiedziałem, co mam zrobić, chciałem nawet coś powiedzieć, gdy on ubiegł mnie.

— Koniec, tak to nieodwołalnie, i ostatecznie koniec; przegrałem, życie jest innym typem organizacji, niż sądziłem, ciało żyjące nie jest maszyną. Jeśli wdzieramy się weń, jeśli kawałkujemy je, to pozostaje nam nie część życia, ale... śmierć.

Chciał przez to powiedzieć, że natura żyjącego organizmu jest określona nie przez części jego, ale przez całość, przez typ organizacji. Życie jest swoistą całością, a nie sumą części. Poszczególne organy nie są tym samym w izolacji co w organizmie. Popęłnił straszny błąd; nie pojął, że odrzucenie istnienia duszy, czy nawet przeciwstawienie się witalizmowi, nie oznacza *ipso facto* przyjęcie poglądu mechanistycznego.

Teraz obrócił wzrok na mnie, coś w sobie rozważał. Nie przeszkadzałem mu, sądziłem, że zastanawia się teraz nad tym, że i jego głowę czeka los podobny do tamtych, że po trochu będzie się degenerowała, a może nawet i nie po trochu, ale szybko, że mózg jego, nie umierając biologicznie, umrze wszakże funkcjonalnie, przestanie być sprawnym narzędziem, jego narzędziem, rektora Tragi, genialnego uczonego. Ale gdzie tam! Nie znacie go. On myślał już

o zupełnie czymś innym. Był rzeczowym człowiekiem, ogromnie dziwnym człowiekiem, mocnym jak skała... tak...

W tym miejscu Guran najniespodziewaniej przerwał mu.

— Założę się, że wiem, co go teraz interesowało.

Wszyscy odwrócili zaciekawione oczy na redaktora.

— No? — spytał Prokasz.

— Głowa Hugona!

Na obliczu lekarza odmalowało się nieklamane zdumienie.

— Ależ tak, rzeczywiście ma pan rację: spytał, czy głowa Hugona żyje.

— A widzi pan — odparł triumfująco Guran — a widzi pan, szkoda, że nie założyłem się naprawdę o coś konkretnego. To jasne.

Lorek mruknął wściekły:

— Znów jasne? — Machnął ręką z rezygnacją. — Niech tam, ale pozwólmy najpierw skończyć doktorowi Prokaszowi. — A zwracając się doń, dodał: — Proszę bardzo, niech pan mówi dalej.

Ten chrząknął kilka razy, próbując na próżno czystości głosu i podjął dalej.

— Odparłem, że żyje, i spytałem, czy chce ją zobaczyć, że mogę go tam zanieść, to znaczy, do preparatorium, że to załedwie — tłumaczyłem — kilkanaście kroków stąd; ale on nie zgodził się, wyczułem nawet, że sama myśl tego rodzaju sprawiła mu ból; widocznie zrównanie się pod względem kalectwa z Hugonem nie było mu przyjemne.

— Nie — zaprotestował — nie chcę, niech mnie pan zostawi w spokoju.

Potem długo i bacznie obserwował moją twarz; z kolei ja się źle poczułem, bo miałem silne wewnętrzne zastrzeżenia do tych obserwacji; o ile wiem, nic dobrego z nich nie wychodziło; trudno — taką naturę miał rektor Traga. Czekałem.

— Czy pan wie, doktorze, że popełnił pan zbrodnię?

To były jego słowa, tak powiedział, a mnie przeszły ciarki, zrobiło mi się gorzko w ustach i pojąłem, że szykuje się coś wielce dla minie niedobrego, ale spytałem niby to spokojnie, na próżno nadrabiając miną:

— Dlaczego?

— Bo dokonał pan wiwiseksi na człowieku, na mnie; moja głowa jest teraz aktem oskarżenia, a zarazem — tu podniósł głos — świadkiem; będzie pana oskarżała o przestępstwo nie mniejsze niż morderstwo, a kto wie, czy nie po ważniejsze.

Teraz, nie bacząc, kto to mówi, hm... sam arcyautor metody — zrobiłem się od razu mokry, przed oczami zawirowały mi ciemne platy i widać zachwiałem się, bo powiedział:

— Niech pan siada.

Rzeczywiście usiadłem zaraz, ale nawet nie wiedziałem, co robię; czułem tylko jedno: jestem zgubiony, jestem bezpowrotnie zgubiony. Rozpacz chwyciła mnie za gardło, chciałem gdzieś biec, coś krzyknąć, uciekać, coś pomyśleć, ratować się, odwołać to, co się stało; ale niestety to, co się stało, już nie mogło być odwołane. Klamka zapadła. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, a może po prostu dlatego, że odgadł moje myśli, wyrzekł na głos te same identycznie słowa.

— Klamka zapadła, nie ma już dla pana ratunku; ja przed podobnym oskarżeniem szukałem, kilka godzin temu śmierci, ale pan? pan jest za słaby, pan nie potrafiłby tego dokonać. Żal mi pana.

A ja nie bardzo rozumiałem, co on mówi, co się ze mną dzieje, wiedziałem jedynie, że spadło nagle na mnie nieopisane nieszczęście, że mówił prawdę. Nerwy zupełnie zawiodły. Dygotałem cały jak w febrze i nawet nie wstydziłem się tego. Wtedy, jak przez ścianę, jakby z daleka, usłyszałem, jak pociesza mnie.

— No, trudno, nie odrobi pan tego, ale mogę pana uratować.

Gdy do mojej świadomości dotarło słowo „uratować”, uczepliłem się go jak tonący de-

ski. Zacząłem gwałtownie kiwać i potakiwać głową, ale nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa.

— Mogę pana uratować, ale ratunek zależy tylko ode mnie, czy rozumie pan to?

Kiwałem wciąż głową.

— A zatem najprościej będzie, jak mnie pan schowa, mam na myśli moją głowę; jeśli uda się zrobić to dyskretnie, tak, że nikt się nie dowie, wydobędzie się pan z matni. Trzeba będzie poszukać jakiejś głowy zastępczej dla mojego ciała... czy ma pan taką możliwość? czy w Zakładzie macie...

Teraz zrozumiałem, do czego zmierza, skwapliwie przerwałem mu:

— Owszem, to dałoby się zrobić bez zwracania uwagi, trupów mam pod dostatkiem, ale przecież pańska rodzina pozna od razu zamianę...

— Nie mam żadnej rodziny, nie mam nikogo, nikogo też nie będzie na pogrzebie mego ciała, zresztą ważny moment jest przedtem, zanim włożą ciało do trumny, potem, po zamknięciu, wszystko już jedno, jaka głowa leży z jakim ciałem. Najważniejsze, by przy tych wstępnych czynnościach nie było nikogo kto mnie znał... — tu Traga poprawił się. — Kto mnie zna... — znów zawahał się, nie wiedział, jakiego właściwie użyć czasu. — Mniejsza z tym — ciągnął dalej — najważniejsze, czy mnie pan rozumie i czy jest to wykonalne?

— Najzupełniej — przytaknałem, czując, jak niewypowiedziana fala szczęścia zaczyna, choć nieśmiało jeszcze, zalewać moją duszę. — Najzupełniej. Jeśli tak sprawy stoją, to zaraz zadzwonię do zakładu pogrzebowego i dziś jeszcze wszystko załatwię osobiście i bez świadków. Akt sekcji już mam, jest podpisany dwoma nazwiskami, resztę załatwię. Owszem, owszem, panie rektorze, najzupełniej możliwe. Aby tylko zamknąć trumnę.

— Zatem niech doktor przypilnuje wszystkiego: należy zamknąć salę sekcyjną i schować klucz, bo zaraz tu zleci się cały uniwersytet i Akademia Medyczna; załatwić telefonicznie sprawę z Zakładem Pogrzebowym; zachować całkowitą tajemnicę, no i schować mnie, to znaczy, chciałem rzec — moją głowę; proszę więc przygotować dyskretną drogę odwrotu, myślę, że najlepiej przez podwórko; otworzyć więc trzeba drzwi w kostnicy i gdy ściemni się, wyniesie mnie pan do siebie, do swego pokoju. O ile pamiętam, prowadzi pan odludne życie i nikt do pana nie zachodzi, prawda?

— Prawda.

— Zatem wszystko jest do zrobienia, co do mnie, będę milczał, zresztą później ułożymy dalszy plan. Aha, zapomniałem: proszę w aparacie z głową Hugona przekręcić kontakt, oznaczony literą W, jest z lewej strony na tabliczce rozdzielczej, bo inaczej Hugon może umrzeć z uduszenia, już zresztą najwyższy czas uczynić to. No więc, niech już pan idzie i zrobi wszystko, jak mówiłem, a proszę też zamknąć za sobą drzwi na klucz, żeby ktoś niepowołany nie zajrzał i nie złożył mi nieproszonej wizyty.

Wybiegłem z pokoju, byłem w stanie zupełnego otumanienia, pamiętam, że tylko jedna idea świeciła jasno jak słońce: wykonać wszystkie rozkazy, ratować się, jestem przestępcą. Czas był najwyższy, bo ledwie zdążyłem dopełnić tych poleceń, z hallu dobiegł mnie gwar głosów i kroków, koledzy zaczęli się schodzić.

Jak upływały następne godziny, doprawdy nie wiem, wszystko splątało mi się w pamięci w jeden potworny chaos, w jedną mgłę. Czas płynął, a ja opanowałem się nieco. Zaczęli się rozchodzić. Wreszcie znów zostałem sam.

Wraz z nagłą ciszą świat jakby stanął, miałem wrażenie, że dotychczas kręcił się jak jakaś czartowska karuzela. Na sekundę przysiadłem na jakimś krześle, zbierałem siły, potem pobiegłem do swego gabinetu. Znów stanąłem przed obliczem Tragi. Aparat pracował bez zarzutu, z jednostajnym szmerem, napawał szacunkiem i zaufaniem; rzadko kiedy tak było widać zależność życia od czegoś zewnętrznego, stworzonego ręką. Ale muszę dodać, że wraz z przytomnością wrócił mi rozum. On mnie szantażował! Uległem w pierwszej chwili panice; to prawda, że silny charakter nie jest — proszę panów — moją specjalnością, ale bądź co

ładź zaliczam się do ludzi uczciwych, zrozumiałem, że nie mam się czego lękać, i postanowiłem szantaż odeprzeć. Nie czekając więc, wypaliłem mu od razu tak:

— Proszę pana, ja się namyśliłem, ja się nie boję pańskiego szantażu, pan jest szantaży-  
stą, wycofuję się z tego, cośmy ułożyli, proszę traktować to, cośmy mówili, jako rozmowę  
niebyłą... i zaraz zamelduję o wszystkim prokuratorowi Lorkowi. Co pan myśli! Ja nie robi-  
łem żadnych eksperymentów, uczyniłem to, co do mnie należało; zresztą trzeba jeszcze, aby  
pan odpokutował za swoje czyny... Uratowałem pana tak, jak się w więzieniu ratuje samo-  
bójcę, by niezadługo postawić go na szafocie. Ale, prawdę mówiąc, nie spodziewałem się po  
panu aż takiej bezwzględności.

Skończyłem i usiłowałem sprawdzić wrażenie. Niestety — Traga pozostał obojętny, ani  
się uśmiechnął (do czego nie było zresztą powodu), ani zmartwił czy rozzłościł, spytał po  
prostu:

— Czy tak?

— Tak, na pewno tak — potwierdziłem.

— Przewidziałem to, doktorze, ale w każdym razie nie radzę: nikt doktorowi nie uwie-  
rzy.

— Jak to nie uwierzy?

— Nie uwierzy; przecież dokonał pan niedozwolonego eksperymentu...

— ??

— Ponadto skłamał pan teraz wielu osobom, a w każdym razie zataił prawdę...

— ??

— Więc znaczy — postępował pan świadomie i w sposób zorganizowany, z dużym  
natężeniem złej woli...

— To szantaż! To szantaż — krzyczałem co sił. — Mimo wszystko zamelduję, nie  
zawaham się i...

— Nie, doktorze, na pewno pan nie doniesie prokuratorowi, ja to dokładnie przewidzia-  
łem.

— Jak to, co to znaczy?

— Nie powie pan, bo to nic absolutnie nie pomoże.

— Dlaczego?

— Albowiem jest pan dwukrotnym mordercą!

— Ja?

— Tak pan, doktorze.

— Co ja jeszcze zrobiłem, na litość boską?

— Zamordował pan Hugona!

Wtedy pojąłem, ale jeszcze nie uwierzyłem, wybiegłem jak szalony, pędziłem koryta-  
rzem, o mały nie rozbiłem się o drzwi do preparatorium, do dziś mam ogromnego siniaka na  
boku, ręce tak mi latały, że przez chwilę nie mogłem uchwycić klamki. Lecz potem, lecz  
potem, proszę panów, ujrzałem prawdę: Głowa Hugona stała martwa; własnymi rękami za-  
kręciłem życiodajne krążenie... to ten przekłety kontakt z literą W... ale przecież nie wiedzia-  
łem, co robię, sądziłem, że... że... no to przecież zabił go on, ten straszliwy człowiek, Traga;  
to on podstępem doprowadził do śmierci Hugona, by omotać mnie i zatrzasnąć drogę odwro-  
tu, a także — co później zrozumiałem — by zdobyć aparat dla siebie. Ja, ja nic nie orientowa-  
łem się.

Prokasz przycisnął kurczowo do swego łona bananowy szlafrok i zadygotał, zbladł,  
rzadkie włosy, zazwyczaj rozwichrzone, teraz już najzupełniej straciły poczucie ładu, żółte  
plamy wątrobiane uwydatniły się efektownie na tle nieskazitelnej bieli reszty twarzy. Zrobił  
pauzę, potem zaczął głosem o wiele cichszym.

— Poddałem się. Złamał mnie zupełnie. Już na niczym mi nie zależało, nawet na  
życiu... Zostałem mordercą. Wtedy Traga oznajmił mi:

— Nie rozumiem pana. Czego się martwić? Czy chodzi panu o sumienie? Po pierwsze, nie ma takiej rzeczywistości jak sumienie, to wytwór karzełkowatych psychik; po drugie — jeśli nawet ma doktor coś takiego, to przecież nie zabił pan z własnej woli. Jeśli będzie pan głupi, zgubię pana kłamstwem i szantażem; jeśli rozważa zwycięży i będę mógł liczyć na posłuszeństwo, to nie spadną na pana żadne konsekwencje, a i sumienie będzie spokojne. Proponuję dobry interes. Jeśli idzie o moje własne sumienie — biorę rzecz na siebie, nie boję się; ja, doktorze, sumienia nie mam, natura mi go nie dała. A teraz do roboty. Proszę siadać i słuchać.

Odtąd byłem jego bezwolnym narzędziem. Plan jego był taki: gdy tylko ściemni się, przeniosę go do siebie, potem późnym wieczorem lub w nocy wrócę, by jakoś przetransportować aparat pozostały po Hugonie; uważał, że uda mi się tego dokonać, korzystając z małego dwukołowego wózka, stojącego zazwyczaj na dziedzińcu. No i tak dalej, było tam dużo szczegółów, instrukcji, rad i poleceń. Był spokojny i przytomny jak każdy urodzony przestępca w podobnej sytuacji.

Głos Prokasa jeszcze opadł, stał się niższy i wolniejszy, wyzierało z niego zmęczenie, rezygnacja i po prostu — zwykłe nieszczęście.

— No więc zrobiło się wreszcie szaro. Włożyłem płaszcz, zamknąłem pudło i wyszedłem z nim. Korytarz był pusty, Traga miał szczęście, że to była niedziela; wydostałem się przez kostnicę na tył budynku potem wąskim podwórkiem obok muru dotarłem do furtki, nigdzie żywego ducha. No, a na ulicy skręciłem od razu w bok i w ten sposób pierwsza część planu udała się. Pudło ciążyło mi jak grzech śmiertelny, wydawało mi się, że wszyscy się za mną oglądają, wciąż słyszałem, że ktoś za mną biegnie, woła, krzyczy, goni... Już nawet przystawałem dwa razy... koniec... złapali mnie... Lecz to tylko nerwy... przekłete — i słabe moje nerwy. A co spojrzę na to potępięcze pudło i pomyślę... ech, proszę panów, dajmy spokój... i tak nie opiszę, co przeżyłem.

U mnie na schodach jest ciemno, wyczerpany byłem zupełnie, oddychałem szybko i głośno, właściwie nie pojmuję, jak dotarłem do celu, jak ja to przetrzymałem... No, ale przetrzymałem i doszedłem. Tu, to znaczy u mnie w pokoju, odbyła się druga rozmowa; niezwykła historia, doprawdy, lecz opowiem ją potem, bo nie ma związku... dotyczyła pewnego zagadnienia naukowego, i problemu przedłużania życia... mimo wszystko to był człowiek o pomysłach fantastycznych... ale to potem... teraz ciągnę dalej... Cóż mam opowiadać? Aha, właśnie. Szukałem brakujących kart z notatnika Tragi, gdy przyszło wezwanie od pana prokuratora na tę nagłą wizję lokalną w Zakładzie z udziałem nas wszystkich. Zamknąłem starannie drzwi, jeszcze nigdy tak uważnie nie robiłem tego jak wtedy... jak wtedy... tak...

Prokasz w widoczny sposób gonił resztką sił psychicznych; mówił coraz wolniej, a przerwy stawały się coraz dłuższe; z wysiłkiem utrzymywał załamujący się głos i coraz bardziej garbił się. Obecni mogli jasno obserwować rosnącą u niego obawę w miarę zbliżania się opowiadania do punktu najważniejszego i najstraszniejszego: do losu biednego Topolskiego.

— Tak... co mam teraz zeznać dalej? Więc... mamy niedzielę wieczór... tak... To jeszcze nic... najgorsze nastąpiło dnia następnego... Te dwadzieścia cztery godziny sam na sam z głową Tragi, w moim mieszkaniu... były okropne... Bałem się okropnie, nie wychodziłem jednak, stan mój był bliski szaleństwa... nigdy nie odznaczałem się silną wolą, ale wtedy byłem już całkowicie jej pozbawiony, wpadłem w niezrozumiałą zależność od tej potwornej głowy. Nie zdaję sobie zresztą wyraźnie sprawy z owych godzin... to był jakiś sen. Tylko on... tam... ciągle patrzył i patrzył.

Wieczorem przyjechał plutonowy Ogórek. Gdy zapukał, ogromnie się przeraziłem; schowałem pośpiesznie pudło za półkę z książkami. Pojechaliśmy do Zakładu... to był poniedziałek... prawda? godzina ósma wieczorem... Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie, zebraliśmy się, prawda?... Byroń, Lothar, Topolski, panowie obaj, ja... Pan prokurator starał

się dociec przyczyny śmierci głowy Hugona... Potem profesor Lothar zasnął... była przerwa... Rozeszliśmy się...

Prokasz dyszał coraz ciężiej, słowa padały zupełnie wolno, a Lorek, Guran, Stefan i Helena nie śmieli nawet odetchnąć. Zbliżał się finał upadku człowieka słabego, człowieka zgubionego potrzaskiem losu i pułapką zbrodniczej istoty.

— No... więc... była przerwa, potem... to... to... morderstwo... zniknięcie ciała Topolskiego... Wróciłem do domu...

Teraz Prokasz nagle wznosił głowę i rzucił silnym, niemal krzykliwym tonem:

— Ja chciałem wszystko wyznać, ja naprawdę chciałem wszystko napisać do pana prokuratora... postanowiłem to zrobić, gdy wracałem... i na pewno zrobiłbym to...

Prokurator przerwał mu:

— Panie doktorze, za pozwoleniem, o tym powie pan potem, teraz trzeba nam wyjaśnić szczegółowo sam przebieg morderstwa, no i dlaczego pan go dokonał. Proszę, słuchamy.

Zapanowała przygnębiająca cisza, zupełnie jakby nikogo nie było w tym miniaturowym pokoiku. Wszyscy opuścili oczy, nie śmiejąc oglądać jego twarzy. Prokasz siedział z wytrzeszczonymi i nieprzytomnymi oczami, wargi drgały mu nerwowo, puścił nagle szlafrok i wyciągnął obie ręce przed siebie, jakby coś odpychał, jakby usiłował się bronić. Ale milczał.

Lorek powstał i ostro powtórzył rozkaz.

— Nie ma rady, proszę złożyć wyznanie!

Teraz Prokasz powoli, powolutku również powstawał z łóżka, szlafrok, nie podtrzymywany, otworzył się, wyrzała spod niego damska pidżama, błękitna z żółtymi ozdobami, był wcieleniem tragikomedii. Wyprostował swoją chudą postać, zatrząsł cienkimi rękami i wrzasnął raz, potem drugi, potem jeszcze...

— Czyście zwariowali? — Czyście zgłupieli? — Co... co... myślicie, że ja... że to ja zamordowałem Topolskiego? Że ja cokolwiek wiem, co się stało, dlaczego i kto?...

Zaczął śmiać się histerycznie, chwilę stał, potem padł na łóżko, a łzy ciekły mu po wynędzniałych policzkach.

Zdumienie bezgraniczne opanowało zebranych, nie mogli pojąć na razie, co właściwie się stało, co się przekreśliło na tarczy rzeczywistości.

A on płakał i śmiał się.

— Ha, ha, ha... ja mordercą Topolskiego? — Zwariowali! — Tyle wiem co i wy. — Ha, ha, ha... ja jestem Nieznanym Numer Dwa?... Ha, ha, ha, pasuję istotnie do tej roli jak osioł do gry na klawecie. Ha, ha, ha... Ha, ha, ha.

Dostał histerycznego ataku. Trwało to niewypowiedzianie długo. Wreszcie uspokoił się nieco, potoczył wzrokiem po obliczach redaktora i prokuratora, puknął się znacząco w czoło i stęknął.

— Aleście trafili, jak kulą w płot!

Czary przysły. Teraz wszyscy zerwali się równocześnie i równocześnie zaczęli mówić, krzyczeć, perorować, przerywać sobie, chrypieć na siebie, aż wreszcie pięść Lorka huknęła w stół i ucieszyła rosgardiasz. Błyskawicznie narodziła się cisza. Usłyszeli jego tubalny głos.

— Więc pan nie zabił Topolskiego?

— Oczywiście, że nie!

— I nie wie pan, kto to zrobił?

— Oczywiście, że nie!

— I nie ma pan żadnego w tym udziału ani nie potrafi pan dać nam jakichś wskazówek?

— No, jasne, że nie! Doszczętnie zbzikowaliście.



## XVIII

### A WIĘC KTO OSTATECZNIE?

Doktor Józefat stał teraz mocno zirytowany i zdumiony, nieco ubawiony, o wiele więcej zdenerwowany, a łącznie — wytracony z równowagi; na plus nowych okoliczności należy zaliczyć nagły przyływ energii, która doprawdy wygasła już w nim.

Helenka właśnie zawisła mu na szyi.

— Ach, jak to dobrze, ach jak to dobrze — szeptała — byłam już prawie martwa; że też mogłam przypuścić na moment, że wujek jest tym ohydny zbrodniarzem, nigdy sobie tego nie daruję.

Prokasz cmoknął ją pobieżnie w głowę i zachrypiał:

— Głupstwo, moje dziecko, niech się oni wstydzą, takie duże dragale, a takie barany.

Tu dał wymowny znak głową i wyciągniętym palcem w kierunku Lorka i Gurana. Ci zaś trwali nieporuszenie, z otwartymi ustami i ogromnie głupimi minami.

Oblicze prokuratora robiło się powoli acz systematycznie szkarłatne, a fizjonomia redaktora przechodziła przez nadzwyczaj skomplikowane i nieczytelne metamorfozy; ten pierwszy sięgnął wreszcie do głowy, by podrapać się, a ten drugi, nie namyślając się wiele, poszedł w jego ślady. Drapali się teraz zgodnie po ciemieniach, po czym spojrzeli uważnie po sobie.

— Przepraszam, panie doktorze — zaczął Lorek — czy to może nie pan przyczynił się do zniknięcia postumentu-aparatu, wtedy w niedzielę, zaraz po śmierci Hugona?

— Nie, nie ja, panie prokuratorze.

— A czy zechciałby doktor opisać bliżej ten szczegół sprawy? Czy ma pan jakieś wspomnienia, jakieś refleksje?

— Oczywiście. A więc gdy tylko zjawiłem się w Zakładzie, powiadomiono mnie o tym fakcie; czułem się, jakby mnie ktoś zdzielił przez głowę solidnym obuszkim. Co? Zginął aparat! Ten aparat, który ja miałem dziś w nocy sprzątnąć po kryjomu dla głowy Tragi! Nie potrafiłem się zrazu połapać w sytuacji, że ktoś tu działa, ktoś spiskuje, że komuś o coś chodzi... ale o co? Rozmyślałem w wielkim pomieszaniu, ale musiałem zaraz iść do pana prokuratora; lecz i potem nie odrywałem myśli od tego zaskakującego faktu, to znaczy — gdy wracałem do domu.

Muszę tu dodać, iż wstępując na swe ciemne schody, dobrze musiałem się przemóc, by wytrwać w zamiarze wejścia do mieszkania, tak, proszę panów, do własnego mieszkania. Ta głowa... ta myśl, że ona czyha na mnie, że oddycha i planuje pewnie jakieś nowe szantaże... to... to, no, nie silę się na opisanie... Już nawet w pewnym momencie zawróciłem, by od razu jechać do pana prokuratora i wyjaśnić, ale zawstydziłem się, że się boję. Zresztą była późna pora, poza tym postanowiłem zeznanie swoje złożyć na piśmie, ta forma więcej mi odpowiadała niż osobiste wyjaśnienia, których ogromnie się wstydziłem. Przemogłem się: co do licha, Traga jest wszak bezsilny, skazany w tym durnym pudle na moją łaskę i niełaskę. Tak odłożyłem sprawę do dnia następnego, to znaczy do poniedziałku.

Miałem z Tragą rozmowę, na szczęście bardzo krótką, bo gdy tylko zakomunikowałem o ukradzeniu aparatu, wpadł we wściekłość. Był to widok wstrząsający i odrażający. Głowa nieruchoma, symbol absolutnej bezsilności, zdana na gumową pompkę i jeden ruch mej ręki; a tu te fale namiętych wybuchów, które zalewały mu i kurczyły twarz, te piekielne oczy, niby to nieruchome, a przepełnione jadem nienawiści. Później dostrzegłem coś na kształt przerażenia, lecz może mi się zdawało, bo patrzyłem nań ukradkiem i zresztą nie bardzo dokładnie było widać, tkwił przecież w swym pudle.

Wyobraźcie sobie: nie odezwał się, o nic nie spytał, nie wypowiedział żadnego kome-

ntarza. Zorientował się, że jest zgubiony i na tym poprzestał. Pudło „na kapelusze” mogło funkcjonować określony i dość krótki czas, potem czekała go śmierć. Dla mnie osobiście było to wybawieniem; jak zorientowałem się, że nie jestem mu potrzebny, oddaliłem się w przeciwny kąt i oddałem się niewesołym myślom. Nie, proszę panów, ja nie mam z kradzieżą aparatu nic wspólnego.

— A nie miał doktor jakichś podejrzeń, przypuszczeń, nie starał się pan odgadnąć kto to?

Prokasz zastanowił się sekundę i drgnąwszy nagle, odparł:

— Nie, nie, co do mnie — nie, ale przypomniałem sobie teraz, że minąłem się przed chwilą ze ścisłością, Traga powiedział wszakże coś, wyrzekł jedno jedyne słowo, ale... — Tu zatrzymał się i zdania nie dokończył.

— No — przynaglił Lorek.

Prokaszowa twarz wskazywała na wahania, a nawet udręczenie.

— Śmiało, doktorze, bez względu na skutki pan jest zobowiązany do powiedzenia całej prawdy.

— A więc dobrze — mruknął — powiem. Otóż Traga wyrzekł jedno słowo, a było nim — tu odwrócił się do redaktora i dokończył — było nim: Guran!

Wszyscy natychmiast i machinalnie odwrócili oczy, zawisłe dotychczas na ustach starego lekarza, i wlepili je w oblicze redaktora.

— Miałem wtedy wrażenie — wyjaśniał Prokasz — że on uważa, że to redaktor był sprawcą, że... że... on zabrał aparat.

Guran odchylił się nieznacznie do tyłu jak pod niewidzialnym ciosem, wzrok załśnił sekundową paniką.

— To idiotyzm — odparował cios — siedziałem wtedy w domu, zresztą był u mnie pan Pogonowski, tu obecny, może więc zaraz poświadczyć. Czy tak, panie Stefanie?

— Tak, potwierdzam.

Dało się słyszeć westchnienie Helenki, po czym obecni sumowali w głuchej ciszy swe prywatne wrażenia. Lorek znów spytał:

— Panie doktorze, a następnego dnia, po morderstwie Topolskiego, co pan myślał?

— No, w związku z uwagą głowy Tragi podejrzenie moje padło, ma się rozumieć, na pana redaktora. Zwłaszcza... zwłaszcza... musimy pamiętać, że to on właśnie był wtedy na podwórzu... nikt inny tylko Topolski i on... Ja... ja nie chcę tu nic sugerować, mówię tylko, co mi przychodziło na myśl, co musiało przyjść na myśl. Dlatego ogromnie się przeraziłem. Ale — mówiąc prawdę — nie wierzyłem w to, a potem tym bardziej.

— Potem? — zastanowił się Lorek. — Co to znaczy potem? A potem co? Jak mamy to rozumieć?

— Potem, znaczy się, gdy w poniedziałek wróciwszy do siebie, stwierdziłem włamanie i kradzież głowy Tragi, zrozumiałem, że to nie może być on. Pan Guran przecież nie mógł wiedzieć, że dokonałem owej operacji, nie mógł wiedzieć, że trzymam głowę Tragi w domu. Nie, on nie wiedział, a zatem nie on włamał się. Na biurku znalazłem kartkę z groźbą i nakazem milczenia o tym, co się stało. Jakkolwiek wstrząsnęło mną to do reszty, wszakże byłem zadowolony z obrotu sprawy. Było późno, a ja czułem się doszczętnie wyczerpany wypadkami, więc położyłem się na chwilę w ubraniu, ale zasnąłem i spałem do świtu.

Rano — był to wtorek, prawda? — napomknąłem ogólnikowo o wypadku mojej kuzynce i panu Stefanowi, bo byłem z nimi na spacerze. Tego dnia wieczorem zabrałem się do spisania zeznania, co uważałem za swój obowiązek. Czułem zresztą piekące uczucie wstydu, że nie uczyniłem tego od razu, że uległem szantażowi Tragi, a potem groźbie tajemniczego nieznajomego. Niestety, znów nic z tego nie wyszło, tym razem przecież nie z mojej winy, usiłowano mnie podstępnie i łajdacko zgładzić przez otrucie gazem świetlnym.

Potem już wiecie: chorowałem, spałem, pan Pogonowski był łaskaw pilnować nas obo-

je, aby coś się nie stało; tak minęła środa, no i dziś... To chyba wszystko?

Guran kiwnął głową.

— Tak, ja wierzę panu. Mimo że od samego niemal początku przewidywałem udział pana w tej historii — wierzę! Widzę, że sprawa jest skomplikowana i zdołaliśmy na razie rozwiązać zagadki uboczne. Udział Lothara i udział pana doktora zaciemnił wszystko, pogmatwał, namnożył dodatkowych tropów; a pan, w dodatku, zaskoczył nawet samego Nieznanego Numer Dwa; musiał biedak na gwałt szykować wyprawę po głowę Tragi, a potem usiłował zgładzić pana. Hm, ogromnie to wszystko tajemnicze: mogę jeszcze zrozumieć polowanie na głowę Tragi, toć to skarbnica wiedzy, mogę pojąć dlaczego nie sam dokonał operacji, bo po prostu nie miał możliwości, ale dlaczego usiłuje zabić nam pana, tego nie jestem w stanie rozeznaczyć! Czego on się boi? Czy aby pan doktor nie wie jeszcze czegoś, co by mu zaszkodziło? Niech no pan pogrzebie w pamięci!

Prokasz kręcił głową, zaprzeczał; rozłożył szeroko ręce gestem bezsilności, lecz jednocześnie widać było, że się namyśla.

— Nie — mruknął — nie, doprawdy chyba wszystko!

— A jednak? Powód niechybnie jest, nie usiłuje się mordować ludzi bez poważnych powodów.

Doktor zmarszczył czoło, opuścił głowę, oparł brodę na piersiach i myślał. Lecz nic nie wymyślił.

Guran, odczekawszy chwilę, ciągnął dalej:

— Zapewniam, doktorze, że dopóki mogłem, odpychałem od siebie sądy moralne o panu. Raz jeden tylko, raz naprawdę nabrałem przekonania i co do winy, i co do charakteru pańskiego, a to mianowicie wczoraj w nocy, nad grobem ciała Tragi, w momencie, gdy stwierdziłem, że brak mu głowy. Zdało mi się wtedy wszystko jasne i oczywiste. Lecz trwało to niedługo, bo już rozmowa z prokuratorem w drodze powrotnej, w samochodzie, namnożyła tyle wątpliwości rzeczowych, że... że cofnąłem swe sądy i myśli; zostawiłem wszystko do tej oto naszej rozmowy. Obecnie widzę, że nie jest pan owym Nieznanym Numer Dwa. Cieszę się, doprawdy oddycham z ulgą. — Tu wyciągnął rękę, a stary lekarz z zażenowaniem i ukontentowaniem przyjął uścisk dłoni. — Ale, ale, doktorze, czy naprawdę nie domyśla się pan, jakie są powody, dlaczego prześladują pana i kto to może być?

— Nie, nie, powtarzam, że nie i nie pojmuję nic.

— A dlaczego nie próbowano zamachu od razu, tylko najpierw groźbami usiłowano wymusić milczenie?

— Też nie wiem, też nie orientuję się, redaktorze; to wszystko za mądre jest dla mnie. Zresztą kartkę z groźbami napisał ktoś, kogo nie znamy, tak zdaje się stwierdziła ekspertyza grafologiczna. Kto wie, może w ogóle ów Nieznany Numer Dwa jest człowiekiem, o którego istnieniu nie mamy pojęcia. To chyba jest także możliwe?

— Chyba, że jest jasnowidzącym — zgrzytnął wściekle przez zęby redaktor — a ja w magiczne sztuki nie uwierzę.

— A więc kto ostatecznie?

Pytanie padło niespodzianie z ust milczącego dotąd Pogonowskiego.

— Jeśli nie pan doktor Prokasz, jeśli nie profesor Lothar, jeśli nie pan redaktor, bo w to ostatnie przecież żaden inteligentny człowiek nie uwierzy, jeśli nie Topolski, bo biedak nie żyje, to kto wreszcie; pozostał na placu jedynie profesor Byroń.

Lorek wsadził ręce do kieszeni, przechylił się doń i wycedził powolutku:

— Na Byroniu nie ciąży najmniejsze podejrzenie, nie padła na niego nawet mikroskopijna plamka podejrzanego czynu, nic, tylko „wszystko w porządku”. Jeśli kto miał kiedykolwiek lepsze alibi i mocniejsze dowody niewinności niż on, to niech przemieni się natychmiast w stonogę lub karalucha. Równie dobrze można podejrzewać o tę zbrodnię cesarza abisyńskiego. Jedno jest pewne: nie znaleźliśmy najmniejszej nitki, która by prowadziła do

Niezanego Dwa; jeśli nawet posługuje się kimś, to i śladu tego sługusa nie pochwyciliśmy; a i jeden, i drugi muszą przecież do diabła orientować się w rozkładzie Zakładu Medycyny Sądowej, w naszych obyczajach, w naszych zamierzeniach, a nawet w naszych myślach. Tak by przynajmniej wynikało. Niestety, cała historia wyrasta do diabolicznych rozmiarów. Ja, proszę państwa, mam więcej informacji niż wy, no — jestem wszak prokuratorem. I co? Różne miałem podejrzenia, a wszystkie rozchwiały się.

\*

Stefan Pogonowski, wróciwszy do siebie, zapowiedział Weronice, że zabiera się do pracy i nie chce, by mu przeszkadzano; zamknął się w swym pokoju na górze i znów zapanowała — zwykła teraz w tym domu — martwa cisza.

Willa była za duża na te dwie osoby. Puste pokoje tchnęły smutkiem i opuszczeniem, toteż pocziwa Weronika, drepcząc od czasu do czasu po osieroconych przestrzeniach, ścierała kurze z mebli w stylu Księstwa Warszawskiego, z zegarów, w których najniespodziewaniej coś tajemniczego potrafiło zachrobotać lub zaszeleścić, z książek teraz nie czytanych, z foteli nie używanych i z obrazów nie oglądanych, wycierała także nierzadko i swe oczy. Lubiła opowiadać o duchach i o dziejach Grybaldy Egipcjanki i nie było jej miło, gdy zostawała sama, zwłaszcza w odludnym domu, zwłaszcza na jesieni, kiedy wichry w nocy chcą ją połknąć. Martwiła się też młodym Pogonowskim, który po śmierci ojca zmienił się ogromnie; zwłaszcza nie podobało się jej to jego zamykanie się w pokoju na górze.

— Praca i praca — gderała — co to za życie? Od takiej pracy można mózg sobie nadweryżyć... ciągle czyta i czyta, pisze i pisze, jakby nic innego w życiu nie było do roboty; na pewno zachoruje. Ale co też on tak czyta? czemu zamyka się?

Pocziwa Weronika usiłowała już dwa razy pochwycić (uchem choćby) tajemnicę jego pokoju przez dyskretne (podśłuchiwanie na schodach wiodących z hallu na piętro, ale na próżno: głucha cisza nic jej nie wyjaśniała. Inny sposób raz przedsięwzięty: zapukanie i próba natychmiastowego wejścia, pod pozorem omówienia kolacji, także spełzła bez wyniku, bo drzwi były — jak się rzekło — zamknięte, a głos Stefana, sarkający, by mu dać wreszcie spokój, nie był zanadto uprzejmy.

Nic zatem dziwnego, że ciekawość jej wzrastała z dnia na dzień w postępie geometrycznym, a imaginacja, z urodzenia elastyczna i płodna, wpadała po trochu, lecz pewnie w stan podgorączkowej ekscytacji. Dziś też na przykład: wrócił — po nocy spędzonej na pilnowaniu tego starego niedowiarka Józefata Prokaszka i zamiast porozmawiać z nią, przejść się po ogrodzie lub choćby posiedzieć tu na dole, wywindował się jednym pędem na górę, trzask-trzask, zamknął się na klucz i już go nie ma, rozpląnął się... a ona znów sama i opuszczona błąka się po tej pustyni! W ogóle — trzeba nadmienić — wiele spraw nie podobało jej się stanowczo i w coraz wyższym stopniu.

Jako że była kobietą ciekawą, umiała wydobyć wiadomości jej potrzebne choćby z kamienia. Wiedziała zatem, że po śmierci starego Pogonowskiego zaczęły dziać się różne, a ogromnie tajemnicze historie: że znaleziono gdzieś jakieś żyjące głowy, że pan rektor otruł się, że coś gdzieś i komuś zginęło (ale tego punktu dokładnie nie wymiarkowała), że zabito biednego pana Topolskiego, którego przecież tyle razy widziała tu w gościnie, że... no i tak dalej.

Część zresztą wydarzeń nie dziwiła jej zanadto, nie uważała ich za niewytłumaczalne, mogły wydawać się takie tylko ludziom nieroztropnym, lecz kto znał dobrze dzieje św. Grybaldy Egipcjanki, której diabeł ukradł głowę, nie mógł uważać ich za niewytłumaczalne, dziwne lub nadzwyczajne. Nie zdumiewała się więc i ze spokojem i zrozumieniem sytuacji czekała na zakończenie, które zresztą dokładnie przewidziała. W przeświadczeniu tym umocniło ją trafnie przepowiedziane nieszczęście owego dnia, w którym zdemaskowano u nich rektora Trage, oraz trafnie przewidziane ukazanie się Głównego Sprawcy.

Nie ulegało bowiem wątpliwości, iż — tak właśnie jak się spodziewała — ukazał się koniec końców osobiście i on sam. Ten Główny! Był nim, rzecz zrozumiała, diabeł.

Otóż, gdy odwiedziła wczoraj swe znajome kumoszki na Krakowskim Przedmieściu, powierzono jej uszom bardzo ważną tajemnicę. Tak ważną, że aż zdenerwowała się; ostatecznie, diabeł, jakkolwiek niewątpliwie istnieje, ukazuje się tak rzadko, iż może to wywołać pewne wzruszenie serca i zamieszanie umysłu. Dowiedziała się, iż po pierwsze — pani Przerazińska zobaczyła diabła na tyłach kościoła Św. Anny, na łączce biegnącej spadzisto do Mariensztatu; potem wyraźnie dojrzała, jak groził pięścią i znikł z towarzyszeniem słabego trzasku. No i co? W nocy wydarzyło się to coś ze starym doktorem Prokaszem, u którego ona leczyła się na żołądek piętnaście lat temu. Ale nie koniec na tym. Znajoma pani Przerazińskiej, pani Knotkowa, ze swego okna o północy również ujrzała diabła... to był ten sam, bo jak usłyszała, że tamten groził pięścią, przypomniała sobie, że ten też groził, tylko że dwoma od razu. I znikł także, tylko nie z trzaskiem, a z towarzyszeniem siarkowego smrodu. No i co? W nocy okradziono od razu trzy sklepy. A że nie byli to ludzcy złodzieje, to pewne, bo kto z ludzi kradłby podobnie śmieszne rzeczy, zwłaszcza — co, pani Knotkowa zauważyła nie bez słuszności — gdy sklep obok z cenną galanterią dawał lepsze perspektywy zarobkowe.

Takie złośliwości bez obliczenia finansowego czyni tylko diabeł. Zresztą wiadomości zostały automatycznie potwierdzone i z trzeciego źródła, z nowym oczywiście dodatkiem, że diabeł usadowił się w wieży Św. Anny, stojącej obok kościoła i ładnie zdobiącej widok na Wisłę i trasę W-Z, zatem diabeł z upodobaniami estetycznymi. To ostatnie ogromnie spodobało się Weronice: diabeł w Świętej Annie. Nareszcie dzieje się coś naprawdę w tej nudnej Warszawie. Wróciła do domu w stanie podniosłym — obszedłszy przedtem ostrożnie i samą wieżę i ów stok za kościołem — cóż jednak? nie miała dane nic ujrzeć, a teraz — komukolwiek przekazać choćby tych zasłyszanych informacji.

Zrezygnowana, nakręciła zegar stojący w kącie, otworzyła okna, popatrzyła na stary kasztan, rosnący tuż przy ścianie domu, na klomb, zamyśliła się nad sprawami tego i tamtego świata, wreszcie przypomniała sobie, że ryż już się pewnie przypalił — miał być na obiad ryż w sosie grzybowym, zupa selerowa przecierana i kruche ciastka z makiem — więc pobiegła szybko w miarę możliwości i w miarę godności, by zażegnać niebezpieczeństwo.

## XIX

### BYĆ ALBO NIE BYĆ — OTO JEST PYTANIE

Było już dobrze po południu. Słoneczko wrześnie miło przypiekało resztką swych jesiennych sił.

Na oddalonej ławce w Ogrodzie Botanicznym, pod płaczącą wierzwą siedzi oto jakaś samotna postać, wyglądająca nie mniej płaczliwie niż sama wierzba.

Kapelusz odłożony, a właściwie odrzucony niedbale na bok, nogi wyciągnięte przed siebie; niemal leży, oparty plecami o poręcz, z oczami przesuwającymi się bezmyślnie po kolorowych liściach, po pniach i gałęziach lśniących plamami światła.

Lecz czy bezmyślnie? Oczy jego istotnie nie zdradzały zainteresowania, natomiast uwaga tego jegomościa była dziwnie skoncentrowana, a myśli jego ciężkie, ba! posępne.

Stanowił osobliwy kontrast z romantycznym i tchnącym spokojem otoczeniem. Nikogo więcej jakoś w pobliżu nie było. Tkwił samotny, odosobniony od świata podwójnie: zewnątrz i wewnątrz. Pionowe grube bruzdy wyrzyły mu się na czole między brwiami; siwiejące skronie i blada twarz dodawały powagi.

Czy sytuacja jego była równie poważna?

Nie ulega wątpliwości, albowiem był to Leonidas Guran, redaktor „Postępów Wiedzy”, który czując, iż zbliżył się hamletowski moment, pośpieszył w to odludne miejsce, by rozstrzygnąć w sobie pytanie:

Być albo nie być!

Ordynarne zgadywanie nie jest zbytnią sztuką, ale zgadywanie według „wyższej szkoły jazdy” — to już cała filozofia. Ponieważ Guran był filozofem, przynajmniej uważał się za takiego, a miał też i niejaką wprawę w ścisłym myśleniu, rzucił oto do boju, raz jeszcze i ostatni, całą swą armię: 12 000 000 000 komórek mózgowych.

Armia to niebezpieczna, o technice działania wciąż i nadal osnutej mgłą najwyższego sekretu, armia zwyciężająca nasz glob, armia planująca już podbój systemu słonecznego, armia marząca o gwiazdach.

Czas upływał. Słońce wędrowało po łuku niebieskim, liście z delikatnym szelestem wirowały w ciepłym powietrzu, z dala dobiegał mdły pogwar miasta — a on wciąż myślał i myślał. Myślenie jest pracą. Myślenie jest pracą ciężką. Nie poruszył się od dłuższego czasu, a mimo to żyły na czole nabrzmiały, krople potu ukazały się na policzkach, skóra z bladej przemieniała się w coraz bardziej różową, w coraz czerwiejszą.

Czas płynął.

Na koniec Guran pochwycił kapelusz, rzucił błyskawiczne spojrzenie na zegarek, i miał właśnie zamiar puścić się galopem, nawet zrobił już jeden krok naprzód, lecz wstrzymał się i wrzasnął dzikim głosem.

— Eureka!

Echo powtórzyło mu zaraz łagodnie, spokojnie i najzupełniej obojętnie:

— Eureka!

Zrobił więc głęboki i ceremonialny ukłon, jakkolwiek nikogo nie było w promieniu widoczności, lecz to nie szkodzi, zawsze gdy zdarzało mu się krzyknąć to słowo, kłaniał się duchowi Archimedesesa, który — jak wiemy — krzyknął to samo wiele wieków temu, siedząc w wannie. Guran na dodatek jeszcze wrzasnął:

— Wiem wszystko! — Schwycił się za głowę, puścił ją, uniósł w górę rękę ze ściśniętą pięścią. — Wiem, wiem, wszystko! — Leciał już pod górę, wzrok obrócił drugi raz na zegarek. — Może zdązę, może zdązę.

Gdy znalazł się na szczycie pagórka, odsapnął zdrowo, nasadził mocno kapelusz na oczy i teraz naprawdę chyżym galopem pomknął do wyjścia. Potracił jakiegoś młodzieńca, po czym wyrzucił przerażonego foksteriera, który nawinał mu się pod nogi, cwałował już ku Alejom; tu dopiero zmitygował się i przechodząc w umiarkowanego i nie godzącego w honor kłusa, wypatrywał taksówki. Niestety: nie jest to szczególnie pomyślne miejsce do szukania owych pojazdów; zaklął cicho „psiakrew, nie zdązę” i pobiegł do przystanku autobusowego.

W ciągu najbliższych dwóch godzin był niewiarygodnie czynny, przemienił się w wulkan energii: jeździł taksówkami, telefonował, odwiedzał różne miejsca. Wreszcie znalazł się w pobliżu Mariensztatu, na Krakowskim Przedmieściu, obok kościoła Św. Anny. Energia nerwowa utrzymywała go jeszcze w ruchu, aleć każdy mógł od razu wywnioskować, że ledwie trzymał się na nogach. Z nieuchwytnym i niewytłumaczonym napięciem zbliżał się do tego miejsca; szedł niby prosto przed siebie, a jakby obchodził w koło, zupełnie jak pies myśliwski, tropiący zwierzynę.

Posuwał się coraz wolniej. Oczami badał różne szczegóły. Kiwnął głową i mruknął:

— To zupełnie możliwe.

Po czym wyprostował przygarbione plecy i ruszył do schodów, prowadzących bokiem kościoła, w dół na plac mariensztacki; poszukał oczami, widoczne już stąd, okno Prokasza i zadowolony omijał właśnie wieżę Św. Anny od strony; wewnętrznej, to znaczy między nią a kościołem, gdy nagle stanął jak wryty.

Oczy wylazły mu niemal na wierzch. Spozierał przez krótką chwilę, po czym jęknąłszy

— oh, sił już nie mam, popędził z powrotem. Tym razem taksówkę złapał od razu, po drugiej stronie ulicy, przed Klubem Literatów, i krzyknąwszy: „Zakład Medycyny Sądowej na ulicy Oczki”, wskoczył do środka. Po dwudziestu minutach zjawił się z powrotem. Wyciągnął z taksówki jakiegoś przestraszonego człowieka, który — jak się zaraz okazało — był woźnym Zakładu, i niemal popychając go, zaprowadził do owego niby podwóreczka między kościołem, wieżą a schodami biegnącymi w dół, odgrodzonego niską balustradą od spadającego tu zaraz stromo terenu.

Wskazał palcem i spytał:

— Co to jest? Czy poznaje pan?

Woźny skierował głowę we wskazanym kierunku i przyglądał się.

— Nie.

Odpowiedź była krótka i wyraźna. Guran o mało nie zemdlał; mocował się krótko z sobą, za chwilę wszakże mocował się już nie z sobą, lecz z woźnym; chwyciwszy go za kłapy, tarmosił nim i ryczał:

— Kłamiesz, łotrze, kłamiesz, to niemożliwe, musisz to znać...

Woźny zbladł jak trup, zaczął sam trząść się i wyjąkał z niezaprzeczoną odcieniem szczerości:

— Słowo honoru, panie redaktorze, nie znam... ja... ja nawet nie bardzo wiem, o co panu chodzi.

Guran oprzytomniał odrobinę, popatrzył bystro najpierw na woźnego, potem na podwóreczko, wreszcie spytał:

— Gdzie pan patrzy?

— Ano w te skrzynie magistrackie. — Wskazał przy tym palcem na malowniczą grupę skrzyń, taczek, mioteł i stertę piasku.

— Ale to nie tu — zawołał gorączkowo redaktor — wcale nie tu, o tam, z lewej strony, za tymi gratami — co mówiąc, pociągnął nieszczęsnego woźnego w bok. — Czy nie widzi pan, o co mi chodzi, o tam, do diabła, przecież niemożliwe, aby pan nie widział, ślepy też by chyba dostrzegł. No, co? widzi pan? Ach, niech pan nie patrzy na Mariensztat, tu nie o widok chodzi. O, tu bliżej, zaraz przed nosem!

— A tak, rzeczywiście!

— Co pan widzi?

— Wózek.

— Jaki?

— Ano, prawda, to chyba nasz, tak samo wygląda, dwukołowy i... — Nim dokończył, podszedł doń i nachyliwszy się, obejrzał metalowy znaczek przytwierdzony do boku. — Tak, panie redaktorze, to ten sam, ten, co zginął nam w niedzielę, gdy ukradziono aparat rektora Tragi; to na nim ten huncwot wywiózł go i na nim pewnie wywiózł w poniedziałek ciało profesora Topolskiego. O tu jest nasz znak Zakładu Medycyny Sądowej. Wskazał przy tym palcem.

Guran zachwiał się, byłby może nawet upadł, gdyby woźny, spostrzegłszy się w czas, nie podtrzymał go. Z ust redaktora wybiegły te słowa:

— Tak, teraz wszystko dowiedzione; mam szczęście, teraz szybciej dobrnę do celu, może zdążę, może zdążę, mam szczęście, bez tego przypadku byłbym tylko nieco dłużej w niepewności.. ale jeszcze jedno, koniecznie jeszcze...

Pożegnał błyskawicznie woźnego i tyle go było widać; znikł bowiem sprzed zdumionych oczu woźnego niczym duch na scenie, znikł zaś dlatego, że przebierał już szybko nogami o kilkanaście metrów niżej, w dolnej partii schodów. Za sekundę biegł placem i zmierzał wprost do najbliższego sklepu.

Z hukiem i gwałtem otworzywszy drzwi, spytał:

— Czy może okradziono was?

Na twarzach personelu sklepowego odbiło się nie fałszowane zdumienie i zaprzeczenie, nim wszakże zdołali oprzytomnieć, a w każdym razie na długo przed sformułowaniem odpowiedzi, drzwi trzasnęły z powrotem i redaktor pędził do następnego sklepu. Tu to samo się powtórzyło.

— Czy okradziono was?

Zdumienie i konsternacja, huk drzwi i znów oto nowy sklep.

— Czy okradzione was?

Jeszcze raz konsternacja. Wszakże teraz i Guran stracił odrobinę impetu. Fuknął niecierpliwie i obcesowo:

— No, co do licha, dlaczego was nie okradziono, musiano przecież was okraść? Tak powinno być!

Tym razem wszyscy obecni w sklepie zbaranieli na moment, a pewien chudy jegomość uczynił nawet wymowny znak palcem na czole, w postaci szybko kilkakrotnie kręczonego kółka i przy akompaniamencie przeciągłego gwizdnięcia.

Huk drzwi.

Huk następnych drzwi.

— Czy okradziono was? — Redaktor spojrzał błagalnie.

— Tak, owszem, to nas właśnie okradziono, a pan co...

Guran wpadł do środka jak bomba; nie dając kasjerowi dokończyć, chwycił go oburącz za ręce i paplał w uniesieniu:

— Ach, jak się cieszę, jak ogromnie się cieszę, nie ma pan pojęcia. — I potrzasał energicznie jego rękami, właściciel zaś ich, nie mogąc na razie zorientować się, czy to nowy napad, czy przygoda z furiatem, przyjmował zaskakujące go okoliczności z możliwie największym pomieszaniem umysłu i ducha, tylko okrągłe rybie oczy zaokrąglały mu się jeszcze bardziej, a z pulchnego ciała znikwały niewiarygodnie szybko wszystkie zapasy sił witalnych.

— Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę... tak... tak... musiano was okraść... rozumie pan — musiano! Mu-sia-no!

Kasjer rozciągnął usta w płaczliwą kreskę, uniósł nierówno brwi jedną o wiele wyżej od drugiej, zatopił głowę między barki i błagał samego siebie w duchu, by coś nareszcie pojął i zdecydował. Ostatecznie z siłą i szybkością przestraszonego tchórza wyrwał swe potrząsane kończyny i pisnął w niewiarygodnej tonacji:

— Musiano? Owszem! Ale... Proszę... O co chodzi?

Reszta utonęła w kurczowo ściśniętym i zaschniętym gardle. Wkrótce sytuacja wyjaśniła się i rozmawiali o wiele przytomniej.

— Co wam skradziono.

— Ano cztery koce — zaczął kasjer wyliczać na palcach — poduszkę, kołdrę — drań wybrał najlepszą, tę puchową — sztuczkę białego płótna, nożyczki... krzesło...

— Jak to, nożyczki? Krzesło? — zaniepokoił się dziwny przybysz. — Czy jest pan zupełnie pewny?

— Ja mam być niepewny? — oburzył się grubas — ja niepewny? Panie, wieczorem leżały na tej ladzie, a następnego dnia rano ani śladu, przewróciliśmy potem cały sklep do góry nogami, sprawdzając, co nam ukradziono, to co — krzesła i nożyczek nie znaleźlibyśmy? Ukradł je drań, a po co, to już nie moja głowa.

Dziwny gość palnął się w czoło, bąknął jakieś podziękowanie i wyleciał nie czekając na zakończenie relacji. Pobiegł do najbliższego sklepu, a był to okazały trzywystawowy lokal.

— Słuchajcie, musiano was okraść, prawda?

Klienci, których było sporo, i obsługa, wytrąceni zgodnie z normalnego toku wydarzeń, zgodnie też przerwali swe czynności. Potem wszystko powtórzyło się mniej więcej podobnie. Okazało się, że ściągnięto im z wystawy, przez wybicie szyby, dwukilową puszkę z szynką, sześć puszek z groszkiem drobnym, krąg czterokilowy sera szwajcarskiego, osiem butelek



wina węgierskiego, dwa... Ale ciekawego redaktora już nie było, widać nie interesował się szczegółami i upodobaniami gastronomicznymi sprawcy, który plądrował okolicę.

W ten sposób Guran odwiedził jeszcze dwa, a może nawet trzy sklepy, wszędzie wywołując jednaki popłoch swą natarczywością i popędliwością, najbardziej uradowany był atoli z relacji zasuszonego, żółtego i łysego pana magistra ze świecącym nosem, rezydującego w aptece: skradziono im sporo różnych drobiazgów, o których szczegółowo nie mówił, pozostawiając całą żalność dla pięknego kompletu narzędzi chirurgicznych. Wtedy właśnie Guran opadł na miękką ławeczkę, obita skórą i poprosił o szklanekę wody i pięćdziesiąt kropeł walerianowych.

— Wszystko jasne — mrucał czekając na zrealizowanie swojej prośby — absolutnie wszystko.

Mała blondynka, spoglądająca często i z sympatią na niebrzydkiego i interesującego gościa, uwinęła się szybko, znacznie prędzej niż zazwyczaj, i osobiście podała mu zbawcze leki. Chwycił szklanekę drżącą ręką i utkwivszy niewinne źrenice w samarytańskiej blondynce, powiedział wyraźnie, spokojnie, a nawet dobitnie:

— Czy wie pani, że dwa równa się jeden?

Ona otworzyła czerwone usta w niemym zadziwieniu, po czym — wzięwszy to za kokieteryjny żart i chęć dowcipnego wszczęcia rozmowy — ozdobiła buzię ślicznym uśmiechem.

Guran wszakże, pokręciwszy głową, dodał surowo:

— Źle mnie pani zrozumiała: rzeczywiście myślę to, co mówię. Dwa równa się jeden! No i jak mogliśmy rozwiązać tajemnicę. Ale jednak...

Po czym zręcznym ruchem wypił krople i wytrąbił całą szklanekę wody.

\*

Zbliżała się piąta po południu, gdy u Gurana zjawił się wezwany przez niego prokurator Lorek. Redaktor w szlafroku i pantoflach rannych siedział właśnie w swym głębokim, wolteriańskim fotelu i z rozwagą podsycił przygasłe siły, to znaczy pożywił się.

Na małym składanym stoliku, cudzie zręczności dziewiętnastowiecznego rzemieślnika, widać było sałatkę jarzynową, kilka różowych płatków łososia, krążki masła, bułki, wreszcie placek z rodzynkami, ozdobiony smakowitą kruszonką, którą — ukradkiem — wydobywał i wyjadał. Zerwał się na powitanie Lorcka.

— Ogromnie przepraszam, że fatyguję pana do siebie, lecz ja zaiste ciągnąłem ostatkiem sił, doprawdy mało brakowało, a zemdlałbym, zatem raz jeszcze przepraszam...

— Ach, głupstwo, po co się redaktor tłumaczy.

Guran zerknął na prokuratora i zaczął znacząco, przymykając jedno oko: — Będziemy mieli dziś robotę.

Ten nadstawił uszu, lecz dyplomatycznie nic nie odrzekł.

— Będziemy ją mieli, bo nareszcie wiem wszystko!

Teraz Lorek poskrobał się ostrożnie po nosie.

— Ba, kiedy redaktor już raz pochwalił się, że wie wszystko i...

— I co?

— No i nic z tego... wyszedł w kartach tylko Prokasz; a to najwyżej walet; króla zaś atutowego jak nie ma, tak nie ma.

Gurana coś uderzyło w tych słowach, ale wrażenie pozostawił dla siebie.

— Ho, ho, nie tak bardzo się omyliłem, Prokasz był, że tak rzeknę, po drodze i musieliśmy wpaść na niego, ale teraz z tym królem... — Przerwał i zrobił grymas kpiący. — ...ale z tym królem atutowym, to ja pana zadziwię.

— Jak najchętniej, redaktorze, jak najchętniej, zadziwiaj mnie pan, byle zaraz i bez pomyłek.

— Dobrze!

— Jak to? Czyżby?

— Dobrze, otóż mam w garści pańskiego króla atutowego... Mam go, tylko nie wiem, czy prokurator będzie z niego zadowolony.

Lorek złożył obie dłonie na piersiach na krzyż, jakby wskazując na siebie.

— Ja. Ja mam być niezadowolony? Dlaczego?

— Tak mi się zdaje, wszystkiego bowiem prokurator może się spodziewać, nawet trzęsienia ziemi w Warszawie, czego nigdy wszak nie było, prawda? lecz nie tego właśnie króla atutowego, którego mam w garści.

— Czy na pewno?

— Z całą pewnością, bo choć co prawda odkryłem zagadkę na drodze logicznych rozważań, to wszakże, sprawdzając teoretyczną możliwość moich konstrukcji, natknąłem się przypadkiem i na dowód rzeczowy.

— Dowód rzeczowy?

— Tak, na ów wózek dwukołowy.

— Niemożliwe!

— Najzupełniej możliwe: stoi sobie koło kościoła Św. Anny.

Teraz Lorek zdradzał niewątpliwe oznaki podniecenia.

— Ależ jakżeż pan trafił na niego?

— Jak rzekłem — przypadkiem. Lecz niech pan nie sądzi, że w ogóle przypadkiem: nie — jeśli mówię przypadkiem, to znaczy, że nie liczyłem się z tym odkryciem i tak dalece posuniętą nieostrożnością, ale że znalazłem się właśnie na tym miejscu, a nie gdzie indziej, to nie jest przypadek, to prokuratorze — koncepcja!

Słowem czyniąc rozbiór pewnego zadania, wpadłem na pytanie: GDZIE?, gdzie jest ów Nieznany. Odpowiedziałem sobie na pytanie, a potem sprawdziłem kilka faktów dotyczących owej osoby, na koniec chciałem sprawdzić miejsce, nasz plac przyszłego boju, no i tam trafiłem na wózek. Gdyby jednak go nie było i tak ruszylibyśmy dziś na Świętą Annę?

— Świętą Annę? — wyszeptał Lorek.

— Uhu, to jest właśnie to miejsce.

— Dziś?

— Uhu, dziś, chyba o zmroku?

— Ależ on może tymczasem uciec!

— Nie ma obawy, nigdzie nie ucieknie!

— Skąd pan wie, że nie?

— Wiem na pewno.

— Pan czaruje!

— Nie czaruję, bo to bardzo proste. Prawdopodobnie dziś w nocy będzie jeszcze jeden zamach na Prokaszę.

— Co?

Podniecenie prokuratora przedzierzgnęło się w zdenerwowanie.

— Zamach na Prokaszę, o ile umożliwimy go, to znaczy, jeśli doktor wróci na noc do domu. Wczoraj zamachu nie było, bo Prokaszę nie było. Chcę właśnie sprowokować go, a jednocześnie i udaremnić przez wtargnięcie na czas do wieży.

## XX

### ŚWIĘTA ANNA

Zatem zbliżał się finał.

Guran znał już Nieznanego, wiedział, gdzie go szukać i dlaczego. Lecz nie mógł, mimo wszystko, wiedzieć, jakie będzie zakończenie tego wszystkiego, mimo bowiem iż układał plany i zdążał do ściśle określonego celu — przyszłość jest przyszłością i dopóki się nie spełni, jest niepewna, nieokreślona, pełna niespodzianek. Można ją przewidywać, można ją tworzyć, to prawda, lecz nigdy nie jest się pewnym, co dokładnie wyniknie, dopóki nie stanie się rzeczywistością, dokonaniem, to jest przeszłością.

Tego dopiero żadna siła nie zmieni, to skamieniało. Ale przyszłość?

Popatrzmy więc, jak się rozwinęła, co zostało przewidziane, a co nie przewidziane, co ułożone, a co się stało.

O godzinie dziesiątej wieczorem rozpoczęła się akcja. Zamierzali zacząć wcześniej, lecz drobne przeszkody opóźniły ją o pół godziny. Wieża Św. Anny i kościół obserwowane były od strony Starego Miasta, od ulicy Miodowej i Krakowskiego Przedmieścia; także oczywiście ustawiono nie rzucające się w oczy posterunki na schodach, prowadzących do trasy W-Z, i wzdłuż muru odgradzającego kościół od niżej leżącego Mariensztatu.

Słowem, teren otoczony był czujnym a niewidocznym żywym pierścieniem.

Główne siły w postaci Kowalika i Ogórka ukryte były w domu Klubu Literatów, który miał szczęśliwe położenie, bo akurat na wprost wieży, tylko skok przez ulicę; dlatego obrany został przez Lorka za coś w rodzaju kwatery głównej ataku. W sali kominkowej siedzieli właśnie Lorek, Guran i Stefan z Heleną; ci ostatni wcisnęli się niemal na siłę, bo prokurator początkowo nierad był ich udziałowi, lecz ustąpił pod naciskiem ich ciekawości, no i — czarującego uśmiechu Heleny, która posiadała wiedzę, kiedy, jak i do kogo należy się uśmiechać.

Posępny, ogromny i czarny sierżant Kowalik dawał baczenie na wieżę: obserwował ją przez uchylone okno; miał za zadanie alarmować ich, gdyby ktokolwiek wychodził z niej lub wchodził do niej.

Plutonowy Ogórek tkwił przy telefonie, albowiem miały nadejść ostatnie informacje od Krogulczego Nosa, w związku z wyjaśnieniami, które Guran złożył u siebie prokuratorowi.

Lorek był zły, że rozpoczęto nie według planu, zbyt późno jego zdaniem, i zdążył już nawymyślać, komu należało; teraz zaś spoglądał ma zegarek i przebiegał w myślach raz jeszcze szczegóły akcji. Sam atak wyznaczony był na godzinę jedenastą. Wcześniej nie należało tego czynić, bo trudno było przewidzieć, co mogło wyniknąć, a w tym miejscu przecież panował wielki ruch i do godziny dziesiątej schodami wędruje fala ludzi, zdążających do licznych linii tramwajowych i autobusowych kursujących po trasie W-Z. Jak na złość, schody te zaczynały się dokładnie u stóp wieży.

Ponieważ była dopiero dziesiąta, musieli uzbroić się w cierpliwość.

Siedzieli razem przy okrągłym stole, stojącym pośrodku sali, niedaleko kominka: Helena i Stefan po jednej stronie, Guran i Lorek po drugiej.

Nikogo więcej na szczęście nie było, jako że o tej późnej porze literaci nie zwykli byli przesiadywać w swoim klubie. Kuchnia była przecież zamknięta!

Upłynęło pół godziny. O godzinie dziesiątej trzydzieści otrzymali meldunek, że wszystko ciągle w porządku, nikt nie usiłował dostać się ani wydostać, a wieża milczy; ludzi na ulicy i na placu już nie tak dużo.

Ogórek pilnował telefonu, a Kowalik nie odrywał oczu od swego celu; wpatrywał się zaś tak intensywnie i pilnie, że oczy coraz częściej zachodziły mu mgłą i zmuszony był je przecierać chusteczką. Dziesięć minut później dostali wiadomość — telefonicznie — że klucz

od bramy do wieży jest niepotrzebny, że nie przysłali go; zamek w bramie jest zepsuty od tygodnia, wystarczy nacisnąć klamkę.

Na pięć minut przed godziną jedenastą zapłonęły światła w oknach doktora Prokaszka. Tak było umówione i wykonał polecenie skrupulatnie.

Helenka czuła od pewnego czasu łaskotanie zębów, co stanowiło niechybną oznakę tremy; Stefan coś bez przerwy rozmyślał, coś w sobie kalkulował, ważył.

Prokurator wydał polecenie plutonowemu Ogórkowi; ten wyszedł, widzieli go przez okna, jak wolniutko przeszedł przez ulicę i znikł gdzieś. Po dwóch lub trzech minutach bystre oczy Kowalika dostrzegły zacieśnianie się pierścienia ludzi; tu i tam, niby przypadkowo, pojedynczo i po dwóch zbliżali się, stawali, rozmawiali... Szef wyprawy, który teraz przypominał purpurową piwonie, oznajmił ostro:

— No, proszę państwa, czas na nas, będziemy się po trochu wybierać, wstajemy. — Poderwali się. — Ja z panem redaktorem idę w pierwszej parze. Potem, gdy znajdziemy się już przed wieżą, ruszy stąd Kowalik, co zaś do państwa — tu zwrócił się do młodych — raz jeszcze powtarzam: zaczekacie dopóty, dopóki nie ujrzycie światła w wieży, pamiętajcie: na drugim piętrze, w tych oknach z drewnianymi żaluzjami, doskonale je stąd widać. Ani minuty prędszej. Czynień za to odpowiedzialnym pana, panie Stefanie.

— Dobrze, zastosujemy się.

— I to, o ile nie wypadną jakieś gwałtowne sceny, prawda?

— Dobrze, prokuratorze; przecież Heleny wtedy nie puszczyć, to jasne.

— A zatem ruszamy.

Lorek sprężył się, Guran opieszale i z bladeścią lic — przesunęli się obok kominka i zniknęli.

Plac Zamkowy topił się w półmrokach, ale kościół Św. Anny rysował się doskonale na tle nieba i mrowia światełek, rozciągających się dołem aż za Wisłę, światełek prawobrzeżnej Warszawy. Wieża o kilkanaście metrów na lewo od kościoła odcinała się od tła jeszcze doskonalej, dzięki swym surowym, kwadratowym, ciężkim kształtom.

Sponad dachów Krakowskiego Przedmieścia wyjrzał właśnie księżyc, jeszcze koloru moreli i olbrzymi: zaświecił im sekundę w oczy i skrył się raptem w gęstą chmurę. Zamknęli za sobą wielkie i ciężkie drzwi klubu, poczęli iść nie spuszczać z oczu przygniatającego obrazu wielkiej wieży. Kroki ich klaskały po sąsiednich domach, odbiły się raz czy dwa echem od masywu Św. Anny, a potem ucichły: znajdowali się już po tamtej stronie, minęli balustradę zwisającą nad trasą W-Z i dali nurka w cień. Dokładnie w tym samym momencie pierścień ludzi zamknął się wokół niej, tak że o ucieczce nie było mowy. Lorek zbliżył się do drzwi, położył rękę na klamce, obejrzał się jeszcze wokół, czy wszyscy są na miejscach, przejechał oczami przelotnie i mimochodem po wózku, sterczącym na uboczu, i pchnął:

Otwarty się cicho i bez zgrzytu, ukazując czarną czeluść. Wionął nań zimny i wilgotny dech miejsc nie zamieszkałych. Cisza była zupełna, nic nie znamionowało, by za chwilę miało się coś stać.

Guranowi przebiegła przez głowę myśl, że wieża ta wygląda teraz jak ponura forteca, świadoma zbliżającego się wroga, widząca go i czekająca nań drapieżnie, milcząca, napełniona niewybuchłymi aż do ostatniej chwili salwami. Skrzywił wargi w wiedzącym uśmiechu: ta forteca nie będzie się bronić.

Rozległ się przeraźliwy gwizd i dwie postacie runęły do środka. Uderzył w nich skowyt drewnianych, starych schodów, błysnęły latarki milicyjne. Za Kowalikiem i Ogórkami skończył Lorek w towarzystwie Gurana, za nimi jeszcze jeden cień.

Przebierali teraz szybko stopami, wwiercali się spiralnie we wnętrza starej wieży, rzutami latarek rozjaśniali przestrzeń nad sobą, wbiegali co sił, dysząc, sapiąc, zamiatając prędkim wzrokiem wszystkie wynurzające się zakamarki, nad słuchując spodziewanych głosów i pędząc w górę. Dobięgli do pierwszego piętra.

— Nic.

Ktoś zaklął, ktoś inny potknął się o coś; odczuli zawód, niepewność i sto innych wrażeń.

— W górę!

— Szybko!

Znów pędzili, gęściej jednak siejąc światłami i dotykając nimi, niby ostrymi lancami, wszystkich zakamarków.

Wtem cisza wieży została zmacona. Nie, nie ich hałasem, tego nie słyszeli, jakby ogłuchli nań, lecz dźwiękiem obcym. Przybiegł do nich z góry, tam z drugiej kondygnacji; delikatny, lecz elektryzujący.

Zatrzymali się na ułamek sekundy, w pół kroku, jakby ich nagle pochłonęła wieczność lub przemienili się w kamienne figury.

I oto skoczyli po ostatnich stopniach wijących się nad nimi.

W czyjejs dłoni błysnął pistolet, obok zalśniły dziko otwarte oczy, skądś dobiegło krótkie sapnięcie. Kupą wpadli na drewniane przepierzenie, oddzielające jakąś część przestrzeni od schodów. Był w nim otwór bez drzwi, a za nim kompletna ciemność.

Lorek pierwszy przesadził wielką belkę, która niczym próg olbrzymów oddzielała ich od celu, i znikł wewnątrz, za nim poszedł Guran i reszta.

Światła ich latarek zataczały szalone i nerwowe koła, wprawiając izbę w obłądny wir. Było zupełnie ciemno, bo skąpe światło księżycy, przedzierające się z trudem przez gęste żaluzje okien, nie tylko nic nie rozjaśniało, lecz przeciwnie, gubiło beznadziejnie, siekając wszystko na kawałki, w pasy ciemne i białe.

— Nic! Żadnego odgłosu, żadnego ruchu, żadnego widoku! Pustka!

Teraz błyski latarek zwolniły tempa, chwilę błąkały się tam i sam, mignęły razem w jednym miejscu.

Wtem... Zebrały się pośpiesznie z powrotem w tymże miejscu i zamarły. Utworzyły świetliste jajo, żarzące się jasno w środku, blednące na obwodzie.

A w nim...

Na krześle siedział jakiś człowiek. Wokół nic nie było widać: ani stołu, ani żadnego mebla, nic tylko owo krzesło, samotne i jedyne, a na nim człowiek w ciemnym garniturze, z szyją omotaną szalikiem. Siedział nieruchomo, z rękami złożonymi symetrycznie na kolanach, z oczami zamkniętymi, spokojnie, majestatycznie, obojętnie, jak trup lub jak bóstwo Inkasów.

Zdrętwieli, uczuli lodowaty, okrutny chłód w plecach; wrosli w deski, zatamowali wzburzone oddechy, wlepili całe swe dusze w ten tajemniczy stwór fosforyzujący odbitym światłem. Czuli, że coś należało uczynić, coś rzec, zaraz, natychmiast, bo zbikują, ale cisza panowała niezmacona, jak na dnie przedwiecznego oceanu.

Tak to trup, to mumia, już tylko kształt nieruchomy! Nie! Niepodobna! Ta twarz surowa i...

Nagle, co to? W kręgu zimnego żaru, w samym jego jądrze, tam, gdzie widniała głowa, poruszyło się coś. Człowiek otworzył oczy. Nie, nie był trupem; to człowiek żywy choć nie-ludzko obojętny lub ciężko chory.

Otworzył oczy. Patrzył wprost w nich i dostrzegał ich. Rozległ się krzyk niewiarygodnego zdumienia, krzyk piskliwy, kobiecy, głos sierżanta Kowalika.

— Traga!

Tak, to był on we własnej osobie.

— Traga — powtórzył, jak echo, plutonowy Ogórek i wyciągnął szyję w jego kierunku.

— Traga — zawtórował głębokim basem sierżant Kowalik.

— Tak, Traga — rozległ się głos Gurana. Wystąpił z gromadki i uczyniwszy dwa kroki, ukazał się w półświatle naprzeciw siedzącego, zmierzył go wzrokiem i powiedział powoli a

dobitnie: — Czy poznaje mnie pan?

Głos jego rozległ się przejmująco i huczaco w tej pustej, obszernej wieży.

Traga podniósł powoli rękę, jakby pragnąc się zasłonić przed czymś okropnym, przed piorunem, bijącym nagle z czystego nieba, lecz opadła zaraz, jakby nim właśnie rażona. Usłyszeli w ciszy tętniącej niesłychanym napięciem i przerażeniem szept:

— Guran? Pan? Jak pan tu trafił?

— Schodami, prosto w górę.

— Guran?

— Uhu, ja sam.

Traga znów podniósł rękę, objął dłonią twarz, zasłonił oczy, trwał tak trochę, po czym oderwał ją, spojrzął na nią, jakby szukał wspomnień, lecz siedział nadal, dumny, spokojny, nieporuszony, niesamowity. A jednak dosłyszeli cichy jęk, usta poruszyły mu się skargą.

— Co to wszystko znaczy? Jakim sposobem?

W tej chwili za ich plecami rozległy się trzaski i skrzypienia, nim zorientowali się dobrze, instynkt kazał im oderwać swe latarki od Tragi i przenieść ich światła za siebie na otwór wejściowy. Ukazała się w nich Helena i Stefan. Byli tak przejęci tym, co widzieli, bo przed chwilą już z daleka poznali Tragę, że nogi odmówiły im posłuszeństwa i widać nie mogli przekroczyć belki. A może nie chcieli?

— Jak to? Traga żyje?

To były słowa Landowskiej.

Pogonowski zaś wpatrywał się badawczo w Gurana. Ale reszta już nie czekała, odwróciła z powrotem promienie latarki i znów wyłoniła się z nicości figura i twarz Tragi, i znów zalśniły czarne jego oczy, hipnotyzujące ich, zbitych w gromadkę i niepewnych niby szczury zapędzone do rogu.

Lecz szok mijał, sceneria i dziwaczność ustępowały zwykłej, ale najtrwalszej rzeczywistości — prawdzie. Traga żył i znaleźli go. Było to co prawda nie do pojęcia, zaraz też rozległy się chaotyczne, wybuchowe, krzyżujące się pomruki i tłumione wykrzykniki.

— Ależ doktor Prokasz zeznał, że odciął mu głowę!

— A w grobie nie było głowy Tragi.

— Asystent Barchan podpisał akt sekcji!

— Wszystko się pokręciło!

— Zauważcie tylko, jak on na nas patrzy, mrowie łązi mi po krzyżu!

— Cicho!

— Cisza!

— On na pewno nie jest przytomny!

— Mówię wam...

Lorek, w ślad za Guranem, wysunął się naprzód w krąg światła i głosy w okamgnieniu umilkły. Wsadził ręce do kieszeni, ruchem powolnym, lecz mimo to gwałtownym; postąpił jeszcze krok, zmierzył się oczami z Tragą.

— W imieniu prawa aresztuję pana za popełnione zbrodnie. Mam nadzieję, że rozumie pan rozmiar zła wyrządzonego i...

Traga zacisnął pięść i nie odwracając oczu od Gurana, szepnął jeszcze raz, zupełnie jakby nie słyszał prokuratora.

— Co to znaczy?

Potem przeniósł wzrok na Lorka, obserwował go intensywnie i znów dobiegł ich szept powolny i chropowaty.

— Pogardzam prawem i wami, pogardzam ludzkością, pogardzam waszymi uczuciami i moralnością, pogardzam... Ja stoję poza dobrem i złem... A wy... wy... karły... półidioci... — Szept udusił się w jakimś straszliwym bulgocie.

Pozostały oczy. Tylko oczy, okrągłe nieruchome, jakby bez powiek. Oczy węża. Czy

myślicie, że pełne rozpaczy? Nie! Gad nie rozpacza, zimno nie roznieca gorących uczuć.

Oczy pełne syczącej, cichej i bezsilnej wściekłości patrzyły teraz w pustą przestrzeń, zawiedzione i już prawie martwe. Czerń ich, taka zawsze paląca, matowiała, jak matowieje stary obraz, z którego schodzi błyszczący werniks. Czy może żałowały przegranej?

Nie! Wiedziały o klęsce, lecz żałowały czego innego: niedokonanego zła; żałowały, że wymyka się możliwość szkodenia, zdradzania, zabijania, poniżania, męczenia innych istot, ciągle innych, zawsze innych... Oczy węża, okrągłe, nieruchome i bez powiek.

Albowiem to już nie były oczy byłego rektora Tragi, to były oczy straszliwego kaleki, oczy głowy bez ciała! Traga chciał zaprzeczyć naturze, nie chciał iść w zgodzie z nią, lecz przeciw niej. Zapomniał, że człowiek jest całością organiczną i skończoną, że czuje i myśli nie tylko głową, lecz całym sobą, całym ciałem. To już był nie ten dawny Traga, również zły, okrutny, nieludzki prawie, ale w jakiś tam sposób jeszcze przecie ludzki, mądry, sensowny. To był już teraz tylko myślący polip, znajdujący podniętę życia w czynieniu zła. Potwór!

Żałował niedokonanych przestępstw, tak jak umierający skąpiec żałuje złota, którego nie zdołał uciuć. Potoczył tymi okropnymi oczami i zahaczył o prokuratora i o redaktora, stojących ramię w ramię naprzeciw niego.

— ...karły, motłoch... pogardzam...

Pogonowski nie wytrzymał. Podeszedł spokojnie, ale zdecydowanie, nim ktokolwiek się zorientował, podniósł rękę, swą rękę siłacza, i wyciął mu straszliwy policzek.

Nim echo zabrzmiało, wszyscy obecni zdrętwieli, oto głowa Tragi podskoczyła do góry i frunęła w powietrze, łukiem zatoczyła się i zniknęła w mroku. Sekunda... Usłyszeli stuk...

Cisza.

Z gardła Heleny wydobyło się westchnienie długie i bliskie łkania.

Kadłub bez głowy siedział nadal spokojnie, z rękami złożonymi symetrycznie na kolanach i... I oddychał miarowo, rytmicznie, spokojnie, głęboko, bez podniecenia i nieustannie. Szalik, omotany na kształt kołnierza, pozostał na szyi. Przesunęli światła nieco do tyłu. Tam stał aparat — postument, a od niego biegły do ciała dwa przewody; w światłach latarek mieniły się i fosforyzowały tablice, kontakty, wskaźniki.

A obok stał drugi aparat, owo „pudło na kapelusze”, z nim połączona była przed chwilą głowa; rury gumowe zwisały teraz z brzegów pudła i walały się na deskach podłogi.

Zrozumieli, że usiłowano połączyć organicznie głowę Tragi z obcym ciałem. Jeszcze jeden eksperyment! Lecz teraz rodzi się pytanie: czyj?

Stefan szepnął:

— Czyj eksperyment? Kto go przeprowadzał na Tradze?

Guran odparł:

— Oczywiście ten, który wykradł aparat, ten, który zamordował Topolskiego i ukradł jego ciało, ten, który ukradł Prokaszowi głowę Tragi, ten, który urządził w wieży Św. Anny to, co oczy wasze oglądają: głowę Tragi, a ciało Topolskiego.

— Ale kto to jest?

Jakiś głos spytał szeptem:

— Czyżby profesor Byroń?

Nie było czasu na razie na zastanawianie się. Wszyscy pomyśleli to samo: oto można by ratować głowę Tragi. Lecz nikt nie kiwnął nawet palcem.

Tam w ciemności leżała jeszcze do uratowania, a sekundy i minuty płynęły; jedna minuta, dwie... trzy, cztery... jeszcze jest czas, jeszcze aparaty funkcjonują...

Nikt nie ruszył palcem.

Pogonowski spoglądał na zegarek, oni wstrzymywali oddechy, korpus człowieka bez głowy oddychał miarowo, automatycznie, wskazówka dobiegała kresu...

Nie swego kresu, kresu życia Tragi; zbliżał się bowiem moment, gdzie już żadna siła i żadna wiedza nie potrafiłyby go przywołać z powrotem. Minęło! To była druga śmierć Tragi.

Pogonowski sprawdził czas i rzekł zimno:

— Koniec.

Lorek, głęboko i głośno odetchnął, potem odwrócił się do niego z wyrzutem.

— Nie wolno było panu tego czynić.

— Ja też nie chciałem... mimo woli... po prostu chciałem go uderzyć, spoliczkować... był nie do zniesienia... Ja... Ja nie orientowałem się w sytuacji, sądziłem, że on... on jest... cały, że śmierć jego... że chciałem rzec — odcięcie jego głowy było mistyfikacją... No, nie wiedziałem, że stanie się to, co się stało.

— Za mocno pan uderzył — frasował się nadal Lorek — trzeba było lżej, a tak wszedł pan w kompetencje wymiaru sprawiedliwości.

— Żałuję, prokuratorze.

— Hm, no dobrze.

Guran oglądał już aparaty, błyskał szybko promieniami latarki po szczegółach konstrukcji, dotykał lekko kontaktów i rozejrzał się uważnie wokoło.

— Tak, to jasne — mrucał do siebie — to wszystko jasne.

— Niezupełnie! — padł protest Pogonowskiego. — Radzi byśmy znać pana sekrety i znać głównego winowajcę, może zechce redaktor podzielić się z nami swymi wiadomościami i obserwacjami. Dla mnie na przykład wszystko jest najzupełniej niejasne.

— Guran skrzywił twarz, puścił snop światła w nos Pogonowskiego, zagasił, pomyślał trochę i zaczął z innej beczki.

— Niepotrzebnie pan to zrobił, panie asystencie.

— Mówiłem już, że żałuję, że niechcący...

— Owszem, owszem, ale wszakże szkoda, straciliśmy dobre źródło informacji. Ha, trudno, damy sobie radę i bez tego. Co zaś do wyjaśnień, to już obiecałem: dam je jutro. Teraz mogę w kilku tylko zdaniach opisać, co się tu działo, jakkolwiek sami przecież widzicie. Duży aparat utrzymywał przy życiu ciało Topolskiego. Ciało w przeciwieństwie do głowy — można przywrócić do życia nawet w pół godziny po zgonie i dłużej, nie było więc żadnych trudności z przewiezieniem go tu z Zakładu Medycyny Sądowej, podłączeniem aparatu, wzbudzeniem sztucznego krążenia i oddychania, no i słowem — z przywróceniem funkcji życiowych.

Głowa Tragi obsługiwana była drugim, tym mniejszym aparatem. Zrośnięcie się ciała Topolskiego z głową Tragi miało dokonać się sposobem chirurgicznym i za pomocą surowicy plastycznej. Na to trzeba było czterech warunków: czasu, miejsca odpowiedniego, dobrego chirurga i surowicy plastycznej. Nie udało się jednak; częściowo — sądzę — z powodu trudności samego zabiegu, częściowo z nieodpowiednich warunków, głównie jednak z braku dostatecznej ilości surowicy plastycznej, której potężne działanie regeneracyjne i twórcze było czynnikiem podstawowym.

Zrosły się tylko niektóre nerwy, dlatego głowa Tragi nie mogła opanować ciała Topolskiego, nie mogła pochwycić i pokierować jego funkcjami. Jedynie prawa ręka Topolskiego stała mu się posłuszna, reszta była bez pana, bez rozkazodawcy, bez mózgu, bez połączeń, bez możliwości ruchu.

Ta ręka napisała do mnie we wtorek wieczorem list z groźbą; głowa była Tragi, ale ręka Topolskiego. Oto macie tajemnicę, dlaczego dwa równa się jeden: dwa ciała — jeden człowiek. Dlaczego grafolog rozpoznał w liście z groźbami, wysłanym do mnie, charakter Topolskiego. — Teraz pokiwał kilkakrotnie głową, obejrzał się na ciało Topolskiego i dodał: — Widzicie, moi państwo, to ja mogłem teraz tam siedzieć, a głowa moja mogła leżeć w zbyt obszernym, jak na nią grobie; bo mnie właśnie ten los był szykowany. Uratowała mnie pomyłka. — Zasepił się i spoważniał, wzruszył ramionami. — Przypadek!

Teraz zrobił półobrotu i powiódł światłem po mrokach pseudo-izby.

W jednym kącie leżały koce, poduszka, kołdra, w innym poniewierały się otwarte



puszki od konserw i resztki jedzenia.

Kowalik, który odzyskał na dobre swój basowy, przyrodzony timbre głosu, spytał:

— A te tam rzeczy, pościel i żarcie, to niby dla kogo?

— Zaraz się przekonacie.

Guran spytał Lorka wzrokiem, ten przytaknął i zawołał: — Kapral Miecek, kapral Miecek!

Z głębi odezwał się huk głosu, wibrującego potężnym rezonansem potężnego brzucha wieży.

— Jestem.

Zaraz też rozległ się tupot kroków, biegnących po schodach, po czym wyłoniła się postać kaprała,

— Jestem, na rozkaz!

— Proszę przyprowadzić drugą grupę obszukującą wieżę, wraz z...

Kapral wyprężył się i prędko wyjaśnił:

— Kiedy, panie prokuratorze, nikogo nie znaleziono.

— Jak to? — Lorek i Guran poskoczyli do niego. — Jak to, nikogo? — wrzasnęli jeden przez drugiego.

— Melduję posłusznie, nikogo w tej wieży nie ma, ani na dole, ani na górze...

Guran, nie czekając, krzyknął:

— Ratujcie Prokasz, ratujcie Prokasz, szybko, gamonie, ratujcie Prokasz.

Podniósł się ogromny rejwach. Prokurator zaklął i zrobił się fioletowy.

— Psiakrew, a mówiłem, spóźniliśmy się, wyszedł wcześniej, niech to jasna cholera...

Światła znów bezładnie zawirowały w takt pobudzonych nerwów, a i cała gromadka ludzi również roztrzęsła się na ruchliwe fragmenty. Wysypali się pośpiesznie w czeluść schodów, przepychając się wzajem i depcząc po piętach, ktoś nagle zwałił się i potoczył z głuchym stęknięciem, ktoś wrzasnął, inny chrypiał rozkazy.

Za chwilę została tylko wilgoć, cisza, mrok i spokojnie, równo oddychające ciało Topolskiego. Ciało bez głowy.

Wieża Św. Anny.

\*

W tym samym czasie doktor Józefat Prokasz, zgodnie z planem wcześniej ustalonym, czekał w swym pokoju na razie po ciemku i z dala od okna. Miało to ewentualnego obserwatora utwierdzać w mniemaniu, że go jeszcze nie ma i że nie warto wyruszać na niecną robotę.

Bał się trochę, mimo że drzwi dobrze zamknął i kilka razy sprawdzał ich odporność energicznymi szarpnięciami.

— Ba — gderał do siebie — dla mnie to one mocne, ale dla jakiegoś tam łobuza i osiłka *vulgaris naturalis* mogą stanowić trzcinową kotarę, łupnie i po niej, no i po mnie.

Szarpnął zatem jeszcze z całych sił i oburącz acz bez głębszego przekonania. Ani drgnęły. Niedbale machnął dłonią.

— Mniejsza z nimi, w razie czego zacznę krzyczeć.

Oparł się plecami o piec i zaczął wyglądać, poprzez całą szerokość pokoju, na świat i ludzi.

Z tego punktu nie podobna ujrzeć uliczek Mariensztatu, ale świetnie widać wieżę Św. Anny, domy na Placu Zamkowym, stojące — ze względu na tunel — jakby w powietrzu, i wysoką a cienką kolumnę Zygmunta.

Ciemno było zupełnie, tylko miękka poświata księżycowa paliła się zimno na miedzianych dachach, pełgała po załomach kościoła i zaczarowywała drobniejsze przedmioty nadając im kształty fantastyczne.

Dało mu to pobudkę do porzucenia i zapomnienia przykrych wahań odwagi, a skierowało uwagę na weselsze nieco tematy. Jakże? Mniejsza z tym, albowiem — nie wiedząc nawet kiedy — przyłapał się znów na zmartwienie, tym razem innym, bolał mianowicie nad swą rolą przez to głupie i przedsięwzięte bez porozumienia ratowanie Tragi. Nagle przypomniał sobie o obowiązku, zaiste w sam czas, o mało co się nie spóźnił. Zapalił światło i podszedł do okna. Wkrótce zainteresowało go coś w widoku wieży Św. Anny.

Ani chybi, na drugim jej piętrze migają za drewnianymi żaluzjami jakieś światełka. Wyciągnął mocno chudą szyję, by lepiej popatrzeć. Sam wysoki i chudy przedstawiał teraz obraz żyrafy, która ze swej żyrafiej, samotnej wysokości śledzi podejrzone i niebezpieczne zjawiska. Wiedział oczywiście, że tam teraz będą oni, reszta paczki zamieszanej w aferę Nieznanego Dwa, mimo to widok mrugającego okna-oka, dającego jakieś znaki, zaniepokoiły go. Zmiarkował jednocześnie, że dla niego osobiście skończył się okres czekania i niepokoju: ten drab jest już w garści prokuratora i w jeszcze lepszej garści gorylowatego Kowalika.

Zatarł ręce i mruknął do siebie, ale tak, że rozległo się po całym pokoju:

— Dobra nasza.

Przyglądał się jakiś czas jeszcze, potem żwawo, ale bezcelowo krzątał się, potem wymyślił, że najlepiej będzie pójść zobaczyć, co się tam dzieje, kogo tam „przykaraulą”, wreszcie zdecydował, że nie zrobi tego, bo mu zakazali ruszać się z domu, dopóki...

\*

Ze zbocza za kościołem staczał się jakiś cień. Przycupnął pod czerwonym murem i rozglądał się szybko na wszystkie strony.

Ciemności i późna pora sprzyjały zamiarom cienia, więc ruchem małpy chwycił za krawędź muru i wgramoliwszy się na wierzch, poszukał oczami okien Prokasa, po czym skoczył na plac Mariensztacki.

Ruszył ostrożnie, a w ruchach jego dawało się odczuć coś niepokojąco podobnego do małpy. Dostrzeżony został przez oczy pewnej niewiasty, robiącej właśnie porządku na oknie. Wrzasnęła za siebie dzikim głosem:

— Pani Klotkowa, diabeł, diabeł idzie.

Przyjaciółka, rażona wiadomością, najpierw o mało co nie dostała apopleksji, po wtóre nie pojęła dokładnie...

— Nasz diabeł?

— A nasz, nasz, chodź pani prędko.

Cień biegł niepewnie, lecz dość szybko i tylko jego ruch pozwalał dojrzeć go jeszcze z tej odległości.

— Moja pani, nowe będzie nieszczęście.

— Ani chybi, pani Klotkowa, ani chybi.

— A gdzie on się tak śpieszy?

— Pewnie do sklepu.

— A do którego?

— Kto go może wiedzieć, ale psotę zrobi na pewno.

— Patrz pani, znikł, zapadł się.

— Rzeczywiście, ani śladu.

— Pewnie wyszedł z wieży.

Obejrzały się mimo woli i zdębiały, choć w inny — mniej metafizyczny sposób. Schodami, prowadzącymi spod stóp Świętej Anny, biegła bezładnie i w nadzwyczajnym pośpiechu gromada ludzi. Byli dobrze widoczni, przesuwali się bowiem miejscem oświetlonym, więc łatwo dało się ocenić ich wzburzenie.

— Oj, coś niedobrze!

— Patrz pani, ile ludzi gania tam po schodach!

- Właśnie widzę.
- Czy to aby nie za naszym diabłem?
- Bardzo być może, przecież jeśli my go widzimy, to i oni go widzą.
- Pani Klotkowa droga, ja lecę za nimi!
- A ja za panią.
- No to migiem.
- Czekaaj pani, tylko elektryczność zgaszę.

\*

Ktoś raptem zapukał do drzwi delikatnie i krótko. Prokasz nawet nie był pewny, czy się nie przesłyszał.

— Proszę? Kto tam?

Żadnej odpowiedzi.

— Czy kto stukał? Kto tam?

Cisza. Teraz zrobiło mu się cokolwiek zimno, lecz uznał, że przesłyszał się. Ale znów: lekki i śmiesznie krótki stuk we drzwi.

Co do diabła! Zaniepokoił się. Miał, gdyby się przydarzyła ta właśnie sytuacja, nie otwierać, tylko czekać na rozwój wypadków.

Dobrze było mówić i uplanować, gorzej teraz to przetrzymać. Na palcach pobiegł w najdalszy kąt i krzyknął — jak mu się wydawało — ostro:

— Proszę mówić kto. Bo...

\*

Pierwszy pędził Kowalik. Zdziwiająca była szybkość tego kolosa, wszakże i niestety — krótkotrwała. Gdy wpadli w ciemniejsze regiony placu, został nieco w tyle i zauważył, że cała grupa rozstrzeliła się na fragmenty w zależności od szybkożności członków akcji pościgowej.

Tak czy inaczej, nie folgował sobie i przybieżał na miejsce, to jest pod dom Prokasz, ramię w ramię z Ogórkiem. Wpadli do bramy, a zarazem też i w czeluść schodów, uczynili też kilka kroków, gdy zatrzymali się, nad słuchując. Nie było wątpliwości. Dobiegł ich z góry łomot walki, zmagania się dwóch ludzi; zatrzeszczały gwałtownie poręcze, usłyszeli przerażone krzyki Prokasz.

— Ratunku! — Ratunku!

Nie namyślając się, skoczyli wściekle naprzód.

— Prędejj — warknął Kowalik przez zaciśnięte zęby do Ogórka, który wysforował się o dwa stopnie przed niego, — Prędejj!

Z pośpiechu czy może po prostu z przeoczenia nie zaświecili nawet latarek, a szkoda, w sekundę bowiem potem plutonowy fiknął kozła przez coś miękkiego i rozciągnął się oszołomiony pod murem korytarza; Kowalik, widać wiedziony instynktem bojowym, a częściowo błyskawiczną orientacją, uchwycił się oburącz poręczy i zawisł raptem w powietrzu, ale nie przewrócił się. Pod nim gorzała zacięta walka. Kowalikowi błysnęła myśl, że Prokasz właściwie już dawno powinien być martwy, skąd w tym zdechlaku tyle wigoru i życia? Błysnęła jego latarka. Upłynęła sekunda lub dwie, nim oczy przykute zostały do podłogi. Tarzały się tam dwa ciała, spazmatycznie i błyskawicznie... obok dźwigał się powoli plutonowy... Z dołu leciał już hałas wdzierających się ludzi... Plutonowy ukląkł... jakieś drzwi otwarły się z trzaskiem i smuga żółtego światła zalała arenę walki... Sierżant padł na nich całym ciężarem ciała niczym bawół indyjski na tygrysa; błysnęły światła latarki Lorka, sadzącego po kilka stopni na raz... Plutonowy grzmotnął się teraz sam na wierzch wierzgającej kupy ciał.

— Ratunku! — Ratunku!

To Prokasz wrzeszczał bezpiecznie zamknięty w swym pokoju, z uchem przyklepionym

do drzwi, wrzeszczał nie w swojej obronie, lecz w imieniu kogoś napadniętego na korytarzu.  
Kto kogo? Dlaczego?

\*

Na dole, przed kamienicą, czekali Guran i Helena, oddychali oboje bardzo ciężko i mocno ze zmęczenia i — ma się rozumieć — z wrażenia także. Helena nawet wpadła była w sień bramy, lecz redaktor złapał ją za łokieć i zawrócił ze słowami:

— Hola, moja panno! To dla innych robota, zresztą tłok będzie na górze i tak potężny bez naszej tam obecności, więc lepiej zrobimy poczekawszy tu na dole. Zresztą widoki scen, które się tam rozegrają, nie będą zbyt pedagogiczne, zwłaszcza dla kobiety. Odpoczniemy sobie nieco, a oni sami dadzą sobie radę.

— Panie redaktorze — zachnęła się ogniście — tam jest mój wujek, ciapa i niedołęga, a zdaje mi się, że jest w niebezpieczeństwie, więc...

— Spokojnie, spokojnie, przybyliśmy w czas, widziałem go.

— Wujka?

— Nie, tego właśnie, którego tam już capnęli... Przerwał i nadśluchiwał chwilę. — Cicho zrobiło się, więc chyba capnęli... zaraz będę... o czym to ja mówiłem?

— Że go capnęli.

— Tak, racja.

— Ale kogo, redaktorze?

— Ano zobaczycie niedługo.

— Redaktorze, skąd pan to wszystko wie, tak jakby czytał pan z nut.

— Eee, z nut, zaraz z nut... Poza tym z nut również nie tak trudno, należy znać klucz, to i wszystko.

— Zatem, redaktorze, biegnijmy na górę, denerwuję się.

— Cierpliwości, zresztą... już idą.

Jakoż rzeczywiście wzmógł się tupot nóg i niedługo zaczęły wychylać się z bramy zziąjane postacie. Najsamprzód ukazał się plutonowy Ogórek, wstydliwie usiłujący połączyć to, co zostało niedawno rozłączone, mianowicie dwie poły munduru rozdartego na boku od samego dołu aż po pachę.

— Niewąska była haratanina — zauważył słusznie — jakem się wyłożył, myślałem, że fiut! po mnie...

— Macie go? — spytał Guran.

— Owszem, mamy, ale przy okazji niechący oberwał od Kowalika pan Pogonowski.

Ale oto pojawił się i Lorek. Nie zdążył przestawić buta przez próg bramy, a już krzyknął:

— Mamy go. Oberwał potężnie, teraz zemdlął i Prokasz cuci niedosłego swego mordercę. Pani Heleno — zwrócił się specjalnie do niej — wszystko w jak najlepszym porządku, wujek cały i zdrow, choć mocno przestraszony. — Wziął redaktora pod rękę i serdecznie dodał: — Pyszny z pana chłop, daję słowo. Czyta pan w logice wypadków, jak w kartach, czasem wydaje się, jakby pan kręcił katarynkę i melodia tak wyglądała, jak pan zakręci... — Tu odwrócił doń rozradowane purpurowe oblicze i mrugał wielce znacząco jednym okiem. — A o tym najważniejszym to ja sam chętnie jutro posłucham szczegółów. — Puścił Gurana, zatarł ręce, wsadził je do kieszeni, zastanawiał się dalej. — Więc jednak on... ja co prawda również szperałem za nim, ale zmyliły mnie kości. — Redaktorze, morowy z pana facet. — Odwrócił się i skomenderował: — Kapral Miecek, po odstawieniu złapanego do aresztu meldować mi się w Klubie!

— Rozzzkazzz, panie prokuratorze.

— Hola, zaczekajcie — oparła się Helena — ja nie idę, gdzie jest Stefan?

Lorek uśmiechnął się w miarę dyskretnie i rzuciwszy na nią przyjaznym okiem, uspo-

koit:

— Nic mu nie jest, doprowadza do porządku nadszarpniętą garderobę, sam mnie prosił, by panią zabrać, nie chce się w takim stanie pokazywać narzeczonej.

— Właściwie co tam zaszło?

— No, widocznie... a właściwie na pewno pan Pogonowski wpadł pierwszy i pierwszy przydybał go pod drzwiami pani wujka, a że jest nieułomek, o mało nie zabił nam drugiego świadka. Kowalik, po ciemku i nie zorientowany dokumentnie w sytuacji, wpadł na kark pani narzeczonego, no... no i poturbowali się. Nawet bariera złamana, jest już na nic; a gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta, więc On ocalał, choć także w stanie uszkodzonym. To wszystko. Zatem, pani Heleno, maszerujemy, prawda?

Poszli. Kapral Mieciek został przed bramą i liczył brakujące guziki.

— Raz, dwa., trzy... duże... Raz... dwa... trzy... cztery małe... razem siedem... jasny gwint... — Ale raptem przestał liczyć i medytować, bo odkrył, że obie kieszenie od munduru zwisają nieelegancko, wyrwane wraz z podszewką.

Oniemiał.

## XXI

### GONITWA ZA CIENIEM

Był piątek. Dzień następny. Dzień taki sam jak każdy inny z nieskończonej liczby dni od narodzenia naszej planety; a wszakże inny, jak każdy epizod historyczny: niby podobny, a jednak szczegółami różny od poprzednich, można je porównywać lub przeciwstawiać, jak kto woli, lecz nie utożsamiać.

W willi Pogonowskiego czyniono ostatnie przygotowania do konferencji: Weronika wniosła wazon z kwiatami do gabinetu, otworzyła szeroko drzwi prowadzące na taras i zagadnęła sierżanta Kowalika, wygrzewającego się wraz z plutonowym Ogórkiem na ławce.

— A o czym tak panowie zawzięcie gadacie?

— A o powrocie do domu, do naszego Grodziska. Ogórek boi się żony, przyjechaliśmy tu na parę godzin, a oto mija tydzień właśnie, jak ugrzęźliśmy w tej Warszawie; ale dziś już chyba ostateczny będzie koniec.

— Niby z tym diabłem?

— Z jakim diabłem; wstyd doprawdy, już tłumaczyłem, że to nie diabeł i nie diabła sprawa, ale ludzka.

— To się jeszcze pokaże!

— Co się pokaże? Znowu pani zaczyna?

Weronika gwałtownie nachyliła się i szepnęła z przejęciem:

— Zobaczycie, zobaczycie, śniła mi się święta Grybalda Egipcjanka, a jak ona się śni, to nie daj Boże, strach i potępienie, lepiej uciekajcie, póki czas.

— Eee, co też panusia plecie — wmieszał się pojednawczo plutonowy — gdzie mamy uciekać? Kończymy sprawę i jedziemy do domu. A jak złapiemy diabła, to go pani oddamy.

Helena krążyła po ogrodzie, oglądając fachowym okiem rośliny i kręcąc mocno niezadowoloną główką.

— Fujara, a nie ogrodnik tak robił, niech no ja dostanę go w ręce, popamięta ten dzień.

Stefan zamknięty był jeszcze na górze, obiecał jednak, że zejdzie kwadrans przed szóstą, a że właśnie zbliżał się termin więc skończyła inspekcję i weszła do domu. Od razu natknęła się na narzeczonego: był chmurny i zgnębiony.

— Helenko, już jestem, nie spóźniłem się, prawda?

- Ani trochę.
- Gdzie jest pan doktor?
- Siedzi w gabinecie i coś czyta.
- Pójdziemy chyba, co?
- Myślę, że czas.

Gdy weszli, okazało się, że jest już i profesor Lothar; zerwał się szarmancko, poprawił ozdobne okulary i zaczął się witać z Landowską.

Prokasz zdążył szepnąć Pogonowskiemu do ucha:

— Wniósł skargę rozwodową; chłop nie miał szczęścia do kobiet, ale trzeci raz to się chyba już nie ożeni.

Wkrótce byli w komplecie, to znaczy zjawił się jeszcze prokurator Lorek i redaktor Guran.

Profesora Byronia nie zaproszono — jak wyjaśnił na wstępie Lorek — ze względu na jego kiepski stan zdrowia.

Zasiedli więc, mniej więcej tak jak owego wieczoru, gdy zdemaskowano Tragę, tylko z tą różnicą, że za biurkiem siedział teraz nie Prokasz, lecz Guran.

— Chyba zaczniemy — spytał szukając aprobaty prokuratora.

— Bardzo proszę...

Guran objął ich wszystkich wzrokiem i zaczął:

— Proszę państwa. Zbliżamy się oto do końca. Poprosiłem was — a pan Pogonowski był łaskaw udzielić nam gościny — by wyjaśnić to, co jeszcze nie jest jasne; tu zaś dlatego, że w ubiegły piątek właśnie w tym domu narodziła się tragedia; w każdym razie w swych zewnętrznych objawach. Nawet w tym samym gabinecie, jak to dobrze zapewne pamięta pan doktor, prawda?

— Takich rzeczy — przyznał Prokasz głośno — nie zapomina się ani łatwo, ani prędko.

— No właśnie, cóż jednak robić, życie jest grą pełną namiętności; one z kolei stwarzają wysokie napięcia, wysokie napięcia są zaś niebezpieczne; padają trupy. I tak w koło. Taniec ambicji i śmierci, zwycięstw i klęsk. Życie jest ustawiczną, nie kończącą się nigdy walką, każdy nawet oddech, nawet normalna temperatura ciała, nawet zdrowie nasze są wynikiem walki, w tym przypadku — organizmu; każda równowaga życia, choćby na przykład społeczna, osiągnięta jest walką, walka tylko potrafi zjednoczyć przeciwieństwa, ona tylko może gwarantować postęp. Ale — podniósł ostrzegawczo głos — służy oczywiście i złu: niszczy...

Przerwał, wyjął z kieszeni fajkę oraz miszek skórzany z tytoniem. Po czym zaczął powoli i z namaszczeniem manipulować, czynić zabiegi skomplikowane i niemal rytualne, poprzedzające faktyczne zapalenie fajki. Jednocześnie mówił:

— Otóż tematem naszego dramatu jest namiętność naukowa, pasja. Są i takie, choć nie często się zdarzają, nie tak często — rzecz prosta — jak namiętności bardziej prymitywne: pieniądze, wódziunia, kobietki, karciecia.

Pasja badawcza uczonego, o ile nabiera niezwykłej mocy, a w dodatku jeśli jeszcze i on sam posiada silny charakter, może w pewnych okolicznościach stać się niebezpieczną i dla niego samego, i dla otoczenia. Każda namiętność, nawet szlachetna, potrafi w pewnych okolicznościach obrócić się na złe. Ona to właśnie tworzyła sytuacje, ona była motorem sprawnym wypadków. Owe namiętności badawcze, ten temat sprawy przewijał się w różnych wersjach i w różnych tonacjach.

Przepraszam, że wspomnę, lecz trzeba to zrobić; przecież uboczne akcje, które poplątały beznadziejnie całą historię, narodziły się również z tego samego uczucia: pan profesor Lothar, prawda?

Nachylił się w jego kierunku, a on spłonął gwałtowną czerwienią i opuścił głowę.

— Pan doktor Prokasz, prawda?

Teraz z kolei zbladł stary lekarz i także wolał głowę oprzeć na piersiach.

— A więc to jedno. Po drugie: Punktem wyjścia mojej postawy duchowej była niewiara w wypadki.

— Jak to?

— No właśnie! Skąd naraz tylu morderców w świecie profesorskim? To nieprawdopodobne! W ogóle w tej sferze ludzi morderstwa zdarzają się niesłychanie rzadko. Skąd więc nagle ta dzika infekcja? Pytanie było ogromnie ważne i odegrało u mnie dużą rolę. Nie wierzę, klarowałem sobie, nie wierzę, i to tak dalece, że nie uwierzyłem... w same wypadki. Był trup, to prawda, musiałem uznać fakt, ale nie potrafiłem wymusić na sobie uznania, że to zabił ktokolwiek z tu obecnych. Taki był początek.

We wtorek dostał mi się do rąk strzęp notatnika naukowego Tragi. Był wieczór, nieco przed ósmą, właśnie państwo — zwrócił się do Heleny i Stefana — mieli przyjść do mnie o ósmej, więc zasiadłem od razu do czytania. Doznałem nagłego olśnienia. Była tam mowa o głowie Robespierre'a. Pamiętacie? — zwrócił się do Heleny i Stefana. — Mówiłem wtedy o tym. Dziś i wy na pewno chwyciliście od razu jądro zagadnienia, ale wtedy, we wtorek, nie przedstawiało się to tak łatwo, zapewniam was, przeciwnie — było to dla mnie rewelacją.

Lecz, słuchajcie, jak zabrzmiał mi wtedy w uszach ten ostatni akapit: „Gdyby głowę Tragi wstawiono natychmiast do pompy tłoczącej krew, to itd.” Rozumiecie? Nie Robespierre'a, lecz Tragi! A jeśli tak, to — zdawało mi się — mam sprawcę, mam sprawcę tego samego co przedtem.

Teoria moja, a raczej tylko postawa rozumowa, nabierała wiarygodności. Ponieważ zaś nie było wtedy innych, a właściwie żadnych danych czy podejrzeń, idea „nowego Tragi” zdawała się mieć sens. Należało tylko sprawdzić. No dobrze, lecz jeśli tak, to pojawia się teraz na widowni doktor Prokasz.

Wszystkie oczy odwróciły się doń jednocześnie, choć mimowolnie. Stary lekarz skamieniał, choć kamiennością o strukturze wyraźnie nerwowej.

— Doktor Prokasz! Tak, to on wyłącznie mógł ożywić głowę Tragi! Przecież był na miejscu w czasie samobójstwa Tragi, przecież to on właśnie robił sekcję!

Moi państwo, gdy wstałem wtedy z fotela, byłem już pewny co do roli doktora, choć nie wiedziałem (i nie pragnąłem na razie wiedzieć), jak daleko ona sięga. Wiedziałem, że jest tak, a nie inaczej. Krzyknąłem wtedy: „Rozumiem! To doktor Prokasz!” Zapragnąłem też natychmiast sprawdzić, czy ciało Tragi ma głowę czy nie. No i skończyło się owej nocy na ekshumacji. Głowa Tragi zniknęła! Wyjaśnienie doktora Prokasz, złożone nam dnia następnego, wszystko jednak przewróciło i odwróciło.

Skończył się etap pierwszy, zaczynał drugi, o ileż ciekawszy! Pan doktor był łaskaw dołączyć swój prywatny wysiłek do tej zagmatwanej sprawy, jako — po panu Lotharze — drugi outsider; w ten sposób znaleźliśmy następne ogniwo łańcucha.

Uratował głowę Tragi, owszem, lecz nic ponadto. A potem ktoś mu tę głowę wykrada! Zaczyna się supersekret.

Kto? Dlaczego? Jak? Lecz nade wszystko, jakim precudownym sposobem. Skąd wiedział, gdzie ona jest? I w ogóle skąd wiedział, że doktor Prokasz dokonał tej operacji? Od razu rzuciliśmy się na asystenta Barchana, pomagającego mu przy sekcji zwłok Tragi, a były one już bez głowy; lecz na próżno — nie było przeciw niemu dowodów. Brakiem głowy rzeczywiście nie zainteresował się, a potem wyjechał na urlop.

Przyszły zamachy na doktora. Dlaczego? Że był świadkiem czegoś? Ale czego? Tylko i wyłącznie, że głowa Tragi żyje. Dlaczego to przedstawiało się komuś takie ważne?

Weszliśmy — jak rzekłem — w fazę drugą, szukaliśmy Arcyarchitekta wypadków, Nieznanego Numer Dwa. Szukaliśmy? Słowo niewłaściwe, bo prawdę mówiąc, kręciliśmy się w kółko jak ślepe gąsienice, brnęliśmy w gąszczu absurdalnych wydarzeń: jakieś groźby listowne, w dodatku pisane ręką Topolskiego... kto słyszał — o takich naiwnościach.

W tym miejscu Guran przerwał, albowiem...

Wszyscy usłyszeli pukanie do drzwi. Było tak niespodziewane, wyrwało ich tak gwałtownie z zasłuchania, że mimo woli drgnęli i odwrócili jednocześnie głowy. Pukanie powtórzyło się.

— Proszę, proszę wejść.

Drzwi się otworzyły. Wszedł profesor Byroń.

Zmiana, jaką zauważono na jego twarzy, była szokująca; oto skutki wady serca, oto kruchość ciała ludzkiego: oczy zapadnięte w czarnych dołach, skóra pergaminowa, kości policzkowe wystają, włosy w nieładzie. Uśmiechnął się zażenowany.

— Przepraszam, nie zaprosiliście mnie wprawdzie, ale chciałem koniecznie być obecny.

— Sądziliśmy, że pan profesor czuje się niedobrze, więc...

— Owszem, owszem, nieszczególnie, wszakże mimo to nieładnie, że zapominać o mnie, odegrałem przecież pewną rolę w wypadkach i...

— Niech pan siada, profesorze — przerwał Stefan i poskoczywszy do niego, doprowadził go ostrożnie do wolnego krzesła.

— Dziękuję. Widzę, że spóźniłem się, ale nie bardzo, co? Na najważniejsze zdążyłem, co?

Usiadł, odpoczywał dysząc lekko, policzył oczami obecnych, oparł się plecami, wreszcie głęboko odetchnął.

— Przepraszam jeszcze raz. Proszę, niech redaktor ciągnie dalej; przepraszam, już słucham, proszę.

Guran pociągnął mocniej z fajki, puścił kilka błękitnych dymków, popatrzał uważnie na przybysza i posłusznie kontynuował:

— Zatem znaleźliśmy się w uliczce bez wyjścia. Kto skradł głowę Tragi? Pytanie centralne. Zdawałoby się, że ten, kto to uczynił, powinien być jednocześnie owym Arcyarchitektem. Zdawałoby się... Zdawałoby się...

No posłuchajcie przecie dalej. Zwracam na wstępie uwagę, że poszukiwany czy domniemany Arcyarchitekt wydarzeń musiał być uczonym; tylko uczony potrafił prowadzić badania, tylko uczony objawiałby ową olbrzymią energię i bezwzględność realizowania swej woli.

Więc odpadał z miejsca — przepraszam, tu kiwnął się redaktor w stronę Lorka — pan prokurator; no i moja skromna osoba również wypadła z konkursu, nie jestem uczonym, choć być może minąłem się w ten sposób z przyrodzonym powołaniem. Zasadniczo odpadał też i pan doktor. Wplątany został w szprychy szybko obracającego się koła, to prawda, lecz w jakim charakterze? Musimy myśleć odtąd dokładnie i porządnie.

Uratował głowę rektora Tragi. Ukradziono mu ją. Zdumiewające. Prawie nadprzyrodzone, bo nikt nie wiedział i nie mógł wiedzieć o operacji. No, ale ja nie wierzę w nadprzyrodzoną interwencję, zwłaszcza w przypadkach kryminalnych; ponieważ zaś pan doktor nie pisał nikomu ani słowa, stąd wniosek jasny i jedyny, że ktoś musiał widzieć. Rozumiecie: widzieć operację na własne oczy.

Zatem pozostała ostatnia i jedyna alternatywa, absolutnie konieczna: widział ją ktoś spoza naszego grona, ponieważ nikt z nas wtedy tam nie był, co łatwo ustaliłem i co stwierdził zresztą sam doktor, zatem jasne, prawda?

Przerwał i czekał na odpowiedź. Istotnie, padła niemal od razu, a dał ją dopiero co przybyły profesor Byroń.

— Brawo, redaktorze, jasne, oczywiście: widział ktoś obcy; a ponieważ widział, musiał być wtedy w Zakładzie Medycyny Sądowej; a ponieważ zeznania personelu i nasze własne nie ustaliły obecności nikogo obcego, zatem ukrywał się; a ponieważ ukrywał się — co zresztą było nadzwyczaj łatwe, ze względu na niedzielę i pustki w Zakładzie — miał nieczyste zamiary, a w każdym razie było coś nie w porządku; a ponieważ było nie w porządku, zatem już w niedzielę, a więc przed zabójstwem Topolskiego coś się działo; a ponieważ Traga otrul



się rano i rano dokonana została amputacja jego głowy i wtedy mógł tylko ten ktoś ją obserwować, więc to coś działo się od niedzieli z rana; a ponieważ tak było, a nie inaczej, ten ktoś funkcjonował na długo przed śmiercią Tragi, musiał przecież już tam być przedtem, w każdym razie nie potem.

Reasumuję: ktoś, kto nie jest tu teraz obecny, ktoś, kto zakradł się do Zakładu, ktoś, kto nie mógł wiedzieć, co będzie się działo z Tragą, i ktoś, kto ukradł potem głowę.

Guran uśmiechnął się szeroko.

— Teraz ja biję profesorowi brawo, ot, co znaczy bystra głowa; tak, oczywiście, wszystko się zgadza. No, no, no... tak od razu... podziwiam... Teraz ja z kolei dodam swoje trzy grosze. Ale nie spadł tam przecież z nieba ani przypadkiem, prawda?

— Prawda! — odparli chórem.

— Musiał ten ktoś mieć coś wspólnego z nami, z Zakładem lub Tragą?

— Prawda!

— Nie miał jednak świadomości, że napotka na operację Tragi, bo sama idea u doktora zrodziła się przecież raptem, na widok leżącego Tragi, prawda?

— Oczywiście! — przytaknęli.

— Zatem przybył tam w innym celu, tak?

— Tak.

— No, to ogromnie ważne; przy tym dlaczego się jednak ukrywał?

Tym razem cisza była jedyną odpowiedzią. Profesor Byroń zamyślił się, po czym mruknął:

— Na to nie potrafiłbym odpowiedzieć.

— Ja także nie potrafiłem — oświadczył Guran — więc przerzuciłem się na szukanie odpowiedzi na inne pytanie: Kto to mógł być? A odpowiedź przyszła mi z większą trudnością, niżby należało. A oto zobaczycie go teraz. — Nacisnął dzwonek. Obecni usłyszeli zaraz, że kogoś prowadzą. Drzwi otworzyły się, Guran dodał: — To ten, którego wczoraj złapaliśmy.

Wszedł.

Helena Landowska zbladła i zamknęła oczy. Guran zaś był ciekaw zmian, które zresztą przewidział w nim, mimo że od ostatniego widzenia minęło zaledwie pięć dni, więc zmarszczył brwi i nateżył uwagę.

Stał oto przed nimi, nieco zgarbiony, bujając rytmicznie ramionami, z głową opuszczoną na piersi, biedną głową, żłobioną wielokrotnie narzędziami chirurgicznymi, przestępując machinalnie z nogi na nogę.

Homunculus!

Tak, ten sam, lecz zarazem inny; ten sam fizycznie, inny psychicznie. Asystent Stanisław Bujwid, świetnie zapowiadający się chirurg i uczonego, którego koleje losu przemieniły wreszcie w potworny szczątek ludzki.

Zaczął się od tego, że po gwałtownej i tragicznej śmierci narzeczonej wpadł w chorobę nerwową; leczono go modnie — wstrząsami elektrycznymi. Tortury nie pomogły, wręcz przeciwnie — zaszkodziły, dostawał teraz ataków szału i stał się niebezpieczny dla otoczenia.

Doktor Traga postanowił spróbować lobotomii\*; po operacji uspokoił się, lecz stan ogólny uległ nowemu pogorszeniu; wtedy Traga dokonał trzech kolejnych trepanacji czaszki i usiłował ratować go własnymi metodami. Zawiodły.

Guran zetknął się z nim w laboratorium Tragi właśnie w tej ostatniej fazie. Lecz jak często bywa z operacjami mózgu — można i należy liczyć na poprawę z upływem czasu; tego właśnie oczekiwał Traga. Przyszły jednak wypadki gwałtowne, pożar laboratorium, przyszedł na Bujwida wstrząs psychiczny.

Kroniki medycyny notują względnie często wypadki, że pod wpływem wstrząsu psychi-

\* Lobotomia — operacja mózgu.

cznego — chociażby właśnie pożaru — chorzy ze sparaliżowanymi kończynami, którzy uwięzani byli od lat do łóżka czy wózka kaleki, zrywali się i biegli. Oto regeneracyjna potęga wstrząsu psychicznego.

Podobny wstrząs przeżył wtedy i Bujwid-Homunculus, ocknął się więc nieco ze swego somnambulicznego stanu; tego oczekiwał Guran i to wkalkulował w swą teorię. Najbardziej Guran pragnął sprawdzić, w jakim stopniu odzyskał on mowę i czy można się z nim porozumieć.

— Panie Stanisławie, jesteśmy przyjaciółmi, proszę się nas nie lękać, nie chcemy uczynić panu żadnej krzywdy; proszę, niech pan siada. — Odsunął krzesło od stołu i zaprosił go ruchem dłoni.

Nie drgnął nawet, tylko ręce bujały się rytmem wahadeł. Prokurator przyłączył teraz swój gest do gestu redaktora, zapraszał do zajęcia miejsca.

— Tak jest, niech pan się nie lęka; nie będzie pan odpowiadał za swe czyny; wiemy wszystko i rozumiemy wszystko; był pan ofiarą i tylko ofiarą zbrodniarza; to, co zostało nietety dokonane, działo się bez świadomości i zatem bez winy pana...

Urwał, albowiem Homunculus powoli zaczął unosić głowę, wyłaniać z fałdów ubrania swą twarz. Wpił się w nich przerażająco smutnym wzrokiem. Ręce niespodzianie przerwały swą zegarową pracę i znieruchomiały, co wywarło niewytłumaczalnie silne wrażenie na obecnych. Zupełnie jakby umarło nowe, a narodziło się stare lub odrodziło się coś, co było jakby umarłe. Uczyniło się tak cicho, że słyszeli bicie własnych serc.

— Co... ja... ja ta-kie-go zrobi-łem?

Sylaby padały na nich powoli jak kamienie i czuli się też jak kamienowani przez samą sprawiedliwość za tragedię tej istoty, za winy losu i za winy złych i strasznych ludzi. Nie potrafili się zdobyć na odpowiedź, zaskoczyło ich to proste pytanie; Guran i Lorek — dławiąc się przeciągającą się ponad miarę pauzą — usiłowali gwałtownie coś rzec, coś odpowiedzieć. Na próżno!

— Co... ja... ja ta-kie-go zrobi-łem?

Helena przecięła ciszę zduszonym krzykiem.

— Nie, ja tego nie wytrzymam, nie wytrzymam. — Zerwała się i wybiegła z sali, pozostawiając za sobą samych mężczyzn.

— Co... ja... ja ta-kie-go zrobi-łem?

Wola i świadomość pracowały, choć straszliwie powoli; istota wewnętrzna budziła się.

Naraz uczynił krok, potem drugi, szedł do stołu; a szedł teraz sprawnie, nie tak sztucznie i ciężko jak wtedy w laboratorium, kiedy to Guran obserwował jego mozolną pracę poruszania się, tylko jeszcze ręce były nieposłuszne logice ruchów ciała.

Prokasz poczuł zimne dreszczyki na skroniach, nieznacznie odsunął się z fotelu i usiłował zgadnąć, co się teraz stanie.

— Coście ze mną zrobili?

Pogonowski, który znalazł się najbliżej i najlepiej go widział, dostrzegł, że wargi drżą mu siatką drobnych ruchów.

— Coście ze mną zrobili?

Guran powoli uniósł się, zbliżył się doń również powoli, czyniąc to z rozmysłem, bo sądził, że szybkie i gwałtowne ruchy mogą okazać się szkodliwe. Znalazł się oto naprzeciw niego, oko w oko; zawałał się sekundę, położył rękę na jego ramieniu.

— Przyjacielu, uspokój się, wszystko będzie dobrze, było źle, ale teraz będzie dobrze, było źle, ale teraz musi być dobrze, uspokój się i o niczym nie myśl, pomożemy ci.

Homunculus słuchał, wargi drgnęły mu raz i drugi silnie, stał i słuchał. Po czym uchylił się nieznacznie i dłoń Gurana zawisła w powietrzu. Opadła.

— Coście ze mną zrobili?

Pytał jak zepsuta płyta gramofonowa, ale czuł już jak człowiek — i ból przeszywał jego

serce po ludzku.

Guran stracił pewność siebie i nie wiedząc co robić, wrócił jak niepyszny na swoje miejsce. Wszyscy bali się teraz panicznie, by Homunculus nie powtórzył swego — coście ze mną zrobili?

Ale on stał niemy i myślał w sobie, myślał ogromnie powoli, lecz z rozpędzającą się siłą spadającego kamienia. Ocknął się z długiego, długiego snu i czuł, że powoli wraca do rzeczywistości... do czego?... och, do czegoś straszego... Jak przez tumany zgniłych mgieł majaczyły mu niewyraźne jakieś głowy, jakieś sałę z przyrządami, własny ból, znów głowy, głowy, głowy... I wreszcie to... Nie, nie, nie... coś najgorszego... nie...

Schwytął się oburącz za pociętą czaszkę i skurczył, pochylił do przodu. Instynkt moralny odpychał z całą rozpaczą tę wiadomość dobijającą się do wrót świadomości. Ale rzeczywistość ma w sobie nieuchronność, nieodpartość materialnej prawdy.

— Zabiłem! — To nie był krzyk, nie był jęk, to był zgrzyt żelaza po szkłe jego duszy. Czoło Homunculusa pomarszczyło się, ciało wyprostowało; odrzucił głowę ruchem śmieszno-tragicznym w bok i w górę, jakby szukał jakiegoś napisu na ścianie lub na suficie; górną połowę ciała skrzył tak, że nogi jego widzieli teraz z profilu, a resztę — z przodu, jak w egipskiej płaskorzeźbie.

Nic teraz dla niego nie istniało, zapomniał o świecie, trwał i kopał w mózgu, wykrzywił głowę coraz bardziej, coraz wolniej i już dostrzegali tylko jego brodę zadartą, nie goloną od dawna. Przekrzywił się w pasie, wygiął cały, był linią falistą, znakiem zapytania.

Teraz jednakże nie udało im się nic więcej z niego wydobyć. Nie reagował na ich pytania, nie chciał. Naradziwszy się więc cicho z Guranem i Prokaszem, prokurator postanowił odesłać go z powrotem do szpitala.

Wkrótce też oddalił się samochodem Lorka pod eskortą przynębionego Kowalika do nowego miejsca przeznaczenia.

\*

Guran wznowił swe rozważania.

— W zgliszczach znaleziono wiele kości ludzkich, to uniemożliwiło prokuratorowi ustalenie z całą pewnością, czy były wśród nich kości Bujwida; jednak nie mieliśmy powodu do przypuszczenia, że żyje, zwłaszcza że nigdzie indziej nie wypłynął na powierzchnię: nie powrócił do swego dawnego mieszkania i nie było raportów z komisariatów o złapaniu jakiegos włóczęgi. A jednak cisnęło się do głowy, że to właśnie mógł być Homunculus.

Czy rzeczywiście? Sprawdźmy, spróbujmy analizy logicznej wypadków z założeniem, że to on właśnie podpatrzył doktora. Jak się tam znalazł? Co było nitką Ariadny, która przywiodła go do Zakładu Medycyny Sądowej?

Trzeba zacząć myśleć od momentu pożaru laboratorium. Ostatni raz widziałem Homunculusa, gdy Traga dusił mnie w sześciokątnej wieży głów; stał wtedy obok, co było później, nie wiem, bo straciłem przytomność. Potem zaraz nadbiegł Kowalik i Ogórek, a pożar już szalał na dobre. Co mógł uczynić w takich okolicznościach nieszczęsny, półprzytomny Homunculus? Ano to, co uczyniłoby każde zwierzę — a zresztą i każdy człowiek — uciekł, uciekł w pole.

Założyliśmy wszakże, że znalazł się rano w Zakładzie Medycyny Sądowej; założenie ryzykowne, zważywszy jego ówczesny stan umysłowy. Wykluczone, by uczynił to z własnej inicjatywy, z rozmysłu, rozsądku, ze świadomej woli. Podobna hipoteza jest niedopuszczalna.

Rozważając kwestię, przyjąłem możliwość szoku psychicznego i poprawy stanu umysłowego; jednak po pierwsze: nie tłumaczyłby tak dalece rozsądnych akcji; po drugie — ujawnienie się poprawy, jakkolwiek powstałej nagle, wymagało jednak pewnego czasu, a tego właśnie nie było. Zatem nie, nie to.

Nie chcę was męczyć zawiłą drogą analiz różnych koncepcji, powiem od razu: przypro-

wadził go doktor Prokasz!

Gdy wyrzekł te słowa, pękła bomba sensacji! Przecież doktor — myśleli szybko obecni — nie wspomniał o tym ani słowa. Więc? Czyżby zeznania jego były kłamliwe? Wszystkie źrenice, nateżone uwagą i nową podniętą, obróciły się ku niemu niczym peryskopy łodzi podwodnych do statku, który za moment zostanie storpedowany. Doktor Józefat uniósł wysoko brwi, rozchylił usta, krzyknął głosem wypełnionym strachem:

— Myli się pan, ja tego nie zrobiłem! Ja tego nie zrobiłem! Omyłka, nic o tym nie wiem!

— Owszem, zrobił to pan!

— Nie, nigdy; powiadam, że nie zrobiłem tego!

Lorek z najwyższym zdumieniem spojrział na redaktora i wyglądał, jakby chciał coś rzec, lecz Guran uprzedził go.

— Owszem, zrobił pan to, tylko nieświadomie!

— Ależ ja go nie widziałem na oczy, ja go nigdy nie widziałem; dopiero wczoraj, gdy go cucilem po ciężkich skutkach walki z panem Pogonowskim u progu mego mieszkania.

— Zgadza się — kiwnął głową Guran.

— Więc jak? — dopytywał się błady doktor — jak to możliwe?

— Bardzo po prostu: był pan latarnią morską.

— Czym, proszę? — zdumiał się — czym, latarnią... latarnią morską?

— Jeśli panu porównanie nie odpowiada, to powiedzmy — magnesem.

— Magnesem?

— Owszem. Czy miał pan z sobą owo pudło „na kapelusze”?

— Tak, miałem.

— Czy miał je pan w ręku, stojąc przed płonącym laboratorium?

— Tak, miałem.

— Czy poszedł pan do domu pieszo?

— Tak, mówiłem już dlaczego: że nie mogłem...

— Ciągle z pudłem w ręku?

— Tak.

— Dziękuję. Teraz wyjaśnię doktorowi, dlaczego był pan i latarnią morską i magnesem. Otóż jeśli uciekł w pole; z ciemności obserwował pożar, musiał wszystko, co się działo, widzieć jak na dłoni. Jego świat dotychczasowy płonął i zawałał się z trzaskiem; jego pana nie ma, zawieźli go gdzieś samochodem. Nie wie co robić, jest nieszczęśliwy i przerażony bezgranicznie. Lecz nagle widzi coś, widzi jakąś ciemną i chudą figurę z pudłem w ręku, z jego pudłem, z pudłem, które zna i wie, po co służy, z pudłem stanowiącym część jego świata. Świat ten spalił się, ale część jego została. Została w pana ręku, doktorze.

Gdy pan ruszył z nim i zaczął roztapiać się w ciemności, on, przejęty paniczną trwogą bezradności, rzucił się za panem, nie chciał i nie mógł stracić reszty swego świata; nie myślał, nie rozumował, oczywiście działał instynktownie, szedł jak pies za śladem swego pana, jak automat za znanym mu sygnałem. Bał się wszystkiego, pana również, lecz w pana ręku był jego świat... Szedł za panem krok w krok i wtedy dopiero zapewne usiłował myśleć i zastanawiać się.

Przybył pan do domu, na Mariensztat. Co on zrobił wtedy, nie wiem: albo poszedł schodami aż do drzwi, co jest mniej prawdopodobne, albo został przed domem, błąkając się niespokojnie i bezradnie. Była głucha, ciemna noc, prawda? A co pan zrobił w domu?

Prokasz zastanowił się i wzruszył ramionami.

— Nie wiem, o co panu redaktorowi chodzi.

— No — pomógł mu — przede wszystkim zapalił pan światło, prawda? Taki zaś błysk w środku nocy zwróci uwagę, prawda? Zatem zwrócił i uwagę Homunculusa. Domyślił się, że to tam jest część jego dotychczasowego świata, chciał sprawdzić, ale było oczywiście za

wysoko. Błąkał się, myślał, czas upływał.

A pan czytał i czytał, znaczy światło okna jak sygnał latarni morskiej panowało nad całym placem, ba — docierało do placu Zamkowego, do wieży Św. Anny, a tam jest wysoko, stamtąd można zajrzeć doktorowi w okno. Tak czy owak, Homunculus trafił wreszcie na zbocze pagórka lub schody pod wieżą i stamtąd zaglądał tęsknie w to pańskie okno.

Czas ciągle płynął. Dały się mu odczuć pierwsze skutki błogosławionego szoku psychicznego. Dość że wreszcie znalazł drogę do wieży Św. Anny. Stamtąd czuwał nad panem i nad sobą, nad swoim niepewnym losem. Rano, widząc, że pan wychodzi — o radości! z pudłem w ręku — znów idzie za panem aż do Zakładu (dobrze pamiętam, że i teraz poszedł pan, a nie pojechał; ogromnie uderzył mnie ten szczegół). Tu ukrywa się w krzakach pod murem i czeka. Jest pusto. Może dostrzegł Tragę, gdy przywieźli go z więzienia, może nie; w każdym razie okna sali operacyjnej wychodzą na parter, na dziedziniec i tam na stole sekcyjnym dostrzegł go wreszcie, swego pana, dostrzegł operację i owo pudło.

Wszystko już oczywiście rozumiał, bo znał to ma pamięć, te operacje głów, wszak to jest jego świat, pojął, że należy mu za wszelką cenę trzymać się pana doktora. Stał się pan dla niego magnesem.

Za długo byłoby wszakże opowiadać szczegółowo — choć to interesujące — więc podaję tylko punkty, i to niektóre, rozważań. Gdy postawiłem hipotezę Homunculusa, od razu nasuwało się pytanie, gdzie on mógł przebywać? Do domu nie wrócił, po mieście nie włóczył się, więc gdzie znikł? Albo hipoteza jest głupia, Homunculus spłonął żywcem i nie ma go, albo kryje się w tym coś intrygującego.

Druga sprawa: jeśli stawiam tę hipotezę, to znaczy, że Homunculus widział operację pana doktora, musi z niej wynikać natychmiast i koniecznie, że pilnie śledził doktora, ergo — był stale w pobliżu; a nie mógł być stale na ulicy, prawda? Bo zwłaszcza przy jego wygładzie capnęliby go rychło; zresztą... trzeba żyć, spać, jeść...

Więc co? Wynajął pokój, wyczarował zamek z bajki? Bzdura! W ogóle — jeśli w hipotezie tkwił jakiś sens, musiał znaleźć lokum odludne, bez świadków, bez ludzi, nie mógł przynosić trupa Topolskiego do mieszkania obcych ludzi, pełnego ludzi. Jasne? I oto macie ideę: Święta Anna! Prawda?

Gdy pomyślałem o niej, wsiadłem natychmiast w taksówkę, by sprawdzić możliwość, by spenetrować wieżę. No i trafiłem od razu na wózek. Wykombinowałem też, że musiał kraść, by żyć, lecz jak rzekłem, szczegóły pozostawiam na uboczu; także nie opowiem, jak i gdzie szukałem sprawdzianów materialnych: jak kołatałem do mieszkania Bujwida, jak szedłem piechotą z Czerniakowa na Mariensztat, jak rozpytywałem po sklepach, czy je okradziono, jak łąziłem (i ukrywałem się) po podwórku Zakładu Medycyny Sądowej. O mało nie wyzionąłem ducha z fadygi i pośpiechu...

Oto widzicie, jak hipoteza organizuje fakty, jak pozwala je celowo wybrać, ułożyć i wyjaśnić; myślę — prawidłowa hipoteza, bo fałszywa czyni rzecz wręcz przeciwną — ogłupia i gubi. Tak zatem wyświetliliśmy rolę Przypadku.

Guran urwał właśnie pod naciskiem konieczności, Helena bowiem szepnęła grubym głosem, tak aby wszyscy ją dobrze słyszeli:

— Chcemy wreszcie Nieznanego, dajcie nam go, chcemy wiedzieć, kto i dlaczego zabił Topolskiego. Potem teorie... jak babcię kocham, dłużej już nie wytrzymam.

Zrobiła przy tym minę świadczącą, iż rzeczywiście i absolutnie dłużej nie wytrzyma.

Roześmieli się (kto mógł) i ogólnym szmerem dali poznać, że czas na dokładną chronologię wypadków; na: kto, co i kiedy?

Guran złożył rozpaczliwie ręce i jęknął:

— Odbieracie mi w ten sposób jedyną szansę ukazania wam procesu myślenia...

Tubalny głos Lorka uzupełnił:

— I chwalenia się.

— Chcemy wiedzieć, kto jest winien — zawołała jeszcze raz Helena.

— I koniecznie chronologicznie — dorzucił Lorek — chronologia decyduje.

Guran opuścił ręce — i nos także — skrzywił się w stanowczej dezaprobacie, na koniec westchnął.

— Jeśli chcecie. Cóż mam robić? Zatem odsłaniam jeszcze raz kurtynę, uważajcie dobrze na wypadki, bo będę toczył je systemem szybkościowym.

Noc z soboty na niedzielę: Pożar laboratorium, aresztowanie Tragi, Homunculus idzie za doktorem, potem obserwuje go z wieży Św. Anny, doktor tymczasem poznaje sekrety Tragi z jego notatnika. Niedziela: doktor idzie z pudłem (znów idzie, a nie jedzie) do Zakładu, Homunculus za nim; samobójstwo Tragi, doktor robi amputację jego głowy, a Homunculus podpatruje; potem doktor wychodzi z głową Tragi, a Homunculus postępuje za nim (albo może poszedł osobno, bo drogę już znał), po czym spędził resztę dnia i noc w wieży, nie licząc wypadu na okoliczne sklepy. Co Homunculus myślał? Prawdopodobnie, że Prokasz robi to samo, co robił Traga.

Poniedziałek: wieczorem w Zakładzie zbiera nas prokurator i Topolski pada ofiarą morderstwa; jednocześnie ktoś kradnie u doktora głowę Tragi i zostawia kartkę z groźbą. Wtorek: wspomnę tylko o sprawie istotnej, to jest o zamachu na doktora; dokonał go oczywiście Homunculus, bo przyłapaliśmy go również przy próbie drugiego zamachu.

Środa: rano jadę na cmentarz, potem wybucha bomba z „córką Rubensa”; w nocy dokonuję ekshumacji Tragi, wypływa na jaw rola doktora. Czwartek: wyjaśnienia pana doktora, potem zastanawiam się w parku i wpadam na trop Homunculusa, scena w wieży, udaremniony drugi zamach, łapiemy Homunculusa. To i wszystko.

Umilkł, wpatrując się triumfalnie i złośliwie w resztę towarzystwa.

Ale Lorek szturchnął go niecierpliwie palcem w łokieć.

— No daj pan wreszcie spokój, nie trzeba przeciągać struny, proszę opisać dokładnie działania Homunculusa.

Prokasz, Stefan, Helena i reszta wahała się między złością a myślą oświecającą, między niewiedzą a zrozumieniem. Teraz nadstawili zgodnie uszu z nadzieją, że wreszcie...

— Hm, a więc, proszę bardzo — uległ niechętnie redaktor — oto one.

Poniedziałek: Homunculus siedzi cały dzień w wieży, śpi, je i czeka; godzina ósma wieczorem, widzi wychodzącego i odjeżdżającego Prokasz w towarzystwie policjanta; wie, że głowa jego pana została, bo doktor wyszedł bez pudła, włamuje się więc do mieszkania. Co teraz nastąpiło, dowiemy się od Homunculusa, lecz możemy sobie już teraz odtworzyć dość dokładnie: Traga uradowany widzi szansę ratunku, lecz zna już wyniki EEG, wie, że jest skazany na degenerację, postanawia ratować się; musi mieć czyjeś ciało, za wszelką cenę zdobyć ciało, swobodę i ruch, wysyła więc Bujwida z gilotyną i surowicą plastyczną do Zakładu z instrukcją zabicia mnie; wie, że Prokasz udał się tam właśnie, bo słyszał rozmowę Prokasz z policjantem, słyszał, że wzywa go prokurator, łatwo więc było się domyślić, co tam będzie się działo; a może zresztą dał instrukcję zabicia kogokolwiek, choć sądzę, że nie: mnie Bujwid już znał, a poza tym mógł Traga obawiać się mojej dociekliwości; Bujwid znał już i drogę, i sam Zakład, ukrył się na dawnym miejscu, pod murem i czekał. Zabił Topolskiego zamiast mnie i wywiózł jego ciało; śladów krwi nie zostawił ze względu na surowicę plastyczną, którą zasklepił ranę. Przedtem oczywiście — to jasne — Bujwid przynosi głowę Tragi do wieży Św. Anny.

Noc. Bujwid usiłuje połączyć dwa ciała: głowę Tragi i korpus Topolskiego (dwa równa się jeden, prawda?), lecz pomimo wskazówek Tragi i swojej chirurgicznej przeszłości nie udaje się jak należy z kilku powodów, to znaczy udaje się tylko częściowo. Mogę sobie wyobrazić upiorne sceny, na tle wnętrza wieży, ciemności i charakteru samego zabiegu, może to kiedyś opiszę. Pod ich wpływem następują dalsze przemiany psychiczne u Bujwida.

Wtorek: Traga planuje usunięcie jedyne go świadka, doktora Prokasz, czuje wzmaga-

jące się instynkty mordercze, funkcje mózgu degenerują się. Jeśli istotnie kazał mnie zamordować, dowiedział się, że ma ciało nie moje (z dowodów w kieszeni marynarki na przykład), wpada we wściekłość i pisze (ręką Topolskiego przy pomocy własnej głowy) groźbę, a że nie zna mego adresu, wysyła pod adresem redakcji; oczywiście list idzie bez znaczka, bo go nie ma. Wrzuca go w nocy do skrzynki Homunculus. A może wietrząc niebezpieczeństwo, zaczyna walczyć. Jeśli to nie ja miałem być ofiarą, chciał po prostu odstraszyć mnie od dochodzeń. W stosunku do mnie był bezsilny, nie mógł mnie zabić, bo nie znał mojego adresu, a zresztą Bujwid nie nadawał się do jakiegóż normalnej akcji, mógł robić tylko to, co już znał, i chodzić tylko tam, gdzie bywał. Natomiast wieczorem Traga ukartował zamach na doktora; ponieważ był raz u niego z wizytą i orientował się w szczegółach, sam ułożył najprawdopodobniej metodę zamachu: mianowicie za pomocą gazu świetlnego.

Środa: operacja nie udała się, głowa i ciało żyją, ale osobno, tylko kilka nerwów zdołało zrosnąć się. Wie, że zamach wczorajszy nie udał się, przecież z wieży widać dom doktora jak na dłoni, i być może planuje nową próbę, lecz na próżno, bo pan doktor siedzi i śpi bezpiecznie u kuzynki, pani Landowskiej, prawda?

Czwartek: robimy zasadzkę; Bujwid, a może i Traga widzą światło w oknie doktora, szukają zamach, łapiemy ich. Koniec.

Guran westchnął. W gromadce słuchaczy powstał nagły rejwach, szum, hałas.

Prokasz krzyknął:

— Dlaczego zostawił mi na biurku groźbę i kto ją pisał?

— Traga, musiał zatrzeć ślady za sobą — zlikwidować pana, ponieważ był pan w momencie włamania się Bujwida w Zakładzie i nie można było pana zabić, postanowił wymusić milczenie groźbą pisaną ręką Bujwida; dziś już wiemy, że jego ręką, bo sprawdziliśmy grafologicznie. A groźba była po to, by pan nie wypaplał prawdy od razu, by zyskać czas do wieczora.

Lecz hałas podniósł się oto jeszcze gwałtowniejszy. Helenka wstała i spytała głosem podnieconym:

— Jak to? Co do licha! A gdzie Nieznany Numer Dwa? A więc goniliśmy widmo? Winni są przecież tylko rektor Traga i biedny Homunculus. Numeru Dwa nie ma!

— O nie, na to nie zgadzam się — zaprotestował Guran energicznie i na serio — jest pani w błędzie.

— Nie rozumiem, do czego redaktor zmierza.

— Ano do tego, że był przecie Arcyarchitekt wypadków, że mamy bohatera negatywnego i bohatera pozytywnego wydarzeń; że nie znam dymu bez ognia, a zbrodni bez przestępcy; to nie widmo, proszę pani, działało, to coś bardziej materialnego: i Traga, i Homunculus byli tylko drugoplanowymi aktorami.

Twarz redaktora nabrała dziwnie solennej powagi i jakby ostrości. Wszyscy zaraz usiedli, zrozumiałwszy, że jednak nie wszystko jeszcze było opowiedziane i że nie wszystko jeszcze wiedzą.

— Słuchamy — szepnęła Helenka przejęta i zaciekawiona.

— Moi państwo, przecież nie rozwiązałbym sekretu Tragi, drugiego sekretu, to znaczy drugiego życia i jego zbrodni, gdybym nie znalazł odpowiedzi na pytanie: dlaczego zabito profesora Topolskiego? Sposób wyjaśnienia wypadków, jaki mi narzuciliście, nie pozwolił na wyjaśnienie i tego punktu również.

Gdy narodziła się pierwsza i wątpliwa myśl o żyjącej głowie Tragi, od razu ją chciałem zniszczyć, wyrwać z korzeniami; przecież jeśli nawet to on, to w tym stanie nie mógł przecież planować jakichś doświadczeń, jakichś eksperymentów nawet przy pomocy Bujwida; podejrzenie takie byłoby szczytem absurdu i... i... i mało co nie zniszczyłem wątlej roślinki, z której wyrosło później rozwiązanie zagadki. Przeszkodził mi w tym na szczęście.. Pawłow.

Przerwał na chwilę, a w gabinecie zrobiło się cicho, Wszystkie twarze uniosły się w

pytaniu.

— A tak, właśnie Pawłow, ściślej mówiąc — jego pewna teoria.

Otóż słuchając zeznań doktora Prokaszka w tym miejscu, w którym opisywał EEG Tragi, degeneracje fal mózgowych, załamanie się Tragi, pojąłem ostatni sekret sprawy, już wiedziałem wszystko i dokładnie.

Traga rozumiał, że teoria mechanistyczna organizmu jest nieprawdziwa. Zrozumiał, że cała praca naukowa jego, rektora Tragi, leży w gruzach, a on sam jest zgubiony. Lecz był to człowiek mocny i jego odwrót naukowy ma charakter niezwykły, jak wszystko, co dotyczyło Tragi; czyni więc odwrót naukowy po swojemu — chce ratować swoją głowę, więc szuka ciała dla niej; dwa równa się jeden, prawda?

Odkryłem zatem tajemnicę morderstwa, motyw morderstwa. Czy rozumiecie? Bez odkrycia motywu nie zrekonstruowałbym wypadków. Pogląd mój „za dużo morderców” był — rzecz prosta — tylko poglądem, lecz gdzie są dowody?

Oto one: banalne, trywialne, bzdurne historie z groźbami pod moim adresem i doktora, powtarzające się próby zabójstwa. To były dowody krzywdzące. Dlaczego?

Teoria nerwizmu Pawiowa mówi tak:

Organizm ludzki jest jedną fizjologiczną całością; to znaczy taką całością, że niesposób wyobrazić sobie funkcji jakiegokolwiek części organizmu bez wpływu na pozostałe części ustroju i na odwrót: nie sposób sobie wyobrazić normalnej funkcji części wyodrębnionej; jeśli oddzielimy część od wpływu całości, to część może istnieć, ale musi się zdegenerować.

Więc pojąłem: morderstwo Topolskiego, idiotyczne listy, krwiożerczość to objaw degeneracji; to potwierdzenie mego przypuszczenia, że działa głowa Tragi. Tak, zatem głównym bohaterem pozytywnym naszej opowieści jest teoria naukowa, nerwizm.

Głównym bohaterem negatywnym, fałszywa teoria naukowa — mechanizm.

Jeśli mam prawo wyciągnąć z tych tragicznych wypadków jakiś morał, to ten na pewno:

Słuszna teoria jest silniejsza od najmocniejszego człowieka; Traga był wyższy od nas, mocniejszy, mądrzejszy, przerastał nas jak wielkolud przerasta dzieci. A jednak... a jednak złamaliśmy go! Źle mówię, nie my — złamała go słuszna teoria naukowa. Albowiem powtarzam: prawdziwa idea silniejsza jest od najmocniejszego człowieka. Silniejsza niż człowiek!

Traga doczekał tragicznego momentu, że sam ujrzał się na gruzach swej pracy, że sam usiłował — w ostatnim momencie — zawrócić i zastosować metodę, którą zwalczał.

A więc nie goniliśmy za widmem, znalazł się jednak ów Arcyarchitekt, ów Nieznany Numer Dwa, a była nim fałszywa teoria biologiczna. To ona spowodowała, że przeżyliśmy groźne dni i że wspaniały i obiecujący uczony Topolski nie przeżył, że i sam Traga nie przeżył.

Takie widma — moi drodzy — są niebezpieczne, takie widma należy ścigać i niszczyć, aby życie nasze, życie ludzkości było piękniejsze i lepsze.

Albowiem nie ma piękna ani szczęścia bez prawdy.



## SPIS RZECZY

### Część pierwsza

I.	Ratowanie zmarłej głowy	002
II.	Rozmyślania nad zagadką	006
III.	W pięć minut po śmierci	011
IV.	Nieznany śpieszy się	016
V.	Doktor Józefat Prokasz contra doktor Faustyn Traga	023
VI.	Zamieszanie wśród znajomych	030
VII.	Pogoń	033
VIII.	Laboratorium na pustkowiu	037
IX.	Miałem halucynację	041
X.	Guran w rękach Nieznanego	046
XI.	Głowa Pogonowskiego	052
XII.	Wieża głów	058
XIII.	Sala uciekającej śmierci	069
XIV.	Doktor Prokasz postanawia być mężczyzną	073
XV.	Wróżby Weroniki	078
XVI.	Zdemaskowanie Nieznanego	086
XVII.	Prokurator odkrywa karty	092
XVIII.	Pożar laboratorium	099
XIX.	Wszystko od początku	102

### Część druga

I.	Dziwne wypadki w Zakładzie Medycyny Sądowej	107
II.	Picasso i Rubens, czyli przygoda w parku	114
III.	Odkrycie profesora Topolskiego	119
IV.	Ukradnij!	124
V.	Wróg atakuje	133
VI.	Analiza logiczna zagadki	141
VII.	Przemiany psychiczne doktora Prokasz	148
VIII.	Przypadek czy podstęp?	152
IX.	Trzy sceny, które dużo obiecują	157
X.	Wykład Gurana o metodzie	163
XI.	Karuzela kręci się coraz szybciej	170
XII.	Klęska Gurana	175
XIII.	Fajerwerk małżonków Lotharów	184
XIV.	Popłoch	191
XV.	I jeszcze jedna zagadka	200
XVI.	Uśmiech nieboszczyka	204
XVII.	Sekret doktora Prokasz	217
XVIII.	A więc kto ostatecznie?	233
XIX.	Być albo nie być — oto jest pytanie	237
XX.	Święta Anna	243
XXI.	Gonitwa za cieniem	253